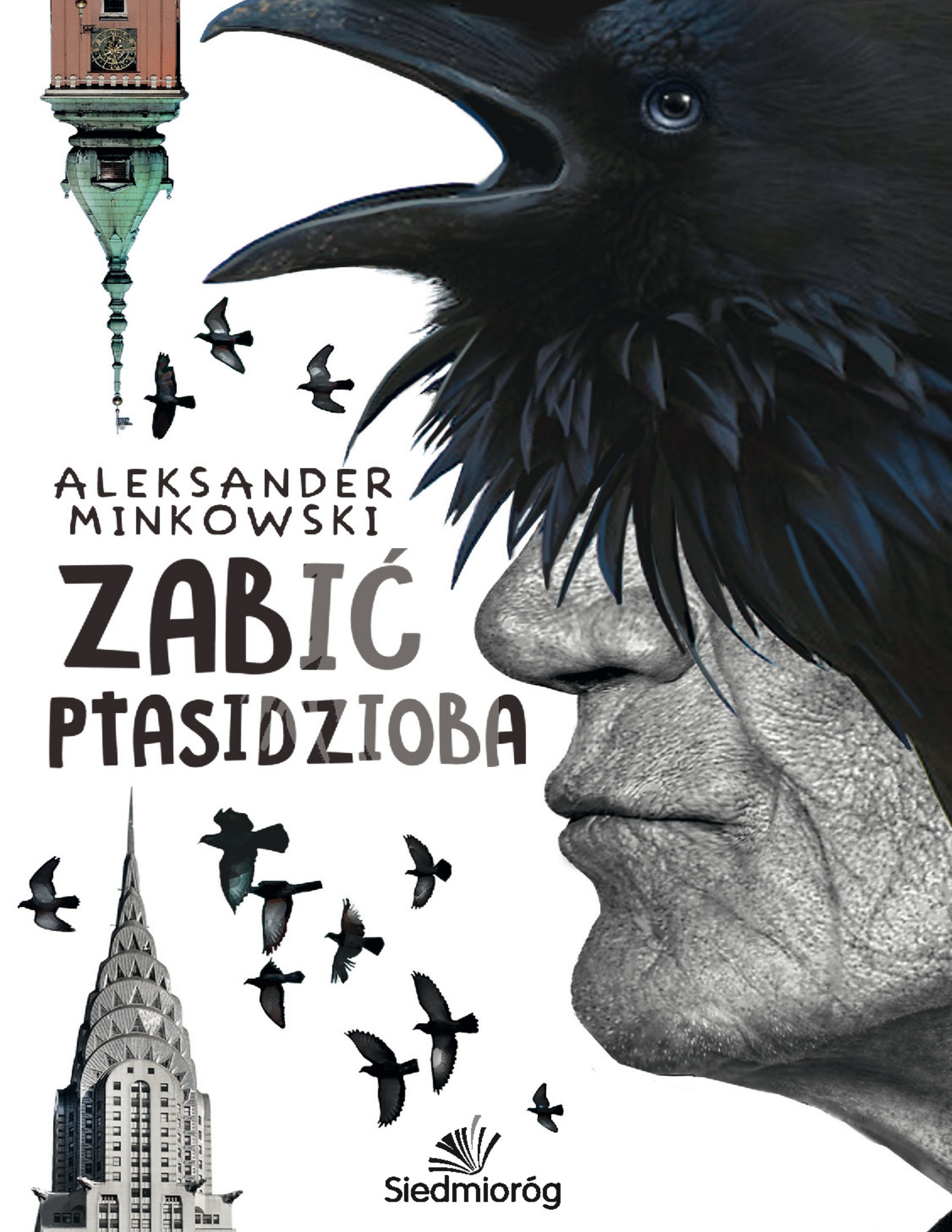

ALEKSANDER MINKOWSKI

ZABIĆ PTASIDZIOBA

Siedmioróg

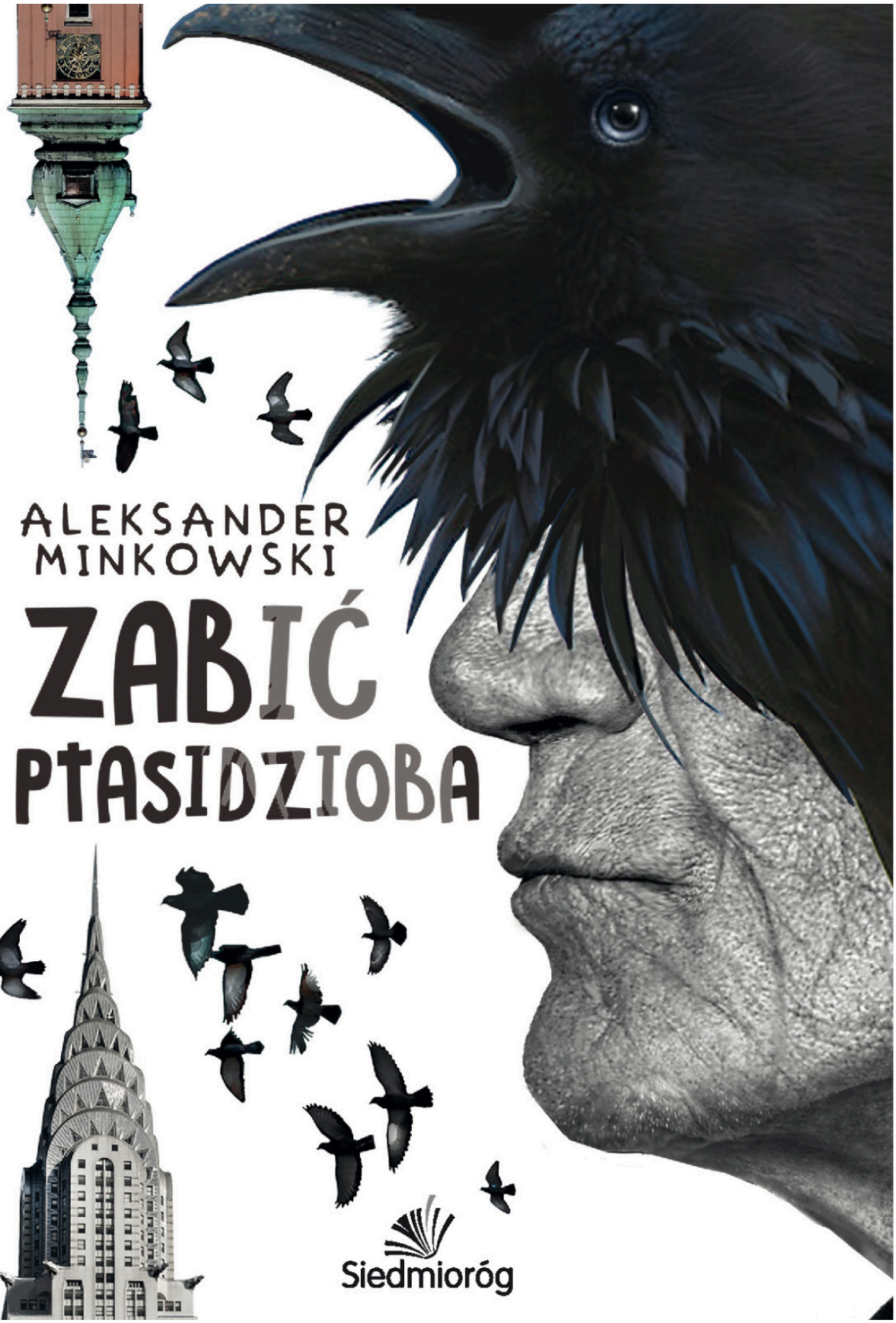

ALEKSANDER MINKOWSKI

ZABIĆ PTASIDZIOBA

Siedmioróg

ALEKSANDER MINKOWSKI

ZABIĆ PTASIDZIOBA

Siedmioróg

ROZDZIAŁ 1

Samolot Lufthansy sunie nad Atlantykiem jak po sznurku, szumu silników prawie nie słychać. Jarzą się mdłe światełka, pasażerowie drzemią. L. śpi obok mnie, zwinięta w kłębuszek i opatulona pledem, z głową opartą na szarym nadmuchiwanym półkołnierzu. Na oczach jedwabna opaska, w uszach koreczki. Już niecałe dwie godziny lotu do Nowego Jorku.

Zasłonki w oknach samolotu są opuszczone. Unoszę moją i widzę za owalną szybką różowiejący błękit poranka. Słońce jeszcze nie wzeszło. Daleko w dole zielenieje ocean z rzadkimi kreseczkami statków.

Nie mogę już spać. Patrzę przez szybę na błękit, który z różowego robi się pomarańczowy. I widzę najpierw przelatującą parę: ona szczuplutka, z rozwianymi włosami, w staromodnej sukni do kostek, on w czerni, młodziutki, kruchy, biała koszula pod surdutem, pejsaty, w jarmułce. Lecą obok siebie, trzymając się za ręce, wpatrzeni sobie w oczy, a za nimi, nieco dalej i trochę niżej, baba z kozą na postronku. Potem dwaj starsi, też pejsaci, w czarnych kapeluszach z szerokimi rondami, gestykulują zawzięcie. Po nich chłop w kaszkiecie, z kosturem w ręce, z tobołem na plecach, a pod nim, nieoczekiwanie, zamiast bezkresnych wód, przytulone do siebie biało-niebieskie wieżyczki cerkiewne i chaty, wszystko przysypane poduchą śnieżną. Na końcu szybuje siwobrody starzec, w tałesie pod rozchełstanym chałatem, z grubą otwartą księgą, a wokół niego młodzieńcy, wychudli i bladzi, jakby wyposzczeni, w takich samych chałatach, spodniach do kolan i wysokich skarpetach. Trzymają się za ręce i galopują w tańcu wokół siwobrodego.

Stadko przelatuje tuż obok mego okna, mogę dokładnie się przyjrzeć. Dokąd lecą? Kto nie oddałby tuzina lat życia, aby to wiedzieć, poznać tajemnicę tajemnic? Nie widzą samolotu albo nie zwracają na nas uwagi. Co za różnica? Maleją z wolna, oddalając się,

aż znikną w błękicie, który zaczyna jaśnieć coraz mocniej. To wschodzi słońce.

ROZDZIAŁ 2

Ranek jest słoneczny i chłodny, majowe powietrze pachnie morską bryzą i czymś jeszcze, ozonowo rześkim, czego nie uświadczysz nigdzie na świecie poza Manhattanem. Odcień imbiru z nutką magnolii, a może melancholii, z dodatkiem aromatu gnijących jesiennych liści, których brunatne okruszki dotrwały do teraz w szparach płyt chodnikowych. Wietrzyk od Hudson River ciągnie Sto Trzynastą Ulicą w poprzek Riverside Drive i Broadwayu, w stronę Amsterdam Avenue. Między Broadwayem i Amsterdamem moja Sto Trzynasta Ulica po lewej graniczy z Uniwersytetem Columbia, a po prawej jest przystrojona wąskimi kamieniczkami w kolonialnym stylu, z ażurem ganków, oraz secesyjnymi kamienicami z lat dwudziestych, wysokimi na osiem do dziesięciu pięter, o bramach z pociemniałego drewna, w półwieńcach ozdób z granitu, piaskowca albo marmuru, z mosiężnymi okuciami zawsze wyczyszczonymi do blasku. Obok bram i ganków stoją pojemniki, napełnione po brzegi worami śmieci, a przy nich stare, często antyczne meble, telewizory i radia, obrazy i książki, komputery i piekarniki, lodówki i pralki automatyczne, i licho wie co jeszcze, niepotrzebne, brudne, zakurzone. Musi być środa. We środy śmieciarze wywożą takie sprzęty i tylko wtedy wolno je wystawiać na ulicę. Tego dnia wczesnym rankiem na miasto wyruszają poszukiwacze skarbów. Kiedyś skompletowałem w ten sposób urządzenie swojego mieszkania przy Sto Trzynastej Ulicy: stylowe biurko, obrotowy fotel, białe regały ścienne, królewski tapczan, okrągły stolik z kompletem krzeseł, radio Sharp, dwie stojące lampy i sprawny czarno-biały telewizor w pękniętej obudowie.

Moja brama numer 520 wpada w ciemny brąz. Z obu stron strzegą jej dwaj granitowi tytani, ten z lewej ma nadkruszony nos. Masywny domofon, nie z ebonitu, ale jeszcze mosiężny, tabliczki z nazwiskami

obok czarnych przycisków, niżej guziczki z cyframi. Ciekawe, kto teraz mieszka w suterenie na lewo, cztery schodki w dół. Czy zachowało się coś z tamtych mebli, na przykład dębowy stół kuchenny na lwich łapach albo owalne kryształowe lustro w przedpokoju, w złoconych ramach, wysokie od podłogi po sufit? Wariat ze mnie. Kto by trzymał takie rupiecie przez czterdzieści lat? Tutaj często zmieniają się lokatorzy. Mieszkania należą do uniwersytetu, są wynajmowane przyjezdnym stypendystom, młodym naukowcom na kontraktach. Kontrakty opiewają na rok, dwa, góra trzy lata. Potem wprowadza się kolejny rezydent.

Gdy zatrzymuję się przed bramą 520, moja pamięć automatycznie wyrzuca cztery cyfry: 1 – 9 – 3 – 3. To kod do bramy. Ileż razy musiał się zmienić od tamtego czasu?

Gwoli wspomnień sentymentalnych wciskam tamte cztery cyfry.

O dziwo brama się otwiera z metalicznym kliknięciem. Rozpoznaję tę tonację, pogłos fortepianowej struny, i robię parę kroków do przodu.

Półmroczny hol, wielkie żółtawe lustra wtopione w czarny marmur, żeliwna plecionka szybu windy obok szerokich schodów. Kamienne stopnie są zmatowiałe i wytarte. Odruchowo skręcam w lewo ku czterem schodkom prowadzącym do sutereny. Na drzwiach tabliczka z nieczytelnym napisem, a może tylko półmrok utrudnia odcyfrowanie. Zresztą, nie próbuję. Bez namysłu, jak we śnie, dwa razy naciskam dzwonek, pauza i jeszcze raz, krótko.

Słyszę kroki, są energiczne, lekkie, i zaraz drzwi otwierają się, bez pytania kto czy do kogo. W świetlistym prostokącie dostrzegam jedynie zarys sylwetki, jej cień, ponieważ źródło światła, ampla z mocną jarzeniówką, znajduje się w głębi pomieszczenia. To moja ampla. Po prawej, zauważam natychmiast, wisi moje stare lustro. Gospodarz widzi mnie dokładnie. Wyciąga rękę. Leciutki współczujący półuśmiech; no cóż, sam wiem, że nie wyglądam najlepiej, a jak miałbym wyglądać po siedemdziesiątce?

Uśmiecham się i ja. Próbuję wejść do środka, a on się cofa przyzwalająco. Idąc korytarzykiem do pokoju, zerkam w lewo i stwierdzam, że w kuchni wszystko jest na miejscu, stół na lwich łapach przykryty szafirową lakierowaną ceratą, na nim toster, wyżej

zegar, na ścianie kolorowy afisz z wędlinami, które można kupić w A&A. Zazwyczaj kupowałem tam wędzoną szynkę z indyka, była niedroga i smaczna. W pokoju też bez zmian. Tapczan nakryty zieloną narzutą. Na biurku stosik rękopisów, studenckie prace do sprawdzenia. W kącie, obok barku z alkoholami, masywny, ciężki telewizor w ukośnie pękniętej obudowie i o niewielkim ekranie. Dziś już nie ma takich telewizorów. Ani telefonicznych szkatuł z tarczami do wykręcania. Znajomy fotel: głęboki, obity spłowiałym sinym pluszem, z zapadniętym siedziskiem i rzeźbionymi poręczami. Nawet ładny, ale bez jaśka nie należy na nim siadać, bo sprężyna rżnie w tyłek.

Biorę poduszkę i rozsiadam się wygodnie, zapatrzony w gospodarza. Wiem, że patrzę chciwie, może z akcentem politowania, a może z zawiścią. Facet jest po trzydziestce, ale wygląda młodziej. Średniego wzrostu, szczupły, prawie chudy, wysokie czoło z mocnymi już zakolami, ciut garbaty nos, bardzo niebieskie oczy. W zimnym świetle jarzeniówki jego cera bez zmarszczek wydaje się żółtawa. Zęby też są żółtawe od nikotyny. Na biurku, w sąsiedztwie papierów, widzę paczkę larków i popielniczkę z niedopałkami. Cuchną, lecz to mi nie przeszkadza, lubię palaczy, odkąd sam przestałem palić osiem lat temu.

– Co tak patrzysz? – pyta gospodarz.

– Nic się nie zmieniłeś – stwierdzam.

– Od kiedy?

– Co od kiedy?

Opieram dłonie na podłokietnikach, odpycham się lekko i unoszę nad fotelem. Zastygam w powietrzu na kilka sekund. Potem wolniutko opadam na poduszkę.

– Nie musisz błaznować – słyszę znajomy głos.

Obaj jesteśmy błaznami. Z tym człowiek się rodzi i taki umiera, choć rodzaj błazeństwa z biegiem czasu ulega w nim przemianom, subtelnieje i nabiera głębi, a ściślej – wieloznaczności z prawie niedostrzegalną nutką smutku. Bo i czym tu się bawić? Własną naiwnością, by nie powiedzieć głupotą? Słabościami innych? Kto postanowił, że słabość jest be, a siła cacy? Słabość rodzi się z wątpliwości, z niezgody na ostateczności, z obawy przed urażeniem

myślących inaczej. Primum non nocere. Każdemu jego działeczka na tej ziemi, dwa metry na metr, żeby pomieścić się w opakowaniu. Teraz, po kremacji, opakowania są mniejsze – pucharki, szkatuły. Mieszczą lekko garstkę popiołu. Coś takiego zamówię sobie w testamencie, żeby nie wyobrażać sobie robaków w gnijącym mięsie. Co za paskudztwo. Popiół jest po stokroć estetyczniejszy. Błogosławieni marzyciele, szaleńcy. Niczego nie są w stanie zmienić, ale poszerzają nam horyzonty. Chcesz fruwać? Nie musisz mieć skrzydeł!

Słabość bywa heroiczna. Wymaga pokory, uczy rezygnowania, zmusza do kompromisów i dzięki temu nie dochodzi do wielu nieszczęść. Moc charakteru to radykalizm. Mocni milczą na torturach. Słaby na sam widok iskrzących elektrod wypapla wszystko. Po co ma skwierczeć, jeżeli współczesna technika przesłuchań za pomocą jednego zastrzyku skłania do wyznań najtwardszych twardzieli?

Profesor Sebastian nie był idiotą. U progu wielkiego odkrycia, które miało zaowocować Noblem, a wymagało jedynie nowoczesnego laboratorium w Massachusetts Institute of Technology, by dopracować szczegóły, otóż mój przyjaciel Sebastian, aby dostać paszport, po krótkim wahaniu zgodził się podpisać cyrograf o współpracy z tajnymi służbami swego kraju. No i co się stało? Nic się nie stało. Profesor Sebastian napisał dla służb kilka zdawkowych raportów, które nie wstrząsnęły światem, i dokonał odkrycia, które nim wstrząsnęło. Służby, rozczarowane raportami w postaci filozoficznych mikroesejów, skreśliły Sebastiana z ewidencji, ale w archiwach ślad pozostał i po latach go odkurzono, nadmuchano i wpędzono noblistę pod pręgierz. Profesor parsknął śmiechem, ponieważ dawno nie był w kraju. Potem zrozumiał, że to nie żart, że zamykają go w leprozorium, więc spakował manatki i opuścił ojczyznę na zawsze, przyjmując zaproszenie jednego ze sławnych uniwersytetów.

Mój młody gospodarz może wybrać wolność i pozostać na Columbii. Jest taka opcja. Ma przy tym prawo obrazić się na ojczyznę, ponieważ jego żonie i córkom nie pozwolono odwiedzić go w USA. Ojczyzna potrzebowała zakładniczek. I jest coś jeszcze, co zachęca do pozostania.

Ilana.

ROZDZIAŁ 3

Poznałeś ją w urzędzie pocztowym na Amsterdam Avenue, stała przed tobą w kolejce do okienka, gdzie przyjmowano paczki, i ściskała oburącz pakiet zaadresowany: Wrocław, Polska. Wysoka, szczupła, konopne wijące się włosy spięte w koński ogon. Dżinsowy żakiecik, sztruksowe czarne spodnie, skórzane sandały. „Pani jest Polką?" – rzuciłeś w przestrzeń półgłosem i zaraz pożałowałeś, ponieważ odwróciła się i spojrzała na ciebie pytająco, a ty nie wiedziałeś, co dalej powiedzieć. Oczy miała niebieskie jak niebo po wiosennej ulewie. Chyba była piękna, może tylko ładna, nie miałeś kobiety od paru miesięcy. I nie chciałeś mieć. Byłeś jeszcze wiernym mężem i nie szukałeś dodatkowych komplikacji. Żadnych kontaktów z Polonią, z emigrantami. Wiesz dlaczego. Więc byłeś zaskoczony, słysząc własny głos: „O, Polka. Z Wrocławia? Od dawna pani tutaj?".

– A ty?

Już nie pani. Ilana, studentka medycyny na Columbii. Stryj multimilioner opłaca studia i pokój w akademiku. Drugi rok w Stanach, mnóstwo przyjaciół, fajni ludzie, zawsze naturalni, nie pozują, nie kłamią.

– A ty?

Nie lubiłeś mówić o sobie. Nie umiałeś. Suche fakty: seminarium dla studentów dziennikarstwa, dokument filmowy w krótkim metrażu, kontrakt na rok. Potem? Do kraju oczywiście. Tam? Pisanie: wiersze, reportaże, scenariusze filmowe. Nie od razu powiedziałeś Ilanie, że jesteś autorem krótkometrażowego filmiku *Pół cudu*, który obiegł świat, nie szczędząc ci obelg i nagród.

Dziewczyna (miała na imię Estera) cudem uciekła spod krematorium, gdzie żywcem palono jej ziomków. Ale w polu, już na wolności, dopadli ją chłopi i zarąbali siekierami. Cud ocalenia się nie dopełnił. Znalazłeś we wsi świadków, którzy opowiedzieli o tym, plecami do kamery. Mieli jakiś żal do tamtych, ale nie żeby twarze

pokazać. Okrzyknięto ich kłamcami, a ciebie oszczercą przynależnym po części do tego samego plemienia obcych i z pewnością odpokutowałbyś za swój paszkwil, gdyby filmu ktoś nie przemycił na Zachód. Grand Prix na światowym festiwalu sprawiło, że państwowy dygnitariat zmienił optykę. Film z lekka pochwalono, powołano jakąś komisję, a tobie pozwolono przyjąć zaproszenie Columbii. Pod pewnym warunkiem.

– Co to za plemię obcych? – spyta Ilana. – Kosmici? Podobno wszyscy pochodzimy od kosmitów.

Odpowiesz, że każdą, no, może prawie każdą nację uwiarygodnia i spaja obca mniejszość. To taki liszaj, narośl pasożytnicza na organizmie narodu. Jej zewnętrzną strukturę łatwo rozpoznać – inny język, inna religia, inne obyczaje – gorzej z odpryskami, które wrastają w organizm, asymilują się, upodobniają do większości nawet wyglądem zewnętrznym. Ale i na tych są sposoby. Ważne, by większość trzymała się razem i była czujna.

– Komu przeszkadzają zasymilowani? – nie zrozumie Ilana.

– Są inni. Potrafią unosić się w powietrzu.

Wyjaśnisz, że kanon patriotycznej większości nakazuje ograniczone zaufanie. Idzie o chwilę próby. W obliczu próby z utajonych obcych wypełza ich prawdziwa natura – inność.

Taka jadowita inność, nie do zniesienia dla niektórych. Na wsi, gdzie kręciłeś swój film o Esterze, nagle poczułeś strach. Był to atak paniki na myśl, że trójka chłopów, którzy zarąbali dziewczynę, wywęszy w tobie domieszkę inności i się zaczai, by dokończyć dzieła. Truchlałeś z przerażenia, że poderżną ci gardło i zniszczą materiał filmowy. Nic takiego się nie stało. Zabójcy mogli być pewni, że świadkowie – ci plecami do kamery – nie wymienią ich nazwisk. Nie pożyliby długo. Wieś nie przebacza swoim zdrajcom.

Ilana słyszała o twoim filmiku, pokazywano go na trzynastym kanale, grubo po północy. To jedyny tu kanał niekomercyjny, bez reklam. Pokazano *Pół cudu* ukradkiem, ponieważ tutejsza publiczność też nie jest bezstronna. Kiedy w Europie sumienni wykonawcy rozkazu Wodza systematycznie mordowali ziomków Estery, trując ich gazami, paląc w piecach, żywcem zakopując w ziemi, Prezydent Stanów Zjednoczonych odmówił wymiany

skazańców na wojskowe ciężarówki i wpuszczenia ocalałych niedobitków do USA, uzyskując na to poparcie Kongresu. Ameryka nie chciała mieć ich tylu u siebie. Mogliby, zdaniem ekspertów, „stanowić zagrożenie dla kraju". Amerykańscy ziomkowie ziomków Estery też nie nalegali zbyt stanowczo, aby ratować współbraci przed męczeńską śmiercią. Uważali, że jest ich tutaj dosyć. Później będą się tłumaczyć, że nie wierzyli wtedy w ludobójstwo, i zostanie im to wybaczone.

Ilanie podobało się, że jesteś artystą. Ciebie ujmowała jej beztroska wesołość, srebrzysty śmiech z byle czego. Kiedy się śmiała, robiły jej się dwa dołeczki w policzkach i trzeci na podbródku. Oczy miała szelmowskie, bezczelne. Siedzieliście na sofie w holu biblioteki uniwersyteckiej, plecami do wielkiego malowidła ściennego przedstawiającego scenę z mitologii greckiej, mijali was studenci z plikami książek, nie zwracaliście na nich uwagi, zajęci sobą. Czarowałeś Ilanę opowieściami o Wrocławiu, za którym bardzo tęskniła. Ty już nie, bo od matury, którą tam zdawałeś w I Gimnazjum na Poniatowskiego, minęło sporo lat, sentyment jednak pozostał. Opowiadałeś Ilanie o tajemniczych podziemiach na Ostrowie Tumskim, które penetrowaliście z Kubą, nie bacząc na ostrzeżenia o minach. Jaki czternastolatek boi się min? Był rok 1947, wrocławskie ruiny jeszcze pachniały mokrą spalenizną, w lochach walała się rdzewiejąca niemiecka broń, zaśniedziała amunicja, przestrzelone hełmy. Raz natknęliście się na ludzki szkielet…

Ilana przytuliła się do ciebie, poczułeś, że drży, i sprawiło ci to przyjemność. Przykryłeś dłonią jej dłoń i bardzo ostrożnie splotłeś palce z jej palcami, gotów cofnąć rękę, gdyby palce Ilany pozostały nieruchome. Ale odpowiedziały uściskiem. Chciałeś ją pocałować, lecz nie zdobyłeś się jeszcze na odwagę. To stało się później i nie w bibliotece, a w jej pokoiku akademickim na siódmym piętrze.

A nim się stało, chodziłeś jak struty, nie wiedząc, co ze sobą począć, jak się uwolnić od opętania, które zawładnęło tobą niczym uczniakiem po raz pierwszy zadurzonym w koleżance z klasy. Najgorsze były noce. Przedtem bezsenne, z gonitwą myśli, tęsknotą za domem, bliskimi, lękiem przed kolejnym dniem w obcym, mało ci znanym języku, którego uczyłeś się gwałtownie, aby rozumieć, co do

ciebie mówią studenci, w nerwach, że nie podołasz, ośmieszysz się, że cię wyleją z Columbii na zbity pysk. Teraz twoja bezsenność pełna była Ilany. Niby wszystko toczyło się normalnie, zajęcia ze studentami, sprawdzanie prac, szykowanie się do kolejnych wykładów. Jakby było was dwóch i ten drugi trwał w oszołomieniu, w oczarowaniu, nie przestając myśleć o lnianowłosej, słyszeć jej śmiechu, widzieć łobuzerskiego błysku w zielonych oczach. Ten pierwszy wściekał się na drugiego. Po cholerę komplikować sobie życie? Ubóstwiam córki, jestem przywiązany do żony, kocham je wszystkie, władze dobrze wiedziały, jak zapewnić mój powrót do kraju, nie dając im paszportów. Dygnitariat, nauczony bolesnym doświadczeniem ucieczek znanych osób oraz kompromitujących wypędzeń, zatrudnił psychologów, którzy opiniowali kandydatów na wyjazd zagraniczny. O mnie musieli napisać, że nie porzucę żony i córek. Fakt. A w takim razie nie powinienem ulegać oszołomieniu, bo co w zamian? Pierwsza zasada – poczucie obowiązku, odpowiedzialność za najbliższych. To dla nich, dla Agnieszki, Kai i Anny, żywię się tutaj kurczakami, ponieważ są najtańsze, i każdy zaoszczędzony dolar ślę do kraju, żeby Anna nie czuła się gorsza od zamożnych z domu koleżanek, a Agnieszkę i Kajkę stać było na kożuszki, bo zima blisko. Co powiedziałbym Ilanie? Że limit mojego uczucia nie wykroczy poza ten jeden rok i że nasz związek jest pozbawiony przyszłości? Że „żyjmy chwilą”? Że chciałbym, lecz nie zaproszę jej na kolację do West Endu, ponieważ kosztowałoby to kilkadziesiąt dolarów?

A jednak się stało.

Wieczór był duszny na Manhattanie, w pokoiku Ilany szumiał klimatyzator, z radia dobiegał zmysłowy, zachrypnięty głos Brendy Lee. Ukląkłeś. Patrząc prosto w niebieskie, zalęknione z nagła, szeroko otwarte oczy, wyszeptałeś, że kochasz, i zaraz dodałeś, że nie masz prawa. A jednak. Mimo to. Mimo wszystko. Ale niczego nie przyrzekasz. Więcej: nie jesteś wolny i tak zostanie. Niech ci powie, żebyś sobie poszedł, a odejdziesz. Nie będziesz jej narzucał miłości bez perspektyw.

– Mam odejść?

– No co ty, głuptasie. Umarłabym.

ROZDZIAŁ 4

Nie powiem mu, jak i kiedy umarła.

Przeżyje ją, ale nie musi o tym wiedzieć.

Umierała przekornie, zbuntowana przeciwko nowotworowi, który pożerał kolejne narządy. Aż do samego końca była zachłanna na życie. Między jedną chemią a drugą, bez sił, powłócząc nogami, pakowała się do airbusa i leciała do Nepalu, Laponii, na Madagaskar. Sypiała w igloo, w celach klasztorów buddyjskich, żywiła się korzonkami, wędrowała przez góry, czasem na czworakach. Tak uciekała przed ciemnością, w którą nie wierzyła – kto z nas tak naprawdę wierzy we własną śmierć? – i której się bała każdym nerwem.

Życiożerczość granicząca z szaleństwem. Romanse cygańskie śpiewane pod gitarę przez rosyjskich emigrantów, psy przygarnięte z ulicy i kochające ją bezprzytomnie, jacyś artyści komediowi bez pracy, jakieś dziewczyny z Polski szukające w Stanach narzeczonego, jakaś ciotka, jakaś wróżka, jakiś kochanek. Z kart tarota wynikało, że będzie żyła długo. Długo – jak? O tym tarot milczał.

Nie miała czasu na umieranie, taka była zajęta. Na chemię pędziła sportowym samochodem, gaz do dechy, może byłoby lepiej, gdyby walnęła w drzewo, ale nie walnęła. Jej córki mieszkające w Paryżu nie za bardzo przejmowały się chorobą matki, bo co to za chora pędząca na trzy dni do Chin? Bardziej obchodził je ojciec, bliski krewny byłego cesarza Iranu i znany wynalazca, gwiazdor NASA Nadir Pahlawi, którego alzheimer przerobił w kukłę. Tatuś był miły, nie poznawał córek, z grzecznym uśmiechem podpisywał astronomiczne czeki. A mama wariatka. Zawsze taka była. Złego diabli nie biorą.

Zaskoczyła je nagła śmierć Ilany, za kierownicą porsche, którym nie zdążyła ruszyć. Tylko ten jej grymas. Zawsze uśmiechnięta, rozbawiona, na luzie, a tu raptem twarz przekrzywiona, woskowa maska zastygła w przerażeniu. Nikt nie widział jej takiej. Umiała się kryć.

Kilka tygodni przed śmiercią przysłała mi e-mail, w którym przyznała się, że byłem jej jedyną prawdziwą miłością. Potem zdarzały się już tylko miłostki, przygody, w których brała na mnie odwet za tamto, a może szukała antidotum na uczucie, które nie chciało do końca wygasnąć, sama nie wie. Z jej temperamentem – pamiętasz? – nie mogła, choć próbowała, dochować wierności swojemu perskiemu mężowi, którego zresztą nigdy nie kochała.

– To dlaczego za niego wyszłaś?

– Co ty, głupi? Dla pieniędzy. Bardzo bogaty był.

Nie chce mi dokuczyć, mówi prawdę. Ty nic nie widziałeś, wierzyłeś w stryja milionera, który finansuje Ilanę, godziłeś się, by stawiała ci piwo w uczelnianym pubie, płaciła twoje rachunki za czynsz, elektryczność, telefon, gdy zamieszkaliście razem. Byłeś szczęśliwy, nie obchodziły cię detale, mężczyźni nie są drobiazgowi. Twoje przekazy do kraju nie mogły być niższe. Zazdrosny jednak byłeś, kiedy znikała na całe dni, czasami na noce, i na twoje pytania odpowiadała śmiechem albo zmyślała na poczekaniu bzdurne historyjki, w które głupek by nie uwierzył. Twoją wściekłość i rozpacz gasiła pocałunkami, lawiną pieszczot – nie mogły być udawaniem. Nie były. Po co miałbyś wiedzieć, gdzie podziewała się przez owe dni i noce? Rozłąka na stęsknienie. Przecież to ty powiedziałeś, że nie ma dla was trzech czasów, jest tylko jeden – teraźniejszy.

Niczego sobie nie wypominać. O nic nie pytać. Żadnych planów, projektów. Szczęście na bieżąco, życie chwilą.

Kto, do jasnej cholery, wymyślił czas? Nie było pod ręką nic innego?

Stopniowo nauczyłeś się kochać tajemniczość Ilany. Postanowiłeś, że będziesz jej ufał. Nawet wtedy, gdy ci wmówiła, że leci na weekend do Wrocławia, wylatuje ze stryjem w piątek rano i wróci wieczorem w poniedziałek.

Poprosiłeś o kilo polskiej kiełbasy.

Wróciła w poniedziałek wieczorem, zdarła z ciebie ubranie i obsypała od stóp do głów pocałunkami. Bardzo za tobą tęskniła we Wrocławiu, nie mogła się doczekać powrotu na Sto Trzynastą Ulicę. A polska kiełbasa? Och… Twoją kiełbasę zjadł w samolocie stryjek.

ROZDZIAŁ 5

Zielony staw w parku na Riverside Drive, ławeczka przy samym brzegu i smukły biały łabędź, sam urok, sielanka. Siedzieliście na ławeczce, przytuleni do siebie, ty kombinowałeś, jak zatrzymać czas, a Ilana ułamała okruch bagietki i rzuciła ptakowi. Bez pośpiechu podpłynął do was, wyłowił z wody kęs bułki, połknął i wyczekująco, z wdziękiem, wygiął szyję. Pokruszyliście bagietkę, zaczęliście rzucać na zmianę, a biały ptak zgrabnie chwytał w locie okruchy. Ilana śmiała się, jej oczy lśniły jak trawa pokryta rosą, do łabędzia wołała „Maciuś".

Bagietka skończyła się. Pomachaliście łabędziowi, wstając z ławki.

Maciuś zasyczał. Zaczął bić skrzydłami, sycząc coraz gniewniej. Niezgrabnie wylazł ze stawu i rzucił się na was. Jakoś zdołaliście uciec przed rozwścieczonym ptaszyskiem, zdyszani, za ogrodzenie parkowe.

– Co mu się stało? – spytała głośno Ilana.

– Nie należy dokarmiać łabędzi – odpowiedział jej starszy pan z bródką, w kraciastej cyklistówce, obserwujący waszą przygodę. – One nigdy nie mają dosyć i są niebezpieczne.

– Żadnej wdzięczności! – rzuciła z urazą Ilana.

– Zwierzęta nie bywają wdzięczne – powiedział starszy pan.

– A pieski?

– Tresura. Pies wie, jak się zachować, żeby dostać więcej. Dzikie zwierzęta znają tylko agresję i strach. Jak niegdyś ludzie, nim zeszli na psy.

Pomyślałeś brzydko o gościu w cyklistówce. Byłeś wtedy innego zdania o ludziach. Uważałeś, że rodzą się piękni i szlachetni, a do łajdactw skłania niektórych brutalna walka o byt, zwłaszcza w ustrojach społecznej krzywdy. Co do własnego ustroju, w dalekiej komunistycznej ojczyźnie, zaczynałeś już mieć wątpliwości. Dlaczego bywał nieodporny na wypaczenia?

Przypomniał mi się kruk Erwin, wielkie czarne ptaszysko z połamanym skrzydłem, które znalazł w lesie mój przyjaciel, mazurski

pisarz i myśliwy, Lothar Nowacki. Owinął kruka w kurtkę, przyniósł do domu i z pomocą żony, która ściskała ptasi dziób, opatrzył mu skrzydło. Znał się trochę na rzeczy, zaliczył dwa lata weterynarii.

Kruk zamieszkał w szopie na podwórzu. Szybko zaczął reagować na imię Erwin, które nadała mu żona pisarza. Kruki to najmądrzejsze z ptaków, z najwyższym ilorazem ptasiej inteligencji. I wredne. Lothar, po konsultacji z ornitologiem, ułożył kruczy jadłospis, a jego małżonka godzinami krążyła po lesie, wyszukując dla ptaka odpowiednie pożywienie. Najpierw Erwin ogłosił głodówkę, odwracając się kuprem do miski i kracząc wzgardliwie, lecz nie wytrzymał długo. Trzeciej nocy zżarł wszystko. Uszczęśliwiona Alicja zdobyła dla niego świeżą porcję przysmaków i wsypała je do miski. Wtedy Erwin poderwał się nagle, skoczył w górę i dziabnął ją dziobem w policzek, wyrywając kawał mięsa. Trysnęła krew. Lothar nadbiegł ze strzelbą, chciał zastrzelić ptaka, lecz Alicja nie pozwoliła. Nazajutrz dostało się od Erwina Lotharowi – o mało nie wykłuł mu oka, uratowało je grube szkło okularów, które tylko pękło. Kot pisarza, syjamski olbrzym o imieniu Pankracy, którego bały się okoliczne psy, spróbował pokazać Erwinowi, czyje jest podwórze – i musiał salwować się paniczną ucieczką przed rozwścieczonym ptaszydłem. Erwin zaanektował całą szopę, nie było mowy, aby wejść tam po drewno do kominka. Inteligentny ptak pojął, że jest silniejszy od ludzi, że budzi w nich strach. Więc on bać się przestał. Łaskawie pozwalał Alicji napełniać miskę i natychmiast po tym przepędzał, kracząc ostrzegawczo.

Lothar próbował go oswoić. W jednej ręce trzymał kij bejsbolowy, drugą sypał przysmaki. Ptak ignorował jedno i drugie. Nie wolno było ani na moment odwrócić się do niego plecami. Wtedy błyskawicznie atakował.

Pisarz o sercu myśliwego nie bardzo chciał przyznać się do porażki, ale nie było rady.

– Muszę się go pozbyć – wyznał mi ponuro. – Płoszy ludzi. Sąsiedzi boją się wejść na podwórko, ja sypiam przy zamkniętym oknie, bo próbował mi wlecieć do sypialni. Już trochę fruwa.

– Wywieź do lasu – poradziłem. – Tam, gdzie go znalazłeś.

– Jeszcze za wcześnie. Nie przeżyje. Zadziobią go inne kruki.

– A powiada się, że kruk krukowi oka nie wykole.

– Bzdura. Nie są lepsze od nas. Przemęczymy się, aż całkiem wydobrzeje.

– Zależy ci na tym draniu? – podpuściłem go.

Nie odpowiedział.

Byliśmy blisko ze sobą. Książki pisał świetne, skandaliczne tylko na pozór, choć uchodził za skandalistę i u krytyków miał przechlapane. Szczerze cieszył się opinią cynika i łobuza, słynął ze złośliwości, wygarniał ludziom prosto w oczy najpaskudniejszą o nich prawdę, czego ludzie nie tolerują. Takich jak Lothar uważa się za chamów. Ponieważ są chamami, wstydząc się swojej dobroci jak kalectwa. Ja tej dobroci Lothara miałem okazję doświadczyć, gdy kurowałem się samotnie po wypadku samochodowym. Wstrząśnienie mózgu, pogruchotane żebra. Do szpitala iść nie chciałem. Leżałem na wyrku w mojej walącej się chacie nad jeziorem, wdychałem bagienne opary, a każdy wdech przyprawiał o cierpienie, ponieważ odłamki żeber kłuły w płuca. Był to w moim życiu etap osamotnienia i nic nie miałem przeciwko śmierci. Lothar przyjeżdżał do mnie na rowerku nocą po kilka razy sprawdzić, czy oddycham, podać lekarstwo, zmienić opatrunki. Zmuszał, bym coś zjadł i wypił. Nie użalał się nade mną, nie współczuł, robił swoje i wracał do siebie, by po paru godzinach zjawić się znowu.

Taki dziwak.

Kiedy zmarł nagle na atak serca, poczułem, że mnie ubyło.

ROZDZIAŁ 6

Siedzimy naprzeciwko siebie, ja w dziurawym fotelu, podparty jaśkiem, on na tapczanie przykrytym zieloną supełkową narzutą. W radiu przemawia prezydent Nixon, chwaląc bohaterstwo amerykańskich marines w Wietnamie. Tu się zgadzamy: co ma Ameryka do Wietnamu, jakie prawo do mordowania Azjatów „w imię wolności i demokracji”? Później wyjdzie na jaw, że nie było żadnej wietnamskiej prowokacji przeciw USA. Wielka Ameryka przegra z

ubogim Wietnamem, swoim kalekim weteranom nie zapewni godnego bytu, budowanie bohaterskiej legendy odda w ręce hollywoodzkiego aktora Sylvestra Stallone'a o nicku Rambo, a sam Nixon abdykuje, zhańbiony aferą Watergate. Tego wszystkiego Ptasidziób jeszcze nie może wiedzieć. Ale nie podoba mu się wojna w Wietnamie – tak jak większości młodych Amerykanów, jak wszystkim jego studentom.

Dlaczego nie skojarzysz tej agresji z najazdem sowieckim na Węgry i zabiciem Imrego Nagya? Z niedawnym najazdem na Czechosłowację, w czym uczestniczył nasz własny kraj, choć polscy żołnierze nie strzelali do Czechów? Twój mózg nie jest w stanie wykrzesać analogii?

Nie jest. Nie może być. Na razie za krótko żyjesz. W barku pod ścianą piętrzy się armada butelek z alkoholami – wyborowa, jarzębiak, wytrawna wiśniówka dry sherry vodka, żubrówka, spirytus rektyfikowany. Odgadujesz bez trudu, o czym myślę, i nalewasz mi szklaneczkę wytrawnej sherry, którą z nieznanych powodów przestano już w Polsce wytwarzać od lat kilkudziesięciu. Wiśni zabrakło? Sabotażysta skradł recepturę?

– Dobry wieczór – wznosisz nasz toast zapożyczony od Władka Hasiora, rzeźbiarza zakopiańskiego, który był zdania, że bez względu na porę dnia „dobry wieczór" zapowiada dobry ranek i cały dzień następny.

Kawał artysty był z Hasiora. Miał wyobraźnię zawieszoną między niebem a ziemią: pulchne cherubinki, anioły z blach i konopi, odpustowe gwiazdy, baranki, skrzypkowie w przestworzach – i odrutowane cmentarze, naguski bez główek, zakrwawione kukły, bochenki chleba z ukrzyżowanym na nich Chrystusem. Kochano Hasiora. W jego zakopiańskiej piwnicy pełnej cudownych straszydeł zbierali się wielcy aktorzy, znani pisarze i muzycy, studenci, a w Marcu '68 ukrywali się buntownicy ścigani przez milicję. Po góralskiej herbatce zaprawionej spirtem – spirt należało przynieść ze sobą – Władek urządzał projekcję slajdów z dziejów brzydoty ojczystej: krasnale w ogródkach, gipsowe sarenki i bociany, wille z hiszpańskimi wieżyczkami na Mazowszu, plastikowe palmy i cyprysy na Podhalu, serie makatek w pokojach z meblami na wysoki połysk

przedstawiające jelenie na rykowiskach i Matki Boskie kapiące od pozłoty. Do tego był przewrotnie naiwny komentarz Władka w tonacji mieszczańskiego zachwytu. Goście rechotali. Władek Hasior nie śmiał się prawie nigdy.

Lubił dziewczyny, a te lgnęły do niego jak ćmy do ognia. W Marcu ’68 w lochu Władka pojawiła się zjawiskowo piękna nastolatka, Bułgarka studiująca w Berlinie, podobno genialna matematyczka. Zakochałeś się w niej natychmiast i wyczułeś w pewnej mierze wzajemność, do utrwalenia gestem, wyznaniem, propozycją. Kilka razy spojrzała na ciebie wyczekująco, a ty nic. Głupie zahamowania, wstydliwość. Po północy zaczęliście opuszczać piwnicę, Hasior skinął na Bułgarkę i ta została. Przez trzy doby pracownia Władka była zaryglowana od wewnątrz, na twoje dobijanie się nikt nie reagował. Czwartego dnia wieczorem Bułgarka i Hasior pojawili się w Watrze, wychudli i bladzi. Byłeś już po kilku wódkach, wstydliwość wygasła, szepnąłeś Bułgarce do ucha, że tamtego wieczoru była twoim marzeniem.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? – spytała rzeczowo. – Mogłeś dać znak. Poszłabym z tobą.

W Sierpniu ’80 Władek Hasior nie odłożył na bok sztuki, nie przyłączył się do wielkiego ruchu na czele z wąsatym stoczniowcem, który wkrótce zyska światową sławę, by po kolejnych latach przeczytać, że był agentem bezpieki. Rechot historii, którego Władek już nie usłyszy, nie skomentuje po swojemu, że oto esbecja zjadła samą siebie, jak baron Münchausen, który wyciągnął się z bagna za włosy.

W stanie wojennym, poprzedzającym upadek komuny, piwnicę Hasiora odwiedzi rzecznik komunistycznego rządu, gość o nadzwyczajnej cynicznej inteligencji. Zapewne uzna, że warto w rewolucyjnych czasach postawić na apolitycznego artystę i oto Hasior, ku własnemu zaskoczeniu, zostanie przeniesiony z lochu do sal wystawowych. Chyba po raz pierwszy w życiu zamieszka jak człowiek. Nie prosił o to, ale dar przyjął.

Wystarczyło.

Byłbyś zdziwiony, że się rozpił do reszty? Ten cudowny naiwniak nie rozumiał, czego chcą od niego świeżo upieczeni zwycięzcy, za co

trafił na niepisaną czarną listę i przez tajną cenzurę skazany został na nieistnienie, tak jak wielu innych artystów, którzy nie wsparli rewolucji. Rewolucja to kanibal. Najpierw zjada tych, co byli przeciw, potem tych, którzy nie byli za, by na końcu pożreć własnych bohaterów. Właśnie wkracza w trzecią fazę, ale nie będę ci o tym opowiadał, bo i tak nie zrozumiesz.

Nie każda rewolucja ma swojego Napoleona Bonaparte, nie każdej niepodległości na imię Józef Piłsudski. Nasza zadowoli się przeciętnością z łapanki i utonie w swarach, pomówieniach, małości. Zakończenia zazwyczaj są sprawiedliwe: każdemu to, na co zasłużył.

Nie napisano w gazetach, że umarł, nie było w telewizji programów pożegnalnych. Ktoś gdzieś chlapnął, że wysługiwał się bezpiece. Nie uwierzył nikt, kto znał Hasiora.

Powiedziano mi, że zasnął pijany i już się nie obudził. Podobno nie trzeźwiał od miesięcy. Jest się czemu dziwić?

Z mojej konstrukcji wypadła kolejna cegiełka. Jest mnie mniej o Hasiora, ale tego szczęśliwie nie widać, i bardzo dobrze.

ROZDZIAŁ 7

Tak więc nalałeś mi szklaneczkę wytrawnej sherry, nie pytając, bo przecież lubimy to samo. Wciąż czekałem, abyś zapytał, po co tu jestem, lecz pytanie nie padło. Chciałeś, żebym już sobie poszedł. Nic z tego. Jeszcze ci się dokładnie nie przypatrzyłem, weryfikując własną pamięć, która jest cholerną kłamczuchą. Czekasz na Ilanę i nie chcesz, by mnie tu zastała. Bez obaw, nie przyjdzie. Każdy ma swoje tajemnice. Ty, na przykład, nie powiesz jej, skąd przywilej kupowania za bezcen alkoholi w dyplomatycznym sklepiku. Przecież nie jesteś dyplomatą. Tanie zakupy idą na rachunek attaché kulturalnego polskiej placówki, sympatycznego osiłka o kwadratowej szczęce, którego jeszcze w Warszawie przedstawił ci twój niezwykły przyjaciel. Zapewnił, że to cenny kontakt na obczyźnie. Choćby w aspekcie tanich zakupów oraz dyplomatycznych przyjęć, na których można pysznie podjeść.

Niezwykły przyjaciel? W pewnym sensie każdy przyjaciel jest niezwykły, ponieważ nie należy do zwykłych prawdziwa przyjaźń między ludźmi. Żeby przetrwać, trzeba kombinować, w tym celu bywają zawierane sojusze, potocznie nazywane przyjaźnią. Wystarczy jednak poskrobać taką przyjaźń, by spod szlachetnej bieli zaczęły wyłazić plamki. Biel dogłębna trafia się nader rzadko i trudno się temu dziwić, albowiem bezinteresowność nie popłaca.

Popiołek był wyjątkiem.

Odmowa paszportu do Francji nie tyle cię zaskoczyła, ile doprowadziła do wściekłości: Kuba specjalnie wziął urlop, mieliście jego żaglówką opłynąć południowe wybrzeże, od portu do portu, od wyspy do wyspy. Marzyłeś o tym. Pognałeś więc do biura paszportów, wymachując zawiadomieniem, że odmowa podyktowana jest interesem państwa. Jakim interesem?! Co by państwu szkodziło, że się powłóczysz po morzu ze szkolnym kolegą? Bo nakręciłeś *Pół cudu*, które wyróżniono na festiwalu w Bordeaux? Bo cenzura zdjęła ci jakiś wiersz? Bo odrzucono twój projekt scenariusza w wytwórni filmów dokumentalnych?

Urzędniczka w okienku biura paszportowego rzuciła zimno, że państwo nie musi się tłumaczyć przed obywatelem ze swoich decyzji. Naczelnik przyjmuje we wtorki, możesz się do niego zapisać, najbliższy termin za miesiąc. Wyszedłeś, trzaskając drzwiami – i już to mogło źle się dla ciebie skończyć.

Za tobą wyszedł przysadzisty, łysawy mężczyzna w szarym garniturze z elany i w beżowym popelinowym płaszczu. Dogonił cię dopiero za rogiem.

– Ja bardzo pana przepraszam – zaczął, przestępując z nogi na nogę – przypadkowo byłem świadkiem, ta baba w okienku nie miała prawa tak się zachować. Postaram się, żeby dostała naganę z wpisaniem do akt.

– Czego pan chce? – warknąłeś.

– Nazywam się Emil Popiołek. Oglądałem kilka razy pańskie *Pół cudu*. Płakałem, wie pan? Powściągliwa relacja, która chwyta za gardło… Talent. Dziękuję panu za ten film.

– Kim pan jest?

– Pracuję w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Niech pan nie myśli, że tam są wszyscy tacy jak ta baba. Będzie paszport. Przyrzekam.

– Co w zamian? – spytałeś z ironicznym uśmieszkiem.

Mężczyzna spojrzał ci prosto w oczy.

– Jest mi bliżej do pana niż do nich – powiedział, akcentując każde słowo. – Też chcę, żeby było inaczej. Z ludzką twarzą. Mamy te same poglądy.

– Skąd zna pan moje?

– Z donosów. – Mężczyzna zaśmiał się cicho. – Wstąpimy na kawę?

Spodobał ci się. Wiedziałeś, że ryzykuje, pozwalając sobie na taką szczerość z tobą. Narzekał na obcych doradców w ministerstwie, ich wszechwładzę, i na rodzimych karierowiczów, którzy zrobią wszystko, żeby się przypodobać nadzorcom. Ale są w ministerstwie i patrioci, są porządni, przyzwoici ludzie. Gotowi narazić się dla takich jak ty.

Po tygodniu Emil Popiołek do tej samej kawiarni przyniósł ci paszport i jeszcze postawił winiak, aby to oblać. We dwóch wypiliście całą butelkę.

– Co bym mógł zrobić dla ciebie? – spytałeś, udając wstawionego.

– Rób dobre filmy – odpowiedział. – Otwieraj ludziom oczy na to, co się u nas wyczynia. Już czas, żeby Polacy zaczęli się buntować.

Przed odlotem do Francji ty zaprosiłeś Emila na wódkę. Już byliście po imieniu. Przy pożegnaniu wymienił szeptem nazwisko twojego kolegi, operatora filmowego, prawie przyjaciela.

– Uważaj na niego. Donosi.

Nie uwierzyłeś. Wtedy Emil zacytował twoją wypowiedź o pewnym dygnitarzu partyjnym. Dosłownie. To dlatego miałeś nie dostać paszportu. Między innymi.

– Skurwiel! – wyrwało ci się. – A sam…

Potem Emil, gryząc wargi, opowiedział ci o swoim nieszczęściu. Jego ośmioletnia córeczka, Martynka, zmarła na białaczkę. W amerykańskiej klinice Mayo testowano nowy lek, zgodzono się włączyć Martynkę do programu, mieli duży procent wyzdrowień. Ale resort mu nie pozwolił. Dewizy i nie tylko. Za mała fisza. Co innego syn wiceministra, temu we Francji uratowano życie…

Kiedy wracałeś z Paryża, obdarowany w Księgarni Polskiej zakazaną literaturą, poproszono cię na lotnisku do rewizji osobistej. Pierwszy raz w życiu. Książki miałeś przy sobie, w przepastnych kieszeniach kurtki. Odebrano je, spisano protokół, bardzo grzecznie. W Księgarni Polskiej też byli donosiciele?

Emil przyszedł na spotkanie zmartwiony. Powinien był cię ostrzec. Sprawa wygląda źle, pachnie prokuratorem. Jest paragraf za rozpowszechnianie wrogiej literatury, do kilku lat więzienia, sprawie nadano już bieg. Jest paru takich, którym zależy, żebyś siedział.

Nie chciałeś siedzieć. Na samą myśl, że zamkną cię w celi z jakimiś wszawymi menelami, dostałeś dreszczy. Poczułeś, jak ogarnia cię panika.

– Co można zrobić? – wymamrotałeś.

– Chyba byłby sposób – powiedział Emil. – Ryzykowny dla mnie, ale co tam.

– Jaki?

– Podpiszesz, że współpracujemy. Ja potwierdzę. Wymyślimy jakiś meldunek, lipny oczywiście. Na przykład o tym, który doniósł na ciebie. – Emil zaśmiał się. – Skąd miałbyś wiedzieć, że to nasz agent? A sprawie z książkami ukręcę łeb.

Podpisałeś, tłumiąc w sobie skrupuły, że narażasz przyjaciela, gdyby rzecz miała się wydać. Emil poradzi sobie, zna resortowe reguły gry. Donos na donosiciela był smakowitym pomysłem.

Ułożyliście go we dwójkę, w mieszkaniu Emila – bezosobowym, nijakim, ciasnym, w bloku z wielkiej płyty. Żona odeszła, mieszkał sam. Po córeczce został mu pluszowy misiek. O zdradzie żony opowiadał ci z goryczą i pogardą. O śmierci Martynki, jej męczarniach i własnej bezradności – chrapliwie, ze łzami w oczach.

ROZDZIAŁ 8

Zabierał cię na ryby. Miał działkę nad Narwią, a na tej działce budę z nieheblowanych desek, w środku dwa materace, lampę naftową i zdjęcie córki na ścianie. Ale ryby brały – okonie, karaski,

płocie. Gadało się, o czym popadnie. O absurdach, nonsensach, idiotyzmach powszednich. Także o twoich kolegach z branży, filmowcach, dokumentalistach, kto z kim, o czym i po co. Emil był ciekaw ich poglądów. W jego resortowym środowisku – powiadał – funkcjonariusze mają poglądy słuszne aż do mdłości. Z tobą on, Emil, czuje się innym człowiekiem.

Poparł twój wyjazd do Stanów. Powiedział ci to. Były opory, przełamywał je z trudem, ale się udało. Gdybyś nie wrócił, będzie skończony, a to w resorcie spraw wewnętrznych nie kończy się na degradacji.

– Przecież wrócę – powiedziałeś. – Czy tam u was nie ufają nikomu?

– Nikomu – zapewnił. – A już zwłaszcza artystom.

Dał ci liścik polecający do swego kolegi szkolnego, który pracuje w nowojorskim konsulacie. Równy gość, można na niego liczyć, ma na imię Zygmunt. Jeden z tych przyzwoitych, którzy nie podłożą ci świni.

Trzy czwarte litra spirytusu za jednego dolara. Na konsularnych przyjęciach kabanosy i tatar, bigos myśliwski i golonka. Pogawędki z Zygmuntem – zgodziłeś się być po imieniu z konsulem – o twoich studentach, ich zapatrywaniach, ambicjach dziennikarskich. Żadne sekrety.

W zamian nowinki z kraju, świeże gazety, trochę plotek. Cenisz to sobie, ponieważ boleśnie tęsknisz za krajem. Po nocach śnią ci się córki, przyjaciele. Zajadłe spory w Klubie Filmowca, kłęby dymu zmieszane z oparem alkoholu, erupcje pychy, durnej pewności siebie, wielkie nadzieje, wielkie plany. Każdemu z was „morie po kolieno”, każdy to geniusz, niech tylko świat was dostrzeże.

Ilu się przebije? Jeden, może dwóch. Nie ty. A wiesz dlaczego? Ja już wiem: za głęboko tkwisz w polskiej codzienności, którą świat ma gdzieś. Nie jesteś uniwersalny, nie pasujesz do uogólnień. Taplasz się w stawie, nie śmiałeś skoczyć do głębokiej wody, wynieść się ponad ojczystą przyziemność. Pomimo naszej inności.

Albo zabrakło ci talentu. Tego nigdy nie wiemy.

Do córek w snach mówisz po angielsku. Koszmar. Ty mozolnie, pocąc się, klecisz zdania, a dzieci nic nie rozumieją.

W twoich snach zielenią się wierzby i pachnie kapuśniakiem.

A tutaj wszystko jest obce. Często dziwne, zaskakujące. Na przykład gdy cię pytają, jak się masz, odpowiadasz, że świetnie, choćby ci matka umarła godzinę temu. Zakłamanie? Oni twierdzą, że wcale. Konwencja. Nie obciążaj innych swoimi problemami, każdy ma własne. Albo brak tematów tabu – znajoma, w towarzystwie, bez najmniejszego skrępowania opowiada, jak osiąga orgazm. Na egzaminie nie ma ściągania, podpowiedzi: wiedza jest towarem, nikomu nic za darmo. Kłamstwo to rzadkość – nie okrada się kogoś z prawdy. I słynne tutaj „Help yourself" – licz na siebie, sam sobie pomóż – tak odmienne od dobrodziejstw kolektywu, którymi szczycono się u nas.

– Spoko. – Uśmiecham się. – Ilana dziś nie przyjdzie.

– „Spoko"? – Gospodarz nie rozumie. Język nie poszedł jeszcze na skróty, „szacun" nie zastąpił szacunku, „shop" sklepu. – Przyjdzie na pewno.

Wciąż wierzysz we wszystko, co ci mówi Ilana, choć okłamała cię tyle razy. Zakochani to głupcy. A to korek na Broadwayu, a to chora koleżanka, a to stryj wpadł niespodzianie. Numer z Zygmuntem. Poznała go u ciebie. Nazajutrz miał do niej dzwonić, proponować kolację w Plazie, taką ze śniadaniem, wiadomo. Zrobiłeś mu scenę. Nie stracił panowania, wyjaśnił krótko, że nonsens. Dokąd mógłby dzwonić? Twoja znajoma nie ma telefonu. Fakt. Gdy to powtórzyłeś Ilanie, parsknęła gardłowym śmiechem i szybko odwróciła głowę, dając ci do zrozumienia, że nic nie rozumiesz. Nie rozumiałeś. Ale byłeś zazdrosny, nawet o samego siebie. Tak jak tęskniłeś za nią, nawet gdy byliście razem. Na zapas.

Jesteś pewien, że Ilana zaraz tu przyjdzie. Bądź nadal.

– Dobry wieczór. – Jeszcze jedna szklaneczka wytrawnej wiśniówki. – Gdyby przyszła, mnie tu nie będzie – przyrzekam.

Powinienem już wyjść, ale nie mam siły wstać z fotela. Łatwiej unieść się nad nim parę centymetrów. Tyle zostało z naszej inności. Jaka to lewitacja? Cyrkowa sztuczka raczej. Ale w aktach

odnotowana. Zygmunt zna twoją teczkę. Ma na ciebie haka, gdyby co. Normalni ludzie nie lewitują. Odmieńcom nie ufa się, są podejrzani, nigdy nie wiadomo, czego się po takich spodziewać.

Tamtej nocy przestraszyłeś Ilanę. Nie wtedy, gdy w nią wszedłeś – duszny wieczór, gardłowy śpiew Brendy Lee z radiowego głośniczka, opętanie, oszołomienie, brak tchu, niewiarygodna szczęśliwość – ale wtedy gdy już było po wszystkim i oboje zastygliście w znieruchomieniu, w półśnie, przytuleni do siebie. Jeszcze się z niej nie zsunąłeś. Błąd. Powinieneś był zrobić to natychmiast.

– Co jest? – zapytała. – Dlaczego cię nie czuję? Jakbyś nic nie ważył.

Odpowiedziałeś pocałunkiem i ostrożnie odwróciłeś się na bok, podparty na łokciu, aby wyglądało, że łokieć wziął na siebie ciężar ciała. Ilana dała się zwieść. Tak myślałeś. Odtąd już nigdy nie kochałeś się z nią w pozycji „jak Pan Bóg przykazał". Kochacie się „na ułana", po malezyjsku, „z przytupem" i „z poślizgiem", wedle kanonów Kamasutry, którą starannie przestudiowałeś, aby było ciekawie i bez błędu. Jeśli ktoś ma być górą, to zawsze Ilana. Ty, kiedy trzeba, bierzesz na siebie jej smukłe wysportowane ciało, lekkie, ale ważące. Żadnych więcej pytań, żadnych podejrzeń. Tak ci się zdaje.

ROZDZIAŁ 9

Sherry dopite. Współczuć czy zazdrościć? Błogosławieni, którzy nie znają przyszłości, nic o sobie nie wiedzą, wierzą jeszcze, że świat można poprawić. Przerobić na świat z dobrą ludzką twarzą, przyjazny wszystkim, wymierzający każdemu wedle zasług. Nic prostszego, starczy przestrzegać konstytucji. Nie tutejszej, stworzonej, by służyć silnym, lekceważącej słabych. W podziemiach Central Station bezdomni żyją w kartonach, w nich rodzą się i umierają, mają do tego prawo. Pod ziemią jest ciepło, są krany z wodą. Za pierwszym razem, gdy tam trafiłeś, byłeś wstrząśnięty. Oto bogata Ameryka. W biednej Polsce czegoś takiego nie uświadczysz. Później, po bytności

w Harlemie, gdzie bieda wcale nie była smutna, wprost przeciwnie, w głowie zrobił ci się mętlik. Tuzin rozbawionych dzieciaków pędził z nory do nory, wołając „mamusiu!” do kolejnej Murzynki porzuconej przez męża pijaka. Inspektor opieki społecznej (twój student dorabiający do stypendium) doskonale wiedział, że robią go w konia, ale prawo to prawo: spisywał cały tuzin i opieka społeczna fundowała kobiecie kupony żywnościowe dla dwanaściorga dzieci. Mąż pijak dostawał swoje osobno. Kupony dawało się wymienić na papierosy i alkohol. Żyć nie umierać.

Do Harlemu trafiłeś przez pomyłkę. Wziąłeś nie ten subway i zamiast przy Sto Szesnastej West, gdzie się mieści Columbia, wysiadłeś na Sto Szesnastej East, w sercu Harlemu. Było to serce ciekawskie i okrutne. Czego tu szuka białas pod krawatem i z teczką? „Bracie, daj papierosa!” Dałeś. Zabrali całą paczkę. „Co masz jeszcze? Daj dolara!” Zabrali całą portmonetkę, a do tego zegarek Omega oraz skórzaną teczkę – bez notatek i skryptów. Te ci zwrócono.

Ruszyłeś przed siebie, nieświadom, że do Columbii będzie dobra godzina marszu. Oglądałeś stare kobiety rozwalone przed domami na starych kanapach i plotkujące zawzięcie, chłopaków grających w piłkę na środku jezdni, nie bacząc na samochody, pary całujące się w bramach, obrzyganych pijaków opartych o mur, pociągających z flaszek zawiniętych w papier. Dlaczego w papier? Później dowiesz się, że pić na ulicy nie wolno, butelka to dowód, ale nie zawiniątko w papierze, a sprawdzać nie wolno – byłoby to naruszenie wolności osobistej.

Oglądałeś rudery, sterty śmieci na chodnikach, spalone auta, połamane meble, przerdzewiałe na wylot pralki, lodówki, gnijące odpadki w dziurawych wiadrach. Po drodze, z niejakim rozbawieniem, pozwalałeś się rewidować facetom i facetkom, oburzonym, że nic już przy sobie nie masz. Najpierw się bałeś, potem już nie. W Harlemie raczej nie było chuliganów agresywnych bezinteresownie, dla rozrywki, jak u nas. Na Columbię dotarłeś już bez krawata i marynarki, obiecując sobie, że kiedyś wrócisz do Harlemu z kamerą.

Nie zrobisz tego. Znajomi ci odradzą. Szkoda byłoby kamery.

ROZDZIAŁ 10

Żałowałeś, że nie masz ze sobą kamery filmowej, kiedy trafiłeś na wiec przeciwników wojny w Wietnamie. Było to w Central Parku: zielona polana pełna młodych ludzi, policyjny kordon naokoło, policjanci w kaskach, z pałami.

– Będą bić? – zapytałeś Ilanę.

– No co ty. Za co?

– Wiec antyrządowy. Mogą obrażać prezydenta.

– No to co?

– To po co policja?

– Żeby nas chronić przed patriotami.

Patrioci całym sercem wspierają wojnę w Wietnamie. To misja. Ameryka to misjonarz krzewiący sprawiedliwość, broniący krzywdzonych narodów na całej kuli ziemskiej. Robiła to w Korei, teraz robi w Wietnamie, przed sobą ma jeszcze Irak, Libię, Afganistan. Ja wiem, jak to się skończy. Ptasidziób nie wie, bo skąd? Nie wolno być egoistą, myśleć tylko o sobie. Szczęśliwa Ameryka winna jest światu obronę przed komunizmem.

– Co oni mają do komunistów? Czy komuniści pchają się tutaj?

– Jeszcze by tego brakowało – śmieje się Ilana. – To wolny kraj. Każdy ma prawo walczyć z komunizmem. Albo nie walczyć.

– Za odmowę służby wojskowej idzie się tu siedzieć.

– Jak wszędzie. W więzieniu nie musisz do nikogo strzelać.

– Kto dał Ameryce prawo narzucać innym narodom swoją demokrację? – pytasz, poirytowany.

– Moralność – śmieje się jeszcze chrapliwiej Ilana. – Nie zauważyłeś, że Amerykanie to naród z zasadami? Nie zostawią ludzkości samej sobie.

Kpi czy o drogę pyta? Nigdy nie wiesz, co Ilana naprawdę myśli. Śmiech przeczy słowom, podważa ich kaliber, a jednak słowa ważą.

Słowa padały ostre. Dostało się Nixonowi. Uczestnicy wiecu skandowali żarliwie: „Precz z brudną wojną! Won z Wietnamu!”, jakiś weteran pokazywał swoje kikuty, na ekran rzucono slajdy z okrwawionymi trupami wietnamskich dzieci, kobiet. Nie wytrzymałeś.

Razem z innymi wrzeszczałeś zapamiętale: „Won z Wietnamu!”, aż ochrypłeś do szczętu.

Tymczasem na lewo od ciebie coś zaczęło się dziać. Barczysty drągal w wojskowej kurtce z naszytym na rękawie sztandarem amerykańskim nagle rozdarł się na cały plac:

– Zdrajcy!… Komuchy!… Pachołki Kremla!… Atomówkę na Hanoi!… Koniec z Wietkongiem!

Pożałowałeś, że nie masz kamery. Spodziewałeś się linczu. Facet był obrzydliwy i równocześnie budził twój podziw: samotny bohater w tłumie wrogów. Zadepczą? Rozszarpią?

Prowokacja. Zaraz wybuchnie awantura, policja ruszy do szturmu, tylko na to czeka.

– Uciekajmy stąd – szepnąłeś do Ilany, ściskając jej łokieć. – Z polskim paszportem…

– Nic się nie bój. Patrz.

Wokół drągala zaczęła powstawać wolna przestrzeń. Najbliżej stojący poczęli się cofać, oddalać, odwracać głowy. Jeszcze wykrzykiwał swoje: „Tchórze! Zdrajcy! Sprzedawczyki!…”, ale już nie tak głośno, nie tak płomiennie. W końcu został sam. Jeszcze coś krzyknął i zamilkł. Rozejrzał się pytająco, szukając choćby pojedynczego wsparcia, ale nikt na niego nie patrzył. Z pochyloną głową, jak szarżujący byk, ruszył przed siebie, a ludzie schodzili mu z drogi, aż dotarł do kordonu policjantów, którzy także się rozstąpili.

Zapamiętałeś tę scenę szczególnie wyraziście, ponieważ stało się coś dziwnego: przecież nie podzielałeś zapatrywań drągala i równocześnie całym sobą byłeś po jego stronie, przeciwko fanatycznemu tłumowi, który usuwał się przed nim, jakby był trędowaty.

Jeszcze nie pojmowałeś konfliktu między przekonaniami a odruchem. Odruch jest głębszy od przekonań, ponieważ wynika z zasad niejako wrodzonych, a przekonania to rzecz nabyta i można je zmieniać. Odruchu w sobie nie wykorzenisz. Boisz się duchów, choć w nie nie wierzysz, brzydzisz się brudu, lubisz czystość, wolisz prawdę od kłamstwa. Wstydzisz się swojej inności, ale ciągniesz ku socjalistom, bo głoszą równość wszystkich ludzi bez względu na ich

pochodzenie. Głoszą na głos, a co czują? Czy „wszyscy ludzie” to także ci, którzy pochodzą od ptaków?

Mógłbyś porozmawiać z ojcem. Mało wiesz o waszej inności. On wie dużo, ale się nie narzuca. A ty nie chcesz wiedzieć, chętnie byś zoperował swój garbaty nos, rozsunął blisko osadzone, wyłupiaste oczy i przybrał na wadze. Dawno temu, na szkolnym boisku, podczas lekcji wf. od niechcenia skoczyłeś wzwyż dwa metry, wprawiając w zdumienie nauczyciela. Kazał ci skoczyć raz jeszcze, ale już byłeś ostrożny. Strącałeś poprzeczkę na wysokości 180, 165, 158 centymetrów, aż belfer uznał, że mu się przywidziało. Jednak przestał cię lubić. Musiałeś załatwić sobie zwolnienie z lekcji gimnastyki.

Będziesz żałował, że nie starałeś się zbliżyć do ojca. Wściekałeś się, że miał cię za nic. Chciał, żebyś został lekarzem albo krawcem, bo trzeba mieć fach w ręku, a nie machać piórem, latać z kamerą. Pańska łaska na pstrym koniu jeździ: dziś cię drukują, zamawiają filmiki, jutro podpadniesz – i cię nie ma. Tu tak jest. Zdolniejsi od ciebie artyści klepią biedę, naraziwszy się władzy.

Ojciec wiedział, co mówi. Był pyskaty, podpadał szefom, raz po raz wystawiano go za bramę, aż przeszedł na dziadowską rentę. Gdyby był krawcem, powiadał, nic by sobie nie robił z władz i nic by mu za to nie zrobiono. Był, niestety, matematykiem. Źle obliczył, całe dorosłe życie walcząc o sprawiedliwość społeczną. Skąd mógł wiedzieć, że sprawiedliwość społeczna u władzy przepoczwarza się we własne przeciwieństwo?

Ty też jeszcze nie wiesz. Nie ufasz instynktowi, wątpliwości gnasz precz.

Porządny człowiek pochodzi od małpy. Jak można wywodzić się z ptactwa? Chyba że się jest aniołem. Myślisz, że lubiano by aniołów, gdyby je było widać?

ROZDZIAŁ 11

Przymawiam się o kolejną szklaneczkę sherry. W końcu sam ją sobie nalewam. Pachnie wiśniami, słońcem. Przydałoby się ciut słońca w suterenie przy Sto Trzynastej Ulicy. Nigdy go tu jeszcze nie było. Za oknem przesuwanym do góry czernieje kamienna studnia podwórza, nie da się stąd zobaczyć nieba w żaden żywy sposób. Unosić okna nie należy, bo podwórko śmierdzi zepsutą chińszczyzną. Na siódmym piętrze mieszka Chińczyk. To pewnie on przez okno wyrzuca resztki. Albo ktoś inny.

Gospodarz zapala larka. Uwielbiałem ten gatunek papierosów, pamiętam aromat, lecz teraz dusi mnie ich słodkawy fetor. Od ilu lat nie palę? Ostrzegano mnie, że w moim wieku palenia się nie rzuca, szok dla organizmu może być zabójczy, a groźba raka to pestka w porównaniu z samą starością, która jest paskudztwem. Starych ludzi rak pożera wolno.

Rzucenie palenia było aroganckim wyzwaniem, na złość mojemu ortopedzie. Ortopeda, któremu poskarżyłem się na ból w nodze przy chodzeniu, stwierdził, że to chromanie przestankowe – wynik kiepskiego przepływu krwi przez sklerotyczne naczynia.

– Nogę trzeba będzie amputować – orzekł. – Ale jeszcze nie teraz. Przekuśtyka pan parę latek, nim ciachniemy. Zapiszę panu halidor, ale da to tyle, co umarłemu kadzidło.

– Nikotyna ma wpływ na chromanie? – spytałem.

– Jeszcze jaki! – Lekarz wskazał z uśmieszkiem na paczkę kentów leżącą na biurku. – Też próbowałem rzucić. Nie da rady.

– Da radę – powiedziałem.

– Szczęść Boże.

Pożegnałem ortopedę i od tamtego dnia nie zapaliłem nigdy papierosa. Życie stało się smutniejsze, ale chromanie przestankowe częściowo ustąpiło.

Mój gospodarz uśmiecha się ironicznie i z apetytem ćmi swojego „skowronka”, pykając kółeczkami dymu. „Lark” to skowronek.

– Ja nie będę próbował rzucić palenia – zapewnia. – Po pierwsze, nie tak wiele mamy przyjemności w życiu. Po drugie, na długie życie z nikim się nie umawiałem.

Głupek. Co on wie o życiu? Jakie znaczenie ma jego długość dla delikwenta? O długości, czy o krótkości raczej, czyjegoś życia

rozprawiają żyjący: „Tyle mógł jeszcze! Tak młodo odszedł…”. O mnie nikt już nie powie, że odszedłem młodo. Szkoda. Sądzą o nas po opakowaniu i dacie narodzin, a co to ma do rzeczy? W środku jestem młodszy niż mój gospodarz, to i owo zaczynam dopiero rozumieć, a że zadyszka, nogi słabe, gęba jak uschnięte jabłko – nic do rzeczy to nie ma.

Ciekawe, skąd u mnie ta pewność, że moja wiedza o życiu jest pełniejsza niż jego. Zbiór przeżyć nie zawsze wzbogaca. Czasem powiększa chaos. Twoja kolekcja jest w miarę uporządkowana: żyjesz w niezmienionej rzeczywistości, przykładasz te same miarki do zdarzeń. Jeszcze nie masz za sobą objawienia. Życie to życie, śmierć to śmierć.

Opowiem ci trochę o życiu i śmierci.

ROZDZIAŁ 12

Jeszcze dymią gdzieniegdzie wrocławskie zgliszcza, praży słońce, ruiny cuchną trupem. Wrocław przeżył kilka nalotów dywanowych, nie tyle, ile Drezno, ale zawszeć. Na placu z ponurą gotycką kirchą, ocalałą cudem, bo wokół same rumowiska, ekipa mężczyzn przeprowadza ekshumację. Noszą żółte ceratowe fartuchy z kapturami, na twarzach płócienne maski. Wykopują galaretę, która wylewa się ze zgniłych szmat, a po niej wypadają na ziemię czaszki, piszczele. Najlepiej zachowały się metalowe guziki, niektóre jeszcze błyszczą. Guzik żyje dłużej niż człowiek, jest dużo wytrzymalszy.

Nad placem, ogrodzonym sznurkami, szybuje słodkawy fetor, śmierdzące powietrze faluje w słonecznym żarze. Przyglądamy się z Kubą wykopkom. Mamy po czternaście lat. Mdli mnie od smrodu, ale nie mogę przestać patrzeć.

– Tyle zostaje – rzucam przez zęby zaciśnięte mocno, żeby nie zwymiotować.

– To są tylko opakowania – uśmiecha się Kuba; czoło ma wysokie, nos z garbkiem, wąski jak dziób ptaka, oczy okrągłe, koloru miodu. –

Do wyrzucenia na śmietnik. Cmentarze, stary, to wysypiska odpadów.

I tłumaczy mi, że wszechświat składa się z materii i energii, niczego innego nie ma. W Boga nie wierzymy, mamy obaj za sobą syberyjskie zesłanie, śmiertelny głód i bajkową sowiecką indoktrynację. Boga zmyślono dla tumanienia ludu, żeby dawał się wyzyskiwać: kto cierpi na ziemi, temu w niebie raj. Ale proletariusze już się łączą i wkrótce zaprowadzą na świecie sprawiedliwość, nakarmią głodnych, utulą skrzywdzonych, odbiorą bogaczom i rozdadzą biedocie.

Że wtedy biedota stanie się bogata, a bogacze biedni, i trzeba będzie na odwyrtkę? O nie, żaden z nas nie myślał w ten sposób.

Więc Kuba, najlepszy w klasie matematyk i poeta, tłumaczy mi dalej, że moje ciało to materia, a ja sam jestem energią, która posługuje się ciałem jako narzędziem do używania świata. Kiedy narzędzie się psuje lub zużywa, idzie na śmietnik, a energia duchowa z niego uchodzi.

– Co to za energia? – pytam. – Dokąd uchodzi?

– W przestrzeń – odpowiada Kuba bez wahania. – Energia duchowa waży dwanaście gramów. Tyle się traci na wadze zaraz po śmierci.

Ta energia szybuje w przestrzeni, spotyka inne energie i tworzy z nimi sieć energetyczną, a gdy gdzieś rodzi się człowiek, sieć wpina w niego dwunastogramowy ładunek. Natura nie znosi marnotrawstwa. Buddyści są najbliżej tej prawdy, bo wierzą w reinkarnację, czyli wędrówkę dusz.

– To kim ja byłem przedtem? Nie pamiętam, żebym kimś był.

– Nikim nie byłeś – odpowiada z przekonaniem Kuba. – Pamięć zostaje w opakowaniach. Napełniasz się od początku i stopniowo stajesz się sobą.

Nie wpadłbym na to wszystko. Z pokorą godzę się, że Kuba jest lepszy ode mnie. Lepszy na boisku szkolnym, lepszy w szachach i z każdego szkolnego przedmiotu, lepsze wiersze pisze, lepiej się bije. Zna łacinę i grekę, bo matka, filolog klasyczny, czytała dziecku do snu starożytnych klasyków w oryginale. Moja matka nie zna obcych języków, jest prostą kobietą o złotym, ciężko chorym sercu.

Za to ja lepiej gotuję.

Obaj jesteśmy jedynakami, ale ja mam ojca i nie jestem, jak Kuba, oczkiem w głowie matki. Naszym oczkiem w głowie jest tato. Gdy mama robi nam kanapki, ojciec ma na swoich kiełbasę i plasterek ogórka, a ja odwrotnie, ogórek i ciut kiełbasy. Ojciec ciężko pracuje i musi dobrze zjeść. Kiedy mamę zabierają do szpitala na kardiologię, zostawia mi spis potraw, które mam przyrządzać tacie. Stałem się mistrzem w rosołach z domowym makaronem, mostku cielęcym faszerowanym i rybie po turkmeńsku. Gdyby nie ja, ojciec umarłby z głodu, bo nawet jajka sobie nie usmaży. Taki jest.

Kuba nie ma taty. Matka go ubóstwia. Ona wie, że jej syn będzie kiedyś wielki – poeta, odkrywca, malarz, może kompozytor – i szykuje go do tej roli, opłacając dodatkowe lekcje języków, muzyki, rysunku. Mnie nie lubi, ponieważ zabieram Kubie drogocenny czas. Ponadto, zapewne dzięki brudnej machlojce, to nie Kubę, lecz mnie wybrano gospodarzem klasy. W tajnym głosowaniu. Dlaczego w tajnym? Tak zarządziła polonistka, nasza wychowawczyni – żeby było demokratycznie. Zaraz po wojnie wycierano sobie u nas gębę demokracją. Kuba dostał osiemnaście głosów, ja dwadzieścia dwa. Wcale tego nie chciałem. Jego matka oczywiście nie uwierzyła.

Przyglądamy się ekshumacji. Jedni wydobywają z ziemi szarą galaretę, inni przeszukują łachmany, wyciągają jakieś torebki, portfele, a z nich papiery, które pakują do teczek. Papier jest słabszy od guzików, ale trwalszy niż człowiek. Nawet papier, dobre sobie. Człowiek jest nic. Galareta i kości. To te dwanaście gramów energii trzyma go przy życiu?

– Nie chciałbym umrzeć – wyrywa mi się niechcący.

– Boisz się? – pyta Kuba.

– A ty nie?

– Ja nie.

Dowiaduję się, czym jest śmierć. Kiedy zasypiam i śnią mi się różne rzeczy – „Skąd masz pewność, że to sen, a nie jawa, może jest akurat na odwrót i bierzesz za rzeczywistość to, co jest snem, mnie na przykład?” – otóż kiedy zasypiam i mam sny, po przebudzeniu czuję upływ czasu. Od zaśnięcia minęło osiem, dziewięć godzin.

Bywa jednak, że zasypiam i nic mi się nie śni – „To sen najgłębszy” – a wtedy gdy się budzę, mam wrażenie, że ledwie zamknąłem oczy.

Spanie bez snów dzieje się poza czasem.

– I to jest jak śmierć – tłumaczy mi Kuba. – Tyle że się nie budzisz. Wielkie mi coś. Czego tu się bać?

– A jeśli jest inaczej?

– No to raj i piekło, diabełki z aniołkami, krasnoludki i sierotka Marysia – śmieje się Kuba. – Co wybierasz?

Nic nie wybieram. Często dobrze jest nie wiedzieć.

Wracamy z Kubą ze szkolnej zabawy. Nad rozległym dziedzińcem I Gimnazjum przy ulicy Poniatowskiego we Wrocławiu wśród chmur kołysze się księżyc. Jest mi błogo, cały wieczór przetańczyłem ze złotowłosą Barbarą z ósmej C, patrzyłem w oczy, na policzku czułem jej oddech. Podoba mi się bardzo, może nawet jestem w niej zakochany. Że chodzi z Janem, bandziorem o byczym karku, powtarzającym dziewiątą klasę? Tak mówią w szkole. No to co? Poprosił ją do tanga, odmówiła mu, a ze mną poszła. Przytulała się do mnie w tańcu. Jan ukradkiem pogroził mi pięścią i wybiegł z sali. Nic sobie z tego nie robiłem. Barbara była najładniejszą dziewczyną w szkole. Mnóstwo chłopaków szalało za nią, ale bali się Jana. Ja nie.

Do czasu.

Przecinamy z Kubą pusty dziedziniec. Mówię mu, że umówiłem się z Barbarą na jutro do kina, i gdy to mówię, dostrzegam kątem oka zbliżających się facetów. Jest ich trzech. Poznaję Jana, tamtych dwóch nie znam. Byki. Kuba jeszcze ich nie widzi, jest zwrócony do mnie twarzą, a ja już wiem, co się szykuje, i wysycha mi w gardle.

Zagradzają nam drogę.

– Do ciebie nic nie mamy – rzuca przez zęby Jan, paluchem celując w Kubę. – Ty możesz odejść.

Dwaj kumple Jana mają bandyckie gęby. Są starsi od niego, z kilkudniowym zarostem, jeden ma złamany nos, drugi szramę przez prawy policzek. Para zakapiorów. Niedobrze. W powojennym Wrocławiu nocami trup ściele się gęsto. Szumowiny, demoralizacja. Zabijają o byle co. Każdego dnia piszą o tym w gazetach.

Nogi zaczynają być miękkie jak z gumy, pot spływa mi po plecach.

– O co leci? – pyta grzecznie Kuba.

– Chcemy z nim porozmawiać. Sam na sam. Spadaj.

Dlaczego Kuba miałby nie uwierzyć, że chodzi tylko o rozmowę? To by mu było na rękę. A ja nie śmiem prosić, żeby mnie nie zostawiał. Honor nie pozwala. Głupi honor, silniejszy od strachu, kompletny idiotyzm. Truchleję.

Kuba wykonuje półobrót, jakby zamierzał odejść.

– Bij! – słyszę jego dziki wrzask; skok, wykop, typ ze szramą pada na ziemię, drugi dostaje z główki.

Bez zastanowienia rzucam się na Jana, walę pięścią w szczękę. Kompletne zaskoczenie. Mamy chwilkę przewagi i zaczynamy uciekać, pędzimy przed siebie jak wariaci, ale nikt nas nie goni. Ulica pełna ludzi, w kinie Polonia właśnie skończył się seans.

Co ja bym zrobił, gdyby było odwrotnie?

To pytanie długo nie będzie dawać mi spokoju. W teorii postąpiłbym tak samo, ale już wiem, że teoria i praktyka to dwie różne rzeczy, a w tym przypadku instynkt samozachowawczy mógłby wziąć górę. Nie jestem odważny. Wyobraźnia kłóci się z odwagą. Albo, zwyczajnie, nie starcza mi charakteru.

I jeszcze jedno wspomnienie, wcześniejsze: wrocławska Hala Ludowa, bez szyb, z ranami po pociskach, park naokoło, w parku staw z nieczynną fontanną. Znajdujemy z Kubą w krzakach drewniane białe drzwi, napis „Damen”, spuszczamy je na wodę i mamy tratwę. Kij od szczotki robi za wiosło. Drzwi utrzymują nas obu. Płyniemy na stojąco. Woda jest płytka, przejrzysta. Kuba mocno odpycha się kijem od dna. Nabieramy szybkości.

Dalej sekundy. Może ułamki sekund. Równocześnie widzimy wystający z wody czubek niewybuchu. Rdzawy z czarnym szpicem. Płyniemy prosto na niego.

Kuba zrzuca mnie z tratwy.

Sam nie zdążył zeskoczyć. Nie pomyślał.

Stoję w wodzie po kolana i w osłupieniu patrzę, jak klozetowe drzwi nacierają na bombę.

Nie wybuchła.

ROZDZIAŁ 13

Już wkrótce matka wywiezie Kubę do Francji, żeby tam został wielkim człowiekiem. Będzie jej to winien, więc zostanie, choć nie przyjdzie mu to łatwo, ponieważ nosi w sobie tę samą inność co ja. On też waży mało i lewituje.

Ptasidziób zaczyna wędrować po pokoju. Najpierw wolno, od ściany do ściany, potem szybciej, jeszcze szybciej, skręcając do przedpokoju, aby przystanąć przy drzwiach, nasłuchując, później skręcić do kuchni. Słyszę, jak otwiera lodówkę i zamyka ją. Sekundowy odstęp, niczego nie włożył, nie wyjął. Brzęk naczyń i marsz do pokoju. Wędrówka nabiera tempa, z krótkimi przerwami przy drzwiach wejściowych.

Nikt nie puka, nie dzwoni. Klucz nie zgrzyta w zamku.

Powrót do pokoju i długa pauza przy telefonie. Wpatrywanie się niecierpliwe, proszące w czerwone pudełko aparatu. Ale telefon milczy.

– Coś mogło jej się stać…

Mnie to tłumaczy czy sobie?

Myślisz, że robi tak specjalnie, żebyś się niepokoił, żebyś tęsknił za nią. A ty za nią tęsknisz, nawet gdy jesteście razem, na zapas. Trzymasz Ilanę w objęciach i ściskasz za mocno, bo się boisz o siebie, gdy cię zostawi samego. Ma zajęcia na uczelni, ćwiczenia w laboratoriach, jakieś testy w St Patrick's Hospital, seminaria, zaliczenia, studiowanie w czytelni. Nie może być cały czas przy tobie. Wiesz, rozumiesz. Ale masz żal do nocy, że takie są krótkie, i nie lubisz świtów. Budzisz się pierwszy, słuchasz jej oddechu, dziecinnego posapywania, ostrożnie zanurzasz palce we włosach Ilany rozsypanych na poduszce i w myślach zwalczasz czas, rozciągasz go, wydłużasz. Z nienawiścią patrzysz na budzik, który wkrótce zadzwoni.

Jesteś jej wdzięczny, że o nic nie pyta. Jesteście oboje zachłanni na teraźniejszość. Na razie nie ma przeszłości ani czasu przyszłego, wymiary są tylko trzy, kalendarz wcisnąłeś pod tapczan. Masz dużo

wolnego czasu do czekania na Ilanę, o wiele za dużo, niż byś chciał, a przecież to nieprawda – skracasz swoje zajęcia, zaniedbujesz różne sprawy, żonie nie odpisałeś na trzy jej listy. To ma być sposób? Na co? Owszem, w kłamaniu nie jesteś dobry, ale nie musisz być papla. Primum non nocere. W sprawach męsko-damskich szczerość bywa łajdactwem. Zaczynasz to pojmować, dlatego nie odpisujesz. Następnym krokiem powinno jednak być odpisywanie – przyjacielskie, serdeczne, troskliwe. Nie musisz kłamać. Starczy omijać to, co sprawiłoby ból. Definicje prawdy i kłamstwa są dostatecznie plastyczne, aby nimi pożonglować, pougniatać na własną modłę. Liczą się intencje; fakty są prymitywne, toporne, bez subtelności i niuansów, tak się mają do intencji jak do brylantu diament. Jeszcze o tym nie wiesz? Wszystko przed tobą.

– Nic Ilanie się nie stało – zapewniam, popijając wiśniówkę.

– Co ty tam wiesz. Boję się o nią. Taka jest dziecinna, naiwna.

Akurat. Dziecięca naiwność czasami idzie w parze z przebiegłością, zwłaszcza gdy nie ma wyboru. Ilana musi ratować brata. Tomek wpakował się w brzydką historię, FBI nie uwierzy, że nie miał pojęcia, kim są, byli serdeczni, poprosili o drobną przysługę. Ilana jest pewna, że brat nie wiedział, co wiezie w wedlowskiej bombonierce. No, prawie pewna. Tomek miewał już kłopoty, był w poprawczaku, ale poprawczak to nie mafia. Tu za mafię idzie się do pudła na długo. Chyba że ktoś znaczący wstawi się za tobą, i nie przez protekcję, a z istotnym uzasadnieniem. Coś za coś, tak jak wszędzie.

Nie wiesz, że Ilana ma tu młodszego brata. Że gnojek siedzi w areszcie śledczym. I że od niej zależy jego dalszy los. Tak jak nie domyślasz się, kiedy ci znika, że chodzi sprzątać do ludzi, pilnować ich dzieciaków, zmieniać staruchom pampersy. Każdy ma swoje sekrety, a zwłaszcza ci z wyobraźnią.

Mój gospodarz miota się po pokoju jak wystraszone zwierzę, nie zwraca na mnie uwagi, jakby mnie tu nie było. A jestem?

Brakowało mi Kuby. Był gdzieś we Francji, za siedmioma górami, w kraju za żelazną kurtyną, którą zawieszono między nami, żeby ocalić mnie od czadu. Jakimś cudem dochodziły listy. Potem

przestały dochodzić. Mój do Kuby wrócił z pieczątką ADRESAT NIEZNANY. Po polsku. Czyżby szukał go we Francji polski listonosz i nie potrafił tam znaleźć? Po latach dowiem się, że list Kuby wrócił do niego z taką samą polską pieczątką. Granatowy stempel, znany w całym świecie zachodnim. Czy to nie powód do dumy narodowej?

Kuba był dla mnie punktem odniesienia. Kiedy musiałem podejmować decyzje, odbywałem z nim dialogi. Najpierw szczere. Ale szczerości nie starcza na długo, kiedy przebywa się w dwóch odmiennych czasoprzestrzeniach. Gdy mnie przypierał do muru, w czym mu przecież sam dopomagałem, demagogicznie odbijałem piłeczkę, że w tej swojej Francji nic nie rozumie z naszego bytu i że nie ma na świecie ani prawd, ani zasad uniwersalnych. Gorzej: świata też nie ma, są światy. Po pewnym czasie nauczyłem Kubę akceptowania moich wyborów. Nie był to jednak, podejrzewam, prawdziwy Kuba.

Powoli stawał się wspomnieniem.

ROZDZIAŁ 14

Jeszcze ci bardzo daleko do moich najważniejszych wspomnień. Rzucasz się na telefon, ledwo rozbrzmiewa pierwszy dzwonek, lecz to nie Ilana. Telefonuje Zygmunt, attaché kulturalny.

– Cześć, Zygmunt. Chyba będę zajęty dziś wieczorem. Nie wiem na pewno. Zadzwoń później.

Świństwo mi robisz. Przecież wyczuwasz, że kontakt Zygmunta z tobą nie jest bezinteresowny. Komunistyczny dyplomata w kapitalistycznym mocarstwie nie ma bezinteresownych kontaktów. Wymieniasz z nim swoje gadulstwo, a czasem drobne przysługi, na dostęp do sklepiku z alkoholem i papierosami po cenach dyplomatycznych, czyli za centy. Pamiętasz? Na kolumbijskich śmietnikach pojawiły się sterty oprawnych w zielony plastik tomów z corocznym sprawozdaniem uczelni – bilans, liczba studentów na wydziałach, jakieś statystyki, lista wykładowców, ich telefony, adresy. Każdy wykładowca dostawał taką księgę, większość je wyrzucała. Ty

swojej nie zdążyłeś cisnąć na śmietnik, porwał ją Zygmunt. Nazajutrz kierowca konsulatu przywiózł ci karton żytniej i nie chciał pieniędzy – prezent od attaché. Z jakiej okazji? Nie udawaj.

Nie udaję. – Tu zamyśliłbyś się. – A gdyby nawet? Czy to grzech? Jestem artystą.

Ani ci w głowie, że w szyfrogramach dyplomatycznych majora „Z" występujesz pod pseudonimem „Artysta" i że to ty zdekonspirowałeś korespondenta NBC, który wyruszał z kamerą do Moskwy na jakieś tamtejsze uroczystości pod zmienionym nazwiskiem; był twoim studentem przez jeden semestr, technika skręcania dokumentu, trochę języka rosyjskiego. Opowiedziałeś o nim Zygmuntowi, ponieważ chłopak miał polskie korzenie, jego rodzina pochodziła z Kielc.

Sprawiłeś, że młodego filmowca w Moskwie aresztowano. W teczce „Artysta" zachowa się o tym notatka. Po roku filmowca wymieniono na sowieckiego szpiega, tego jednak w twoich papierach nie będzie.

Powiedziałbym ci, w co się pakujesz, ale nic z tego. W suterenie przy Sto Trzynastej Ulicy szarogęsi się teraźniejszość.

Czas na mnie. L. pewnie się obudziła, rozgląda się za mną, a wielkie mieszkanie profesora Edwarda jest puściutkie i tylko pachnie lawendowym mydłem. Mój przyjaciel profesor Ed Love używa wyłącznie lawendowego mydła, lawendowego spreju, lawendowej kostki w toalecie. Woda kolońska po goleniu też ma zapach lawendy. Lawendowy szlafrok, lawendowa narzuta na łożu, stół w kuchni koloru lawendy. Jego rodzice nazywali się Lewandowscy i pochodzili z Sandomierza. Mieli tam fabrykę grzebieni. Gdy ją zarekwirowała władza komunistyczna, uciekli z czteroletnim Edziem przez Czechosłowację do Ameryki.

Buciki profesor nosi czarne, a muszkę żółtą w seledynowe kropy. Wykłada wampirologię w Queens College. To on udowodnił, że książę Drakula jest historyczną postacią i naprawdę zamieszkiwał w Transylwanii, aby pod koniec życia osiąść w Prusach Wschodnich, gdzie na zamku w Wampirzycach założył do dziś istniejący klasztor sióstr maltańskich. Znamy się z dawnych czasów. Chadzaliśmy po

Broadwayu pod rękę, co czwarty krok zgodnie podskakując z okrzykiem „Hej!” i zastygając w powietrzu na sekundę, i nikogo to nie dziwiło, nikt nigdy za nami się nie obejrzał, bo tak tam jest. Ed też ma duszę artysty, lecz ukrył to w sobie głęboko, ponieważ dzieci emigrantów musiały być praktyczne. Aby dostać się na Columbię, poszedł na ochotnika bić się w Korei – kombatantom gwarantowano darmowe studia. Postrzelono go tam w tyłek, jak na ironię, i siadał tak jakoś bokiem, dość śmiesznie. Pisał pracę doktorską o krwiodawstwie i marzył, by zostać egzorcystą. Dlaczego egzorcystą? A dlaczego zielone to kolor? Ja marzyłem o neurochirurgii, ale koledzy z zarządu ZMP sfajdali mi opinię i nie zostałem przyjęty na studia medyczne. Opinia była tajna, dorwałem się do niej po latach i przeczytałem, że mam wrogi stosunek do Związku Radzieckiego. Uczciwa dedukcja, ponieważ dzieciństwo spędziłem na syberyjskim zesłaniu. Koledzy nie mogli uwierzyć, że syberyjski głodomór może lubić Rosjan. Głupcy.

Edowi podobała się Ilana, lecz nie miał u niej szans, ponieważ to mnie kochała. Doktorant Ed Love zawsze szalał za dziewczynami, u których był bez szans. Gdy pod wpływem szalonej adoracji sytuacja – bywało – zmieniała się i pojawiały się szanse, Ed przestawał szaleć. W to miejsce wykluwało się podejrzenie, że dziewczyna kombinuje. Czyżby dowiedziała się, że Ed ma odziedziczyć po wuju milionowy spadek? Jak wysoką ma pensję, ile na koncie w banku? A może przyjezdnej z Polski tancerce idzie o amerykańskie obywatelstwo?

Dom Eda jest otwarty dla nas. Dla mnie i dla L., którą tutaj przywiozłem, aby podzielić z nią kawał mojej młodzieńczej przeszłości, oprowadzić po zakamarkach Greenwich Village, zapoznać ze starymi przyjaciółmi, jeżeli żyją.

Ja budzę się o piątej rano. L. pięć godzin później. Te pięć godzin różnicy to moja wyłączna własność. Idę tam, gdzie L. bym nie zabrał. Jest jednak zazdrosna o moją przeszłość, jak gdybym od narodzin miał należeć do niej albo jakbyśmy przyszli na świat w dniu naszego poznania. Może ma rację? Oprócz pięciu godzin różnicy w porannym wstawaniu dzielą nas dwadzieścia cztery lata oddalenia

naszych narodzin. Według L. nic nas jednak nie dzieli, a wszystko łączy, co może być prawdą.

Zaraz się obudzi. Nie powinna obudzić się sama w obcym mieście, w olbrzymim mieszkaniu profesora Eda Love na trzydziestym piętrze drapacza chmur pośrodku Manhattanu. Bałem się tego apartamentu z szybami zamiast ścian. Kusiły. Lepiej o tym nie mówić. Jak bym mógł to zrobić bez skrzydeł? Idiotyczna pewność, idiotyczna ciągota, idiotyczny atawizm.

Powinienem wynieść się z mrocznej sutereny przy Sto Trzynastej Ulicy na rześkie nowojorskie powietrze, ozonową mieszankę znad oceanu i Hudson River, ale przykuty jestem do pluszowego fotela z wybitą sprężyną. Ani wstać, ani się ruszyć. Mógłbym wypuścić z rąk poręcze i unieść się nieco nad siedzeniem, lecz mój gospodarz odebrałby to jak błazenadę. On jeszcze się nie pogodził, że obaj po trosze jesteśmy błaznami. Niech mu będzie, że ja bardziej, że lata robią tu swoje, lecz z nagła błaznem nie staje się nikt.

Idź i spojrzyj w lustro.

Co widzisz?

Przyzwoity jegomość. Szczere, jasne spojrzenie. Pionowa fałda między brwiami, zaduma i determinacja. Mocno zarysowany podbródek, śmiała linia ust, wysokie czoło, tylko nos trochę ptasi, z garbkiem, jak dziób kruka. Ptasidziób. A te iskierki w oczach? To drganie warg, ta lewa brew ciut uniesiona w górę? Czy nie zbiera ci się na cichutki chichot, na pokazanie języka?

Nie masz o sobie najlepszego zdania. Ale nikt o tym nie wie z wyjątkiem Kuby.

ROZDZIAŁ 15

Na brzegu Odry rozpaliliśmy małe ognisko. Warkoczyk dymu plótł się w kierunku księżyca, księżyc siwą smugą taplał się w wodzie, woda brzdąkała na przybrzeżnych kamykach. Kuba zakopywał w popiele cztery duże ziemniaki.

– Co ma robić taki jak ja? – spytałem ponuro.

– Tacy jak ty są wszyscy – powiedział Kuba.

– Otóż nie – zaprzeczyłem. – Wiem, jacy są ludzie. Są przyzwoici, uczciwi. A ja…

– Co ty?

– Jestem świnią – oświadczyłem stanowczo. – Tacy jak ja nie powinni żyć.

– Aż tak źle z tobą? – uśmiechnął się ironicznie Kuba.

– Mam brudne myśli, paskudne ciągoty. Kłamię. Jestem zawistny. Czasami kradnę.

– Co ukradłeś ostatnio?

– Ojcu. Kanapkę z kiełbasą, kiedy się odwrócił. Podłożyłem mu moją, z ogórkiem. Nie umiałbym się poświęcić dla innych. Udaję chorego, kiedy ma być klasówka z matmy. Nie oddałbym życia za ojczyznę, jeżdżę na gapę tramwajem. Mam różne brzydkie tajemnice.

– To się utop – poradził Kuba, wskazując na rzekę.

– Nawet na to nie umiałbym się zdobyć – wyznałem bezradnie.

Kuba poklepał mnie po ramieniu.

– My, z plemienia lewitujących, lubimy użalać się nad sobą – powiedział. – Tak tłumimy pychę, naszą ptasią zarozumiałość. A tymczasem ni pies z nas, ni wydra. Bo co to warte? Potrafimy lewitować troszeczkę, ale nie umiemy już latać. Reszta chodzi twardo po ziemi i dlatego nas nie lubią. Nigdzie.

– Obchodzi cię to?

– Ty po lekcjach idziesz do domu, a ja zostaję. Prawie co dzień. Oni czekają na mnie, jest ich po dwóch, po trzech, spotykamy się za szkołą.

Kuba jest bardziej niż ja podobny do ptaka. Nos-dziób, okrągłe oczy, długa szyja. Coś pośredniego między puchaczem i krukiem. Prowokuje? Bije się z nimi do krwi, obrywa ciężko, nazajutrz smaruje sińce kremem, zakleja plastrem skaleczenia. Udajemy, że nic się nie dzieje. Dzień w dzień. Ani razu nie zaproponował, żebym z nim poszedł za szkołę. A poszedłbym? No właśnie: czy bym poszedł się bić z jakimiś bydlakami? Czy nie mądrzej zignorować?

Z pewnością rozsądniej.

Gdyby zapytał, czy z nim pójdę się bić za budynek szkolny, zapewne odparłbym, że nie warto nawalać się ze swołoczą i lepiej dajmy sobie spokój. Dlatego nigdy nie zapytał.

Nie jestem świnia?

A on, czy nie jest głupcem, dając się podpuszczać? Mają ubaw, okładając we trzech jednego frajera z ptasim dziobem. W końcu mu go złamali. Matce powiedział, że spadł ze schodów w bibliotece. Mnie nic nie powiedział, ponieważ nie zapytałem.

Złe o sobie mniemanie to efekt pokwitania i lektur. Młodzieńczy trądzik, zaburzone proporcje członków, szaleństwo hormonów w organizmie. Histerie, depresje, rozkojarzenia. Do tego ckliwe lektury, jakieś *Serce* Amicisa, *Jan Krzysztof* Rollanda, poezje romantyków.

Kuba znosił to lepiej. Wolał *Mity greckie*, *Iliadę* i *Odyseję*. Był także odporny na apele o czujność rewolucyjną i walkę o lepszy świat, serwowane na szkolnych masówkach. Gdy mu się dziwiłem, wskazywał na swoje podbite oko, rozkwaszone usta.

– To nie dotyczy odmieńców. Nas tam nie potrzebują.

Wtedy potrzebowali. Obowiązywało hasło o równości wszystkich. Po tym, co mi się wżarło w pamięć – warszawska ulica Grzybowska w upalny wrześniowy dzień po nalocie bombowym, jeszcze dymiąca, z jęzorami ognia pośród rumowisk, usiana trupami koni i ludzi, śmierdząca i czarna od wyprutych wnętrzności, mieszaniny krwi i kału – świat bez wojen, wesoły i sprawiedliwy, był nieodpartą pokusą. Warto zawalczyć o taki świat.

– Dlaczego nie potrzebują? Co myśmy im złego zrobili?

– Od ptaka do anioła rzut beretem. A szatan to też anioł, choć były. Do brudnej roboty nas tu potrzebują. Szatan zrobi swoje, szatan może odejść.

– A Orzeł?

– Samo nazwisko, nic z ptaków, na jego szczęście. Nigdy nie lewitował.

Kuba uśmiechał się tajemniczo i kręcił głową. Miałem mu za złe, że słucha matki, której chodziło o Francję, a nie naszego wychowawcy, towarzysza Orła, przedwojennego komunisty, którego nie złamały tortury na gestapo i z fanatycznym blaskiem w oczach

wieścił światową rewolucję. Dowiem się po latach, że tortury w UB musiały być skuteczniejsze, ponieważ tam się przyznał, że jest amerykańskim szpiegiem i z kulą w czaszce trafił do bezimiennej mogiły.

Mój gospodarz pamięta tylko Orła marzyciela, postać płomienną i szlachetną.

„Musiało coś jej wypaść, a nie ma ćwierćdolarówki na telefon. Nigdy nie ma drobnych przy sobie. Ale na obiad przyjdzie".

Wyjmujesz z lodówki tuszkę kurczaka owiniętą w folię, już wczoraj natartą czosnkiem, imbirem i bazylią. Smarujesz tuszkę świeżym masłem. Do środka upychasz farsz – mieloną wołowinę wymieszaną z żółtkami, siekaną kurzą wątróbką, zeszkloną cebulką, garstką mąki, łyżką oliwy, solą, pieprzem i szczyptą cukru. Zaszywasz tuszkę z dwóch stron, układasz w brytfannie, skrapiasz sokiem cytrynowym, posypujesz czerwoną słodką papryką, otaczasz wianuszkiem kartofelków – i na czterdzieści minut do piekarnika. Ilana wie, że we czwartki obiad jest o drugiej. O trzeciej trzydzieści zaczynasz seminarium w Lewisohn Hall, nie wolno ci się spóźnić, studenci płacą za każdą minutę. Nie mają nic przeciwko temu, jeżeli zajęcia przeciągną się, lecz o skróceniu mowy nie ma.

Kuchnię wypełnia aromat pieczeni. Ed go ubóstwia. Potrafi przeczuć, że kurczak się piecze – koniecznie faszerowany! – i przybiec na Sto Trzynastą Ulicę co do minuty, dokładnie wtedy gdy wyciągasz z piekarnika brytfannę. Odmówisz mu ćwiartki? Na deser będzie kubełek lodów brzoskwiniowych, o których Ed nigdy nie zapomina.

Dziś nie przyjdzie. Ani on, ani Ilana. Zostaniesz sam na sam ze swoim rumianym, chrupiącym kurczakiem.

Nie po raz pierwszy.

ROZDZIAŁ 16

Kto by lubił samotność?

Na razie mało o niej wiesz. W kraju chmara przyjaciół, kolegów, znajomych, wódka w Klubie Artysty, licytacja na sukcesy, twój film *Pół cudu* kreuje cię na bohatera sezonu, zaznajesz uznania podszytego zawiścią, ktoś puszcza plotkę, że to plagiat, że własne gniazdo kalasz, a temat podkradłeś, ktoś inny cię broni przypochlebnie, bo operator, mógłbyś go wziąć do następnego filmu.

Następnego filmu nie będzie. Zabraknie środków, ktoś czegoś nie podpisze, o czymś nie zapomną.

Minie kawał czasu, nim zrozumiesz, dlaczego zamilkł telefon, nie zaproszono cię na premierę, pominięto przy rozdawaniu odznaczeń. Przy twoim stoliku w Klubie zrobiło się pusto, kumple kiwają z daleka i siadają gdzie indziej. Obraziłeś ich? Komuś podpadłeś? Coś jest nie tak? Nawet w szachy nie masz z kim zagrać, rozpadła się twoja czwórka brydżowa.

Duma nie pozwala ci spytać, co jest grane. Przestajesz bywać w Klubie. Nawet nie pytasz, dlaczego komisja scenariuszowa odrzuciła twój projekt bez zalecania poprawek. Jeszcze nie znasz słowa ostracyzm. Zamykasz się w swojej kanciapie, mgliście oszołomiony, senny, i próbujesz coś pisać, nie bardzo wiesz co. Annie zabraniasz wołać cię do telefonu, nie ma cię w domu dla nikogo, a przecież nasłuchujesz dzwonka przez cienkie drzwi z dykty, coraz bardziej niecierpliwie, nerwowo. Żadnych dzwonków.

Pierwsze odrzucenie boli najgwałtowniej, ale na powierzchni. Kaleczy naskórek, nie wżerając się w głąb, i błyskawicznie się goi, bez blizn.

Nagle rozdzwania się telefon. Wołają cię do Klubu, proponują brydża, stawiają wódkę, najzwyczajniej, jakby się nic nie stało. A stało się? Niby co? Agencja filmów dokumentalnych chce pilnie rozmawiać o twoim scenariuszu, sypią się zaproszenia na spotkania autorskie. Dokoła znów przyjaciele, koledzy, znajomi.

Tak naprawdę nigdy nie dowiesz się, kto i dlaczego wcisnął czerwony guzik. Czyżby Mistrz?

Samotności prawdziwszej zaznasz później.

W kurczaku najsmaczniejsza jest przyrumieniona, chrupiąca skórka, od spodu pociągnięta warstewką delikatnego tłuszczyku. Ale

jeszcze pyszniejszy jest farsz – aromatyczny od ziół, pikantny, przesycony bazylią i czosnkiem. Gorący nie daje się kroić w plastry. Na zimno kroić można, świetnie smakowałby na grzance, nie ma jednak szans, by coś zostało na później. Dziś już nie ma takich kurczaków ani takiego nadzienia. Przekroczono granice dopuszczalności mączki rybnej i specyfików hormonalnych, utuczone chemią kurczaki wyglądają wytwornie i smakują jak guma, pomimo przypraw. Korzystam z okazji. Nic nie zostanie dla Ilany. Nie szkodzi. Nie przyjdzie tu dziś. A my obaj, mój gospodarz i ja, gdy jesteśmy zdenerwowani, mamy wilczy apetyt. On denerwuje się nieobecnością Ilany. Mnie denerwuje on.

– Podoba ci się Nowy Jork? – pytam, gdy po kurczaku zostały same kostki.

– Miasto bez ograniczeń – odpowiada. – Tu możliwe jest wszystko. Drapacze chmur ze szkła, weseli szaleńcy na ulicach, nieustający festyn artystów i wolność do absurdu.

– Może być wolność absurdalna?

– Gdy nie jest zrozumieniem konieczności.

Kładę mu rękę na ramieniu.

– Zrozumienie konieczności jest sprzeczne z wolnością – zaczynam ostrożnie.

– Nie ma wolności bez konieczności – przerywa mi. – Jest wtedy tylko chaos i bałagan.

– Jak tutaj? – Uśmiecham się prowokująco. – Przeszkadza ci ich chaos?

– W tym rzecz, że nie. – Pauza. – Mam o to żal do siebie. Mój warszawski znajomy ostrzegał mnie, że to zaraza, żebym był ostrożny. Słabych uwodzi tutejszy blichtr, czaruje bogactwo. Dopiero po zdradzie, kiedy srebrniki się kończą, przychodzi objawienie, ale wtedy jest już za późno.

– Czy to on poznał cię z Zygmuntem? – zadaję pytanie.

– Są naiwni jak dzieci. Biorą wszystko dosłownie. Nie oszukują, nie podpowiadają, nie próbują się podlizywać. Są infantylnie otwarci, bez tezy, a przecież człowiek musi mieć wzorzec do przymierzania. I równocześnie megalomańscy. Czują się odpowiedzialni za ludzkość i uważają, że wolno im do wszystkiego się wtrącać.

– Są młodym narodem, prawie bez historii. W końcu to nie oni, ale Europejczycy wyrżnęli Indian. My, Europa, jesteśmy zepsuci, przeżarci naszą historią jak rdzą, wyspecjalizowani w zdradach, łajdactwach, przemocy. Azja i Afryka dopiero raczkują. Należy mieć za złe Amerykanom, że pragną uszczęśliwić świat?

– Raczej podporządkować. Ujarzmić.

– Chyba nie jest tak źle.

– Nie jest? – obrusza się cokolwiek sztucznie, jakby oczekując po mnie skutecznej riposty. – Kto im dał prawo pakować się do Korei? Szantażować Kubę? Mordować Wietnamczyków?

– A jednak podobają ci się. – Zawieszam głos na dobrą chwilę. – Chciałbyś tu zostać na zawsze?

Dostrzegam cień lęku na jego twarzy. Ma mnie za prowokatora. A nie jestem?

– Wracam do kraju – rzuca twardo. – Do córek. Do żony.

– Wiem, co zrobisz. Pytam, co byś chciał.

Ptasidziób na długą chwilę zamyka się w sobie.

– Dlaczego tutaj jest wszystko, a u nas prawie nic i na kartki? – pyta cicho. – Tego, kurwa, nie rozumiem…

– A to, kurwa, proste – odpowiadam równie cicho, ale z domieszką ironii. – Oni idą na żywioł, a u nas chcą być mądrzejsi od Pana Boga. Wszystko planuje się z góry. Ile, na przykład, zużyjesz rocznie chustek do nosa, ogórków, prezerwatyw. I tyle trzeba wyprodukować, najlepiej przed czasem, zamiast punktualnie, i do tego najtaniej. To się nazywa system nakazowo-rozdzielczy. I to nas wykończy, a nie komuna, której nie ma zresztą, ponieważ od równych są równiejsi i to oni dostają talon na samochód. U nas można się obijać w robocie, bo praca to zaszczyt. Tutaj łażą za tobą i proszą, żebyś kupił. Kiedy aut i szynek jest więcej niż chętnych, klient to panisko. U nas panisko to kierownik sklepu mięsnego, a ty jesteś dziad. Proste? Jak drut.

– To dlaczego?…

– No właśnie. Być mądrzejszym od Pana Boga. Pełnia władzy. Ustrojowy narkotyk dla rządzących. Zrozumiałeś wreszcie?

– To nie może być takie proste – słyszę. – Takie prostackie.

– A jeśli może?

Milkniesz. Co tam historia, polityka. W wyobraźni zostajesz tutaj z Ilaną. W boleśnie szczerym liście tłumaczysz Annie, dlaczego nie możesz postąpić inaczej. Miłość. Nie prosiłeś się o nią, nie szukałeś. Nadciągnęła jak burza, a jak walczyć z rozszalałym żywiołem? Nie ma na to rady. Czy Anna chciałaby ciebie zgorzkniałego, zawieszonego między apatią i nienawiścią do niej, bo przez nią nie nakręcisz już nigdy filmu, nie napiszesz wiersza? Obowiązek, lojalność – przeciwko uczuciu. A przecież nie ma nic ważniejszego na całym bożym świecie niż miłość. Bez niej człowiek jest tylko żywym mięsem. Wierzącym Bóg nakazuje kochanie, miłowaniem je nazywając i umieszczając na najwyższym piedestale. Niewierzącym to samo dyktuje instynkt. Jeśli mnie kochasz, Anno, musisz przecież pragnąć nade wszystko, abym ja był szczęśliwy. Czy mamy wpływ na przeznaczenie? Nie moja to wina, że warunkiem tego szczęścia jest być z Ilaną. Nie proszę o przebaczenie, bo nie zrobiłem nic złego. Proszę tylko, abyś spróbowała zrozumieć.

Nie zrobisz tego.

A ona zrobi. I nie poprosi, żebyś zrozumiał. Po prostu zostawi cię, odejdzie do innego. Gorzej, będzie to ukrywać, będzie kłamała, tobie i własnej matce, waszym, dorosłym już, córkom. Zapewne nie będzie jej lekko, ale wyboru dokona.

A ty w wyobraźni rozpiszesz się na kilkadziesiąt stroniczek, sypniesz metaforami, przywołasz na pomoc Szekspira z Dostojewskim. A rozpisując się, cyzelując słowa, analizując stany i ich niuanse, drążąc imponderabilia, zatracisz stopniowo autentyczność, stając się tym, kim jesteś – scenarzystą, filmowcem, reżyserem. Nie list, a tekst, dziś powiedzielibyśmy: telenowela. Arcydzieło czy grafomania? Gdybyś był ciut skromniejszy, uświadomiłbyś sobie w pewnej chwili, że klecisz banał. Wielkie mi coś! Wierny dotąd mąż, na dłuższy czas odseparowany od żony, zadurzył się w dziewczynie, która była akurat pod ręką. Pierwszy raz ci się to zdarza? Nic gorszego nie masz na swoim elastycznym sumieniu?

No to ja ci przypomnę.

ROZDZIAŁ 17

Wisła-Głębce, wakacyjna miejscowość u podnóża gór, chata góralska z pokojami do wynajęcia, gościnna rodzina Halamów, mansardowy pokoik z widokiem na strumień i kosodrzewinę. Sąsiedni pokoik wynajmują Mania z Jakubem, przyjaciele rodziców. Razem chodzą na wycieczki, fotografują się, grają w tysiąca. A ty na przyczepkę. Czasami syn gospodarzy, Józek Halama, zabiera cię na tańce do restauracji U Ryncarza, przychodzą tam wczasowiczki spragnione przygody z góralem, ty nie jesteś atrakcją, tylko gówniarzem jeszcze, siadujesz w kącie i gapisz się, jak Józek wyprowadza na kwadrans tę czy tamtą paniusię. Popijasz kwaśne, ciepłe piwo, udając dorosłego, a jesteś rok przed maturą i panie nie dają się nabrać. Prawiczek. W tamtych czasach większość twoich rówieśników była prawiczkami. Wczasowiczki wolą jurnego górala. Rano, gdy Józek Halama odsypia bujnie przepracowaną nockę, ty samotnie wypuszczasz się na basen, z nadzieją, że coś się wydarzy.

I wydarza się.

Śniada, smukła, długonoga nastolatka o wielkich ciemnozielonych oczach co dzień pojawia się na basenie w towarzystwie równie smukłego, wysokiego, szpakowatego mężczyzny, zapewne ojca. Mężczyzna czeka na nią na brzegu, wyprostowany i sztywny jak struna. Sylwetka wojskowego. Zerka na zegarek. Nastolatka przemierza basen rytmicznym kraulem, jak na sportowym treningu, przez trzydzieści minut, tu i powrotem. Przypomina ci rusałkę. Gdy się mijacie, przesyłasz jej uśmiech. Ona to dostrzega, też uśmiecha się lekko. Mężczyzna nie odrywa od niej oczu. Ale za którymś razem oddala się w kierunku toalety i zostajecie sami przy schodkach. Dziewczyna ściąga czepek, na ramiona spadają gęste kasztanowe włosy.

Oczarowanie.

Nie masz czasu, mężczyzna wróci za chwilę i da znak, że minęło trzydzieści minut. Ty, w istocie nieśmiały, zdobywasz się na desperacką odwagę.

– Rusałko, spotkaj się ze mną – szepczesz bezdźwięcznie.

– Jutro o dwunastej. Zakręt za wiaduktem. Będę na rowerze.

Mężczyzna już wraca. Pokazuje zegarek i twoja rusałka opuszcza basen.

Do spotkania z Rusałką zostaje dwadzieścia pięć godzin. Te godziny spędzasz jak w półśnie, dygocąc i nie dowierzając. W nocy nie możesz zasnąć, wychodzisz na palcach z mansardy, żeby nie zbudzić rodziców, siadasz na przyzbie i gapisz się na księżyc, który dojrzewa do pełni. Szczęśliwie noc jest ciepła, ale czas pełznie jak ślimak. Przesiedzisz tak do świtu, potem jednak wrócisz do łóżka i zapadniesz w głęboki sen bez snów. Obudzisz się w panice – jest za kwadrans dwunasta. Tylko chwila w łazience, śniadania odmawiasz, pędzisz jak wariat w stronę wiaduktu. Na szczęście blisko. Zakręt to nitka szosy opleciona gąszczem forsycji i krzaków bzu. Serce tłucze się w tobie jak uwięziony ptak, w głowie się kręci.

Pierwsze twoje zakochanie.

Przyjdzie? A jeśli nie przyjdzie? Bo jej się odechce albo nie będzie mogła? Strasznie długie sekundy, coraz rozpaczliwsze.

Sześć po dwunastej zza zakrętu wypada rower, czerwona damka marki Diamant. Rusałka gwałtownie hamuje, rzuca rower w krzaki i biegnie do ciebie. Ani słowa. Zarzuca ci ramiona na szyję, przytula się biodrami do twoich bioder i całuje cię w usta. Jeszcze nigdy tak się nie całowałeś. Pocałunek trwa wieczność, a może pół sekundy, brakuje ci tchu, nie zważasz na to. Zapachową nutę oddechu Rusałki zapamiętasz na całe życie. Kurczowy uścisk ramion niemal miażdży ci szyję, dwa ciała łączą się w całość. Cały jesteś pulsującym szczęściem. Rusałka drży, być może jest to twoje drżenie przeniesione na nią, być może na odwrót.

– Już. Ojciec jedzie za mną. Wyprzedziłam go. Jutro, dwunasta.

Gdy szpakowaty mężczyzna majestatycznie wytacza się spod wiaduktu, Rusałka już pedałuje na swojej damce, oglądając się za siebie. Pozwala mu, aby się zrównali. Zamieniają parę słów i zawracają równocześnie. Tobie wciąż brakuje tchu. Trwasz w zachwyceniu, oparty o pień kasztanowca, i odprowadzasz ich przymglonym wzrokiem. Hormony szaleją. Jesteś niezachwianie pewien, że będziesz kochał Rusałkę do końca życia.

Nie ma to jak niezachwiana pewność.

Przez osiem dni sytuacja będzie się powtarzała. Chwilę po dwunastej Rusałka wyłania się spod wiaduktu, ciska rower w krzaki i przywiera do ciebie całym swoim smukłym ciałem, a jej język wdziera się do twoich ust. Nie ma czasu na rozmowę. Tylko raz zdołasz zapytać o rygor i usłyszysz:

– Ojciec pułkownik, szef studium wojskowego, studentów też trzyma krótko. Znany z tego w Krakowie. Chciał syna, ma córkę.

Zaśmiała się cicho, jakby się bała, że usłyszy.

– Co robisz w Krakowie?

– Żeńskie liceum, ósma klasa.

Dziewiątego dnia nie przyjechała na spotkanie. Ani przez kilka dni następnych. Nie pojawiła się również na basenie, nie spotkałeś jej na deptaku, po którym krążyłeś od świtu do nocy z coraz bledszą nadzieją. Wyłeś z bólu nocami. Dopiero teraz uświadomiłeś sobie, że nawet nie znasz imienia Rusałki, a ona twojego. I że nigdy, przenigdy nie przestaniesz jej kochać.

Miną dwa lata. Zostaniesz reporterem w młodzieżowym tygodniku i poznasz Annę, też na basenie, warszawskiej Legii. Zakochasz się w niej, a jakże. Znowu będziesz czuł się szczęśliwy, a kiedy Anna zajdzie w ciążę, postanowisz się z nią ożenić, na przekór różnym trudnościom – zarabiasz kiepsko, Anna studiuje, nie masz mieszkania, na pomoc rodziców nie możecie liczyć. Ale ty nie boisz się trudności i lubisz wyzwania. Wkrótce powiesz Annie, że weźmiecie ślub.

Nagle w przejeżdżającym tramwaju dostrzegasz Rusałkę. Wariacki sprint, skok na stopień, o mało nie wpadłeś pod koła. Przeciskasz się przez gąszcz pasażerów, nie bacząc na szturchańce, wymysły. Dopychasz się do kasztanowłosej.

– Rusałko!

To nie Rusałka.

Ale szaleństwo wróciło. Wariacka recydywa, bezsenne noce, udręka przebudzonej tęsknoty. A jeśli przeznaczenie? Jeśli prawdą jest, że w mechanizm świata wbudowano parzystość – ona i on przeznaczeni sobie, mają po jednej szansie, żeby się spotkać, gdyby ją przeoczyli, zmarnowali, skazani zostaną na wegetację? Tylko tych dwoje może razem stworzyć doskonałość. Każda inna kombinacja to

erzac, namiastka harmonii. Większość ludzi, niestety, nie dostrzega owej szansy albo ją lekceważy, nie ryzykuje, nie dokłada starań. Idą na łatwiznę, ulegają okolicznościom – społeczny status, materialne korzyści, odpowiedzialność, poczucie obowiązku, argumenty rodzin. Potem żyją długo i prawie szczęśliwie albo rozwodzą się i zaczynają od nowa to samo w innym zbliżonym wariancie.

Ty tak nie chcesz.

Na pytania Anny, co się z tobą dzieje, odpowiadałeś wymijająco, kładąc nerwowość na karb przepracowania. Faktycznie, łączenie studiów z pracą dziennikarską to nie przelewki. Schudłeś dziesięć kilo, a przecież nie byłeś tęgi. Coś bełkotałeś przez sen. I coraz intensywniej szukałeś sposobu odnalezienia Rusałki, choć wszystko było przeciw – nieznajomość jej imienia i nazwiska, ciąża Anny, logiczne założenie, że taka dziewczyna musi mieć chłopca, że byłoby absurdem, gdyby po dwóch latach Rusałka czuła to samo co ty.

W końcu wpadłeś na pomysł. Najidiotyczniejszy z możliwych. Już wtedy miałeś zadatki na szaleńca.

ROZDZIAŁ 18

Znowu dzwoni telefon i znów mój gospodarz jednym skokiem jest przy słuchawce. Tym razem telefonuje Ilana. Pamiętam jej śmiech. Najpierw cichy, tłumiony, potem perlisty, coraz głośniejszy, gardłowy, z rosnącą przewagą chichotu, z prześmiewczym rechotaniem:

– Na dziś? No co ty! Przecież na jutro! Dziś mam zdjęcia, mówiłam ci, reklama Maybelline, właśnie smarują mnie kremem, szkoda, że tego nie widzisz, ha, ha, wizażysta jest śliczny, taki cherubinek, ślepia na mnie wytrzeszcza, zagląda mi w dekolt, no, Koziołku, nie bądź zazdrosny, przestań sapać, on woli chłopców, a ja ciebie, Koziołku…

Mój głupol już zaczyna wierzyć w reklamę Maybelline, próbuje przypomnieć sobie, jak mu Ilana o tym mówiła, czy nie chodziło jednak o reklamę Alka Seltzer? Jej partner ma się trzymać za brzuch, krzycząc: „I ja to wszystko zjadłem!… Tyle tego zjadłem!…” – a ona,

w różowym peniuarze, radzi mu: „Weź Alka Seltzer i po krzyku”. Pomysł miał być Ilany, całkiem zabawny pomysł, zapłacą jej za jedno i drugie, dostanie furę dolarów. Tylko co ma do tego firma Maybelline?…

– Koziołku, kto jest u ciebie?

– Nikogo nie ma.

– Dlaczego mnie okłamujesz? To ten kolega z Polski, który miał przylecieć wczoraj? Ten komandos? Chyba nie będzie u nas nocował? Niewykluczone, że na noc wrócę.

– Niewykluczone? – wybucha mój gospodarz. – Mogłabyś nie wrócić na noc?

– Przecież cię uprzedzałam, że będą nocne zdjęcia. No co z tobą? Jak się ten komandos nazywa? Molenda? Czego chce od ciebie? Żebyś z nim poszedł na Czterdziestą Drugą gołe baby oglądać? Nie zrobisz mi tego, Koziołku.

Sprytnie zagrane. Jeśli nie gołe baby, to co? W nerwach możesz się wygadać.

– Nazywa się Kolenda i przylatuje jutro. Jestem sam w domu.

– A kim on jest właściwie? Skąd go znasz? Z balecików pewnie!

Ilana jest obrażona, zazdrosna. Koziołek jej to wyperswaduje, jeśli się przyzna, że w baletach nigdy nie uczestniczył, a Kolendy nie zna osobiście, polecił go ten sam znajomy warszawski, który mu przedstawił Zygmunta, prosił, by poznać Kolendę z dokumentalistami kręcącymi w Europie, to mu potrzebne do pracy doktorskiej. Nic takiego Ilanie jednak nie mówi. Ani się nie upiera, że mu nie wspominała o nocnych zdjęciach. Powtarza tylko, że jest sam.

Ja się przecież nie liczę.

– Koziołku, ten zwyrodnialec wizażysta wsadził mi łapę pod bluzkę…

– Daj mu w pysk! Gdzie jesteś?! Ja tam zaraz przyjadę!

– Już wyjął, świntuch jeden. Gdybym mu dała w gębę, wyleciałabym z planu, w Maybelline nie tolerują awantur. Pa, Koziołku. Może zadzwonię później.

Koziołek międli głuchą słuchawkę. Jeszcze nie ma komórek, jeszcze nie wyświetla się numer, skąd telefonowano. Tak jest lepiej. Kierowcy nie prowadzą aut na oślep, ze słuchawką przy uchu,

przechodnie nie wpadają na siebie w ferworze gadaniny z kimś na antypodach. Powietrze nie jest duszne od globalnej paplaniny. Mój gospodarz powoli godzi się z faktem, że nie wie nic o Ilanie. Tyle tylko, że ją kocha jak nigdy żadnej innej. Jest tego pewien. Człowiek mało wie o sobie. Teraźniejszość zamazuje przeszłość albo ją deformuje, odkształca, przepoczwarza. On i ja pamiętamy to samo inaczej i choć on ma bliżej do wspomnień, ja jestem obiektywniejszy, ponieważ z wiekiem emocje kostnieją w okleinie blaszek miażdżycowych i nie przeszkadzają w trzeźwym patrzeniu.

Patrzę trzeźwo.

Gdybym mógł mu doradzać, zasugerowałbym natychmiastowe zerwanie z Ilaną. Im dłużej będzie trwać ich związek, tym boleśniej, straszniej on go odchoruje. Czy nie należy oszczędzać sobie cierpień?

On by mi na to odparł, że już przestałem rozumieć istotę cierpienia. Starość znieczula. A przecież ból nadaje smak życiu, wyostrza wszystkie zmysły. Człowiek cierpiący wystawia ku światu wszystkie zakończenia nerwowe. Leczy się okruchem nadziei, pokrzepia wiarą w cud, to leci w przepaść, to popada w euforię. Z trudem zasypia, a jeżeli śni, są to koszmary. Artysta od bólu ucieka w tworzenie, kreuje nierzeczywistość. Takie bolesne zapamiętanie dało światu van Gogha, Chopina, Dostojewskiego. Wódką męki nie ugasisz, ale przerobić ją możesz w artystyczną kreację, jeśli jest w tobie kawałek twórcy. Wtedy boli mniej. A czym jest życie – zapytałby – jeżeli nie bezustanną ucieczką od cierpienia?

Daleko – powiedziałbym mu – nie uciekniesz. Bóg na każdym kroku testuje człowieka przymusem wyboru.

Pojechałeś do Krakowa w delegację dziennikarską, szukać czytelniczki, która napisała do was, że popełni samobójstwo. Nie znasz jej imienia i nazwiska, podpisała się pseudonimem „Rusałka", ale widziałeś jej zdjęcie i wiesz, jak wygląda. Chodzi do maturalnej klasy w jednym z tutejszych żeńskich liceów. Musisz ją odszukać, aby zapobiec nieszczęściu. Swoją bzdurną historyjkę opatrzyłeś w jakieś szczególiki, zmyśliłeś tajemnicze zaginięcie zdjęcia dziewczyny, podparłeś się legitymacją prasową, a i tak dyrektorka żeńskiego

liceum nr 1 z trudem kryła uśmieszek, prowadząc cię od klasy do klasy.

Wchodziliście we dwoje, dziewczęta karnie podrywały się z ławek na widok dyrektorki i popatrywały na ciebie wpierw z zaciekawieniem, później rozbawione, chichocząc. Kilka szatynek próbowało się podszyć pod Rusałkę, jedna blondynka o zalotnym spojrzeniu i bujnym biuście powiedziała, że wie, kto napisał list do redakcji, i powie ci więcej w cztery oczy. Umówiłeś się z nią. W kawiarence przy Plantach spytała wprost, czy ci się podoba i czy miałbyś ochotę. Nie miałeś. Gdzieś blisko musiała być Rusałka. Nawet o Annie nie potrafiłeś myśleć. Byłeś już pewien, że pomysł z szukaniem po szkołach to idiotyzm. I wtedy z nagła cię olśniło.

Przypomniałeś sobie, że ojciec Rusałki to pułkownik, szef studium wojskowego.

Uczelni w Krakowie jest kilka, lecz tobie z miejsca się poszczęściło. Student, zaczepiony na dziedzińcu Akademii Medycznej, wysłuchał opowiastki o długu zaciągniętym w Wiśle u wojskowego – „był tam z córką, nazwiska nie zapamiętałem, nieoczekiwanie wyjechał, wysoki, szpakowaty, coś wspomniał o studium wojskowym w Krakowie, zabrakło mi kilku złotych w lodziarni…" – i wyraził przypuszczenie, że mógł to być pułkownik Egmond: rysopis pasuje, ma córkę, latem jeździ w góry.

W krakowskiej książce telefonicznej nazwisko Egmond występowało tylko raz, z dopiskiem „dr n. med". Nic nie ryzykowałeś. Po wybraniu numeru rozległ się sygnał i usłyszałeś dziewczęcy głos. Serce uwięzło ci w gardle.

– Dzień dobry – wydusiłeś.

Chwila ciszy.

– To ty. Nareszcie.

– To ja, Rusałko.

– Wierzysz w przeznaczenie?

Wymieniłeś nazwę hotelu i numer pokoju. Była u ciebie po kwadransie, długim jak wieczność, i przez następny kwadrans, krótki jak mgnienie oka, całowaliście się, skleszczeni w uścisku. Żarłocznie wdychałeś zapach jej włosów. Rozpiąłeś bluzkę, piersi miała drobne i

jędrne, o ciemnych, stwardniałych sutkach, mieściły ci się w dłoni. Łóżko było o krok.

– Nie – szepnęła. – Muszę biec. Spóźnię się na trening. Jutro.

Nazajutrz miała dla ciebie całe pół godziny. Po minucie oboje byliście nadzy. Huragan pieszczot. Gorączkowa zachłanność.

– Nie – usłyszałeś znowu. – Ja jeszcze nigdy. Nie teraz.

– Będę cię kochał do końca życia – zapewniłeś. – Poczekam.

Musiałeś wracać do Warszawy, ale po dziesięciu dniach znów byłeś w Krakowie. Już nie wątpiłeś w przeznaczenie. Stosunki z Anną stały się napięte, przeczuwała coś niedobrego, nie próbowałeś się tłumaczyć.

Pół godziny w hotelowym łóżku z Rusałką skończyło się na pieszczotach. Bez rozmów i bez spełnienia.

– Powiedziałam o tobie ojcu. Chce cię poznać. Jutro u nas na kolacji.

ROZDZIAŁ 19

Mój gospodarz zerka na zegarek i zaczyna się przebierać. Bez przesady: dżinsy są w porządku, ale szary podkoszulek znika pod jasną koszulą w błękitne prążki, wyprasowaną idealnie. Jesteśmy mistrzami w prasowaniu, nie znosimy najdrobniejszej fałdki. Profesjonalna pralnia tak koszul nie prasuje i trzeba tam płacić dwa dolary od sztuki. Spodnie od garnituru również pierzemy w piwnicznej pralni lokatorskiej, wrzucając kwodra, czyli dwadzieścia pięć centów, a prasujemy osobiście, pilnując, by nie było podwójnych kantów.

Do dżinsów i eleganckiej koszuli wkładamy granatową dwurzędową marynarkę ze złotymi guzikami, kupioną na przecenie w Alexanders. W tym stroju można się pokazać studentom na seminarium z teorii dokumentu. Na dziś przygotowaliśmy wykład o drabince scenariuszowej. Film dokumentalny powinien wyglądać na improwizację, a być w istocie dziełem o precyzyjnej dramaturgii, założonej wcześniej i dopracowanej w najdrobniejszych detalach.

Kręcimy jak najwięcej. Potem z morza taśmy wydobywamy perły – pojedyncze obrazy, wieloznaczne migawki – i układamy z nich mozaikę pod naszą tezę dramaturgiczną, montując fazy napięcia. Montaż jest najważniejszy. Ujęcia, wypreparowane z chaosu materiałów i zderzane ze sobą w zaskakujących konfiguracjach, kreują klimat dokumentu. Najważniejsze: wiedzieć, czego chcesz, co zamierzasz przekazać. To jest właśnie sztuka. W przeciwieństwie do rzeczywistości „jak leci", która nie posiada dramaturgii.

Wykład trwa półtorej godziny, dwa razy po czterdzieści pięć minut. Wierzymy, że po powrocie do naszej sutereny przy Sto Trzynastej Ulicy czekać na nas będzie Ilana. Czasami sprawia nam takie niespodzianki. Dlaczego by nie dziś? Tęsknimy za nią bez chwili przerwy, tym rozpaczliwiej, że znamy smutny finał, coraz bliższy i nieuchronny. Tęsknocie nie przeszkadza, że zajmujemy się czym innym, teraz akurat sporem ze studentami.

Rudzielec Brynolfsson nie rozumie, czym jest teza dramaturgiczna. Czy skręcając dokument, wolno mieć z góry założoną tezę? To jest przecież manipulacja rzeczywistością. Odpowiadamy mu, że żadna manipulacja, tylko nasza osobowość, światopogląd, porządek wartości. To do nich przymierzamy materiał zarejestrowany przez oko kamery. Teraz protestuje Diana Kennedy:

– A gdzie obiektywizm?

– W sztuce nie ma obiektywizmu – komunikujemy z głębokim przekonaniem. – Tym różniłaby się fotografia mdło uśmiechniętej mediolańskiej mieszczki od Mony Lisy Leonarda da Vinci.

– Przecież mówimy o dokumencie! – wykrzykuje Brynolfsson, na co dzień inspektor Internal Revenue Service, czyli amerykańskiej skarbówki, który zarabia na studia w Columbii, wyłapując oszustów podatkowych. – Dokumentalny film chyba powinien ukazywać obiektywną prawdę. Co ma do tego ideologia?

– Film dokumentalny nie jest mechanicznym zapisem wydarzeń, ale kompozycją autorską – tłumaczymy. – Materiałem autentycznym, przefiltrowanym przez wrażliwość twórcy. Teza nie może być nachalna, ale istnieć musi, by wywołać emocjonalną reakcję odbiorcy. Taki jest nasz cel.

– Ja nie rozumiem – wtrąca się do dyskusji ciemnoskóry Brian O'Hara. – Weźmy wojnę. Filmuję to, co widzę. Po jednej stronie i po drugiej. Przecież racje zawsze są po obu stronach. Ocenić ma widz, no nie?

Nie zgadzasz się z Brianem ani z Brynolfssonem, ani z Dianą Kennedy, bronisz sensu tezy, pod którą skręca się dokument, i zarazem coś cię w tym wszystkim niepokoi. Nie bardzo wiesz co. Może myśl o Ilanie, która błąka się na skraju podświadomości? Diana jest piękną dziewczyną, trochę podobną do Elizabeth Taylor, i gdyby nie Ilana, chyba chętnie umówiłbyś się z nią na kawę w studenckiej kantynie. Lubisz ten typ dziewczyn, kruczowłosych, o błękitnych oczach i bladej cerze.

Niepokoi cię, że mogą mieć rację. W przeciwieństwie do ciebie, twoi studenci są wolni od światopoglądu i otwarci na świat bez żadnych odgórnych założeń. Wartości, jakie wyznają, są proste, by nie powiedzieć prostackie: dobro przeciwko złu, prawda przeciw kłamstwu. A gdzie niuanse? Gdzie konieczności, kompromisy, zła mniejsze i większe? Wierzą, na przykład, bez śladu wątpliwości, że Związek Sowiecki to diabelstwo. A ty…

Miałeś sześć lat, a przecież wszystko pamiętasz. Sierpień był upalny. Ty nożyczkami ciąłeś gazetę na paski, a mama oklejała nimi szyby w oknach waszego warszawskiego mieszkania w oficynie przy Grzybowskiej 48 A. Później zawyły syreny i bębenki w uszach poraził odgłos wybuchów. Kiedy po nalocie wyszliście z mamą z piwnicy, która służyła za schron, zobaczyłeś na jezdni przewróconą furmankę i konia leżącego na grzbiecie, z rozprutym brzuchem. Z brzucha wysypały się wnętrzności. Jeszcze ruszały się i dymiły.

Kiedy z palącej się Warszawy uciekaliście kamienistą drogą na południe, w kierunku Góry Kalwarii, też było upalnie, na niebie ani chmurki. Zamiast dopalających się zgliszcz i poszarpanych ludzkich trupów mieliście wokół sielankową zieleń wierzb, bezkres kartofliska, pachnącą ciszę ze śpiewem ptaków. Drogą sunął potok uciekinierów, każdy niósł jakiś tobołek, popychał wózek, pedałował na rowerze. Ty miałeś na ramionach plecak, mama uginała się pod workiem. Obok was, też z plecakiem, szła złotowłosa dziewczynka, twoja rówieśnica,

o wielkich chabrowych oczach. Uśmiechaliście się do siebie. Kiedy nadleciał malutki zielony samolocik i zaczął się zniżać, uciekinierzy rozbiegli się po kartoflisku. Usłyszałeś terkotanie, a nawet na moment zobaczyłeś lotnika w pilotce, nim matka nakryła cię swoim ciałem i przygniotła do ziemi. Samolocik buczał i terkotał, później odgłosy zaczęły cichnąć i wstaliśmy z ziemi. Nie wszyscy. Przez kartoflisko przetoczył się falujący skowyt, jakieś zwierzęce zawodzenie.

Złotowłosa dziewczynka leżała tuż obok, na plecach, patrząc w niebo chabrowymi oczami. Pośrodku czoła miała czarną dziurę w czerwonym wianuszku. Przy niej klęczała matka. Została tam. Wy poszliście dalej.

Pamiętasz powrót do Warszawy już zajętej przez Niemców i wojskową ciężarówkę, z której dwaj żołnierze rozdawali mieszkańcom rumiane bochenki chleba.

Nocną przeprawę przez Bug, zieloną granicę dzielącą Polskę między Sowietów i Niemców. Ojciec znalazł się po sowieckiej stronie, pod Białymstokiem, dostał pracę w psychiatrycznym szpitalu i dał wam znać, że czeka. Gdy chłopska łódź, którą płynęliście, znalazła się pośrodku rzeki, z obu brzegów wpiły się w was reflektory i zagwizdały kule. Już znałeś ten gwizd. Łódź była pełna ludzi. Cud sprawił, że nikt nie został trafiony i że wiosłującemu chłopu udało się wyplątać z wiązki światła.

Pamiętasz także majową noc, gdy przyszli po was enkawudziści. Później dowiesz się, że wywieziono was na Sybir, ponieważ rodzice nie przyjęli sowieckiego obywatelstwa. Enkawudziści poganiali, dali wziąć ze sobą tylko trochę rzeczy. Dwie doby na białostockim placu pod gołym niebem, potem bydlęce wagony z pryczami i dwa tygodnie toczenia się przez pustkowia. Miasto Kotłas. Wielka rzeka. Mały statek, na którym upchnięto was pod pokładem. Kabiny na pokładzie zajęli enkawudziści. Na pokład zesłańcom nie wolno było wychodzić, ale dzieciaki się wymykały. W otwartym oknie kantyny zobaczyłeś jedzących zupę enkawudzistów. Stanąłeś oczarowany. I wtedy enkawudzista skinął, byś wszedł do środka. Dostałeś menażkę i łyżkę z drewna. W menażce była grochówka tak gęsta, że łyżka w niej stała. Z wierzchu pływały kawałki boczku. Żarłeś tę zupę jak

opętany i dopiero o pełnym brzuchu wspomniałeś rodziców pod pokładem. Tam dawano szczi – wodę z rozgotowaną kapustą. W menażce została grochówka, której nie dałeś już rady, więc gestami poprosiłeś, by pozwolono ci ją wynieść. Nie pozwolono.

Dalej pamiętasz tajgę. Mrozy i głód. Głód był straszniejszy od mrozu, ponieważ bolał. Krótkim latem jadało się grzyby, jagody, jakieś trawy, nawet mech. Od mchu wymiotowałeś, ale brzuch na krótko przestawał boleć. Zimą jedliście zmieloną brzozową korę. Ludzie od niej marli.

Trzeba było chodzić do szkoły. Dzieci tubylców, Komiaków i Rosjan, też były głodne, ale mniej niż wy. Nauczyciele tłumaczyli, że toczy się straszna wojna z Hitlerem, który chce was wszystkich pozabijać, ale Armia Czerwona pod wodzą ukochanego towarzysza Stalina pokona faszystów. Czerwonoarmiści muszą jednak jadać do syta, by mieć siłę do walki ze śmiertelnym wrogiem, i dlatego nam tutaj brakuje jedzenia. Towarzysz Stalin – zapewniali – też nie dojada. Kocha was. Nie śpi po nocach, by dopilnować zwycięstw. Nie pozwoli, by stała się wam krzywda. Obiecuje, że zwyciężymy Hitlera, a Stalin zawsze dotrzymuje obietnic.

O Stalinie, uosobieniu szlachetności i o jego miłości do was, mówiono codziennie. Na portretach miał ciepły ojcowski uśmiech i dobre, żartobliwie zmrużone oczy. Całe swoje życie, naznaczone więzieniami i katorgą, poświęcił walce o szczęśliwą ludzkość bez wyzysku i krzywd. Uczono was melodyjnych pieśni modlitewnych na jego cześć i wierszy pisanych przez wielkich poetów. Już wiedziałeś, że Boga nie ma, że to wymysł, aby tumanić lud, a jest towarzysz Józef Stalin, którego należy ubóstwiać. Szczepionka się przyjęła.

Szczepionki wytwarzają przeciwciała i dają odporność. Sporo lat później, gdy wyszły na jaw domniemane zbrodnie Stalina, twoje przeciwciała stanęły murem po jego stronie. Wciąż stoją, choć mur się kruszy. Domniemanie walczy z pewnością i fakty biorą górę, ale wiedzieć – jedno, uwierzyć – drugie. Wiara, tak jak niewiara, jest irracjonalna i nie poddaje się faktom, a jeśli im ulega, to nie do końca. Coś pozostaje nienaruszone, by świat się nie zawalił. Inaczej jaki sens miałby szmat twojego życia? Tym, którzy nie zaliczyli Syberii i nie pojmują jak ty – właśnie ty! – możesz nie żywić

nienawiści do Rosjan, skoro oni ją żywią, a przecież tyle od nich nie wycierpieli, odpowiadasz: „Właśnie dlatego. Ponieważ ich znam. Na pewno nie są gorsi od nas. Może lepsi, bardziej wielkoduszni". Jeszcze nie dostrzegasz niebezpieczeństwa w uogólnieniach, które prowadzą nieuchronnie ku odpowiedzialności zbiorowej: dzieleniu narodów na lepsze i gorsze.

I jeszcze wierzysz, że twój socjalizm jest lepszy od ich kapitalizmu.

ROZDZIAŁ 20

Poszedłeś na kolację do domu Egmondów, nie przeczuwając, co cię czeka. Byłeś zarozumiały. Nie przychodziło ci do głowy, że możesz zrobić złe wrażenie na pułkowniku Ludowego Wojska Polskiego, lekarzu, inteligencie. Jeden z najmłodszych w kraju dziennikarzy, reporter z nazwiskiem, początkujący filmowiec, laureat kilku nagród artystycznych – czego tu się wstydzić? Tym bardziej nie wstydziłeś się swoich przekonań. Były lewicowe do głębi, szczere i nieskażone wątpliwościami. Wątpliwości to cecha ludzi słabych. Ty czułeś się rewolucjonistą, na pamięć znałeś wiersze Woroszylskiego, Broniewskiego, Mandaliana. Pułkownik mocno uścisnął ci rękę i poprosił do swojego gabinetu: Weronika kończy odrabiać lekcje, zostały dwadzieścia trzy minuty, okazja, by porozmawiać w cztery oczy. Rad jest, że córka ma wartościowego kolegę, nie jakiegoś nicponia.

Gabinet pułkownika zapełniały ciężkie, bogato rzeźbione gdańskie meble z biblioteką pełną ksiąg w skórzanych oprawach i z masywnym biurkiem, nad którym wisiał malowany olejem portret Lenina. Usiedliście w klubowych fotelach, za kieliszek koniaku podziękowałeś, co pułkownikowi Egmondowi musiało się spodobać, bo wyznał, że i on nie lubi alkoholu.

Spytał, czy to ty jesteś autorem *Manifestu Młodych*, poetyckiego apelu, za który zebrałeś sporo pochwał, a kiedy potwierdziłeś, uśmiechnął się niezrozumiale. Padło kilka dalszych pytań i twoich odpowiedzi, które ułożyły się w harmonijny zarys światopoglądu.

Można by rzec, że miał do czynienia z zapaleńcem. Skwitował to podobnie niejednoznacznym uśmiechem i zapytał o twoje plany na przyszłość.

– Pytam o plany poważne. Bo Weronika pójdzie na medycynę. Lekarz to solidna profesja i ceniona wszędzie.

Odparłeś, że ciebie pociągają kierunki artystyczne. Dziennikarstwo, kino. Myślisz o studiach w szkole filmowej. Minęły dwadzieścia trzy minuty i pojawiła się Rusałka. Nim przywitała się z tobą, szybko spojrzała na ojca – pytająco i jakby błagalnie. Pułkownik Egmond nie zauważył tego.

Przeszliście do jadalni. Czekała tam już pani Egmond, matka Weroniki, kobieta cicha i skromna, o bezosobowym uśmiechu. Przez całą kolację nie odezwała się ani słowem. Do stołu podawała służąca w białym fartuszku. Pod stołem kolano Weroniki stykało się z twoim kolanem. Jej dłoń, niby przypadkiem, parę razy musnęła twoje krocze. Nad stołem wisiał stylizowany srebrny krzyż z przybitym do niego Chrystusem.

Nazajutrz zdyszana Rusałka wpadła do twojego pokoju hotelowego i zatrzymała się w progu.

– Ile mamy czasu? – spytałeś, obejmując ją w talii.

– Nie wolno mi więcej spotykać się z tobą.

– Co takiego? – Nie zrozumiałeś.

– Ojciec zabronił. Czeka na dole. Muszę już biec.

– Dlaczego?

– Bo jesteś komunistą.

„A kim jest twój ojciec?!" – chciałeś wrzasnąć, ale zapanowałeś nad sobą. Już wiedziałeś, kim jest.

Czy wolno było nazwać cię komunistą? Dziś mógłbym powiedzieć o tobie, że z pewnością nie byłeś antykomunistą. Chruszczow pomieszał ci w głowie, tak jak to zrobił z artystami najwyższego lotu, autorami przepełnionych miłosnym żarem dzieł poetyckich, muzycznych, malarskich na cześć żywego boga. Żywy bóg okazał się dalekowzrocznym i zimnym despotą, budującym po trupach swoje gangsterskie imperium, ale kto to mógł wiedzieć? Ubóstwiano mit, który w dobrej wierze pomagano kreować, a kreując bóstwo, wielbiono dzieło współtworzone. Czy ubóstwianie mitu można mieć

komuś za złe? Pomieszanie w głowach od wybuchu prawdy potwornej i żałosnej zarazem zaprowadziło jednych na przeciwny kraniec, aż po nienawiść i walkę, innych przywołało do porządku świata, takiego jaki jest; niektórych doprowadziło do samobójstw.

Twój młodzieńczy romantyzm, pomimo bolesnego rozczarowania, skłaniał cię ku lewicy, ale nie było już w tobie fanatycznego ekstremizmu, więc może socjalizm, może socjaldemokracja? To zależało od towarzystwa, w którym się obracałeś. Twoi mentorzy – pisarze, reżyserzy filmowi – nie byli przeciwnikami systemu, choć mieli do niego zastrzeżenia: praktyka rozmijała się z teorią, rzeczywistość z hasłami, konstytucyjne gwarancje z siermiężną codziennością. Ty także je miałeś. Czy trafiały ci do przekonania argumenty, że jest, jak być musi, ponieważ narzuca nam to imperium, któremu nas ofiarowano? Po części. Nie byłeś cynikiem, ale naiwny nie byłeś także. Opowiadałeś się za, ale nie do krwi, ponieważ nikogo nie uszczęśliwi się pod przymusem. Pewien wybitny poeta, twój ówczesny guru, nim jeszcze padłeś w objęcia Mistrza, powiedział ci w zaufaniu, po dużej wódce, że faszystowska jest każda ideologia, albowiem z założenia to człowiek ma jej służyć, nie ona jemu.

Minie dużo czasu, nim to do głębi zrozumiesz.

– Kocham cię – powiedziałeś do Rusałki. – Skończyłaś osiemnaście lat i możesz decydować o sobie. Daję ci tydzień czasu. Zerwiesz z rodzicami, przyjedziesz do Warszawy i weźmiemy ślub. Będę cię kochał do końca życia.

– Ja ciebie też. Przyjadę.

Czekałeś, nic nie mówiąc Annie, dręcząc ją swoim nieobecnym spojrzeniem, sam udręczony, zawieszony między niebem i piekłem. Co dzień o umówionej godzinie wychodziłeś na dworzec.

Siódmego dnia odebrałeś telegram: NIE POTRAFIĘ ZERWAĆ Z RODZICAMI STOP NIGDY NIE PRZESTANĘ CIĘ KOCHAĆ STOP ŻEGNAJ STOP WERONIKA.

Tydzień później wziąłeś ślub z Anną.

ROZDZIAŁ 21

Żałosna ta suterena przy Sto Trzynastej Ulicy, słońce nigdy do niej nie zajrzało, beton podwórza z odorem pleśni i wielopiętrowa studnia murów wewnętrznych sięgająca nieba są zaporą nie do przebycia nawet dla pojedynczych promieni. Okno opiera się o podwórkowy beton i jest od zewnątrz pokryte emulsją pyłu. Żeby je umyć, trzeba wyjść na podwórze, a prowadzące tam metalowe drzwi zawsze są zamknięte. Klucz i monopol na kosztowne mycie okien ma dozorca. Szkoda pięciu dolarów, w suterenie i tak przez całą dobę musi świecić żarówka. Światło elektryczne milsze jest jednak wieczorem, gdy zaciągnięto buraczkową kotarę i zamiast plafonu pali się przy tapczanie stojąca lampa o kształcie greckiej kolumny.

Stos prac pisemnych do przejrzenia. Temat: *Oko kamery. Gdzie szukać prawdy o człowieku*. Ciekawa praca Diany Kennedy, krótka, na dwie stroniczki. Jej obiektyw spenetrowałby śmietnik bohatera. Opakowania po żywności i resztki jedzenia powiedzą nam, czy jest mięsożerny, rozrzutny czy skąpy, asceta czy sybaryta. Sprawdzamy gatunek papierosów i liczymy niedopałki. Szperamy w papierach – jakieś notatki, jakieś listy, gazety, które czyta. Tubka po paście do zębów – czy wyciśnięta do końca. Z pudełek i flakoników po lekach wywnioskujemy o jego stanie zdrowia. Stara koszula – kolorowa czy jednobarwna, bawełna czy poliester, jak bardzo zniszczona. Stara bielizna – jeszcze ciekawsze. Włosy na złamanym grzebieniu – naturalne czy farbowane, ich czystość, zapach. Jakieś drobiazgi, fragmenty bibelotów. Przedmioty dziwne, zagadkowe. Przedarta fotografia. Zasuszony kwiat. Lalka z urwaną głową. Pojedynczy pantofel. Maska Pierrota. Karnet do opery. Bilet lotniczy z Syktywkaru na Madagaskar. Pęknięta proteza zębowa. Zajęczy ogon.

– Interesujące – stwierdzam.

– Turpizm. – Mój gospodarz się krzywi. – Penetracja odchodów, papranie się w brzydocie. Żadna prawda o człowieku. Czyści są czyści nie dlatego, że są czyści, ale że zmyli z siebie brud.

– Poznasz człowieka po brudzie jego. – Uśmiecham się. – Z samej czystości niczego się nie dowiesz.

– Epatowanie ohydą to tandeta.

– A nie jesteś tandetny? – pytam. – Przyjrzyj się sobie. Banalne rysy, szablonowe zachowania, wygodnickie myśli. Nie ma w tobie karkołomności, nadzuchwalstwa, arcyczegokolwiek. Najwyżej w marzeniach i z obawą, że ktoś je podejrzy.

– Już mnie nie pamiętasz – protestuje gniewnie. – Nie raz stawałem na głowie!

– Ale tak, żeby nie skręcić karku.

– Gdybym ja skręcił kark, ciebie by tutaj nie było. – Gospodarz szczerzy zęby.

– Może szkoda, że jestem?

Nie ma dowodu, że lepiej być niż nie być. Ale tak się przyjęło. Znajduję pęk uzasadnień dla naszej bylejakości, dla z trudem wywalczonego optimum konformizmu, dla bolesnych ustępstw w imię dobra najbliższych. Szczęściarze, którzy nie musieli wybierać, bo przyszli na świat w luksusowym czepku, tam gdzie jesteś, kim chcesz. W twojej – w naszej – rzeczywistości, gdzie sztukę wyniesiono na piedestał, imaginując, że formuje ludzi, więc zaprzęgając twórców do wspólnego rydwanu, w tej teatralnej rzeczywistości, podszytej lękami animatorów, nie może być miejsca na fikanie koziołków. Wielkość jednostki mierzy się skalą służebności na rzecz idei. Nie mylić służebności ze służalczością, a skali ze skałą, bo człowiek, choć nie z kamienia, swoją dumę mieć musi i przeświadczenie o dobrowolności. Dobro wolności jest naszym wspólnym dobrem i niech nam nie wmawiają, że taka dobrowspólnota wyklucza wolność artysty.

No to jak z tym szczęściarzem, który jest, kim zechce? Biedak, godny pożałowania. Nie wie, co traci, dogadzając tylko własnym zachciankom. Kim byłby dla ludzkości Albert Einstein, gdyby swoje odkrycia dla kaprysu z powrotem pozakrywał, pokazując nam język, jak na znanej fotografii? Nie zrobił tego, więc może wystawić do nas jęzor i nikt się nie obraża. Napędem dziejów są kaprysy, dziwactwa, fanaberie. Normalny człowiek nie dokonuje cudów. Aby powstał Szekspir, należało skrzyżować arystokratę z aktorzyną jarmarcznym i tak zamazać szwy, by do dziś nic nie było wiadomo.

– Twój czas im nie sprzyja. Tylko nieliczni nic sobie z tego nie robią i klepiąc biedę, piszą swoją Odyseję, malują Giocondy. Nie mają dobrze w modelu równości i braterstwa, bo ani myślą służyć interesom ogółu. Wylegują się w betach jak Białoszewski czy Proust albo stają się banitami jak reżyser Jerzy Grotowski, mistrz genialnych aktorów.

– Nikt nie jest prorokiem we własnym domu – zauważa filozoficznie mój gospodarz.

– Co by szkodziło wymieniać proroków między domami? Ja wieszczę w twoim, ty w moim.

– Wymiana kosztuje. Nam brakuje dewiz. Ja przyjechałem do Nowego Jorku z pięćdziesięcioma dolarami w kieszeni.

– Wkrótce twój kontrakt wygaśnie – przypominam. – Wrócisz do domu.

Pochyla głowę, włosy ma jeszcze gęste, aż trudno uwierzyć. Przygryza dolną wargę, spojrzenie ma nieobecne. Myśli o Ilanie, ale nie tylko. Tutaj jest odkrywcą, eksploruje obcy świat każdym włóknem nerwowym, ale za nic nie odpowiada, przed nikim nie musi się tłumaczyć, prawdziwe panisko. Człowiek zaczyna przywykać. Tam czekają na niego. Nie tylko Anna.

Anna.

Przecież ją kocha.

A zdrada?

Żadna zdrada. Ilana i Anna to dwa różne wszechświaty. Czasoprzestrzeń Anny to dwanaście lat wspólnego życia, dzielenia po równo trudów wspinaczki, radości nocnych i problemów na co dzień, kwitów do zapłacenia, żonglowania pensjami, żeby starczyło do pierwszego. To rozpaczliwa i zajadła walka o mieszkanie, gdy w pięć lat po Agnieszce miała urodzić się Kaja. To wzajemne podtrzymywanie się na duchu. Czułość i ciepło, a od czasu do czasu poświęcenie. To wreszcie córki, najbliższe wam istoty w całym waszym wszechświecie. Obie zakochane w ojcu. Z żarliwą wzajemnością. Urodą w matkę, zdolnościami w ciebie – ich wierszyki i rysunki były już drukowane w dziecięcych pismach.

Przestrzeń Ilany to ocean. Burzliwy, nieprzewidywalny. Wiry i prądy, łagodne bryzy i druzgocące tsunami. Trzęsień ziemi nie daje

się przewidzieć. Pod lustrzaną gładzią przetaczają się martwe fale. Ale dla żeglarza z nutką szaleństwa jest to spełnienie najniemożliwszych pragnień i marzeń, żywioł nad żywiołami.

Te dwie przestrzenie, dwa samoistne światy, nigdzie się ze sobą nie przecinają.

Codzienność skleja.

Ocean albo pochłania, albo wyrzuca na brzeg. Ty kombinujesz, aby samemu dobić bezpiecznie do brzegu. W twoim szaleństwie są nici wyrachowania, więc nie aż tak szalony jesteś, nie aż tak udręczony, jak ci się zdaje. A jednak. Sprawdzasz prace swoich studentów, z nawyku oceniasz wyżej projekty realistyczne – i nie przestajesz myśleć o Ilanie.

Chciałbyś wiedzieć, co teraz robi? I z kim?

No to lecimy.

ROZDZIAŁ 22

Szybujemy nad nocnym Broadwayem. Lot koszący. Mocne światła latarni ulicznych, trójbarwne światła na skrzyżowaniach, procesje limuzyn w obu kierunkach, równie gęste jak w biały dzień, ponieważ tutaj ruch uliczny nigdy nie ustaje. Nocni klienci wybierają owoce na nocnych straganach, w lodziarniach na otwartym księżycowym powietrzu młode pary zajadają się pucharami banana split, przed wejściem do barów mijają się ludzie i ci, co wychodzą, są wyraźnie weselsi od wchodzących do środka. Ciemnoskóry żebrak gra na grobofonie, nadstawiając na datki dziecięcą trumienkę. W bramach kręcą tyłkami nocne narzeczone z nadjaskrawym aż po purpurę makijażem, wypatrując kochanka. Policyjne patrole leniwie snują się wzdłuż krawężników. Pachnie spalinami, potem i kadzidłem.

– Gdzie mnie zabierasz? – pyta Ptasidziób. – Daleko jeszcze?

Ptasidziób, nasze szkolne przezwisko. Że też przypomniało mi się. Lepiej do niego pasuje niż Koziołek. Bo my z ptaków. Wszyscy w szkole wiedzą, choć o tym się nie mówi, wstydliwy temat. Wedle kodeksu sprawiedliwości i braterstwa wszyscy są równi, wytykanie

na głos ptasiego pochodzenia może ściągnąć kłopoty na czystych rasowo, jeśli założyć, że rasowa czystość w ogóle istnieje jako taka. Ledzie dogadzał łabędź, do wiejskich dziewuch dobierały się sępy, a jastrzębie do żon krzyżowców, gdy ci szli na swoje wojny krzyżowe. Kto z nas wie, kim jest? Tylko Kuba chodził się bić w tej mętnej sprawie.

Ptasidziób brał się z wyglądu. Nos długi, wąski i pochylony w dół jak dziób krogulca to nasz dziedziczny wyróżnik. Krążyły plotki, że na plecach w okolicy łopatek mamy dwie rogowe narośle wielkości śliwki, porośnięte rudawym puchem. Podobno w zamierzchłych czasach prześladowań podejrzanych o ptasiość rozbierano do pasa. Ptasiofile – bo są i tacy – kojarzą nas z aniołami. Ptasiofobi – tych dużo więcej – dowodzą, że skrzydlaty to szatan, nie mówiąc o nietoperzach i wampirach. Brednie. Jedno i drugie. Ostatecznie wszyscy jesteśmy wybrykiem natury.

Przelatujemy nad Riverside Drive, potem nad rzeką Hudson i kierujemy się w stronę oświetlonego rzęsiście Washington Bridge. W oddali, na drugim brzegu rzeki, widać łunę świateł stanu New Jersey. Tam też nie śpią.

– A może ja nie chcę tego oglądać? – rzuca gniewnie Ptasidziób i przechyla się na bok z rozpostartymi szeroko ramionami, jakby miał zamiar zawrócić. – Dlaczego mi to robisz?

Ale nie zawraca, a ja wspominam naszą ostatnią noc.

Ilana drżała, tuląc się do ciebie, a w jej olbrzymich przebłękitnych oczach czaił się lęk przesłonięty iskierkami śmiechu.

– Aż tak tęskniłeś? No co ty? A ja się trochę puszczałam na rogu Sto Osiemnastej i Amsterdam Avenue, trzeba podreperować budżet, facet przyjechał z Kolorado, ma tam pola naftowe, multimiliarder.

– W Kolorado nie ma pól naftowych! – rozdarłeś się jak idiota.

– Są. Tajne. Nikomu o tym nie mów.

Test? Być może. Brat Ilany jeszcze nie wyszedł na wolność.

Zaczęła cię całować, z przejęciem i systematycznie, zaczynając od czoła i uszu i schodząc coraz niżej, jak zwierzę znaczące swoje terytorium. Leżeliście nadzy obok siebie. Chyba zmyśliła nafciarza z Kolorado, ale gdzie podziewała się całą wczorajszą noc? Dlaczego nic

o niej nie wiesz, choć opowiada ci chętnie o sobie, tyle że nic nie trzyma się kupy? Ojciec Ilany, baron kurlandzki, to przegrywał w kasynie kolejne posiadłości, to na zesłaniu w sowieckiej republice Komi toporem wycinał tajgę, to służył jako doradca króla Arabii Saudyjskiej, to ubierał w Paryżu najsławniejsze panie. Ona, Ilana, w każdej z tych wersji była nieślubną córką, uznawaną jednak i bardzo kochaną przez tatę, który tak naprawdę przebywa w Huston, gdzie jest szkolony do lotów kosmicznych. Uwierzyłbyś, gdyby ci wyznała, że jej ojciec jako pierwszy człowiek poleci na Wenus?

Uwierzysz we wszystko, w co ona zechce. Usta Ilany muskają ci klatkę piersiową, koniuszek języka igra z sutkami, które robią się twarde i nadwrażliwe. Wdychasz zachłannie rumiankowy zapach jej włosów. Oddałbyś świat za panowanie nad czasem. Żeby to trwało w nieskończoność. Masz gorzki żal do żartownisia Stwórcy, że kazał ci spotkać Ilanę, gdy już jesteś mężem Anny, ojcem Agnieszki i Kajki, a na dodatek ukarał cię poczuciem odpowiedzialności. Nie umiesz być nielojalny.

A przecież jesteś.

Na samą myśl, że będziesz musiał – ty, nie ona – rozstać się, odechciewa ci się żyć. Co ona czuje? Wesoła jest, pełna fantazji, śmieje się z byle czego, a przecież ten lęk, ten niepokój w jej oczach nie znika ani na chwilę. Niczego nie chce, o nic nie prosi. Przyszła znikąd, coś gdzieś studiuje, tylko co i gdzie, ani skryptów, ani notatek, jada jedynie owocowe jogurty, a kiedy stajesz się natrętny, osaczając ją pytaniami, oczy Ilany zachodzą mgiełką i słyszysz jej szept:

– Jezu, jak ja cię kocham…

W porządku, ty też ją kochasz, nie spodziewałeś się po sobie takiego kochania, oczarowała cię, zaczarowała, wyczarowała nierzeczywistość w czasie dla niej nieskończenie teraźniejszym, ale nie dla ciebie, ponieważ ty jesteś przeszło-przyszły, a Ilana to czysta teraźniejszość. Ty się martwisz, Ilana nie. Co w takim razie znaczy lęk w jej oczach? Nic nie musi znaczyć. Ty go widzisz. Ona nie czuje. Jedna ze sztuczek podświadomości.

Całując Ilanę, wyobrażasz sobie, że jesteś wolny. Żadnych zobowiązań, obietnic, przysiąg, cała twoja przeszłość ci się przyśniła,

ale obudziłeś się i naprawdę jesteście tylko ona i ty, od zawsze i na zawsze. Uwierzyłbyś, że jesteś sentymentalny? Ty, dokumentalista, ceniący nade wszystko fakt, wmawiasz sobie kłamstwo i jesteś gotów uznać je za prawdę. No, prawie gotów.

– Jak ja będę żył bez ciebie? – pytasz bezdźwięcznie.

Mógłbym ci powiedzieć, ale po diabła? Wcale nie chcesz teraz wiedzieć. Jesteś po gówniarsku szczęśliwy, tuląc do siebie Ilanę i zaczynając z nią się kochać, a raczej pozwalając jej kochać się z tobą, ponieważ to ona lubi być stroną aktywną, wyczyniać na tobie czarodziejskie sztuczki, doprowadzać do cudownego szaleństwa, zarażać nienasyceniem. Będziecie tej nocy powtarzać miłość prawie do rana. Potem przytulisz ją do siebie ze wszystkich sił, rozpaczliwie i beznadziejnie, a ona wtuli się w ciebie całą sobą, jakby szukała schronienia. Już tęsknicie za sobą, już na siebie czekacie.

Potem zaśniesz. Gdy się obudzisz, Ilany nie będzie w łóżku. Jak zwykle nie zostawi kartki – dokąd, po co, na jak długo, kiedy się zobaczycie. Może zadzwoni, może nie. Później opowie ci jakąś bajeczkę, tak abyś w nią nie uwierzył.

Chce mi się śmiać z ciebie. Stary koń, po trzydziestce, a zadurzył się jak szczeniak. Ona ma tylko ciebie. Tylko przy tobie czuje się bezpieczna. Jesteś jej wszystkim. Tere-fere.

Dlaczego ci nie powiedziała, że ma młodszego brata?

I jeszcze czegoś?

Kochasz. Nie umiesz o tym mówić. Poeci, którzy najpiękniej opowiadają miłość, zapewne nigdy nie kochali. A Ilana, twoja jeziorooka piękność o jasnych jak len, wijących się włosach, o figurze ciemnoskórej modelki, za którą, kiedy przecina kampus, ogląda się każdy student, twoja niespotykana, cudowna, czy kocha cię równie mocno? Chcesz myśleć, że tak. Może masz rację.

Biedny Ptasidziób.

ROZDZIAŁ 23

Jeszcze daleko do świtu. Manhattan został za nami, pod nami Washington Bridge, dalej wielopiętrowe, zawiłe węzły wiaduktów New Jersey. Z dołu, od rzeki, ciągnie ciepły wiaterek. Właśnie mijają się dwa rozświetlone statki pasażerskie, słyszymy muzykę, widzimy, jak pozdrawiają się pasażerowie z obu pokładów, uczestnicy wycieczki *Manhattan nocą*, rozbrykani, krzykliwi, opici whisky i winem. Łakomi na wrażenia. Manhattan dniem im nie wystarcza. Zresztą, po nocach partnerki są dla panów życzliwsze.

Skręcamy na wschód. Torami krzyżujących się świateł ciągną kolejki jednakowych domków z białych paneli, każdy z ogródkiem, z podjazdem, z parką kolorowych aut. Czasami trafia się dom duży, pałacyk w stylu kolonialnym, zadrzewiona posiadłość otoczona wysokim murem. Murzyńskich ruder prawie nie widać, są źle oświetlone, jakby zasnute mgłą.

– I po co to wszystko? – pytasz, podlatując do mnie tak blisko, że omal nie zderzamy się czołami. – Ja i tak nie uwierzę.

Boisz się, wiem. Przecież niczego miłego nie możesz się po mnie spodziewać. A czego byś oczekiwał od zgryźliwego starucha?

– W nic nie będziesz musiał uwierzyć – zapewniam, wysuwając się do przodu i nieco zniżając lot.

Na księżycowej polanie widać dwa nasze cienie płynące w stronę pagórków Bear Mountain. Już niedaleko.

Zameczek z wieżyczkami, wykusze, krużganki. Dość tandetna podróba, ale z wdziękiem, odrobinę bajkowa, w gęstym wieńcu bardzo starych drzew. Iran dawniej był Persją, to tam tkano latające dywany. Bliski krewny szacha nazywa się Nadir Pahlawi, ukończył MIT i kilka lat przepracował w centrum NASA, a potem, już we własnej firmie, wynalazł przyrząd, który pozwala zmierzyć temperaturę mrówki z wysokości stu kilometrów. NASA kupiła jego patent za fortunę, której nie potrzebował, bo i tak był bogaty, jak wszyscy bliscy krewni szachinszacha, ale fortuna do fortuny lgnie, jak bieda do biedy. Zameczek kazał sobie zbudować trochę dla fantazji i trochę z sentymentu – był miniaturą jednego z zamczysk władcy Iranu.

Wiedziałeś, że Nadir, czterdziestoletni przystojniak i bogacz, kocha się w Ilanie. Sama ci o tym powiedziała. Musiała to być prawda? Że

akurat miliarder i jeszcze do tego z książęcym tytułem? Widziałeś zdjęcie księcia: kruczowłosy, wąsaty, smukły, o pociągłej rasowej twarzy i ognistym spojrzeniu, nonszalancko oparty o maskę bugatti. Dedykacja na odwrocie: „Ilana, my love, marry me!”. Żart? A jeśli nie? Zapytałeś z udawaną obojętnością, czy powinieneś się usunąć, dla jej dobra, boś biedak, artysta i, co gorsza, żonaty, i usłyszałeś: „Co ty, głupi? Przecież ciebie kocham”.

To po co pokazała ci fotografię księcia i dała przeczytać dedykację?

Nurkujemy. A ściślej, to ja nurkuję, on jakby nie zamierza się zniżyć, szybuje niepewnie kilka metrów nade mną, muszę go ponaglić niecierpliwym gestem.

– Nie marudź. Przecież lubisz niespodzianki.

Ustępuje. Lądujemy na jaworowym konarze, obok siebie, tuż za wysokim kamiennym ogrodzeniem. Między liśćmi widać zwariowaną budowlę, w oknach ciemno, tylko podjazd jest oświetlony, blask lamp iskrzy na purpurowej karoserii bugatti.

W jednym z frontowych okien ogniste rozjarzenie. Salonik kominkowy. Przed płonącym kominkiem puchaty, oczywiście perski, dywan. Smoliste polana to się tlą, to z nagła wybuchają ogniem.

Chwytam Ptasidzioba za ramię, on chce je uwolnić, ale ja trzymam mocno i w ten sposób obaj spływamy z jaworowej gałęzi na niższe drzewo, gruby konar dębowy, dokładnie naprzeciw salonu z kominkiem.

Ilana i Nadir półleżą na kolorowych poduchach rozsypanych po perskim dywanie przed kominkiem. Nadir trzyma rękę na biodrze Ilany. Obok nich na złotej lub tylko pozłacanej wielkiej tacy stoi otwarta butelka Dom Pérignon rocznik 1947, dwa kryształowe kieliszki z szampanem i srebrna patera z truskawkami.

Ptasidziób odwraca głowę i kurczowo zaciska powieki.

– Przed samym sobą nie warto udawać – zauważam. – Patrz, jeżeli chcesz wiedzieć. Cierpienie, jeżeli chcesz wiedzieć, uszlachetnia.

– Fuck you – rzuca Ptasidziób.

„Fuck you” zrobi kiedyś światową karierę i utraci swoją dosadność, ale teraz, w ustach Ptasidzioba, brzmi jak najgorsze przekleństwo.

Trochę współczuję biedakowi, choć zasłużył sobie na ten obrazek: dłoń Nadira przesuwa się z biodra na pierś Ilany, przenika pod dekolt sukni, a Ilana nie reaguje, zapatrzona w ogień. Dłoń nabiera odwagi. Ugniata piersi, jakby sprawdzała ich sprężystość, potem opuszcza dekolt, by przenieść się niżej, ponad kolana dziewczyny. Kolana są złączone, nie wpuszczają w ciepły tunel między udami, ale dłoń jest uparta.

Oboje leżą na boku, twarzami do kominka, Nadir za plecami Ilany. Muska wargami jej kark, głęboko wdycha powietrze nasycone miodowym zapachem włosów. Ilana używa szamponu „Miodowa Jedwabistość" znanej francuskiej firmy, który nie wywołuje uczuleń i jest idealnie dopasowany do naturalnego zapachu jej skóry.

– Koniec z nią – syczy Ptasidziób. – Wynocha.

Próbuje odbić się od dębowej gałęzi i poderwać do lotu, lecz nie pozwalam na to. Mocno go trzymam za łokieć.

Spektakl trwa.

Dłoni perskiego księcia udaje się w końcu wcisnąć między uda Ilany. Pełznie w górę milimetr po milimetrze. Z drew w kominku strzelają iskry, bucha jęzor płomienia.

Ilana zmienia pozycję, odwraca się na drugi bok, twarzą do Nadira. Jego dłoń traci kontakt z ciałem dziewczyny.

– Proszę. Sorry, darling.

– Why?

– Nie mogę, jestem katoliczką, Bóg by mnie za to ukarał. Dopiero po ślubie, darling.

– Więc wyjdź za mnie.

Ilana śmieje się, jakby usłyszała zabawną anegdotkę, poklepuje młodzieńca po policzku, daje lekkiego prztyczka w nos i wyciąga rękę po kieliszek z szampanem. Piją oboje, patrząc sobie w oczy, potem Ilana powoli wkłada między rozchylone wargi dużą czerwoną truskawkę.

– Wyjdziesz za mnie? Będziesz królową. Dam ci wszystko, o czym zamarzysz.

– Nie doceniasz mnie – podbródek Ilany drży od powstrzymywanego śmiechu – ja mam dziką fantazję. Musiałbyś być Panem Bogiem.

– Sprawdź mnie.

– Może kiedyś…

Nadir przyciąga do siebie Ilanę i całuje w usta. Jest to długi, wyrafinowany pocałunek z głęboką penetracją języka. Tego Ilana księciu nie broni, a nawet zaczyna być aktywna, kąsa go leciuteńko, zanurza palce w gęstych skręconych włosach.

Ptasidziób szarpnięciem wyrywa łokieć z mojego uścisku. Kopnięciem odbija się od konara dębu i jak pocisk startuje prosto w księżyc. Doganiam go z trudem, mam zadyszkę, lata robią swoje. Zwalniamy, lecimy obok siebie. W oddali widać już świetlisty zarys Washington Bridge, który łączy New Jersey z Manhattanem.

– Zostaw mnie samego – prosi cicho Ptasidziób.

– Wiem, co ci chodzi po głowie. Bez sensu.

– Nic nie rozumiesz, jesteś już za stary. Ilana rozszarpała mi serce, został sam mięsień pompujący krew. Nie chcę wracać do Anny, do kraju, do tamtego życia. Nie będę więcej kręcił filmów. Tamten świat dla mnie umarł, a ten mnie nudzi, jest obcy, mam dosyć belfrowania. Chwilę temu umarła dla mnie Ilana.

– To ty nie rozumiesz.

– Żyć, żeby cierpieć, kompletny idiotyzm – ciągnie, jakby nie usłyszał. – Po jaką cholerę mam się męczyć? Kuba powiedział, że to jest sen bez snów, więc sam spokój, wieczne odpoczywanie, tego akurat mi trzeba. Cześć. Spadam.

I faktycznie spada, nurkuje w kierunku rzeki, głową w dół, z ramionami wzdłuż ciała. Czuję niezdrową, gorączkową ciekawość: co się stanie za kilkanaście sekund? Czy anioł stróż zdąży go zatrzymać w powietrzu chwytem za kołnierz? Pytanie, jak szybko fruwają aniołowie. Gdyby zawsze zjawiali się w porę, nie byłoby samobójstw i w ogóle morderstw, zbrodni, ludobójstwa.

Czegoś Ptasidziób nie dopowiedział, wyznając, że tamten świat dla niego umarł. Dobrze pamiętam jego schizofreniczne rozdwojenie jaźni, bezradne zagubienie między świadomościami, których nie dawało się pogodzić. Słuszne idee, które wciąż w sobie nosił, miażdżąco krytyczne wobec tutejszej rzeczywistości. I owa tutejsza rzeczywistość, odpustowo wielobarwna, w ciągłym ruchu – wyścig szczurów? dlaczego nie ambitne współzawodnictwo z nagrodami za

pracowitość, upór i talent? – i ludzie prostacko szczęśliwi, dumni z tego, co mają, zachwalający swój American dream, jakby nic piękniejszego nie wymyślono na świecie. A jeśli nie wymyślono? Jeśli na drugim biegunie jest rzeczywistość inscenizowana, gdzie na scenie śpiewa się chórem zwycięskie pieśni, skrywając karalne rozgoryczenie, źle widziany zawód? Rzeczywistość natury przeciwko rzeczywistości projektowanej. Pycha ze zmiany kierunku biegu rzek i osłupienie na widok wyjałowionych ziem, które brak wody przepoczwarzył w pustynie. Natura okazuje się mądrzejsza od istoty ludzkiej, jednego ze swych wytworów zresztą. Jajko musi być głupsze od kury.

Ale to się nie zgadza z nauką, którą Ptasidziób zdał na piątkę u sławnego profesora na Uniwersytecie Warszawskim. Sławny profesor stanie się jeszcze sławniejszy, gdy ową naukę odrzuci i zabłyśnie wśród filozofów bajkowymi przypowiastkami z puentą, już jako emigrant, wykładowca w Okfordzie i w Yale. Na razie nieszczęsny Ptasidziób wije się w niezgodzie na stan własnego umysłu i w dodatku ze świeżo rozszarpanym sercem. Depresja. Desperacja. Dno.

Spada w stronę Washington Bridge, pod którym przewala się tłusta czerń Hudson River. Ale nie leci w dół jak kamień. Nasza ptasiość to kości puste w środku i przyciąganie ziemskie jest dla nas łaskawsze. Ptasidziób wiruje w powietrzu jak piórko, obracając się wokół własnej osi, i jest to opadanie bez przyspieszenia, prawie łagodne. Mimo to rozbije się o powierzchnię wody, jeśli z nią się zderzy.

Oczywiście nie mam na to wpływu.

Ale jestem spokojny.

Do przęseł mostu zostało kilka metrów. Wówczas lekki podmuch wiatru uderza z boku, zakłóca pionowe spadanie i Ptasidziób zaczepia ubraniem o jakiś stalowy występ, zawisa bezwładnie, potem zaczyna wierzgać i kląć. Bez pośpiechu podlatuję do niego i zastygamy w powietrzu twarzą w twarz.

– A coś ty myślał? Wtedy mnie by nie było. A przecież jestem.

ROZDZIAŁ 24

O Weronice nie zapomniałeś, ponieważ im bardziej chcemy o czymś zapomnieć, tym trwalej to pamiętamy, ale z Anną byłeś szczęśliwy (ładne słowo, prawda?), dwuletnią Agnieszkę ubóstwiałeś, za szkolny dokument *Trzej z patefonem* dostałeś w konkursie filmowym pierwszą w swoim życiu nagrodę. Wesoło się żyło, choć biednie, więc nagroda pieniężna była darem niebios, starczyło na dwa rowery i rowerek dla dziecka. Pojawiła się szansa na mieszkanie: twój list proszalny doręczono do rąk własnych prezydentowi stolicy.

I wtedy, o czternastej trzydzieści siedem, na warszawskiej ulicy spotkałeś swoją Rusałkę. Po prostu wpadliście na siebie, wysiadając z tramwaju, więc można by rzec, że nie był to zwykły przypadek, ponieważ z tramwajów wysiadają równocześnie w różnych miastach miliony ludzi. Przeznaczenie nawet się nie wysila, by upozorować prawdopodobny zbieg okoliczności.

Zastygliście, wpatrzeni w siebie, bez słowa. Serce podeszło ci do gardła. Tak jak tam, w Krakowie.

Dzień był letni, upalny, Weronika miała na sobie lnianą sukienkę i chyba nic pod spodem. Oddychała szybko. Chwyciła cię za rękę i pociągnęła za sobą. Prawie biegliście, ty jak w hipnozie, kurczowo ściskając jej dłoń.

Secesyjna kamienica bez windy, jakieś wysokie piętro, żeliwne poręcze schodów. Weronika otworzyła kluczem wysokie drzwi pomalowane brązową olejną farbą i wciągnęła cię do środka. Znaleźliście się w studenckiej garsonierze z wysłużonym tapczanem przywalonym skryptami, notatnikami, atlasami anatomicznymi. Weronika wszystko to zepchnęła na podłogę i jednym płynnym ruchem ściągnęła sukienkę. Faktycznie nic nie miała pod spodem. Przywarła do ciebie biodrami, dokładnie tak jak dawniej.

Tak jak dawniej zaszumiało ci w głowie.

– Wciąż cię kocham – wyszeptałeś.

– Prędzej!…

Tapczan zaskrzypiał triumfalnie.

A za chwilę było po wszystkim. Tak bardzo po wszystkim, że na powtórzenie nie było cię stać, spłonąłeś do samego końca. Zaszczypały w oczach łzy męskiego wstydu.

Weronika nie chciała ukryć rozczarowania. Zapewne ona także wyobrażała sobie wniebowstąpienie z tobą, które wreszcie-nareszcie miało się spełnić.

– Przepraszam – jęknąłeś.

Odwróciła się do ciebie plecami. Płakała czy śmiała się? Co za różnica, jak człowiek żegna się z marzeniem? Dałbyś pół życia, by móc powtórzyć zbliżenie, lecz w tych sprawach efekt jest zupełnie odwrotny. Szybko się ubrałeś.

– Idź już – powiedziała, nie patrząc na ciebie.

– Spotkajmy się – poprosiłeś bez przekonania. – Jutro mógłbym…

– Nie – ucięła. – Mam narzeczonego.

Wyszedłeś, była równo piętnasta. Tak skończyła się miłość do Rusałki. Jedna z twoich miłości, Ptasidziobie.

Tracę czas. Jeżeli czas jest wartością obiektywną i biegnie bez względu na to, co o nim myślimy, to L. nerwowo krąży po niezmierzonym apartamencie profesora Edwarda Love, nie rozumiejąc, gdzie się zapodziałem. Żadnej karteczki, dokąd poszedłem i kiedy wrócę. Ani telefonu ode mnie. L. jest drobna, smukła jak lilia i długonoga. Mogłaby zostać modelką albo tancerką, lecz na tancerkę rodzice się nie zgodzili, więc wybrała historię sztuki i projektuje kreacje. Jest w tym całkiem dobra. Nawet więcej niż całkiem, bo już ją znają w Paryżu, Londynie i Petersburgu. Ma ciekawą wyobraźnię, lecz kompletnie różną od mojej i dlatego się ze sobą nie nudzimy. L. okazuje serdeczną życzliwość wszystkiemu, co się rusza, z wyjątkiem kotów, których się boi, w poprzednim wcieleniu była bowiem polną myszką. Uświadomił jej to pewien znany jasnowidz, badacz wędrówki dusz. Czy dusze wędrują? Znając skąpstwo natury i jej premedytację, wolno założyć, że koncentrat energii, sterujący naszą cielesnością, nie idzie na marne wraz ze śmiercią ciała, tylko po procesie czyszczenia pamięci plasowany jest w kolejnej żywej istocie. W mrówce, na przykład. Tyle że człowiek, jako ustrojstwo z najwyższej półki, pod wpływem niezbadanych

bodźców może niekiedy przypomnieć sobie swoje poprzednie wcielenie. I co z tego? Gdyby natura miała serce, nie kasowałaby pamięci i w nowe ciało wkraczalibyśmy, zachowując własną osobowość, więc nieśmiertelni. Natura jednak serca nie ma, posiada wyłącznie rozum, który tak ma się do naszego rozumu jak komputer do liczydła.

L., w swoim chińskim szlafroczku, włóczy się po mieszkaniu Edwarda Love, z pokoju do pokoju, których jest chyba sześć albo siedem i każdy pusty, bo profesor Love ma dziś w Queens College wykład z wampirologii stosowanej, a ja gdzieś się zapodziałem, co do mnie w żaden sposób nie pasuje, i L. niepokoi się coraz bardziej. Z okna na trzydziestym piętrze Manhattan wygląda jak fotografia lotnicza. Komnaty w apartamencie Edwarda są prawie bez mebli, tu stolik z laptopem, tam ściana książek i przy niej drabinka, w następnej lawendowe łoże i zegar, w kolejnej metalowe krzesło. W pokoju gościnnym, który zajmujemy z L., jest lawendowa wersalka i wieszak. Wiem, że powinienem wracać, lecz nie skończyłem jeszcze z Ptasidziobem. Idiotyczna nadzieja, że na coś wpłynę.

Może wpłynąłem? Może dziś byłoby gorzej, gdybym go wtedy nie odwiedził? Albo lepiej? Inaczej? Niestety, nie da się tego ustalić bez dwuistnienia porównawczego, a czegoś takiego po prostu nie ma.

Przywiozłem tu L., by oprowadzić ją po mojej przeszłości. Ale się nie da. Oprowadzam siebie, L. tylko mi towarzyszy. Dla niej *Myśliciel* Rodina na dziedzińcu Columbii to genialna rzeźba, a ja chciałem mu nakłaść po gębie, wpuszczony w maliny jego tajemniczą zadumą. Dałem się uwieść rodinowskiemu zamyśleniu i nic dobrego z tego nie wynikło. Po stokroć cenniejsza jest spontaniczność. Pierwszy pomysł. Następne, zrodzone z analizy pierwszego, są logiczniejsze, bez wad, solidniej umocowane, ale bez iskry bożej. Sama poprawność. A z poprawności nie tryśnie fontanna, nie wybuchnie wulkan.

L. jest za poprawnością. Przyjmuje do wiadomości, że w tym gmachu prowadziłem seminaria, w tej kawiarni, pijąc tonik z lodem, oglądałem w kółko te same filmy Chaplina, na tej stacji subwayu skradziono mi portfel z dokumentami, w tym miejscu chciałem skoczyć z Washington Bridge, na tej ławce w Central Parku siadywałem z…

L. przyjmuje to spokojnie, nigdy nie urządza mi scen. Chyba zdołałem jej wytłumaczyć, że wszystkie kobiety w moim życiu prowadziły do niej. Jednak nie mogę jej zmusić, aby dzieliła ze mną emocje. Moja podróż sentymentalna nie przekłada się na jej turystyczną wyprawę. Za dużo wymagam. On to nie ja, nikt nie nazywa mnie Ptasidziobem, nikt nie pamięta o filmie *Pół cudu*. Świat przysypany jest filmami, w tym wysypisku aż roi się od arcydzieł, samych kamieni milowych jest kilkadziesiąt. Wielcy to Eisenstein, Chaplin, Orson Welles, w teatrze Szekspir, w prozie Dostojewski. Mojego filmu *Prowokacja* też się nie pamięta, ściślej – nie chce pamiętać, został napiętnowany i wyklęty, tak jak ja sam – ale z tym Ptasidziób nie ma nic wspólnego.

ROZDZIAŁ 25

Zapewne przypadek sprawił, że znalazłem się z moją kamerą o właściwym czasie we właściwym miejscu. Przypadek czy przeznaczenie?

A to nie to samo?

Reżim uśpił rewolucję. W medycynie nazywa się to snem farmakologicznym. Później upadły reżim będzie się tłumaczył, że paraliżując powstańców, wybrał mniejsze zło, ponieważ złem niepomiernie większym byłaby odsiecz ze strony państw sprzymierzonych i rzeź, być może na lata. Ale historii nie da się przewidzieć. Zwolennicy cudu, któremu reżim nie dał szans, są przeświadczeni, że do rzezi by nie doszło. Ludzi reżimu – a każdy reżim ma swoich ludzi, w tym, obok fanatyków czy karierowiczów, także przyzwoitych lub naiwnych – nie słucha się, ponieważ zostali wyklęci in gremio i siedzą na moralnej ławie oskarżonych, a stamtąd głos nie dociera.

Jeszcze nie było ławy ani inkwizycji. Był wymuszony bezruch i parę dymiących ognisk. Takim ogniskiem stanie się huta Bożydar. Znalazłem się tam w przeddzień ogłoszenia przez reżim stanu wyjątkowego, na zaproszenie naczelnego inżyniera, mojego kolegi

jeszcze z lat studenckich, który zaproponował mi sfilmowanie narodzin buntu młodych przeciwko sklerotycznej władzy. Miałem być jedyną kamerą dopuszczoną do wiecu. Telewizja przyklepała temat. Nie wiedziałem, że za tą decyzją stał mój warszawski znajomy, już w stopniu pułkownika służb, odpowiedzialny w resorcie za kulturę i media. I nie po to stanął za tym, aby mógł powstać historyczny dokument. Chodziło mu o twarze uczestników, zwłaszcza tych najaktywniejszych. Nie miałem o tym pojęcia. A gdybym miał?

No, właśnie.

Wiec uchwalił walkę. Postanowiono jednomyślnie stawić czoło stanowi wyjątkowemu, ogłaszając strajk, którego prawo wojenne surowo zabraniało. Młodzi przywódcy strajku byli pewni, że dojdzie do próby pacyfikacji. Próba nie uda się i będzie to sygnał dla kraju. Naród poderwie się i reżim padnie.

Filmowałem narzędziownię, w której chłopcy kuli broń. Piki, szpady, miecze, dzidy, maczety. Do tego łomy, rury, łańcuchy. Kompletowano śruby do wystrzeliwania z proc. Nastrój był entuzjastyczny, determinacja i humor: „Niech tylko wejdą. Dostaną wpierdol. Będą wiać, srając w gacie". Chłopcom marzyła się wielka zadyma, pójście na całość i radość zwycięstwa. Urodzili się za późno, aby się bić w powstaniu warszawskim, iść w bój z Tadeuszem Kościuszką, walczyć u boku Wołodyjowskiego. Pamiętali tylko szarzyznę, nijakość, kartki na mięso i cukier. Ale wybiła ich godzina. Stocznia Gdańska podzieli się chwałą z Bożydarem. Władza zdycha, nie ma już zębów, to jej ostatnie podrygi.

Kręciliśmy dzień i noc, urzeczeni, tłumiąc w sobie niedobre przeczucia. Śmiano się ze mnie, gdy próbowałem przyjaźnie i rozpaczliwie ostrzegać przed tragedią. „Jaka tragedia, człowieku? Zomowcy przejdą na naszą stronę, serduchem są przecież z nami, a oficerów pogonimy". W końcu zacząłem wierzyć, że te dzieciaki wygrają. A jeśli tak się stanie, na nowo poderwie się cały kraj, tym razem do skutku.

„Wybijemy się na prawdziwą wolność! – wołał mi do kamery szef narzędziowni, jasnowłosy młodzik z pierwszym rzadkim zarostem. – Na niepodległość, rozumiesz? I to już nie będzie posłuszne, smutne

społeczeństwo, tylko naród, bracia, tak jak chce nasz papież Polak. «Nie lękajcie się», powiedział do nas, i my się już nie lękamy!”

Ci, co nie znają lęku, giną pierwsi.

Skręciliśmy scenę z czołgiem, który najechał na zamkniętą stalową bramę z transparentem STRAJK – SOLIDARNOŚĆ ZWYCIĘŻY!, i brama rozlazła się, jakby była z mokrej tektury. Przez czarną dziurę do huty weszli defiladowym krokiem chłopcy w hełmach, osłonięci tarczami z przezroczystego tworzywa, ściskając w dłoniach długie gumowe pały wypełnione ołowiem. Utworzyli tyralierę i zastygli naprzeciw tyraliery chłopców w hutniczych kapeluszach. Nakręciłem w zbliżeniu twarze jednych i drugich – gniewne i zalęknione, niespokojne i złe, przesycone napięciem, które z każdą chwilą rosło.

„Strajk jest nielegalny! – wykrzyczał przez megafon dowódca oddziału. – Wracajcie do pracy!”

„Chodźcie z nami! – ryknęła tyraliera hutnicza. – Chcecie wolnej Polski? Bez czerwonego? Bez Sowietów? Dołączcie do nas!”

Zapadła cisza. Ten fragment filmu okazał się najmocniejszy: twarze przerysowane, zastygłe pytająco albo z tikiem, jakby przebiegał przez nie prąd, i niespokojne oczy o zwężonych źrenicach – przymknięte, zmrużone, otwarte szeroko. Po jednej stronie napięte wyczekiwanie, po drugiej rozterka, niepewność. Kamera przesuwała się wolno z twarzy na twarz, przystając, by wniknąć najgłębiej.

Pierwszy oprzytomniał dowódca oddziału.

„Macie minutę, żeby się rozejść! – zagrzmiał megafon. – Po minucie przystąpimy…”

Nie zdołał dokończyć. Moja kamera uchwyciła naciąganą procę, świst śruby i oficera, który przycisnął obie ręce do twarzy, upuszczając megafon. Podoficer, próbujący podnieść megafon, dostał w pierś kawałem żelastwa i osunął się na ziemię.

Oficer oderwał dłonie od krwawiącego czoła, uniósł pałkę jak miecz i ochrypłym głosem wycharczał komendę.

Milicyjna tyraliera ruszyła na hutników, osłaniając się tarczami przed gradem metalu. Tyraliery zderzyły się, pałki poszły w ruch, dwóch hutników padło, zalewając się krwią. Tyraliera w kapeluszach rozstąpiła się, uskoczyła na boki. Przed zomowcami wyrósł drugi

szereg – z wystawionym do ataku częstokołem dzid, pik, maczet, szpikulców.

„Na nich! – zakomenderował przywódca strajku, dwumetrowy wąsacz ze stalowni, uzbrojony w maczetę. – Bij czerwonego!”

Pałki, nawet z ołowiem w środku, nie ustoją przeciwko dzidom, łomom, łańcuchom. Zaczęły pękać plastikowe tarcze. Kręciłem to starcie, leżąc na plecach po uderzeniu pałą, tratowany przez jednych i drugich. Nie czułem bólu. Byłem po stronie hutników i żal mi było zomowców, ale tylko tych, którzy leżeli na ziemi, krwawiąc, a nawet płacząc, jak skrzywdzeni smarkacze.

Zomowcy wycofali się pod bramę i tam na nowo uformowali tyralierę.

„Won z zakładu! – krzyknął do nich mój jasnowłosy z rzadką bródką. – Bo was rozjebiemy!”

W rękach oficera znów pojawił się megafon.

„Strajk jest nielegalny. Mamy rozkaz go przerwać. Ostrzegam po raz ostatni”.

„Kogo ty straszysz, kurwo? – rzucił donośnie wąsacz. – Naród straszysz? Wynocha za bramę!”

Nim kamera zgasła od uderzenia pałą, zdążyłem skręcić huragan żelastwa lecący w zomowców i pomyślałem z nagłym zdziwieniem, że przysłano ich tutaj bez armatek wodnych, gazów łzawiących, hukowych granatów, bez broni na gumową amunicję. Tylko pałki?

Nie tylko.

Przypadek sprawił, że oko kamery spoczęło na zomowcu, piegowatym dzieciaku ze śmiesznie zadartym nosem, akurat w momencie, gdy doszło do starcia wręcz z hutnikiem uzbrojonym w łom. Hutnik uchylił się przed uderzeniem pałką i sam zaatakował. Zomowiec dostał łomem w lewe ramię, które zwisło jak sznurek – zapewne pękła kość. Padł na kolana i wrzeszcząc z bólu, prawą ręką wyrwał z kabury pistolet. Chłopak, który go zdzielił, był już zwrócony do niego tyłem, szamocząc się z innym zomowcem. Dzieciak strzelił mu w plecy.

Był to sygnał.

Wybuchu strzelaniny nie pamiętam, lecz zapisała to moja kamera, nim roztrzaskało ją uderzenie pałki. Nie zdołałem więc skręcić

panicznej ucieczki hutników i ciał leżących na ziemi. Sfilmowała to kamera milicyjna jako dokumentację z przebiegu wydarzeń. Strzelanina była histeryczna, bezładna. Chaos. Krzyki i jęki. Od pierwszego strzału minęły cztery minuty i dwadzieścia sekund. Było po wszystkim. Sześć trupów, czternastu rannych.

Kilka dni później udało mi się dotrzeć do dwóch zomowców uczestniczących w akcji. Zgodzili się udzielić mi wywiadu pod warunkiem, że twarze będą niewidoczne, a głos zmieniony. Na początku pletli slogany podyktowane przez przełożonych. Wymiękli, kiedy spytałem, czy potrafiliby spojrzeć w oczy swoim matkom i pójść do spowiedzi. Zaczęli się jąkać, jeden się rozpłakał. Przysięgłem, że rozmowa nie trafi do filmu, że jest mi potrzebna tylko do odtworzenia przebiegu wydarzeń, potem taśmę zniszczę. Kłamałem oczywiście.

Nieprawda, że przed akcją rozdano im narkotyki, napojono wódką. Przekonywano natomiast, że idą bronić zagrożonej ojczyzny, los Polski jest w ich rękach, prowodyrzy strajku celowo zamierzają sprowokować interwencję wojsk Układu Warszawskiego i, być może, wywołać wojnę światową, bo Zachód nie będzie mógł pozostać bierny. Przekonano. Chłopcy chcieli uwierzyć. Do siłowego stłumienia strajku nawet zomowcom potrzebna była emocjonalna motywacja.

Spytałem, co czują teraz.

Spanikowali. Ktoś strzelił pierwszy, żaden z nich dwóch. Ten pojedynczy strzał był znakiem przyzwolenia, skojarzył strach z desperacją i zrodził szaleństwo. Cud, że zginęło tylko sześciu hutników, ofiar mogło być dużo więcej, bo strzelali wszyscy i na oślep.

Co czują teraz? Nie potrafią odpowiedzieć; są bladzi, trzęsą im się ręce, drżą wargi. Podobno połowa oddziału złożyła raport o zwolnienie ze służby. Kilku chłopaków trafiło na obserwację do psychiatryka.

Kopię milicyjnej taśmy załatwił mi znajomy pułkownik ze służb specjalnych, który wkrótce został generałem. Nie z dobrego serca ani z miłości do prawdy. Oczekiwał po mnie dokumentu z oskarżeniem prowodyrów strajku o prowokację. Wyraźnie mi to

powiedział, z uprzejmym naciskiem i nutką groźby. Przyrzekłem, że film będzie o prowokacji.

Po obejrzeniu *Prowokacji* na zamkniętym resortowym pokazie były pułkownik, a obecnie generał, stał się moim wrogiem. Przyrzekł mi po projekcji, podczas krótkiej rozmowy w cztery oczy, że mnie załatwi, gdy władza skończy z wichrzycielami. I słowa dotrzymał, choć wichrzyciele okazali się górą.

Załoga Bożydara nie darowała mi zakrwawionych zomowców, a zwłaszcza zbliżeń ich twarzy, w których nie było nic z bestii. Dzieciaki. Wytresowane do perfekcji w sztukach walki i bezwzględnym posłuszeństwie rozkazom. Tresura wyklucza samodzielne myślenie, a jednak kamera zarejestrowała chwile rozterki, wahań, przerażenia. Tej sekwencji też nie zgodziłem się wyciąć. Pozostało we mnie, jeszcze z czasów i z winy Ptasidzioba, przeświadczenie, że najważniejsza jest prawda.

Tylko która? Czyja? W wielości prawd nie sposób się połapać.

Film zatrzymano. Był rozkaz zniszczyć wszystkie kopie. Jedna ocalała: ukrył ją funkcjonariusz, którego brat uczestniczył w pacyfikacji Bożydara. Nie powinienem był się cieszyć. Ale nie spodziewałem się, że usłyszę kiedyś zarzut fałszerstwa na zamówienie siłowego resortu. Dowód: zbliżenia na dziecięce twarze zomowców ścięte strachem i manipulacja mająca wykazać, że dramat był dziełem przypadku.

„Żaden przypadek – usłyszałem na dintojrze w Klubie Filmowca – tylko zbrodnia komunistyczna, jedna z wielu. Jesteś fałszerzem historii".

Rewolucja nie uznaje niuansów, komplet racji musi być po jednej tylko stronie, jak w westernie. Racje są na usługi zwycięzców. Mój generał strzelił sobie w usta, ale w sejfie zostawił plik starannie wyselekcjonowanych dokumentów, tak zwanych kwitów, na ludzi, którzy mu podpadli albo się nie sprawdzili. Wśród nich raport o rozmowie ze mną na temat filmu o wypadkach w hucie Bożydar, przekazaniu mi taśm milicyjnych i moim zapewnieniu, że wygeneruję dokument o zamierzonej prowokacji liderów strajku. Prawie prawda, co wynika nawet z tytułu – *Prowokacja*. Ale czyja? Czy nie tych, których twarzy w filmie nie uświadczysz, a którzy z wysoka

zdecydowali pokazać, co zrobią z naruszycielami prawa stanu wyjątkowego? To przecież o nich był mój dokument. Ich oskarżałem. Dlaczego ofiary wzięły to do siebie? Zawsze tak musi być?

ROZDZIAŁ 26

Nieduża salka wykładowa na szóstym piętrze Lewisohn Hall. Studentów niewielu, slawistyka nie cieszy się szczególnym wzięciem na Columbii, trafiają na nią przeważnie młodzi ludzie o rosyjskich lub polskich korzeniach w poszukiwaniu własnej tożsamości. Rozmawiasz ze studentami o idei wolności w ujęciu Fiodora Dostojewskiego. Autor *Idioty* przestrzegał przed przemianą wolności w samowolę, nihilizm i anarchię, jeżeli nie wyznaczymy jej granic. A co to znaczy? Że człowiek jest wolny i potrafi ze swojej wolności korzystać rozumnie, gdy zaakceptuje wyższe dobro, inaczej zwane koniecznością. Wolność nie jest dla idiotów.

Studentka o semickich rysach zapytała, kto, zdaniem Dostojewskiego, ustanawia wykładnię wyższego dobra oraz jak wytłumaczyć antysemityzm i antypolonizm wielkiego pisarza. Wyjaśniłeś, że niechęć Dostojewskiego do Polaków brała się z jego antykatolicyzmu, umocnionego przez antyrosyjskie powstanie 1863 roku, a kwestię antysemityzmu dyplomatycznie pominąłeś.

Czy mędrzec, filozof, intelektualista może być antysemitą? Owszem, jeszcze jak! Tu należałoby wdać się w dywagacje o naturze ludzkiej, która przyswaja sobie posłyszane idee, a nawet sama może je kreować, akceptuje poglądy, które trafiają do przekonania, zmienia je na bardziej logiczne wedle skali wyznawanych wartości. Tyle świadomość. W podświadomości, niezależnej od logiki i woli człowieka, tlą się wiecznym ogniem emocje, pasje i odczucia, uprzedzenia i przesądy. Nie mamy na nie wpływu, po prostu są w nas, jak wstręt do tranu czy apetyt na śledzia. Można być stuprocentowym ateistą i bać się czarnego kota przecinającego drogę trzynastego w piątek albo duchów, których przecież nie ma. Nieufność wobec inności to podświadomość. Nas, odmieńców z

ptasim rodowodem, także dotyczy. Inności bywają znane i nieznane, rozpoznane i utajone, widziane z bliska i ze słyszenia. My akurat mieścimy się w kategorii odmienności utajonej, ale Semici żyją wśród nas od prawieków, zamieszkują słowiańskie ziemie, zachowując, a nawet eksponując, swoją odrębność i nie dając się wchłonąć ani zdominować. Głupcy. Kto by miał coś do nich, gdyby ich nie było?

Jeszcze masz przed sobą lot LOT-em z Ameryki do Europy, komfortową podróż boeingiem 737, z pejsatym sąsiadem w czarnym kapeluszu o ogromnym rondzie, który nie pachniał cebulą ani czosnkiem, tylko wodą Givenchy Gentleman i doskonale mówił po polsku, choć opuścił Polskę przed ćwierćwieczem jako mały chłopiec. Powie ci, że rozumie niechęć innych nacji do starozakonnych, zwłaszcza tam, gdzie ich dobrze znają, ponieważ na ogół nie lubi się przybyszów, których nie spotkasz na roli czy w kopalni, a pełno ich na dyrektorskich stołkach, w spisach bogaczy i sław, pośród laureatów Nobla. Proporcjonalnie do ich liczebności jest to i szokujące, i niesprawiedliwe.

– Czy antysemici nie mają racji? – zapyta.

Podejrzewając pułapkę, dasz wymijającą odpowiedź.

– Mają swoje racje – odpowie sam sobie twój pejsaty sąsiad. – Nie muszą traktować genetyki jako usprawiedliwienia.

– Dlaczego genetyki? – nie zrozumiesz.

– Bóg wybrał sobie Żydów do eksperymentu – usłyszysz. – Od wieków zsyła na nich męczeństwo, od czasu do czasu na wielką skalę, jak w przypadku Holokaustu, i co się wtedy dzieje? Giną słabsi, mniej zaradni. Przeżyć udaje się tylko twardzielom, mózgowcom i szczęściarzom. Ci potem mnożą się, przekazując swoje cechy potomstwu. Nadciąga kolejna selekcja i rzecz się powtarza. W ten sposób rośnie jakość ocalałych. Ponieważ Pan Bóg nie jest nieomylny, z pewnością na własne życzenie, wśród doskonałych egzemplarzy trafiają się sztuki wybrakowane. Jak już Żyd jest głupi, to głupszego nie ma na świecie, jeżeli łajdak, to nie daj Boże. I tych się widzi, pamięta. Reszta z uporem walczy o sukces, pozycję i bogactwo, ponieważ zwiększa to szanse przetrwania następnych Holokaustów.

– Pan jest rabinem? – zapytasz głupio.

– Ani rabin, ani cadyk. Jestem genetykiem, lecę na wykłady w waszym Uniwersytecie Jagiellońskim. Społecznościom ma prawo się nie podobać, że jacyś obcy zdmuchują im sprzed nosa smakołyk. Forma okazywania tego to kwestia kultury. Inaczej wygląda w Rosji, a inaczej we Francji czy Luksemburgu. Natomiast czy nie zastanawia pana, dlaczego starozakonnych nie lubią Eskimosi albo Zulusi?

– A nie lubią? – zdziwisz się.

– Nie lubią, choć Żyda na oczy nie widzieli. Oto, co znaczy reputacja.

Nie wyznasz pejsatemu sąsiadowi, że dobrze wiesz, o czym mowa, ponieważ sam jesteś odmieńcem. Komu gorzej na świecie, ptakowatym czy Żydom? A jeśli to ci sami?

– Spory wpływ mają na to religie – będzie kontynuował pejsaty genetyk. – Bóg jest ten sam, ale sposobów czczenia Go mamy wiele. Choć różnią się niuansami, to skaczą sobie do gardeł. Dziwne, prawda?

– Nie tak bardzo. – Uśmiechniesz się. – Natura ludzka każe uważać swoją prawdę za objawioną, a inne za karygodny fałsz.

– Religie powinny być jak orkiestra. Partytura na różne instrumenty. Tymczasem wychodzi kakofonia.

– Może zawiniły pierwsze skrzypce?

– Ma pan na myśli judaizm? Sam się nad tym zastanawiam. Nad lewitacją, dajmy na to. Ale nic nie dzieje się wbrew woli Jahwe. Skoro jest, jak jest, to tak być powinno.

– Zazdroszczę panu – westchniesz, jeszcze nie do końca szczerze; trzeba ci będzie lat, aby to westchnienie nabrało głębi i stało się autentycznym wyrazem żalu. – Wam, wierzącym, nie grozi samotność.

– To uwierz pan – radzi pejsaty.

– Jak? – Rozkładasz bezradnie ręce.

– Będę się modlił za pana – obiecuje genetyk.

Wedle wykładni sekretnej, którą znają tylko wtajemniczeni, wywodzimy się od aniołów. Wykładnia mitologiczna przywołuje Ledę i łabędzia. Jest jeszcze wykładnia ornitologiczna, najmniej prawdopodobna, bo sprzeczna z prawami biologii, która mówi o

parzeniu się wdów z ptactwem, gdzieś w pradawnych czasach, gdy ich mężowie poginęli w walkach plemiennych. Tylko co to mogły być za ptaki? Kondory? Krogulce czy orły? Może sępy?

Wykładnia z aniołami brzmi efektownie, lecz nie trzyma się kupy. Pomijając pychę, stwierdzić trzeba po pierwsze, że nic nie wiemy o płci aniołów ani, tym bardziej, o ich rozmnażaniu. Po wtóre, musiałby anioł być mężczyzną, ponieważ rodzą nas zwykłe kobiety, nie anielice. Może to anioł upadły? Lecz w takim razie my, odmieńcy, bylibyśmy szatańskim pomiotem, a przecież nie ma w nas nic demonicznego, przynajmniej we mnie i w Kubie, i w jeszcze paru moich znajomych, którzy nie chodzą twardo po ziemi. Wersję anielską skłonny jestem odrzucić. Wersję mitologiczną tym bardziej, bo nic w nas z łabędzia, rzadko bywamy monogamistami jak one, a przekorą i zadziornością przypominamy raczej ptaszyska drapieżne, czasem padlinożerne.

Bywamy tragiczni, samotni, wbrew pozorom słabi i trochę próżni, bo z jednej strony kryjemy swój rodowód, z drugiej dumni bywamy, że unosimy się nad ziemią. Lotem tego nie nazwiesz, ani nawet szybowaniem, ale lewitacja to też nie w kij dmuchał. Lewitują, wiadomo, święci i też nie każdy.

Święci my nie jesteśmy, mój Ptasidziobie.

Znasz legendę o Ptachu?

Nie możesz jej znać. Natrafię na nią wiele lat później. No to posłuchaj.

ROZDZIAŁ 27

23 maja 1862 roku w podkarpackiej wsi Osinki przyszło na świat dziwne dziecko. Niezwykłość niemowlęcia stwierdziła babka Jacynicha, która odbierała we wsi porody od czasów niepamiętnych i przeogromne miała w dziwach doświadczenie, jak to dwugłowy potworek u Gemborków czy para maleństw zrośniętych pleckami, które doktorzy w Krakowie zamierzali rozdzielić, ale nie dali rady, okazało się bowiem, że siostry bliźniacze natura wyposażyła we

wspólny kręgosłup. Jacynicha wiedziała o tym, uprzedziła rodziców, że nici z tego będą i że dziewczynki nie pożyją długo, bo Pan zabiera takie sztuki do swojego niebieskiego panopticum.

Miała więc stara Jacynicha i rutynę, i oko, i mądrość wielu pokoleń, przekazywaną z matki na córkę, co pozwalało jej zobaczyć przyszłość nowo narodzonego – czy dożyje roku, płaksiwe będzie czy ciche, chorowite czy zdrowe, na psy zejdzie czy dojdzie do majątku, wiedzę posiądzie lubo zostanie artystą. I nie myliła się starucha prawie nigdy.

Niezwykłość dziecka Antosi Stopkowej była jednak wyjątkowa nadzwyczaj. Po pierwsze, chłopczyk miał włosy długie do ramion, szorstkie, koloru konopi, a oczy okrągłe i zielone jak mokra trawa. Takich oczu ludzie na mają. Po drugie, ramiona noworodka sięgały niżej kolan, palce obu rączek łączyła przezroczysta błona. Nie to wszelako było najdziwniejsze. Jacynichę zdumiała lekkość malca, omal nieważkość. Wymiary miał słuszne, ciałko ubite i jędrne, a ważył tyle co dmuchawiec. Czegoś podobnego stara nie widziała na oczy ani od matki swojej nie słyszała. Przyszłości dzieciaka nie chciała przepowiedzieć, tylko przeżegnała się po trzykroć i długo coś mamrotała pod nosem. Położnicy kazała karmić obficie piersią, najlepiej co godzinę.

Na chrzcie świętym chłopiec otrzymał imię Józef. Rozwijał się normalnie, rósł nad podziw szybko, zwinny był i żywy jak rtęć. Jako pięciolatek dokonał po raz pierwszy niepojętego wyczynu. Na oczach dzieci i dorosłych pchlim skokiem przesadził dwumetrowy płot, nawet bez rozbiegu. Kilku starszych chłopaków spróbowało zrobić to samo i tylko rozdarli sobie portki o sztachety ku uciesze gapiów. Od tamtej pory Józka przezwano Pchlak i nazywano takoż do dnia, kiedy wdrapał się na najwyższy konar stuletniego dębu przy trakcie za wsią – tak wysoko, że ledwo go było widać z ziemi – i skoczył z owej podniebnej wysokości, rozkładając przydługie ramiona jak bocian do lotu.

Miał wtedy lat trzynaście. Nos mu się wyostrzył i zagiął w dół, oczy zaokrągliły się jeszcze bardziej i jeszcze głębiej pozieleniały ową nieludzką zielonością. Czaszkę miał wąsko sklepioną, z pióropuszem brudnych konopnych włosów sięgających ramion. Mówił mało. Kiedy

pytano go o coś, mrugał szybko bezrzęsymi powiekami i żmijką języka ślinił bezkrwiste wargi, nie wydając dźwięku. Sam natomiast od czasu do czasu odzywał się piskliwie, przy wieczerzy zazwyczaj, na nikogo z rodziny nie patrząc, ze wzrokiem wbitym w okienko wyryte w ścianie z grubych jesionowych bierwion. „A po co są ludzie?"; „Jak to jest, że człowiek robi się stary, a nie na odwrót?"; „Czy ktoś mnie kocha?" Ojciec i starsi bracia machali tylko ręką, bo co tu z głupim gadać, szczególnie gdy pytał, co jest naprawdę, sen czy jawa, jakby nie było wiadomo, że sen to sen. Liczyło się, że dbał o kozę, z pastwiska wracała najedzona i mleka dawała więcej od cudzych kóz w Osinkach.

Skoczył więc Pchlak z niebotycznej dębowej wysokości na ziemię w obecności chłopaków, którzy gapili się na to z ciekawością, pewni, że skręci sobie kark, co przecież warto zobaczyć. Tymczasem, zamiast spadać jak kamień, Józio Pchlak poszybował jak liść na wietrze, parę razy obrócił się w powietrzu i wylądował łagodnie w kartoflisku za drogą, nie czyniąc sobie najmniejszej krzywdy. We wsi chłopakom nie uwierzono, wyśmiano. Z czasem oni sami zaczęli wątpić, czy konar był aż tak wysoko, czy Pchlak z niego skoczył, bo przecież mógł się zsunąć, przemykać z gałęzi na gałąź, zeskoczyć wreszcie tuż nad ziemią. Ale z Pchlaka zrobił się Ptach. Ptachami zaczęto nazywać całą rodzinę Stopków, choć nikt prócz Józka nie miał ptasiego nochala ani oczu jak trawa.

Wtedy właśnie, wkrótce po owym szybowaniu-nieszybowaniu, Antosia Stopkowa dostrzegła u syna to coś. Kąpał się w balii, zwrócony do matki plecami. Zaciekawiło ją, co też Józek ma na barkach, a gdy podeszła bliżej, zobaczyła, że i na łopatkach, i na ramionach aż po przeguby ma delikatny meszek. Nie było to owłosienie. Tylko co?

Wkrótce jasne się stało, że jest to szary, jakby kaczy, puch. Rósł, gęstniał. Józkowi nie przeszkadzał, ale matka uwzięła się, zaczęła wyskubywać, nacierać ciało syna maściami od Jacynichy. Nie pomogło. Puch twardniał i zamieniał się w piórka. Stopkowa sprawiła synowi koszulę z długimi rękawami zapinanymi na guzy przy mankietach, dała na mszę i w końcu wezwała Jacynichę. Starucha tylko zerknęła na upierzenie chłopca, westchnęła ciężko i rzekła, że

od narodzin małego wiedziała, co się święci, że nic dobrego, a samo złe, nadzieję jednak miała, że dobry Bóg ulituje się, zło odwróci. Nie wygląda na to, żeby miał odwrócić, ona zaś, Jacynicha, zbyt słaba jest na takie kuriozum. Jedyna teraz nadzieja – orzekła – to ojciec Joachim z klasztoru w Sokolnikach, który zamawiać umie, diabła wypędzić udaje mu się czasem, i albo on, albo nikt już. Sto wiorst do Sokolnik.

Ojciec Ptacha bez słowa zaprzągł konia do podwody i wyruszył w drogę, by po dniach paru wrócić do Osinek z ojcem Joachimem. Ten kazał Józkowi obnażyć się, obejrzał pióra na ramionach i łopatkach, położył na nich rękę i zaczął się modlić, uklęknąwszy przy nim. Nic się nie stało. Wtedy mnich kazał wszystkim opuścić izbę, zamknął się w niej z chłopcem i nie wychodził stamtąd przez dwie noce i dzień. Pokazał się ludziom, kiedy wstawał kolejny ranek, blady, ze zmierzwioną brodą i gorejącym spojrzeniem. Wieś czekała w milczeniu. Ojciec Joachim przeżegnał się po trzykroć, pokłonił ludziom i głosem cichym, lecz mocnym obwieścił, że Józek Stopka nazywany Ptachem to nie dziwoląg ani straszydło i że nie figiel to czarta, tylko wręcz na odwrót. Na odwrót? Ano na odwrót, bo oto anielskość zalęgła się w Osinkach, on, Joachim, światłość widzi i serce mu się raduje, że cudu dostąpił. Chwalmy Pana!

Ptachu aniołem? Wieś parsknęła śmiechem, później niektórzy popadli w zadumę, inni poczuli obrzydzenie, co innego bowiem pulchne aniołki na malowidłach kościelnych, słodkie buzie, złote kędziorki i fikuśne skrzydełka, a co innego tutejszy chłopak, milczek ptasiogęby, porośnięty kołtunem z piórek. A gdzie aureola? Każdy wie, że prawdziwy anioł ma nad głową świecące kółko. U Ptacha nad splątanymi kudłami nic nie świeciło i nie było w nim ani krzty anielskiej słodyczy, tylko jakowaś tępota bezmyślna, jakby chwilę temu wybudził się ze snu.

Ksiądz proboszcz wpadł w gniew. Pod karą anatemy zabronił gadać, że po opłotkach wiejskich włóczy się z chłopakami anioł w połatanych portkach, jabłka w księżym sadzie podkrada, dziewuchom ptasi jęzorek pokazuje i sika do sadzawki. Aniołowie nie sikają!

Z wolna słowa mnicha Joachima zaczęły wietrzeć, ulatniać się z pamięci mieszkańców Osinek, zaprzestano nawet prześmiewek i szyderstw w rodzaju „Ej, aniele stróżu, popilnuj mi kozy!”, tylko stara Jacynicha na widok Ptacha klękała, żegnała się po trzykroć i próbowała ucałować skraj zgrzebnej koszuliny o długich rękawach. Józek uciekał przed nią.

Zaczął także uciekać przed chłopakami, bo zdzierali z niego koszulę, zmuszali do obnażania ramion i pleców, szczypali, ciągnęli za piórka. Wolał samotność w brzozowym zagajniku z dala od wsi, w biało-zielonej gęstwinie, gdzie godzinami wpatrywał się nieruchomo w szpaki, sikorki i wróble, wchodząc z nimi w piskliwy dialog. Widziano go tam, jak ćwierkał i pogwizdywał coraz głośniej, budząc złość i niepokój ptactwa, a w końcu paniczny przestrach – już na sam widok Józka, nim zdążył wydać pierwszy poświst, chmary ptaków podrywały się do ucieczki. Tylko wrony stawiały mu czoło, odpowiadając nienawistnym krakaniem, choć Ptach nigdy nie rzucił w nie kamieniem ani nie strzelił z procy.

Rówieśnicy Józka już zaczynali z dziewuchami, co chętniejsze ciągnąc w półmrok zarośli i stodół, gdzie można było cycuszki obmacać, rękę do majtek wsadzić, paluchem tam połaskotać, wywołując wstydliwy chichot, a nawet zrobić coś więcej, jeżeli dziewucha była starsza i znała się na rzeczy. Ptach w tych zabawach nie uczestniczył, na widok dziewuch spuszczał zielone oczy i szybko odwracał głowę. Podniecało to dziewczyny, bo słuch ktoś rozpuścił, że męskość ma nadzwyczajną, jak drąg sterczącą i grubą jak polano, ale ciekawość tłumiło obrzydzenie na myśl o pierzu. U jednej tylko Julki, szesnastolatki bujno piersiastej, ciekawość brała górę nad wstrętem, bo z różnych pieców chleb jadła, ale z pierzastym nigdy. Wygadała się o tym przed chłopakami, a ci wpadli na pomysł, już przy tym rechocząc, żeby Julka uwiodła Ptacha, oni popatrzą ukradkiem i zrzutkę zrobią, kupią Julce w nagrodę czerwone korale na targu. Miała się nie zgodzić?

Ptach miał wtedy lat czternaście i pióra dłuższe od zapałki, białe jak śnieg, porastające gęsto łopatki i ramiona. Coraz bliżej im było do skrzydeł. Gdy nikt nie widział, zrzucał koszulę i portki, stawał na palcach i zadzierając głowę ku niebu, wymachiwał rękami,

zamaszyście i płynnie, tak jak to robią orły albo łabędzie, ale pofrunąć nie mógł, jedynie skoki wykonywał ogromne, szybując nad trawami. Raz podpatrzył to szybowanie dzieciak sąsiadów, ośmiolatek, wybrawszy się do brzeziny na grzyby, i osłupiał, ale nie na widok skaczącego Józka, tylko stada wron dziobiących jakieś ścierwo. Ptach opadł nieopodal stada; wrony, zamiast odlecieć w przestrachu, rozdarły się wściekle i ogarnięte niepojętym szaleństwem, rzuciły się na niego, kalecząc do krwi dziobami. Celowały w oczy i w przyrodzenie, Józek ledwo im uciekł. We wsi nie uwierzono w opowieść chłopca ani o szybowaniu Józka ponad łąką od pagórka po staw, ani tym bardziej we wronią napaść, ponieważ każdemu wiadomo, że wrony są tchórzliwe i człowieka się boją, a dzieci mają fantazję. Ptach wrócił tego dnia do domu okaleczony na całym ciele i Antosia Stopkowa spędziła przy nim noc, zmieniając okłady z ziół leczniczych. Józek nie chciał ujawnić pochodzenia ropiejących skaleczeń, więc rodzice w milczeniu przyjęli, że znów został obity przez łobuzów, co zdarzało się coraz częściej i już nie budziło zdziwienia, tylko bezradne współczucie i bezsilny gniew. Wiadomo bowiem, że odmieniec wszędzie jest bity za swoją inność, takie prawo w przyrodzie, od robaczka do człeka.

Zaraz po tym Ptach zaczął tracić mowę. Jeszcze od czasu do czasu wyduszał przy wieczerzy swoje dziwaczne pytania w rodzaju „Ludziska… takie biedne… dlaczego?” głosem coraz piskliwszym, gdaczącym, na co nikt z domowników nie reagował, byle koza była syta i dawała mleko. Rodzina Stopków pogodziła się z losem, dogadawszy się między sobą, że Pan Bóg tak strasznie ich nie pokarał za grzechy, bo od głuptaka gorsze są kaleki bez nóżek czy rączek albo padaczkowe, sikające pod siebie, a ptasiowatość nie wadzi w pasaniu kozy, czyszczeniu obory czy noszeniu wody ze studni.

Chłopcy bili Ptacha, bo łepek nosił wysoko, krogulczego nosa zadzierał, nie umiał bawić się w wojsko ani w zaglądanie dziewczynom pod spódnice, ćwierkał głupoty o niebie i swoich braciach obłokach, z którymi odleci kiedyś w kluczu na południe, więc za to durne gadanie obrywał od nich po głowie albo kopa w zadek. Bić można go było. Nie oddawał ani nie biegł na skargę. Byle

koszuli z niego nie zdzierać, wtedy kąsał, drapał, gryzł i kłuł dziobatym nosem jak szpikulcem, aż dano mu spokój.

No to stanęło między chłopakami i Julką, że za czerwone korale zrobi z Ptachem tę rzecz w ich obecności, byle siedzieli cicho w krzakach i tylko patrzyli. Umówionego dnia zeszli się nad jeziorem. Chłopcy zalegli w tarninie, a Julka ruszyła ku zakolu, gdzie Ptach, oparty o drzewo, gapił się na klucz przelatujących gęsi, naśladując cichutko ich donośne gęganie. Może próbował do nich zagadać, ale go nie słyszały.

Był nagi. Ramiona i plecy porośnięte piórami wstrząsnęły Julką, lecz przełamała to w sobie, przenosząc wzrok niżej, na obnażoną męskość, faktycznie słusznych rozmiarów, jednakowoż swojską, owłosioną, dobrze znaną, jak u każdego chłopa.

Podkradła się bezszelestnie. Józek zobaczył ją, gdy była całkiem blisko, i zamarł z uniesionymi ramionami wyglądającymi jak para skrzydeł. Julka podeszła jeszcze bliżej, prawie go dotykając piersiami wychylonymi kusząco z rozcięcia bluzki. Co mówiła, chłopcy nie dosłyszeli, widzieli tylko, jak wprawna dłoń dziewczyny dotyka torsu Ptacha, zsuwa się wolno na brzuch i niżej, sięgając po ową męskość, która na ich oczach zaczęła przybierać, pęcznieć, wypełniać dziewczęcą dłoń. Drugą ręką Julka zadarła spódnicę i wypinając biodra, naprowadziła drąg Ptacha na swoją włochatą szparę. Coś mu szeptała przez cały czas. Ptach, skamieniały, bezdźwięcznie poruszył wargami. Julka skinęła głową i zabrała się do roboty, a on wciąż ruszał wargami tuż przy jej uchu. Później, gdy już będzie po wszystkim i Julka dostanie czerwone korale, chłopcy zapytają, co też takiego Ptach gadał jej do ucha. Julka odpowie niechętnie, jakby z zawstydzeniem.

Ptach spytał ćwierkliwie, czy Julka go kocha. Nikt – zaszczebiotał – nie kocha go i nie rozumie, nikt na caluteńkim świecie, a przecież on, Ptach, nosi w sobie przeogromną miłość, która Julkę i jego mogłaby wynieść aż ku obłokom, w sam słoneczny błękit. Dziewczyna nic z tego nie pojęła, zapamiętała tylko oddzielne słowa, ale odpowiedziała, jak każdemu, że kocha, bo to, co robią, jest przecież miłością.

Było jej dobrze jak z żadnym dotąd. Miała żal do chłopaków, że nie dali jej skończyć, wypadając z gąszczu wśród gwizdów i pohukiwań, ściągając ją z Ptacha, którego rozkosznie ujeżdżała, a jego obrzucając kamykami i błotem, rechocząc i szydząc.

I oto stało się.

Ptach stanął na nogi, nie zważając na grad kamieni i obelg. Uniósł w górę ręce i chłopcy zamarli z rozdziawionymi gębami, ponieważ nie były to już ręce, tylko prawdziwe skrzydła. Uderzył nimi w powietrze i zaczął unosić się w górę, koliście, ponad wierzchołki drzew. Zatoczył krąg nad jeziorkiem, jeden i drugi, kracząc ni to triumfalnie, ni rozpaczliwie. Potem zniknął.

Ale nie na długo.

Znaleziono go następnego dnia kilka wiorst dalej, na leśnej polanie. Ciało miał rozdziobane, krwawe, okryte głębokimi ranami, w których bielały kości. Nie żył. Ptactwo, które go obsiadło, ucztując, odpędzono kijami.

Po dziewięciu miesiącach Julka powiła chłopca. Był lekki jak piórko.

ROZDZIAŁ 28

Tyle kronikarz. Ale badałem te sprawy i mam wiele dowodów, że podkarpacki fenomen to nie ewenement. Dziwnie lekkich, ptakopodobnych, choć nieopierzonych, przychodzi na świat wciąż sporo i na różnych kontynentach. Skaza genetyczna? Rezerwa natury na wypadek kataklizmu, gdy nowe warunki dadzą szansę przeżycia tylko lewitującym? Natura patrzy do przodu i gromadzi rezerwy.

Nie chcesz mnie słuchać. Nie trzeba. Nic ci to nie da i tak. Wracamy do domu na Sto Trzynastą Ulicę, ty z postanowieniem, że wymienisz zamki w drzwiach, ponieważ nie chcesz więcej widzieć Ilany, no, nie tak ostro, ma u ciebie trochę swoich rzeczy, które powinna zabrać, oby już ich tam nie było, kiedy wrócimy.

Są. Oddychasz z ulgą. Ukradkiem, żebym ja nie zauważył. Jeszcze jesteś pryncypialny, a przynajmniej udajesz przed samym sobą

pryncypialnego, ponieważ takim być należy. Twoim zdaniem, nie moim. Już nie pamiętasz o naszym locie do rezydencji księcia Nadira i o tym, na co patrzyliśmy, ale Ilany nie ma i zaczynasz podejrzewać ją o najgorsze. Opowiadała ci o Nadirze. Żartowała z jego oświadczyn, lecz o bogactwie księcia mówiła na przydechu. Bogactwo imponuje każdemu, choć nie każdy się przyznaje. Mało kto wierzy bogatym, że żyją w stresie, nie śpią po nocach, mają wrzody żołądka i chodzą do psychoanalityków. Bogactwo w ruchu to dramat. Nie wolno się zatrzymać, konkurenci tylko na to czekają. Bankructwo szczerzy zęby, więzienny strażnik podzwania kluczami. Do przodu idzie się po trupach. To nic przyjemnego, ale lepiej deptać niż być zadeptanym. Wielkie pieniądze, wielki hazard, wielkie ryzyko. Jedynie gracz wygrywa – jeden na stu, na milion – twardziel i szczęściarz.

Co innego spadek lub wygrana na loterii. Taką fortunę łatwo puszcza się z dymem, lekko przyszło – lekko poszło. Prawie żaden przypadkowy bogacz nie pomnoży majątku ani go nie zachowa. To kwestia charakteru. Trzeba przyjść na świat wojownikiem i do tego strategiem, zwycięzcą. Nikt nas tego nie nauczy.

Odpowiesz mi na to, rozlewając do szklaneczek wiśniówkę, że pieniądze szczęścia nie dają. A ja ci na to, że owszem, nie dają, lecz znakomicie ułatwiają znoszenie biedy. I że współczuję ci pryncypialności, zwłaszcza że jest fałszywa.

„Jak to: fałszywa?” – obruszysz się.

„Jako osobnik pryncypialny, uprzedziłeś Ilanę, że nie porzucisz dla niej żony i córek, czy tak?”

„Postąpiłem uczciwie”.

„Mnie chcesz okłamać czy siebie? Pryncypialny byłbyś, gdybyś odmówił sobie romansu, ponieważ z zasady nie zdradzasz żony. Ale ty już to robiłeś nie raz. Z Weroniką – tuż po ślubie i, proszę, żadnych tłumaczeń. A Mariannę, młodziutką góralkę z Murzasichla, zwyciężczynię konkursu piękności na Podhalu, pamiętasz? Nogę złamała w tańcu z tobą w zakopiańskiej Watrze, jej facet, głośny muzyk, obraził się na nią, że przetańczyła z tobą cały wieczór, i zostawił ją, zwiniętą z bólu, na parkiecie; ty z nią pojechałeś na pogotowie, zapłaciłeś po cichu za lekki gips, a potem odwiozłeś

taksówką do Doliny Chochołowskiej i zostałeś do rana… Pamiętasz? Pamiętasz, nie udawaj! Głośny muzyk dał ci po mordzie, nie pozostałeś mu dłużny, później, przy wódce w Halamie, zgodziliście się, że jak ich jest dwóch, a ona jedna, wtedy ona wybiera. Wieeeelka miłość! Ale i Mariannie nie omieszkałeś uczciwie zapowiedzieć, że żony nie rzucisz. To samo, z oczami pełnymi łez, oświadczyłeś Nicole, malarce, małżonce attaché prasowego Szwajcarii w Warszawie. I stewardesie Pan American, i hiszpańskiej kochance twojego najbliższego przyjaciela, i solistce Lochów Wawelskich, czarnookiej diablicy o głosie przerażająco głębokim i chrapliwym, rzucającym na kolana i zmuszającym do płaczu największych twardzieli. Przecież kochałeś ją do obłędu…"

„Przestań! "– rykniesz, zasłaniając twarz rękami. „To nie były zdrady!"

„A co to było?" – zapytam z naiwnym zdziwieniem.

„Sny" – odpowiesz, nie patrząc mi w oczy. „Tylko sny, nic więcej. Budziłem się i była Anna, zawsze Anna, matka moich córek".

Mam ochotę strzelić go w pysk. Jak daleko można posunąć się w zakłamaniu? Wypijam do dna szklaneczkę wytrawnej wiśniówki i pytam niewinnie, czy tak samo jest wierny swojej komunistycznej ojczyźnie za żelazną kurtyną i czy w takim razie jego zachwyt Manhattanem, parciem do przodu, zadowoleniem z życia i otwartością myślenia Amerykanów, ich uczciwością i poczuciem misji, czy to wszystko przypadkiem nie podważa jego własnej wiary. Słyszę, że ani trochę.

„Jak ty to robisz?" – nie wytrzymuję.

„Już nie pamiętasz?" – odpowiada. „Pozapominałeś?"

Powiesz mi, że człowiek ma naturę myśliwego, elementarny atawizm, potrzebę zdobywania. Sto gatunków szynki w tutejszych delikatesach cieszy oko i zniechęca podniebienie. Wchodzisz – kupujesz – zjadasz. U nas szynki nie kupisz, musisz ją zdobyć – szczęśliwym trafem, kombinacją, przez znajomości, z trudem – i jaka wtedy frajda! Szynka zdobyczna, z tłuszczykiem i kością, smakuje po stokroć bardziej od zawiniętych w pergamin plastrów szynki westfalskiej czy parmeńskiej, cieniutkich jak bibuła, które proszą się o kupno w każdym supermarkecie. Tak tu jest ze wszystkim –

podsumujesz – powierzchowny blichtr i znudzone rozleniwienie przesyconych. A my – powiesz – jesteśmy pazerni na życie, napaleni, głodni i ideowi. Świat będzie nasz.

„Dlaczego?" – zapytam.

„Ponieważ racja dziejowa jest po naszej stronie".

Czy mogę mu powiedzieć, że nie ma żadnych racji dziejowych, że ideowych komunistów ich idol rozstrzelał dawno temu, ponieważ żarliwość ideowa żre się z pragmatycznym wyrachowaniem i utrudnia powrót do sprawdzonych kolein? Tą koleiną dla Rosji był carat; Józefa Stalina lud kochał bardziej niż Piotra Wielkiego, za cara Piotra nie było bowiem pionu propagandy ani fachowców od rozpalania miłości zbiorowej. Lud wielbi wodzów nieugiętych i bezlitosnych, wyrozumiałość tłumaczy słabością, a słabymi pogardza. Nie znał litości ani Hitler, ani Pol Pot, ani Fidel Castro. Na Fidela Castro żachnąłbyś się, co do Stalina wahamy się obaj, w radzieckiej szkole na zesłaniu szczepiono skutecznie miłością do niego, zamiast miłości do Boga, którego przecież nie było.

Syberyjski posiołek w głębi tajgi, polanka wykarczowana pazurami przez lekarzy, adwokatów, bankierów, profesorów, artystów, na tej polance trzy baraki przez nich wzniesione z ociosanych bierwion. Liesoruby z doktoratami, o światowych nazwiskach, nienawykli do pięćdziesięciostopniowych mrozów i pięciometrowych zasp, do zim trwających dziesięć miesięcy w roku i cienkich zupek z mchu, z ziemniaczanych obierzyn, z utłuczonej przypadkiem wiewiórki. Kto był słaby, ten szybko umierał.

Ale nam, dzieciakom, źle nie było. Prawie nie pamiętaliśmy chleba z masłem, szyb w oknach, mszy w kościele. Głód nie przeszkadzał, był normą. Gorzej, gdy dopadały bóle głodowe z kurczami żołądka, wtedy trzeba było szybko coś przełknąć, kruszywo z kory, garść ziemi, co popadło. Po ziemi były wymioty, lecz ból ustawał. Bawiliśmy się na obrzeżu tajgi w faszystów i partyzantów, w czerwonych i białych. Komendant posiołka kapitan Niecharoszow popierał te zabawy, mówił, że są patriotyczne, pod warunkiem że faszyści i biali musieli przegrywać. Więc przegrywali.

Kapitan Niecharoszow miał obowiązek pilnować, żeby dzieci chodziły do szkoły. Rozliczano go z tego. Szkoła była we wsi Szoszka, sześć kilometrów od posiołku, i zimą szło się do niej na nartach. Komiackie dzieci miały narty podbite sierścią renifera i na nogach walonki z grubego filcu. Nam, dzieciakom zesłańczym, wciskano stopy do „dorosłych" butów wypełnionych gazetami, a narty były z dech o czubach wygiętych nad ogniem i wiązanych do butów rzemykami.

W szkole dawano zupę z brukwi. Lubiliśmy szkołę. I naszą wychowawczynię, śniadą, kruczowłosą Komiaczkę o wąskich, trochę skośnych oczach. Nazywała się Anna Pietrowna. Oczy miała ciemnomiodowe, jaśniejące od środka, chociaż zasnute mgiełką, marzycielskie i tajemnicze. Gdy z ulicznego głośnika spiker Lewitan dramatycznym głosem informował o zdobywanych kolejno przez Niemców sowieckich miastach, coraz bliżej Moskwy, a ja zaczynałem się bać, bo już wiedziałem, co to jest piekło, Anna Pietrowna natchnionym sopranem zapewniała, że lękać się nie trzeba.

– On czuwa – mówiła z promiennym przekonaniem. – On nas kocha i nie pozwoli skrzywdzić. Każe cofać się Armii Czerwonej, żeby wciągnąć faszystów w pułapkę, wycieńczyć i zniszczyć. On jest wszechpotężny i wszechmogący.

– Moja mama spuchła z głodu – powiedziała Jadwisia z naszego baraku. – Już nie wstaje.

– On też cierpi głód – odparła Anna Pietrowna. – Swój pajok przekazuje sierocińcom. Ale On nie musi jeść ani spać, On żyje miłością i troską o nas. W tej chwili myśli o tobie – wymierzyła w Jadwisię wskazujący palec – i widzi twoją świetlaną przyszłość, gdy już pobije Hitlera. Spójrz Mu w twarz. – Wskazujący palec naszej wychowawczyni zawisł naprzeciw portretu w złoconych ramach: mężczyzna o szlachetnych rysach, z gęstwiną włosów zaczesanych do góry i w kurtce o wojskowym kroju, spoglądał nam wszystkim prosto w oczy, uśmiechając się ciepło. – Czujesz, jak promienieje dobrocią? Uważniej się przyjrzyj, a dostrzeżesz zatroskanie. Towarzysz Stalin martwi się o nas. Wie, że nie jest nam lekko. Odbiera nasze słowa, nasze myśli, każdego z nas z osobna, i wyczuwa bezbłędnie, kto go kocha, a kto jest wrogiem. Dla wrogów

nie ma litości! – Dłoń Anny Pietrowny zwinęła się w pięść. – W imię naszego szczęśliwego jutra.

– A kiedy to będzie? – spytała Jadwisia.

– Jutro – rzuciła z mocą wychowawczyni. – Jeśli będziemy wierzyć w Niego całym sercem.

Na jej znak wszyscy wstali i odśpiewaliśmy chórem:

Szyraka strana maja radnaja,
Mnogo w niej lesow, polej i rek,
Ja drugoj takoj strany nie znaju
Gdie tak wolno dyszyt czeławiek…

Tę pieśń śpiewaliśmy co rano w szkolnej kaplicy nazywanej krasnym ugołkiem. Była to największa izba w budynku szkolnym, ściany z potężnych lakierowanych bierwion, na nich portrety wodzów, bohaterów, ideologów: Lenin obok Engelsa i Marksa, dalej Kirow, Szczors, Czapajew, Ordżonikidze. Ale my śpiewaliśmy twarzami do ołtarza, przedniej ściany, na której dwa purpurowe sztandary z wyhaftowanym złotą nicią sierpem i młotem otulały podświetlony lampkami wizerunek towarzysza Stalina. Stalin patrzył prosto w oczy każdemu z nas, surowo i pytająco. Niczego nie dałoby się przed nim ukryć. Zresztą, co tu było ukrywać? Miłość? Oddanie? Wspólny śpiew rozpalał, wprowadzał w euforię.

Którejś nocy przyśnił mi się towarzysz Stalin, ale inaczej niż w „krasnym ugołku”. Stał przede mną, wyprostowany, olbrzymi. Nad jego głową w wieńcu z cierni jaśniała tęczowa aureola. Przywołał mnie do siebie skinieniem i przytulił do piersi, a ja poczułem, że unoszę się w powietrze. Sny lewitacyjne miewałem rzadko. Obudziłem się, zlany potem, wystraszony i bardzo szczęśliwy.

We wsi Szoszka, niedaleko od szkoły, stała cerkiewka z bali ciemnobrunatnych, z wieżyczką bez dzwonów. Dzwony przetopiono na potrzeby Armii Czerwonej, a w cerkwi był kołchozowy magazyn z przerdzewiałym żelastwem i pagórkami ptasiego łajna. Zajrzałem tam kiedyś. Spod kupek odchodów wyzierały fragmenty ikon z

łuszczącymi się wizerunkami świętych. Nijak miały się do portretu towarzysza Stalina w pozłacanych ramach.

Za dobre stopnie na koniec roku szkolnego dostałem od Anny Pietrowny kolorową pocztówkę z portretem Wodza. Rozpalał fajkę, mrużąc kocie oczy. Powiesiłem pocztówkę nad swoim siennikiem w baraku. Mama ją zdarła. Ryknąłem rozpaczliwie, jakby mi zdarła skórę z głowy. Usłyszałem, żebym nie ważył się nikomu o tym powiedzieć.

Gdy Niemcy stanęli pod Moskwą, całe sowieckie prawitielstwo uciekło do Kujbyszewa nad Wołgą. Stalin w Moskwie został, ryzykując życie, aby nas nie pozbawiać nadziei. I czerwonoarmiści stanęli murem, z własnych ciał tworząc barykadę, której Hitler nie potrafił sforsować.

Kiedy puste kiszki przeszywał mi ból, myślałem o towarzyszu Stalinie, którego brzuch boli jeszcze bardziej. To trochę pomagało.

Na apelu w „krasnym ugołku", przed rozpoczęciem lekcji, modliliśmy się słowami hymnu:

Nas wyrastił Stalin na sławu narodu
Na trud i na podwigi nas wdochnowił!…

ROZDZIAŁ 29

Czym skorupka za młodu nasiąknie… Jak się różnimy, Ptasidziobie? Ano tak, że ty z gniewem odrzucasz sensacje o zbrodniach Stalina, a ja… No właśnie. Przecież wiem, że posyłał na niepotrzebną śmierć miliony swoich żołnierzy, a wziętych do niewoli kazał po wojnie rozstrzeliwać jako zdrajców. Że pozamykał swój naród w łagrach, że mordował swoich najwierniejszych druhów, że polskim oficerom zgotował Katyń i że w najcięższych wojennych czasach na jego stole nie brakowało kawioru i gruzińskich win. Przyjmuję do wiadomości, że Józef Stalin był potworem bezwzględnym i okrutnym, lecz nie kupuje tego moja podświadomość. Podpowiada mi ona podstępnie, że w siermiężnych

sowieckich czasach łagiernicy byli darmową siłą roboczą, tworzącą potęgę Kraju Rad – to oni zbudowali kanał Wołga-Don, wielkie elektrownie i fabryki zbrojeniowe. Że polscy oficerowie wymordowani w Katyniu byli śmiertelnie niebezpieczni, zadali w dwudziestym roku klęskę Armii Czerwonej i chętnie by to powtórzyli, więc Stalin zwyczajnie ich się bał. Tak jak bał się Kirowa, który mógł go zdetronizować, ponieważ był ulubieńcem ludu. Zabijał tych, którym przestał ufać, swoich marszałków, starych bolszewików, bo podejrzewał ich o zdradę. Zapewne nie wyobrażał sobie, że można mu być wiernym, oddanym. Wymordował również własną rodzinę, oszczędzając tylko córkę Swietłanę, która dla nas, dzieci, była Córą Bożą. I z zacofanej Rosji stworzył w ten sposób supermocarstwo. Innego sposobu zapewne nie było. Tak uważa moja podświadomość i podpiera się faktem, że naród Stalina ubóstwiał. Nawet ci represjonowani. Ci, rozstrzeliwani na jego rozkaz, przed salwą egzekucyjną wykrzykiwali: „Niech żyje Stalin!".

Mam to za złe mojej durnej podświadomości, ale co z nią zrobię?

Nie jestem oryginalny. W aparaturę człowieka wmontowano procesor, który konfiguruje strach z uwielbieniem. Kto to wymyślił? A kto wymyślił prawie miłosny związek ofiary z katem?

On? Jaki On?

Nie wierzę w istnienie Boga. To głównie zasługa Anny Pietrowny, naszej wychowawczyni, która zmarła z głodu w 1944. Wierzyła w boskość Wissarionowicza, a jej fanatyczna wiara udzielała się nam. Modliłem się do Stalina, żeby mój ojciec nie zginął na froncie i żebyśmy wrócili do Polski. Czułem, że Stalin mnie kocha.

Wiarą nie da się sterować, choćby człowiek chciał, nie wiem jak bardzo. Ciekawe, czy Pan Bóg za to karze. Towarzysz Stalin już mi może nagwizdać. Ale ty, Ptasidziobie, jeszcze się pomęczysz. Nie tak dawno spotkałeś się w Nowym Jorku z niewidomym Aleksandrem Kiereńskim, stuletnim starcem, byłym demokratycznym premierem Rosji, którego obalił Lenin, jego kolega szkolny, wódz bolszewików. Staruszek nienawidził Lenina, lecz o Stalinie wyrażał się z entuzjazmem: „Współczesny Piotr Pierwszy, budowniczy potęgi Rosji! Budowanie potęgi imperium warte jest ofiar". Protestowałeś. Ale w duchu – duch, Ptasidziobie, to ekspozycja ludzkiej podświadomości,

nasz genetyczny feler albo ukryta doskonałość – więc w duchu zgadzałeś się z Aleksandrem Fiedorowiczem.

Nie przyznasz się do tego na głos, nawet mnie, że iskra wiary w boskość Ojca Narodów jeszcze się tli, jeszcze nie daje uwierzyć, że był zwyczajnym potworem – karłowatym rudzielcem z gębą dziobatą po ospie i małymi oczkami, w których umiała się czaić tylko podejrzliwość, nienawiść i okrucieństwo. Chyba lubił zabijać. Zwłaszcza przyjaciół, bliskich. Ideały komunistyczne były mu przykrywką do wszechwładzy nieliczącej się z losem człowieczym. Bogiem był czy Szatanem?

Od Boga do Szatana nie tak znowu daleko. Szatan, jak wierzącym wiadomo, to odtrącony anioł, którego Bóg wyznaczył do czynienia zła. Żeby nie było na Niego? Tyle nieszczęść wokół, tyle tragedii, tyle niezawinionych krzywd. Gdyby Bóg był Bogiem, czy pozwoliłby na to?

Pod warunkiem, mój Ptasidziobie, że miałaby uzasadnienie nasza pycha, przypisująca Mu ludzką moralność. To tak jakby figurki szachowe próbowały narzucać szachiście taktykę gry.

Idziemy do kuchni. Do żeliwnej głębokiej patelni, już rozgrzanej na gazie, Ptasidziób wrzuca grube plastry bekonu. Ja wolałbym nasz boczek przerośnięty tłuszczem, ale takiego na Manhattanie nie uświadczysz, no, może u polskiego rzeźnika na Brooklynie, tyle że to kawał drogi od Columbii.

Kuchnia jest duża i mroczna, z oknem przy dnie podwórzowego komina. Komin ma wysokość kilkunastu pięter. Słońce nigdy nie sięga tu dna, nieba w oknie nie widać. Trzeba palić światło.

Na podsmażony bekon wbijamy kilka jajek, które zalatywałyby mączką rybną, gdyby nie aromat bekonu. Toster. Grzanki. Masłopodobna margaryna, dużo tańsza od prawdziwego masła, a smakuje podobnie.

Zegar pokazuje wieczorną godzinę.

Przypominam sobie o L. Moja ukochana, bezbronna, zupełnie sama w szklanym pudle Edwarda Love zawieszonym na trzydziestym piętrze. Po co ją tutaj przywiozłem? Moją nowojorską przeszłością nie ma co się chwalić. Nikt tu nie pamięta Ptasidzioba i jego filmiku

Pół cudu, moi studenci, którzy zostali profesorami, są już na emeryturach. Trwają tylko budynki z brunatnej cegły, postarzałe drzewa, aleje, posągi. Mogłem pokazać je L. w internecie, nie ruszając się z naszego warszawskiego domu. Ale to nie to: bez zapachów, mgiełki, studenckiego gwaru w zadymionym barze West End naprzeciw głównego wejścia do Columbii?

Prowadzę L. do baru West End na rogu Broadwayu i Sto Szesnastej, a baru nie ma. Jest standardowa kawiarnia z sieci Starbucks, taka sama jak w Pernambuco, Tuluzie czy Grójcu. Nie ma również chińskiej restauracji Moon Palace, do której zapraszał Ptasidzioba Edward Love i witając się z właścicielem, siwowłosym Chińczykiem, powtarzał w kółko ten sam głupi dowcip:

– Hello, Sun Yang, poznaj mojego tatusia, właśnie przyleciał do mnie z Polski.

Stary Sun Yang witał mnie z powagą i bez zdziwienia, choć wyglądałem na pewno młodziej od Edwarda Love-Lewandowskiego, i pytał, jak mi się podoba Nowy Jork.

– Wolę Szanghaj – odpowiadałem za każdym razem.

Sun Yang, właściciel Moon Palace, urodził się w Szanghaju.

L. jest projektantką w znanym domu mody. Przydała jej się historia sztuki uzupełniona talentem plastycznym, smakiem i wyobraźnią. O jej kreacje biją się aktoreczki i piosenkarki. Szef firmy przepowiada, że wiosenna kolekcja, którą L. kończy projektować, zrobi furorę w Paryżu, Rzymie i Moskwie. L. potrafi odgadywać najśmielsze marzenia kobiet i nadawać im kształt w jedwabiach, brokatach, koronkach i skórze, szokując kontrapunktami kolorów. Sama ubiera się w proste szarości i czernie. Ani śladu ekstrawagancji. To, z czym inne obnoszą się na pokaz, L. wypowiada w swoich szaleńczych pomysłach, które zawsze trzyma w ryzach dobrego smaku. Służbowo jest konkretna i powściągliwa, prywatnie ciepła i skryta, a przy mnie, tak naprawdę – dziecinnie nieśmiała, wiecznie czymś zdziwiona, pełna lęków. Kto nie ma lęków? Idioci. Sam jestem z nich utkany, spać mi nie dają po nocach, przepoczwarzane w niepokoje, przesądy, czarne myśli. Ale trzymam je pod kluczem. Żeby się nie dać zadeptać, trzeba być pewnym siebie. Takim widzi mnie L. Inaczej, co by z nas była za para? Dla L.

jestem partnerem opiekuńczym, opanowanym i trochę tajemniczym dzięki dużej różnicy wieku: mam tak zwane życiowe doświadczenie. I te sukcesy filmowe – za sobą. Właśnie, za sobą. Ona ma dopiero przed sobą nadzieję na spełnienie marzeń. A ja co? Jajecznicę z bekonem w towarzystwie Ptasidzioba. Dłubanie w czasie, jak w nosie. Co można wydłubać z własnego nosa?

Jajecznica jest w porządku, tosty waciaste. Nie ma to jak pajda naszego razowca posmarowana grubo smalcem ze skwarkami. Czniać cholesterol. Jeśli dobrze pamiętam, a cholesterol szkodzi na pamięć, Ptasidziób nie ma o nim pojęcia. Każdy czas ma swoje straszydła, w jego czasie było nim AIDS, a może jeszcze nie, kto by to pamiętał. Coś być musiało, żeby ludzie się bali.

Dłubiemy widelcem w jajecznicy i nadstawiamy uszu, czy nie zadzwoni domofon. Gdzie jest teraz Ilana? Z Nadirem? Może u wuja w Connecticut? Jeszcze gdzie indziej? Jest taka piękna, wyzywająco złotowłosa i smukła jak młoda brzózka, gdzie tam do niej Marilyn Monroe, męskie oczy pożerają ją z kosteczkami. Pośród tylu pokus trudno dochować wierności. A przecież Ilana twierdzi, że wierna ci jest, choć śmieje się przy tym, figlarnie mruży oczy. Wierzyć, nie wierzyć? Nadira uwodzi, sama przyznaje się do tego, jedynie uwodzi, nic więcej. No to po co? Może po to, aby się ubezpieczyć przed tobą, Ptasidziobie? Nie zostać samej, gdy wybije niedobra godzina. Mieć obok siebie pocieszyciela, gwiazdora, księcia. Żeby mniej bolało, dobrze jest zwariować.

Nie zostawiłeś jej wyboru.

Czy nie zapewniłeś z rozpaczliwą determinacją, że nie porzucisz żony w żadnych okolicznościach? Że w razie przyjazdu Anny do Nowego Jorku, a jej wizyta tutaj jest coraz bardziej prawdopodobna, zerwiesz z Ilaną dwa tygodnie wcześniej, ponieważ potrzebna ci będzie kwarantanna? Byłeś jednak rozgoryczony, gdy parsknęła śmiechem i skwitowała twoją zapowiedź wzruszeniem ramion. „No co ty, przecież wiem, nie ma sprawy”. Oczekiwałeś błagań, być może łez. Przyznaj się, Ptasidziobie. Bardzo cię zabolało to „Nie ma sprawy”.

I dobrze ci tak.

Nie doceniałeś Ilany.

ROZDZIAŁ 30

Spędzimy z nią noc, jedną z nocy, których się nie da zapomnieć pomimo cholesterolu w naczyniach krwionośnych mózgowia.

…Najpierw dwie świece. Dwa złotawe płomyki pełgające migotliwie po obu stronach cynowej misy z czereśniami. Czereśnie są ogromne, połyskliwie wilgotne w blasku świec i bardzo słodkie, ale nie pachną. Dwa kieliszki z cienkiego kryształowego szkła, wysokie i smukłe, melodyjnie dzwoniące, gdy trącić je paznokciem. Zapewne bardzo stare, kupione w sklepiku z antykami na Amsterdam Avenue, z wyblakłymi monogramami IP.

Ilana–Ptasidziób? Nie przesadzajmy z przeznaczeniem, dajmy szansę przypadkom.

Czerwone wino kalifornijskie w dwulitrowej butli, przyzwoicie wytrawne, jeśli pamiętać, że na promocji kosztowało cię pięć dolarów. Ostrożnie napełniasz oba kieliszki, nie odrywając przy tym wzroku od kocich oczu Ilany. Jest w nich światło, być może odbite od świec.

Pijecie w milczeniu. Ilana jest z natury małomówna, woli słuchać, lubi się śmiać. Mało wiesz o niej, a to, co wiesz, nie trzyma się kupy, często sprzeczne ze sobą, bez sensu. Ale zabawne. Ilana chętnie żartuje z siebie. Swoją przeszłość traktuje z przymrużeniem oka, jakby nie działa się naprawdę. Należy do gatunku „teraźniejszych”, poza czasem przeszłym i przyszłym. Albo się mylę. Może taką udawać.

Po każdym łyku wina Ilana zdejmuje coś z siebie. Szyfonową chusteczkę z szyi. Sandałki. Bransoletkę z jaspisów, jaspisowe kolczyki, złoty łańcuszek z krzyżykiem. Koronkową białą bluzeczkę z głębokim wycięciem. Granatową spódniczkę z suwakiem na lewym biodrze.

Nie nosi staniczka. Jej piersi są twarde, w kształcie gruszek, z różowymi sutkami, które sztywnieją i kurczą się, gdy na nie patrzysz. Widać ich zarys przez koronkę.

Ty też się rozbierasz. Najpierw pantofle, skarpetki, potem koszula, w końcu dżinsy. Sucho ci w ustach, wino nie przepłukuje ściśniętego

gardła. Serce zamiera, na chwilę przestaje bić, później wali jak młotem, i tak na zmianę.

Kiedy zostajesz w samych bokserkach, Ilana klęka przed tobą i wolniuteńko rozsuwa ci kolana. Ściąga bokserki i bierze cię do ust. Robi to z lubością i przejęciem, jak mała dziewczynka, która dostała lizaka. Lizak po angielsku to „lollipop", zabawne słówko.

Nie wytrzymujesz długo tej pieszczoty. Rwiesz się do jej ciała. Świece migają złociście, a wy już na tapczanie, już spleceni ze sobą, zwarci, jak w śmiertelnym uścisku. Ilana krzyczy. Wyrzuca z siebie pojedyncze słowa bez ładu i składu, angielskie i polskie, czasem tylko sylaby. Ty się dusisz ze szczęścia.

Z nikim nie było ci tak dobrze.

Przypuśćmy.

– Niech tak zostanie na zawsze – zaklinasz zegar.

Zatrzymać czasu nie umiał nawet Albert Einstein. Ale ty się o to modlisz. Tylko do kogo?

– Niech tak zostanie na zawsze… – szepczesz prawie bezdźwięcznie, Ilana jednak cię słyszy i śmieje się cichutko.

– No co ty, czemu na zawsze? Za każdym razem inaczej. Cudowniej, cudowniej i cudowniej, no nie?

– Co mam zrobić? – rzucasz przez zęby. – Nie chcę rozstać się z tobą. Z nikim nie byłem taki szczęśliwy, czy ty to rozumiesz?

– Co tu rozumieć?

– Idiotko! Kto rezygnuje dobrowolnie ze szczęścia? Ja będę musiał. W mojej rodzinie nigdy nie rzucano żon, taka tradycja od wieków, gołębie pary, absurd jakiś.

– Może Anna zechce, żebyś był szczęśliwy?

– Nonsens.

– Jeśli cię kocha.

– Kobiety tak nie kochają. – Wtulasz w siebie Ilanę prawie ze wszystkich sił, jakbyś chciał ją stopić ze sobą, zespolić w jedną niewidoczną całość. – Tylko my, faceci, wybieramy obowiązek.

– To ja jestem facet? – śmieje się cichutko Ilana. – A jak jej ciebie nie oddam?

Odsuwasz się od Ilany. Leżysz na plecach, tępo patrząc w sufit, po którym pełzną cienie dogasających świec. Niepokój. Zaraz potem

strach.

Ilana przybliża się i oplata cię ramionami.

– No co ty, żartowałam.

Potem telefonuje do Nadira. Trzyma słuchawkę lekko, nie przyciskając do ucha, więc słyszysz jego roztrzęsiony głos:

– Obiecałaś!… I'm waiting!… Ilana, please, I miss you so much…

– Impossible, my dear. – Ilana chichocze do słuchawki. – Wiesz, gdzie teraz jestem? No, zgadnij! Jestem w łóżku z moim kochankiem, właśnie skończyliśmy się kochać, jesteśmy tacy zmęczeni, cudownie było…

– Przestań kłamać! – przerywa jej perski książę. – Gdzie jesteś? Zaraz po ciebie przyjadę, podaj mi adres.

– I am so happy, my dear – szepcze zmysłowo Ilana i odkłada słuchawkę.

Z m y s ł o w o. Zmysłowy szept to specjalność Ilany, uwodzicielski instrument u progu doskonałości. Żaden gość się nie oprze.

– Jak mogłaś mu powiedzieć?! – wybuchasz.

– No co ty. Ja powiedziałam mu prawdę, a on nie uwierzył. Uśmiać się można…

I faktycznie, śmieje się cichutko, gardłowo, jakby do siebie.

– Więc to tak? Co to za gra, do jasnej cholery?! W co ty się z nami bawisz?!

Pytlowałbyś dalej, ale wargi Ilany zamykają ci usta, jej dłoń jest już między twoimi udami i gniew przechodzi skokowo w pożądanie.

Mam was dosyć. Znikam. Pamiętam, co było dalej – chłodno, same fakty, bez doznawania uczuć. Uczucia też pamiętam, nawet za nimi tęsknię, ale na tym się kończy. Chętnie bym poprzeżywał na nowo, nawet pocierpiał, porozpaczał, powściekał się na siebie, na nią, na całą obłudę dekalogu, tylko nie da już rady. Co wypalone, tego nie rozpalisz.

Ale została sympatia, rodzaj wdzięczności wpisanej w pamięć na zawsze. Będziemy myśleć ciepło o wszystkich kobietach, z którymi bywaliśmy szczęśliwi. Pozostaniemy ich przyjaciółmi na odległość, bez potrzeby kontaktu, lecz w razie czego mogą na nas liczyć.

Tylko co to znaczy?

No właśnie. Jedno z pytań, na które nie umiem sobie odpowiedzieć.

ROZDZIAŁ 31

List od Anny. Radosny, pełen wykrzykników. Wstawił się za nią szef kinematografii. Dostała paszport i trzymiesięczny bezpłatny urlop. Agnieszką i Kają zaopiekuje się babcia, a ona przylatuje do mnie już za dwa tygodnie, wiza i bilet załatwione. Czy jestem w siódmym niebie?

Jasne, że jestem. Co tam siódme, w dwudziestym siódmym, tym najwyższym. Też nie oszczędzam na wykrzyknikach. Wrzucam list do skrzynki i wracam do siebie na Sto Trzynastą z chaosem pod czaszką, bo mierzą się tam ze sobą radość i rozpacz. Żałosna próba porządkowania. Anna: rodzina, bliski człowiek, matka moich dziewczynek. Ilana: miłość, szaleństwo. Umowa społeczna nie pozwala tego połączyć, tolerancja to puste słowo tam, gdzie w grę wchodzą uczucia. Ilana, świadoma swojej przewagi, być może przystałaby na obecność Anny, lecz Anna za nic. Nawet nie muszę wybierać, zrobiłem to na początku, uprzedzając Ilanę. I co z tego? Nie chcę rezygnować ze szczęścia. Tyle że moje chcenie się nie liczy, za czternaście dni odbieram Annę z lotniska i nie wolno mi pokazać po sobie, co czuję. Trzeba będzie zagrać. Tym razem będę aktorem we własnym filmie, w jednej osobie aktor i reżyser, to dość częste, choć nie w dokumencie. Dokument ma być zapisem prawdy. Ja będę udawał. Już mnie mdli na samą myśl o tym. Pójść z nią do łóżka – męska prostytucja. A tego przecież nie uniknę.

Masz to jeszcze przed sobą, Ptasidziobie. Ale się zbliża. W całym cholernym pokomplikowaniu, którego jeszcze nie podejrzewasz. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci opowiedział, co cię czeka wkrótce.

Pójdziecie obok siebie przez dziedziniec uniwersytecki. Będzie świeciło blade zimowe słońce, na schodach przed rektoratem, wokół

posągu Alma Mater, grupki studenckie, jakaś trawiastooka – szkła kontaktowe – zajada się hamburgerem, z którego spływa czerwona strużka keczupu, jakiś blondas w kowbojskiej kurtce gra na gitarze, oparty o cokół rzeźby.

Ilana czekała na ciebie pod Lewisohn Hall. Skończyłeś seminarium. Idziecie na piwo do West Endu, Ilana uparła się, ona stawia.

– Za dwa tygodnie przylatuje Anna – rzucisz jakby mimochodem, patrząc na blondasa z gitarą.

Dech ci zapiera, czekasz na reakcję Ilany.

Nie ma reakcji. Ilana nosi purpurową wełnianą kurteczkę do czarnych dżinsów. Złote kędziory w nieładzie, igra nimi zimny zachodni wiatr. Brzoskwiniowe policzki z lekka zarumienione od mrozu. Studenci gapią się na nią, studentki też, ale inaczej, oceniająco.

– Za dwa tygodnie – powtórzysz. – Dziś dostałem wiadomość.

Zero reakcji.

Wejdziecie do West Endu. Powietrze gęste, ciepłe, aromatyczne od tytoniowego dymu. Pełno jest, ale znajdziecie dwa stołki w głębi, w kąciku, akurat zwolnione przez parę Kreoli. Dla ciebie mocne piwo Colt, dla Ilany imbirowe, bez alkoholu.

Ilana pochyli się do przodu, zamknie oczy i nadstawi lekko rozchylone usta. Lubi tak robić w publicznych miejscach, w przeciwieństwie do ciebie jej nie krępuje obecność innych, że się na was gapią, chyba to nawet lubi. Całujesz. Pocałunek jest długi, Ilana nie pozwala go skończyć, wolnym ramieniem trzyma cię za szyję. W drugiej ręce ciemne imbirowe piwo z różową pianką.

– Jutro wrócę późno – usłyszysz. – Muszę się z kimś spotkać. Nie z Nadirem, no co ty, po prostu z kimś.

– Masz widzenie z bratem? – zapytasz jakby nigdy nic.

O bracie Ilany powiedział ci konsul. Jakoś tak dziwnie ci powiedział, trochę znacząco i z lekkim naciskiem. Był czy nie był zaskoczony, że nie wiesz? Kazał ci się nad tym zastanowić i wyznał, że też się zastanawia. Nic, powiedział, nie dzieje się bez przyczyny, zwłaszcza gdy tyle was łączy – skąd wie, że „tyle”? – a tu raptem sekret.

Ilana nie zdoła ukryć zaskoczenia. Weźmie głęboki oddech.

– Skąd wiesz o moim bracie?

Więc konsul nie zmyślił. O narkotykach też nie. Chyba nie. I że nikt z bliskich chłopca nie zwrócił się o pomoc do konsulatu.

– Świat jest mały – zauważysz banalnie.

– Co jeszcze wiesz?

– Amfetamina.

– Wrobili go. Wstydziłam się przed tobą. Ale on jest niewinny. Muszą go wypuścić, przyrzekłam to mamie. On nie może siedzieć w więzieniu, on się boi, może dostać ataku serca, zwariować może, taki wrażliwy, biedny, Jezu słodki…

Bełkot. Przerażenie w oczach. Za wiele tego przerażenia, jakby kilka pięter. Co przyrzekła matce, jaki ona ma wpływ na tutejszy wymiar sprawiedliwości?

Nie zapytasz o to.

– Jeśli jest czysty, wypuszczą go – zapewnisz Ilanę.

Zacznie ci opowiadać o swoim młodszym braciszku. Bez ładu i składu, chaotycznie, że w dzieciństwie się jąkał, pięknie rysuje, to on ją namówił na Amerykę, matkowała mu tutaj, poznał jakiegoś Peruwiańczyka, a taki naiwny jest, taki jeszcze dziecinny. Urwie nagle. Nadstawi wargi do pocałunku, żeby zamknąć sprawę. Oplecie ci szyję ramionami, jakby się bała, że jej uciekniesz. Nie dojdziesz nigdy, czego się bała. O brata? Że ciebie straci? Że wiesz więcej, niż jej powiedziałeś? Że przyjeżdża Anna? Decyzji, którą podjęła, podejmie, musi podjąć? Nie przekonasz się, nie sprawdzisz, tak już zostanie.

– To ona tu przyleci za dwa tygodnie – usłyszysz jej szept. – Tylko tyle zostało mi powietrza.

– Co ty gadasz, Ilanka?

– Nasza umowa.

– Ja nie mam wyboru – powiesz z naciskiem, palcami miażdżąc jej dłoń. – Nie mam wyboru, nie mam wyboru.

Ilana wyrywa rękę. Przez dymną zasłonę przebija się blask jej oczu.

– Ja mam wybór. A jak będę walczyć o ciebie?

– Nie odważysz się!

– Opowiem jej o nas. Jeśli jest honorowa, sama od ciebie odejdzie, ja bym tak zrobiła.

– To zrób. Bądź honorowa.

Ilana wybucha śmiechem. Jak zazwyczaj, nie rozumiesz jej śmiechu, może to być śmiech rozbawienia albo szyderczy, wieloznaczny, przewrotny, nawet głupawy. Ilana śmieje się kobieco, więc tajemniczo. Potem zabiera się do całowania, teatralnie przechylona nad stolikiem, ramionami oplatając ci szyję. Wydłuża pocałunek, aby każdy w West Endzie mógł to zobaczyć. Próbujesz wyzwolić się z uścisku, nic z tego, ramiona jak kleszcze, zęby Ilany ranią ci dolną wargę, ledwo powstrzymujesz się od krzyku. Namiętność czy okrucieństwo?

Chyba ma łzy w oczach. Przez zawiesinę sinego dymu dostrzegasz kroplę spływającą obrzeżem lewego policzka ku podbródkowi. Obok, przy okrągłym stoliku, siedzą dwaj zakochani w sobie blondyni. Jeden ma włosy proste, spadające na czoło, drugi złociste kędziory wokół rumianej buzi cherubinka. Trzymają się za ręce. Nie robią tego ukradkiem pod stołem, tylko jawnie, na blacie, obok kufli z piwem, którego jeszcze nie tknęli, tak są pochłonięci patrzeniem sobie w oczy. Miłość to miłość, bez względu na płeć, ale w tobie takie czułości budzą niesmak. Już ich nie nazwiesz zboczeńcami, zwłaszcza tu, w Nowym Jorku, gdzie żadna miłość nie jest nienormalna, ale do tolerancji jeszcze ci daleko.

Blondyn prostowłosy przechyla się do przodu i całuje w usta cherubinka. Potem obaj sięgają po kufle z piwem.

– Ona pobędzie, pobędzie i wróci, a ty zostaniesz – mówi Ilana. – Co wtedy?

– Z nami?

– Nie wiem. A ty wiesz?

– Ja wiem – rzucasz prawie stanowczo. – To musi być prawdziwy koniec. Inaczej… No, inaczej zwariowałbym.

– Nie mów tak.

– Łajdakiem nie chcę być. Ani cynikiem. Mam dosyć własnej słabości albo hipokryzji, jeśli wolisz.

– Nie kochasz mnie? – zapyta Ilana.

– Moich uczuć w to nie mieszaj – odpowiesz. – Ten krzyż dźwigam sam.

– Będzie bolało.

– Dam sobie radę.

– Ja nie o tobie mówię. Boję się bólu, wiesz? Jestem strasznie nieodporna na ból.

Odsuniesz się od Ilany, przechylisz do tyłu, przez chwilę będziesz patrzył na parę blondynów. Duszno w West Endzie, zatęsknisz nagle za haustem świeżego powietrza, za zimną bryzą od oceanu. Po co się urodziłeś? Był w tym jakiś zamysł czy odwieczna bezosobowa multiplikacja? Jeśli to drugie, nikogo nie obchodzą twoje zasady, męki, wątpliwości, twoje ptaszeństwo albo ptasiowatość, inność pustokostna, nieznośna lekkość, którą wstydliwie ukrywasz, żeby się nie wyróżniać. Ptakopodobnym przypisuje się paskudne cechy. Wśród nich gatunkową solidarność, koniunkturalizm i fanatyzm, co przecież trudno ze sobą pogodzić, a jednak. Ptakowaci jakoby godzą. To oni wynaleźli gilotynę, kulomiot, komorę gazową i rozbili atom. Byli zamieszani jako tajni bankierzy w matactwa króla Ludwika XVI i w rewolucję francuską, przyłożyli się nieźle do październikowej. Z Hitlerem im nie poszło, ale udało się z Fidelem Castro i Pol Potem. Jaki mieli interes w stworzeniu chrześcijaństwa i dlaczego nie wyszło im z islamem? Nadzorują niebo, jak na ptactwo przystało – to tam, a nie w ziemi czy wodzie, uplasowany został Zeus ze swoim dworem, tam odleciał Budda, zamieszkał Wisznu, stamtąd nadejdzie Mesjasz, jeśli mu na to pozwolą. Daj sobie spokój, Ptasidziobie. Po prostu duszno ci. Czoło masz mokre, ciepły strumyczek spływa między łopatkami. Nie ma życia bez Ilany. Kto mówi o życiu? Jest obowiązek, honor, są zasady elementarnej przyzwoitości i standardowa lojalność. Przysięgniesz Annie, jak zawsze, że nigdy jej nie zdradziłeś, i wytłumaczysz sobie, że to prawda, ponieważ z żadną inną kobietą nie masz córek, żadnej nie nazwałeś żoną, nie przysięgałeś wierności.

Paskudny z ciebie facet, Ptasidziobie. Skręcasz swoje filmy dokumentalne podszyte buntem i szlachetnością, żeby siebie usprawiedliwić. Budzisz cudze sumienia, a co z własnym? Mam ja się

z tobą, oj, mam się. Czemu nie przyszedłem na świat jako Matka Teresa? Komu by to przeszkadzało?

Ludziom z talentem wolno więcej. Wielkiemu poecie francuskiemu, który nie dożył dwudziestki, zaciukany w bójce, nie ma się za złe, że był rzezimieszkiem i łotrem. Ale i z tym nie przesadzaj, Ptasidziobie. Są od nas lepsi. Zawsze są. Na milion geniuszy wynoszonych za życia, po stu latach od śmierci ostaje się jeden. Jezus, Homer, Sokrates, Mahomet, Michał Anioł, Beethoven, Szekspir, Dostojewski, Einstein, Eisenstein, kto tam jeszcze? No, kilku. Może kilkunastu. Szkoda gadać. Nasz talent, Ptasidziobie, czy raczej uzdolnienia, średnie poniekąd artystyczne predyspozycje nie wystarczą na chwałę nawet do końca życia. Nie oprą się przemianie, która jednych wywyższy, a innych zmiecie i nic to nie będzie miało wspólnego z darem bożym, tylko z polityką, grą sił, rewanżem. Zasłużyłeś sobie na to. Czym zasłużyłeś? Jakie to ma znaczenie, głuptaku?

Nie obrażaj się za „głuptaka". W końcu obrażałbym samego siebie, a na to chętnych nie bywa. W naszym pokoleniu roi się od głuptaków. Reszta to głównie nieudacznicy.

Sięgniesz po dłonie Ilany, rozłożysz je w wachlarz i ukryjesz w nich czoło. Dłonie są chłodne, łagodzą żar napiętej skóry, pulsowanie w skroniach.

– Nie chcę tego wszystkiego… – wymamroczesz. – Dlaczego nie może być tak, jak chcemy?

– Bo chcemy nie tego, co mogłoby być. – Ilana śmieje się cicho. – Chodźmy stąd zaraz. Muszę pójść z tobą do łóżka.

ROZDZIAŁ 32

Łóżko to dobra ucieczka przed zamętem. Na ulicach studenci bili się z milicją, wznosili barykady z parkowych ławek, żądali wolności, a milicjanci, w obronie wolności przed kontrrewolucją, pałowali, ile wlezie, wspomagani przez podejrzany aktyw robotniczy. Dlaczego podejrzany? Przez jednakowe zielone płaszcze i identyczne kaszkiety w szarą kratę. Padał marcowy deszcz ze śniegiem, pojmanych

studentów upychano do suk. A ja, rozdarty jak szmata, rozpięty między wiarą w ustrój i dziwnym łomotem serca po przeciwnej stronie, uciekłem do łóżka Manueli.

Pragnąłem jej od dawna, ale byłem bez szans. Wielkooka, smolistowłosa tancerka, smukła i zwiewna jak ptak, którego tańczyła w *Jeziorze łabędzim*, traktowała mnie jak kumpla. I tyle. Jej przodkowie pochodzili z Peru. Była zakochana w swoim mężu, młodym filozofie ze sporym już dorobkiem naukowym, przystojnym na dodatek jak filmowy amant. Ale Szymon wyjechał na roczne stypendium do Wenezueli, a może na Kubę. Manuela nie potrafiła rozładować w baletowej harówie swego temperamentu, trudnego do wyobrażenia w jej dziecięcej kruchości. Rok to było za długo, a ja czaiłem się jak drapieżnik, wyczekując chwili.

W końcu nadeszła. Wpadłem, aby zaprosić Manuelę na projekcję mojego *Lamentu o świcie*, cenzura wreszcie przybiła stempelek, odwojowałem dwie sceny bardzo dla mnie ważne, przekonawszy partyjnego bonzę, że śmierć cywilna mojego bohatera będzie dramatyczniejsza w swojej wymowie oskarżycielskiej niż odruch samobójczy, na co nie chciał zgodzić się cenzor. Dlaczego nie pomyślałem wtedy, ani później i jeszcze później, że władza nie chce prawdy, bo się jej boi? Władza – jak każda władza? – była w konflikcie z prawdą. Argument „prawdziwości" wywoływał skutek odwrotny od zamierzonego. To proste. Jak można było nie dostrzegać rzeczy prostych? Mądry Polak po szkodzie. Przed szkodą Polak, choć z oporami, przyjmował do wiadomości, że liczy się nie „prawda", ale „czemu to służy".

Manuela brała kąpiel. Drzwi wejściowe były otwarte. Usłyszałem, że kąpie się i mam zaczekać w jadalni. Chyba coś w jej głosie wydało mi się dziwne, a raczej nie tyle mnie, ile mojej podświadomości, która zareagowała podnieceniem. Być może Manuela akurat się dotykała, żeby siebie wyciszyć, a może czyniła to w myślach, otulona pachnącą pianą i do bólu spragniona mężczyzny. Nie zamknęła się od środka w łazience. Wtargnąłem tam i zamarłem w progu, narkotycznie oszołomiony aromatem kąpieli i mglistym zarysem kobiecego ciała w przybraniu tęczowych bąbelków.

Manuela nie wydała dźwięku. Wynurzyła się z wody i stanęła wyprostowana, nie próbując zasłonić piersi ani łona. Jak w letargu, bardzo powoli, ruszyłem przed siebie, nie odrywając wzroku od jej rozszerzonych źrenic. Wszedłem do wanny. W butach, skarpetach, spodniach. Piana sięgnęła mi do połowy łydek. Skamieniały w bezruchu, czekałem, aż Manuela skończy odpinać mi guziki, uwalniać od swetra, koszuli, dżinsów. Obudziła mnie moja nagość. Wciąż bez słowa, przywarliśmy do siebie, osuwając się w ciepłą pienistość, która zaczęła się przelewać nad skrajem wanny. Wziąłem Manuelę pod wodą, nie przeszkadzając jej krzyczeć, pozwalając dusić się w kurczowym uścisku ramion. To nie było zwykłe męskie pożądanie, gasnące z wytryskiem. Odkryłem raptem, że ją kocham. Jak mogłem nie wiedzieć o tym wcześniej?

I się zaczęło. Pamiętasz, Ptasidziobie? Złodziejska miłość z przekonaniem, że nie ma przyszłości. Jest Anna i są moje córki. Nie odejdę od nich. Obowiązek, lojalność, wyrzeczenie. Manuela musi to zaakceptować, ona też nie powinna rozstać się z Szymonem, są doskonałą parą. Zestarzeją się razem – dwoje sympatycznych staruszków, których widuję na pogrzebach. Właśnie biorą do ziemi z naszej półki.

ROZDZIAŁ 33

Kiedy to piszę, opowiadając twoje spotkanie z Ptasidziobem na nowojorskiej Sto Trzynastej Ulicy latem 2005 roku, jest grudzień roku 2011 i właśnie zmarł mój bliski przyjaciel Zbigniew, introwertyczny myśliciel i pisarz niedoceniony. Pół świata znało go jako stwórcę oficera Wehrmachtu przystojniejszego niż James Bond, polskiego agenta, który wodził za nos hitlerowców. Mniej znało Zbigniewa jako autora kilku powieści wybitnych, trudnych, wielowarstwowych intelektualnie. Ale tak to już jest. Conan Doyle jest sławniejszy od Jamesa Joyce'a.

Był stary, ale nie chciał jeszcze umierać. Zwierzył się synowi, sławnemu nie mniej, choć inaczej niż ojciec, że potrzebuje dwóch lat

życia, żeby dokończyć pamiętniki. Zapewne byłyby fascynujące, wyjaśniłyby kilka zagadek z jego życiorysu. Na przykład kto na kogo doniósł sowieckiemu komisarzowi, nadzorcy batalionu Ludowego Wojska Polskiego, tuż pod koniec wojny – Zbigniew na swego kolegę, akowca, pod przymusem wcielonego do armii, który mu zaproponował wspólną dezercję? Czy ów akowiec, przeciwnik służby w komunistycznym wojsku, który na przesłuchaniu „z użyciem środków przemocy fizycznej" – tak nazywano wyrywanie paznokci, rażenie prądem, ściskanie jąder w imadle – wymienił wszystkie dwadzieścia siedem nazwisk żołnierzy zamierzających wraz z nim zdezerterować? Uważne porównanie dokumentów zachowanych w archiwum Informacji Wojskowej wyjawiło, że akowiec był aresztowany i przesłuchany dzień wcześniej. Kapral Zbigniew napisał swój donos pod dyktando komisarza, gdy ten pokazał mu zeznanie kolegi. Wśród niedoszłych dezerterów było i jego nazwisko.

Dwudziestu siedmiu skazano na śmierć i rozstrzelano. Ocalał tylko mój przyjaciel w nagrodę za donos. Kaprys komisarza? Łut szczęścia w nieszczęściu?

Zbyszek był mądry i pamiętliwy jak słoń. Mało mówił. Jego życiem codziennym rządziła żona. Ubierała go w wykrochmalone koszule, kolorowe fulary, tweedowe marynarki, a on nawet o tym nie wiedział. Wtrącać się w Zbyszka życie wewnętrzne szczęśliwie nie przychodziło jej do głowy. Był dla niej tajemniczym geniuszem, który wyczarowywał piórem z papieru, a później z głębin laptopa swoje własne światy. Czasami, w chwilach doniosłych, jakby ciut-ciut unosił się nad ziemią, ale nic to pewnego, bo jego matka była rodowitą hrabiną i z ptactwem nic wspólnego nie miała. No, może z wyjątkiem męża, doktora szacownego z wąsem à la Piłsudski, o którym to i owo szeptano w Berdyczowie, a Niemcy, zająwszy Polskę, zabronili mu leczyć katolików. Wtedy podciął sobie żyły, lecz go odratowano.

Zbyszek uczył mnie wątpić we wszystko. Byłem wtedy Ptasidziobem i opierałem się z pasją, podejrzewając, że kpi sobie ze mnie. Później, gdy mnie zaczęły opadać zwątpienia, mój starszy przyjaciel oświadczył, że nie czas na to, zwłaszcza że tak naprawdę nic nie jest naprawdę. Miał czy nie miał racji?

Po upadku Związku Sowieckiego i naszej transformacji zwieńczonej reformą Balcerowicza, która w ułamku chwili zapełniła towarami puste dotąd półki sklepowe, z polskich pieniędzy zrobiła bezwartościowy papier, doprowadzając do samobójstwa sporą garść emerytów, a z artystów uczyniła nędzarzy, więc po tej dramatycznej reformie wymyśliliśmy ze Zbigniewem tygodnik dla załamanych. Miał być ucieczką z bezlitosnej rzeczywistości w baśń. Opowiadać o ufoludkach, skarbach na dnie jezior, receptach na wygraną w totka i maści na porost zębów, o jasnowidzach i cudotwórcach. Jeden z nich faktycznie okazał się fenomenem, leczył dotykiem dłoni, uzdrawiał na odległość.

Znaleźliśmy wydawcę, który zgodził się zaryzykować i wyłożył sporą sumę na druk. Zwróciła mu się w trójnasób już po publikacji pierwszego numeru tygodnika. Wkrótce nakład przekroczył milion i rósł nieustannie. Zagubieni, wycieńczeni twardą codziennością ludzie wypoczywali w naszej krainie bajek. Wyleczeni przez uzdrowiciela słali dziękczynne listy. Inni błagali o maść na porost zębów i namiar na Bursztynową Komnatę, ukrytą w jednej z beskidzkich pieczar. Spotkania z kosmitami na Warmii i Mazurach przestały być czymś wyjątkowym, a publikacja fotografii Hitlera ukrywającego się w Kolumbii pod nazwiskiem Tschapnick była prawdziwą sensacją.

Dobry artysta to dobry rzemieślnik i żadna to dla niego ujma. Bywał nim Michał Anioł, Leonardo da Vinci. Dla pieniędzy na zamówienie komponował Beethoven i Mozart, pisał Molier i Goethe, Salvador Dali dekorował rezydencję Heleny Rubinstein. Z woli wydawcy ja zostałem redaktorem naczelnym tygodnika, a Zbigniew moim zastępcą. Dlaczego nie odwrotnie? I dlaczego Zbyszek nigdy mi tego nie wybaczył? Mógł nie wybaczyć wydawcy, ale to mnie uczynił czarnym charakterem w swojej sensacyjnej powieści, której akcja toczy się pośród dziennikarzy redagujących tygodnik. Afera goni tam aferę, zamieszani są w nie wszyscy z wyjątkiem zastępcy naczelnego, a naczelny to cynik i drań, który swego zastępcę wykańcza w ostatnim rozdziale.

Przysięgi Zbyszka, że nie mnie miał na myśli – „No wiesz?!” – nie brzmiały przekonująco. Kłamał. Bardzo często kłamał, a jeszcze częściej nie mówił prawdy. Mimo to przepadałem za nim, choć to nie

ja byłem masochistą. Jemu zawdzięczam życzliwy stosunek do konformizmu i niechęć do fanatyków, ortodoksów, osób bezwzględnie pryncypialnych. Czy niechęć? Raczej strach. Obaj doczekaliśmy zapadania się w nicość nowojorskich wież World Trade Center i drobniejszych potworności islamskich żywych bomb, z entuzjazmem wysadzających się w powietrze wśród izraelskich przedszkolaków. Wiem, że postęp nakręcają ci bezwzględni, że świat zmieniają fanatycy. A trzeba go zmieniać? I skąd zadufana pewność, że nie na gorsze?

Zbigniew był dziesięć lat ode mnie starszy. Te dziesięć lat znaczyło wiele w naszych tragicznych biografiach. Jego była jeszcze gorsza od mojej, bo przeżył więcej rozczarowań, więcej załamań, domniemanych wzlotów i bolesnych upadków. Ale był też bardziej niż ja zahartowany.

Poszczęściło mu się ze śmiercią. Ominął go inwalidzki wózek, bezskuteczne żebranie o endoprotezę czy czekanie w kolejce na wolne łóżko w szpitalu. Podczas pisania poczuł się słabo. Żona wezwała karetkę, ale było już za późno. Stanęło serce. Przechylił na bok głowę i przestał żyć z przepraszającym uśmiechem.

Kremacja. Nieduża szkatuła z tym, co po Zbyszku, i jego zdjęcie portretowe. Wygląda na nim jak żywy, a przecież już go nie ma.

Msza teatralnie wystawna, kościół pełen po brzegi, złociste szaty kościelnych dostojników, dobre słowa o Zmarłym z wysokiej ambony, zapach kadzidła i kwiatów, ślady po łzach na bladych policzkach najbliższych.

I już.

Po człowieku.

ROZDZIAŁ 34

Zapytasz więc smętnie, dlaczego nie może być tak, jak chcemy, a Ilana odpowie ci, że chcemy nie tego, co mogłoby być, po czym pójdziecie do łóżka.

I tak, i nie tak. Wystarczy urodzić się buntownikiem, żeby było inaczej. Tyle że na to akurat nie mamy wpływu. Kwestia, powiedzmy, odporności na ból: jedni znoszą w milczeniu wyrywanie paznokci, a inni sypią na sam widok obcęgów. Ich wina? Ci odporni na ból nie są sentymentalni i mają skłonność do fanatyzmu. Tych drugich cechuje nadwrażliwość i przerost wyobraźni.

Korala poznasz dopiero za kilka lat, w Paryżu, w przytulnej restauracyjce przy rue Lepic, która prowadzi do placu du Tertre pełnego malarzy przy sztalugach i dalej na wzgórze z białą świątynią Sacré Cœur i przesłodzonym widokiem na miasto z lotu ptaka. Koral, z matki Niemki i ojca Polaka, jest naczelnym chirurgiem plastycznym na dworze księcia Monako. Gdy dobrowolnie i bezwarunkowo zrezygnuje z tej równie prestiżowej, co zawrotnie opłacanej funkcji, uznają go za wariata.

Żaden wariat.

Gdy to się zaczęło, jeszcze w latach szkolnych, w Chorzowie, nie miał pojęcia, że czeka go bunt. Zaczęło się od krzywdy. Za piątkowe świadectwo dostał w nagrodę wycieczkę do Zakopanego, ale pojechał na nią syn nauczycielki, a Koralowi ofiarowano kurs żeglarski na Mazurach. Chciał w góry, był rozżalony, z głębokim poczuciem krzywdy, ale co miał robić? Syn nauczycielki bił na głowę dzieciaka z wielodzietnej rodziny, którego tata był drobnym urzędniczyną, a matka – niewiele lat po wojnie! – Niemką.

No to pojechał na ten obóz żeglarski.

I spełniło się przeznaczenie. Koral oszalał na punkcie żeglowania, stało się ono jego życiową pasją, amokiem dozgonnym. Uwielbiał zwłaszcza żeglowanie samotne. Najpierw po jeziorach Warmii i Mazur. Później na Bałtyku wypożyczanym jachtem, w strefie przybrzeżnej, bo za komuny dalej nie wolno było płynąć. Codzienność Korala składała się z przerywników między jedną a drugą wyprawą żeglarską.

Podobnie jak trzej starsi bracia, na życzenie matki podjął studia medyczne. Okazał się nieprzeciętnie zdolny, by nie powiedzieć utalentowany. Zdolności manualne predysponowały go do chirurgii. Wkrótce został asystentem profesora, później jego prawą ręką przy

stole operacyjnym. Profesor zbierał hołdy, a Koral grosz do grosza na wypożyczanie jachtu. O kupnie własnego jeszcze nie mógł marzyć.

Wtedy poznał Zofię, koleżankę ze studiów, i zakochali się w sobie. Ci z wielodzietnych rodzin, aby wyzwolić się z przeludnionego domu, dążą zazwyczaj do założenia własnej rodziny. Dotyczyło to także Zofii. Gdy zaszła w ciążę, tuż po dyplomie, Koral zgodził się na małżeństwo. Byli ładną parą: ona bardzo kobieca, złotowłosa, o smukłych długich nogach, on wysoki, barczysty, wysportowany, z ciepłym spojrzeniem niebiańsko niebieskich oczu i wydatnym podbródkiem jakoby świadczącym o uporze. Koral postawił Zofii tylko jeden warunek. Raz do roku pozwoli mu na miesiąc samotnego żeglowania. Oczywiście zgodziła się natychmiast.

Koral obronił doktorat, został docentem, jako chirurg zyskał rozgłos poza krajem, operował w kilku sławnych klinikach i miał wykłady w Heidelbergu. Zofia otworzyła w Chorzowie prywatny gabinet dentystyczny. Synowi dali na imię Leszek, na cześć znanego profesora, twórcy polskiej chirurgii szczękowej.

Raz w roku, zazwyczaj we wrześniu, Koral brał urlop, biały strój lekarski zamieniał na dżinsy i nieprzemakalną kurtkę z kapiszonem, do torby pakował suchy prowiant. Już miał własną żaglówkę, jeszcze nie jacht. Parę razy Zofia chciała mu towarzyszyć, ale Koral z czułością odmawiał żonie, tłumacząc, że musi, po prostu m u s i, pobyć sam na sam ze sobą.

Aż zbuntowała się Zofia: zgody kobiet na pstrym koniu jeżdżą.

Zwołała konsylium z udziałem trzech starszych braci Korala, statecznych ginekologów i ojców rodzin. Zgodzili się, że n i e w y p a d a, aby wybitny chirurg u progu kariery, szanowany członek chorzowskiej elity, przemieniał się w oberwańca i włóczył s a m o t n i e na jakiejś łajbie po morzu. Dziwactwo. A dziwaków nie lubi się, dziwakami ludzie się brzydzą, a nawet trochę się ich boją. Lekarz musi być solidny i stateczny, aby posiadać autorytet. Trochę jak ksiądz. Opinia o Koralu zaczyna rzutować na rodzinę, świat jest mały, co dopiero Chorzów, ludzie robią uwagi, wymieniają uśmieszki.

– Dałbyś spokój z tym dziwaczeniem – podsumował najstarszy brat.

– Błagam cię, skończ z tym – dorzuciła Zofia. – Dziecko cię potrzebuje.

Koral się zgodził. Odwołał urlop i sprzedał za bezcen żaglówkę. Wziął w klinice dodatkowe dyżury, operował kilka razy w tygodniu, chodził z małym Leszkiem do cyrku i zoo. Tyle że posmutniał. Zaznał szczególnej pustki, jakiegoś sennego bezsensu, którego nie stępiał nawet alkohol. Zresztą Koral nigdy nie lubił alkoholu, chorował po nim.

I wtedy akurat nadeszło zaproszenie na kongres chirurgów w Bonn. Koral spakował walizeczkę i poleciał. Z Bonn napisał do żony, że do niej nie wróci, ale ma propozycję pracy w Heidelbergu i będzie jej słał marki, wcale pokaźną sumę. Objaśnił, że bez żeglowania nie ma dla niego życia, choć idzie nie tylko o to. Wiadomo: coś się zaczyna, coś się kończy. Proponuje przyjaźń. Zofia przyjaźnią wzgardziła, chciała męża z powrotem, odwołała swój protest przeciw jego samotnym wyprawom. Stanęło jednak na przyjaźni, także po rozwodzie per procura i ponownym małżeństwie dentystki. Na przekór schematom, z Leszkiem także łączy Korala serdeczna zażyłość. Inaczej z braćmi…

Kariera w Heidelbergu. Po matce Niemce niemieckie obywatelstwo. Nowatorskie udane operacje, publikacje w prestiżowym „Lancecie”, szansa na profesurę. Raz do roku miesiąc samotnego pływania, zawsze z żalem, że już się kończy. Postanowienie półserio, że jak uskłada milion dolarów, rzuci pracę i wyruszy w niekończący się rejs przez oceany i morza, od portu do portu. Będzie czas na przygody, walkę z żywiołami, rozmyślania w ciszy i dech zapierające poczucie pełnej wolności. Bo miesiąc to tylko przedsmak, na apetyt.

Ale do miliona daleko.

Daleko?

Na książęcym dworze Monako wakuje posada naczelnego chirurga. Jest do objęcia gabinet chirurgii plastycznej. Szukają jakiejś sławy. Jest konkurs. Kolega Korala, trochę dla żartu i w tajemnicy przed nim, składa w jego imieniu ofertę. Koral zostaje zaproszony na rozmowę, wykonuje kilka pokazowych zabiegów… i wygrywa.

Zaczyna się kolejna przygoda. Damy dworu chcą być piękne. Żądają perfekcji i nie pytają o cenę, a Koral okazuje się doskonałym chirurgiem plastycznym, modelując nosy i piersi, biodra i usta. Przy okazji, prócz polskiego i niemieckiego, włada już swobodnie francuskim, hiszpańskim, angielskim i włoskim. Talent poligloty. W dodatku bez mozolnych wysiłków, jakoś samo przychodzi. W wolnych chwilach, od niechcenia, Koral maluje i pisze wiersze. Wierszy nie pokazuje. Obrazy są dobre, kupuje sam Wielki Książę, więc i dworzanie też. Płacą fantastycznie. Dużo zamówień, ale Koral jest leniwy. Zawsze był, w gruncie rzeczy. Brał to, co dawało się samo, przychodziło bez trudu. Tylko na wodzie się nie oszczędzał. Może do tego stworzył go Pan Bóg.

Gdy wejrzał w swoje bankowe konto, było tam półtora miliona dolarów. Minęły zaledwie dwa lata.

Złożył dymisję. Szef książęcej służby zdrowia nie chciał uwierzyć. Dobrowolna rezygnacja z takiej pozycji? Bez powodu? Tylko po to, żeby „być szczęśliwy”? To się normalnie nie mieściło w głowie. Ale Koral nie jest taki bardzo normalny, albo nie są wszyscy inni, kwestia otwarta.

Kupił jacht pełnomorski. Milion dolarów ulokował w złocie – tanie wtedy było – i zamknął w bankowym sejfie. Był pewien, że złoto zdrożeje, zawsze będzie drożeć, pomimo wahań i chwilowych spadków. Miał instynkt finansowy i dobrą rękę.

Zapuścił brodę, skompletował ekwipunek i wyruszył w swój niekończący się rejs.

Już od pierwszego dnia był szczęśliwy.

Szczęście nie trwa długo.

Potem było mu po prostu dobrze.

– Ani razu nie zatęskniłeś do zawodu? – pytam Korala.

– Nigdy.

– Do stabilizacji, sukcesów, zarabiania wielkich pieniędzy?

– Nie.

– Ile lat minęło od wypłynięcia?

– Dwadzieścia jeden.

Była jednak przerwa. W Kostaryce. W portowej spelunie niebieskooki brodaty olbrzym zwrócił uwagę na piękną dziewiętnastoletnią kelnerkę, która go zaskoczyła inteligencją. Urodziwe kelnerki rzadko bywają inteligentne. Koral zaprosił Evelinę do innego baru na drinka i wysłuchał z uwagą jej historii.

Chłopak zrobił jej córkę i zniknął. Mała ma roczek. Evelina musiała przerwać studia prawnicze po pierwszym świetnie zaliczonym roku i podjąć pracę zarobkową, aby utrzymać siebie i dziecko. Odkłada grosz do grosza, bo chce wrócić na prawo. To jej marzenie, życiowy cel. Niestety, studia są drogie, a oszczędności mizerne. Ona jednak jest pewna, że zostanie prawniczką, i to wybitną. Wcześniej czy później. Po to przyszła na świat.

Koral spędził noc z Eveliną.

Był wyposzczony? Stęskniony uczucia? Po prostu mu odbiło?

Noc musiała być przejmująco cudowna. Rankiem Koral zaproponował dziewczynie, że zostanie z nią, adoptuje dziecko i opłaci studia. W zamian chce miłości. Evelina, z oczami pełnymi łez, zapewniła, że go pokocha i kochać nigdy nie przestanie. Zna siebie, powiedziała, nie ma trwalszego i głębszego uczucia niż podbudowane wdzięcznością. Koral będzie z nią szczęśliwy, tyle może mu przyrzec.

– I dotrzymała słowa? – pytam.

– Tak. Byłem z nią szczęśliwy. Juanitkę też pokochałem. Jak własne dziecko.

– A pływanie?

– Odechciało mi się pływać.

Osobiście nie wierzę w uczucie oparte na wdzięczności, raczej na odwrót, człowiek nie lubi pamiętać, że komuś coś zawdzięcza, to go poniża i rodzi niechęć, nawet wrogość czasami. Ale to nie ta bajka.

Koral sprzedał jacht i kupił dom z ogrodem w San José. Dorzucił parę sztabek złota, trochę zainwestował w lokalne budownictwo, a że miał finansowy instynkt, wiodło im się świetnie. Evelina z wyróżnieniem ukończyła prawo. Była czułą choć wymagającą kochanką i troskliwą żoną, co nie kolidowało z karierą adwokacką.

Koral otworzył jej kancelarię. Wkrótce stała się znana, wygrywała wszystkie procesy.

W San José odwiedził Korala jego polski syn Leszek. Był już prawie dorosły. Do ojca marnotrawnego nie miał żalu albo zgrabnie to ukrył. Zaprzyjaźnili się szybko. Byli bardzo do siebie podobni – obaj wysocy, barczyści, niebiańsko niebieskoocy. Lecz, w przeciwieństwie do Korala, syn nie tęsknił do przygód. Marzyło mu się stateczne życie.

Włócząc się po San José, Leszek przypadkiem zauważył porsche Eveliny przed hotelikiem Savoy w zacisznej bocznej uliczce na przedmieściu. Postał trochę i zobaczył ją, opuszczającą hotel w towarzystwie zabójczo przystojnego młodzika. Zastanawiał się, czy powiedzieć o tym ojcu, w końcu zdecydował, że powinien. Koral przyjął to spokojnie. Opis młodzieńca wskazywał, że był to asystent pani mecenas. Leszek usłyszał, że profesja obrońcy wymaga niekiedy poczynań szczególnie dyskretnych, biuro wtedy odpada, także kawiarnia czy bar, bo Evelina jest tu twarzą rozpoznawalną. W takich przypadkach do narady z asystentem i zbadania poufnych materiałów nadaje się taki właśnie hotelik na uboczu.

Następnego dnia Koral zabrał Leszka do kancelarii notarialnej. Notariusz odczytał im dokument w języku hiszpańskim i kazał obu złożyć na nim podpisy. Leszek nie znał hiszpańskiego. Ojciec wyjaśnił mu, że jest to rodzaj testamentu i że syna wyznaczył na jego wykonawcę. Leszek podpisał dokument.

Odleciał do Polski oczarowany ojcem. Koral faktycznie jest czarujący. Ma chłopięcy wdzięk. Syn podziwiał w nim to, czego sam nie posiadał – odwagę, zamiłowanie do ryzyka, żyłkę hazardzisty. Traktowanie życia jako nieustającej przygody. Sztukę zgłębiania sensu i dobrą rękę do wszystkiego, czego się tknął.

Koral nie powiedział synowi, że przeszedł ostatnio badania lekarskie i że podejrzewają u niego białaczkę. Nie powiedział również Evelinie. Ale choroba zaczęła czynić postępy i rzecz wyszła na jaw. Zrozpaczona Evelina odradziła mu leczenie się w miejscowej klinice onkologicznej i namówiła na wyjazd do Niemiec, do słynnego profesora Ulricha von Otto. Poleciała z nim razem. Oświadczyła, że nie pozwoli mu umrzeć. Zawiesiła praktykę adwokacką i czuwała

przy mężu przez cały czas trwania dramatycznej kuracji. Dodawała mu otuchy, pilnowała, by nie popadał w depresję po kolejnej serii morderczych zastrzyków zwanych chemią, czasem wrzeszczała na niego, że jest leniwym dupkiem i za słabo walczy.

Koral uparł się, że wyzdrowieje. A że do upartych świat należy, chemia poskutkowała. Nastąpiła remisja. Koral, wycieńczony do cna, kompletnie łysy i chudy jak szczapa, wrócił z Eveliną do San José. Tu ich miłość, wyblakła przez lata rutyny małżeńskiej, ożyła na nowo. Evelina zatrudniła rehabilitanta, który całymi dniami pracował nad kondycją Korala. Nocami robiła to ona, stopniując wymagania, aż Koral wrócił kompletnie do formy. Nastała idylla.

ROZDZIAŁ 35

– Jak znosiłeś sielankę? – pytam Korala znad talerza smażonych w czosnku kalmarów i pociągam łyk tajskiego singha beer.

Siedzimy w przybrzeżnej knajpce Mr Dog z widokiem na plażę Jomtien i Zatokę Syjamską. Jest 6.10 po południu. Punktualnie o tej godzinie zachodzi tu słońce i zapada mrok. W dole, na plaży, grupka młodych Tajów podpala sztormową świecę pod balonem z białego pergaminu. Powietrze w środku nagrzewa się i balon wraz z płonącą świecą ulatuje w niebo. Od ścianek balonu bije żółte światło. Wniebowstąpienie przyspiesza i już po paru minutach balon wpływa pomiędzy gwiazdy. Żółć przechodzi w pomarańczową czerwień, potem bieleje, blednie. Moja L. w napięciu śledzi zanikanie balonu. Jej krewetki stygną na talerzu. Pękł, czy raczej jako gwiazdka dołączył do Wielkiego Wozu? Może gwiazdy na niebie to takie właśnie balony z białego pergaminu, świecące od środka?

– Ambiwalentnie – odpowiada Koral po dość długiej pauzie i pałeczkami wprawnie zanosi do ust pierścień kalmara. – Było miło i niespokojnie. Bałem się, że to polubię, że już nie będę sobą. Jednocześnie przeczuwałem kraksę. Moja cholerna intuicja nigdy mnie nie zawodzi, czasem miewam nawet do niej o to żal. Idylla to

taka złota klatka wymoszczona łabędzim puchem. Wygoda, błogostan, aż po rozkoszną nudę.

– Kocham tak się nudzić – zauważam i widzę zdziwione spojrzenie L., która już nie patrzy na złoty punkcik sunący między gwiazdami, tylko spogląda na mnie pytająco.

Niczego nie będę jej wyjaśniał. Kiedyś sama zrozumie.

Niepokój Korala znalazł uzasadnienie po niecałym roku.

Groźnie brzydkie słowo: w z n o w a. Termin medyczny. Nawrót schorzenia, nagły koniec remisji. Raka nie daje się wyleczyć, jedynie zaleczyć go można, jeśli choremu się poszczęści. Nowotwór rozpłaszcza się i przyczaja, czasowo sparaliżowany przez nasz mechanizm obronny, któremu pomogła medycyna. Ale jest i czeka na okazję. Dlaczego jest? Ponieważ ma przyzwolenie w naszych genach, najczęściej dziedziczone po przodkach. Stąd pytanie lekarzy o choroby w rodzinie. Można jednak zachorować na raka i bez dziedziczenia. Ot, po prostu. Na coś trzeba przecież umrzeć. A jeśli nie dojdzie do wznowy i delikwent umrze, powiedzmy, na serce? No to nowotwór się nie wyrobił, nie zdążył.

Tak myślę. Nie muszę mieć racji.

Nowotwór Korala powrócił zwielokrotniony. Zaatakował brutalniej niż za pierwszym razem. Evelina odwiozła męża, ledwie żywego, do kliniki profesora Ulricha von Otto i zostawiła go tam. Profesor dał mu dziesięć procent szans na przeżycie. Prognoza była optymistyczna. Tym razem komórki rakowe rozpleniły się wszędzie, wlazły w każdy zakamarek, pożerając wnętrzności Korala. Żeby przeszczepić mu szpik, co dawałoby cień nadziei, należało przedtem wytępić je wszystkie, choćby na krótko, chemią w astronomicznych dawkach. Chemia morduje również komórki zdrowe. Pytanie więc, czy starczy zdrowia, aby dożyć do szansy. Mało komu starcza.

Koral się zaparł. Doszło do zwady z Bogiem, w którego Koral wierzył–nie wierzył, ale w takich momentach bierze górę wiara. W nieudolnej, zaimprowizowanej modlitwie zarzucił Stwórcy, że zbyt wcześnie po niego sięga. On, Koral, ledwo przekroczył pięćdziesiątkę, jeszcze się nie nażył. Co by Bogu szkodziło zostawić go przy życiu? Mało Mu innych?

Musiał Boga przekonać, albo trafić na właściwy moment, bo jadowite kroplówki chemiczne dały radę komórkom rakowym, a jego nie dobiły. Cierpiał tylko jak potępieniec, zaznając wszystkich stopni bólu. I było warto. Wszczepiono mu szpik i zamknięto w hermetycznym sterylnym „inkubatorze" – terapia pozbawiła go całkowicie odporności i byle mikrob mógł go zabić.

Leżał w klinice już drugi miesiąc. Evelina nie odwiedziła go ani razu. W „inkubatorze" miał czas na myślenie. Przypomniał sobie epizod z hotelikiem Savoy i jeszcze kilka innych epizodów, na które machnął był ręką. Teraz nabrały wymowy. Koral dopuszczał, że nie musi być tak, trzeba się jednak przygotować, jak na nadejście sztormu po ostrzeżeniu radiowym – zwinąć żagle, sprawdzić zamocowania.

Wysłał do żony telegram kontrolny, prosząc o przylot. Lekarz, który w tym pośredniczył, dostarczył mu odpowiedź małżonki: bardzo by chciała, niestety nie może, pilne sprawy w sądzie.

Kiedy profesor von Otto poinformował go, że uzyskano pełną remisję i że graniczy to z cudem, Koral nie był zaskoczony. Widocznie przekonał Pana Boga. Stąd cud. Albo desperackie pragnienie życia i walka o nie na życie i śmierć. Na jedno wychodzi.

Doleciał do San José ledwo żywy. Przywitała go radośnie pasierbica Juanita, która zjechała na wakacje z internatu szkolnego. Eveliny nie było, miała rozprawę w innym mieście, zjawiła się w domu dopiero po kilku dniach. Tym razem nie wynajęła rehabilitanta, tylko pokój w górskim sanatorium, gdzie miał wrócić do sił.

Wrócił szybko. Nie oszczędzał się, ćwicząc na przyrządach, pływając w basenie, chodząc na wycieczki w góry pod opieką pielęgniarza. Odzyskiwał kondycję, zwiotczałą skórę zaczęła napinać muskulatura. Tylko włosy nie chciały odrosnąć. Pozostał łysy na zawsze. W czym to przeszkadza?

Kiedy wrócił z sanatorium, Juanity nie było już w domu. Evelina przygotowała elegancką kolację przy świecach, zapełniła jadalnię kwiatami. Przy deserze zakomunikowała mężowi, że pora się rozstać: z jej temperamentem chorowity mężczyzna, na dodatek zagrożony kolejną w z n o w ą, to nonsens. Ona musi mieć w łóżku chłopa z

jajami na zawołanie. I ma. Nieważne, kto to taki. Proponuje rozwód za porozumieniem stron, bez orzekania o winie.

Koral przyjął to ze spokojem, a nawet z przyjacielskim uśmiechem, ponieważ przewidział to był wcześniej, jeszcze za wizyty Leszka. Nie okazał też zadowolenia. Czy był zadowolony? Jeszcze nie do końca. Małżeństwo z Eveliną trwało lata, to rodzi przywiązanie. Koral ją stworzył – z kelnerki w marynarskiej knajpie pani mecenas z doktoratem, z rozległą praktyką adwokacką, z kontaktami w wyższych sferach. Człowiek niełatwo skreśla własne udane dzieło.

Wszystko było przygotowane. Znajomy sędzia orzekł rozwód już na pierwszej rozprawie. Wtedy Evelina zaproponowała Koralowi ugodę przy podziale majątku.

– Wiem, ile ci zawdzięczam – powiedziała – i do końca życia będę za to wdzięczna, ale prawo jest prawem. Należy mi się połowa wszystkiego, co posiadamy.

– Nam się należy po połowie – sprecyzował Koral.

– Oczywiście – zgodziła się Evelina – załatwimy to z Carlą, znamy ją oboje, jako notariusz jest niezawodna i szybka.

Na to Koral również się zgodził, choć Carla była bliską przyjaciółką Eveliny, co mogłoby źle dla niego rokować.

Myślami był już dużo dalej.

Nazajutrz, w kancelarii Carli, która przyjęła ich serdecznie, wyrażając ubolewanie, że oto rozpadło się tak świetne małżeństwo, Koral usłyszał od Eveliny, że tak naprawdę nic nie jest jego. Ani dom z ogrodem i basenem – albowiem wedle tutejszego prawa należy on się kobiecie z dzieckiem, czyli Evelinie z Juanitą – ani firma budowlana, założona przecież z jej pomocą rodowitej Kostarykanki, co zapewnia tu przywileje. O wyposażeniu domu nie warto nawet mówić, a co do reszty…

– Zapomniałaś o swojej kancelarii – wtrącił Koral – zapłaciłem za nią sporą sumę.

– O m o j e j kancelarii nie będziemy rozmawiać – rzuciła sucho Evelina.

– Dodajmy mój motocykl i twoje porsche.

– Zgoda.

Wtedy Koral bez słowa położył przed panią notariusz dokument będący aktem własności i oświadczył z nieco udawanym smutkiem, że ani dom, ani firma budowlana nie należą do nich, tylko do jego syna zamieszkałego w Polsce. Obie panie zaniemówiły. Carla bardzo uważnie przestudiowała dokument, spojrzała na Evelinę i bezradnie rozłożyła ręce.

– Rozliczmy to, co nasze – powiedział Koral. – Kancelarię. Harleya-davidsona. Porsche.

– Rozliczyliście? – pytam.

L. śmieje się cicho. Jest rozbawiona. Bardzo lubi Korala, choć nazywa go lekkoduchem. I co w tym złego? Ciężkoduch miałby być lepszy?

– Moje złoto poszło mocno w górę – mówi Koral. – Dobrze sprzedaliśmy firmę i dom. Machnąłem ręką na rozliczenie, Evelina do dziś jest mi za to wdzięczna.

Jacht kupił za okazyjną cenę od zbankrutowanego Szweda. Duży, pełnomorski, z czteroosobową kabiną, w idealnym stanie. Gdy wszedł na pokład, ogarnęła go euforia. Jakby się przebudził z długiego męczącego snu. Znowu był wolny, znów cały świat należał do niego.

Postanowił opłynąć posiadłość.

Koral bierze papierową serwetkę, a dokładniej fragment rolki papieru toaletowego, który w tawernach Pattayi pełni rolę serwetek, i mazakiem kreśli zarys ziemskiej półkuli. Oceany, kontynenty, wyspy.

L. trzyma mnie za rękę. Rozpoczynamy podróż.

Karaiby, sztorm, pełna dziesiątka w skali Beauforta, pęka maszt, kompletne szaleństwo. Koral się nie boi? Ależ boi się, mózg mu dębieje z przerażenia, niezbędne czynności wykonują się same, bez kontroli umysłu. Automat, rutyna, instynkt samozachowawczy i wielka kupa szczęścia, jak zawsze. Farciarz z Korala.

…Jakiś port na Filipinach, speluna marynarska, kłęby dymu tytoniowego, rum strumieniem, muzyczka, naga Kreolka tańczy na rurze. Koral, znowu brodaty, tylko czupryny brakuje, milczy pogodnie

z jakimś Grekiem, też tułaczem oceanicznym, popijając dżin z tonikiem. Dokąd stąd płyniesz? – zaczepia go punkówa z nowojorskim akcentem, piegowata i ruda jak marchew, fantastycznie zgrabna, długonoga. Chyba na Madagaskar – odpowiada Koral. Ja też na Madagaskar – mówi ruda. – Można z tobą? A gdyby na Cejlon? – pyta Koral. Cejlon jest OK – zgadza się marchewka. – To jak będzie?

Wiadomo, jak będzie. Ruda przytarga na jacht swój marynarski worek ze skromnym dobytkiem, ciśnie do kabiny i bez słowa skoczy do wody po pas, by pomóc Koralowi malować kadłub łajby. Później popłyną. Marchewka – Kate? Jane? Koral już nie pamięta – wie wszystko o żeglowaniu i wszystko potrafi, starczy skinąć, rozumieją się bez gadania. Gotuje kapitanowi, pierze mu gacie. Nocą, w naturalny sposób, kładzie się przy Koralu i jest cała jego, uczynna, chętna. Albo pełni wachtę.

O czym ze sobą rozmawiają? Oboje nie są gadatliwi, ale Koral już wie, że Ruda faktycznie pochodzi z Nowego Jorku, jest po trosze Irlandką, Żydówką, Niemką i Koreanką, ma dziewiętnaście lat i rok temu postanowiła odbyć podróż życia. Podróż przez życie? Życie w podróży? Jakoś tak. Świat nie jest wcale taki wielki ani groźny, jak myślą osiadłe mieszczuchy. Przeciwnie. Rzadko który kapitan odmawia Rudej przyjęcia na pokład. Rzadko który nie jest koleżeński, przyjazny, bez podtekstów. Ludzie morza są fajni. Ruda już sobie nie wyobraża, że mogłaby żyć inaczej, osiąść na lądzie, być z jednym partnerem. A on, Koral, kim jest?

Trudno powiedzieć. Z początku był taki jak wszyscy, ale musiało w nim tkwić ziarenko pasji, chyba od urodzenia, uśpione, beduińsko-cygańskie. Przebudziło się na szkolnym obozie żeglarskim. Pasja ruchu, pędu, niestabilności. Ryzyka. Hazardu. Sympatia dla własnego ciała i jego zachcianek. Sztuka nieprzywiązywania się, nieangażowania, pogodnej życzliwości bez zobowiązań dla wszystkich napotykanych. Czy na Koralu można polegać? Z pewnością, aż do linii granicznej jego JA, linii nieprzekraczalnej. Tam Koral nie potrafiłby nikogo wpuścić, nawet gdyby chciał. Jest uroczym samotnikiem, niezdolnym do poświęceń. Obce są mu wyrzeczenia. Jego jacht staje na kotwicy, jednak on sam nie

zakotwicza się prawie nigdy. Czego oczekuje od innych? Chyba niczego, za mądry na to jest. A jednak miewa złudzenia. W skrytości ducha liczy na akceptację. Może na aprobatę. Na miłość? Już nie: parę razy się sparzył, wystarczy.

Na miłość może liczyć tylko ten, kto sam umie kochać.

ROZDZIAŁ 36

Ruda zeszła na brzeg w Kolombo. Pożegnała Korala miłosnym pocałunkiem w usta i męskim uściskiem dłoni. Wyraziła nadzieję, że jeszcze się spotkają, choć zaraz dodała, że jak dotąd nie zdarzyło jej się natknąć po raz drugi na znajomego kapitana. Ruszyła, z workiem na ramieniu, w kierunku portowej tawerny.

Koral zacumował w marinie i przez parę dni włóczył się po stolicy Sri Lanki, zwiedzając miejscowe świątynie, cmentarze i bary, nakupił prowiantu, po czym odpłynął, biorąc kierunek na Seszele.

Zaliczył jeszcze Nikobary, Lakkadiwy, Wyspy Kokosowe i Wyspy Bożego Narodzenia, później Kiribati, Nauru, Powiernicze Wyspy Pacyfiku, Hongkong, koralowe wysepki na Morzu Andamańskim…

W tajlandzkim porcie Pattaya miał zamiar spędzić kilka dni, dokonując własnoręcznie kilku niewielkich napraw swojej łodzi.

Dziwny to port, dziwny kurort, dziwne miasto, podzielone na egzotycznie wyuzdaną i barwną tęczowo dzielnicę turystyczną oraz na moloch złożony z bud, blaszanek, szarych betonowych bloków, wąziutkich uliczek i zaułków, pełen zaduchu i żaru – dla miejscowej ludności. Całkiem niedawno była to wioska rybacka. Kiedy odkryto jej bajkowy urok – rozległe piaszczyste plaże, palmowe wzgórza i mikroklimat, który sprawia, że czarne burzowe chmury spływające od gór często zmieniają kierunek, omijając wieś – nastąpił jej błyskawiczny rozkwit. Strzeliły w niebo wielopiętrowe luksusowe hotele, rozmnożyły się centra handlowe, nocne kluby, salony masażu, bary go-go, teatrzyki rewiowe, bokserskie areny. Bulwar nabrzeżny, wiodący do słynnej Walking Street, zapełniły prześliczne filigranowe dziewczęta z ubogich okolicznych prowincji, które

przybyły tu po pieniądze na posag, na utrzymanie rodziny. Wymalowane profesjonalnie i przyodziane prowokująco, oferują pełny zakres usług męsko-damskich, a równie śliczni chłopcy służą panom, którzy to lubią, oraz starszym zamożnym paniom, które lubią to też. Ceny są umiarkowane. Emeryci z Niemiec i Skandynawii wynajmują sobie ślicznotkę na cały sezon, a ona przez trzy tygodnie jest zakochana, czuła, opiekuńcza, patrzy w oczy z oddaniem i ani spojrzy na innego. Przy rozstaniu płacze. Niektórzy staruszkowie wierzą, że to miłość. Wspaniale się z tym czują. Bywa, że dziadek poślubia nastolatkę i jest z nią szczęśliwy bez granic, pożerając garściami viagrę. Bywa, że w trakcie miłosnych igraszek dostaje zawału – czyż nie piękna śmierć? – a panienka dziedziczy, bo dziadzio zapisał jej wszystko. Tajowie nie szanują białych cudzoziemców – komu potrzebny ich szacunek? – ale są mili dla nich i serdeczni, ponieważ biały dla Taja to worek pieniędzy. No i dobrze. Bez udawania.

Koral naprawił więc swój jacht i pomalował mu kadłub błękitną farbą, lecz z portu nie wypłynął. W salonie masażu dwie piękne Tajki wymasowały go nagimi ciałami, a i on nie miał nic na sobie. Przemierzył dzielnice dla tubylców. W salonie motocyklowym obejrzał harleya-davidsona, rasowe zwierzę, drapieżne, jaśniejące chromem, jeszcze wspanialsze niż to, które zostało w Kostaryce – i zapragnął je mieć.

Kupił sobie obszerną garsonierę nie w eleganckim kondominium na turystycznym nabrzeżu, tylko w tubylczym kwartale, w betonowym klocu o strukturze bunkra, zamieszkałym wszelako głównie przez białych, takich jak on obieżyświatów, trochę szaleńców, trochę nudzących się milionerów, trochę uciekinierów przed otłuszczoną cywilizacją.

– Od razu postanowiłeś tu zostać na zawsze? – pytam, dogryzając ostatniego chrupiącego kalmara.

L. dostała swoją ukochaną zupę green curry coconut milk i chłepce ją z lubością jak głodny kotek. Koral swoim kuflem singha beer trąca mój kufel i nie czekając na mnie, pociąga długi łyk. Zostają mu po nim pieniste białe wąsy.

– U mnie nic nie jest na zawsze – odpowiada. – Ale spodobało mi się tutaj.

Masaże ciało-ciało, trzy „dobiegaczki” na zmianę, ale nie te z bulwaru, tylko studentki zarabiające na czesne. Inteligentne i taktowne, udają, że nie wiedzą wzajemnie o sobie. Gdy któraś Koralowi powszednieje i trzeba ją wymienić na nowy egzemplarz, aranżuje teatr. Leciutka charakteryzacja: żółtawa bladość, sińce pod oczami, przeraźliwie smutne spojrzenie. Tragedia, informuje ponuro, straciłem dziś na giełdzie cały swój majątek. Nie mam nawet na miskę ryżu… Dziewczyna współczuje. Szczerze. Łzy spływają po brązowych policzkach. Za co będziesz żył, biedaku? Raczej nie będę już żył, rzuca dramatycznie Koral, gapiąc się w przestrzeń. Ma talent aktorski. Dziewczyna całuje go w usta, ale nie ściąga dżinsów. Dzisiaj się spieszy. Po prostu, nic za darmo. Domyśla się gry? Może tak, może nie. Obeszło się bez upokorzenia – nie usłyszała, że sponsor ma jej dość. Już nie zadzwoni. A Koral ma na oku wyjątkową piękność, którą zobaczył w klubie zeszłego wieczoru, smukłą jak polska brzózka, o dużych zmysłowych ustach. Mrugnął do niej, odpowiedziała życzliwym uśmiechem. Chyba się zgodzi na „dobieganie”.

Raz w miesiącu Koral wyrusza na harleyu-davidsonie w stronę wyspy Koh Chang. To czterysta kilometrów, które jego maszyna pożera zachłannie jak głodomór. Z motoru Koral przenosi się na swój jacht i przez tydzień żegluje samotnie od wyspy do wyspy. Jest ich tam chyba około setki, malowniczych, dzikich, często bezludnych. Pływanie jak pływanie, raczej namiastka wielkich dalekomorskich przemieszczeń, ale coś za coś.

Na razie.

W zamian są „dobiegaczki”, koledzy dziwacy z różnych stron świata, erotyczne masaże i nowoczesny szpital, gdyby nastąpiła w z n o w a. Tylko tego Koral się boi, niczego więcej. Jego złoto potroiło wartość, do tego przyzwoita niemiecka renta za białaczkę i jakieś procenty za akcje, na których wszyscy tracą, ale nie Koral. Nic nie robi, a jest coraz bogatszy. Raz do roku leci pierwszą klasą do Europy, żeby się spotkać z synem i braćmi.

Bracia go nie lubią. Ani dawni koledzy. Za to ubóstwiają Korala wszystkie trzy bratowe, co jeszcze bardziej nie podoba się jego braciom. Żaden nie zechciał odwiedzić go w Tajlandii.

– Dlaczego? – nie rozumie Koral. – Co oni mają do mnie?

Mrugam do L., ale ona nie zna odpowiedzi albo nas nie słuchała, pochłonięta chłeptaniem green curry. Dajemy sobie buzi. Od czasu do czasu musimy to robić. Tym razem buzi L. smakuje mlekiem kokosowym.

– Obrażasz ich – mówię.

– Ja? Czym?!

– Całym sobą. Swoim luzem, relacjami z przygód, nieróbstwem, bogactwem. Oni orzą jak woły w służbie zdrowia i nie stać ich na szastanie pieniędzmi, na egzotyczne podróże, na „dobiegaczki". Mają stare żony i wnuki, którym trzeba pomagać finansowo, ponieważ ich rodziców na to nie stać. Są nieco sflaczali i brzuchaci od piwa, wieczorami gapią się w telewizor lub kłócą z żonami. Ty się dziwisz, że działasz im na nerwy? Muskularny, opalony, zadowolony z życia. Wolny jak ptak. I do tego z sejfem pełnym złota, którym się przechwalasz. A idźżesz ty! Leciwe tłuste małżonki stawiają im ciebie za przykład. One zresztą też cię nie lubią tak naprawdę, bo skazane są na swoich sflaczałych. Więc szlag ich wszystkich trafia na sam twój widok. Wyrodny braciszek, obibok, lowelas.

Podobnie ma się rzecz ze starymi kolegami. Zżera ich nadwiślańska bezinteresowna zawiść. Żyją w wolnym kraju, ale nie są wolni. Dźwigają na grzbietach swoją codzienność naszpikowaną kłopotami, problemami, niemożnością. Gdyby nie ty, nie czuliby się tym skrzywdzeni.

– Chyba coś w tym jest – po namyśle zgadza się Koral. – Wolny kraj nie wystarcza, trzeba umieć być wolnym.

– To się ma we krwi – potwierdzam.

ROZDZIAŁ 37

Jacht pełnomorski i harley-davidson przestały Koralowi wystarczać. Najpierw nauczył się mówić po tajsku, co dla człowieka bez wybitnych uzdolnień jest rzeczą niewykonalną. Tajski jest mową melodyjną, jak chiński i parę innych azjatyckich języków. Znaczenie słowa zależy od intonacji głosu.

Potem zamówił w Ameryce awionetkę. Nadeszła w kilku skrzyniach. Koral wynajął hangar na pattajskim sportowym lotnisku U-Tapao i przez kilka miesięcy składał części zgodnie z załączoną instrukcją. Pełne zaufanie ma tylko do siebie. Chirurg. Pedant. W powietrzu nie będzie żartów.

Gdy awionetka była gotowa, Koral zatrudnił instruktora i nauczył się latać. Instruktorem był amerykański pilot, któremu odbiło i wylądował w Tajlandii; dopiero tutaj poczuł się szczęśliwy, jak wiele innych niespokojnych duchów. Uwolnił pamięć od wspomnień z wojny wietnamskiej. Był tam pilotem bombowca.

Koral miał trudności z lądowaniem, reszta poszła mu świetnie. Kiedy nauczył się lądować bez podskoków, instruktor uznał, że jest gotów do egzaminu na licencję.

I tu się dopiero zaczęło.

Tajowie nigdy i nigdzie się nie spieszą. Gardzą punktualnością i są rozmiłowani w papierkach. Słowa „już", „natychmiast" czy „wkrótce" znaczą tyle co „kiedyś". Ale nie bywa wolny ten, kto nie jest uparty jak osioł i nie kasuje przeszkód jak czołg. Najpierw Koral walczył z państwową biurokracją o dopuszczenie do egzaminu i trwało to sześć miesięcy. Po kolejnych sześciu zjechał – bardzo odpłatnie – do Pattayi egzaminator. Koral zademonstrował powietrzną wirtuozerię, dopłacił hojnie i zdał. Zaczęło się gromadzenie najprzeróżniejszych dokumentów, co zajęło jeszcze rok, mimo czaru, jaki roztaczał Koral wśród tajskich urzędniczek w Bangkoku. Perfumy i kremy Diora niczego nie przyspieszyły, choć były przyjmowane z wdzięcznością.

W końcu udało się: Koral dostał licencję w tajskim języku, która upoważniała go do latania awionetką po tajskim niebie bez instruktora, a nawet do zabierania na pokład jednego pasażera. Tego samego dnia przeleciał nad naszym balkonem i pokołysał skrzydłami, a L. pomachała mu entuzjastycznie.

Mr Dog pustoszeje, zostajemy tylko my przy jednym z sześciu stołów ustawionych na samej krawędzi jezdni. W dole jest plaża i morze wracające z odpływu, zlizujące brzeg po kawałku jęzorami piany. Koral zamawia jeszcze dwie butelki singha beer. Księżyc jaśnieje pełną gębą, srebrząc piasek i poskładane leżaki.

Koral sprzedał wyśmiewany przez nas bunkier w tubylczej dzielnicy i kupił po nagle zmarłym bogatym starym Brytyjczyku elegancki apartament na dwudziestym siódmym piętrze wieżowca w ekskluzywnej części bulwaru turystycznego między Hiltonem i Sheratonem. Widokowy taras na morze. W sypialni łoże z baldachimem we frędzle i fałdy, z wbudowanym w sufit lustrem, aby widać było dokładnie, co się dzieje w łóżku. Wiktoriańskie złocone komody, kredensy, garderoby, stoliki, etażerki, foteliki, fotele, sofy. Kryształy za szybą. Na stylowym stole w jadalni cztery porcelanowe nakrycia znanej marki Wedgwood, srebrne sztućce na podstawkach, wysokie kieliszki do wina i płaskie na szampan. Pasuje to wszystko razem do Korala jak słoń do saszetki, może z wyjątkiem lustra w suficie. Ale jego to bawi. Do pieniędzy ze sprzedaży bunkra dołożył trzy razy tyle po długich targach z wnuczką nieboszczyka zbereźnika, który zostawił po sobie kilo prezerwatyw i gruby notes z telefonami bulwarowych mistrzyń.

– Tak na serio, nic mnie to nie kosztowało – informuje Koral z przechwałką. – Akurat o tyle tego dnia podrożało mi złoto.

Po niemieckiej matce Koral odziedziczył szacunek dla oszczędzania. Nie jest rozrzutny, choć sobie niczego nie odmawia. Lubi żartować, że Leszek, jego syn, będzie miał problem z zagospodarowaniem odziedziczonej po nim fortuny, zwłaszcza że sam doskonale zarabia jako wzięty inżynier.

– Nie martwisz się? – pytam. – Schodzisz ku stabilizacji. Osiadłeś w Tajlandii, masz tu wszystko, brak ci tylko łodzi podwodnej i może rodziny, ale rodzinę już miałeś. Co dalej?

Koral zamyśla się. Ładnie to wygląda. Jego niebiańskie oczy pod gęstwiną ciemnych nastroszonych brwi zachodzą wtedy mgiełką.

– Jeszcze nikt mnie nie kochał – odzywa się wreszcie, ku szczeremu zdziwieniu L. dojadającej resztki tom yum z plastrami imbiru i przezroczystym makaronem.

– A Zofia? Evelina? „Dobiegaczki”? Twoi bracia? Leszek?

– Leszek… nie rósł przy mnie. Tylko się przyjaźnimy. Lubimy. Dobrze nam ze sobą. A co do kobiet… Żadna na zawsze.

Postanawiam nie oszczędzać Korala.

– Źle postawiony problem – komunikuję. – To ty nikogo jeszcze nie kochałeś. Nawet ludzkości, której mógłbyś służyć swoim talentem chirurgicznym, a ty go marnujesz bez cienia skrupułów. Cholerne marnotrawstwo.

– Za ludzkością faktycznie nie przepadam – przyznaje Koral. – Chirurgia mnie nudzi.

– Nikogo nie kochałeś i nie pokochasz oprócz siebie i twojej wolności – mówię z uśmieszkiem do Korala. – A miłość koliduje z wolnością, ponieważ ją ogranicza. Mógłbyś nie zawracać nam głowy?

Koral parska głośnym śmiechem i wali kuflem w mój kufel piwa. Wypijamy duszkiem.

ROZDZIAŁ 38

Kiedy Ptasidziób się budzi, Ilany już nie ma. Zniknęły także jej rzeczy z szafy w przedpokoju. Cholerny szczęściarz. Inne histeryzują, tryskają wymówkami, mają pretensje i żądania, stawiają warunki. Wychodzą, trzaskając drzwiami, aż tynk fruwa, a po chwili są już z powrotem i cała zabawa od początku. Można wtedy dostać nerwoskurczu.

Ilana nie taka. Samoswoja, niepowtarzalna, wariatka. A ty, Ptasidziobie, wariat nie jesteś ani trochę.

Ale boli, co?

Zaczynałeś jako zbuntowany. Gdybyś umiał wtedy zajrzeć w daleką przyszłość, być może wytrwałbyś w kontestacji, zakosztował biedy, nie nakręcił żadnego filmu, nie wyjeżdżał do Paryża, Rzymu, Hajfy ani tutaj, do Nowego Jorku, tylko przesiedział się trochę w więzieniu, poznał innych nawiedzonych, utkanych z altruizmu i szlachetności, którzy dopiero po Wielkiej Transformacji (jak to

jeszcze daleko, Ptasidziobie!) podzielą się na kultowych idealistów, koniunkturalnych pragmatyków i radykalnych ekstremistów żądnych krwi.

Jeszcze nic o tym nie wiesz. Ani o Cudzie Przemiany, ani o Dobrowolnej Rezygnacji i Podarowanym Zwycięstwie, ani o Złamanych Gwarancjach i Próbach Zemsty. Polak taki już jest, mój Ptasidziobie. Według Clausewitza zobowiązań dotrzymują tylko słabi. Polak bywa słaby i słowny, gdy go trzymają za jaja. Obdarowani władzą zwycięzcy przez krótki czas dotrzymują umowy. Później, po wyeliminowaniu własnych idealistów i ludzi honoru, wezmą się za rewanż. Powołają Instytut Odwetu, niepowtarzalny twór złożony z historyków i prokuratorów: ci pierwsi zawierzą esbekom, ich rozmyślnie pozostawionej dokumentacji, spreparowanej przez specjalistów – dokumentacja prawdziwej agentury trafiła do hutniczego pieca, było na to czasu pod dostatkiem – a ci drudzy, z inspiracji tych pierwszych, będą sporządzać dla sądów akty oskarżenia. Powstanie czarna lista osób publicznych, dla których tamta Polska była Polską i służyli jej najlepiej, jak mogli, wcale nie zamykając oczu na gnuśność, służalczość i niesprawiedliwość. Darli mordy od środka, ale to się nie będzie liczyło. Liczyć się będzie, że znajdowali się w środku. Nie dostaną legitymacji kombatanckich, dostępu do kamer czy piór, pogrzebów na koszt państwa w alei zasłużonych. Dadzą im żyć, a jakże. Część postawią przed sądem. Jednak sądy, prawie niezależne, podparte literami prawa, nie potrafią spełniać oczekiwań i skazywać wskazanych. Zabraknie dowodów winy. Czyś ty winien, Ptasidziobie, że kochasz Polskę, taką jaka jest? Komunistyczną, prosowiecką, bez prawdy o Katyniu i o stalinowskich zbrodniach? Jeszcze ci namiesza w głowie Aleksander Kiereński, były premier niedoszłej Rosji demokratycznej i emigrant po przegranej z bolszewikami, na którego Stalin nasłał zabójcę w Paryżu. Powie ci Kiereński podczas audiencji w skromnym nowojorskim mieszkanku, że Lenin był swołocz, ale Stalin stworzył z Rosji imperium, jak ongiś car Piotr I, i że miliony ofiar na Dnieprostroju, Transsibie czy Wołgodonie to pestka, gdy idzie o wielki cel. Co ty na to?

Odstępowałeś od buntu powoli. Jeśli człowiek się uprze, a nie musi upierać się świadomie, w figurach wielostronnych zaczyna

dostrzegać głównie strony dobre. Złe też widzi, lecz te dają się wytłumaczyć okolicznościami, historycznym przymusem, i uznać za przejściowe, do likwidacji. Niech nam tylko warunki pozwolą – pokażemy światu naszą ludzką twarz! Kręcąc dokument o wielkich budowlach socjalizmu, głośny *Krok w nieznane*, miałeś odwagę pokazać także marginesy – złodziejaszków kradnących cement, przekręty raczkujących mafii, zwanych wtedy sitwami, biurokratów blokujących odważne przedsięwzięcia i przypinanie orderów nie tym, co zasłużyli. Pokazałeś kolejki po kaszankę („Proszę kilo". – „A krew obywatelka oddała?") i sklepy za żółtymi firankami dla partyjnych dygnitarzy. Film trafił na półki, a ty uznałeś to za absurd, ponieważ zrobiłeś dokument o bohaterstwie mas i nikczemności jednostek, co czyni bohaterstwo jeszcze wyrazistszym.

Byłeś ciut głupi, Ptasidziobie.

Ja teraz za to płacę.

– Płacisz za siebie – odpowie mi Ptasidziób, krzątając się w kuchni, aby Ilana miała co zjeść, gdy wróci z wykładów.

Jeszcze nie byli w West Endzie, jeszcze się Ilana nie wyprowadziła, jeszcze nic konkretnego nie wiadomo o przylocie Anny.

– Przejdź się na Central Station, zajrzyj w podziemia dworca autobusów – kontynuuje, zawijając w kapuściane liście farsz mięsno-ryżowy obficie doprawiony pieprzem, bazylią i czosnkiem. – Spójrz na sterty kartonowych pudeł, w których mieszkają bezdomni. Ciemno tam jest, oni rzadko wychodzą na górę, bo się boją policji, więc ślepi są jak krety. Wielu tam się rodzi i tam też umiera. Widziałeś u nas coś takiego? Dlaczego u nas nie ma żebraków, a tutaj są? Dlaczego ich szynka smakuje jak papier toaletowy?

– Przed czy po użyciu? – próbuję ironizować.

– My chcemy, żeby wszystkim było dobrze – ciągnie Ptasidziób, pomiatając moją ironią. – Im na tym nie zależy. Mają w programie bezgraniczne bogacenie się bogatych i ubożenie biednych. To sprawiedliwe?

– Normalne. Natury człowieka nie przestroisz.

– I tu się mylisz.

Ja się mylę? Ja, który znam przyszłość dokładniej od najjaśniejszego jasnowidza? Nim nadejdzie wasza (nasza?) totalna klęska, ty przedtem nie raz dostaniesz w dupę od swoich – za podskakiwanie, nieznajomość swego miejsca w szyku, próby trzymania za słowo, przypominanie obietnic. Za idiotyczne żądanie zgodności teorii z praktyką. Za odwracanie w filmach dokumentalnych proporcji między zbiorowym dobrem i marginalnym złem, co sprawia, że ciebie na Zachodzie chwalą, a na Wschodzie nie. Wreszcie za cynizm i cwaniactwo jeszcze większe od ich cwaniactwa i cynizmu, ponieważ podszyte udawaną – jakżeby inaczej? – naiwnością artysty. Nie rób z siebie niewiniątka, usłyszysz, grałeś z nami do jednej bramki. Kiedy perorowałeś z pasją o swoich kolegach, relacjonując wasze spory, nazywając problemy, cytując kontrargumenty, nie wiedziałeś, dlaczego cię słuchamy z uwagą? Że powstaną z tego raporty dla władz, aby wiadomo było, kto jest kto, jak zwalczać przeciwników, gdzie są ich słabe punkty? Nikogo nie denuncjowałeś, broń Boże, to nie były żadne donosy, po prostu paplałeś. Nie kłamałeś, nie zmyślałeś, nie oczerniałeś nikogo. Rozmówcy umiejętnie wykorzystywali twój temperament pyskacza. Jeśli byli z ciebie zadowoleni, dostawałeś kolejne zamówienia z wytwórni filmów dokumentalnych. Kiedy krzywili się, że na jakieś pytanie nie umiesz – nie chcesz – odpowiedzieć, wytwórnia milkła.

– Uważasz, że wszystko jest w porządku? – pytam, gapiąc się na plakat z kolorowymi wędlinami o identycznym papierowym smaku, który dziwnie nie wyblakł przez wszystkie te lata.

– Nie jest w porządku – odpowiada Ptasidziób. – Zostało do wyplenienia mnóstwo draństwa. Ale w porównaniu z kapitalizmem…

Przestaję słuchać. Jest chyba rok 1971, taka data widnieje na kalendarzu wiszącym obok plakatu z wędlinami. Znany komunistyczny poeta, kilka lat starszy od Ptasidzioba, niegdyś jego idol, był przypadkowym świadkiem tłumienia „kontrrewolucji” na Węgrzech w 1956 roku przez sowieckie czołgi. Naród wyszedł na ulice przeciwko gąsienicom, a te go miażdżyły jak maszynka do mięsa. W ciągu kilku nocy poeta stał się żarliwym antykomunistą i takim pozostał do końca życia. Ptasidziób wystał się w kolejce, oddał krew na ofiary węgierskie, lecz do obozu poety nie przeszedł.

Wierzył, że teoria wygra z praktyką, że w końcu ustaną złowrogie konieczności.

Podobnie, choć mniej żarliwie, wierzył w to samo w roku 1968, gdy sowieckie i polskie czołgi najechały Czechosłowację. Bardzo mu było ciężko w Marcu, gdy uderzono w ptakopochodnych, zarzucając im, że odlatują do ciepłego kraju, kiedy w ojczyźnie mróz. Ich druga ojczyzna? Nie może być dwóch ojczyzn. Dwie ojczyzny to piąta kolumna. Nastąpiły demaskacje i wypędzenia, lecz Ptasidzioba ominęły, ponieważ w takich przypadkach potrzebne są wyjątki, by pokazywać je światu. Odchorował to, lecz nie przeszedł do przeciwnego obozu.

Będziesz tego żałował, Ptasidziobie.

ROZDZIAŁ 39

Każdy sądzi według siebie. Twój konformizm nie wynikał z koniunkturalizmu. Chciałeś kręcić filmy, czy to jest koniunkturalizm? I jeszcze chciałeś, by nie trafiały na półki, tylko były emitowane. Nie ma ugody bez kompromisów, więc szedłeś na ustępstwa. Tu przyciąłeś, tam dosztukowałeś. Wmawiałeś sobie, że prawda nie ucierpiała, wymaga tylko od widza większej wnikliwości.

PRAWDA WYZWALA – tak brzmi słynne motto CIA, amerykańskiej służby wywiadowczej, nieco mniej słynne od hitlerowskiego ARBEIT MACHT FREI, PRACA WYZWALA nad bramą Auschwitz. Szkoda, że nic nie znaczy. Trzeba się nażyć tyle co ja, aby odkryć, że żadnej prawdy nie ma, nie było i nie będzie. Bywają, owszem, półprawdy, prawdy nie do końca, prawdy czyjeś przeciwko prawdom innych, ale kogo to wyzwoliło? Wyzwolenie ma oznaczać wrota do wolności, a co to takiego ta wolność? Kto jej liznął? I się nie zatruł, nie dostał fioła, biegunki, oczopląsu? Służby wywiadowcze polują na cudzą prawdę, używając trucizn, bomb, przekupstwa i szantażu. Za prawdę o budowie bomby atomowej, przekazaną Sowietom, małżonków Rosenberg usmażono w Ameryce na krześle elektrycznym. Gdyby państwo Rosenberg przekazali równie ważną sowiecką tajemnicę

Amerykanom, byliby bohaterami narodowymi. Jak widać, od krzesła elektrycznego do piedestału pomnika ledwie rzut beretem.

– O co ci chodzi? – pyta Ptasidziób, owijając białą nitką kapuściane tubki, żeby nie wyleciał z nich farsz. Zaraz je wrzuci do rosołu, który ugotował na kurzych korpusach, po kilka centów paczka, porze, selerze, cebuli, marchewce i natce pietruszki. Ilana uwielbia gołąbki, ale zje najwyżej jednego, no, może dwa, ponieważ wiecznie się odchudza, choć nie ma z czego. Nie ma z czego, ponieważ się odchudza. Tak jak moja L. Kobieca logika i konsekwencja. – O co ci chodzi? – powtarza Ptasidziób.

– O nic – mówię. – Bardzo cię przepraszam. Zazdroszczę ci.

Jasne, że mu zazdroszczę. Jeszcze nie poznał żrącej goryczy spóźnionych wątpliwości. Zalicza amerykańską przygodę. Columbia, naiwni studenci, całe ulice drapaczy chmur, aż głowę trzeba zadzierać, żeby zobaczyć niebo. Galerie handlowe pełne luksusowych towarów, o których nie śniło się człowiekowi z jego stron, jezdnie pełne wielkich kolorowych aut, restauracje pełne przejedzonych żarłoków zostawiających na talerzu pół steka z przepysznej argentyńskiej wołowiny. Zrobi o tym film, kontrapunktując kartonowymi pudłami pod Central Station i gnojem ludzkim leżącym pokotem na Bowery Street. Dostanie za ten film nagrodę na festiwalu w Odessie.

Będą kolejne przygody i kolejne filmy dokumentalne, uznawane za ciekawe przez znawców, a zarazem bez urazy odbierane przez ministra spraw zagranicznych, któremu Ptasidziób towarzyszyć będzie z kamerą w jego oficjalnych podróżach do Bombaju i Sajgonu, Wientianu i Dżakarty, Beninu i Lagos. Sztuka ekwilibrystyczna: nakręcić prawdę i nie zadrasnąć notabla.

Chyba urodziłeś się ekwilibrystą, Ptasidziobie. Cieniutki lód pod tobą się nie załamie.

Z kim przestajesz, takim się stajesz.

Z Wilkiem zaprzyjaźniłeś się jeszcze na studiach, chadzałeś z nim na podryw po klubach studenckich, grywaliście w brydża w jego willi na Żoliborzu. Imponował ci inteligencją, kulturą, fantazją. W latach pięćdziesiątych, jako przymusowi ochotnicy – pod groźbą

relegowania z uczelni – trafiliście razem na wykopki ziemniaków do PGR-u pod Bartoszycami. W baraku nie było wody ani światła, więc chodziliście brudni i zapuściliście brody. Jeden tylko Wilhelm wstawał godzinę wcześniej, o czwartej rano, by odbyć dwukilometrowy marsz do studni i umyć się tam, ogolić.

Najgęstszą brodę miał Konrad. On i kilku jego kolegów ogłosili strajk głodowy, jeśli nie zaczną nas przyzwoicie karmić i dowozić beczkami wody do mycia. Karmiono podle, fakt. Trzy razy dziennie kartoflanka na słoninie. Po dwóch dniach przyjechali „pobiedą" faceci w cywilu i wywieźli Konrada z kolegami na rozmowę do Olsztyna. Do Bartoszyc Konrad już nie wrócił. Ani na uczelnię. Został wcielony do wojska, gdzie dosłużył się stopnia plutonowego. Usłyszałeś o nim po paru latach – jemu i jego trzem kolegom wytoczono proces za zorganizowanie nielegalnego wiecu przeciwko Polsce Ludowej. Poszli siedzieć.

Po wywiezieniu Konrada wałówka jednak się poprawiła. Na drugie śniadanie zaczęto wydawać boczek.

Na brydża do Wilka przychodzili partyjni działacze i oficerowie. Piło się wódkę i gadało o wrogach socjalizmu, którzy chętnie przegryźliby wam gardła. Działacze zostawali ministrami, obejmowali ambasady, oficerowie awansowali na generałów. Wilhelm otrzymał stanowisko rzecznika Pierwszego Sekretarza i stał się w kraju szarą eminencją, ale na brydża nadal cię zapraszał. Przychodzili ci sami ludzie. Przyjaciele. Już nie piło się wódki, tylko koniak. Gruziński, ormiański, później francuski Martell, szkocką whisky Black Label z coca-colą. Byłeś jedynym artystą w tym towarzystwie, lubianym, poza układami, pod opieką samego Wilka. Dzieliłeś jego zapatrywania – i co w tym dziwnego?

Byłeś zdumiony, kiedy spotkałeś Konrada na placu Konstytucji, radośnie wyciągnąłeś do niego rękę, a on jej nie uścisnął. Nie powiedział dlaczego. Nic nie powiedział, minął cię obojętnie, choć musiał poznać.

Tacy byli – hermetyczni na zewnątrz, jak na spiskowców przystało. Może dołączyłbyś do nich, gdyby cię spróbowali przekonać? Nie było takich prób. Wiedzieli o tobie więcej niż ty o nich. Wilhelm był fatalną rekomendacją.

Gdybyś wtedy miał wątpliwości, gdybyś był otwarty na argumenty strony przeciwnej, byłeś nadal bez szans. Oni byli bez szans po twojej stronie.

Z nieufności wrogość, z wrogości nienawiść, a na samym początku przypadek. Gdybyś na wykopkach pod Bartoszycami oddalił się od Wilka, a zbliżył do Konrada, twoje losy zapewne potoczyłyby się inaczej. Tylko kto to przewidzi?

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, i odwrotnie.

ROZDZIAŁ 40

Ptasidziób jest wdzięczny Ilanie, że się wyprowadziła. Pożyczonym od sąsiada elektroluksem odkurza garsonierę, bacząc, by nie pozostał gdzieś pojedynczy blond włos, ponieważ Anna jest fantastyczną tropicielką śladów. Pomagam mu w tym, starając się zachować powagę i nie okazywać ironii. Słucham opowieści o tym, jaką Anna jest oddaną żoną, jak wspaniałą matką. Ptasidziób już za nią tęskni, już zastanawia się, jak przywitać, czym podjąć. Obiad w chińskim Moon Palace czy wieczór w West Endzie? Może wystarczą steki z argentyńskiej polędwicy tu, w domu?

Zmieniamy pościel na tapczanie. W lodówce robimy porządek, bo przecież Anna nie uwierzy, że jadamy odtłuszczony jogurt, więc pojemniczki z jogurtem i jałowym twarożkiem na śmietnik. Do zsypu na śmieci zapomniane majteczki Ilany i koronkowa chusteczka z inicjałem EC. Szczegółowa kontrola łazienki, szafki z lekami – może tam zostać tylko Alka Seltzer na zgagę i syrop ziołowy na sen. Na koniec sprej lawendowy, obfite psikanie od podłogi po sufit. Anna lubi zapach lawendy.

– Cieszę się, że Ania przyjeżdża – gaworzy Ptasidziób, przecierając ściereczką okienną szybę, żeby lepiej było widać studzienną brudną szarość podwórza. – Ona tak marzy o Nowym Jorku, była wściekła, gdy odmówiono jej paszportu, jak mogli?!

Mogli, mogli, a nawet powinni byli, odpowiadam mu w myślach, zasada ograniczonego zaufania nie dopuszcza wyjątków, gdy je

czasami czyniono dla osób najpewniejszych, kończyło się źle. Cudzysłów w „wybrali wolność” miał akcentować ironiczną pogardę dla zaprzańców, którzy zdradzali ojczyznę za judaszowe srebrniki. Było bez znaczenia, że za srebrnik kupowałeś bez talonu pralkę, lodówkę, telewizor, polędwicę, samochód. Że nie czułeś za plecami oddechu esbeka, cenzora.

Nie uczyniono dla ciebie wyjątku, mój Ptasidziobie. Trafił ci się tylko inteligentniejszy urzędnik, który uznał, że dostatecznym zastawem będą wasze córki. Chcesz zapytać, o co w tym wszystkim chodzi? To proste. Człowiek nie przemieszcza się dobrowolnie z lepszego w gorsze, z raju do piekła. Towarzysze uciekają. Czasem ci najbardziej zaufani. Niektórzy zabierają ze sobą najsekretniejsze tajemnice, aby dobrze je sprzedać. Ucieczki kompromitują ludową władzę, obnażając żałosną prawdę o przewadze dóbr materialnych nad dobrami ducha. Byt jest atrakcyjniejszy od świadomości. W twojej ideoprzestrzeni pracuje się nad świadomością, aby akceptowała byt, jaki jest, i odrzucała inne byty, podszyte niesprawiedliwością społeczną. To na ogół działa, nie należy jednak dopuszczać do konfrontacji bytów bez konieczności. Dodajmy do tego zasadę ograniczonego zaufania i już jesteśmy w domu, mój Ptasidziobie.

Każdy sądzi według siebie, nie wyłączając urzędnika. A według kogo człowiek miałby sądzić? Wedle ciotki Balbinki?

Przeznaczenie. Można w to nie wierzyć. Nikt nie dowiódł, że trzynastka przynosi pecha, a siódemka szczęście, że strzegą nas anioły, a szatan kusi, że coś się z nami dzieje po śmierci, która jakoby nie jest końcem wszystkiego, tylko początkiem. Kuba, twój wrocławski przyjaciel z czasów, gdy obaj mieliście po czternaście lat, twierdził, że śmierć to nic wielkiego, po prostu sen bez snów. To najbardziej przekonuje, choć chciałoby się mieć nadzieję, że żadnej śmierci nie ma, jest tylko przejście do innej, dużo fajniejszej rzeczywistości. Dlaczego tak zwani zmarli nie dają nam o tym znać? Bo wtedy ludzkość z radochą popełniłaby zbiorowe samobójstwo, co zaburzyłoby kompozycję całości. We wszystkim jest sens, nawet w przeznaczeniu.

Zaraz wyskoczymy do Paryża.

Nim to zrobimy, krótka rekapitulacja.

Pod koniec lat czterdziestych Kuba wyemigrował z matką do Francji i tam błyskawicznie nauczył się francuskiego, zdał celująco maturę i celująco ukończył elitarne studia. Matka Kuby, osoba zamożna, uciekła przed komunistami. Pomagałem jej ukryć wór złotych monet we wnętrznościach pianina, które pozwolono im wywieźć z Polski. Złoto było przeznaczone na kształcenie Kuby. Kuba, zdaniem matki, był geniuszem. Moim zdaniem też. Rzeźbił, pisał wiersze, komponował muzykę i miał zadatki na wirtuoza, ale w Paryżu ukończył chemię, ponieważ matka uznała, że jest to konkretny zawód. Po czym wynalazł metodę neutralizacji odpadów radioaktywnych przez zatapianie ich w bryłach ołowiowego szkła. Genialnie proste. Tym właśnie geniusz różni się od innych.

Nic o Kubie nie wiedziałem, albowiem zgubiliśmy się: równoczesna przeprowadzka, moja z Wrocławia do Warszawy, Kuby z Belleville na Montmartre – nasze listy wróciły, nie odszukawszy adresata.

Przeznaczenie?

Moja matka poleciała na parę dni do Francji, aby pożegnać swoją umierającą ciotkę, i w Paryżu na wąskiej ulicy zderzyła się z Kubą twarzą w twarz, tak że nie mogli się minąć. Oboje bąknęli „Pardon” i w tym momencie moja matka go poznała, wykrzyknęła: „Kubuś, to ty?!”.

Przeznaczenie się spełniło.

Kuba jeszcze nie był generalnym dyrektorem MG France, jeszcze nie zbudował w pewnym ciepłym, bliskim mu kraju reaktora atomowego ani szesnastu fabryk nawozów sztucznych w Związku Sowieckim, co ukoronowane zostało jego fotografią na pierwszej stronie „Prawdy” i poufnym, przy wielkiej wódce, wyznaniem lokalnego ministra, że produkcja tych szesnastu fabryk pokryje to, co u nich się rozkrada podczas transportu saletry do sowchozów.

Kuba dopiero zaczynał.

ROZDZIAŁ 41

Lądujemy na rue Lepic, w centrum Paryża, na Montmartre. Jest to ciasna uliczka wspinająca się stromo od placu Clichy meandrami aż do białej świątyni Sacré Cœur. Włóczyli się po niej Toulouse-Lautrec i Chagall, Monet i Manet, van Gogh i Gauguin, Picasso i Dali. Miewali tu swoje pracownie, rozstawiali sztalugi na placu du Tertre, żłopali wino w okolicznych kafejkach i knajpkach. Ten kawałek Paryża ani drgnął przez ostatnie stulecie, a może i dłużej, w starym bruku jeszcze pobrzmiewa melodia końskich kopyt, skrzypienie fiakrów, pokrzykiwania dorożkarzy.

Jesteś oczarowany. Trafiłeś tutaj prosto z miasta nie tak dawno zrównanego z ziemią przez hitlerowskie bombowce, odbudowywanego w pośpiechu ze starych cegieł i betonowych klocków. Przodownicy pracy, z pieśnią na ustach, czyny społeczne, produkcyjne zobowiązania. Sztuczna Starówka i przepełnione blokowiska na obrzeżach. W centralnym punkcie bajkowy wieżowiec obłożony złocistym piaskowcem i zwieńczony iglicą, Dar dla Polaków od Józefa Stalina, kopia budowli z lat dwudziestych na nowojorskim Manhattanie.

Byłeś tutaj z Kubą zaraz po wojnie, pamiętasz? Pociąg z Wrocławia do Warszawy, zapełniony jak puszka konserwy, wlokący się pięć na godzinę po odtwarzanych torach. Udało wam się wcisnąć na półki z plecionego sznura, między toboły, pakunki. Duchota. Nie było czym oddychać. Mimo to dotrwaliście.

Odsłaniano pomnik Bohaterów Getta, dzieło rzeźbiarza Rappaporta, monumentalną kompozycję z kamienia i czarnego metalu. Ale nie pomnik wżarł wam się w pamięć, tylko przestrzeń otaczająca: jak okiem sięgnąć czarnobrunatne rumowiska, pagórki i doły już porośnięte chwastami, ze sterczącym gdzieniegdzie pojedynczym kominem, pogiętą szyną stropu, kawałkiem schodów donikąd. Wydawało wam się, że czujecie fetor trupów ulatniający się z gruzowisk wraz z nikłym zapachem spalenizny. Kuba był blady, małomówny. Gdzieś tutaj mieszkali przed wojną. W domu została babcia. Może tu akurat, gdzie teraz stoją. Opakowanie,

przypomniałeś Kubie jego własne słowa, sen bez snów. Jej już tu dawno nie ma.

Łatwo powiedzieć.

Jesteś więc oczarowany Montmartre'em, któremu najeźdźcy nie wyrządzili najmniejszej szkody. Ani wojny, pierwsza światowa i druga. Paryż ma szczęście, wszyscy go szanują. Idealny schron na wypadek trzeciej. Secesyjne kamieniczki, tajemnicze stare wille za żelaznymi sztachetami, w gęstych girlandach winorośli. Schody, schodki. Zaśniedziałe tablice pamiątkowe z nazwiskami postaci historycznych. Kwiatki na parapetach, drewniane białe okiennice. Rue Lepic wije się leniwie jak wyleniały wąż. Pod numerem pięćdziesiątym na czwartym piętrze bez windy będzie mieszkał Kuba ze swoją młodą francuską żoną. Jeszcze się nie wprowadzili. Dostaniesz klucz do trzech pokoi z kuchnią. Stiuki, sztukaterie, marmurowy kominek. Żadnych mebli, tylko żelazne łóżko dla ciebie, krzesło i prosty stół. Na stole czarna butelka hiszpańskiego porto. W lodówce nic.

– Źle ci było? – pytam.

– Cudownie – uśmiechasz się. – Taka dziwaczna nierzeczywistość.

Francuska żona Jean-Jacques'a nigdy cię nie polubi. Zna swojego męża jako człowieka statecznego, bardzo serio, uosobienie powagi i logiki. Taki jest tutaj, nad wiek dojrzały, darzony szacunkiem za uzdolnienia i mądrość. Zaszedłby dużo wyżej, gdyby urodził się Francuzem i gdyby nie dopatrzono się w nim ptasich genów; ważył zawsze nieco mniej, niż powinien był. Z tobą, ku zaskoczeniu francuskiej żony, Kuba zmieniał się w rozbrykanego chłopca. Paplał w niezrozumiałym dla niej języku, grał z tobą grzebieniem w cymbergaja, mocował się na rękę, fikał koziołki na dywanie i robił pompki. Rechotaliście obaj do łez, poszturchując się i trącając, strojąc do siebie błazeńskie miny. Francuska żona była zazdrosna. Nie umiała przyjąć do wiadomości, że do twojego Kuby nie może mieć dostępu. Kuby tu nie ma, jest Jean-Jacques, a ona, na pozór dominująca w ich małżeństwie, chciała mieć komplet kluczy do męża. Twój Kuba chyba jej się podobał. Zapewne dlatego, że nie mogła go mieć.

Ciebie takiego też już nie było. Tylko z Kubą, przy Kubie.

– Umiesz żyć w komunizmie? – zapytał przy butelce kalwadosu, o którym marzyłeś po przeczytaniu *Łuku Triumfalnego* i który okazał się kolejnym życiowym rozczarowaniem, zwyczajnym bimbrem z jabłek.

– A ty w kapitalizmie?

– Głupi jesteś.

– To ty jesteś głupi.

– W tym rzecz, że nie jestem – zaprzeczył z powagą Kuba. – Odpowiada mi samotność indywidualisty. Myślałem, że tobie by też odpowiadała.

– Bo nie zasmakowałeś wspólnoty. Kolektyw to wsparcie. To także sens życia, czynienie dobra innym. Tylko w społeczeństwie socjalistycznym, gdzie nie ma wyzysku człowieka przez człowieka…

– Wierzysz w te brednie? – zapytał Kuba, wybałuszając oczy.

Pomyślałeś, że przestaliście się jednak rozumieć. Wasza bliskość utknęła w szczenięcych latach. Cymbergaj, przepychanki, mocowanie na rękę.

– W społeczną sprawiedliwość. W godność każdego człowieka.

– Bzdura – usłyszałeś. – Jaka godność, jeśli człowiek jest niczym, a masy wszystkim? Idioci planują przyszłość, jakby projektowali stodołę. Chcą to narzucić innym. Szpiegują się nawzajem i nikt nikomu nie ufa, a wiesz dlaczego? Ponieważ nie wierzą sobie samym.

– Jedni nie, inni tak – próbowałeś zaprotestować.

Zgoda, frazesy, ale inaczej nie umiałeś tego nazwać.

– A co myślisz o zbrodniach Stalina? O mordowaniu Węgrów? Jak możesz z tym żyć?

Nie chciałeś dłużej słuchać. Szkoda. Może warto było?

Raczej jednak nie, skoro miałeś powrócić do swojego świata.

– Co znaczy po francusku „rien”? – zapytałeś Kubę.

– Nic.

– Jak to, nic? Coś przecież znaczy!

I obaj parsknęliście śmiechem, takim rechotem jak dawniej.

Kiedy zostawił ci klucze i wyjechał z francuską żoną do jej rodziny we Flandrii, nie przyszło mu do głowy, że masz ze sobą tylko pięćdziesiąt dolarów. Tyle wolno było wywieźć z Polski na Zachód.

Kupiłeś za to paczkę sucharów, plik biletów metra i jeszcze zostało ci trochę. Podzieliłeś te trochę na dzienne racje. Na Champs Élysées, gdy miałeś już wracać na rue Lepic po całodziennej wędrówce, zobaczyłeś kino i afisz filmu Bonda *Opération Tonnerre*. Bilet kosztował tyle, co sandwicz na kolację. Byłeś bardzo głodny, ale wybrałeś film.

Pierwsze upokorzenie: nie wiedziałeś, że bileterkom daje się napiwek za odprowadzenie na miejsce. Nie miałeś już grosza przy sobie, tylko bilet metra na powrót do domu. A bileterka czekała. W końcu ryknęła na całą salę, „Merci monsieur!", a ty nie umiałeś zapaść się pod ziemię ze wstydu.

Upokorzenie drugie: kiedy wyszedłeś z kina (przez incydent z bileterką nic nie pamiętasz z filmu), poczułeś wilczy głód. Stanąłeś na moment przed restauracją, jedną z tych rokokowych inkrustowanych, na Champs Élysées, wielkie witryny, złocenia w środku, przed wejściem portier w generalskim mundurze. Za szybą wyfraczeni goście dłubali widelcami we frykasach, odsuwając na bok niedojedzone półmiski przysmaków.

Patrzyłeś. Ściskało cię w żołądku.

Podjechał sportowy mercedes, wysiadła z niego piękna jasnowłosa dziewczyna, cała w koronkach i szynszylach, oraz młodzieniec w ekstrawaganckim buraczkowym smokingu. Portier, zgięty wpół, otworzył przed nimi drzwi do lokalu. Boy odprowadził samochód.

Ten gnój w smokingu z pewnością nie dorastał ci do pięt.

Pomyślałeś sobie, że przyjdzie dzień, gdy wygalowany portier ugnie się przed tobą, a ty w towarzystwie piękności w sobolowej etoli wkroczysz do złoconej sali, gdzie obskoczą was kelnerzy, serwując homary w kawiorze i stuletni szampan, a ty pół homara zostawisz na talerzu, szampana nie tkniesz, poprosisz o wódkę czystą i kiszony ogórek.

Nienawiść i wściekłość przytłumiły głód. Na rue Lepic dobiłeś go do reszty sucharami.

Spójrz na mnie. Ten dzień homara w kawiorze i stuletniego szampana jeszcze nie nadszedł. Chętnie zaprosiłbym moją L., całą w

koronkach i szynszylach, do rokokowej restauracji na Champs Élysées, ale nic już z tego nie będzie.

ROZDZIAŁ 42

Kuba odwiedził mnie w Warszawie. Był już sławny. Za genialny przekład na francuski *Kwiatów polskich* Juliana Tuwima dostał nagrodę polskiego ministra kultury. Byłem gotów pojechać z nim do Wrocławia, przejść się po Małpim Gaju, po Ostrowie Tumskim, po zaułkach wokół placu Solnego, ale jego francuska żona była przeciw. Poszliśmy do opery na *Jezioro łabędzie*.

Ludzie przynajmniej potrafią udawać wdzięczność.

Że nienawidzą zawdzięczać? To akurat jest oczywiste. Nie cierpię łabędzi, są to wstrętne ptaszyska. Dokarmiałem kiedyś takiego, a kiedy chleb mi się skończył, łabędź z wściekłym sykiem wygramolił się z jeziora i zaatakował mnie, z furią trzepocząc skrzydłami. Ledwo mu uciekłem.

Drugim powodem, dla którego nie pojechaliśmy do Wrocławia, był ból głowy. Kuba dostał migreny, po czym spał osiemnaście godzin. Jeszcze nikt nie wiedział, że ma guza mózgu.

Miałem szczęście do żeglarzy. Kuba też żeglował, ale inaczej niż Koral. Żeglowanie Kuby było sportem eleganckim, na drogim jachcie kupionym do spółki z trójką zamożnych inżynierów. Rok dzielono na cztery części, aby każdy ze współwłaścicieli był kapitanem swojej własnej załogi. Kuba pływał jesienią. Nosił przepisowy strój z białą kapitańską czapką, a jego załogę stanowili nieco młodsi od niego intelektualiści, absolwenci Sorbony. Zawijano do modnych portów, gdzie akurat trwały festiwale filmowe, koncertowali wirtuozi, śpiewał Plácido Domingo. Ale między portami też zdarzały się sztormy i wtedy Kuba zmagał się z falami i wichrem nie gorzej niż Koral. Lubił te zmagania, umiał o nich ładnie opowiadać. Kilka razy jego jacht o mało nie nadział się na skały, innym razem o mało się nie wywrócił

na rozszalałym morzu. Po trzech tygodniach rejsu Kuba wracał do firmy odstresowany, w kolorze brąz od słońca i wiatru, pełen energii kontrolowanej. Gdzieś na Syberii, w Meksyku, w Iranie powstawała nowa fabryka. Później, gdy dramatycznie skończył z budowaniem – był już wtedy dyrektorem generalnym MG France, do prezesury brakło mu tylko francuskiej metryki urodzenia – nadciągnął kryzys gospodarczy i rada nadzorcza kazała mu zwolnić dwudziestu inżynierów, a on odmówił i sam podał się do dymisji, która została przyjęta. Być może tego się nie spodziewał. Powie mi, że nie mógł zwolnić tych ludzi, ponieważ każdy był doskonałym fachowcem i z każdym się przyjaźnił.

Zostanie przedwczesnym rencistą, tłumaczem poezji, wykładowcą uniwersyteckim, redaktorem kilku antologii, wreszcie poetą. Jego tom wierszy *Nadinterpretacje* uzyska prestiżową nagrodę Unii Europejskiej. Obrazy i rzeźby Kuby ozdobią kilka znanych galerii i salonów.

A on sam?

Będzie nazywał siebie człowiekiem wolnym, czerpiącym garściami z życia. Założy lub wesprze fundacje zatroskane o byt nędzarzy z Bangladeszu, Somalii. Wyzna mi, że jest dumny ze śladów, jakie zostawił po sobie na ziemi – owych budowli w różnych zakątkach świata, które służą ludziom.

– Nie chcę cię urazić – powie mi kiedyś – ale twoje filmiki mają regionalny charakter, nie są uniwersalne. Żeby zrozumieć ich aluzyjność, trzeba być z twoich stron.

Jeszcze masz daleko przed sobą, mój Ptasidziobie, prapremierę serialu *Ballada o kumplach*, nie w Warszawie, lecz właśnie w Paryżu, ponieważ Warszawa odesłała ten serial na półki, ale Francuzi zdążyli go przedtem kupić i odkręcić się tego już nie dało, choć były próby. Obejrzysz więc swój serial we Francji, jako gość kanału drugiego, udzielisz wywiadów i zbierzesz świetne recenzje. Ale nie w domu Kuby. Tam jego francuska żona będzie wolała oglądać, transmitowany w tym samym czasie, koncert Filharmonii Wiedeńskiej pod dyrekcją wielkiego von Karajana. W asyście męża, ma się rozumieć.

Czy cię to zaboli? Gorzej niż rwanie zęba na żywo. Po raz pierwszy przybędziesz do Paryża nie jako ubogi krewny twojego przyjaciela. Po raz pierwszy i jedyny pokażą twoją twarz w telewizji francuskiej, a nawet, po cichu, bo polskie władze na to się nie godzą, dostaniesz do ręki trochę franków.

Zaprosisz Kubę z jego żoną Francuzką na obiad do rokokowej restauracji na Champs Élysées, tej ze złoceniami, całej w karminowych pluszach, z wygalowanym generałem-portierem. Odmówią.

– Dlaczego nie zostaniesz tutaj? – zapyta mnie Kuba przy rzadkiej okazji kieliszka w bistro tylko we dwójkę. – O serialu jest głośno, to dobry moment. Nie chcesz być wolny?

Dzień wcześniej spotkał się ze mną mój stary przyjaciel, wielki rosyjski pisarz Wiktor Niekrasow, skazany przez Kreml na banicję. Odwiedził mnie w domu Kuby: on i żona marzyli, by poznać osobiście słynnego dysydenta.

Wiktor wyglądał źle. Oklapłe wąsy, twarz zapadnięta, szara.

– Nie mogę tu pisać – wyznał. – U siebie w Kijowie nie brałem do ręki sowieckich gazet. A tutaj co rano odbywam kilkugodzinny spacer do kiosku, w którym sprzedają „Prawdę”.

– Nie chcesz być wolny? – powtórzy pytanie Kuba.

– Nie lubiłbym rankiem długich spacerów – odpowiem. – I nigdy, za chińskiego boga, nie nauczyłbym się po francusku.

Francuski mi nie leży. Kilka razy się przymierzałem, bez skutku.

Nie powiem Kubie, że wolność nosimy w sobie. On wie. Dużo więcej rozumie, niż da się upakować w słowa.

Spróbuj, Ptasidziobie, porównać wolność Korala z wolnością Kuby.

Że wolność Kuby zasługuje na szacunek, a wolność Korala jest egoistyczną zachcianką? Oj, rżniesz ty głupa, mój Ptasidziobie, albo, mój Ptasidziobie, nic a nic nie rozumiesz.

Migrena będzie powracać i będzie jej towarzyszyć osłabienie, coraz większa niemoc z bezustanną sennością. Źle to widzę. Francuska żona nie powie mi prawdy. Chyba ją zna. Nie wiem, czy prawdę zna Kuba.

Przybędę na rue Lepic, gdy Kuba nie będzie już wstawał z łóżka. Zamieszkam nieopodal w taniutkim hoteliku. Francuska żona otworzy oczy ze zdumienia, ponieważ Kuba, który zaczął tragicznie się jąkać, co lekarze uznali za bardzo zły symptom, nie będzie się jąkał, rozmawiając ze mną po polsku. Dlaczego? A bo to można wiedzieć? Będę go trzymał za rękę, gdy zostaniemy sami. To taki przekaz, że nie pozwolę mu odlecieć. Bo my, ptakopodobni, odlatujemy. Odlatywaliśmy przez kominy pieców, pod prysznicami, z których zamiast wody płynął cyklon B, i z syberyjskich łagrów, gdy już nie czuło się skurczów głodowych. Ale odlatujemy też zwyczajnie, kiedy nadchodzi nasza pora. Dokąd? Może do gniazda albo za siedem mórz, albo jeszcze gdzie indziej.

Nie będę wiedział, co odpowiedzieć Kubie, kiedy zapyta mnie o Pikusia, czy jeszcze sika na podłogę. Kundelka Pikusia miałem we Wrocławiu, kiedy liczyliśmy sobie po trzynaście lat.

Wyjadę, przyrzekając wrócić za miesiąc, „gdy już wyliżesz się z tego". Odtąd francuska żona nie da Kubie słuchawki, gdy będę dzwonił z Warszawy, z Bangkoku, z Nowego Jorku. Usłyszę: „Śpi", „Jest zmęczony", „Nie chce teraz z tobą rozmawiać". Aż wreszcie: „Odczep się od nas".

Nie mogę się odczepić. Po tygodniu znowu zadzwonię i poproszę Francuzkę, aby spytała tylko, czy Jean-Jacques chce mnie widzieć. Odpowiedź e-mailem nadejdzie następnego dnia i będzie dziwnie długa. Przeczytam, że Kuba jest w szpitalu, często traci przytomność, guza mózgu nie da się chirurgicznie usunąć. Nie chce widzieć nikogo, ale ona go zapytała o mnie i nie ukrywa zdumienia, że wymamrotał: „Tak". Nie dowierzając, po paru godzinach spytała o to samo raz jeszcze i wtedy Kuba warknął gniewnie: „Przecież ci powiedziałem, że tak!". No to francuska żona zostawia mi decyzję, czy mam przylecieć. Ostrzega, że będę przerażony widokiem Jean-Jacques'a. „Nie wyobrażasz sobie, jak mój mąż wygląda. Zastanów się, czy chcesz zaryzykować taki stres".

Będzie niedziela. Zarezerwuję od wtorku ten sam hotelik, wykupię bilet w Air France i zawiadomię o tym żonę Kuby. Odpowiedź nazajutrz: „Odwołaj. Jean-Jacques zmarł dzisiaj nad ranem".

Kolejna amputacja. Jest mnie mniej o Kubę.

ROZDZIAŁ 43

Ty, Ptasidziobie, nic jeszcze o tym nie wiesz. Jakiś twój kolega zapił się na śmierć, inny powiesił się z niemożności albo zwyczajnie z głupoty, znajomy aktor zginął w wypadku samochodowym. Katastrofy. Jeszcze nie biologia. Ubywać cię zacznie dopiero w przyszłości, kiedy żadną protezą na to nie zaradzisz.

Nie poleciałem na pogrzeb Kuby do Paryża. Ciężko się przemóc. Ceremonie pożegnalne z przepisowym rytuałem, wieńcami, mowami nad trumną są dla mnie nie do strawienia. Patos, pompa, teatr. A już składanie kondolencji rodzinie… brrr! Że niby co? Rozumiem, współczuję, też mi przykro?

Idziemy z L. cienistą aleją Cimetière du Père-Lachaise. Wiosenne pąki na drzewach, ptaszki świergolą, wyżej szare niebo brzuchate od chmur, powietrze pachnie ziemistą wilgocią. L. trzyma mnie za rękę. Kubę pochowano miesiąc temu gdzieś tutaj, tylko gdzie? Piętnasta aleja. Żadnej świeżej mogiły z kopcem zwiędłych kwiatów. Jest sobota, biuro cmentarza zamknięte, nie ma kogo zapytać. Francuska wdowa po Kubie rzuciła mi przez telefon, że grób przy Piętnastej Alei i odwiesiła słuchawkę, a nawet trzasnęła nią, jakbym to ja był wszystkiemu winien. Może jestem.

Idziemy, szukamy, nie ma. L. drży. Niedobrze się tu czuje. Ja też. Mijamy grobowce z długą listą historycznych nazwisk, wszystkie zadbane, wypieszczone. Père-Lachaise to reprezentacyjny cmentarz w centrum Paryża. Wycieczki pstrykają aparatami. Zaczyna padać.

Nie ma wyjścia, znowu telefonuję do wdowy.

Spotykamy się nazajutrz pod cmentarną bramą. Żadna Piętnasta Aleja, zero wyjaśnień. Wdowa nosi bury workowaty chiton i ma wory pod oczami. Zostawia nas przy mogile z kopcem zwiędłego zielska i prowizoryczną tabliczką: imię, nazwisko, dwie daty, a między nimi kreska. Taka kreska to wszystko. Dziś nie pada. Słońce sączy się ciepluteńko spomiędzy zielonych gałązek, zielsko na grobie paruje.

Mówię do L., że niepotrzebnie przyjechaliśmy, Kuby tu nie ma, a ja nie lubię już Paryża. L. wie, o co chodzi, idziemy na wódkę do jakiejś knajpki w pobliżu. Milczy nam się beztrosko, żadnych słów zastępczych. Dla mnie smirnoff, dla L. mineralna bez gazu. Po drugim podwójnym smirnoffie proszę L., aby nie oddawała mnie na pożarcie robactwu, tylko kazała spopielić. Sąd Ostateczny? Sorry, pardon, czy nie jest powiedziane, że „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”? Prochy to kremacja.

– A mnie kto pochowa? – pyta L.

Nie po raz pierwszy pyta, musi ją to trapić. Nie ma żadnej rodziny, a jest dużo młodsza ode mnie. Może być problem.

– Nic się nie martw – uspokajam – już ja coś wymyślę.

Czyja wolność jest w takim razie wolnością, Korala, Kuby czy moja wreszcie? Nie patrz tak na mnie, Ptasidziobie, nie wybałuszaj swoich okrągłych oczął. Nic nie wiesz o wolności.

– Ja nie wiem? – wkurza się Ptasidziób. – To ty masz kiełbie we łbie od długiego życia. Wolność to…

– To co? – ponaglam.

– Świadoma, wyważona, przemyślana możliwość wybierania. Nie jakieś tam fiu-bździu. I do tego jeszcze sens.

– Głęboki sens bezsensu – przytakuję z uśmieszkiem.

– Nonsens. Nie ma sensu w bezsensie. W życiu trzeba mieć cel i do niego dążyć, pokonując trudności i przeszkody – mądrzy się Ptasidziób i po raz chyba dziesiąty lustruje swój mroczny pokój, obwąchuje każdy kąt, czy przypadkiem nie czuć tam Ilaną.

– Jaki jest twój, Ptasidzióbku?

– Ten sam co twój. Nakręcić film życia i rzucić ich wszystkich na kolana.

Zamyślam się na krótko. Aż taki głupi byłem? Czy tylko naiwny? I jak bardzo zakłamany? Jeżeli mu powiem, że wszystkich na kolana rzucić może tylko kicz, a prawdziwe dzieło jednych rzuca, innych wpędza w nienawiść i wtedy dopiero jest arcydziełem albo do tego pretenduje – Ptasidziób weźmie to dosłownie. Dosłowności zaś unikać trzeba jak ognia. Dosłowność to tylko trzy wymiary i ani jednego więcej. A gdzie czas? Duch czasu? Piętra wyobraźni,

wieloznaczne aluzje, pozakręcane metafory, prorocze niedopowiedzenia? Gdzie dusza artysty, jego nieobjaśniona intuicja? Rozpaczliwa niezgoda na samego siebie, zmieszana z samouwielbieniem, i beznadzieja, bo przecież nie może się udać?

Ptasidziób rozpyla w kuchni zapach cebuli i czosnku, gasząc i tak ledwo wyczuwalny aromat waniliowych jogurtów Ilany. Czosnek i cebulę, utarte na miazgę, zmiksuje z gęsią wątróbką i żółtkami, doda mielonej cielęciny, nieco bułki wymoczonej w mleku, doprawi solą, pieprzem i bazylią. To wszystko będzie gniótł i międlił dłonią, aż wymiędli jednolitą masę. Międlenie ręczne to najważniejsza czynność.

Tak skomponowany farsz Ptasidziób napakuje do kieszeni wyciętej z chirurgiczną precyzją w cielęcym mostku. Anna go uwielbia.

Cielęcy mostek to w Nowym Jorku rarytas, trzeba go wcześniej zamówić u polskiego rzeźnika na Brooklynie. Amerykanie nie zabijają mlecznych cieląt, byliby bez serca, cielę też ma prawo trochę nacieszyć się życiem, nim trafi do rzeźni. Co kultura, to obyczaj. W naszej słowiańskiej kulturze nie ma akurat tego obyczaju. Jesteśmy logiczni. Gdyby Amerykanie grzeszyli konsekwencją, nie powinni jadać także kurcząt, a zwłaszcza jajek, z których dopiero życie się wylęgnie. Tymczasem ich narodowa potrawa to jajecznica na bekonie.

Ptasidziób zaszyje kieszeń białą nitką i natrze mostek mieszaniną ziół z przewagą imbiru i majeranku. Ułoży żebra w brytfannie i wsadzi do piekarnika, gdy ten się mocno nagrzeje.

Piec należy około godziny, aż mostek się zarumieni chrupiąco, a wykałaczka, na chwilkę wbita w farsz, okaże się prawie sucha. Taki cielęcy mostek można jeść od razu po upieczeniu albo później, na zimno. Później bywa nawet smaczniejszy, zwłaszcza popijany czerwonym wytrawnym winem kalifornijskim.

– Na twoim miejscu nie marzyłbym o rzuceniu widzów na kolana – odzywam się, obserwując zaszywanie kieszeni w mostku. – Nie za mało nadzienia?

– W piekarniku mostek się kurczy. Pękłby.

Zapomniałem. Bardzo dawno nie piekłem faszerowanych mostków. Powiedzieć mu, że nakręci kiedyś drugą część *Połowy*

cudu? Odnajdzie jednego z chłopaków, którzy dobili w polu dziewczynę, i zrobi o nim *Krótki film o pokucie*. Siwowłosy mnich, pustelnik zaszyty w ruinach klasztoru, który leczy nieuleczalnych nalewką z cmentarnych ziół i dotknięciem kościstej dłoni. Niektórych przywraca do życia. Szkielet w dziurawym habicie odprawia pokutę, klęcząc na ostrych kamykach, więc jego kolana są niegojącą się raną i dziw bierze, że jeszcze się nie wdała gangrena. On jeden żyje z tamtej czwórki, co to najpierw gwałciła kolejno, potem wepchnęła do pochwy stłuczoną butelkę po piwie Haberbusch i na końcu ucięła dziewczynie głowę.

Ojciec Inferniusz, pomimo żarliwych modłów, pamięta każdy szczegół zaprawionej bimbrem zabawy. Tamci pomarli młodo z Bożej łaski, a on żyje i żyje. Śmiali się z niego, gdy szedł do klasztoru, a po cichu zagrozili, że jak parę z gęby puści, to mu chatę spalą, a w niej ojca z matką.

Nie wyzna swego grzechu nawet na świętej spowiedzi. Jednemu Bogu tylko i tobie, Ptasidziobie, gdy go najedziesz z kamerą w klasztornym rumowisku. Jak wpadniesz na jego trop? Za pieniądze. Kiedy w telewizyjnym *Starym kinie* przypomną *Pół cudu*, zadzwoni do ciebie jegomość z tamtej wsi i skrzeczącym głosem zaproponuje interes. Suma niewygórowana. Jegomość okaże się bezzębnym dziadkiem, któremu dasz na protezę, a on ci wskaże ojca Inferniusza. Na miejscu wyjdzie na jaw, że cała wieś wiedziała, ale donosicieli tam nie lubią, ponadto boją się odwetu, a zemsta, jak przekleństwo, przechodzi z ojca na syna. Zresztą, co się takiego stało? Ktoś psa powiesił za obszczekanie, inni podpalili ciężarną kocicę, żeby zarazem pozbyć się miotu. Młodzi to głupi. I zabawowi do tego. Jedynie Stefanowi wtedy odbiło, do zakonu wstąpił, uczynił jakieś śluby.

Jak go skłonisz do wyznań? Sposobem. Bez sposobu na ludzi żaden byłby z ciebie dokumentalista. Znajomość psychologii nie wystarczy, tu trzeba talentu. Intuicja podpowie, czy się przymilać, czy grozić, czy nie skąpić obietnic. Do jednego trafi honor, do drugiego szyderstwo, do trzeciego sumienie. Na ojca Inferniusza zadziałał strach.

Nie taki zwykły, przed sądem i karą, ani przed rodziną zakatowanej, która nie odpuści. Wpadniesz, Ptasidziobie, na pomysł, że jesteś posłańcem stamtąd. Tam chcą zobaczyć prawdę.

– Drugą połowę cudu. A ty, ojcze Inferniuszu, wtedy Stefanie, główną w tym grałeś rolę.

– Nie!

– Ty podpuściłeś chłopaków. Pierwszy dopadłeś dziewczynkę, obaliłeś na ziemię, odzienie z niej zdarłeś.

– Nie ja!… Jezu, uwierz!… Ja jeden nie tknąłem jej. Patrzyłem tylko. Tchu złapać nie mogłem…

– Ale mogłeś jej bronić – powiesz łagodnie. – Nie próbowałeś, więc twoja wina najcięższa, ponieważ byłeś świadom.

– Wiem – przytaknie mnich. – Byłem podniecony, w gorączce, w kroku mi napęczniało, w gardle kłąb. Cały się trząsłem i nawet wtedy, gdy kozik zawisł nad jej gardłem, nie chwyciłem Józwy za nadgarstek, a przecież zdążyłbym… Moja wina najcięższa. Niczym jej nie odkupię.

Ustawisz kamerę, przypniesz do habitu mikrofon.

– Dana ci będzie szansa – zakomunikujesz pustelnikowi. – Po to tutaj przybyłem. Najpierw opowiesz o zbrodni i swoim w niej udziale, niczego nie zatajając. Potem opowiesz resztę swego życia. Jak pomagałeś ludziom, aby odkupić swój grzech.

– Nie pomagałem, żeby odkupić.

– To po co?

– Żeby objawić im prawdę. Zasiać wątpliwość w ich rozumieniu świata. W dzieleniu ludzi na rodowody ptasie, wilcze, żmijowate, od lwów i od kundli, od Chrystusa, Mahometa i Buddy. Lecząc, szeptałem, a oni słuchali i jeśli zdrowieli, zaczynali rozumieć.

– Kościół cię odepchnął – przypomnisz, nie wyłączając kamery.

– Miał prawo – zgodzi się mnich. – Według biskupów głoszę świętokradztwa. Naszeptuję leczonym, że Chrystus skłonił Judasza do zdrady, bo taki był plan, a krzyżowali Go rzymscy żołnierze z wyroku rzymskiego konsula i ślad po Rzymianach zaginął, a lud naznaczony, nieszczęsny, niczym krucza brać, która nigdzie nie jest pod ochroną i wolno do niej strzelać, trwa i trwa, jak te chwasty. Dlaczego trwa? Żeby cierpieć? I tyle tego cierpienia, tyle męki

tułaczej, uprzedzeń i niechęci, pogardy i nienawiści, że o przypadku mowy być nie może.

– Bóg lubi zadawać ból? – zapytasz, robiąc zbliżenie, aby oko kamery nie uroniło niczego z wyrazu oczu pustelnika.

– Nic podobnego – burknie ojciec Inferniusz, uciekając wzrokiem. – Co Go obchodzi nasze cierpienie? To Boży test. Na razie nie zdał go żaden z ludów. Chyba coś o tym wiesz, Ptasidziobie.

Ostatnie zdanie dorzucam od siebie. Nie trafi do dokumentu, w którym na wywiad z mnichem nałożysz fragmenty *Połowy cudu*, współczesne napisy na murach, stadionowe okrzyki, tłuczenie szyb w sklepach, wymuszone rezygnacje z obywatelstwa w gabinetach państwowych urzędników. Coś z Kryształowej Nocy, z Jedwabnego, z Kielc. I chmary czarnego ptactwa, jak u Hitchcocka.

ROZDZIAŁ 44

Wczoraj, 10 stycznia 2012 roku, nadeszła wiadomość, że Ed Love nie żyje. Nic o tym wiedzieć nie może ani Ptasidziób przy Sto Trzynastej Ulicy, ani ja, który go tam odwiedzam, ani moja L., ani sam Edzio, profesor wampirologii, w czarnych wyglancowanych bucikach i w żółtej nakrapianej muszce do fioletowej koszuli pod kraciastą marynarką. To się dopiero stanie, choć już się stało. Wczoraj, dziesiątego stycznia dwa tysiące dwunastego roku. Po ośmiu miesiącach beznadziejnie rozpaczliwej walki z namnażającą się lawiną komórek rakowych we krwi.

Profesor Ed Love, przedtem Lewandowski, po pradziadku Lewenstein. Czy aby na pewno? Dziadek Eda, atletyczny brodacz w czarnym surducie, dumnie wypina garbaty ptasi nos na rodzinnej fotografii. Po fachu był kowalem, miał kuźnię na przedmieściach Sandomierza, ale do dagerotypu przyodział się jak panisko. Obok jasnowłosa żona i kilkoro dzieciaków, wśród nich, najmłodszy, przyszły ojciec Eda. Żona ma na imię Brygida, z domu Owsiak, rodowita katoliczka. Żeby ją poślubić z wielkiej miłości, Chaim Lewenstein zdecydował się na chrzest i zmienił nazwisko na

Lewandowski. Ojciec Chaima, Szmul Lewenstein, też kowal, szanowany w całej okolicy za wspaniały tenor, którym śpiewał jako kantor w sandomierskiej synagodze, rzucił na syna przekleństwo. Henryk, już nie Chaim, Lewandowski swojemu synowi dał na chrzcie świętym imię Bolesław, a ten, już jako właściciel fabryki grzebieni w Sandomierzu, poślubiwszy Izabelę Guzik, spłodził z nią Reginę, Ludwikę i Edwarda.

Koniec genealogii. Nie ma co wdawać się w szczegóły. Poza jednym: Ed Love był podobny do swego pradziadka Szmula Lewensteina jak dwa ziarnka maku. Olejny portret pejsatego przodka w jarmułce na tle synagogi sandomierskiej nie pozwalał w to wątpić. Ten sam garbaty nos, wydatnie zmysłowe wargi, oczy wyłupiaste, smoliste kędziory. Tyle że Ed nie miał pejsów, nie nosił jarmułki i był rzymskim katolikiem, lecz do pradziadka był bardziej podobny niż jego własny dziadek, o ojcu już nie wspominając. Geny są nieprzekupne i bywają przewrotne.

Rozpoznaliśmy się, bez słowa wzajemnych wyjaśnień, spacerując po nocnym Broadwayu i podskakując równocześnie, co trzeci albo czwarty krok. Wiesz, o czym mówię, Ptasidziobie. Masz to świeżutko w pamięci. Wykonując otóż te zabawne podskoki, odkryłeś, że nie lądujesz zgodnie z prawem ciążenia, tylko o sekundę czy nawet o dwie później, jakbyś przez ów moment, wcale nie taki krótki, zawisał parę centymetrów nad ziemią. Ale nie to cię zaskoczyło. Ed, wykonując podskoki razem z tobą, też lądował z sekundowym opóźnieniem. Szybko nabrałeś pewności, że się nie mylisz. O nic Eda nie zapytałeś ani on ciebie. O genealogii też nie było z nim rozmowy. Dopiero od Ludwiki, siostry Eda, którą poznałeś przypadkiem, ponieważ mieszkała w Ohio i rzadko bywała w Nowym Jorku, a Ed nie zabiegał, by was poznać ze sobą, usłyszałeś o Lewensteinach i klątwie pradziadka kantora.

Wpadłeś po coś do Eda bez zapowiedzi. Akurat gościł siostrę. Musiał cię przedstawić, a chyba nie miał na to ochoty, ponieważ o swojej siostrze nigdy nie wspominał. Najwyraźniej nie był zadowolony, że zawarliście znajomość.

Trochę na złość Edowi odprowadziłeś Ludwikę do subwayu, a ona po drodze, chętnie i bez zahamowań, opowiedziała ci w skrócie

dzieje ich rodu. Starszą siostrę, Reginę, zamordowano bestialsko. Niemcy? Nie. To było inaczej i Ludwika nie chce o tym mówić. Może Ed ci opowie. Ona sama jest wegetarianką, wyznaje buddyzm, w przeciwieństwie do brata, żarliwego katolika. Oboje jednak czczą pradziadka kantora, którego olejny portret – Ludwika ma oryginał, brat kopię – wisi w salonie Eda na poczesnym miejscu. Podobieństwo prawnuka do przodka sam dostrzegłeś, bo Ed Love nigdy nie napomknął o swoim pokrewieństwie z barczystym brodaczem w jarmułce. W jego przeszklonym salonie na trzydziestym piętrze wisi dużo różnych obrazów, z przewagą płócien przedstawiających ptactwo – mew nad wodami, szybujących samotnie orłów, kruczych nalotów, sępów pożerających padlinę – i trochę kobiecych portretów pędzla dobrych malarzy. Ed lubi kolekcjonować.

– Klątwa pradziada szczęśliwie nie zadziałała – powiedziałeś, żegnając się z Lucy, już nie Ludwiką oczywiście, przy zejściu do stacji subwayu.

– In some way – usłyszałeś. – Poniekąd. Mężczyźni w naszej rodzinie mają problemy z tożsamością, kobiet to nie dotyczy. Ed nie bardzo wie, kim powinien się czuć. Na wszelki wypadek próbuje być kimś innym, niż jest – zaśmiała się i ruszyła w dół do pociągu.

Nie zdążyłeś zapytać, kim jest w takim razie twój przyjaciel zdaniem jego siostry. Ale czy to ważne?

Znacznie ważniejsze dla ciebie być powinno, kim ty sam jesteś. A dziesiąty stycznia okaże się złym dniem nie tylko dla Eda Love.

ROZDZIAŁ 45

Przyjaźń z tobą sprawi, że Ed zacznie bywać w Polsce. Okaże się, że ma tu sporo krewnych, raczej dalszych niż bliższych, Owsiaków, Guzików, Lewandowskich, ale przyjeżdżać będzie do ciebie.

Anna go polubi, co okaże się ważne, ponieważ nie będzie protestowała, gdy usadzisz Eda w swoim sfatygowanym polonezie, wpakujesz do bagażnika kamerę i wyruszycie we dwójkę na całe tygodnie szlakiem twoich filmów dokumentalnych, więc nie do

Krakowa czy Poznania, tylko do małych miasteczek, prowincjonalnych dziur, jakichś Morągów, Jedwabnych, Kłodzków, Wałbrzychów, Skiroławek. Ed, przy okazji, poszuka miejsc związanych z wampirami, których na polskiej ziemi nie brakuje.

W latach siedemdziesiątych, w epoce Edwarda Gierka – reemigranta z Francji, który liznął tam kapitalizmu i choć go zwalczał jako ideowy komunista, za co został stamtąd wydalony, wpadł na pomysł, aby obiecać ludziom dostatniejsze życie – ruch na szosach będzie jeszcze niewielki z braku aut, a zamiast drogowskazów czy reklam zawisną nad jezdniami barwne transparenty głoszące, że ZBUDUJEMY POLSKĘ NASZYCH MARZEŃ. Matka Eda, Izabela z Guzików, urodziła się we Lwowie. Edowi przypomni się *Tango milonga* i na tę melodię ułożymy z marszu:

Zbudujmy Polskę,
kraj naszych marzeń i snów…
Oddajcie Wilno!
Pójdziemy kiedyś po Lwów!

Twój dziad w Kijowie
w dwudziestych robił, co chciał.
Cóż nam zostało?
Ciało,
zmysłów szał!

W kawiarniach, do których wstąpimy na trasie pomiędzy Dzierżoniowem i Łomżą, będzie już naturalna kawa i będą, jaśniejące chromem, nowiuteńkie włoskie ekspresy. Gdy kelnerka poda nam po szklance wrzątku z pływającymi w nim drobinami kawowych ziaren i Ed wykrzyknie, że zamawialiśmy espresso, kelnerka łagodnie wyjaśni, że primo – z ekspresu jest wrzątek, a secundo – ekspres nie parzy, ponieważ norma kawy na szklankę jest dla niego za mała i wysiada automat. Normy są w normatywach i nie wolno ich zmieniać. Programy we włoskich ekspresach nie dadzą się zgrać z polską normą. Służy natomiast sitkiem do odcedzenia fusów.

Ed będzie chichotał.

Widziałeś chichoczącego profesora Love w Queens College? Widziałeś go w wymiętym podkoszulku i trykotowych szortach? Układającego kuplety w języku dzieciństwa?

No to zobaczysz.

W języku angielskim profesor wampirologii Edward A. Love, jak przystało na wampirystę, jest osobnikiem poważnym, nieco powolnym, flegmatycznie zrównoważonym. Studenci go lubią, bo nie oblewa. Jeszcze bardziej lubią profesora studentki, ponieważ jest stuprocentowym dżentelmenem i do tego kawalerem, zaledwie trzydziestopięcioletnim, do wzięcia.

Zastanawiało cię, Ptasidziobie, dlaczego Ed nie zakłada rodziny? Jest kochliwy, ale na szczególną modłę. Przeżywa boleśnie miłość beznadziejną, kiedy dziewczyna go nie chce albo nie może chcieć, bo ma już chłopaka. Niech jednak pojawi się nadzieja, niech zacznie iść dobrze, dziewczę odpowie uczuciem na uczucie lub, nie daj Boże, napomknie o trwałym związku… Profesor Love zaczyna panikować. W końcu zrywa. Salwuje się ucieczką. Potem cierpi, zwłaszcza gdy porzucona wiąże się z innym.

Może zauważyłeś, jak Ed zerka na ładnych chłopców? Czy ci się nie zdawało, że przyłapujesz przyjaciela na podejrzanych ukradkowych spojrzeniach? Przyjmijmy, że ci się tylko zdawało. Żadnych dowodów.

Kto by podejrzewał, że z Eda jest figlarz?

Wyskoczycie we dwójkę do Wiednia, Ed zafunduje, tobie dewizy mogą się tylko przyśnić. Spytasz, czy zna niemiecki. Odpowie, że ma się rozumieć. W Wiedniu, na słynnym deptaku Kerstengasse, przyjaciel zaciągnie cię do luksusowej kawiarni.

– Zwei porcjonen loden bitte – zwróci się do kelnerki w ludowym stroju tyrolskim.

Kelnerka nieco zbaranieje, nie ruszając się z miejsca.

– Zwei porcjonen loden – powtórzy z naciskiem profesor w seledynowym podkoszulku i pomarańczowych szortach, bo dzień jest upalny, sierpniowy. – Sie verstehen nicht Deutsch?

Nie wytrzymasz.

– Two ice cream… – wymamroczesz, dławiąc się śmiechem.

Kelnerka przyniesie lody. Postoi chwilę.

– Bardzo przepraszam – odezwie się niepewnie. – Gdzie tak się mówi?

– Jak to gdzie? – odpowie Ed po niemiecku. – U nas w Bawarii.

– O, ich glaube nicht! – wykrzyknie kelnerka, energicznie kręcąc głową, lecz nie pukając się w czoło.

Albo wylądujesz w Bułgarii z Anną i Agnieszką, ze skierowaniem do Domu Filmowca w Złotych Piaskach, a na lotnisku, jakby nigdy nic, przywita was Edward Love.

– Skąd ty tutaj?… – wybełkoczesz.

– Z Nowego Jorku – odpowie flegmatycznie Ed.

Edward A. Love miał trzy egzystencje. Pierwsza, amerykańska, profesorsko-wampiryczna, uładzona co do minuty, była codziennością dziekana slawistyki w Queens College. O ósmej rano pobudka, gimnastyka, kąpiel, potem szklanka świeżego soku z pomarańczy i melon z twarożkiem albo jajko na miękko i grzanka. Kubek słabej kawy rozpuszczalnej i marsz do autobusu. Dziekanat. Sala wykładowa. Zwyczajowe żarciki ze studentami, trochę papierkowej roboty w biurze, później seminarium z wampirologii. Mezopotamia, Sumerowie, ekimmu – pierwowzór wampira, zazwyczaj duch zamordowanego – wybierał sobie ofiarę i wypijał z niej krew. Profesor Love powołuje się na pracę Campbella Thompsona *The Devils and Evil Spirits of Babylonia*. Wampirami było również budzące grozę Siedem Demonów sumeryjskich, wypędzanych zaklęciami:

> Demony bez cienia wstydu,
> Siedem przeklętych bytów,
> Nie znają troski, litości,
> Niosą zgubę ludzkości,
> Ucztą krwi ludzkiej picie,
> Z żył wysysają życie
> I pożerają ciała…

Po upadku cywilizacji sumeryjskiej w II wieku przed naszą erą wzmianki o wampirach dziwnie znikają i powracają dopiero w wieku

XV, gdy ekimmu objawia się jako upiór lub wampir. Po zabiciu upiora ten staje się wampirem. Badania profesora Love są zgodne z wywodami Thompsona, lecz wzbogacone o folklor bałkański oraz czerpane ze źródeł słowiańskich. Ed jest w tej dziedzinie autorytetem. Największy jednak rozgłos zyskała dysertacja Edwarda A. Love *Ekimmu. Genetic consequences*. Stawia w niej tezę, że tak zwani ludzie złej woli – fanatyczni introwertycy, nieżyczliwi, bezwzględni, egoistyczni, okrutni i zakłamani – są genetyczną konsekwencją parzenia się ekimmupochodnych ze swoimi ofiarami. Zdają się to potwierdzać legendy rodzinne, pisemne i ustne przekazy oraz badania genetyków, którzy u istot bez skrupułów, o sadystycznych skłonnościach, wykryli gen niewystępujący na przykład u ekstrawertyków, osobników o statusie świętych, u Matki Teresy z Kalkuty czy u Jana Pawła II, ale też rzadko u wielu ludów buddyjskich, wśród populacji mormonów, w kręgach świadków Jehowy i niektórych zakonach chrześcijańskich dotrzymujących ślubów ubóstwa. Ów szczególny gen zdecydowanie częściej pojawia się u osób mięsożernych, amatorów, dajmy na to, polskiej kaszanki czy niemieckiej Blutwurst, niż u wegetarian. Teoria E.A. Love wywołała burzę. Nazwano ją rasistowską, choć autor nigdy nie twierdził, że „gen ekimmupochodny" występuje częściej wśród Afrykanów czy Azjatów niż u białych. Zarzucono uczonemu determinizm, wytknięto, że zło w jego interpretacji nie jest świadomie zawinione, więc nie byłoby grzechem, tak jak dobro zasługą. Profesor odpierał zarzuty, akcentując, że chodzi o skłonność, nie o przeznaczenie.

Czym jest przeznaczenie?

Tym, co już się stało.

Od siebie dodam, że gdyby teoria Love została potwierdzona definitywnie, a to zależy teraz od genetyków, trzeba będzie przyjąć, że większość ludzkiej populacji na naszym globie pochodzi od ekimmu.

Co po wykładach? Lunch w profesorskiej stołówce, jazda autobusem do domu, zamiana garnituru na szlafrok frotté w kolorze lawendy, gazeta, godzinna drzemka, sprawdzanie prac studenckich, notatki do kolejnego seminarium. Telewizja. Lekka kolacja i wielkie

małżeńskie łoże, super king size, z grubaśnym lateksowym materacem. Ed Love lubi dobrze się wyspać.

Druga egzystencja Edka, ta polska, na kompletnym luzie, w której ja grałem rolę medium, była odwrotnością pierwszej – żartem, fantazją, szukaniem powrotu do siebie z czasów szczenięcych. Będąc tylko we dwójkę, przestawaliśmy udawać dorosłych i nic nie było na serio. Jak niegdyś nocą na Broadwayu, kiedy spacerowaliśmy, podskakując. Ja nie podpytywałem Edka, dlaczego nie lubi Murzynów i głosuje na partię republikańską, on nie wyśmiewał mojej lewicowości, nie szydził z komunizmu. Przemierzając Polskę moim sfatygowanym polonezem, poznawaliśmy jakieś dziewczyny – „Amerykański profesor!…" – Ed kupował im w peweksie szwajcarskie słodycze, a mnie pół litra żytniej za sześćdziesiąt centów – nocowaliśmy w hotelach robotniczych, w stołówce domu wczasowego jedliśmy wieprzowe płucka w sosie własnym.

Trzeciej egzystencji Edwarda, tej prawdziwej, już nie uda nam się poznać, Ptasidziobie. Pozostanie tajemnicą. Wiadomo tylko, że się ze sobą zmagał, na coś bez skutku nie wyrażał zgody. Był w jakiś trudny do nazwania sposób podobny do Kuby i chyba był podobny do nas, choć uchodził za moje przeciwieństwo. Dwuznaczność lewitowania, genetyczna odmienność, być może dalekowzroczność natury.

Obaj nie wiemy nic o śmierci Edwarda Love, on zresztą także. Dzwoni do drzwi, Ptasidziób mu otwiera i w mieszkaniu rozchodzi się intensywny zapach lawendy. Ed ma na sobie bordową marynarkę, a pod nią czarną koszulę. Jest bez muszki, za to nosi do granatowych spodni szerokie czerwone szelki, jak makler giełdowy. Widać je, bo marynarka jest rozpięta.

Rozsiada się bez zaproszenia w fotelu, zakłada nogę na nogę.

– Ilany jeszcze nie ma? – pyta raczej obojętnie. – Daj mi trochę apple juice.

Ptasidziób ma dopiero przed sobą pożegnalny West End, wyprowadzkę Ilany i pieczenie cielęcego mostku na przyjazd Anny.

Podaje Edowi jabłkowy sok, sobie nalewa szklaneczkę jarzębiaku. Dzięki kontaktom z Zygmuntem jego barek jest bogato zaopatrzony. Na amerykańskim rynku taka kolekcja trunków kosztowałaby krocie, ale przy towarzyszu radcy Zygmuncie baltonowski sklepik przy polskiej placówce liczy Ptasidziobowi po dolarze flaszka i umieszcza zakup na rachunku dyplomaty.

Ed nie lubi alkoholu. Czasem wypija kieliszek koniaku Hennessy. Duszkiem – jak wódkę. Tak pijał wódkę jego ojciec, odkąd go Ed pamięta. Raz, za okupacji, w Sandomierzu, chcąc pochwalić się przed Niemcami synem – a handlował z nimi, sprzedawał im dobrze oczyszczony bimber doprawiony palonym cukrem – nalał ośmioletniemu Edkowi szklaneczkę i kazał wypić do dna. Ed wypił, bo bał się ojca. Niemcy bili brawo. Po kilku minutach dzieciak stracił przytomność i z trudem go odratowano, wlewając do gardła wodę z mydłem, żeby zwymiotował, a potem pojąc mlekiem, działo to się jednak już na zapleczu knajpy, w której ubijano transakcję.

– Zostałbyś tu na zawsze? – odzywa się Ed, sącząc soczek. – Gdyby Columbia przedłużyła ci kontrakt?

Prowokator. Ptasidziób zna się na jego odzywkach. Nie odpowiada. Wolniutko pije swój jarzębiak. W pokoju jest gorąco i duszno, pod sufitem wiatrak leniwie młóci nagrzane powietrze. Klimatyzacja jest za droga.

– Byłaby szansa i u nas w Queens College – ciągnie leniwie Edward. – Wydział filmowy szuka wykładowcy dokumentalisty. Pogadałbym z rektorką. Poproś tylko o azyl.

– Pocałuj mnie w dupę – proponuje Ptasidziób.

– Twoja Anna ma już paszport i bilet. Dziewczynki będą musieli wypuścić, wtrąci się ONZ. Wybierz tylko wolność.

– Pocałujesz mnie w dupę? – pyta uprzejmie Ptasidziób.

– Może kiedyś, pieszczoszku…– mruczy Ed Love, dopijając sok.

Ptasidziób poważnieje. Przepala Eda badawczym spojrzeniem.

– A gdyby tak odwrotnie?

– Czyli jak?

– Musielibyśmy cię sprawdzić – zagrywa Ptasidziób z udawaną powagą. – KGB nie przyjmuje z ulicy, byle kogo. Gdybym jednak za ciebie poręczył…

– Co bym z tego miał? – pyta rzeczowo Ed.

– Ho, ho!… – sapie w zachwyceniu Ptasidziób. – Jeszcze nikt tego nie żałował!

– Bo nie zdążył?

– Jakbyś był przy tym – potwierdza Ptasidziób. – Kto żałuje, ten nie pije szampana.

Ed Love przestaje się śmiać i patrzy na Ptasidzioba z zaciekawieniem, uważnie i długo, jak na eksponat w muzeum.

– Ty faktycznie chcesz d o n i c h wrócić? – pyta w końcu. – Jesteś komunistą?

Ptasidziób nalewa sobie drugą szklaneczkę jarzębiaku, tym razem do pełna, po brzegi. Ostrożnie odpija kilka kropel, żeby nie rozlać.

– Jestem artystą – odpowiada. – Tobie podoba się Nixon i nie lubisz demokratów. Jeśli Nixon przegra z demokratą, przestaniesz kochać Amerykę?

– Ale będę zły.

– Ja też bywam zły.

– I wolno ci to okazać? – docieka Ed.

– Kombinujemy. – Ptasidziób się uśmiecha. – Cenzura ma nosa, ale my ją czasem za niego wodzimy. Wiesz, ile frajdy, jak się uda?

– Rozumiem. Jesteś antykomunistą.

– Nie jestem.

– Cenzura jest głupia?

– Nie jest.

– To w co wy ze sobą gracie? – dziwi się Ed Love. – Kto jest bardziej zakłamany?

Nie odpowiesz mu na to. Nie o wszystkim chce się człowiekowi myśleć. Niektóre myśli instynktownie odpycha, żeby nie zrobiły mu krzywdy. Ponadto profesor Love, wychowany w Ameryce i jeszcze bardzo amerykański, ponieważ częste i długie wizyty w Polsce dopiero go czekają, i tak cię nie zrozumie.

Wy, uczciwi, ale nie radykalni, więc w istocie konformistyczni, gracie z systemem w ciuciubabkę. Wiadomo wam, że system ma dwie wersje, bajkową i realistyczną; podobno nie z własnej winy, bo wielkorządcy czy namiestnicy, jak kto woli, chcą dobrze dla was, tylko nie mogą. Przy tym sami nie czują się najpewniej, albowiem nie

zostali powołani przez naród w czystej grze wyborczej, bez nominacji z góry, a górze trzeba to odpracować. Taki namiestnik czy wielkorządca, szef systemu, jest pod stałą braterską obserwacją – musi miewać wrażenie, że śledzone są nawet jego sny. Pamiętasz, Ptasidziobie, spotkanie z capo di tutti capi? Dostałeś nagrodę za dokument o akcji ratowniczej w kopalni Świątek, udało ci się, obok wiwisekcji bohaterstwa ratowników, przemycić paskudną prawdę o zaniedbaniach, które doprowadziły do katastrofy. Podczas uroczystości nagradzania Szef Systemu, sam niegdyś górnik, poruszony filmem, nagle objął cię za ramiona i wyszeptał do ucha:

– G d y b y ś c i e zrobili film o mnie… O tym, co ja w życiu przeszedłem… Ale o n i by wam tego nie puścili.

O n i?…

Jacy O N I? No, jacy?

Musiał znaleźć się winny, aresztowano dyrektora kopalni, poszedł siedzieć. Ale ty, kręcąc dokument, wiedziałeś, że nie dyrektor jest winien, tylko zawyżone normy i oszczędności na środkach bezpieczeństwa. Czyli system. A tego Szef nie wiedział?

Odpowiesz kiedyś, że wszystko wszędzie jest umową. Paragrafy podpisanych umów są nienaruszalne, także te umieszczone maczkiem na końcu, których się nie czyta. Te najważniejsze. Czy gdzieś jest inaczej?

Prawie jest. Ale też inaczej, niż by się chciało, więc nie ma o czym mówić, świat jaki jest, każdy widzi. Ed Love chce zostać dziekanem. Wiadomo, że profsor Ella Hartmann wybiera się na emeryturę i że to ona wskaże senatowi swego następcę. O jej względy zabiega Chińczyk, profesor Sun Huy, i szanse ma u niej większe niż Edward. Jak odwrócić proporcje? Mała prowokacyjka, plotka sprytnie puszczona w obieg, intryga, po której nie zostanie śladu? Starucha Hartmann nie wie, że Sun mieszka z przyjacielem. Love dowiedział się o tym podczas kolacji z sekretarką Suna, w której ponoć króciutko się kochał. Gdyby usłyszała o tym profesor Hartmann, co wtedy? Żadnej dyskryminacji, ma się rozumieć, ale… Ed Love jej nie powie, nie jest donosicielem, nikomu nie zrobi świństwa.

Nic się nie martw, Edek. Dziekanem będziesz ty, nie Sun Huy. Ja to już wiem, ty dowiesz się wkrótce. Senat uczelni ma swoich

zawodowych informatorów, nic nie dzieje się spontanicznie, choć nie wszystko bywa ujawniane. To, że miewasz chwile lewitacji, też nie jest dla senatu tajemnicą. Rzadkie chwile, bez istotnego znaczenia.

– Co zrobisz z Ilaną? – pyta Ed Love, gdy już skręcili w Broadway ze Sto Trzynastej i mijają gościnnie rozwartą bramę Columbii, a nad głowami świeci im pyzaty nowojorski księżyc, dokładnie taki sam jak ten nad Warszawą, co za każdym razem dziwi Ptasidzioba.

– Nic.

– Rien? – śmieje się Ed.

– Ona ma kogoś. Perskiego księcia, z którym mnie zdradza.

– Spryciula jesteś – jeszcze głośniej śmieje się Love i podskakuje razem z Ptasidziobem, na pół sekundy obaj zastygają w powietrzu i łagodnie lądują na bruku, kontynuując spacer. – Akurat by ciebie zdradzała.

– Ale spotyka się z nim i nic mi o tym nie mówi.

– To skąd wiesz?

– Wiem. Widziałem. Często mnie okłamuje. Znika gdzieś na całe dni. Ma pełno tajemnic.

Jeszcze nic nie zapowiada długoletniej przyjaźni Ptasidzioba i Eda. Tacy są różni. Ed Love też ma pełno tajemnic, o swoim dzieciństwie opowiada zawile i mętnie. Skąd Lewandowscy? Kim był pradziad Lewenstein, kowal i kantor o nieziemskim tenorze, którym by rzucił na kolana bywalców La Scali? Jeszcze nie wspomniał Ptasidziobowi o swoich przodkach. Ptasidziób jemu o swoich też nie wspominał. Ani o rodowej legendzie. Ale już zauważył kilka razy, że równocześnie podskakując, nie opadają na ziemię natychmiast, zgodnie z obowiązującym prawem ciążenia.

Nocny Broadway poraża ciszą. Księżyc powleka sreberkiem wzgórza owoców i jarzyn w nocnych sklepach spożywczych, nocne zakłady fryzjerskie z drzemiącymi manikiurzystkami, nocne lodziarnie serwujące banana split, nocne bary dla Latynosów, o dźwięcznych nazwach Hawana, Guantanamo, Pueblo la Luna, Rio de Janeiro, nocne szkoły tańca, nocne pralnie z Chinkami za kontuarem, nocny handel starociami, nocne dziewczynki żółte, białe i czarne, chude i tłuste, a wszystkie w mini i z głębokimi dekoltami, znudzone sennym wyczekiwaniem na klienta.

Ed funduje Ptasidziobowi wielką porcję lodów pistacjowo-papaya-waniliowych z czekoladową posypką, a sobie kupuje szklankę dietetycznej coca-coli, takiej bez cukru, żeby nie przytyć. Ma, niestety, skłonności do tycia, tylko po kim? Mama chudziutka jak piórko, ojciec żylasty jak koń. Owsiakowie? Guziki? Lewandowscy w którejś z bocznych linii? Durne pytanie. Tylko w prostych przypadkach można znajdować wskazówki dotyczące genów talentu malarskiego, uzdolnień muzycznych, altruizmu, skłonności do zakłamania. Dziedziczność to sekret natury. Ojciec i dziadek Ptasidzioba byli urodzonymi matematykami i pewnie zaszliby wysoko, gdyby nie numerus clausus limitujący na studiach liczbę nieczystych rasowo, a Ptasidziób nie radzi sobie z tabliczką mnożenia, nie wspominając o różniczkach i topologii. Ptasiowatość nie jest życzliwie widziana nawet w kręgach programowo tolerancyjnych. „Do pożyczenia pieniędzy i do kochania – mawiał nestor rodu Ptasidziobów – nikogo nie da się zmusić". Mawiał też, że wrzód pod cudzą pachą aż tak bardzo nie boli.

– Ty też masz trochę tajemnic – zauważa Ed, popijając swoją mdłą coca-colę z kostkami lodu. – Na przykład, co cię łączy z tym dyplomatą Zygmuntem, czy jak mu tam.

– Co ma łączyć? – mruczy Ptasidziób.

– Chyba ze trzy razy spotkałem go u ciebie. Nie, cztery. Wszyscy komunistyczni dyplomaci są szpiegami.

– Jasne, że są – przytakuje wesoło Ptasidziób. – A ja mu donoszę.

– Na mnie też?

– Głównie na ciebie, że chcesz zostać dziekanem i jeśli oni ci w tym pomogą, będą mogli liczyć, że się odwdzięczysz.

– A mogliby pomóc? – pyta z zaciekawieniem Love.

– A chcesz?

– A jak! No pewnie, że chciałbym. Mają u mnie jak w banku komplet najtajniejszych informacji o Queens College.

– Zygmunt by wolał Fundację Kościuszkowską – mówi Ptasidziób.

Edward Love jest członkiem zarządu tej fundacji. Fundacja przyjmuje i wysyła stypendystów do Polski. Towarzysz attaché faktycznie interesuje się nią. Ptasidziób nie ma tam dojść. Z wyjątkiem Eda.

– Za fundację wezmę drożej – zapowiada Ed, dopijając colę.

– Tyle nie dostaniesz, ale z Zygmuntem można się potargować – szczerzy zęby Ptasidziób.

Ed Love też szczerzy swoje równe białe ząbki.

– Co tak ciekawi komunistów? – pyta.

– Metody – odpowiada Ptasidziób. – Sposób przeróbki naszego stypendysty na agenta CIA. Zadania specjalne waszego stypendysty w Polsce.

Niby żartuje, a przecież nie żartuje, o to właśnie dopytuje się towarzysz Zygmunt, uzupełniając barek Ptasidzioba. Ptasidziób ośmiesza go, gdy to powtarza Edowi. Bo jest śmiesznie. Tajne służby wyłażą ze skóry, żeby uzasadnić swoje istnienie, muszą słać codzienne raporty swoim centralom, a nie co dzień trafia się tajemnica, więc biorą i obrabiają wszystko, co wpadnie im w ręce. Ile koszy opróżnia tygodniowo śmieciarka na Columbii? Nad czym pracuje departament choreografii w Hunter? Co zawiera menu w stołówce studenckiej, a co w profesorskiej? Ptasidziób zbiera dla towarzysza Zygmunta uczelnianą makulaturę. Robi to dla ojczyzny. Amerykański odpowiednik Ptasidzioba robiłby to samo w krakowskiej Jagiellonce, gdyby tamtejszej makulatury nie kierowano pod kontrolą do niszczarek. Komuniści są czujniejsi od kapitalistów, dlatego z nimi wygrywają prawie na każdym polu z wyjątkiem rozwoju i postępu.

Nie wściekaj się na mnie, Ptasidziobie. Żaden cynizm. Ed Love jest mi bliższy niż tobie o dobre czterdzieści lat późniejszych spotkań, przygód, wygłupów i afer. Znamy się jak łyse konie, choć Ed z natury jest skryty, a natury nie zwiedziesz. Skrytość wynika z nieufności. Bo i jak tu komuś zaufać, obnażając miękkie podbrzusze własnej bezradności? Niezgodę na siebie i zarazem niemożność stawiania sobie czoła?

Ed Love się zakocha. Będzie to miłość beznadziejna, na pozór bez szans na wzajemność, bo jak tu sobie wyobrazić, że dwudziestoletnia studentka o figurze modelki, twarzy Demi Moore, do tego inteligentna i zamożna z domu, zakocha się bez pamięci w łysawym profesorze wampirologu, niższym od niej o głowę, otyłym i podtatusiałym starym kawalerze? Długonogą Michele, konserwatywną, zamkniętą w sobie dziwaczkę rodem z Dublina, Ed

pozna w Krakowie na kursie językowym dla polonijnej młodzieży organizowanym co roku przez Fundację Kościuszkowską i Uniwersytet Jagielloński. Co sprawi, że Michele będzie szaleć za nim? Bo tak się stanie. Ed Love nie uwierzy, długo będzie się wahał, czy zaprosić Michele na kolację do Hawełki w obawie, że zostanie wyśmiany. Ponura dziwaczka pierwsza wyzna mu miłość. Ed usłyszy, że przypomina jej ojca – wojskowego pilota, który zginął w Wietnamie. Ubóstwiał córkę, a ona jego.

I wkrótce okaże się, że Michele nie jest ani posępna, ani zamknięta w sobie, tylko chorobliwie nieśmiała, ale miłość wyzwoli w niej dziewczynę, dzieciaka właściwie, pełną fantazji i radości życia. Ed nie uwierzy. Co w nim takiego mogła zobaczyć? Żart czy kaprys? Zakład z koleżankami czy nierównowaga psychiczna? Będzie kupował jej kwiaty, szwajcarskie czekoladki Rocher i srebrną biżuterię w cepelii, a po zakończeniu kursu językowego wynajmą w Warszawie mieszkanie, aby pobyć razem do końca wakacji. Jednak dalej Ed się nie posunie. Będzie czekał na bieg wydarzeń.

– Czego ty się boisz? – zaatakujesz przyjaciela. – Na co jeszcze chcesz czekać? Nie widzisz, że baba cię kocha? A ty niby co? Ma ci ją ktoś zdmuchnąć sprzed nosa?

Ed Love westchnie, tak po swojemu, pociągając nosem, i zacznie starannie przecierać irchą szkła okularów.

– To nie jest takie proste – wymamrocze w końcu.

– Co nie jest?

– Różnica wieku. Prawie trzydzieści lat. Co my będziemy ze sobą robić?

On, Ed, ma życie poukładane jak rozkład jazdy cesarskiej kolei wiedeńskiej i z żadnej pozycji w tym rozkładzie nie potrafi zrezygnować, żadnej nie podda przeróbce. W Michele grają hormony. Zechce się odkuć za swoje kompleksy, zapragnie życia bujnego. A profesor Edward Love nie pogna z nią na karuzelę, nie zaszaleje na dyskotekach. Zacznie się od drobnych nieporozumień i wymuszonych ustępstw. Potem będzie coraz gorzej, aż wreszcie…

– Wróżysz z fusów czy z gwiazd? – przerwiesz mu. – Może dałbyś Panu Bogu szansę?

Ed zapyta, czy masz w domu wódkę i kawałek śledzia. Są w lodówce. Zawsze. Nie uliki co prawda, lecz matiasy, które sam przyrządzasz: najpierw moczysz godzinę w letniej wodzie, żeby puściły sól, ale nie rozmiękły. Potem kroisz na deseczce w dzwonka, posypujesz pieprzem i odrobiną zmielonych ziarenek musztardy. Układasz w szklanym słoju warstwami, na przemian z drobniutko pokrojoną cebulką, i zalewasz złocistym olejem rzepakowym z pierwszego tłoczenia. Dwa dni czekania i można zakąszać pod zimną wódkę w oszronionych kieliszkach.

Ponieważ Polak nie pije, żeby pić. Polak pije, żeby zakąszać.

Ed opróżnia kieliszek ze stęknięciem. Wydmuchuje powietrze i nabija na widelec dzwonko śledzia oklejone płatkami cebulki. Wolno przegryza z kęsem razowca. Tak pijał jego ojciec – duszkiem wychylał, stękał głośno i zakąszał śledziem w oleju. Dawniej w Polsce, później w Ameryce. Po wypiciu i zakąszeniu pan Lewandowski-Lewenstein z uwagą oglądał sobie grzbiety dłoni. Ed Love robi dokładnie to samo. Najpierw lewą, potem prawą i znów lewą.

To jest podsumowanie rozmowy o Michele. Jak na Eda Love, głębokie zwierzenie. W większości przypadków twój przyjaciel macha ręką jakby się opędzał i mruczy: „Daj mi spokój, nie chcę o tym mówić".

Sprawy jednak toczą się dalej i toczyć się będą, aż sięgną krańca. Michele zapyta, czy Ed chce się z nią ożenić.

Ed zamilknie na bardzo długo, przejdzie się po ich wspólnym pokoju przy ulicy Koziej, naleje do dwóch kieliszków czerwonego wina średniej francuskiej marki i trąci się z Michele.

– Pójdziemy dziś na *Traviatę*? – odezwie się, cmoknięciami smakując wino.

– Chcę wiedzieć, czy ożenisz się ze mną – powtórzy z uporem Michele i z brzękiem odstawi kieliszek.

– Of course, kochanie – odpowie Ed. – Ale nic nie jest proste.

– Wylicz przeszkody, a ja je będę usuwać.

Ed nie przeprowadzi się do Dublina? To oczywiste. Michele przeniesie się do Nowego Jorku, to żaden problem. Nie tam? Żeby nie mieszkać razem, przynajmniej z początku, bo przecież ludzie

mają nawyki, wieloletnie przyzwyczajenia, drugi człowiek w domu to pogrom, należy próbować stopniowo? No problem Eddie, będę studiować w Bostonie, ale weekendy razem! Tak, of course, weekendy razem. I jeszcze jedno, kochanie. Jesteśmy dorosłymi ludźmi. Intercyza. Nie mówię, że mnie rzucisz, ja ciebie nie rzucę tym bardziej, zachowajmy jednak integralność finansową.

– Co tylko chcesz, Eddie. Może być intercyza. Ty jesteś dla mnie najważniejszy. Jeszcze bardziej niż kiedyś tato. Ja ciebie kocham, Eddie.

Stanie więc na tym, że będzie jeden ślub i trzy wesela. Ślub w warszawskim kościele Świętej Anny, a wesela – dla znajomych w Warszawie, dla rodzin w Dublinie i w Nowym Jorku. Michele zamówi sobie suknię ślubną u stołecznego króla mody i przyjęcie na dwieście osób w Bristolu. Dublin weźmie na siebie jej matka, nowojorską ucztą zajmie się pan młody. Ty, Ptasidziobie, będziesz drużbą Edwarda Love, a ściślej, będziesz miał nim być i już wyraziłeś na to zgodę. O waszych ptasich uwikłaniach nie ma co wspominać. Ciekawostka: spacerując po Łazienkach czy po Ogrodzie Saskim, nigdy nie lewitujecie. Podświadoma ostrożność? Skąd mielibyście wiedzieć, skoro już nie ma podskoków co czwarty krok?

Tego dnia Ed Love ma lecieć z Warszawy do Nowego Jorku. Po dokumenty potrzebne do ślubu i żeby zawiadomić swoją rodzinę, zamówić przyjęcie weselne. Wpadnie do ciebie po drodze na Okęcie. Rozsiądzie się w fotelu i zamilknie na długo. Tym razem na dłużej niż zwykle, choć pod domem czeka taksówka.

– O co ci chodzi? – Nie wytrzymasz.

Ed głęboko westchnie, pociągnie nosem i zacznie irchą przecierać grube szkła okularów. Nie jest dobrze, pomyślisz, i będziesz miał rację.

– Do me a favor… – usłyszysz zduszony szept przyjaciela. – Jak ja już odlecę, zadzwoń do Michele i wytłumacz jej, że ja się nie mogę z nią ożenić…

– Owszem, możesz.

– Nie mogę! Prędzej umrę! Za nic, za nic, za nic.

– Dlaczego?

– Bez głupich pytań. Zrobisz to dla mnie, prawda?

– Wykluczone – odpowiesz stanowczo. – Nawet o tym nie myśl. Tę sprawę załatwisz sam.

– Jak?… – jęknie profesor.

Żal ci się zrobi Eda. Pytań już mu nie będziesz zadawał. Teraz ty pomilczysz.

– Zadzwoń do Michele jutro z Nowego Jorku, zaraz po wizycie u twojego okulisty, który stwierdzi dramatyczne pogorszenie. Odkleja ci się siatkówka czy coś w tym rodzaju. Musisz położyć się w klinice i przez najbliższe miesiące mowy nie ma o ślubnym stresie. Dalej sam kombinuj.

Ed wyjdzie, nie podając ci ręki.

Zrobi dokładnie tak, jak mu poradziłeś wzgardliwie.

Michele przybiegnie do ciebie z rozwianymi włosami, niekompletnie ubrana, zaśmiewając się do rozpuku, i zapyta, czy może wiesz, kto podszywa się pod Eda i robi sobie żarty. Wybuchnie spazmem, później znów śmiechem i znowu spazmem. W końcu, gdy skamienieje ze wzrokiem wbitym w ścianę i nie będzie na nic reagowała, odczekawszy dobrą godzinę, wezwiesz pogotowie. Ostatecznie Michele wyląduje w psychiatryku. Do Warszawy przyleci z Dublina jej matka. Dowiesz się od niej, że Michele trafia na oddział psychiatryczny nie po raz pierwszy, że miewała już incydenty wcześniej, ale takiego jeszcze nigdy. Matka wywiezie ją z Polski sanitarną awionetką.

Ed Love nie będzie chciał słuchać, gdy do niego zadzwonisz do Nowego Jorku, aby zdać sprawę z przebiegu wydarzeń. Warknie do słuchawki, że nie wie, o czym mówisz, i zacznie opowiadać o najnowszym odkryciu wampirystycznym w egipskiej Dolinie Królów.

ROZDZIAŁ 46

…Opuszczacie nocną lodziarnię, weseli, co czwarty krok podskakując, na co nikt na Broadwayu oczywiście nie zwraca najmniejszej uwagi.

„Albośmy to jacy tacy, jacy tacy, jacy tacy” – podśpiewujesz w rytmie podskoków, a Ed zaraz przechodzi na niemiecki: „Zind wir alle welche-zolche, welche-zolche, welche-zolche chlopzen Krakowiaken, chlopzen Krakowiaken”, a kiedy obruszasz się, że to bełkot, a nie żadna niemczyzna, profesor spogląda na ciebie z litościwą wyższością i komentuje: „Man kan singen, man kan tanzen, ober nich mit die Zasranzen!”.

Bardzo podobnie bywało z Kubą w Paryżu. Masz, Ptasidziobie, szczególną zdolność wydobywania z poważnych facetów ich głęboko ukrytej chłopięcości. Nie lubiła cię za to francuska żona Kuby. Ed żony jeszcze nie ma i nigdy mieć nie będzie, aż po sam rozpaczliwie smutny koniec, do którego, szczęśliwie, daleko jest jeszcze.

Zawracacie na Sto Trzynastą. Kiedy zatrzymujecie się przed twoją bramą, Ed Love nagle kładzie ci rękę na ramieniu. Wyraźnie czujesz, że zamierza ci coś powiedzieć. Cmoka, chrząka, w końcu wzdycha głęboko, z przyświstem, i odwraca głowę, patrzy gdzieś w bok. Wysoko nad wami na nitce kołysze się księżyc. Czekasz jeszcze kilka chwil, nie po raz pierwszy, i jak zawsze nadchodzi ten sam finał: Ed zdejmuje ci rękę z ramienia, sięga nią do kieszeni po chusteczkę, aby ten gest uzasadnić, i wydmuchuje nos.

– Good night.

– Very good night.

Cielęcy mostek po upieczeniu prezentuje się imponująco. Pękaty, pachnący czosnkiem, o skórce żyłkowanej, rumianej i lśniącej. Zawijamy go w srebrzystą folię i odkładamy do lodówki, gdzie będzie czekał na Annę. Dopiero przy niej go pokroimy.

Denerwujesz się coraz bardziej. Już nie o to, że Anna wyczuje tu obecność przedtem innej kobiety, że pozna to po twoich latających oczach, ochrypłym głosie, ożywionej gadatliwości. Niepokoisz się o siebie. Wiesz, że kiepski z ciebie aktor. Czeka cię spektakl żywiołowej radości na widok żony wychodzącej z sali przylotów, potem czułość, wreszcie napalenie wygłodniałego samca. Jak sobie dasz z tym radę, jeśli ani na chwilę nie możesz uwolnić się od Ilany?

Jeszcze nie ma rachunku, a ty już płacisz.

Myślisz, Ptasidziobie, że mi cię żal? Ani trochę. Gorzej, zazdroszczę ci. Naiwności graniczącej z głupotą i przebiegłości przyzwalającej na naiwność. Także temperatury emocji. Słowem „emocje" zastąpiłem „uczucia", ponieważ dla uczuć mam większy szacunek i więcej wyrozumiałości. Uczuciami kierowałeś się, kręcąc *Pół cudu* i kilka późniejszych etiud filmowych, za które od jednych obrywałeś („Co to za podejrzane aluzje? Czy autor przypadkiem nie miał na myśli…"), przez innych byłeś chwalony po cichu („Dał im popalić…"), a nawet nominowany do nagród. Pamiętasz *Klęskę zwycięzcy?* Dokument o geniuszu, który wygrał olimpiadę matematyczną i nie dostał się na politechnikę, ponieważ w tajnej opinii o nim odnotowano, że odmówił współpracy. Był spawaczem we wrocławskim Pafawagu. Powiedział do kamery, że być może zgodziłby się, gdyby funkcjonariusz spróbował go przekonać, że to dla dobra ojczyzny, ale ten wybrał metodę zastraszenia, a na to nasz olimpijczyk okazał się odporny.

Cenzura film zatrzymała. Wtargnąłeś do gabinetu dygnitarza i wykrzyczałeś, że historia jest podwójnie prawdziwa, ponieważ ty sam przeżyłeś podobną. Wytłumaczono ci taktownie, że nie o prawdę chodzi, tylko o w y m o w ę *Klęski zwycięzcy*. Chyba nie chcesz szkodzić ojczyźnie? „To prawda szkodzi?" Tak – usłyszałeś – gdy jest umiejętnie użyta przeciwko nam przez naszych wrogów. „Ja jestem wrogiem?" Byłbyś nim, gdyby twój film rozpowszechniono.

Pobiegłeś do Mistrza. Wysłuchał cię z życzliwą uwagą, z głębokim zatroskaniem, a potem rozłożył ręce.

I jeszcze jedno zaskoczenie.

Klęskę zwycięzcy przemycono na Zachód. Kiedy się o tym dowiedziałeś, a nie przyłożyłeś do tego ręki, kopię wywiózł korespondent BBC – poczułeś radość i lęk równocześnie. Czym to się dla ciebie skończy?

I otóż, kochany mój Ptasidziobie, niczym się nie skończyło, albowiem Zachód filmu nie wyemitował.

Dlaczego?

Co dlaczego? Nie i już.

Jedziemy na lotnisko po Annę. Przedtem kilka razy podchodzisz do telefonu, dwukrotnie wybierasz numer Ilany i szybko odkładasz słuchawkę, nim jeszcze usłyszysz sygnał. Twój telefon nie zadzwonił ani razu. Przyznaj się, czekałeś. Z goryczą wzmocnioną przez próżność. Spodziewałeś się dzwonków i ciszy w słuchawce albo przyspieszonego oddechu. Nic z tych rzeczy. Nie doceniłeś Ilany, Ptasidziobie. I nie było też tak, jak przypuszczałeś – nie pojechała od ciebie do księcia Nadira. Ja to wiem.

Więc przyjeżdżamy na lotnisko JFK, czekamy przy wyjściu z sali przylotów i już z daleka rozpoznajemy Annę w białym płaszczyku z kory, z walizą i torbą.

Twoja secesyjna kamienica przy Sto Trzynastej. Annie podoba się ozdobny hol, rozległy, z freskami, cały w różowych marmurach. Ale i w takich luksusowych domach są skromne sutereny pół piętra w dół. Puszczamy Annę przodem.

Pod drzwiami siedem herbacianych róż i wielka butla szampana Dom Pérignon. Żadnego liściku, wizytówki.

– Co to znaczy? – pyta Anna zduszonym szeptem. Ta jej intuicja. Niech to diabli. Odpowiesz, że taki tu zwyczaj, dar powitalny od studentów, wiedzieli o jej przylocie, niespodzianka. Jutro im podziękujesz na seminarium.

Doprawdy?

Raczej nie uwierzyła. Byłby bilecik, życzenia, podpisy. Ale nie odezwała się ani słowem.

Ptasidziób patrzy mi prosto w oczy.

– Nie pamiętasz mnie – mówi. – Nic nie pamiętasz. Same fakty. A fakty są wynikiem chaosu, zawirowań, wątpliwości, kontrwątpliwości i zaprzeczeń samemu sobie. Nie pamiętasz, co cię wtedy bolało. Czego się bałeś. O czym nie śmiałeś nawet marzyć.

– Nie jest tak – próbuję zaprzeczyć.

– Nic nie wiesz o mnie – stwierdza Ptasidziób.

– Widzę cię na wylot. – Szczerzę zęby w triumfalnym uśmieszku. – Cholernie lubisz być w porządku. Nigdy nie zdradzałeś Anny?

– Nigdy – rzuca twardo Ptasidziób. – Ani na ułamek sekundy. Jesteś staruchem, wiesz? Dla starców takich jak ty, którzy prawie nic

już nie czują, wszystko jest oczywiste. Łatwo być wiernym, gdy nie dosięga cię szaleństwo.

– Przyznajesz więc, że ją zdradzałeś i zdradzasz – przygważdżam Ptasidzioba. – Tłumaczysz to szaleństwem. Ale szaleństwo jest zaprzeczeniem wyrachowania. A ty z góry zapowiadasz, że nie zostawisz żony. Dla wygody ekstra zasłaniasz się córkami. Po czym dajesz upust swoim chuciom przyobleczonym w szaleństwo. Mnie chcesz nabrać?

Ptasidziób milczy. Coś w sobie roztrząsa.

– Biedny starcze. – Słyszę jego łagodnie smutny głos. – Została ci tylko sprawiedliwość. Nie jesteś już w stanie przypomnieć sobie, czym było bohaterskie tchórzostwo, męczeństwo zdrady, heroiczne kłamstwa. Ani głupoty tępego nonkonformizmu.

– Czym jeszcze uzasadnisz swoje przygody, miłostki, romanse? – pytam, zmuszając się do żartobliwego spokoju. – Swoje flirty z towarzyszami? Puszczanie oka do nieugiętych?

Ptasidziób odwraca się w moją stronę. Stoimy naprzeciw siebie. Tylko wzrostem się nie różnimy, choć mam wrażenie, że i tu przewyższa mnie nieco. Jest smuklejszy, sylwetka wysportowana, ani grama sadła. Włosy dość gęste, z lekka falujące, ciemnoblond, zaczesane do góry. Ale czoło już za wysokie. Najmniejszej zmarszczki, ani w kącikach oczu, ani ust, a usta pełne, nie to co moje – wąska krecha jak blizna po lancecie. Szyja napięta, wierzch dłoni bez widocznych żył. Nos, owszem, z garbkiem, jednak wąski, nie taki mięsisty jak mój. Żadnych worów pod oczami. Równe białe zęby, wszystkie własne. Tylko oczy mamy niemal identyczne – bardzo niebieskie, płytko osadzone, przenikliwie błyszczące. Jego błyszczą bardziej.

– Chrzanisz, dziadku – drwiąco rzuca mi w twarz. – Kim dzisiaj jesteś? Zwiotczałym ciałem, łysą pałą, filmowcem na emeryturze. Młodzi na pewno nic o tobie nie wiedzą, ich rodzice pamiętają piąte przez dziesiąte, mylą cię z innymi dokumentalistami. Telewizja z rzadka przypomina twoje filmiki. Tylko niektóre. I nie wiadomo, dlaczego te słabsze. *Pół cudu* nie pokażą. Ani *Klęski zwycięzcy*. Może aż tak bardzo świat się nie zmienił? Może inny jest tylko naskórek?

– Mówisz do siebie – przypominam, patrząc w czarną dziurę okna, przez które nie da się zobaczyć nieba.

Ptasidziób lustruje pokój, coś przesuwa, poprawia. Krzesła bliżej stołu. Wazonik na szafce. Na biurku pod ścianą maszyna do pisania, stara erica, którą mu podarował Ed Love, gdy sobie kupił nowego underwooda. Na tapczanie dwa jaśki, seledynowy i szary, Ptasidziób układa je równo obok siebie. Zaraz pojedziemy na lotnisko po Annę. Seminarium trzeba było skończyć dziesięć minut wcześniej. Ku zaskoczeniu Ptasidzioba studenci wcale się nie ucieszyli. Padły pytania, kiedy odrobimy te dziesięć minut. Dopiero chwila namysłu i jasność: student płaci tu za każdą minutę zajęć. Nie będzie wyrzucał swoich dolarów, ciężko na nie pracuje. Studia na Columbii kosztują drogo. Każdy student, nawet z zamożnej rodziny, podczas studiów dorabia. Taki obyczaj, nic za darmo, od najmłodszych lat. Niełądne? Czyżby? A jak inaczej nauczyć szacunku dla ludzkiej pracy? Szacunek dla pracy nie jest ideologią, tylko czymś naturalnie oczywistym, jeszcze z czasów pionierskich i Dzikiego Zachodu. To u nas go uczono. Na lipę. Przodował ten, kto był dobrze z szefem.

– Jeszcze nie – odpowiada Ptasidziób. – Na razie jestem sobą i wcale mnie do ciebie nie ciągnie. Może nie dożyję?

Szczerzy zębiska w bezczelnym uśmiechu. Ironista się znalazł. Mógłbym mu opowiedzieć o L., z którą bywa mi tak dobrze, jak jemu nie było z żadną dotychczas. Spełnienie wymaga dojrzałości. Dojrzałość to przejścia, spóźnione refleksy, żale po stratach do uniknięcia, analiza przypadków, które nigdy nie są przypadkami. Dopiero na samym prawie końcu człowiek zaczyna wiedzieć, czego chce. Albo powinien chcieć. L. jest za młoda na dojrzałość, ale pojętna z niej uczennica i podpiera się intuicją. Los sprawił, że pasujemy do siebie pomimo dużej różnicy wieku. Sytuację ratuje dzieciak, który gdzieś tam we mnie przetrwał, ocalał i od czasu do czasu wystawia mordkę. Wtedy doroślejsza jest L. Lubimy, na przykład, bawić się w miny – w miejscach publicznych zwłaszcza. Ja ukradkiem wykrzywiam się do L., robię ryjek i przewracam oczami. Przez sekundę. Potem, wraz z innymi, patrzę ze zdziwieniem na dziewczynę, która rechocze bez powodu. Po chwili ona mi się

rewanżuje błyskawicznym grymasem idiotki i demonstracyjnie nie rozumie, dlaczego starszy pan nagle parska śmiechem.

– Dożyjesz, dożyjesz – zapewniam Ptasidzioba, towarzysząc mu przy zamykaniu drzwi specjalnym kluczem yale. Przecinamy marmurowy hol i wychodzimy na Sto Trzynastą, kierując się w stronę Broadwayu. – Czeka cię jeszcze mnóstwo niespodzianek.

Popołudnie jest duszne, w upalnym powietrzu można zawiesić siekierę, od Hudson River nie ciągnie najlżejszy wietrzyk. Mury oddają żar pobrany w południe od rozpalonego do białości słońca. Manhattan nie ma czym oddychać. Bezdomni oberwańcy drzemią w skrawkach cienia na chodnikach, w cuchnących moczem szparach nieczynnych zejść do subwayu.

Wsiadamy do metra na stacji przy Sto Szesnastej. Czeka nas daleka droga na lotnisko z mnóstwem przesiadek. Wrócimy taksówką.

ROZDZIAŁ 47

Wstawiamy róże do wazonu z czarnego marmuru inkrustowanego srebrną nicią w grecki wzór. Znalazłeś ten wazon wraz z parą nocnych lamp i sprawnym radiem Sharp przed kamienicą Edwarda, z której się ktoś wyprowadzał. Były jeszcze trzy fotele klubowe, pikowana kanapa z wiśniowej skóry, olbrzymia lodówka z ułamaną klamką i góra aluminiowych garnków. Wziąłeś tylko lampy i wazon. Lampy mam do dziś.

Róże pachną narkotycznie słodko, nad nimi obraca się wolno sufitowy wentylator. Anna siedzi na brzeżku tapczanu i nieruchomo patrzy na butlę szampana, którą zdążyłeś schłodzić i dopiero teraz, około północy, wyjąłeś z zamrażalnika. Jeszcze nie otworzyłeś. Wnosisz na desce mostek cielęcy, już bez folii, kładziesz na stole i uroczyście zabierasz się do krojenia.

– O, mostek! – wykrzykuje Anna. – Byłam pewna, że go upieczesz na nasze powitanie. Nie zapomniałeś o bazylii?

Dwa soczyste plastry mostku z farszem i kostką żebrową okładasz dokoła truskawkami – są dorodne, świeże, wilgotnie czerwone i bardzo soczyste, ale nie pachną. Truskawki w Nowym Jorku są bez zapachu.

Strzela prawie pod sufit korek szampana. Napój pieni się w dwóch kielichach. Mamroczesz jakiś toast, chyba za zdrowie Agnieszki i Kai, tak, na pewno, Anna radośnie przytakuje:

– Za nasze córki! Jak one tęsknią za tobą!

Czujesz się tak, jak przewidziałeś. Słabe światło lamp maskuje sztuczność uśmiechu, ubierając cię w półcień. Anna ożywia się, opowiada o Agnieszce, o jej figlach, o lekkiej anginie Kai, o deszczowym lecie na Mazowszu, o babci, która piecze serniki. Siedzisz w fotelu naprzeciw Anny, a właściwie unosisz się nad nim milimetr, może dwa, nie czujesz pod sobą tkaniny ani sprężyn. To zły sygnał. Wstajesz pod jakimś pretekstem. Nie patrząc na Annę, coś opowiadasz, odpowiadasz na jej pytania, rozlewasz szampan do kielichów, posypujesz truskawki cukrem pudrem. Wiercisz się jak szczur w klatce.

Przeze mnie? Daj spokój, mnie tu nie ma. Jesteś z Anną sam na sam. Bardzo ci się nie spodobały róże i szampan pod drzwiami. Ilana może na tym nie poprzestać. Diabli wiedzą, co jeszcze strzeli jej do głowy.

I się nie mylisz.

Jest druga w nocy, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi. Zdesperowany, otwierasz je szeroko, wściekle, z rozmachem, nie reagując na wystraszone spojrzenie Anny.

W progu staje dwumetrowy Murzyn w karminowym uniformie ze srebrnymi epoletami. Na wyciągniętych rękach trzyma gigantyczny tort. Bez słowa, z kamiennym wyrazem twarzy, robi kilka kroków do przodu i stawia tort na stole, obok deski z mostkiem i butli Dom Pérignona. Wierzch tortu zdobi czekoladowy napis: WELCOME, ANNA!

Murzyn, nadal bez słowa, robi w tył zwrot i nie czekając na napiwek, wychodzi.

Wciąż wystraszone, pytające spojrzenie żony.

Bystrzak z ciebie, Ptasidziób. Już po paru sekundach parskasz prawie naturalnym śmiechem.

– Ach, ten Harold! Byłem pewien, że coś wymyśli! Zrewanżował mi się za grzebień, he, he, he…

– Harold?… Grzebień?

Profesor Harold Perkins, kolega z wydziału, znany dowcipniś, łysy jak pupa niemowlaka. Miesiąc temu na urodziny podarowałeś mu srebrny grzebień z lusterkiem, kupiony w warszawskiej cepelii na ewentualną okazję, lubisz mieć pod ręką takie drobiazgi, Anna wie o tym. I było dużo śmiechu na urodzinowym party Harolda, a teraz łobuz się zrewanżował…

Uwierzyła?

A jaki miała wybór?

Ścielisz tapczan. Anna jest w łazience. Udajesz mocno wstawionego, butla jest pusta, padniesz i natychmiast uśniesz snem kamiennym. Najlepiej, nim jeszcze żona wyjdzie z łazienki. Nucisz, fałszując, jakiś szlagier. Jest trzecia nad ranem.

Nagle dzwoni telefon. Gwałtownie, ostro, znienacka. Odbierasz odruchowo. Obcy męski głos:

– Presbiterian Hospital, oddział psychiatrii, doktor Aaronson speaking. Przepraszam, że o tej porze. Mamy pacjentkę, która odzyskała przytomność po próbie samobójczej. Chce cię zobaczyć, prosi, abyś natychmiast przyszedł. Z medycznego punktu widzenia jest to wskazane. Siódme piętro, sala numer dwieście dwanaście.

Wytrzeźwiałeś. Mózg jak robot. Obuwie, marynarka, płaszcz. Przestraszona twarz Anny w szparze drzwi łazienkowych.

– Kto dzwonił? Co się stało? Ty wychodzisz?

– Polka, studentka, miała wypadek. Potrzebują mnie w szpitalu, zaraz wracam.

Szpital jest na Amsterdam Avenue, krok od Columbii. Siódme piętro. Najpierw doktor Aaronson, sympatyczny blondyn o zmęczonych oczach z przekrwionymi spojówkami.

– Zażyła dużo bardzo mocnych środków nasennych. Uratował ją jej przyjaciel. Ustaliłem, że się zaniepokoił, ponieważ nie odbierała telefonów, i przygnał aż z New Jersey do akademika. Wraz z

portierem wyważyli drzwi zamknięte od wewnątrz. Jeszcze kwadrans i byłoby za późno.

Salka reanimacyjna. Wiązka kolorowych przewodów łączy Ilanę z różnymi aparatami. Szeleszczą pompy, tykają zegary. Ilana leży na plecach i z przyklejonym uśmiechem patrzy w sufit. Obok, na krzesełku, siedzi wąsaty kruczowłosy przystojniak, książę Nadir Pahlawi, i patrzy na Ilanę. Ciebie nie zauważa.

Ale Ilana ożywia się z wysiłkiem, kiedy wchodzisz. Odwraca głowę w twoją stronę i próbuje uśmiechnąć się naturalnie.

– Poznajcie się. To jest Nadirek, on mnie tutaj przywiózł. Podajcie sobie ręce. O, tak.

Wasze dłonie stykają się, nic więcej. Na krótką chwilę. Żadnego uścisku, potrząśnięcia. Nadir wstał, usiadł. Jest tylko jeden stołek. Przysiadasz na skraju łóżka, choć jest to w szpitalu niedopuszczalne.

– Pocałuj mnie – prosi Ilana. – No, pocałuj, on przecież nie rozumie po polsku. – Przełamujesz się i leciutko całujesz ją w czoło, ot, szybkie muśnięcie. – Nie myśl sobie, to był wypadek, myślałam, że aspiryna, pomyliłam fiolki…

– Odpoczywaj, wszystko będzie dobrze – mówisz, żeby coś powiedzieć, i wstajesz, chcesz iść do drzwi. Nic tu po tobie. To Nadir ją uratował, on miał przeczucie, nie ty.

– Jeszcze nie idź, proszę. Jest Anna? Jak wam ze sobą?

– Wszystko będzie dobrze – powtarzasz z głupawym uśmiechem i wychodzisz z separatki.

Nadir idzie za tobą. Zastępuje ci drogę. Jest o głowę od ciebie wyższy, barczysty, wysportowany. Śniada rasowa twarz, ostro zarysowane kości policzkowe, głęboko osadzone ciemnobrązowe oczy pod krzaczastymi brwiami. Białe drapieżne zęby, czarny wąs. Przez ten wąs i nieco przydługie baczki wygląda trochę jak fryzjer.

– Co jej dasz? – pyta i chwilkę czeka na odpowiedź. – Masz żonę i córki. Jesteś byle jakim filmowcem, wielkiej kariery nie zrobisz ani tu, ani tam. Wyjedziesz stąd niedługo do swojej Polski.

– To wszystko prawda. Dużo wiesz o mnie.

– Pracuję dla NASA. Tam się wie. Na przykład o twoich kontaktach z polskim konsulem.

– Co masz na myśli?

– Nie udawaj naiwnego. Mogę sprawić, że więcej cię tu nie wpuszczą.

– Myślisz, że będę chciał tutaj wracać?

– OK. – Nadir zmienia ton. – Ja kocham Ilanę. O niej też wiem wszystko, a ty nic. Jesteś płotką, za ciebie jej brata nie wypuszczą, to ja go wyciągnę z pudła. I ja ożenię się z Ilaną.

– OK.

– Zejdź mi z drogi, OK?

– OK. Nie jestem na niczyjej drodze.

– Na mojej jesteś. Zawróciłeś jej w głowie, nie wiem czym, bo kim ty jesteś w końcu? Miernotą, prawie zerem, w dodatku bez grosza. Trafiła ci się Ameryka jak ślepej kurze ziarno, ale bez prawa stałego pobytu. Na azyl nie mógłbyś liczyć, bo mają cię tutaj za czerwonego.

– Jestem czerwony – rzucasz wyzywająco. – O azyl nie poproszę. A co do Ilany…

– Dam jej wszystko, czego kobieta może pragnąć – przerywa mi Nadir. – Masz się z nią nie spotykać nigdy więcej.

Nie podoba ci się to ostatnie zdanie, ale książę Pahlawi ma rację. Kładziesz uszy po sobie, podwijasz ogon, bąkasz jakieś przyrzeczenie. Rozstajecie się bez podawania rąk. Nadir wraca do separatki.

Przyrzekłeś czy nie przyrzekłeś, że się z Ilaną więcej nie spotkasz? Byłby to szlachetny gest – ustąpić dla jej szczęścia. Jednak sam siebie nie bajeruj. Na rękę ci to. Nie chcesz komplikacji z Anną. Po diabła Ilana kazała cię wezwać do szpitala? Żeby cię poznać z Nadirem? Pokazać, kto naprawdę ją kocha? Jemu pokazać ciebie? Upokorzyć, poniżyć, ośmieszyć?

Świnia jesteś, Ptasidziób. Przez ciebie spróbowała nie żyć. A gdy ją ożywiono, natychmiast pomyślała o tobie.

Nie byłeś wart tych wszystkich dziewczyn, którymi wzbogacałeś sobie życie w sekrecie przed Anną. Że artyście wolno? Dla podniesienia temperatury doznań, wytrysku adrenaliny? Tylko tak powstaje sztuka, a przy niej drobnomieszczańska moralność to szajs?

Chrzanisz, Ptasidziobie. Sobie samemu ciemnoty wciskasz, jak mawiamy dzisiaj. Sztuka – już teraz wiadomo – rodzi się z deformacji

umysłu. Noblista, profesor Martin Appletree, dowiódł bezpośredniego związku pomiędzy arcydziełem i zaburzeniem struktury mózgu twórcy w strefach odpowiedzialnych za wrażliwość i wyobraźnię. Normalni artyści to imitatorzy. Geniuszy można rozpoznać nie tylko po wynikach ich prac. Także po zachowaniu: odbierają świat inaczej niż my wszyscy i zachowują się odpowiednio – na pograniczu szaleństwa. My, zwyczajni, nazywamy to dziwactwem, ekstrawagancją.

Nie jesteś dziwakiem, Ptasidziobie. Pewnych zdolności nie można ci odmówić. Ma je większość autorów poczytnych powieści, szlagierów muzycznych, poruszających filmów. Ale geniuszem się nie urodziłeś, pomimo lewitacji. Że lewituje co trzeci laureat Nobla? Ty nie znajdziesz się między nimi.

I, powiedzmy sobie szczerze, za wysoko się nie unosisz. Ot, milimetry.

ROZDZIAŁ 48

Dwa miesiące w retrospekcji to chwila. Jutro Anna odlatuje do Warszawy, waliza już spakowana. Prezenty dla dziewczynek, głównie markowe dżinsy, T-shirty i duperelki modne na dziewczęcym targowisku mody, kupione za ostatnie dolary. Sobie Anna nie kupiła nic. Dobra matka.

Samolot startuje w południe. Na wieczór zapraszamy do siebie na drinka grupkę studentów, tych wyróżniających się, których etiudy filmowe dostały A na koniec semestru. Jest wśród nich czarnoskóry garbus Bobby Yearwood, który buszował z kamerą po Harlemie, Don Lang jadący do Moskwy z ekipą telewizyjną CCNB, jest też Diana Kennedy – jej filmik *A drop of truth about Micki* pokazano w trzynastym kanale telewizji. Bo spokrewniona z klanem Kennedych? Tu tak nie ma. Celnie podpatrzyła jedną noc nieletniej prostytutki, inscenizacji nie da się wyczuć, choć być musi. Udana kompozycja. Niema, sam obraz.

Z Dianą jesteśmy prawie zaprzyjaźnieni. Szczuplutka, filigranowa, kruczowłosa, o irlandzkim profilu, z lekko zadartym nosem i o dużych ciemnobłękitnych oczach. Pije jarzębiak z sokiem pomidorowym. Don Lang, przedmiot szczególnego zainteresowania Zygmunta („Dlaczego właśnie on jedzie do Moskwy? Ile razy zwalniał się z twoich zajęć na ćwiczenia wojskowe?"), nie tyka alkoholu, więc mu ze śmiechem przepowiadamy ciężki los w Związku Sowieckim. Yearwood chce spróbować czystego spirytusu. Odradzamy. To ogień dla niewprawnych.

– A ty potrafisz? – pyta Bobby.

Mały kieliszek, pięćdziesiątka. Głęboki wdech, szybkie łyknięcie i wypuszczenie powietrza natychmiast – stary sposób spirtopijców. Nigdy odwrotnie, na wydechu.

Ani słowa Bobby'emu o technice. Po prostu:

– Lepiej nie próbuj.

Bobby jest ciekawski. Urodzony ryzykant, na przekór kalectwu. Sam nalewa sobie spirytus do kieliszka i z kpiącym uśmieszkiem wypija.

Wrzask.

Garbus wije się na podłodze.

– You poisoned me! Help!

Łzy w oczach, atak kaszlu i po wszystkim. Towarzystwo rechocze, także do łez, a Yearwood siedzi na podłodze i nie rozumie.

– Jak ty mogłeś to wypić? Trik z kieliszkiem?

– Nic podobnego, ty mi nalej. – I powtarzamy numer na wdechu, wydmuchujemy opar, zagryzamy polskim konserwowym ogórkiem.

Podbudowałeś sobie prestiż tym wyczynem. Stałeś się dla nich jeszcze bardziej egzotyczny i niezrozumiały ze swoją nadwiślańsko-socjalistyczną mentalnością. Fascynujesz Dianę, to się da wyczuć. Zaraz będziesz miał do niej prośbę. Wolałbyś nie mieć, ale górę bierze rozsądek.

Ilana znała datę odlotu Anny i wie, że tej nocy będziesz sam. Zarozumiałość czy przeczucie? Wszystko jedno, postanowiłeś nie ryzykować. Minęła północ, goście zaczynają się żegnać. Odciągasz Dianę do kuchni, niech myślą, że ma ci pomóc w sprzątnięciu.

– I have a request…

Prosisz, żeby u ciebie została. Na trochę. Gdy towarzystwo wyjdzie, prawdopodobne jest, że zadzwoni twój domofon, a wtedy Diana, nie otwierając, ma zapytać: „Who is it?”. To wszystko, ponieważ nikt się nie odezwie i dzwonek już nie zabrzęczy.

Diana zgadza się, bez żartobliwego uśmiechu, czego mógłbyś się przecież spodziewać. Nie pyta o nic. Gdy zamykają się drzwi za ostatnim gościem, nalewa sobie do szklanki resztkę jarzębiaku, doprawia pomidorowym sokiem i siada w fotelu pod lampą. Ty zmywasz w kuchni naczynia. Po bigosie trochę przypalił się garnek, szorujesz dno druciakiem i czekasz nerwowo na dzwonek. Zadzwoni, nie zadzwoni, co gorsze? Diana słucha przyciszonej muzyki z radia, popijając swój jarzębinowy drink.

Wybucha domofon.

Żaden wybuch, po prostu brzęknięcie. A ty zamierasz, wstrzymujesz oddech, w ustach gorzka susza. Jak wariat pognałbyś otworzyć. Starczyłby jeden długi skok od zlewu do drzwi wejściowych.

Diana już jest przy nich.

– Who is it? – pyta nieswoim słodziutkim głosikiem.

Bez odpowiedzi.

Chwila wyczekiwania. Potem Diana wolno podchodzi do ciebie, wspina się na palce, zarzuca ci ramiona na szyję i całuje w usta. Bardzo długi, ciekawy pocałunek, od którego robi ci się gorąco. Później patrzysz, jak Diana zdejmuje z siebie wszystko, metodycznie i bez pośpiechu. Zaczynasz ją naśladować.

Ptasidziób staje w rozkroku i patrzy mi prosto w oczy, jak w zabawie *Kto pierwszy mrugnie*. Siedzę rozparty w kalekim fotelu z uwierającą sprężyną. Nie powinienem tu być. L. czeka na mnie w apartamentach Edka Love, coraz bardziej zdenerwowana, niespokojna. A ja tracę czas.

– Tracisz czas – potwierdza Ptasidziób. – Nie jesteś mi potrzebny.

– Ty mi jeszcze mniej.

– To co tu robisz?

Każdy jest ciekaw swojej przyszłości. Ale zaciekawienie przeszłością? Tym, co już było i się nie odstanie? Głupcy tłumaczą to

zaślepieniem, nieodpornością na indoktrynację, naiwnością. Owczym syndromem stada albo wielkimi słowami kalibru „ojczyzna”, „patriotyzm”, „interes narodowy”. W interesie narodu jest przetrwać wszelkie dziejowe zawirowania. Masz przełamywać w sobie wstręt do słabości. Upór jest prosty, by nie powiedzieć prostacki – walenie głową w mur, choćby ci czaszka pękła. Co innego konformizm. Konformistami się gardzi, a tymczasem to oni – ugrzecznieni, pokorni, śliscy od wazeliny – powstrzymują walec, który miażdży wszystko. Może też by chcieli na barykadę? Plunąć w twarz ciemiężcy? Zginąć w blasku chwały? Czy nie jest szczytem bohaterskiego poświęcenia lizać but, aby zmiłował się i nie zadeptał naszych bliskich?

Ptasidzioba to nie dotyczy. Ptasidziób należy do wierzących. Tak jak żarliwy katolik, który nie ma za złe Panu Bogu rzezi niewiniątek Heroda, genocydu Ormian czy Holokaustu, ponieważ o coś musiało Mu chodzić.

A jeśli nie? Jeśli On nie wtrąca się do takich drobiazgów jak ludzkie cierpienie?

Ptasidziób nie jest idiotą. Natura zafundowała mu wrażliwość, ale rozsądek nałożył na nią hamulce. Podli ludzie są wszędzie, bez względu na ustrój. Bywają uroczo nikczemni i przekupni bezinteresownie, a przy tym doskonali aktorsko. Dlatego tak trudno przebić się ideom, którym chciałby służyć Ptasidziób.

Ja też mam słabość do szlachetnych idei. Umiem ładnie o tym mówić i kręcić filmy o wzruszającej wymowie. Ale nie mam złudzeń co do tego, jak jest.

Jak jest, Ptasidziobie? Ano tak jest, że nikomu nie zależy, abyś ty był szczęśliwy.

– Ona jest teraz z Nadirem. Zasłużył na nią. Taki cholerny Arab z nieprzytomną fortuną zawsze dostaje to, czego chce.

– Persowie nie są Arabami – zauważam. – Przecież dobrze życzysz Ilanie.

– Nie będzie z nim szczęśliwa! – wybucha Ptasidziób. – Kulturowa przepaść! Gdy mu żądza wygaśnie, będzie nią pomiatał.

Nawet nie wie, jak bliski jest prawdy. Mimo że książę wychowywał się w Stanach, miał brytyjskie guwernantki, kończył Harvard i Yale.

Że w NASA uchodzi za jednego z wybitniejszych naukowców o nowoczesnym twórczym umyśle – to on wynalazł aparat do pomiaru temperatury z kosmosu, co pozwala śledzić stamtąd wszystko, co żywe, od słonia do mrówki, nie mówiąc już o ruchu wojsk. I co z tego? Czy Ptasidziób, całkowicie wtopiony w ojczystą społeczność, daleki psychicznie od ornitologii, nie ma wypukłych oczu, lekko kręconych włosów i nosa z garbkiem, czy nie waży mało jak na swój wzrost i czasami nie lewituje?

– Pomysł z Dianą był dobry – mówię. – Trafnie przewidziałeś dzwonek do drzwi po wyjeździe Anny. Postąpiłeś rozsądnie.

– Czy ja zawsze muszę być rozsądny?!

– Zazwyczaj nie jesteś – wtrąca z uśmieszkiem Eddie Love, dotąd zajęty uważnym oglądaniem swoich dłoni. – Egoiści i rozsądek? My lubimy sobie dogadzać. Co byś powiedział o T-bone steku U Tedda? Ja funduję.

– Ja sobie dogodziłem? – pyta cicho Ptasidziób. – Nie wpuszczając Ilany? Edek, przecież ja ją kocham…

– T-bone steki U Tedda są najlepsze na Manhattanie. Pod warunkiem że medium, nie well done, bo muszą być soczyste. Najlepsza argentyńska wołowina. I ten dymek, hickory smell, nigdzie steki tak nie pachną. Ale siebie kochasz bardziej niż ją.

– Co ty wiesz o mnie – mruczy Ptasidziób.

– Tak siebie kochasz, że oddałeś Ilanę Nadirowi – śmieje się Love. – A sam wlazłeś do łóżka z Dianą.

– Skąd wiesz?

– Mała Kennedy rozpowiada o tym na lewo i prawo. Wystawia ci niezłą opinię. Opowiada, jak przedtem spławiła inną przez domofon, i koledzy się zaśmiewają.

Ptasidziób zwiera szczęki. Tak tu jest. Powinien był się z tym liczyć. Na uczelniach romanse wykładowców ze studentkami nie są dobrze widziane. A tak w ogóle, łóżkowe sprawy to żadna tutaj świętość. Moda na swobodę obyczajów. Ptasidziób z niedowierzaniem wysłuchał ostatnio opowieści o doskonałym kochanku, Latynosie, którego polecały sobie wzajemnie koleżanki w akademiku: przemierzył podobno wszystkie osiem pięter, żadnego pokoju nie pomijając, bo taki postawiono mu warunek. Bez

kapryszenia i dyskryminacji. Gdy po kwartale trudów chłopak zaliczał ostatni pokój, był o dwanaście kilo chudszy, ale plamy nie dał.

Eddie Love jeszcze nie jest bliskim przyjacielem Ptasidzioba. Już się tolerują, a nawet lubią, daleko im jednak do sztuki wspólnego milczenia, które najbardziej zbliża do siebie ludzi. Na razie Edek nie czuje się dojmująco samotny. Obcowanie na co dzień ze studentami, bywanie na ich party, od czasu do czasu flirt z blondyneczką – profesor Love preferuje jasnowłose – zastępują mu życie rodzinne. Tymczasem już teraz Eddie cierpi, gdy po wizycie panienki jego kapcie nie leżą w zwykłym miejscu, w nogach po lewej stronie łóżka. Albo kalendarz na biurku jest przesunięty o centymetr, słuchawka położona odwrotnie. Szwajcarskie czekoladki, rozrzucone w artystycznie pozornym nieładzie na kryształowej paterze, nie są do jedzenia, to dekoracja salonu. Dziwactwo? Jeszcze nie; na razie fantazja, kaprys, zamiłowanie do ładu.

– To nie ja wlazłem Dianie do łóżka, tylko ona mi wlazła – rzuca z goryczą Ptasidziób. – Wcale nie miałem na nią ochoty.

– Ja też bym nie miał – zgadza się Edek. – Też bym wolał Ilanę.

– Jak mam to rozumieć? – pyta podejrzliwie Ptasidziób.

– Może bym się nawet z nią ożenił, kto wie… Nie wszystko ci jedno, za kogo ona wyjdzie?

Ptasidziób zmienia domowe sandały na adidasy, wkłada dżinsową kurtkę. Czuje głód. Zwłaszcza na myśl o T-bone steku, przyrumienionym, soczystym, z chrząstką przy kości i podpieczonym tłuszczykiem.

– Tęsknię za Anną – mówi, nie patrząc na Edka. – Za córkami, za domem. Nie wiem, co ja tu robię. Nie znoszę być belfrem! Chcę kręcić filmy, a nie gadać o nich, rozumiesz?

– No to kręć – radzi Love.

– Nikt mi nie proponuje.

– Nie poznali się na tobie. – Mówi serio czy ironizuje? – Bądź cierpliwy i sam proponuj. Poszukaj sobie agenta, zaszokuj go genialnym pomysłem…

– Odchrzań się – przerywa mu Ptasidziób. – Nie jestem kosmopolitą, mój dom jest tam.

Eddie Love staje twarzą w twarz z Ptasidziobem.

– Czy ty na pewno masz dom? – odzywa się cicho. – A nie gniazdo gdzieś w gałęziach? Z takim dziobatym nosem nie ma się co pchać między nieswoich. Możesz zalewitować w nieodpowiednim momencie. Spójrz na mnie. – Przerywa, dając przyjacielowi czas na przyjrzenie się jego wypukłym oczom, zmysłowo pulchnym wargom, smolistym kędziorom nad wysokim czołem. – Wyglądam na skowronka? Na kolibra? Może na kruka, co? Nic z tych rzeczy. I tak niech zostanie.

– Chciałbyś – uśmiecha się szyderczo Ptasidziób.

– Tutaj, w Ameryce, też jest nieelegancko afiszować się ptaszeństwem. Jedna moja studentka twierdzi, że przypominam jej anioła.

– Anioł też ptaszek, drogi Eddie…

Aluzja. Do podejrzanych korzeni Edwarda Love czy do proweniencji aniołów? Ptasidziób sam tego nie wie. Cisza. Obaj milczą, obaj patrzą na studnię podwórza za oknem, obaj myślą, ale nie o tym samym.

– Moja siostra była jasną blondynką – odzywa się Edek nieswoim, mechanicznym głosem. – Miała włosy jak len i fiołkowe oczy.

– Masz siostrę niebieskooką blondynę? – dziwi się Ptasidziób i uświadamia sobie z pewnym zaskoczeniem, że prawie nic nie wie o rodzinie Edka Love. Ludwika, jego siostra, którą poznał przypadkiem, była brunetką, to jednak nic nie znaczy, bo włosy można ufarbować, ale oczy? Ludwika z pewnością miała czarne.

– Regina była o rok starsza od Ludwiki – odpowiada Edek po kolejnej długiej pauzie potrzebnej mu do czegoś. – Miała fiołkowe oczy i włosy jak len.

ROZDZIAŁ 49

Ciepła jesień sypnęła kolorami i las na dalekim skraju kartofliska zaczął wyglądać jak wykąpany w pastelowej tęczy. Ale nie na długo. Starcy we Wiosce już czuli stawami nadciągający chłód. Reumatyczne stawy rzadko się mylą. Mróz zabarwi las na żółć i brąz,

kartofle przyczerni i osłodzi. Zgniją. A w głodnych wojennych czasach nie można do tego dopuścić, żandarmeria niemiecka nie darowałaby. Tam też muszą jeść. Ci za murem, dopóki jeszcze żyją, i mundurowi strażnicy w szczególności.

Trzeba ziemniaki czym prędzej wykopać i zebrać. Tylko skąd wziąć ludzi? W zagrodach starzy i dzieciarnia, młodzież prawie całą Niemiec wywiózł do siebie na roboty. Zostało pięciu chłopaków i każdy z felerem – ten chromy, tamten garbaty, jednoręki, ślepawy, przygłup.

Wtedy sołtys wpadł na myśl, żeby poprosić komendanta żandarmów o wypożyczenie tych zza muru. Komendant się zgodził za dwa litry bimbru, ale na same dziewczyny, i do tego nieletnie, ponieważ dorośli za murem byli potrzebni do pracy w fabryce amunicji. Wypożyczył za pokwitowaniem osiem dziewczynek, do zwrotu po wykopkach.

Były zabiedzone, chude i wystraszone, ale ubrane ładnie. Ich rzeczy złożono do skrzyni. Dostały koszule uszyte z worków. Sołtys umieścił dziewczynki nie w stodole, a w murowanej piwnicy, by móc nocą zamykać na kłódkę. We dnie szły w tyralierze za kopaczką i zgięte wpół zbierały kartofle do wiklinowych koszy. Za nimi posuwało się czterech felernych chłopaków, pilnując, aby któraś nie przegapiła ziemniaka albo go nie ukradła, nie ukryła gdzieś pod koszulą. I żeby żadna nie ważyła się uciec do lasu. Piąty felerny, garbus, powoził koniem, który ciągnął kopaczkę. Kiedy dziewczynki błagalnym jękiem prosiły o chwilkę wytchnienia, garbus wpadał w złość i popędzał konia batem. Czterej felerni mieli na tę okoliczność rzemienie, które puszczali w ruch, i dziewczynkom jakoś wracały siły.

Felernym chciało się dziewczynek. Podzielili je między sobą, trzy najmłodsze zostawiając na zaś, bo jeszcze nie miały cycków. Ale sołtys twardo zakazał chłopakom wstępu do piwnicy. Siła robocza musi mieć siły, a dziewuszki i tak ledwo żyją. Najpierw mają zebrać z pola wszystko, do ostatniego ziemniaczka. Więc chłopcy wzięli na wstrzymanie, ograniczając się tylko do sprośnych przygaduszek i zadzierając dziewczynkom workowate koszule, żeby sobie popatrzeć. Chromy na później upatrzył sobie rudą Rebekę, karłowaty Garbus najwyższą z dziewczynek, tyczkowatą Chanę. Bezrękiemu miała przypaść piegowata Chawka, Ślepakowi brzydka Rywka krzywonosa,

a Głupolowi wmówiono, że farciarz, bo się zabawi z jasnowłosą Reginką, najmłodszą z przydatnych, choć cycuszki ledwo zaczęły jej pączkować i frajda z nich żadna. Dziewczynki o niczym nie wiedziały. Ćwierkały ze sobą słabnącymi głosami w dziwacznym ptasim narzeczu. Żywiono je postną kartoflanką, w której więcej było obierzyn niż miąższu, z pola zejść pozwalano dopiero, gdy zmierzch zapadał. Zaganiano je wtedy do sołtysowej piwnicy i zamykano na kłódkę.

Wiatr zaczął wiać mroźny, las pożółkł na obrzeżu kartofliska, ale robota miała się ku końcowi. Jeden dzień został. O zmierzchu, po zamknięciu dziewczynek, Chromy z Głupolem wzięli szpadle, siekierę i poszli do lasu, a Garbus wytargował od bimbrowników flachę samogonu.

Po skończonej robocie sołtys pozwolił dziewczynkom wykąpać się w gorącej wodzie, a nawet dodał kostkę szarego mydła. Myły się po kolei w cynowej miednicy u siebie w piwniczce, znosząc na dół w kociołku zagrzaną wodę z sołtysowej kuchni. Potem sołtys wydał im ubrania, w których zostały wypożyczone, i zaprzągł konia do drabiniastego wozu, aby odwieźć dziewczynki do Miasteczka za mur, ale Garbus zaofiarował się, że go wyręczą. On i koledzy mają akurat coś do załatwienia w Miasteczku.

Sołtys zgodził się chętnie. Kazał tylko, żeby wzięli od komendanta żandarmów pokwitowanie zwrotu wypożyczonych i wręczyli mu w podzięce butelkę domowej wiśniówki.

Kiedy wóz wtoczył się w dukt leśny i zapachniało gnijącym listowiem, felerni przesiedli się, każdy do tej, którą sobie wcześniej wybrał. Śmieszyło ich przerażenie dziewczynek, wibrujący pisk podczas obmacywania, ptasi świergot z nutą błagalną. Przedtem każdy pociągnął po łyku szarawej cieczy z flachy Garbusa. Ciecz cuchnęła, ale miała moc spirytusu. Było wesoło.

Wóz skręcił z duktu w wąską przesiekę. Toczył się, podskakując, aż do głębokiej, świeżo wykopanej jamy. Tu stanął. Obok jamy piętrzyła się sterta pulchnego listowia i grubych jak udo sękatych kijów. Kijów było pięć, dębowych, ciężkich.

Garbus kazał dziewczynkom wysiadać i rozebrać się do naga. Ponieważ nie usłuchały, zrzucono je z wozu na skraj jamy. Chromy

sięgnął po kij i pomachał nim groźnie. Wtedy krzywonosa Rywka, chyba najstarsza z dziewcząt, coś ćwierknęła po ichniemu i dziewczynki pokornie się rozebrały, układając równiutko sukienki, buciki i bieliznę na mchu pod starą sosną. Chromy kazał Chanie zdjąć z palca pierścioneczek z rubinowym oczkiem, a lnianowłosej Regince z szyi złoty łańcuszek z miniaturową sześcioramienną gwiazdką. Usłuchały. Głupol chichotał. Garbus ostatni pociągnął z flachy. Na jego znak felerni chwycili dziewczynki za włosy, za co popadło, i obalili na liściastą podściółkę. Trzy najmłodsze, dygocąc z zimna, przywarły do sosnowego pnia. Miały wybałuszone oczy i usta szeroko otwarte do krzyku, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobywał.

Leżące z całych sił zaciskały uda. Uległy wszystkie naraz, gdy Garbus zdzielił Chanę w twarz raz i drugi kościstą pięścią, aż krew trysnęła jej z nosa i ust.

Zabawa trwała długo, dopóki ostatni felerny, Głupol, nie miał dosyć. Lnianowłosa Reginka krwawiła, czerwone strumyczki ściekały jej spomiędzy rozrzuconych ud. Krwawiły wszystkie, ale Reginka najmocniej.

Trzy najmłodsze jeszcze szerzej pootwierały usta. Oczy wyłaziły im z orbit. Sapały spazmatycznie, wciskając się w sosnowy pień, jakby chciały ukryć się w jego wnętrzu.

Garbus kazał wstać leżącym i przywołał najmłodsze. Wyciągnął kłębek konopnego sznurka. Razem z Chromym powiązali dziewczynkom ręce na plecach i związali wszystkie razem, łącząc sznurkiem za przeguby.

Ustawili je na skraju jamy, tyłem do siebie, twarzami w stronę brunatnożółtawych drzew. Garbus zabronił im się odwracać i ruchem głowy wskazał chłopakom na kije. Chromy pierwszy sięgnął po sękatą dębową lagę, zważył ją w dłoni. Była ciężka, jak z żelaza.

– A może by tak… – półgłosem odezwał się Głupol. – Odstawić do komendanta?

– Dureń to dureń – odburknął Garbus. – Teraz? Inaczej my się dogadywali.

– Mordę w kubeł, Głupol, bo my i ciebie – dorzucił Chromy, po czym wziął rozmach i jakby drwa rąbał, przywalił lagą Rebece w tył

głowy. Ponieważ nie od razu upadła, zdążył uderzyć jeszcze i jeszcze.

Teraz felerni zaczęli się uwijać, żeby ucichły straszne krzyki dziewczynek, wycie chrapliwe, rzężenie, prośby o litość. Tłukli rytmicznie jak w młockarni. Jeden tylko Głupol machał kijem bez sensu, ponieważ Reginka złotowłosa odwróciła się do niego twarzą i patrzyła mu w oczy pytająco swoimi fiołkowymi oczami w ciemnej oprawie. Głupolowi wydało się, że stopy Reginki nie dotykają ziemi. Chyba tak było. Aż kwiknął ze zdumienia i nagłego lęku. Tu jednak z odsieczą doskoczyli Garbus i Ślepak, zabierając się do młócenia Reginki, bo ze swoimi już pokończyli. Kiedy czaszka jej pękła, na Głupola prysnął różowawy mózg, ochlapując mu twarz. Zaczął się gorączkowo wycierać rękawami kurty.

Dziewczynek jeszcze nie zepchnięto do jamy. Powiązane razem, wiły się na ziemi w przedśmiertnych drgawkach, jakby tańczyły na leżąco.

– Dobijaj – rozkazał Głupolowi Garbus. – Migać nam się nie będziesz, wszyscy to wszyscy.

Głupol pomyślał, że lepiej przedtem dobić niż zakopywać żywcem, i wziął się do roboty. Był najsilniejszy z felernych. Wystarczało po jednym uderzeniu w ciemię i drgawki ustawały.

Ciała dziewczynek zepchnięto do dołu. Chromy wyciągnął z krzaków dwa ukryte tam szpadle, podał Głupolowi i Ślepakowi.

– My z Garbusem wykopali, to tera wy zasypcie.

Później podzielili się dobytkiem – temu sukienka i majtki, temu pantofelki i bluzka. Garbus dał Chromemu pierścionek z rubinem, a sobie wziął złoty łańcuszek Reginki z sześcioramienną gwiazdką. Uradzili, że pojadą do Miasteczka na piątkowy targ i tam dobytek sprzedadzą. Kupcy znajdą się, bo towar w dobrym stanie, bez plam od krwi.

Komendant niemieckich żandarmów przesłuchał ich osobiście. Garbus zeznał, że dziewczynki próbowały uciekać, a reszta felernych to potwierdziła. Schwytane zaczęły się szarpać, drapać i gryźć.

– To my się wnerwili, panie komendancie – wyjaśnił Garbus. – Zatłukli my je na śmierć.

Tłumacz przetłumaczył.

– Jak zatłukliście? – spytał komendant.

– Kijami, panie komendancie – odparł wesoło Garbus – jeno mózgi fruwały!

Komendant żandarmów skrzywił się z obrzydzeniem i dał Garbusowi pięścią w ucho, nie za mocno. Potem kazał im się wynosić. Protokołu nie sporządzono, ponieważ w istocie sprawa była błaha. Ci za murem i tak mieli umrzeć.

Ze sprzedaży ubranek na piątkowym targu starczyło felernym na gąsior samogonu i na połeć wędzonej słoniny, żeby zakąsić.

ROZDZIAŁ 50

– Jaki wyrok? – pyta Ptasidziób.

– Nie było wyroku. Nie było sądu. Był tylko akt oskarżenia i trafił do kosza na polecenie ciotki Garbusa, która była ważną figurą gdzieś wysoko. To by śmierdziało politycznie.

– Śmierdziałoby trupem – zgadza się Ptasidziób. – Zrobiłbym o tym film, dalszy ciąg *Pół cudu*. Dasz mi namiary?

Zrobi dalszy ciąg *Pół cudu*, ale nie będzie to ta historia, tylko podobna. Nazwie ją *Krótki film o pokucie*, a bohaterem będzie pustelnik Inferniusz. W filmie o pięciu felernych nie byłoby pokutnika.

Ed Love przecząco kręci głową.

– Żyje jeszcze trzech, jeden doniósł. Nie wiem, jak Reginka trafiła za mur i dlaczego tylko ona, a nie my wszyscy. Była najmniej podobna do ptaka… Co ja gadam? – Ed milknie, długo przeciera irchą grube szkła okularów. – Wioska się domyśla, który doniósł, ale pewności nie mają. Spaliliby donosiciela, bo w istocie doniósłby na nich wszystkich.

– Dlaczego to zrobił? – zastanawia się na głos Ptasidziób.

– Ktoś taki zawsze się znajdzie. – Profesor Love wzrusza ramionami.

– Wioska jest po stronie felernych? – Ptasidziób nie rozumie.

– Solidarność wśród swoich to plus. Obojętność, niechęć, wrogość do obcych to minus. I jeszcze dodaj chciwość i dorzuć bezkarność

jako kryterium wyjątkowe. Wolno zabijać! Zauważ, jak niecierpliwie czekają myśliwi na koniec sezonów ochronnych. Polowanie mamy we krwi.

– Ja nie mam – zarzeka się Ptasidziób.

– Akurat! – Teraz Love śmieje się głośno. – Jeszcze jak masz. Polujesz na niewinne dziewczynki, zwodzisz, uwodzisz, zaciągasz do łóżka. Świństwa robisz żonie ukochanej, a dziewczęta wystawiasz do wiatru.

– Jestem artystą – nadyma się Ptasidziób i wypina klatkę piersiową. – Ty tego nie zrozumiesz.

Edward Love rozumie dużo więcej, niż się wydaje Ptasidziobowi. Tylko siebie nie rozumie i nie zrozumie aż do końca życia. Będzie je próbował zmieniać, naprawiać, walczyć z czasem o przeszłość. Nic z tego, Eddie.

Gdy runą jedenastego września dwie wieże World Trade Center, w mieszkaniu Eda na Manhattanie zadzwoni telefon. Natychmiast rozpozna głos Michele.

– Nie byłeś tam! Całe szczęście, Eddie, bałam się o ciebie. Współczujemy wam tej tragedii. Pozdrawiamy cię serdecznie.

– Pozdrawiacie? – spyta cicho Ed.

– Ja i mój mąż. Take care, Eddie.

Ed zapisze jej londyński adres i telefon, tak na wszelki wypadek, gdyby miał być w Londynie, chętnie zje z nimi lunch.

Po czym pogrąży się w wielomiesięcznej zadumie, będzie miał niespokojne sny, przerzuty z euforii w depresję, z beznadziei w nadzieję. W końcu przyleci do Warszawy, żeby ze mną pomilczeć dobrą godzinę. To milczenie wypełni posapywaniem, stęknięciami, tarciem irchą szkieł okularów. Nie mogę okazać mu zniecierpliwienia, bo wtedy coś się w nim zatrzaśnie. Będę cedził niespiesznie szklaneczkę whisky Jack Daniel's, której litrową butelkę kupił dla mnie na nowojorskim lotnisku. Nie przepadam za whisky, nigdy nie przepadałem. To napój dla tych, którzy nie szukają w oparze nad kieliszkiem pastelowej nutki sublimatu winogron, ale i jarzębina ma swoje uroki. Whisky to zboże. Nawet po dwunastu latach leżakowania. Eddie wie, że nie lubię whisky, że wolę koniak,

najchętniej Hennessy, ale to nie ma dla niego znaczenia. Robiąc ludziom prezenty, profesor Love kieruje się własnym gustem, często kaprysem, niekiedy z podtekstem dowcipu. Reakcja obdarowanych mało go obchodzi.

– Chcę skoczyć do Londynu na weekend – odzywa się w końcu Ed.

– Mhm – przyjmuję do wiadomości.

– Spotkać się z Michele.

– Mhm.

– Niech za mnie wyjdzie. Zgodzę się na wszystko.

– Nie powiedziała ci, że jest mężatką?

– Powiedziała mi kiedyś, że nigdy nie przestanie mnie kochać.

– Powiedziała to komuś innemu. Nie facetowi, który wystawił ją do wiatru.

– Będę ją błagał o przebaczenie. Wynagrodzę jej to. Rozwiedzie się i wyjdzie za mnie. Prawdziwe uczucia nie mijają.

Szaleniec. Ptasi móżdżek. Po tylu latach? Widać, że nigdy nie był kobietą.

Nie odeślę go do lustra, aby popatrzył sobie na sflaczałą szyję, obwisły nos, zafarbowaną siwiznę z prześwitem odrostów. Na brzuszek i na ciastowate blade policzki.

– Daj ci Boże – powiem łagodnie.

Wróci z weekendu w Londynie jeszcze bledszy i jeszcze dłużej będzie przecierał okulary, siedząc naprzeciw mnie w naszym warszawskim mieszkaniu. L. jest u fryzjera, mamy czas dla siebie. Pójdę do kuchni, aby podsmażyć z cebulką śląski krupniok, ulubiony przysmak Eddiego, on pójdzie za mną, będzie patrzył uważnie, jak doprawiam plastry krupnioku imbirem, kolendrą i białym pieprzem.

Do chrupiącego krupnioka wypijemy po kieliszku zimnej wódki.

– Przyszła do restauracji sama – zacznie, patrząc gdzieś w bok. – Tak jak prosiłem. Na pewno była wzruszona. Nie zmieniła się nic a nic.

– O nas nie można tego powiedzieć – wtrącam mimo woli i zaraz żałuję.

Ed nie dosłyszał. Przeżywa. Kręci głową.

– Kim ja jestem? – mamrocze. – Kopią pradziadka? Nonsens, i jeszcze to unoszenie się, ta nieznośna lekkość… Była przejęta, wargi chyba jej drżały, patrzyła na mnie tak jakoś… Zapewniłem ją, że będziemy szczęśliwi ze sobą. Człowiek waha się, błądzi, nie wierzy własnej intuicji. A intuicja to głos przeznaczenia.

Urywa. Odbędzie spacer po pokoju, poobraca w palcach bursztynowy nóż do papieru, przestawi mi na biurku fotografię L. w owalnej szarej ramce, popuka paznokciem w żeliwne kowadełko Kuźnicy Krakowskiej, nagrodę za *Pół cudu*, służącą mi za przycisk do papierów.

Stanie w oknie, zwrócony do mnie plecami. Ma przed sobą widok na bujnozielony skwer i biały pałacyk Ostrogskich, w którym mieści się Towarzystwo Szopenowskie. Alejkami spacerują dziewczyny, popychając przed sobą wózki z maluchami, na ławeczkach w słonku wygrzewają się staruszkowie.

– Odpowiedziała mi, że za późno. Potem przyszedł jej mąż. Smarkacz. Student. Ona go utrzymuje. Zamawiali jak zwariowani. Ich obiad kosztował mnie dwieście dwadzieścia dolarów.

– Z napiwkiem? – spytam.

– Co z napiwkiem?

– Przeznaczenie – zapewniam. – Nie wchodzi się dwa razy do tej samej wanny. Trzeba zmieniać wodę.

Profesor Edward Love podejmie jeszcze kilka prób ułożenia sobie życia, ale skończy się na kanaście. Opanuje tę grę karcianą w stopniu zadowalającym, będzie nawet wygrywał od czasu do czasu, hazardzistą jednak nie zostanie. Hazard trzeba mieć we krwi. Co miał we krwi znawca wampirów, legend, bylin i sag?

Co miał, to miał. Jak się okaże, nic dobrego.

ROZDZIAŁ 51

– Ile zrobisz pompek? – pyta Ptasidziób.

– Co to są pompki? – pyta Ed.

Ptasidziób kładzie się na podłodze, twarzą w dół, pośladki zwarte, nogi wyprostowane, i oparty na dłoniach opuszcza się i podnosi, zginając łokcie. Dwadzieścia pompek. Dwie ostatnie już na siłę, z przydechem.

Wstaje, sapie, zadowolony z siebie.

Ed zdejmuje okulary i kładzie się w tym samym miejscu. Zaczyna pompować. Równomiernie, spokojnie, bez pośpiechu. Ptasidziób wybałusza swoje wyłupiaste oczy: 24, 35, 63, 81… Ed dobija do setki i podnosi się z podłogi.

– Trochę to nudne – mówi.

– Mógłbyś więcej? – nie dowierza Ptasidziób.

– Chyba tak. Dziad i pradziad byli kowalami.

– A ty? Kim jesteś?

– Znowu zaczynasz? – rzuca ponuro Edward Love. – Kim jestem, to jestem. Nie twój interes. Każdy ma prawo do siebie.

– Ja nie mam tajemnic – zapewnia Ptasidziób.

Kłamiesz. Masz. Powiem ci więcej: cały jesteś nafaszerowany tajemnicami. Pozorujesz naiwną otwartość, taką niby szczerość chłopięcą, na którą nabiera się czasem nawet Emil Popiołek, twój poufny przyjaciel. Dlaczego poufny? Ponieważ dla twojego dobra nikt nie powinien wiedzieć, że się spotykasz z funkcjonariuszem, a co dopiero, że się z nim kolegujesz. Byłbyś skreślony w środowisku. Mimo że – śmieje się Emil – co trzeci z was spotyka się z nami dyskretnie; z tą różnicą, że my się przyjaźnimy, a tamci donoszą.

Emil nie wie, że w Paryżu, u Kuby, trzymasz w sejfie kilka tysięcy franków, które ci wypłacono bezprawnie w kanale drugim po emisji *Pół cudu*. W umowie swoje zagraniczne prawa musiałeś scedować na państwo. Jesteś przestępcą dewizowym. Czy funkcjonariusz Popiołek spojrzałby na to przez palce? Albo lewitowanie: jeśli Emil coś o tym wie, to nie od ciebie. Wie oczywiście. W twoim środowisku nie da się ukryć takich rzeczy. Ale o tobie Popiołek rozmawia nie z tobą, takie są procedury. Nie bez powodu służbowego nadał cię konsulowi w Nowym Jorku. Toczy się gra na olbrzymiej szachownicy, jesteś tam zaledwie pionkiem, ale jesteś. Każda informacja – także o ilości WC na Columbii, nie mówiąc już o liście profesorów w informatorze czy o

tym, że twój student Don Lang, który wkrótce leci do Moskwy jako korespondent, raz w tygodniu zwalnia się z zajęć, bo ma jakieś seminarium wojskowe – każda taka informacja ma swoją, czasem nie byle jaką, cenę. Nie domyślasz się tego? Myślisz, że Zygmunt cię lubi i dlatego możesz kupować trunki w sklepiku dyplomatycznym? Jeśli tak myślisz, i tak w przyszłości nikt w to nie uwierzy. On cię zresztą naprawdę lubi. Tak jak Emil Popiołek. Ten z leciutką nutką zawodu, ponieważ nie jesteś blisko z nikim, kto go służbowo interesuje.

Dlaczego nie jesteś?

No właśnie. Kwestia układów towarzyskich. Z kim przestajesz, takim się stajesz, i odwrotnie. Decydują szkolne przyjaźnie, rodzinne powiązania, przypadkowe sąsiedztwo, wspólni znajomi, jakaś wycieczka, wakacje, brydż. Ton układowi nadaje silna osobowość, niekiedy charyzmatyczna, która tworzy klimat i angażuje, wciąga innych. Zaraża przekonaniami, narzuca styl.

Miałeś pecha, Ptasidziób. Gdybyś jasnowidział, zakolegowałbyś się z pechowcami, popierał nieudaczników. Według jednych pech nieudacznika to tajemna siła wyższa. Według innych skutek manipulacji władz, które rzucają mu pod nogi śliskie skórki banana. Tak czy owak, wielu pechowców zostanie kiedyś prezydentami, ministrami, zasiądzie w parlamencie, obejmie wpływowe posady. Nie będą cię lubić, bo nie kradłeś z nimi koni. Koniokradów było co kot napłakał, namnażać się zaczną później, gdy będą za to nagrody, ale ciebie w to nie włączą. Niespodzianka! Ktoś zostawi ci pasztet, którym się udławisz.

– Kogo masz na myśli? – zapytałby Ptasidziób. – Przecież nie Emila?

Nie odpowiem. Na wszystko swoja kolej. Życzliwości Emila Popiołka nie da się zakwestionować. Obronił Agnieszkę zamieszaną w jakiś strajk szkolny i rozdawanie antypaństwowych ulotek – inni oberwali zdrowo, jej pogrożono tylko palcem. Pomógł Annie, gdy podpadła, poręczając za kogoś, kto zawiódł. Kajce załatwił talon na rower. Ciebie wiosną ’68 roku nie spotkały represje pomimo niesłusznego życiorysu, podejrzanie ptasiej genealogii i paru epizodów, za które innym wciskano wilcze bilety. Przypadek?

Przeoczenie? Nie żartujmy – masz za co być wdzięczny Popiołkowi. Z polowania na ptasiowatych – a zarzucano im coś na kształt dwóch ojczyzn, ponieważ część ptactwa, jak wiadomo, migruje ze wschodu na zachód i na południe z północy, więc której krainie są wierni, wobec jakiej lojalni? – uczyniono proceder oczyszczenia, przy okazji sycąc naturalną do nich niechęć i pozyskując przestrzeń zwalnianą przez wypędzanych. Nie ucinano głów, by pograć nimi w piłkę. Żadnego okrucieństwa. Czasem życzliwa perswazja, niekiedy nacisk, społeczna dintojra, przed którą nie sposób było się obronić, bo jak dowiedziesz, że bliżej ci do sokoła czy sowy niż do sępa? Emil Popiołek sprawił, że dano ci spokój. On sam nic nie miał do ptaków, choć wolał ryby, a ciebie zapewnił, że to element wojny na górze, która wkrótce się skończy, a w nim, Emilu, budzi niesmak.

– Jak to pogodzić z naszą ideologią? – spytałeś. – Z internacjonalizmem?

– No właśnie – odparł ponuro. – A mnie rzuciła żona.

Byłeś jedyny, któremu to wyznał. Formalnie mieszkali ze sobą, Iza też pracowała w resorcie, była sekretarką dyrektora departamentu. W ich Firmie takie rzeczy są źle widziane. Jakie? Niemoralne. Kapitalizm wciska komunizmowi wspólnotę żon, a komunizm ma mentalność jeszcze bardziej na prawo niż kościół. Żadne zdrady, rozwody. I oto Emil nakrył Izę z dyrektorem departamentu, jej szefem, oczywiście żonatym, dzieciatym. Ból jak nóż między żebra…

– Co zrobiłeś?

– Najpierw chciałem ich zastrzelić. Potem siebie. Jeszcze później byłem gotów jej wybaczyć, ponieważ wtedy dopiero pojąłem, jak bardzo ją kocham. A ona… Masz pojęcie?

– Zerwała z tobą.

– Masz pojęcie?!

– Chyba przestała cię szanować – powiedziałeś. – Prawdziwy mężczyzna nie wybacza zdrad.

Spojrzał na ciebie tak jakoś dziwnie. Zmienił temat. Podobno w wytwórni przechowuje się w ukryciu taśmy z milicyjną akcją przeciwko nielegalnie wiecującym studentom na UW. Akcję wspierał aktyw robotniczy, Wójcik z bliska filmował twarze hutników…

– Jakich hutników? – wtrąciłeś. – To byli tajniacy, specjalnie szkoleni do rozpędzania wieców.

– Wójcika też sfilmowano.

– Żaden Wójcik – zaśmiałeś się – pomylono go z Zacharym, ich często mylą.

– Oglądałeś materiał? To nie był wiec polityczny, tylko chuligaństwo, tłuczono szyby, wywracano auta, grabiono.

– Oglądałem materiał. Żadnego chuligaństwa.

– Nie jest trudno manipulować kamerą. My wiemy lepiej.

Kiedy nazajutrz Jonasza Zacharego zatrzymano do wyjaśnienia, przyjąłeś, że resortowi specjaliści dopatrzyli się jednak różnic między nim a Wójcikiem. Wójcik jest niższy i ma dłuższe włosy. Nie przyszło ci do głowy, że Jonasz Zachary tobie zawdzięcza aresztowanie. Że Emil cię podpuścił, a ty dałeś się wmanewrować w zagrywkę z Wójcikiem i wypaplałeś nazwisko autora dokumentu.

Nie oburzaj się. Mogło tak być.

Gdybyś zapytał, czy Emil Popiołek tylko realizował resortowy scenariusz zakładający przyjaźń z tobą, nie umiałbym ci odpowiedzieć. Aparatczycy partyjni, selekcjonowani na kolejnych szczeblach kariery głównie testami na oddanie i lojalność wobec swoich szefów, byli amatorami. Resort rekrutował spośród nich kandydatów na funkcjonariuszy, testując ich głębiej. Badano inteligencję, dyspozycyjność, sztukę wpisywania polityki Firmy we własne zapatrywania. Ta ostatnia umiejętność, a ściślej cecha charakteru, była najważniejsza.

Co nie znaczy, mój Ptasidziobie, że Emil Popiołek cię nie lubił, nie uważał za przyjaciela, nie wspomagał, gdy wpadałeś w kłopoty. Miewał za co bywać ci wdzięczny, choć tego akurat nie wiedziałeś. Szybko awansował. Jego żona nie nazywała się Iza i nie była niczyją sekretarką, tylko co to ma do rzeczy? Mieszkanie Emila, do którego parę razy cię zaprosił na kielicha, nie musiało być jego mieszkaniem. Mogło, powiedzmy, należeć do pracownika resortu, który wyjechał na placówkę dyplomatyczną lub jako zagraniczny korespondent. Swoje lokum zostawiał do dyspozycji Firmy. Zauważyłeś, że w mieszkaniu Popiołka nie było rodzinnych fotografii, jakichś drobiazgów, bibelotów, kapci obok tapczanu, wgniecionej poduszki?

Może tak właśnie mieszkał. Przy niczym nie będę się upierać. Nie wiem nawet, czy zechcę ci opowiedzieć, w jakich okolicznościach Emil Popiołek rozstał się z życiem.

Na jego pogrzeb nie poszedłem.

ROZDZIAŁ 52

Ed Love nie chce rozmawiać o tajemnicach. Ubawiłeś go. Śmieje się na głos z wiadomych tylko sobie powodów i zaprasza cię na chińszczyznę do restauracji Moon Palace, której dziś już nie ma, ale wtedy była jedną z lepszych na Broadwayu między Sto Trzecią i Sto Trzynastą Ulicą.

Nie wahaj się, Ptasidziobie, Ilana dziś nie przyjdzie, zapewniłem cię o tym, a gdyby nawet, to ma klucze. Jeszcze ich nie odebrałeś, jeszcze nie było pożegnalnej kolacji.

I bardzo dobrze, myśli ponuro Ptasidziób, wróci, nie zastanie mnie, ale się zdziwi! Żadnych pretensji, scen, po prostu nikogo w domu. Ani kartki, gdzie jestem, kiedy będę.

Idziemy do Moon Palace. Edek między nami, nucąc krakowiaka. Co czwarty krok Ptasidziób i ja lekko podskakujemy, Ed robi to samo, na parę sekund nieruchomiejemy w powietrzu, czego nikt z przechodniów zapewne nie zauważa, ponieważ zastygamy centymetr nad ziemią.

Powinno cuchnąć spalinami, bo auta sznurem – modne mustangi, corvetty, snobistyczne mercedesy, dostojne cadillaki, zardzewiałe gruchoty biedaków – ale nie cuchnie, tylko pachnie słonawą bryzą od oceanu i chyba cynamonem, bazylią. Może gdzieś w pobliżu wpadł na rafę frachtowiec z korzennymi przyprawami?

W Moon Palace Eddie Love powtarza swój stary numer: każe skośnookiej kelnerce przywołać właściciela restauracji. Po chwili zjawia się siwy Chińczyk z rzadką bródką, w okularach, i serdecznie ściska dłoń Edka – znają się od lat.

– Oto mój zaginiony tatuś – Ed Love wskazuje na Ptasidzioba. – Odnalazł mnie i przyleciał tu z Polski. Poland, wiesz, gdzie to jest?

Gdzieś między Niemcami a Rosją.

– Tak, tak! – cieszy się Chińczyk po raz nie wiadomo który. – Poland, of course! Gratuluję panu odnalezienia ojca!

Ptasidziób jest dwa lata starszy od Eda i widać to wyraźnie. Złości go ten dowcip, powtarzany w kółko. Parę razy próbował odbić piłeczkę:

– Sorry, przejęzyczenie. To on jest moim tatusiem. I nie Poland, a Holland.

Ale stary Chińczyk nie reagował, ponieważ profesor Love był jego stałym klientem.

Ed zamawia sajgonki, moo chou porc i parę innych przysmaków. Moo chou porc to pokrojony w paski schab uduszony w siedmiu jarzynach z dodatkiem jajek, imbiru, czosnku, sosu sojowego i czegoś jeszcze. Pyszota. Uraczyłbym L. tym daniem niepowtarzalnym, koronnym specjałem Moon Palace, ale nie ma tej restauracji na Broadwayu ani nigdzie indziej, a u innych Chińczyków moo chou porc jest tylko schabem w jarzynach. „Coś jeszcze" to sedno sprawy, istota rzeczy, sekret sakralny kucharza. Jak tajemnica coca-coli, której nikomu nie udało się podrobić.

Może Moon Palace przeniesiono na księżyc? Może odkupił go książę Nadir Pahlawi i zlikwidował na złość Ptasidziobowi? W lokalu, gdzie mieściła się ta restauracja, sprzedają teraz perskie dywany. West Endu też nie ma. Jest pizzeria. Studenci Columbii chętnie jadają pizzę.

Do Chińczyka wchodzi wysoki, mocno zbudowany mężczyzna z wygoloną czaszką i sympatycznym uśmiechem. Siada przy sąsiednim stoliku i jest to Koral.

Ptasidziób przedstawia go Edkowi Love.

Koral przyjechał procesować się z firmą lotniczą, która sprzedała mu samolocik z tandetną rurką podciśnienia. Cudem nie zginął.

Cuda Korala już nie dziwią, ponieważ nie inaczej uciekł spod łopaty, gdy nabawił się limfomy, inaczej raka krwi zwanego chłoniakiem. Tym razem uciekł z nieba, gdy zamilkł nagle silnik i stało się cicho. Dla pilota nagła cisza w powietrzu to wyrok śmierci.

Na szczęście silnik zgasł wkrótce po starcie z lotniska sportowego w Pattaya. Samolot był dopiero na wysokości średniego wieżowca.

To jednak wystarczy, żeby się zabić. Koral lata bez spadochronu. Może wrodzona oszczędność, może tak po prostu. Personel naziemny lotniska usłyszał ciszę i wstrzymał oddech. Czekano na wrak i trupa.

Koral nie zdążył poczuć strachu. Zablokowała go instrukcja awaryjna, którą zaczął wypełniać z chirurgiczną precyzją. Kolejnym cudem złapał wiatr w skrzydła i w miarę łagodnie poszybował w dół, aż w miarę łagodnie zderzył się z murawą. Przekoziołkował. Nic mu się nie stało. Awionetce też prawie nic.

Dopiero na ziemi Koral doznał przerażenia. Chyba nigdy w życiu tak się nie trząsł.

– Koniec z lataniem? – pytamy.

– Dlaczego koniec z lataniem? – nie rozumie Koral.

Edek Love patrzy na niego podejrzliwie. Już wie, że Koral jest bogaty, w sejfie bankowym trzyma osiem kilo czystego złota, które pracuje w tym sejfie, ciągle drożejąc, że prócz samolotu ma jacht i harleya-davidsona, mieszka w wiktoriańskiej rezydencji na brzegu ciepłego morza i używa egzotycznych panienek cztery razy w tygodniu, wzmacniając się kęsem viagry – jedna tabletka starcza mu na tydzień. Ed Love czuje sympatię do Korala, czego z pewnością by nie czuł, gdyby Koral był kolorowy albo biedny, tym bardziej więc nie rozumie jego luzu i ryzykanctwa. Ed brzydzi się ubóstwem, nie lubi czarnych i boi się ekstrawagancji. Stać go na to. Nim dostał się na Columbię, obronił doktorat i został profesorem w prestiżowym Queens College, tyrał w pralni, której właściciel, Chińczyk, skośnooki i zezowaty do tego, płacił mu nędzne grosze za dwunastogodzinny dzień pracy. Sierżant, jego dowódca w Korei, który pomiatał Eddiem i poniżał go na oczach plutonu za niezdarność, był pełnokrwistym Murzynem. Zmuszał szeregowca Love'a do noszenia w butach ołowianych wkładek, żeby nie był za lekki.

Koral wyjmuje z kieszeni zamszowe etui, a z niego kilkucentymetrową elastyczną rurkę z przezroczystego plastiku i nam pokazuje.

– Przez to o mało się nie zabiłem – informuje i wygina rurkę, a wtedy ukazuje się w niej niewielkie pęknięcie.

Przez rurkę, jeżeli dobrze rozumiemy, odsysane jest powietrze i zasysane paliwo do silnika. Pęknięcie sprawiło, że nie powstało podciśnienie i silnik zgasł.

Rurki są dwojakiego rodzaju. Za dwa dolary i za dolara. Koral kupił tańszą wersję, ale też z gwarancją. Podobnie jak Edek, Koral nie lubi przepłacać.

A kto lubi?

Podobieństw jest więcej. Gdybyś, Ptasidziobie, znał Korala tak jak ja zdołałem go poznać, odnotowałbyś, że obaj są samotnikami i obaj nie umieją się obejść bez wolności. Ale wolność wolności nierówna, tak jak samotność samotności.

Koral, ryzykant, dwa razy się żenił, nim odkrył, że to nie dla niego.

Edward Love nie ożeni się nigdy, choć będzie tego pragnął. Strach okaże się silniejszy.

Koral to hazardzista i szczęściarz, ponieważ hazardziści w końcu przegrywają, a on nie. Lubi pęd i nie lubi pracować, co jest marnotrawstwem w przypadku świetnego chirurga. Mimo to jego fortuna pęcznieje. Złoto idzie i będzie szło w górę, zwalniając w coraz krótszych przerwach między kryzysami. W górę idzie też męskość Korala, pobudzana viagrą i rozmaitością sprawnych panienek.

O męskości Edka wiesz mało. Czy przypadkiem nie przeważa w nim kobiecość? Przypadki chodzą po ludziach. W tej kwestii Ed Love sam nie wie za dużo o sobie albo nie chce wiedzieć, albo nie chce się przyznać przed samym sobą, że coś wie. Niepokój osamotnienia tłumi pracą. Wampirologia, obszar dotąd nieprzebadany, zmyślony lub nie, dla wielu śmieszny. Studenci tłumnie walą na seminaria profesora Love. Przedtem walili tłumnie na jego seminaria o dandysie, od Petroniusza i Casanovy po Don Juana i Rudolfa Valentino. Mity, legendy, byliny, baśnie – zabawna i straszna nierzeczywistość. Czy ktoś wie i ma na to dowody, że nierzeczywistość nie jest rzeczywistością, a na odwrót? Że sny nie są naprawdę, a jawa nie jest przywidzeniem? Dla prostaka wszystko jest proste. Mędrcy głowią się nad tym od wieków i nie mogą się nagłowić.

Queens College to ostoja, matecznik Eddiego. Tam czuje się bezpieczny. Gdy uzyska tenure, czyli gwarancję etatowego dożywocia na uczelni, rzadko przyznawaną wykładowcom, będzie już całkiem spokojny. Dramatyczne zakończenie narzeczeństwa z Michele umocni w nim poczucie bezpieczeństwa. A że nie ma wolności bez samotności i odwrotnie, przyjaciel Ptasidzioba będzie czuć się dobrze. Wszystko pod kontrolą. Na śniadanie melon z twarożkiem i sok pomarańczowy, na obiad gotowana ryba, na kolację coś lekkostrawnego i szklanka siemienia lnianego. Rano dwadzieścia minut gimnastyki. Po południu, przy sprzyjającej pogodzie, przechadzka nad Hudson River. Od czasu do czasu dziewczyna, intymna kolacja ze śniadaniem.

Koral też dba o zdrową dietę i gimnastykuje się rankiem przez dwadzieścia minut. Obaj nie przepadają za alkoholem, żaden nie pali. Tyle że Koral nie lewituje.

Dlaczego ten i ten zapadli na identycznego raka?

Koral chłoniaka pokonał.

– Taka malutka dziureczka może człowieka zabić. – Koral bawi się przezroczystą rurką, potem chowa ją do etui. – Nie wiem, jak wylądowałem.

– Nie straciłeś głowy – diagnozujemy.

– Nie było kiedy.

Koral z pękniętą rurką, protokołem i zeznaniami świadków wybiera się do producenta. Oczekuje wysokiego odszkodowania. Jeśli oczekiwania się sprawdzą, kupi sobie awionetkę z prawdziwego zdarzenia, może Cessnę 152 albo nawet Pipera PA-34 Seneca.

– To wariat – mówi Ed po tym, jak Koral pożegna się z nami i zniknie w czasoprzestrzeni. – Jeszcze chce mu się latać?

– Ty też masz nie po kolei, Edku. Jesteś wariat kontrolowany.

Bo my, naznaczeni ptaszeństwem, musimy się kontrolować. Inaczej już by nas nie było, tak jak Sumerów, Rzymian czy dawnych Greków.

ROZDZIAŁ 53

Teraz, kiedy u niego jestem, a L. niecierpliwie czeka na mnie w podniebnym apartamencie Edwarda Love, Ptasidziób wciąż wypatruje Ilany. Słucha kroków w holu, czy nie zbliżają się do jego drzwi. Chyba ma dość mojej wizyty. Najwyraźniej nudzą go moje proroctwa, irytuje rozpamiętywanie. Wygląda na to, że nie jest mnie ciekaw. A powinien. Może by zmądrzał? Zrozumiał coś istotnego?

Chyba mnie denerwuje jego chłód, jakbym mimo wszystko oczekiwał, że wywołanie w nim refleksji potrafi coś zmienić. Nie lubię u siebie paru cech, które mocno się rozwinęły, a nie musiałyby, gdybym dogadał się z Ptasidziobem. Pierwszy w życiu papieros jest obrzydliwy, ale już po roku trudno się wyrzec palenia. Kłamstwa powtarzane jak mantra stopniowo stają się prawdami, narzucone sobie zachowania wchodzą w krew, a umowna rzeczywistość odbita w krzywym zwierciadle z biegiem czasu traci umowność.

Ptasidziób nie ukrywa swojej inności. Można by tylko rzec, że się z nią nie obnosi. Gdyby go zapytano o ptasi rodowód, z pewnością by się nie wyparł, lecz wyższa szkoła jazdy to nie dopuścić do podejrzeń. Komu przyjdzie do głowy o to zapytać?

I tutaj się myli, na własne życzenie zresztą.

Niemieccy żołnierze byli za mało subtelni, by rozpoznawać Żydów, na których polowali za okupacji. Potrzebowali do tego znawców przedmiotu, rekrutujących się spośród tubylczej ludności. Ci mieli oko na szmalec. Za wiadro szmalcu mogli oko przymknąć. W przeciwnym razie wskazywali Żyda Niemcom i dostawali pięć kilo cukru od sztuki.

Pewien świetny pisarz, Rosjanin, niegdyś białogwardzista, nieśmiały i zamknięty w sobie, po obejrzeniu *Pół cudu* wzruszył się i opowiedział Ptasidziobowi swoją historię. Był ożeniony z Żydówką, dzieci nie mieli, mieszkali w Łodzi, kiedy wybuchła wojna. Nie puścił żony do getta. Przenieśli się do Warszawy. Tu pisarz przysposobił szafę, aby móc w niej ukrywać żonę, tak na wszelki wypadek, choć rysów nie miała semickich. Któregoś dnia odwiedzili go dwaj znajomi literaci. Napili się kawy zbożowej i zapytali o małżonkę, a

usłyszawszy, że jest w łódzkim getcie, uśmiechnęli się znacząco i wskazali na szafę. Skąd wiedzieli? Nieistotne. Dali koledze kilka godzin na zebranie dość pokaźnej sumy. Powiedzieli, że zaczekają u niego. Nieszczęśnik wybiegł na miasto i po złożeniu wizyt kilkunastu bliższym i dalszym znajomym – płakał, żebrał, przysięgał, że kiedyś odda – wrócił z pieniędzmi. Literaci podziękowali i odeszli.

– Oni żyją? – zapyta Ptasidziób.

– Piszą dobre książki – odpowie pisarz. – Są szanowani, spotykam ich w kawiarni literackiej.

– Nie był pan w prokuraturze?

– Okazali się przyzwoici. Nie przyszli więcej i nie wydali nas. Moja żona przeżyła.

O D E Z W A

„…W getcie warszawskim, za murem odcinającym od świata, czeka na śmierć kilkaset tysięcy skazańców. Nie istnieje dla nich nadzieja ratunku, nie nadchodzi znikąd pomoc. Ulicami przebiegają oprawcy, strzelając do każdego, kto się ośmieli wyjść z domu. Strzelają podobnie do każdego, kto stanie w oknie. Na jezdni walają się niepogrzebane trupy.

Dzienna przepisowa ilość ofiar wynosi 8–10 tysięcy. Policjanci żydowscy obowiązani są dostarczyć ich do rąk katów niemieckich. Jeśli tego nie uczynią, zginą sami. Dzieci niemogące iść o własnych siłach są ładowane na wozy. Ładowanie odbywa się w sposób tak brutalny, że mało które dojeżdża do rampy. Matki patrzące na to dostają obłędu. Ilość obłąkanych z rozpaczy i grozy równa się ilości zastrzelonych.

Na rampie czekają wagony kolejowe. Kaci upychają w nich skazańców po 150 w jednym. Na podłodze leży gruba warstwa wapna i chloru polana wodą. Drzwi wagonu zostają zaplombowane. Czasem pociąg rusza zaraz po załadowaniu, czasem stoi na bocznym torze dobę, dwie… To nie ma już dla nikogo żadnego znaczenia. Z ludzi stłoczonych tak ciasno, że umarli nie mogą upaść i stoją nadal ramię w ramię z żyjącymi, z ludzi konających z wolna w oparach

wapna i chloru, pozbawionych powietrza, kropli wody, pożywienia – i tak nikt nie pozostanie przy życiu. Gdziekolwiek, kiedykolwiek dojadą śmiertelne pociągi – zawierać będą tylko trupy…

Wobec tej męki wyzwoleniem stałby się rychły zgon. Oprawcy to przewidzieli. Wszystkie apteki na terenie getta zostały zamknięte, by nie dostarczyły trucizny. Broni nie ma. Jedyne, co pozostaje, to rzucanie się z okien na bruk. To też bardzo wielu skazańców wymyka się katom w ten sposób.

To samo, co w getcie warszawskim, odbywa się od pół roku w stu mniejszych i większych miasteczkach i miastach polskich. Ogólna liczba zabitych przenosi już milion, a cyfra ta powiększa się z każdym dniem. Giną wszyscy. Bogacze i ubodzy, starce, kobiety, mężczyźni, młodzież, niemowlęta, katolicy umierający z Imieniem Jezusa i Maryi, równie jak starozakonni. Wszyscy zawinili tym, że się urodzili w narodzie żydowskim, skazanym na zagładę przez Hitlera.

Świat patrzy na tę zbrodnię, straszliwszą niż wszystko, co widziały dzieje – i milczy. Rzeź milionów bezbronnych ludzi dokonywa się wśród powszechnego, złowrogiego milczenia. Milczą kaci, nie chełpią się tym, co czynią. Nie zabierają głosu Anglia ani Ameryka, milczy nawet wpływowe międzynarodowe żydostwo, tak dawniej przeczulone na każdą krzywdę swoich. Milczą i Polacy. Polscy polityczni przyjaciele Żydów ograniczają się do notatek dziennikarskich, polscy przeciwnicy Żydów objawiają brak zainteresowania dla sprawy im obcej. Ginący Żydzi otoczeni są przez samych umywających ręce Piłatów. Tego milczenia dłużej tolerować nie można. Jakiekolwiek są jego pobudki – jest ono nikczemne. Kto milczy w obliczu mordu – staje się wspólnikiem mordercy. Kto nie potępia – ten przyzwala.

Zabieramy przeto głos my, katolicy-Polacy. Uczucia nasze względem Żydów nie uległy zmianie. Nie przestajemy ich uważać za politycznych, gospodarczych i ideowych wrogów Polski. Co więcej, zdajemy sobie sprawę z tego, że nienawidzą nas oni więcej niż Niemców, że czynią nas odpowiedzialnymi za swoje nieszczęście. Dlaczego, na jakiej podstawie, to pozostaje tajemnica duszy żydowskiej, niemniej jest faktem nieustannie potwierdzanym.

Świadomość tych uczuć jednak nie zwalnia nas z obowiązku potępienia zbrodni.

Nie chcemy być Piłatami. Nie mamy możności czynnie przeciwdziałać morderstwom niemieckim, nie możemy nic poradzić, nikogo uratować, lecz protestujemy z głębi serc przejętych litością, oburzeniem i grozą. Protestu tego domaga się od nas Bóg, Bóg, który nie pozwolił zabijać. Domaga się sumienie chrześcijańskie. Każda istota, zwąca się człowiekiem, ma prawo do miłości bliźniego. Krew bezbronnych woła o pomstę do nieba. Kto z nami tego protestu nie popiera – nie jest katolikiem.

Protestujemy równocześnie jako Polacy. Nie wierzymy, by Polska odnieść mogła korzyść z okrucieństw niemieckich. Przeciwnie. W upartym milczeniu międzynarodowego żydostwa, w zabiegach propagandy niemieckiej usiłującej już teraz zrzucić odium za rzeź Żydów na Litwinów i… Polaków, wyczuwamy planowanie wrogiej dla nas akcji. Wiemy również, jak trujący bywa posiew zbrodni. Przymusowe uczestnictwo narodu polskiego w krwawym widowisku spełniającym się na ziemiach polskich może snadnie wyhodować zobojętnienie na krzywdę, sadyzm i ponad wszystko groźne przekonanie, że wolno mordować bliźnich bezkarnie.

Kto tego nie rozumie, kto dumną, wolną przyszłość Polski śmiałby łączyć z nikczemną radością z nieszczęścia bliźniego – nie jest przeto ani katolikiem, ani Polakiem”.

Tę odezwę do rodaków ogłosiła w 1942 roku znana polska pisarka i autorytet moralny Zofia Kossak-Szczucka.

Ptasidziób jeszcze nie wie, że o nim wiedzą. A przecież ktoś zwrócił uwagę na jego nos krogulczy, ktoś inny na zarys ust, na oczy ptasio wyłupiaste, na lewitowanie. Ktoś powtórzył komuś. Komusie i ktosie to paple, szept rozchodzi się jak fala wybuchu. Ostatecznie wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą.

Kuba walił w mordę za ptaka. Ponieważ był silny i umiał się bić, po lekcjach zabawiało się z nim po kilku naraz. Ptasidzioba nie zaczepiano. Kuba wygarnął mu kiedyś, że ma wrodzony dar lawirowania, jest urodzonym konformistą. Ptasidziób jeszcze nie znał tego słowa, w przeciwieństwie do Kuby nie był erudytą. Lubił być

lubiany i patrzeć przez palce na to, co nie powinno było mu się podobać. Całkiem porządni, mądrzy, a nawet szlachetni ludzie, w tym również miłośnicy psów czy kotów, ptactwa nie cierpią: gołębie im paskudzą, sroki kradną, sępy żrą padlinę. Bywa, że nie znoszą sępów, choć ich na oczy nie widzieli, ponadto przecież nie każdy ptak to sęp. I co z tego?

– Wolny człowiek w wolnym kraju ma prawo lubić albo nie lubić bez potrzeby uzasadniania – rzuca mi w twarz Ptasidziób.

Jesteśmy w Warszawie. Stoimy przed kinem Atlantic na ulicy Rutkowskiego, niegdyś Chmielnej, teraz Chmielnej na nowo. W domu naprzeciw, oblicowanym buraczkowym klinkierem, na szóstym piętrze mieszka Ptasidziób z córkami i Anną. Mocno świeci słońce, choć to dopiero marzec, dzień jest ciepły, niebo niebieskie. Jeszcze nie więdną w wazonach na parapetach okien czerwone i białe goździki, które wręczano paniom na Dzień Kobiet.

– Pamiętasz? – pytam.

Wtulony w bramę Akademii Sztuk Pięknych, miał przed sobą ażurowe wrota Uniwersytetu Warszawskiego, za którymi kłębił się tłum białych studenckich czapek, rozgorączkowany, bujny, skandujący donośnie słowa zlewające się w burzowy pogłos. Chyba żądano wolności i czegoś jeszcze, mówcom przerywano oklaskami. Ptasidziób był już po studiach, ale to by nie przeszkadzało w dołączeniu do wiecujących. Bardzo tego chciał. Znał jednak życie już na tyle, by wiedzieć, że udział w tym wiecu to koniec z filmem.

Miał przy sobie filmową kamerę, amatorską ósemkę, rzadko się z nią rozstawał, jak plastyk ze szkicownikiem czy reporter z notesem. Nosił ją w torbie. Nakręcił wiec z oddalenia, a potem zielone autokary, z których zaczęli wysypywać się mężczyźni w jednakowych szarych kurtkach i nasuniętych na czoła kaszkietach. Każdy trzymał w ręku grubą drewnianą pałkę.

Ktoś z boku powiedział, że to aktyw robotniczy z Żerania. Ktoś inny zaśmiał się drwiąco.

Mężczyzn z pałkami otaczał ochronnym półkolem kordon milicjantów.

Ptasidziób, nie przestając filmować, wtrącił na głos, że uniwersytet jest eksterytorialny i nic się stać nie może, a kamera jakby na

przekór zarejestrowała po chwili wtargnięcie mężczyzn przez ażurowe wrota na dziedziniec uczelni. Zaatakowali studentów zwartą, profesjonalnie wyszkoloną tyralierą. W ruch poszły pały. Bito fachowo, skutecznie. Milicyjny kordon pozostał na zewnątrz. Co pewien czas mężczyźni wywlekali za bramę dziewczynę lub chłopca i tych przejmowali milicjanci, skuwając kajdankami i pakując do milicyjnej „suki". Niektórych bili. Ptasidziób zdążył nakręcić, jak dwóch milicjantów kopie leżącą na chodniku studentkę, potem usłyszał: „Odebrać mu kamerę!", i rzucił się do ucieczki. Goniono go. Nie złapano. Zdążył skryć się w podwórkowych czeluściach ulicy Oboźnej, schować w jakiejś komórce, potem zbiec po skarpie w kierunku Wisły.

Amatorska kamera przeszła samą siebie. Sekwencje – wiec na zamkniętym uczelnianym dziedzińcu, najazd „aktywu" pod osłoną milicji, wtargnięcie i bicie studentów, wyciąganie za bramę, kopanie leżącej dziewczyny – to był gotowy dokument. Czuły mikrofon wychwycił część wiecowych haseł „Precz z cenzurą!", „Dość represji!", „Uwolnić…" oraz czyjś rozkaz do szturmu uniwersyteckiej bramy.

Ptasidziób poszedł z taśmą do Mistrza.

Mistrz, klasyk dokumentu, znany w całej środkowo-wschodniej Europie, wiekowy już, lecz umysłowo sprawny, niegdyś gwiazda pierwszej wielkości, miał reputację artysty uczciwego i szlachetnego człowieka. Nie należał do fanatyków, umiał mądrze iść na ustępstwa i dzięki temu osiągał więcej niż niezłomni. Bywał skuteczny ze swoim darem przekonywania i politycznym instynktem, który podpowiadał, jak daleko można się posunąć. Szanowano go również na Zachodzie. To on przekonał władze do zgody na emisję *Pół cudu*, załatwił stypendium i wziął Ptasidzioba pod swoje skrzydła. Był nieprzejednanym konformistą. Wytłumaczył podopiecznemu, że sztuka osiągania celu to nie bezkompromisowość, która poniża oponentów i stawia ich pod ścianą. Cel osiąga się, okazując silniejszemu szacunek. „Najpierw przemyślenia, z uwzględnieniem wariantu optymalnego. Co to takiego wariant optymalny? Ano, mój drogi, każdy chce żyć i każdy ma swojego szefa. Gdzieś najwyżej zakreślone są granice dopuszczalności. Tych granic jest kilka.

Przekroczenie ostatniej, tej ostatecznej, znaczyć może totalną rozpierduchę". Mistrz lubił czasami wyrażać się dosadnie. „O wszystkim, mój drogi, decyduje właściwa ocena uprawnień oponenta. Jeżeli trafisz, stawiasz najpierw wymogi nie do przyjęcia, a potem z oporami wycofujesz się, idziesz na kolejne ustępstwa, aż do punktu krytycznego. Tu dajesz odczuć oponentowi, że wygrał z tobą. On tego potrzebuje, żeby okazać ci łaskę. Podajecie sobie ręce. Wygrałeś".

– A nie można bez gry? – zapytał Ptasidziób, na co Mistrz znacząco odrzucił do tyłu swoją bujną, gołębiobiałą czuprynę.

– Pożyj dłużej, a zrozumiesz, że bez gry niczego się nie wygrywa. Człowiek to urodzony pokerzysta, nawet ten, kto nie znosi hazardu. Kto nie riskujet, nie pjot szampanskowo, jak mawiają nasi przyjaciele, towarzysze radzieccy. Oni też mają swoje granice przetrwania, dalej to już nie hazard, a kataklizm. Lęk przed kataklizmem trzyma świat w ryzach.

ROZDZIAŁ 54

Obejrzeli razem materiał w zamkniętej salce, tylko we dwóch. Gdy ekran zgasł, Mistrz zapadł w milczenie, z półprzymkniętymi powiekami.

– Masz w ręku bombę – powiedział do Ptasidzioba po długiej pauzie. – W oficjalnej wersji prowodyrzy wyprowadzili studentów na ulicę, wzywając do podpalania rządowych gmachów. Prowodyrów już wytypowano, żaden nie ma czystej rasowo kartoteki. Dwie ojczyzny, piąta kolumna, latorośle byłych dygnitarzy, którzy odeszli w niesławie, a dziatwa szuka odwetu. Ludzie takich nie lubią.

– Po co to? – zapytał Ptasidziób, czując dziwny niepokój.

– Dobre pytanie – pochwalił Mistrz.

– Ale po co?

– Na rynku brakuje mięsa. W kolejce do gabinetów władzy stoją nowi, młodsi, i nie chcą czekać. Potrzebni są winni niedotrzymanych

obietnic, niespełnionych nadziei. Należy ich wskazać i przyzwolić na lincz. To naturalna kolej rzeczy.

– Dlaczego nie w Ameryce? Nie we Francji, w Szwecji?

– To są zamożne kraje – odparł Mistrz. – My też będziemy kiedyś zamożni, niech nam tylko w tym nie przeszkadzają. A ty, mój drogi, rób swoje i nie lękaj się, ciebie to wszystko nie dotyczy.

– Nie rozumiem… – wymamrotał Ptasidziób.

– Jesteś artystą, masz talent. Nie pozwolę cię skrzywdzić.

I nie pozwolił. Mistrz miewał czasami odwagę przeciwstawiać się władzy, nawet z narażeniem własnej pozycji, co dowodziło konformizmu konstruktywnego i bywało cenione przez decydentów mądrych, ponieważ dodawało ich człowiekowi wiarygodności po stronie przeciwnej. Wybronił także jednego z prowodyrów, studenta historii, którego wypuszczono z aresztu i nie wyrzucono z uczelni. Prowodyr obraził się na Mistrza, miał mu to za złe, albowiem dla swoich przyjaciół stał się podejrzany. Może o to właśnie chodziło decydentom mądrym?

Ptasidziób nosi w sobie wiele podobnych pytań i szuka na nie odpowiedzi. Nie staje się jednak przeciwnikiem idei, a Mistrz to pochwala. Sam Mistrz w młodości za tę ideę przesiedział w więzieniu dobrych parę lat. Potem, za domniemaną zdradę owej idei oraz agenturalność, cudem nie został rozstrzelany przez trojkę NKWD. Trafił na Sybir. Tam przeżył lodowate głodowe piekło. Ci, co je przeżyli, paradoksalnie okazują się najwierniejsi. Jak uczniowie Chrystusa. Jedni ślepo, inni świadomie. Mistrz należy do tych drugich. Wie, że świat trzeba poprawić, drążyć pancerz opornej materii, także, a może zwłaszcza, po swojej stronie. To beznadziejne? Ale ma sens. Chyba ma. Bez alternatywy.

– Co zrobić z tą taśmą? – spytał Mistrza Ptasidziób po skończonej projekcji.

– To bezcenny dokument – powiedział Mistrz. – Ludzie muszą go zobaczyć.

– Tu nie przejdzie.

– Nie przejdzie.

– Znam korespondenta BBC… – zaczął Ptasidziób.

– Zrobiłbyś to? – przerwał mu gniewnie Mistrz. – Złożyłbyś donos na własną ojczyznę?

Mistrz nacierpiał się w swoim życiu, ale nigdy nie lewitował. Teraz patrzył na Ptasidzioba z nutką podejrzliwości.

Ptasidziób zmieszał się.

– Chodzi o prawdę – bąknął.

– Donos nie jest sposobem objawiania prawdy – rzucił z mocą Mistrz. – Brudy pierze się w domu.

Ptasidziób niedawno kupił na raty pralkę Frania i Anna mogła wreszcie odstawić balię.

Przypomniał to sobie i przytaknął Mistrzowi.

Skręcamy z Rutkowskiego w Marszałkowską, mijamy witryny sklepowe ze stertami kabanosów i szynek, bombonier z czekoladkami, gór bananów, winogron, cytryn, pomarańczy. Atrapy są wykonane perfekcyjnie, artysta musiał tworzyć je z natury, pewnie w peweksie albo w sklepie dla dyplomatów.

W klubie Jutrzenka są sami swoi. Wchodzą tu bez przepustek, na twarz. Obcym twarzom portier komunikuje, że nie ma wolnych miejsc, a od upartych żąda klubowej legitymacji.

– Masz tę taśmę? – pytam.

– Jakbyś nie wiedział… – rzuca ponuro Ptasidziób.

Taśmę wziął Mistrz, zapewniając, że ją bezpiecznie przechowa. U niego będzie pewniejsza. A kiedyś, w niepodważalnej przyszłości, gdy przyjdzie czas na prawdę, dokument zostanie upowszechniony.

Mistrz miał dobre chęci, lecz nie znał tajemnic swego gabinetu. Nazajutrz szefa wytwórni dokumentu odwiedził urzędnik resortu spraw wewnętrznych i grzecznie poprosił o wypożyczenie taśmy. Zacytował fragment rozmowy Ptasidzioba z Mistrzem. Słowo w słowo. Mistrz musiał więc pożyczyć mu taśmę na jeden dzień i nie odzyskał jej nigdy.

Dokument pozwolił namierzyć kilku wiecowych mówców. Ptasidziób został przesłuchany w tonie przyjaznym, serdecznym nawet, podziękowano mu za nakręcenie filmu. Oficer poprosił go o autograf dla żony, fanki *Pół cudu*, i Ptasidziób nie odmówił. Czy autograf wykorzystano do rejestracji Ptasidzioba jako

współpracownika resortu? Może zrobiono to już wcześniej, może później. Delikwentów o tym nie powiadamiano. Ani o tym, że ich skreślono z ewidencji.

Do klubu Jutrzenka schodzą się filmowcy, aktorzy, literaci. Zbliża się pora obiadowa, w sali na dole wydają artystom obiady z trzech dań za jedyne dziesięć złotych. Dziś jest zupa ogórkowa, mielony z ziemniakami i kompot. Tanio, smacznie. Państwo dba, by artysta nie chodził głodny. Podobno najlepiej tworzy się o pustym brzuchu, ale wtedy przeciwko władzy. Jeszcze nie nadeszły czasy buntu sytych, te dopiero nadejdą. W klubowym barze alkohol jest prawie bez marży, a do niego mięsne zakąski, gdzie indziej rzadkość: kabanosy, tatar, czasem węgierskie salami.

Mistrz zamawia wódkę z sokiem grejpfrutowym. Ma w Jutrzence swój stolik z wieczną tabliczką „rezerwacja". Siadają przy nim zawsze ci sami, znani, przyjaciele Mistrza. Czasem Mistrz doprasza kogoś, tym razem Ptasidzioba. Jemu też każe podać wódkę z grejpfrutem. Kelner bez pytania przynosi frytki i małosolne ogórki, przysmaki Mistrza. Ptasidziób marzy o kabanosach, ale mu nie wypada. Stałym bywalcom stolika też wystarczają ogórki małosolne. Pod wyborową, winiak, jarzębiak, śliwowicę.

Słucham. Jakbym to ja był Ptasidziobem. Artyści prześcigają się w docinaniu władzom, kpią z notabli, nie ukrywają pogardy dla tępaków. Tutaj można. Jutrzenka jest azylem, system podsłuchów rejestruje każde słówko, kosztowna zachodnia aparatura rozpoznaje głosy, ale konsekwencji na ogół się nie wyciąga. Władzom potrzebna jest znajomość nastrojów. Artyści z ich intuicją to doskonały barometr.

Trzeba zaprotestować przeciwko napaści na studentów. Aresztowaniom. Naruszeniu eksterytorialności uniwersytetu.

Ktoś proponuje list otwarty. Władze bardzo nie lubią listów otwartych, zwłaszcza gdy te emituje wcześniej Wolna Europa. Czy to nie szantaż? List powinien trafić wyłącznie do adresata. Tylko dlaczego listy, które trafiały, lądowały w koszu albo kończyły się represjami wobec nadawców? Na takie pytania władza nie odpowiada. Na inne też. Za odpowiedź ma służyć oficjalna

wykładnia, że przeżywamy trudności, ponieważ imperializm chce nas unicestwić.

Dlaczego chce?

Bo nie godzimy się na jego model tak zwanej demokracji, która byłaby poniżeniem i degradacją mas. Bo nie pozwolimy na wolność dla wyzyskiwaczy i nędzę wyzyskiwanych.

Bieda w tym, że artyści podróżują. Niektórzy. Niestety, nie tylko ci zaufani. Nie zawsze można odmówić paszportu, czasem powstaje rejwach i gra bywa nie warta świeczki. No to jedź, ale przedtem rozmowa. Uprzejmy funkcjonariusz, zazwyczaj o wyglądzie poczciwca, ocieka życzliwością i troską. Emil Popiołek dobrze zna Zachód: zewnętrzny blichtr, ekspozycja bogactw, żonglerka pokusami. Pułapki, sidła. Oślepiony blaskiem delikwent ma nie dostrzec biedy, brutalnych krzywd, zakłamania i fałszu. Będą go chcieli oczarować i nakłonić do zdrady. Jeśli ulegnie – wyżymaczka i na odstrzał. Już wielu zaginęło bez wieści. Trzeba bardzo uważać, pilnie słuchać i po powrocie – po powrocie, prawda? – podzielić się wrażeniami. A tutaj, pod nieobecność delikwenta, władze otoczą jego bliskich serdeczną opieką. Lojalność jest wynagradzana. Co innego nielojalność, zaprzedanie, zdrada ojczyzny. To chyba oczywiste.

ROZDZIAŁ 55

Zabieram Ptasidzioba na dworzec kolejowy w Warszawie. Jest rok 1956, upalna i duszna jesień, polska rewolucja październikowa. Entuzjazm na ulicach. Wystraszony Przywódca, wypuszczony świeżo z aresztu domowego i niesiony na rękach, panikuje na widok wiwatujących tłumów. Czego po nim oczekują? Gdzie czai się prowokator? Przywódca, uduchowiony choleryk i kostyczny asceta, przywykł do życia w konspiracji i nie ufa nikomu. Dlaczego uwierzył w piątą kolumnę i teorię dwóch ojczyzn, zezwalając na wykluczenie części obywateli wedle kryteriów norymberskich? Hitler w piekle zaciera ręce. Będzie je zacierał chyba do końca świata. Na Dworcu

Gdańskim, dwanaście lat później, też nie ma łez, nikt nie zgrzyta zębami. Wypędzeni, z przetrzebionymi bagażami, udają zadowolonych, odprowadzający symulują wesołość. Ptasidziób potrząsa rękę swojego kumpla, poety, któremu zabrano redakcyjny etat i przestano publikować wiersze.

– Ty wyjeżdżasz?…

– A ty zostajesz?…

Obaj pukają się w czoło.

– Raz będziesz żałował, raz nie będziesz – zapewniam Ptasidzioba, ale on nie słyszy, najeża się coraz bardziej, coraz przekorniej, międląc czyjeś ręce, wymrukując zdawkowe słowa pożegnania i ciągnąc w stronę wyjścia z peronu. Kawał encyklopedii czeka na pociąg do Wiednia. Profesor N., światowej sławy kardiolog, który za kilka lat dostanie Nobla, przysparzając chwały Ameryce. Generał B. z dwójką synów, bohater spod Lenino, przedtem ofiara, później kat bezpieki; Ptasidziób powinien się zastanowić, dlaczego z taką łatwością ofiara zamienia się w kata i robi drugiemu, co jemu niemiłe.

Jeszcze nie będzie się zastanawiał. Na to przyjdzie czas dużo później.

Kruczowłosa piękność o wielkich czarnych oczach kurczowo trzyma za ręce jasnowłosego chłopaka w obszarpanym swetrze. Oboje po studiach dziennikarskich. Ona już zabłysła na antenie radiowej, on napisał kilka świetnych esejów, a kochają się jak para uczniaków albo jak Romeo i Julia. Julia musiała wybrać. Wybrała rodziców, inaczej niż u Szekspira, ale dramat to dramat. Romeo nie wsiądzie do pociągu, umrze tu na peronie, serce mu pęknie. Serce Julii skamienieje na lata, lecz gdy te przeminą, życie potoczy się normalnie. Romeo też zmartwychwstanie i jakoś poskleja pęknięcie. Gdyby życie nie miało mechanizmów samonaprawczych, w ogóle by go nie było.

– Za co? – spyta Ptasidziób.

– Za nic – odpowiem. – Po prostu.

Nomadom los nomadów, sama natura dba o to. Jak nie fizycznie, to psychicznie. Poczucie wykluczenia, naznaczenia, wygnania. Czy to prawda, że ludy osiadłe gnuśnieją, a wędrowne nie? Przepędzani,

tępieni, poniżani nabierają hartu. Darwin się kłania: naturalna selekcja sprawia, że słabsze sztuki giną, a mocniejsze mnożą się i przekazują geny potomstwu. Stąd ludy wybrane. Przez kogo, do czego, po co? Być może odpowiedzą na to święci genetycy. Ptasidziób pamięta górniczą rodzinę w Wałbrzychu, rok czterdziesty szósty. Ich, repatriantów z Syberii, dokwaterowano do niemieckiej rodziny Schwelbe. Im – jedyny pokój, zagracony po brzegi, tapczan, łóżko, szafa, kredens, stół z krzesłami, doniczki z kwiatami, bujany fotel i wszędzie makatki, kilimki, poduszeczki z gotyckim haftem, cherubinki, aniołki, na ścianach oleodruki z jelonkiem, jemiołą, Jeremiaszem grającym na flecie. Niemcom – staremu górnikowi Heinrichowi Schwelbe wysuszonemu na wiór i jego pomarszczonej, łysiejącej Frau Elke – kąt w kuchni. Nie narzekali. Milczeli i schodzili z drogi. Czasem uśmiechali się do Ptasidzioba, który miał dwanaście lat. W pokoju był patefon z tubą i trochę płyt, Ptasidziób puszczał je, kręcąc korbą. Zapamiętał jedną:

In meinem Herzenschatz
Ist viel Gefuhlensatz.
Ich sag Dir Ernuschka,
Mein Herz ist Dein.

I jeszcze jedną, zabawną:

Kohlenklau lacht
He-he-he-he-he
Kohlenklau lacht
Ha-ha-ha-ha-ha
Alle lachen mit schrecklichem Gelecher…

„Mit schrecklichem”? Chyba „mit herzlichem”. Schrecklich zrobiło się, gdy Niemcom nakazano opuszczenie ich Waldenburga, teraz polskiego Wałbrzycha. Pozwolono zabrać ze sobą niezbędne rzeczy. Mimo wszystko dużo więcej, niż wolno było rodzicom Ptasidzioba, kiedy enkawudziści eskortowali ich na dworzec kolejowy w Białymstoku. Wtedy tylko po tobołku.

W przeddzień wygnania Heinrich Schwelbe wypił duszkiem butelkę wódki, położył się w ubraniu do łóżka i zaczął szlochać. Szlochał tak calusieńką noc, nie dając zasnąć Ptasidziobowi, a rankiem wstał, umył się, wrzucił kilka worków i tekturowych waliz na czterokołowy wózek i wraz ze swoją Frau posłusznie dołączył do kolumny eksmitowanych, ciągnących w stronę stacji. Twarz miał spokojną, bez wyrazu. Takim Ptasidziób go zapamiętał. W piwnicach, szopach, komórkach eksmitowani zostawili starannie opakowane serwisy, zegary, obrazy, rowery, maszyny do szycia. Myśleli, że wkrótce wrócą. Nazajutrz te wszystkie dobra powędrowały na targowisko. Za komplet porcelany Rosenthala Ptasidziób dostał od handlarza dwie tabliczki niemieckiej czekolady.

– Należało im się? – zapyta mnie.

– Sprawiedliwość dziejowa – odpowiem z uśmieszkiem. – Nic niemająca wspólnego z moralnością.

– Nam też się nie należało – przytaknie. – Ani tym z Dworca Gdańskiego.

– Wypędzenie wypędzeniu nierówne – zauważę. – Towarzysz Stalin niechcący uratował nam życie. Syberia była lepsza od krematorium. Heinrich Schwelbe dostał w Niemczech porządne mieszkanie i emeryturę, że daj Boże zdrowie. Kruczowłosa piękność pomęczyła się, pocierpiała i wyszła szczęśliwie za mąż za przystojniaka młodszego od niej, który dorobił się milionów w twardej walucie. I mimo to…

– Dokończ – upomni się Ptasidziób.

– Mimo to im wszystkim stała się krzywda.

Jeszcze krótka wizyta u Joe Rossa, który przyszedł na świat w małym sztetlu Biecz jako Josele Rosenblat, a teraz mieszka w sąsiedztwie Ptasidzioba, na Broadwayu, vis-à-vis ozdobnych wrót Columbii. W Bieczu Josele przeżył pierwsze dziesięć lat życia. Wtedy przyszli Niemcy i wymordowali mu całą rodzinę, babcię, brata i dwie siostry. Josele ocalał cudem, czyli przez przypadek. Rodzina Kosibów zgodziła się, ryzykując życie, by przenocował w ich stodole. Cud trwał i Josele przeżył kolejno siedem obozów koncentracyjnych, aż w ostatnim, w Teresinie, wyzwolili go sowieccy żołnierze. Prześlizgnął

się przez wszystkie oczka ludobójczego sita. Jeden na milion? Zaraz po wojnie wrócił w rodzinne strony. Może po kamienicę dziadków? Tak podejrzewano. Niesłusznie. I tym razem cud zadziałał – zdołał uciec przed chłopskimi widłami.

Przemierzył Europę, przepłynął statkiem ocean i stanął w Nowym Jorku. Na studiach poznał Edwarda Love. Chyba był zdolniejszy od niego, wcześniej ukończył kurs doktorancki na Columbii, ale do egzaminu końcowego nie przystąpił. Ed zdał go śpiewająco. Joe, już nie Josele, nie był odporny na stres przesłuchania, a czymś takim jest przecież egzamin. Przesłuchiwanych zabija się, miał to zakodowane w podświadomości. Nie pomogły zapewnienia dziekana, że w jego przypadku egzamin to czysta formalność, że PhD ma już w kieszeni. Joe Ross odmówił stawienia się przed komisją.

Ale stał się Amerykaninem. Prawie rodowitym.

Kiedy to zapisuję i nie ma już pośród żywych ani Ilany, ani Edwarda Love, Josele Ross, wciąż żywy, a przecież jeszcze starszy ode mnie, chudziutki, drobny, ruchliwy i chętny do pomocy każdemu, kto jej potrzebuje – potrzebuje zaś każdy ze starych ludzi, żydowskich mieszkańców sztetla, którzy, jak on, ocaleli – podrzuca mi fragment kronik miasteczka Biecz, od 1 września 1939 do 14 sierpnia 1942, z prośbą o przetłumaczenie na język polski, ponieważ z przerzedzoną grupką ocalonych starowinek i starców wybiera się tam, aby pożegnać się ostatecznie, i zamiast pożegnalnej mowy chce odczytać te fragmenty. Słuchacze, jeżeli przyjdą do miejskiej biblioteki, będą młodzi i raczej nieświadomi pewnych wydarzeń z przeszłości, więc może warto zaaplikować im pigułkę wiedzy. Polszczyzna Joe Rossa jest zaskakująco znośna i, poćwiczywszy, ów tekst odczyta na głos.

B I E C Z

Z W I Ę Z Ł A K R O N I K A N I E K T Ó R Y C H W Y D A R Z E Ń

01.09.1939. Początek II wojny światowej.

08.09.1939. Niemcy okupują Biecz. Żydowska szkoła zostaje zamknięta. Z polskich szkół usuwa się dzieci pochodzenia żydowskiego.

03.10.1939. Święto Rosz Haszana. 170 żydowskich uciekinierów ze wschodu Niemcy wyprowadzają do lasu w Dynowie i tam rozstrzeliwują. Jest wśród nich dwóch mieszkańców Biecza: Anszel Lezer i Eliezer Goldberg.
Początek prześladowań, rekwizycji, robót przymusowych.

01.03.1940. Wszyscy Żydzi od trzynastego roku życia mają nosić białe opaski z niebieską gwiazdą Dawida. Stara synagoga zostaje zamieniona w wojskowy magazyn. Nowa synagoga Talmud Tora w kino. Polska policja na rozkaz Niemców zaczyna nękać i dręczyć żydowskie rodziny.

19.04.1940. Podczas rewizji w domu Bezallela Hellera zostaje znaleziona polska flaga. Heller zostaje zakatowany prawie na śmierć.
Niemcy konfiskują w żydowskich domach żywność i wartościowe przedmioty.

05.1940. Łapanki Żydów na ulicach i wywlekanie z domów. Przewożenie do przymusowych robót. Tam niemieccy oficerowie organizują spektakl dla swoich żon: Żydówki i Żydów bije się, zmusza do poniżających czynności, starcom goli się brody do połowy.

06.1940–02.1941. Masowe prześladowania, katowanie, grabieże. Zamknięcie wszystkich żydowskich sklepików. Judenrat, samorząd żydowski, musi codziennie wysyłać trzydzieści osób do przymusowych robót na rzecz niemieckiej armii.

22.06.1941. Inwazja Niemców na Związek Sowiecki. Gwałtownie narasta propaganda antysemicka. Na plakatach rozklejanych w Bieczu Żydów przedstawia się jako wszy i szczury. Część polskich

mieszkańców ulega hitlerowskiej propagandzie i zrywa kontakty ze swoimi żydowskimi sąsiadami.

09.1941. Żydom nie wolno opuszczać Biecza, z wyjątkiem trzech członków Judenratu, którzy mają się stawiać w Gorlicach, w niemieckich urzędach. Ustanowienie terytorium getta. Przekroczenie jego granic grozi rozstrzelaniem na miejscu.

Żydom zabrania się noszenia bród, co oznacza złamanie nakazu religii. Niektóre rodziny wyrzuca się z ich domów, rekwirując mienie.

27.12.1941. Futra, kożuchy i wszelka inna futrzana odzież ulega rekwizycji na rzecz Niemców.

02.01.1942. Wszyscy żydowscy uciekinierzy z sowieckich terenów Galicji mają w ciągu dwóch dni opuścić NN i wrócić do dawnych miejsc zamieszkania, gdzie trwa masowa masakra Żydów. Tych, którzy próbowali ukryć się w Bieczu, wyłapano, zaprowadzono na cmentarz i tam rozstrzelano.

03.01.1942. Gestapo nagle pojawiło się w Bieczu. Zastrzelono osiem osób jako zakładników: Chaima Szlomę Icingera lat 88 (w łóżku), jego córkę Rywkę – na schodach synagogi – i jej męża Icchaka Czeczniowera, rodziców dwojga małych dzieci; dwóch synów Bezallela Hellera – na oczach ich rodziców; kobietę o imieniu Guta i mężczyznę o nazwisku Barnsztajn, pochodzących z Łodzi; Dawida Kurza, który jadł świąteczną sobotnią kolację u rodziny Rosenblatów, wyprowadzono z jadalni na korytarz i tam zastrzelono.

17.02.1942. Rozstrzelano trzy żydowskie rodziny: Hindę Szneps i jej dwóch synów; Mosze Szpilmana, jego żonę i trzech synów; Abrahama Pellera, jego żonę, trzech synów i córkę. Peller, ciężko ranny, uznany przez gestapo i polskich policjantów za zmarłego, został uratowany przez polską rodzinę.

19.02.1942. Policjanci aresztowali 71 Żydów, oskarżając ich o komunizm. W dwa dni później przybyło gestapo i dokonało selekcji.

40 Żydów skierowano na lewo, a 31 na prawo i tych zastrzelono. Jeden z nich, Szmul Kleinman, próbował uciec i tego zastrzelił policjant o nazwisku Wojko.

Zginęli wtedy: Hene Wagszal, Szmul Rajch z żoną i córką, Bezallel Heller z żoną, córką i zięciem Zalmanem Holender, Majer Icchak Kleinman z żoną i synem, Dawid Gewirc z żoną i pięciorgiem dzieci, Cwi Szycer z żoną i dzieckiem, Alter Walach z żoną i synem, Mosze Weichorn z żoną i dwojgiem dzieci, Pinchas Wagszal i jego córka Perla.

02.03.1942. Niemcy przeszukali piwnicę w domu Abrahama Melameda i w koszu jabłek przygotowanym dla nich przez Pinchasa Marka znaleźli dwa jabłka zgniłe. Uznali to za sabotaż przeciwko Führerowi. Pinchasa Marka uratowała przed rozstrzelaniem łapówka wręczona gestapowcowi. Dzięki temu przeżył jeszcze pięć miesięcy.

28.04.1942. O świcie w Bieczu zjawiło się gestapo, wywlekło z łóżek czternaście osób, wyprowadziło na rynek i rozstrzelało, gdy ratuszowy zegar wybił piątą rano. Zamordowani zostali: Majer Wagszal z żoną, Ruben Kurz, Elimelech Goldberg wraz z synem, Icchak Goldberg, Benjamin Sznajder i jego dwaj synowie, Szymon Sznajder z żoną, Yehuda Kleinman, Cwi Kleinman i Menasze Jakubowicz.

25.07.1942. Zamordowano rodziny Bergerów i Korzeników.

Mosze Berger, jego żona i syn Zisze zostali wyprowadzeni na cmentarz i tam rozstrzelani pod pretekstem, że jako słowaccy obywatele poprosili o pozwolenie na wyjazd na Słowację.

Rodzina Korzeników została wymordowana, ponieważ córka Leviego Korzenika wraz z małym dzieckiem napisała z Krosna do ojca list z prośbą o pomoc – jej mąż trafił do „najczarniejszej roboty” i nie starcza im na życie. Gestapo zinterpretowało „czarną robotę” jako działalność konspiracyjną i rozstrzelano wszystkich.

14.08.1942. O trzeciej nad ranem Biecz otoczyły oddziały gestapo i Ukraińców. Ogłoszono, że na piątą rano wszyscy Żydzi mają się

stawić na rynku z małym tobołkiem żywności i ubrań. Niektórzy, zwiedzeni przeczuciem, próbowali uciec – tych zabijano na ulicach i na przedmieściach Biecza. Zaledwie kilku osobom udało się wymknąć i ukryć w polskich domach na dzień lub dwa, a potem zniknąć w lasach.

Nie wiadomo dokładnie, ilu wtedy Żydów zastrzelono, głównie dzieci, starców i obłożnie chorych. Wymienia się 160–250 osób. Polakom kazano furmankami przewieźć ciała na cmentarz wraz z żywymi jeszcze niedobitkami i tych pogrzebać żywcem.

Pozostałych około tysiąca Żydów zamknięto w baraku nieopodal gmachu sądu i przetrzymano tam bez jedzenia i picia dwie doby, a potem załadowano do zaplombowanych bydlęcych wagonów i przewieziono do obozu zagłady w Bełżcu. Tych, którzy dotarli żywi, zagazowano tam i spalono.

Tak kończą się dwustuletnie dzieje społeczności żydowskiej w sztetlu Biecz.

Połowa z tych nielicznych, którym udało się uciec i skryć w lasach, przeżyła dzięki pomocy polskich rodzin. Niektóre przypłaciły to własnym życiem – jak Józef Pruchniewicz i jego bliscy, ukrywający w stodole przez szesnaście miesięcy rodziny Kuflików i Blumów. Donieśli na nich Niemcom ich sąsiedzi…

Joemu Rossowi też stała się krzywda. Może nie powinien był przeżyć wtedy swoich bliskich. Dzieciak z raną w nodze, niebieskooki blondynek – tu miał fart! – został przez sąsiadów opatrzony miękiszem razowca z pajęczyną oraz liśćmi łopianu, nakarmiony kapuśniakiem i po północy wystawiony za próg z pajdą chleba owiniętą w szmatkę. Dzieci sąsiadów były czarnowłose, lecz ich pochodzenie nie budziło wątpliwości. Mieliby rodzice ryzykować ich życie za Joska? Czegoś takiego nie wolno wymagać od najprzyzwoitszych rodziców.

Co Joemu przyszło z tego, że przeżył? Trzydziestolatek siwy i bezzębny, żywiący się zupą z puszek Campbella i sypiający z córką hitlerowca, który zadekował się na Manhattanie. Córka hitlerowca była urodzoną mineciarą i chętnie brała do ust obrzezany członek

Joego Rossa, klęcząc mu między udami. Co czuł? Orgazm, nic więcej. Taki sobie orgazmik, bo tłustawa Helga nie umywała się nawet do ubogiej krewnej Marilyn Monroe. Nie czuł natomiast ani nienawiści, ani triumfu, że oto czystej krwi aryjka, była członkini Hitlerjugend, liże penis Żydkowi z Biecza. Nie czuł nic prócz przyjemności z wytrysku.

Joe Ross zastąpi Ptasidzioba, poprowadzi za niego seminarium ze studentami. Sam mu to zaproponował, kiedy usłyszał, że Ptasidziób musi natychmiast lecieć do Polski.

Zadzwonił ojciec. „Twoja matka umiera".

Był trzeci lipca. Nazajutrz Dzień Niepodległości, wszystko pozamykane, a bez dokumentu z Internal Revenue Service wylecieć się nie da. I jeszcze bilet. Inne papierki.

To wszystko załatwiła od ręki studentka Ptasidzioba Diana Kennedy. Miała mocne wejścia dzięki koneksjom rodzinnym. Joe przyrzekł zastępstwo. Zgodnie ze swoją życiową dewizą uczynności bezinteresownej. Mógł to zrobić Eddie Love, z którym Ptasidziób był bliżej, ale Love był programowo nieuczynny.

Kilka godzin przed odlotem znów zadzwonił ojciec. „Nie musisz się spieszyć, twoja matka nie żyje. Ty ją zabiłeś".

– Jak śmiał? – pyta mnie Ptasidziób.

Rodzice Ptasidzioba nigdy nie byli przykładnym stadłem. Odkąd pamiętał, kłócili się ze sobą. Ojciec, życiowy nieudacznik, za swoje niepowodzenia i klęski winił matkę. Matka, ugodowa z natury, ufna i przyjazna ludziom, wytykała ojcu arogancką bezkompromisowość. Mawiała, że nie umie żyć z ludźmi. „Jak mu powiesz, że jest głupi, czy on od tego zmądrzeje? Nie zmądrzeje, ale będzie się mścił. I po co sprawiać ból człowiekowi?" Ojciec wybuchał: „Wygarnąłem chamowi, że jest bydlę, bo należało mu się!". Po czym wylatywał z pracy, z organizacji, z towarzystwa. Nigdy nie przyznał racji żonie, ale żyć bez niej nie umiał. Ani ona bez niego. Byli modelowym przykładem dialektycznej jedności przeciwieństw.

– Jak śmiał mi tak powiedzieć?! – syczy Ptasidziób.

– Ktoś musiał być winien jej śmierci – wyjaśniam łagodnie. – Tęskniła za tobą. Śmierć z tęsknoty łatwiej mu było zaakceptować

niż zawał.

– Moim kosztem?!

– Nigdy nie znałeś swojego ojca. Nie rozumiałeś go. Byliście zbyt różni. Uświadomisz sobie, ile dla ciebie znaczył, dopiero gdy umrze za cztery lata na raka trzustki, nie skarżąc się, w milczeniu. Przedtem, dzień w dzień, bez względu na porę roku, z drugim śniadaniem w teczce, będzie jeździł na cmentarz Powązkowski, aby do zmierzchu siedzieć na ławeczce przed grobem matki. Ławeczkę zakotwiczył na łańcuchu, żeby nie ukradli.

Będzie leżał na wznak na szpitalnym łóżku, z szarą zapadniętą twarzą, wpatrzony tępo w sufit i milczący. Ożywi się, gdy przyjdą znajomi, zażartuje, spróbuje się uśmiechać. Poczujesz zazdrość. „Do mnie byś się nie uśmiechnął?" – „To przecież obcy…" – szepnie. „Nie muszą wiedzieć…"

Kiedy przyjdziesz rano i zobaczysz puste, świeżo zaścielone łóżko, wpadniesz w gniew. Świadomie rozbijesz samochód na skrzyżowaniu, trącając o czyjś tylny zderzak. Faceta, który do ciebie doskoczy, walniesz w pysk. Potem pojedziesz do Wrocławia, skrzykniesz swoich szkolnych kolegów i będziesz z nimi pił przez okrągłą dobę, nijak nie mogąc się upić. Powiesz im, że umarł ci ojciec, dopiero gdy będą nieprzytomni, pochrapując gdzie popadnie w twoim hotelowym pokoju.

Nigdy nie darujesz sobie, że ani razu nie spróbowałeś zbliżyć się z ojcem, otworzyć przed nim, jego skłonić do otwarcia. Kochaliście się na sucho. Jeśli do czegoś w życiu doszedłeś, to jemu na złość.

ROZDZIAŁ 56

Spisuję wasze spotkanie na Sto Trzynastej Ulicy, już pogodzony, albo jedynie zdystansowany wobec was obu, ponieważ ani ze mnie dzisiaj Ptasidziób, ani ty – jakoby od niego mądrzejszy o kilkadziesiąt lat doświadczeń. Skąd pomysł, że lata przysparzają doświadczeń, a nie na odwrót?

Mnie, piszącego dzisiaj, robi się coraz mniej. Ubyło nam matki L., pół-Eskimoski, stosunkowo młodej jeszcze kobiety, której samotnictwo i małomówność nie były cechą wrodzoną, a raczej przejawem nadciągającej choroby. Piła kawę za kawą i wypalała dziennie po trzy paczki cienkich damskich papierosów. Nadłamała ją przedwczesna śmierć ukochanej starszej córki, cierpiącej nieuleczalnie na marskość wątroby. Dziś wątrobę udaje się przeszczepić, wtedy nie było to jeszcze możliwe. Kolejnym ciosem było powolne i w pełnej przytomności umieranie na cukrzycę jej męża, spolszczonego Masaja rodem z Nowej Zelandii, ojca L., który na chwilę przed śmiercią szeptem nakazał L. opiekować się matką. Nie odwrotnie? Czy dlatego, że coś wiedział o żonie? Że nigdy nie była okazem zdrowia psychicznego? Samotność z wyboru nie jest objawem zdrowia. Słyszy się głosy, ogląda zorze polarne, białe niedźwiedzie i foki. W pobliżu końca dochodzi do zamiany ról – mama staje się córką, córka mamą. I udar: w mózgu pękają kolejno naczynia krwionośne, proces nie do zatrzymania, rozpad materii. Matka jest nieprzytomna głęboko, ale L., przemawiając do niej szeptem i trzymając ją za rękę, wyczuwa w odpowiedzi leciutki uścisk palców. Już pożegnalny.

Ubyło mi leśniczego w Skiroławkach, poety i piosenkarza, fotografika i redaktora unikalnej „Parmezanii”, mojego wieloletniego przyjaciela. Odszedł na własne życzenie, kiedy odkrył u siebie przerażające objawy pląsawicy – choroby dziedzicznej i nieuleczalnej. Nie chciał być ciężarem dla bliskich? I nie chciał czekać, aż to się stanie samo, w ostatnim stadium degradacji? Nie dowiemy się, nie zostawił pożegnalnego listu. Nigdy nie był patetyczny. W sklepiku ojca Chryzostoma na wschodnim skraju Skiroławek, obok borsuczego pazura na sklerozę, kreciego sadła na nerki, radiestetycznych widełek, korzenia żeń-szenia, trutki na szczury i kadzidełek tybetańskich, można już kupić sznur wisielca – skrawki konopnego powrozu zatopionego w folii, na którym powiesił się leśniczy. Nie wierzmy. Sznur musiałby mieć ze sto metrów długości, tylu jest chętnych na centymetr szczęścia, ale ojciec Chryzostom nikomu szansy na szczęście nie potrafi odmówić.

Wczoraj odszedł Joseph Zelazny. Wielki budowniczy, twórca paru arcydzieł architektonicznych w centrum nowojorskiego Manhattanu, przez nas, przyjaciół szkolnych jeszcze, nazywany Jurkiem. Był skrzypkiem i lewitował. Pewnie stąd w jego budowlach, niepowtarzalnych, obsypywanych nagrodami, wężowo skręcających w stronę nieba, dawało się wyczuć nutę muzyczną, jak od napiętej struny trącanej przez słoneczny wiatr. Właśnie szykował się na emeryturę i trochę niepokoił, co zrobi z wolnym czasem, a ja go zapewniałem, że będzie fajnie. Nie zdążyło być. Kiedy jeszcze był zdrów i miał apetyt, patrzył na mnie z zimną zawiścią, gdy pożerałem sześć jaj na sześciu plastrach boczku do pajdy razowca posmarowanej grubo masłem. Jemu żona serwowała owsiankę na odtłuszczonym mleku. I co to dało?

Ten Tam serca nie ma. Bawi się w loterię.

Spisując przebieg twojego spotkania z Ptasidziobem, a masz do końca jeszcze kawał drogi, obawiam się o kolejne dygresje, które mi przyjdzie wprowadzić. Może trzeba pisać szybciej?

ROZDZIAŁ 57

Ptasidziób umawia się na piwo z Emilem Popiołkiem. Próbuje odmówić, ale Emil daje mu do zrozumienia, że alternatywą będzie wezwanie na Rakowiecką. Ulicy Rakowieckiej obawiają się wszyscy, nie wyłączając wielu tam zatrudnionych. Zwłaszcza zatrudnieni muszą być czujni, bo nikt ich nie powiadamia o przesunięciach na górze i zmianie priorytetów.

Jest właśnie taki moment. Uzasadnienie ideologiczne konstruują specjaliści na innej warszawskiej ulicy, ale budulca dostarcza Rakowiecka. Fakty, atrapy faktów. Domniemania. Ziarenka z przeszłości, które pęcznieją i rosną w odpowiednio deformującym bulionie. Tak zmutowane ziarenko można już zmienić w potworniaka.

Emil Popiołek robi swoje.

Kawiarnia jest pusta. Jak on znajduje te pustawe kawiarnie w mieście, gdzie trudno o kawę? O piwo też bywa trudno, ale dla nas

się znajdzie, „żywieckie”, prawie zimne. Za szybą niemarcowy upał. Dziewczyny bez pończoch, w samych bluzkach, niektóre bez staników. Piersi kolebią się pod żorżetą.

– Mam przez ciebie kłopoty – mówi Emil Popiołek. – Po co chodzisz na Dworzec Gdański?

– Żegnam się z przyjaciółmi – odpowiada Ptasidziób i jakby to nic nie znaczyło, pociąga łyk letniego piwa.

– No właśnie. A to wcale nie są twoi przyjaciele. Już nie są, ponieważ ty zostajesz. To im daje do myślenia.

– Co mogą myśleć?

– No właśnie – wtóruję Popiołkowi. I, od siebie: „Gdybyś miał mój dzisiejszy rozum…”.

„To co?”

„Nie wiem…”– muszę przyznać po pauzie. „Skąd miałbym wiedzieć…”

Emil Popiołek ze smutkiem kręci głową.

– Pytają mnie o ciebie, rozumiesz? Towarzysze zastanawiają się, dlaczego obstaję za tobą.

– To im powiedz.

– Na służbie nie ma przyjaźni.

– Jaka przyjaźń? – obrusza się Ptasidziób. – Nie stawiasz mi żywca bezinteresownie. Zawsze chcesz czegoś. O coś podpytujesz. I bierzesz rachunek, żeby rozliczyć koszty, może nie?

– Tylko dyskutujemy – protestuje Popiołek. – Twój punkt widzenia przeciwko naszemu. A prywatnie…

– Daj spokój z prywatnością. Na to mnie nie nabierzesz.

Ptasidziób to powiedział czy ja?

Emil Popiołek chmurnieje.

– Nie mam przyjaciół – wydusza. – Sami towarzysze. Tylko ty jeden. Myśl sobie, co chcesz…

I Ptasidziób wymięka. Panowie z Rakowieckiej są po szkoleniu. Tak jak teraz. Jak wszędzie i zawsze. Ci lepsi potrafią nawet wzruszać się do łez i nie są to łzy z parafiny.

– W porządku, stary. – Ptasidziób częstuje Emila carmenem z nieco wymiętoszonej karminowej paczki. – Szkoda, że nas nie

rozumiesz. Wytłumaczyłbyś swoim na Rakowieckiej, że gramy do jednej bramki.

– Co to za bramka? – pyta Popiołek.

– Polska.

– Tak. Ale która?

– A ile ich masz, do kurwy nędzy? – wykrzykuje Ptasidziób.

– To mi oddaj kopię filmu – mówi spokojnie Emil Popiołek, zaciągając się carmenem pachnącym tanimi perfumami. – Oryginał zdeponowałeś u Mistrza. Kopię gdzieś ukryłeś. Musimy ją mieć.

– Może wpierw spytasz, czy skopiowałem? – próbuje ironizować Ptasidziób.

– Szef jest wściekły. Przed niczym się nie zawaha, znamy go. Będą represje. Zamkną studio, odbiorą wam kamery.

Emil Popiołek podaje przez stolik Ptasidziobowi złożoną we czworo karteczkę.

– Co to za nazwiska? – pyta Ptasidziób drewnianym głosem.

– Od ciebie zależy, czy będzie na nich zapis w cenzurze.

Chciałbym przestrzec Ptasidzioba, że nikt mu w to kiedyś nie uwierzy, ale co to da? Dwa spośród czternastu nazwisk i tak trafiły na czarną listę, unieważniając w ten sposób zobowiązanie funkcjonariusza Rakowieckiej, a że dwunastu wtedy na niej się nie znalazło… Nie Ptasidzioba to przecież zasługa.

W archiwach na Rakowieckiej, biedny mój Ptasidziobie, nie odnajdzie się twój film, ale znajdzie się twoja teczka z raportem o przekazaniu. Szczególnym zbiegiem okoliczności poszukiwacze z przyszłości będą znajdowali w tajnych archiwach tylko to, co znalezione być powinno. Rakowiecka działała sprawnie i z profesjonalną premedytacją.

Emil Popiołek otrzyma awans służbowy. Ty dostaniesz paszport oraz trzydzieści srebrników – pardon! – pięćdziesiąt dolarów i popłyniesz Batorym do USA.

L. już się nie może mnie doczekać. Przemierza tu i z powrotem szklaną rezydencję profesora Love zawieszoną nad Manhattanem jak winda do nieba, zaczyna jej być duszno, jest alergiczką, wskazówki zegara pełzną do tyłu albo dygocą w miejscu, krusząc czas.

Widzę to z lotu ptaka. Kierujemy się z Ptasidziobem w stronę bliźniaczych wież World Trade Center, omijamy je łukiem, szybując nad Battery Park, wytwornym kompleksem rezydencji zbudowanym przez Josepha Zelaznego, podobnie jak położone ciut bardziej na południowy zachód monumentalne Javits Center. W gigantycznej hali kongresowej trwają akurat targi motoryzacyjne. Obok sportowych corvett i mustangów, które lubi amerykańska młodzież, jaśnieją futurystyczne dziwolągi w asyście kosmicznych ślicznotek w spódniczkach mini. Cudowne dziwactwa dają nadzieję. W przyszłości, kupując świetliste auto ze skrzydełkami i odrzutowym silnikiem, nie będziemy się bać ulicznych korków na Broadwayu czy Marszałkowskiej. Mogę zapewnić Ptasidzioba, że w mojej teraźniejszości takie autka wciąż są nadzieją. Tak jak to, że ludzie staną się dobrzy i nie będą robić świństw. Nieco przygaśnie wiara naiwnych, że świat da się poprawić. Raczej się nie da. Może lepiej? Świat poprawiony już by nie był oryginałem, tylko produktem second-hand.

Montreal dla nas to rzut beretem, ale Batory jeszcze nie zawinął do portu. Buja się przez ocean, w balowej sali gra orkiestra, Ptasidziób bryluje na parkiecie. Ma za partnerkę tajemniczą dziewczynę o włosach czarnych, kręconych, o mrocznych piwnych oczach i brwiach skrzydlatych, wygiętych w górę pytająco. Jest smukła, zwiewna, doskonale tańczy. Po szkole baletowej w Lublinie. Po roku grania w teatrzyku studenckim. Anita. A dalej? Nie ma dalej na Batorym, ludzie są tu po imieniu albo na pan – pani. Chłopstwo chrapie pod pokładem, tuląc walizy z wałówą dla wujów i ciotek: domowa kiełbasa z czosnkiem, powidła wiśniowe z własnego sadu, suszone rydze, borowiki, prawdziwki. Na pokładzie Ptasidziób tuli ulotną Anitę, wdycha drażniący zapach szyi na linii smolistych włosów tuż za uchem, wargami muska ucho i w odpowiedzi obrywa kuksańca.

– Dlaczego? – szepcze.

– Bo nie.

Orkiestra z ckliwego tanga bez przejścia wpada w szaleńczy rytm i tutaj Anita pokazuje klasę. Obłędna improwizacja, akrobatyczne figury. Ptasidziób chce jej dorównać, kombinuje, jak może.

Wykorzystuje lewitowanie, zastyga w powietrzu na krótkie chwile i dostaje brawa od publiczności przy stolikach. Anitę też zaskakuje.

– Jak to zrobiłeś?

– Nic nie zrobiłem – odpowiada zmieszany, bardziej zmieszany, niż powinien.

– Chyba zawisłeś nad parkietem.

– Złudzenie. To taka sztuczka…

Pierwszy raz Anita patrzy na niego uważnie, przechylając głowę. W kolejnym tańcu pozwala się pocałować w szyję. Zaiskrzyło? Jemu zasycha w ustach, ona szybko oddycha, przywiera do niego jak nigdy przedtem. Telepatyczna orkiestra wpada im w nastrój argentyńskim tangiem. Parkiet leciutko kołysze się pod nogami. Anita rozchyla wargi i Ptasidziób, łącząc je ze swoimi, ma wrażenie, że lewitują razem. Anicie też się tak zdaje.

Kajuta jest dwuosobowa, ale partner Ptasidzioba, góral od Żywca, nigdy nie wraca z baru przed północą. Na wąskiej koi może być cudownie. Gdy cud już się stanie, Ptasidziób zapyta Anitę, czy się będą spotykać w Nowym Jorku. Anita milczy. Ptasidziób nalega. W końcu usłyszy, że po zejściu na ląd nie spotkają się nigdy więcej.

– Ale dlaczego?

Anita nie odpowie. Batorym płynie do Ameryki dużo pięknych dziewczyn i przystojnych chłopaków. Coś ich łączy z wysokim, siwym dżentelmenem w papuziej marynarce, fioletowej koszuli z muszką w grochy i w markowych dżinsach. Kłaniają mu się, zagadują. Dżentelmen odpowiada staroświecką polszczyzną, wtrącając angielskie słówka z polskimi końcówkami. Kiedyś, wraz z Wielką Przemianą, wtargnie do polszczyzny powodziowa fala takich słówek. Jakieś mobbingi, klabbingi, szopy i sejle, szity i faki. Językoznawcy najpierw oszaleją, potem ulegną. Ptasidziób jeszcze o tym nie wie. Śmieszy go mowa siwego polonusa. Będzie podpytywał o niego Anitę, bo i ona z nim rozmawia czasami, lecz niewiele się dowie. Ot, znajomy z widzenia.

Nieprawda. Białowłosy polonus w papuziej marynarce to swat. Przedstawiciel agencji matrymonialnej Patria Nostra, która zbiera w Ameryce od samotnych Polaków i Polek zamówienia na małżonka, spisuje kontrakt z wykazem cech („Wysoki blondyn do lat 45,

wysportowany, czuły, wierny, znający się na gospodarstwie", „Szatynka, może być przy kości, 19–24 lata, spokojna, musi dobrze gotować", „Inteligentny, pod sześćdziesiątkę, opiekuńczy i bez nałogów, potrzebne prawo jazdy") i jedzie do Polski na łowy. Odwiedza biura matrymonialne, koła gospodyń, kluby sportowe, hotele robotnicze, akademiki. Rozgląda się, wypytuje, robi notatki, zagaduje dyskretnie. Kto by nie chciał być szczęśliwy? A jeśli nie szczęście, to spłata rodzicielskich długów, wydostanie się z dołka, zamiana roweru na auto. Swat wybiera kandydatki, typuje kandydatów. Gwarantuje im dobrobyt, uroki życia w wolnym świecie, nawet raj na ziemi. Potem ustawia pary, załatwia bliższy kontakt, zachęca nieśmiałych, dodaje otuchy niezdecydowanym. Prowizję płacą tylko Amerykańcy. Warunek: małżeństwo, ślub kościelny, nie jakaś tam kocia łapa. Żaden burdel, za przeproszeniem. No, czasem próbny miesiąc-dwa na wzajemne dotarcie, żeby uniknąć dramatu.

Anita jedzie na próbę. Swat ma dla niej o ćwierć wieku starszego wdowca z własnym zakładem fryzjerskim w New Jersey, w miarę przystojnego i trochę mówiącego po polsku, choć się urodził w Ameryce. To dobry człowiek. Sfinansuje ojcu Anity leczenie raka w porządnym zachodnim szpitalu, w Hamburgu albo w Sztokholmie.

– Wiesz czy wymyślasz? – pyta ponuro Ptasidziób.

Spotka Anitę w montrealskim porcie, już z mężem fryzjerem (byczysko, brzuchacz, naiwne, ciepłe oczy, zapatrzony w żonę z uwielbieniem), gdy ona witać będzie jakąś swoją kuzynkę, a Ptasidziób odpływać do kraju Batorym. Wymienią parę zdawkowych zdań, mąż fryzjer uściśnie mu dłoń zaskakująco delikatną ręką artysty i wyrazi zdziwienie, że Ptasidziób dobrowolnie wraca do komunistów. A co, komuniści gryzą? I jacy tam komuniści, nawet nie socjaliści, bo w socjalizmie sprawiedliwość, każdy robi na maksa i otrzymuje wedle zasług, czyli nie u nas.

– Kto nie pracuje, ten nie je – przypominam.

Ptasidziób powinien to pamiętać. Mieliśmy w klasie geniusza-głupka, miał na imię Kacper, podręczniki znał na pamięć po jednym czytaniu. Ale nie kojarzył. Fizyk pytał o prawa termodynamiki, Kacper wytrzeszczał bezradne oczy i sapał cichutko. Starczyło jednak podszepnąć: „Rozdział ósmy, strona 144…" – i nasz geniusz walił jak

z karabinu maszynowego. Miał same piątki. A jednak rada pedagogiczna nie dopuściła Kacpra do matury i sprawa trafiła do kuratorium; nie wiem, jak się skończyła.

Tego dnia zebrało nam się na psoty. Zapukaliśmy do drzwi Kacpra. Otworzył nam, był w samych kalesonach, chudy jak żerdź, z żebrami na wierzchu. W zagraconym pokoju stała przy oknie na trójnogu stara niemiecka luneta wycelowana w niebo.

– Jesteśmy trójka dyscyplinarna zarządu międzyszkolnego – poinformował sucho Władysław. – Nie byliście w szkole, kolego. Dziś i wczoraj.

– Bo ja… – zaczął Kacper, masując pięścią garbaty nos.

– Nikt was nie pyta – przerwał mu Tadek. – Jedliście dzisiaj?

– No, jadłem…

– A wczoraj?

– No, wczoraj też.

– Lenina czytaliście? – spytał Władysław i odczekawszy, rzucił: – Nie czytaliście!

– Było zadane? – Kacper wyraźnie się zaniepokoił; lewą pięścią gniótł sobie nos, prawą garścią przytrzymywał zsuwające się gacie.

Pytanie zignorowaliśmy.

– Co jedliście dzisiaj? – zapytałem. – Na śniadanie? Na obiad?

– Rano owsiankę na mleku – zameldował Kacper. – Na obiad wątrobę smażoną. Z kartoflami.

– Z kartoflami! Wątróbka! Zupa mleczna! – oburzył się Tadek. – Jak śmieliście?! W szkole was nie było. Nasza praca to nauka. A kto nie pracuje, ten nie je.

– Kto-nie-pra-cu-je-ten-nie-je! – wyskandowaliśmy chórem we trójkę.

Kacper przybladł.

– To co będzie? – zapytał bezradnie.

– Gdyby trwała rewolucja, zostalibyście rozstrzelani – powiedział Władysław. – Wasze szczęście, Kacper, że już zwyciężyliśmy. Ale kara być musi.

– Musi – przytaknęliśmy z Tadziem, ciekawi, co Władysław wymyśli.

Może wymyślił to wcześniej, może zaimprowizował. Wpada się czasem na takie pomysły.

– Macie w domu lewatywę, kolego Kacper? Przynieście. Nalejcie do worka wody z mydłem, nie musi być ciepła.

Przeszliśmy do toalety. Patrzyliśmy, jak Kacper posłusznie zsuwa gacie, jak pakuje sobie do tyłka ebonitowy wylot lewatywy. Gumowy worek zawiesiliśmy wysoko.

– Już nie mogę!… – zawył Kacper.

– Wytrzymacie – warknął Tadek. – Ma wejść wszystko.

Weszło. W sekundę później Kacper eksplodował jak bomba.

– No – podsumował Władysław. – Tym razem wam się upiekło, kolego Kacper. Bywajcie. Cześć.

Nazajutrz, podczas lekcji historii, do klasy weszła woźna i poprosiła nas trzech do dyrektora. Dyrektor nie wywoływał uczniów lekcji. Poczułem się nieswojo.

Na kanapce w gabinecie dyrektora Ziemby siedziała w wojowniczej pozie matka Kacpra. Szczerzyła zęby, jakby nam chciała skoczyć do gardeł. Stanęliśmy na baczność przed dyrektorem. Łysy starszy pan o zimnych oczach, były mistrz sportu i doktor filozofii, budził w szkole respekt.

– To wszystko prawda? – usłyszeliśmy.

– Nie był w szkole… bez usprawiedliwienia… – wybełkotał Tadzio – więc sobie pomyśleliśmy…

– Że macie prawo znęcać się nad człowiekiem? Poniżyć? Wdeptać w błoto czyjąś godność? I liczycie, że tak nikczemnych osobników ja dopuszczę do matury? – rzucał pytania dyrektor Ziemba, a my wiedzieliśmy, że nie żartuje.

Poczułem zimny dreszczyk między łopatkami. Matka Kacpra przytakiwała krótkimi kiwnięciami głowy. Rzucić się przed nią na kolana i błagać o przebaczenie naszej bezdennej głupoty? Po rękach całować? Czy raczej wyrazić przed dyrektorem rozpaczliwą skruchę?

Krok do przodu zrobił Władysław. Stanął twarzą w twarz z dyrektorem Ziembą, był o głowę od niego wyższy.

– Marksizm uczy, że kto nie pracuje, ten nie je – wycedził przez zęby. – Tak nas wychowaliście. Nie ukarzecie nas za leninowską pryncypialność, towarzyszu dyrektorze.

– Co takiego?… – wysapał dyrektor. – Ty mi śmiesz…

– Za tę ideę bolszewicy oddawali życie – przerwał mu Władysław. – Postąpiliśmy zgodnie z sumieniem. Nie macie prawa za to nas karać, towarzyszu dyrektorze.

– Won! – eksplodował dyrektor Ziemba, siniejąc na twarzy aż po biały kołnierzyk i wiśniową muszkę.

Z godnością, bez pośpiechu, opuściliśmy dyrektorski gabinet.

Włos nam z głowy nie spadł. Do sprawy więcej nie wrócono. Władysław nie zdał matury, ale nie dlatego. Był noga z matmy.

ROZDZIAŁ 58

Za dwa dni, 10 stycznia 2013 roku, minie dwanaście miesięcy od męczeńskiej śmierci profesora Edwarda Love. Dziś ósmy, wtorek.

Rok i miesiąc temu Edek jeszcze wierzył, że z tego wyjdzie. Chemia, za wielkie pieniądze w najlepszym bodaj nowojorskim szpitalu, miała na moment uwolnić organizm od komórek rakowych. Ów moment, potwierdzony badaniem PET, powinien wystarczyć do wprowadzenia komórek macierzystych, które zrobią porządek z chłoniakiem. Edek wierzył, że się uda. Krótko. Miotał się tak, od nadziei do załamania, od euforii do depresji, od woli walki po rezygnację tragiczną – i było to jego męczeństwo, w sporej mierze zależne od kolejnych transfuzji. Zaraz po transfuzji Edek czuł się jak szczygieł. Miał wtedy niezachwianą pewność, że wygra. Gdy nadchodziło gwałtowne pogorszenie i lekarz informował otwartym tekstem, że po raz kolejny nie uzyskano momentu czystości, Edek tylko pytał, czy dalej będą próbować. W końcu usłyszał, że już nie.

– To ja umrę? – zdziwił się. – Ile miesięcy mi zostało?

– Zostały dni. Proponujemy hospicjum.

Profesor Edward Love nie chciał do hospicjum, chciał do domu, do własnego łóżka. Tam go też przewiózł Joe Ross w asyście wynajętej prywatnie pielęgniarki. Edek powinien był stracić przytomność, ale nie było mu to dane. Nie było mu też dane nie cierpieć w głębokim znieczuleniu. Umierał świadomie niemal do samego końca. Tuż przed

końcem, już w zamroczeniu, wołał „Mamo, mamo!…” jak przerażony dzieciak.

– Nie, nie, ja nie wzywałem matki – odpowiada mi Koral. – Przede wszystkim nie dopuszczałem możliwości, że umrę, nawet w najgorszych chwilach, w inkubatorze. I po co byłaby mi do tego matka?

Z matką nie wiązały go emocje. Nie przypomina sobie uczuć. Była porządną Niemką, nawet nie Ślązaczką, mieszkali w Pabianicach blisko Łodzi, za okupacji żadna folkslista, Reich Deutsche, bez problemów podbitego narodu. Jeśli pominąć, że ojciec Korala, rodowity Polak, przed wojną urzędnik skarbówki, znajdował się w oflagu, a żona nie mogła go stamtąd wyciągnąć, bo wedle ówczesnej jurysdykcji przywileje i prawa nie przechodziły z żony na męża. Mąż zabronił żonie odwiedzin w obozie: jak by to wyglądało, że jest ożeniony z Niemką? A byli doskonałym małżeństwem. Przed wojną, po wojnie. Wojenny epizod niczego między nimi nie popsuł.

Matka nigdy nie przytuliła Korala. Przynajmniej on czegoś takiego nie pamięta. Natomiast jego i braci nauczyła porządku, wiary w Boga i pracowitości. Koral nie jest już pracowity i raczej nie wierzy w Boga, choć nigdy nie wiadomo. O porządek dba. Prowadzi w Pattaya życie uporządkowane, wedle precyzyjnego grafiku, w swoim wiktoriańskim apartamencie na siedemnastym piętrze hotelowego kompleksu przy samym plażowym bulwarze. Rano jogging. Po drodze zakupy w Foodlandzie: chrupiące bułeczki, świeżutkie masełko, dwa jajka i twarożek ze szczypiorkiem albo polędwica wołowa, z której będzie tatar. Świeży sok z owoców tropikalnych.

Potem różnie. Porządek nie musi znaczyć monotonii. Po śniadaniu, w poniedziałki i piątki, Koral godzinkę lata swoim miniaturowym samolocikiem nad malowniczą okolicą tajskiego kurortu – seledynowe wody zatoki z łodziami rybackimi tubylców, opakowane w dżunglę wzgórza, wioska słoni, farma krokodyli, wysepka małp, wysoka płaska skała inkrustowana złotym wizerunkiem uśmiechniętego Buddy. Koral lubi Buddę, bo ten się uśmiecha. Nie uśmiecha się żaden inny Bóg – ani Jahwe, ani Allach, ani Jezus Chrystus. Budda jest Bogiem Pogodnym, tylko on oferuje swoim

wyznawcom reinkarnację, czyli ponowne narodziny. Nie żaden raj, żadne niebo i piekło, żadne hurysy dla zasłużonych. Po prostu powrót. A kto chce odejść na zawsze, nawet w nieznane?

W inne dni, zgodnie z rozkładem, Koral odwiedza siłownię, fitness club, salon masażu. We środy odwiedza go masażystka lesbijka z programem body-body: dwie godziny masażu ciała ciałem. Żadnej erotyki, na wesoło. Erotyka to wizyty trzech młodziutkich Tajek, na zmianę oczywiście, od których przy okazji Koral uczy się tajskiego. Każda go kocha, każda za nim tęskni i każda znika na zawsze, gdy Koral wyznaje, że z pieniędzmi koniec.

– A ty? – pytam. – Do żadnej się nie przywiązujesz?

– Nigdy do rana – wyjaśnia Koral. – Spać lubię sam.

Wieczorami kluby. W Pattaya jest kilka klubów dla zamożnych farangów, do których tubylcy nie mają wstępu. „Farang" to obcy. Cudzoziemiec. Worek z pieniędzmi. Żeby mieć z niego pożytek, konieczny jest takt. W klubach Koral spotyka podobnych sobie – Europejczyków, Amerykanów – ludzi drogi, zamożnych i samotnych, pozakręcanych, przemieszczających się z lądu na ląd.

– Co ty nazywasz samotnością? – nie rozumie Koral.

– Kto jest ci bliski? – replikuję pytaniem naprowadzającym. – Za kim tęsknisz? Kogo ci czasem brakuje?

Koral uśmiecha się ze zrozumieniem. Już wie, o co mi chodzi. Wypijamy po szklaneczce grande, to taki tajski koniak, smakuje jak rum z dżinem, ale głowa po nim nie boli.

– Robię wszystko, żeby być szczęśliwy – odpowiada. – Coraz lepiej mi się to udaje. Nie ma na świecie szczęśliwszego człowieka niż ten, którego stać na wszystko, czego chce. I ja jestem taki szczęściarz.

Brawo, Koral. Idioci stawiają sobie zadania, wyznaczają cele. Wspinają się, dążą, wznoszą się i spadają, na garbach dźwigają jakichś innych. Nienawidzą, kochają, cierpią, bywają w siódmym niebie i na dnie piekieł – i co z tego mają? Trafiają, jak każdy, na wysypisko odpadów zwane cmentarzem. Komuś postawią pomnik. Inni ten pomnik zburzą. Co umarlakowi po rzeźbie? Koral ma policzone pieniądze, ułożony budżet, środków starczy mu na najbliższe trzysta lat. Pomnika dla siebie nie przewiduje.

– Tęsknią słabeusze, którym potrzeba podpórki – kontynuuje Koral. – Nie umieją się spełniać bez innych. Ja zawsze byłem samowystarczalny. Pan Bóg stworzył dla mnie świat – i bardzo ładnie z Jego strony. Każe mi dbać o siebie, i ja to robię.

Jeszcze po jednej szklaneczce. W dole, rzęsiście oświetlonym bulwarem, przewalają się kolorowe tłumy Rosjan w słomkowych kapeluszach, posągowi Skandynawowie, stetryczali niemieccy emeryci i ich nieletnie Tajki wymalowane jaskrawo, w szortach jak figi. Morze odbija blask reflektorów, bez nich go nie ma, sama czerń. Tutaj życie nie toczy się naprawdę, wszystko jest na niby, jak w lustrze nad wiktoriańskim łożem Korala, kiedy hasają po nim płatne „dobiegaczki". Pogryzamy rybne krakersy, suszone krewetki w pancerzykach. Paskudztwo.

Czy zazdroszczę Koralowi, że sam dla siebie jest światem i reszta go nie obchodzi? Włącznie z synem? Syn jest dorosły, ma kancelarię adwokacką, chętnie skubnąłby ojca, choć świetnie mu się wiedzie. Koral jest bliższy naturze niż ja. Zwierzęta, które same są naturą, dbają o swoje młode do chwili ich samodzielności. Potem pełna obcość, aż do wrogości czasami.

Koral jest w porządku. Nikogo nie gra, w przeciwieństwie do większości z nas. Dogadzając sobie, wspiera innych, bo za wszystko płaci, więc jest pożyteczny społecznie. Widzieć w nim uroczego potwora, ponieważ nie cierpi, nie poświęca się, nie współczuje? Absurd.

Kiedy mu przyjdzie umierać, chyba nie zawoła „Mamo…" jak mój nieszczęśliwy przyjaciel Edward Love. Będzie stawiał opór do samego końca.

ROZDZIAŁ 59

Ptasidziób siedzi sztywno w głębokim fotelu z wiśniowej skóry i patrzy z miłością w oczy Mistrza. Mistrz ma olbrzymie mieszkanie w secesyjnej kamienicy w centrum miasta. Niewiele zostało takich kamienic, gdzie sufity, pokryte sztukaterią, unoszą się cztery metry

nad starym dębowym parkietem. W przeszklonych szafach bibliotecznych galeria ksiąg w oprawach ze złoceniami. Za kryształową szybą jednej z szaf stoją ciasno starodruki opakowane w poszarzałą tłoczoną skórę, zwoje pergaminów, wypłowiałe średniowieczne mapy. Nad mahoniowym biurkiem wiszą dwa niewielkie portrety w prostych gipsowych ramkach: marszałek Piłsudski po lewej, Roman Dmowski po prawej. Nad drzwiami krzyż ze Zbawicielem, poczerniały ze starości.

W gabinecie Mistrza Ptasidziób jest po raz pierwszy. Swoich gości Mistrz przyjmuje wyłącznie w saloniku, gdzie są pluszowe kanapy i foteliki ustawione półkolem przed kominkiem, nad którym wisi Lenin przemawiający na wiecu, z wyciągniętą ręką, w kaszkiecie. Pod Leninem, na marmurowym gzymsie, stoi antyczny zegar z tancerką, która co godzinę wykonuje piruet. Obok kominka jest bar: owalny kontuar z czarnego granitu, przed nim wysokie stołki, za nim na lustrzanych półkach hiszpańskie wina, rum kubański, francuskie koniaki Martell, Hennessy, Remy Martin, a także ormiański markowy, gruziński Eniseli i bogata kolekcja whisky. Zwykłych gości Mistrz częstuje wódką żytnią i sokiem grejpfrutowym, specjalnych – a bywają tu nawet członkowie Biura Politycznego – Mistrz pyta, czego się napiją, i kończy się też na żytniej pod sok grejpfrutowy. Kariera whisky w Polsce jeszcze nie nadeszła.

Ptasidziób jest po raz pierwszy w gabinecie Mistrza i dyskretnie strzela oczami na boki, gdy Mistrz na niego nie patrzy. Niby nie patrzy, ale widzi. Uśmiecha się cieniuteńko, kiedy wzrok młodego gościa przywiera do dwóch portretów, a potem do krzyża nad drzwiami.

– Chciałbyś o coś zapytać? – słyszy Ptasidziób.

– Nie, nie – zaprzecza żarliwie.

– Cieszę się. Jesteś bystrzejszy, niż myślałem.

Mistrz się myli. W przyciasnym mieszkaniu Ptasidzioba – dwa małe pokoiki, w mniejszym Agnieszka z Kają, w ciut większym, służącym za sypialnię i gościnny, Anna i on – nie wisi żaden wódz rewolucji, ale z pewnością nie zawisłby Marszałek, a co dopiero filozof polskiego faszyzmu Roman Dmowski.

– A tak naprawdę? – zdobywa się na odwagę Ptasidziób. – Pan ich szanuje?

Te dwa portrety mogą być prowokacją intelektualną Mistrza. Swoistym ekscentrycznym żartem.

– Szanuję Einsteina, Eisensteina i Orsona Wellesa. – Mistrz uśmiecha się ciepło. – Ale obcych tutaj nie wpuszczam. Ciebie polubiłem, choć jeszcze nie wiem, dlaczego. Jest w tobie coś, młody człowieku. Może dziecięca naiwność, a może głupota, to się wkrótce okaże.

Ptasidziób nagle postanawia, że nie chce czekać na „wkrótce". Dla kurażu pociąga ze szklanki duży łyk żytniej i nie popija sokiem.

– Pan przecież jest komunistą – rzuca prawie wyzywająco. – Jeszcze sprzed wojny. Pomimo łagrów, Syberii. Podziwiam pana za to! Ja też…

– Co ty też? – pyta Mistrz z zaciekawieniem. – Poszedłeś na to czy dałeś się oszukać?

Ptasidziób nie rozumie. Mistrz bywa kpiarzem wyrafinowanym. Trudno odkryć podtekst.

Powoli cedzi swoją żytnią. Chyba się zastanawia, czy warto dalej rozmawiać z Ptasidziobem.

– To wygodne – stwierdza. – A może masz w tym interes? Bo lewitujesz od czasu do czasu. Wstydzisz się tego, prawda? Wszyscy o tobie wiedzą, nie łudź się, młody człowieku… – Tu słynny Mistrza diaboliczny uśmieszek. – Przyznaj się, w skrytości ducha bywasz z tego dumny. A jedno i drugie to głupota. Komunizm nie uznaje różnic między ludźmi. I słusznie! Ale… dla was, ptasiowatych, czyni wyjątek. Tak jak wszędzie indziej, od Arktyki po Antarktydę. Jak myślisz, dlaczego nigdzie was nie lubią?

– Dlaczego? – pyta szeptem Ptasidziób.

– Na to sam sobie odpowiedz – Mistrz uśmiecha się ciepło. – A komunizm nie ufa wam szczególnie. To jest zresztą podstawowa cecha komunizmu, nikomu nie ufać, nawet sobie samemu. Więc nie można się obyć bez dyktatury, bez absolutnego totalitaryzmu, bez krwawej przemocy. Kiedyś była to zaostrzająca się walka klas, bo należało to nazwać. Teraz bez nazywania. Za mordę. Na kolanach. Zasłużonemu do obgryzienia kość. Nieposłusznemu czapa. – Chwilka

zadumy. – Być może byłoby warto, gdyby cel był realny. Ale to absurd.

– Ja naprawdę nie rozzz… umiemmm… – jąka się Ptasidziób, wybałuszając oczy na Mistrza.

– Najtrudniej pojąć rzeczy proste – zgadza się Mistrz, a może z lekka ironizuje. – Komunizm dałoby się zrobić, gdyby wszyscy ludzie mieli tak samo pod kopułą. Wyłącznie sangwinicy. Leworęczni. Te same usposobienia, jednakowe sny. Umiłowanie pracy, seks z żoną raz w tygodniu dla prokreacji, kolor czerwony, owoc jabłko, liczba pięć. Niestety. Nie da się zrobić sprawiedliwego świata, bo ludzie się różnią. Tak bardzo się różnią, synu, że nie pomagają łagry ani masowe egzekucje.

Mistrz milknie. Dolewa sobie wódki. Ptasidziób kurczowo trzyma się poręczy fotela. Boi się, że może unieść się w górę o jakiś centymetr, a tego nie chciałby za nic.

– To dlaczego pan im służy? – wydusza z siebie.

– Jesteś głupcem czy udajesz głuptaka? – pyta Mistrz. – My kierujemy się rozsądkiem.

– Jacy my?… – bełkocze oszołomiony Ptasidziób.

– Szekspir. Michał Anioł. Goethe, Goya, Leonardo da Vinci. Myślisz, że kochali panujących, którym służyli, wykonując dobrze płatne zamówienia? Z życiem trzeba się układać, młody człowieku. Tu i teraz, a teraz nie ma innego tu, tylko to tutaj. Żaden system nie jest szczelny, w każdym można wyżłobić sobie niszę i w niej się spełniać. Systemy mijają, mój drogi, a to, co naprawdę ważne, trwa i trwać musi. Jest więc i cel szlachetny, któremu nasz konformizm ma służyć. A że przy okazji kariera, korzyści różne, na przykład moja rezydencja, dwieście metrów kwadratowych, parkiety z intarsją? Nie chciałbyś?

Ptasidziób wstaje z fotela. Patrzy Mistrzowi prosto w oczy.

– Po co ten test? – pyta. – Dlaczego pan mnie sprawdza?

– Brawo – cieszy się Mistrz. – Byłem pewien, że się domyślisz. No, czas na ciebie.

– Mój film – mówi Ptasidziób. – Dziękuję panu za przechowanie. Chciałbym go zabrać.

– Film?… – Mistrz nie bardzo pamięta. – A, to nagranie spod uniwersytetu, Marzec ’68, przypominam sobie. Skrzywdziłeś kilku porządnych ludzi.

– Ja?…

– Pomogłeś ich zidentyfikować. Widziałem protokół z twojego przesłuchania.

Ptasidziób czuje uderzenie gorąca.

– Pan miał ten film przechować. Obiecał pan…

– Niestety – rzuca sucho Mistrz. – Ale to ty pomagałeś bezpiece w identyfikacji liderów. A teraz wynocha, na dziś mam ciebie dosyć, młody człowieku. Pani Jagno, proszę wyprowadzić gościa.

Gosposia, milcząca i tłusta, pilotuje Ptasidzioba do drzwi na klatkę schodową.

To się nie dzieje naprawdę. Naprawdę stoję wciąż przed secesyjną kamienicą przy Sto Trzynastej Ulicy i zamierzam sprawdzić, czy pamiętam kod domofonu. Ale co w takim razie popijam z wysokiej szklanki, trącając się z Ptasidziobem? Żadne whisky. Dry sherry vodka, wytrawna wiśniówka, którą do dziś bym wielbił, gdyby wiele lat temu nie przestano jej produkować. Ptasidziób nie poleciał na pogrzeb matki. Piątego lipca, nazajutrz po jej śmierci, po raz pierwszy miał wykład po angielsku w audytorium pełnym studentów. Był spokojny, opanowany, nawet uśmiechał się, kiedy to było konieczne. Jego angielski, dotąd chropawy i pełen dziur, teraz płynął rytmicznie jak pod dyktando. Duch matki musiał nad nim czuwać. Nikt nie spostrzegł zapuchniętych oczu.

– To nie byłem ja – przyznaje mi się. – Nie wiem, kto miał ten wykład. Nic nie wiem, nic nie pamiętam.

Po tym wykładzie zaprosił go na rozmowę dziekan i zaproponował pełny etat na uczelni.

– Chyba nie chcesz wracać do komunistów? Columbia wystąpi do Waszyngtonu o prawo stałego pobytu dla ciebie i twojej rodziny.

– Mojej rodziny tu nie ma – powiedział Ptasidziób. – Żony i córek władze nie wypuszczą z kraju.

– Poprosimy o pomoc naszych przyjaciół w Organizacji Narodów Zjednoczonych – obiecał dziekan. – Są też pewne formy dyskretnego

nacisku kanałami dyplomatycznymi.

Ptasidziób wyobraził sobie, że zostaje w Ameryce na zawsze, i się przestraszył.

– Czego się przestraszyłeś? – pytam, choć powinienem znać odpowiedź.

Ptasidziób siada przy biurku, bokiem do mnie, i ze sterty studenckich wypracowań zwanych p a p e r s bierze pierwsze z brzegu. Są to szkice scenariuszy dokumentu *Oko kamery. Gdzie szukać prawdy o człowieku?*. Na jutrzejszym seminarium trzeba je będzie omówić. Chwilę czyta, a może udaje, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nigdy nie będę tu rozumiał znaczących spojrzeń – rzuca, wpatrzony w studencki rękopis. – Nie połapię się w aluzjach. Będę obcy.

– Tutaj nie zarekwirują ci filmu – podpuszczam. – Nie wytkną, że czasem lewitujesz, do pary z Edkiem Love, któremu to nie szkodzi w karierze.

– On się nie przyznaje – zauważa Ptasidziób. – Nigdy nie chce ze mną o tym rozmawiać. Dziwne. Jak ktoś czasami ciut się unosi nad ziemią, przecież nie da się tego ukryć.

– Są specjaliści, którzy takich wywąchują na kilometr – zgadzam się. – Nawet bez lewitowania. Jak psy myśliwskie.

– Ale dlaczego, do jasnej cholery? – wybucha Ptasidziób.

– Tak już z nami jest. – Uśmiecham się. – Można by rzec – atawizm. Ze wsparciem wielowiekowych dość paskudnych doświadczeń. Ale tutaj uchodzi to na sucho, a nawet, czasem, robi dobrze.

– To dlaczego Ed…

Ptasidziób nie kończy.

– Bo kiedyś swoje przeszedł i mu zostało. Co ty wiesz o Edwardzie Love? On sam wie nie za dużo, był wtedy dzieciakiem. Paskudna rzecz, podświadomość. – Urywam na chwilkę, żeby sobie łyknąć. – Tu jest jak wszędzie, tylko demokratyczniej. Gdzie jeszcze, oprócz Ameryki, w jednym budynku sąsiadują ze sobą kościół, meczet, cerkiew i synagoga? Nikt o tym głośno tam nie mówi, ale wiadomo,

że Bóg jest jeden i ten sam, a koszt utrzymania świątyni dzieli się na cztery. Natomiast co do lubienia…

Teraz ja nie kończę.

– Dokończ – upomina się Ptasidziób.

Po głowie chodzi mi pejsaty genetyk, mój sąsiad w samolocie, lecący z Nowego Jorku do Krakowa na zaproszenie Uniwersytetu Jagiellońskiego.

– Generalnie nikt nikogo nie lubi. – Pociągam łyk sherry. – Nawet w rodzinie często. Potem zaczyna się stopniowanie. Wspólna granica, stopień zamożności, jakaś przeszłość, konkurencja o względy, o awans. Szczęście i pech. Odczucia i przesądy. Jak rudy, to fałszywy, jak złe spojrzenie, to urok, a blondynki są głupie…

– Same banały – przerywa mi Ptasidziób. – Mnie chodzi o lewitujących.

– Wina genów – zaczynam tekstem pejsatego. – Zmutowani jesteśmy. Selekcja nienaturalna. Słabszych z nas wybijano przez tysiąclecia, przetrwali najtwardsi. Twardość mięśni, otwartość umysłu, elastyczność sumienia i spryt. A wśród nich aż się roi od pyszałków, od nadaktywnych, którzy wtykają swoje ptasie nosy w cudzy interes. Roi się od fanatyków i od cwaniaków. A że nigdzie od wieków nie byli u siebie, więc tym mocniej rzucają się w oczy. Zwłaszcza lewitując.

– Marc Chagall… – mamrocze Ptasidziób.

– On! – podchwytuję. – Świetnie to narysował: *Witebsk. Widok z góry*.

– Ten obraz nazywa się inaczej.

– Ale mógłby nazywać się tak.

Ptasidziób patrzy na zegar, potem na drzwi i chyba odruchowo w okno, za którym niczego przecież nie można dojrzeć prócz kamiennej studni.

– Gdzie jest Ilana? – rzuca niecierpliwie; nie pamięta – albo nie chce pamiętać – tego, co oglądaliśmy razem po wspólnym locie nad Manhattanem, w oknach pałacu Nadira Pahlawi.

Nie jest też wykluczone, że lot dopiero przed nami.

– Powróżyć ci? – pytam, żeby go trochę rozruszać, wytrącić z ponuractwa.

– Jesteś starą Cyganką czy potomkiem Nostradamusa? – ironizuje Ptasidziób.

– Jednym i drugim – odpowiadam z powagą. – Żebyś mi wierzył, wyjawię ci fakt z przeszłości, który możesz znać tylko ty.

– Kamera! – rzuca z uśmieszkiem Ptasidziób.

– Poszła. – Pociągam łyk wiśniówki. – Jest wieczór. Mama drzemie w fotelu, czekając na powrót ojca z jakiegoś zebrania. Pali się mała nocna lampka. W przedpokoju na stoliczku leży torebka matki. Łamiesz się, nie robiłeś tego nigdy przedtem, ale koledzy już czekają na dole. Przegrałeś zakład, masz im postawić krem z malinami w Barze Owocowym na Marszałkowskiej, wystarczy na to trzydzieści złotych. I tyle ukradkiem wyłuskujesz z matczynej portmonetki, a przecież cienko wam się wiedzie, żyjecie z renty ojca, każdy grosz się liczy w domowym budżecie…

– Dość! – ryczy Ptasidziób.

– Nigdy do tego się nie przyznałeś. Ojciec rozzłościł się na matkę, że szasta pieniędzmi, była awantura, wybiegłeś z domu, żeby nie słuchać…

– Dość!

– Dość to dość – zgadzam się. – To ty rzucisz Ilanę, a nie ona ciebie, wrócisz do Polski, tam zaliczysz jeszcze kilka przelotnych acz bujnych romansów, zrywając, gdy zacznie być niebezpiecznie, ale to ciebie porzuci Anna, odchodząc na dobre do innego mężczyzny.

– Bredzisz. – Ptasidziób uśmiecha się krzywo. – Ona mnie? Na głowę upadłeś.

– Odejdzie aż za ocean – ciągnę – i miną lata, ale wszystko kiedyś się kończy. Mężczyzna opuści Annę, a ona wtedy zechce wrócić do ciebie, posypując głowę popiołem.

Ptasidziób słucha. Dał się wciągnąć.

– Okażesz się nadspodziewanie szlachetny – przepowiadam. – Popełnisz nieodwracalny błąd. Podpowiesz Annie, jak ma usprawiedliwić swój postępek: ponieważ przez całe lata ją zaniedbywałeś. Sypiałeś w swoim gabinecie, nie kupowałeś jej kwiatów. Byłeś kobieciarzem. A ona, jeszcze młoda i atrakcyjna, potrzebowała adoracji. Nie chciała się zestarzeć na drugim planie. Jak więc mogła się oprzeć zakochanemu do szaleństwa

przystojniakowi, wziętemu adwokatowi w Chicago? Teraz żałuje. Nadal cię kocha. Chce do ciebie wrócić.

– Za nic – mruczy Ptasidziób. – Gdyby coś takiego zrobiła…

– Za nic – przytakuję. – Gdy będzie nalegać, powiesz jej brutalnie, że nie prowadzisz wypożyczalni żon. A to dlatego, że – po latach depresji, oszołomienia i bezradności – odnalazłeś siebie. Jesteś już z L. I jesteś szczęśliwy.

– Happy end – ironizuje Ptasidziób. – Opera mydlana.

– Nie wszystko pójdzie tak gładko – ostrzegam. – Wróżyć dalej?

– Kamera.

– Poszła. Widzę kilka filmów, na cenzuralnej krawędzi, prawie buntowniczych. Słyszę twoje kłótnie z politycznymi decydentami najwyższego szczebla. Wbijasz im do głowy, że zatrzymanie tych filmów przez cenzurę przyniesie więcej szkody niż akceptacja. Przekonujesz, że emisja *Władców miraży*, *Odtrąconych* i *Układu drążenia* pomoże rozładować społeczne napięcia i uwiarygodni decydentów w oczach wzburzonego ludu. Mistrz cię poprze i to zadecyduje.

– Wróżysz mi kunktatorstwo czy tylko wyrachowanie? – pyta Ptasidziób.

ROZDZIAŁ 60

15 lutego, piątek, rok 2013, godzina piąta po południu. Powietrze w Pattaya jest ziołowe i duszne, nadmorskim bulwarem Jomtien Beach przewalają się tłumy weekendowych Tajów. Rozsiądą się na chodnikach, na obrzeżach jezdni albo wprost na plażowym piasku i tuż po zachodzie słońca, który nastąpi około szóstej piętnaście, zacznie się ucztowanie. Wózki handlarzy jedzeniem już czekają, na rusztach skwierczą kalmary, krewetki, kurczaki i ryby, skorpiony i koniki polne, w kotłach buzuje ognista zupa tom yum, od której białym oczy wyłażą z orbit. Do tych przysmaków Tajowie piją coś o zapachu nafty, co nazywają tajską whisky i rozcieńczają wodą. Na parkingach zaczynają błyskać kolorowymi światłami muzyczne

półciężarówki, całe w głośnikach, z których po szóstej piętnaście wybuchnie wulkan decybeli – heavy metal – i zatrzęsą się mury eleganckich hoteli, zadźwięczą szyby w panoramicznych oknach.

Zapaliłem świeczkę. Małą, żółtą, jaką Tajowie w świątyniach zapalają Buddzie. Zapaliłem ją Agacie Celińskiej, naszej kochanej Agatce, zawsze pogodnej i uśmiechniętej, mimo pustoszących ją chorób. Agatce, która dla każdego miała dobre słowo, ciepłą strawę dla bezdomnych kotów, a dla nas, przyjaciół, pulchny sernik na nienagannie twardym spodzie, bo tylko taki lubił jej Zdzisio.

Odeszła niespodziewanie.

A kto, ważny dla nas, odchodzi inaczej?

Kilka dni wcześniej ja i L. rozmawialiśmy z nią przez Skype'a, patrzyliśmy na siebie, wesoło szczerząc zęby, i Agatka zapowiadała na nasz powrót z Tajlandii pod koniec lutego sernik nad sernikami.

Kiedy to piszę, trwa msza w Rembertowie. Najbliżsi i bliscy żegnają Janinę Celińską, z domu księżniczkę Małachowską, smukłą i bujnowłosą, o wyrazistych szlachetnych rysach, naszą wesołą, dobrą Agatkę, która tak nagle przestała żyć.

Znów mnie ubyło.

Jest szósta piętnaście. Słońce w Pattaya zaczyna tonąć w szaromlecznych mgłach tuż nad wodami zatoki.

ROZDZIAŁ 61

– Ni jedno, ni drugie – odpowiem Ptasidziobowi. – Ty im będziesz chciał pomóc. Twoje filmy są prawdziwe i przez to chwilami okrutne, prawie nieludzkie, lecz nie beznadziejne. Wciąż będziesz wierzył, że ONI chcą dobrze. Tylko ten opór materii, zawiść Zachodu, te krasnoludki wredne, które sikają nam do garnków. Żadna dywersja. Nie będziesz trzymał z opozycją, tak zwaną opozycją demokratyczną, która otwarcie zmierza do obalenia ustroju. Po pierwsze, będziesz pewien, że ustroju obalić się nie da, ponieważ wpisany został w porządek świata. Nienaruszalna strefa wpływów Związku Sowieckiego, zmumifikowana na wieki przez wielkie mocarstwa. Po

drugie, jeszcze będziesz pewien, że ustrój jest doskonały, a złe są wynaturzenia, które da się w końcu usunąć.

– A nie jest tak? – rzuca wyzywająco Ptasidziób.

– Emil Popiołek będzie cię namawiał do zbliżenia z opozycją, co najpierw cię zdziwi, a potem zirytuje – ciągnę wróżenie. – Tam zresztą nie będą cię chcieli. Są zdania, że twoje buntownicze filmy wcale nie są buntownicze, bo zbudowane na półprawdach.

– Bzdura!

– Na pewno? A może jednak z faktów prawdziwych nie wyciągasz jednoznacznych wniosków?

– Nie wyciągam żadnych – prostuje Ptasidziób. – Od wniosków jest widz.

– Oj, chytrzysz, chytrzysz. – Uśmiecham się. – Kompozycja faktów, ich przewrotna architektura, naprowadzają na wnioski. Mistrz będzie cię popierał nie dla twych pięknych oczu. On się poznał na tobie.

– Po coś tu przylazł? – pyta Ptasidziób.

Nie wiem, co mu odpowiedzieć. L. czeka na mnie coraz niespokojniej, widzę, jak przemierza nerwowo szklaną przestrzeń w wieżowcu nad Manhattanem. Może bym chciał poprawić sobie życiorys?

– Nie przypuszczałem, że ciebie tutaj zastanę – mruczę po trosze do siebie. – Sprawdzałem tylko, czy jeszcze pamiętam kod domofonu. Oprowadzam L. po moim Manhattanie.

– Co to za L.? – pyta podejrzliwie Ptasidziób.

Z czasem jest kłopot. Ten Tam zaprojektował go liniowo, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Wariant optymalny: człowiek się rodzi i najpierw radosne dzieciństwo, dalej bujna młodość, później odpowiedzialna dojrzałość, awanse i sukcesy, a tuż potem starość i klops. Starzejemy się już od narodzin, ale na pocieszenie dostajemy krótkoterminową młodość. Jej zaletą jest brak poczucia pędzącego czasu. Mamy wrażenie, że tak będzie zawsze. Wkładamy sporo trudu, żeby dojrzeć i dojść do czegoś w życiu, a kiedy mamy szanse zrozumieć, o co chodzi, zaczyna się degradacja. Stopniowo zanika jasność myślenia, obumiera pamięć, coraz nam bliżej do amnezji. Towarzyszy temu deformacja materii: gaśnie blask oczu i słuch

zanika, marszczy się skóra, wiotczeją mięśnie, zdziera się chrząstka w stawach, marniejący kręgosłup miażdży nerwy. To przygotowanie do zgonu, jeśli mamy szczęście. Gdy go nie mamy, wcześniej zżera nas rak, ciśnienie rozsadza naczynia krwionośne, martwieje wątroba, wybucha serce. Co tu jest szczęściem, a co nieszczęściem? Nie do końca wiadomo. Uważa się, że szczęściarzem jest ten, kto umiera nagle i bez cierpień. Kto by to wiedział? Ja wiem, jak się umiera w naturalny sposób.

Wieczór sylwestrowy, wybieramy się do przyjaciół. Kiedy wiążę krawat, z nagła cios w podbrzusze. Jakby pchnięcie nożem. To perforacja jelita, zapalenie otrzewnej, zakażenie całego organizmu: wykonano spóźnioną operację, nie rokując mi przeżycia, i leżałem sobie, nieprzytomny, ale nie całkiem, ponieważ wiedziałem, że siedzi przy mnie mój ojciec. Rejestrowałem, że płacze – on, zimny introwertyk, nieokazujący uczuć, opanowany i powściągliwy – gniewnie wadzi się z Bogiem, sycząc przez zęby, że przed rokiem zabrał mu żonę, moją matkę, a teraz odbiera jedynego syna. Moja nieprzytomność sprawiała, że nie mogłem mu dać żadnego znaku. Gorzej: nic mnie jego rozpacz nie obchodziła. Pławiłem się w ciepłym półśnie, w jakiejś płynnej euforii, która zapewne przeszłaby w nicość, gdyby nie brutalne zabiegi lekarzy. Nagle poczułem dziki ból w rozkrojonym brzuchu – i to był powrót do życia.

Gdyby Ten Tam zechciał mnie posłuchać, zafundowałby nam czas wahadłowy. Uważam, że byłby to dobry pomysł. Co by Mu szkodziło? Przychodzimy na świat i żyjemy sobie, powiedzmy, lat pięćdziesiąt. Potem cofamy się do lat siedemnastu. I do przodu: 49 – 18, 48 – 19, 47 – 20, aż kalendarz się wyzeruje i wtedy adieu. Omija nas rozpad. Młodniejąc, wykorzystujemy nabyte z wiekiem doświadczenia. Starzejąc się, czekamy bez paniki na powrót młodości. Odchodzimy, gdy daty się zbiegną, cyfry zrównają, gdzieś tak pośrodku.

– L.? – Zastanawiam się nad odpowiedzią. – To dar przeznaczenia. Przeznaczenie zazwyczaj nie robi nam prezentów. Jest jak walec drogowy. Co dostawali w nagrodę nasi lewitujący bracia za tortury na gestapo? Wstęp do komory gazowej. Ale zdarzają się wyjątki i takim wyjątkiem właśnie jestem ja. Przeżyłem parę katastrof, które zbiegły się w czasie. Padł mój świat i odeszła Anna. Nie mogłem

mieć za złe światu, że uległ transformacji, ani Annie, że zapragnęła przeżyć zasłużoną drugą młodość z innym człowiekiem. Mieć za złe to domena głupców. Znalazłem się jednak na podwójnym dnie i wtedy przypadkiem spotkałem L.

– Nie ma przypadków – wtrąca Ptasidziób.

– Są – replikuję. – Wyłącznie. Z ich zbiegu wykluł się wszechświat i moja tutaj obecność.

Zupełnie przypadkowo L. i ja znaleźliśmy się w tym samym miejscu o tym samym czasie. Ja samotny i zrezygnowany, bez szansy na odbicie się od dna, L. – u progu decyzji rozstania się z mężem, który ją zdradzał. I ona, i ja w apogeum depresji. I czysty przypadek sprawił, że spojrzeliśmy sobie w oczy i że zaiskrzyło. Krótkie spięcie? Reakcja chemiczna? L. jest młodsza ode mnie o kilkadziesiąt lat, przy takiej różnicy wieku nic nie jest normalne. Albo dwustronne wyrachowanie, albo… No właśnie, powiedziałby Edek Love. Różnice wyparowują, rozpływają się we mgle zauroczenia, kalendarz rozpada się na kawałki. Męczarnia niepewności, strach przed niepojętym. Mroczne komplikacje, które każą od siebie uciekać, podsycane intrygami osób trzecich. I przełamanie. Jak w bajce z happy endem. Na przekór spreparowanym – a może nie? – to i co z tego? – faktom. „To i co z tego?" – powie mi Kuba w Paryżu, dokąd uciekam, żeby zrobić ze sobą porządek. „A gdyby nawet, to co z tego? Jeżeli chcesz być z L., a nawet ją kochasz, czego nie możemy wykluczyć, nie bądź idiotą. Łap swoją szansę. Jeśli to brzytwa, najwyżej się skaleczysz". Nie skaleczyłem się. Kuba zawsze radził mi mądrze. Zbyszek S. także: powiedział mi mniej więcej to samo, pukając się w czoło kościstym palcem. „Nie marudź. Bierz. Istnieje tylko czas teraźniejszy, przeszłość i przyszłość to nonsens".

– Kim ona jest? – pyta Ptasidziób.

– Jest mną, choć nie nazywamy tego w ten sposób.

Skrzyżowanie Masaja z Nowej Zelandii i pół-Eskimoski z Rovaniemi, którzy poznali się na studiach w Radomiu i spłodzili śniadą, miodooką dziewczynkę o cienkich kościach i talencie plastycznym. Stawała się mną stopniowo i bezwiednie. Najpierw dziwiliśmy się, że równocześnie jesteśmy głodni, mamy ochotę na spacer albo teatr, cieszymy się podobnie z tego samego i razem bez

powodu bywamy smutni. Potem L. nie czuła się zaskoczona, gdy jej odpowiadałem na pytanie, którego nie zdążyła zadać. Na przykład która jest godzina, czy dzwonił jej klient z Poznania, że wychodzę tylko na godzinę. I na odwrót – L. informowała mnie o tym, co chciałem wiedzieć, nim jeszcze otworzyłem usta. Podobno czytanie w myślach odziedziczyła po prababce swojej matki, może po wuju ojca, szamanie plemiennym. A po kim ja? Wiadomo. Jakby mało było tego, że lewituję…

Źle jest żyć bez miłości.

ROZDZIAŁ 62

Koral śmieje się ze mnie. Miłość? Ta bezsensowna reakcja biochemiczna, od której człowiek dostaje małpiego rozumu i zachowuje się jak osioł? Koral od dawna ma to za sobą. Jako gość przyzwoity dwukrotnie się żenił, później miewał długoterminowe kochanki i źle sypiał, bolała go wątroba. Tu i teraz, w Pattaya, nic z tych rzeczy. Sama przyjemność. Ma to, co lubi: szczuplutkie, drobne, do noszenia na rękach, z wyglądu czternastolatki. Dla porządku Koral kseruje ich ID, gdzie stoi jak wół, że ukończyły osiemnaście. Podróba? To już nie jego problem.

– Poznałem przez internet cacuszko – informuje i każe mi obejrzeć serię fotek faktycznie uroczej Tajki. – Studentka czwartego roku medycyny. Umówiła się ze mną na jutro w Rayongu.

Gdy spotykamy się trzy dni później w barze U Staruchy, na bulwarze przy plaży w Jomtien, na przedmieściu Pattaya, Koral pokazuje mi przełamaną śrubę, element podwozia, i opowiada, jakie trudne miał lądowanie. Samolot kołował faliście niczym tancerka na lodzie i tylko cudem nie fiknął koziołka.

Przypominam mu o pękniętej rurce podciśnienia rok temu, w powietrzu, wtedy też tylko cudem wylądował cało.

– Sprzedaj grata – radzę. – To szmelc. Kup sobie porządny samolot.

– Jest porządny – protestuje Koral. – Śruba? Zwykłe zmęczenie materiału.

– A jak jutro zmęczy ci się skrzydło? Albo propeller?

– Nie kracz.

No to przestaję krakać i pytam Korala o randkę ze studentką medycyny. Jest podejrzanie zniesmaczony, krzywi się, kręci nosem.

– Inna niż na zdjęciach? – zgaduję. – Gruba? W okularach?

– Bardzo ładna. Elegancka. Oryginalny Louis Vuitton, Coco Chanel, Versace, znam się na tym. Inteligentna, oczytana i na dodatek…

Nie kończy.

Czekam.

– To poważna dziewczyna. Z tych, co szukają miłości, małżeństwa, potomków.

– Poznała się na tobie?

– Przeciwnie. Mam jej telefon, swojego nie dałem. Przyrzekłem, że zadzwonię.

– Zadzwonisz?

– Nie.

– Coś ty, głupi? – ponosi mnie.

– Nie ma głupich! – Koral szczerzy zęby. – Miłość jest dla romantyków. Ja lubię seks. Tylko seks, i na wesoło. Moje „dobiegaczki" pękają przy tym ze śmiechu, ja razem z nimi, potem im płacę i jesteśmy kwita. Idą sobie. Po tym chcę być sam, żeby się zdrzemnąć albo film obejrzeć.

– Żal mi ciebie, żyjesz na ćwierć gwizdka – mówię z powagą. – Nie ma spełnienia bez uczuć. Aby się spełnić, trzeba trochę cierpienia, trochę euforii, ciut niepokoju, minimum marzeń. Zadowalasz się podróbami.

– Jak najbardziej – pogodnie zgadza się Koral. – Wiesz, jak smakują podróby? Nie wiesz.

– Nie wiem.

– Jak podroby. Ozorek, flaki, salceson. Pyszności! Studentka nazywa się Sompit. Poleciłem ją koledze. Francuz, pilot, multimilioner, samotny, chce założyć rodzinę, mieć dzieci. Na szyję mi się rzucił, kiedy mu dałem jej telefon.

– Alfons – syczę.

– Nie wziąłem od niego pieniędzy. Po co marnować kontakt?

Koral swoje przeżył. Umie bywać bezinteresowny. Do jego definicji wolności należy dodać: „Nie być zależnym od nikogo, nikomu niczego nie zawdzięczać, nie mieć żadnych zobowiązań. Być tylko sobą dla siebie".

A kto niby nie ma prawa być wyłącznie sobą?

Ja nie mam.

Lecimy z Koralem nad Pattaya jego płócienną skrzydlatą zabawką z dwutaktowym silniczkiem. Samolocik terkocze jak traktor, pod nim seledynowe morze, lustrzane rozblaski, za plecami pomarańczowa kula wschodzącego słońca. Jest siódma rano. Mam nadzieję, że nie trzaśnie nam śruba, nie pęknie rurka z plastiku. Na prywatnym amatorskim lotnisku, dzierżawionym przez Jima, Amerykanina z Nebraski o podobnym felerze jak Koral i jeszcze większej kasie, dość często kogoś ubywa z doborowego towarzystwa odmieńców latających. Ten spada, tamten się spala, inny tonie wraz ze sprzętem w płytkiej i mętnej Zatoce Syjamskiej albo Tajlandzkiej, jak kto woli. Ostatnio zabił się Chińczyk, też dziwak i samotnik z kasą. Bez kasy nie ma co robić na lotnisku Jima. Ani w marinie, gdzie cumują jachty, ani na bulwarze nabrzeżnym, gdzie na klientów czekają miniaturowe dziewczynki, ładni chłopcy i piękne transwestytki o kuszących biustach i z zaskoczeniem pod spódniczką.

– Nie boisz się, że spadniemy? – pytam Korala, który ciągnie drążek na siebie i jego płócienna zabawka z rykiem rwie ku górze na spotkanie purpurowej kuli. – Bo ja nie chciałbym…

– Kto by chciał? – śmieje się Koral i jeszcze dodaje gazu, od czego silnik zabawki dostaje niepokojących drgawek, jakby za chwilę miał się rozlecieć w drebiezgi.

Na jachcie bywa jeszcze groźniej podczas sztormu. Pięciometrowe fale, dziewiątka w skali Beauforta, maszt pęka, żagiel odfruwa. I co z tego? Koral działa rutynowo, zgodnie z instrukcją obsługi, a wtedy nie ma czasu na strach. Jest za to adrenalina.

Narkoman. Uzależniony. Hazardzista fanatyk.

Koral niczego się nie boi oprócz problemów. Osobistych, rodzinnych. Osobiste umie omijać, z rodzinnymi jakby gorzej. Właśnie dostał dwa e-maile, od syna i od synowej. Syn informuje

krótko, że rozstał się z żoną i przeprowadził do matki, pierwszej żony Korala.

Synowa pisze, że syn Korala okazał się infantylnie okrutny. Co by to miało znaczyć? Koral też rozstawał się z żonami, ale syn nie jest podobny do niego – lubi ład, wykapana mamusia. W dodatku dzieci. Trójka. Nieletnie jeszcze. Koral cierpi i jest tym zaskoczony. Nie zna siebie? Nie jest wolny od prymitywnych uczuć ojcowskich. Syn chce pójść w jego ślady? Jeszcze czego! Z tym się trzeba urodzić, z takim jakimś defektem, wynaturzeniem, odmiennością po prostu, żeby żyć tak jak Koral i czuć się szczęśliwym – nikomu nie szkodząc. Koral nikomu nie szkodzi, jest tylko sobą i wyłącznie na własny rachunek. To czemu tak się denerwuje? Dlaczego kupił bilet w Air France – pierwsza klasa, ma się rozumieć – i jutro odlatuje do Polski? Czy oni go tam potrzebują? Koral nigdy nikomu się nie narzuca. A tu masz ci.

Człowiek to maszyneria konsekwentnie niezrozumiała i precyzyjnie nieprzewidywalna. Ciekawe, kto ją wymyślił. I po co. Żeby to jeszcze bardziej zachachmęcić, Koral swój lot w ostatniej chwili odwoła i wypuści się w rejs swoim jachcikiem gdzieś w okolice Koh Chang, a jego synalek, nie rezygnując ponoć z separacji, z żoną i dziećmi pojedzie na narty do Włoch. Separacja na nartach we Włoszech rzadko się sprawdza. Ale Koralowi nic już do tego.

ROZDZIAŁ 63

– Przestań spotykać się z Zygmuntem – mówię do Ptasidzioba. – Kiedyś bokiem ci to wyjdzie.

Nie rozumie. Wybałusza na mnie swoje wyłupiaste oczy.

– Konsul to sympatyczny facet.

– Jak Emil Popiołek?

– Właśnie.

– Za alkohole i papierosy w dyplomatycznym sklepiku płacisz dziesięć razy taniej niż na mieście. Zakup idzie na konto Zygmunta. Myślisz, że on to robi dla twoich pięknych oczu?

– Lubimy się. Oglądał moje filmy. Mamy zbliżone poglądy na wiele spraw.

– Udajesz idiotę? – pytam, czując wzbierający gniew. – Nasi konsule nie bywają bezinteresowni. Taką mają pracę. Jest limit dla dyplomatów na alkohol i papierosy, nikt nikomu nie odstępuje przydziału za darmo. Ciężko za to zapłacisz.

– Czegoś ty się do mnie przypieprzył? – wybucha Ptasidziób. – A gdyby nawet? Czy ja zdradzam ojczyznę?!

Milknę. Przychodzi mi do głowy pewien absurdalny pomysł. Najpierw mnie przeraża, potem trochę śmieszy, wreszcie pogrąża w zadumie.

– Emil zapewnił mnie, że Zygmunt to porządny człowiek… – słyszę jakby z bardzo daleka.

Nie powiem ci, że Emil Popiołek strzelił sobie w usta. Był już w randze pułkownika, podobno miał raka z przerzutami. Nie zostawił pożegnalnego listu. Zostawił natomiast w stanie nietkniętym listę swoich rozmówców oraz ich teczki, które zapełniał zgodnie z procedurą. Chcesz wiedzieć, jaki miałeś pseudonim? Na kogo donosiłeś i kto na ciebie donosił? Wszyscy byliście donosicielami. No, prawie wszyscy, z wyjątkiem promila twardzieli oraz tych, których nie chciano. Osoby publiczne nie lubią iść w odstawkę. Buchalteria była rozbuchana, teczki pełne, pod pseudonimy upychano, co podleci, także meldunki profesjonalnej agentury, której teczek nie zakładano, bo była swoja. Teczki trafiały do analityków i tam dopiero dokonywano selekcji materiału. Esencja szła wyżej. Kwintesencja esencji spływała rankiem każdego dnia na biurka władz najwyższych.

Sprawdzony mechanizm. Taki sam we wszystkich systemach totalitarnych. I nie tylko.

Ciebie dla służb tutejszych rozpracowuje Ilana. Ma obiecaną za to wyrozumiałość dla młodszego brata. Nic nie musi robić. Od czasu do czasu spotyka sympatycznego faceta, któremu opowiada, co u ciebie słychać, z kim się widujesz, o czym gadacie. Powtarza mu twoje wyznania. W jej paplaninie poczesne miejsce zajmuje Zygmunt, o którego zawsze pyta sympatyczny facet.

– Uwierzyłeś w życzliwość Emila Popiołka? – pytam, a Ptasidziób wzrusza ramionami. – Że cię rozumie? Że chroni? Głowę za ciebie nadstawia?

– Bywało i tak.

Za zgodą przełożonych, wtrąciłbym, ale nie jest mi spieszno.

– Wpadałeś do niego czasami, z rzadka, gdy cię o to prosił. Nie dziwiła cię nieobecność domowników? Sterylna nijakość mieszkania? Żadnej szklanki w zlewie, zapomnianego kapcia, otwartej książki na stoliczku?

– Nie wiem, o co ci chodzi – mruczy Ptasidziób, ale widać, że się niepokoi.

– I że zmieniał adresy, też cię nie dziwiło? On tam nigdy nie mieszkał. To były ich meliny, lokale konspiracyjne.

– W co ty mnie wkręcasz? – pyta Ptasidziób.

– To ty mnie wkręciłeś – odpowiadam. – Gdybym cię nie znał, byłbyś moim wrogiem.

– Nie znasz mnie – słyszę. – Tylko ci się zdaje, że się znamy. Pamiętasz, ale nie rozumiesz.

Trochę ma rację i trochę nie ma. Pamięć nie może zmienić przeszłości, ale jest ją w stanie modyfikować, odczytywać inaczej, rozumieć głębiej. To ta lepsza strona manipulacji. Gorsza: można fałszować, eliminować, przekręcać. Nieświadomie, w odruchu samoobrony.

A gdyby tak się odciąć? Kompletnie?

Mój absurdalny pomysł nie musi wcale być aż tak absurdalny.

– Aż za dobrze ciebie rozumiem – mówię do Ptasidzioba. – Buntowniczy oportunizm. Naciągana nadzieja, że coś zmienisz swoimi filmami. I przekonanie, wstydliwie upchane w podświadomość, że tak na serio niczego zmienić się nie da. Więc walczysz o makijaż. O pozory przynajmniej, o ludzką twarz potwora. Jak ją nazywaliście?

– Nazywamy. Socjalizm z ludzką twarzą.

– Tu cię mam! – wykrzykuję. – To znaczy, że socjalizm realny ludzkiej twarzy nie ma. A jaką?

– Przestań.

– Świński ryj czy wilczą paszczę? – nie ustępuję. – Cokolwiek by to było, walczyłeś o maskę. Tylko o maskę, Ptasidziobie, a i to nie było wam dane. Za „ludzką twarz" rozjechano czołgami Budapeszt.

– Czego ty chcesz ode mnie? – pyta cicho Ptasidziób. – Nasza idea jest szlachetna. Czysta. W przeciwieństwie…

– Idea czysta, tylko ludzie brudni – przerywam mu. – Byli i będą, bez względu na ustrój. Ten tutaj lepiej przylega do ludzkiej natury, dlatego przetrwa, a twój…

Teraz przerywa mi Ptasidziób.

– Mój zwycięży – rzuca z mocą, choć w jego głosie wyłapuję drżącą nutkę. – Nauczymy ludzi, czym jest szczęście.

– A czym jest szczęście, Ptasidziobie? – pytam zaciekawiony. – Czy aby na pewno istnieje coś w tym rodzaju?

– Inaczej życie nie miałoby sensu – odpowiada bez namysłu.

A ma? – chciałbym go zapytać, tylko po co? Sensem życia jest samo życie, czyli kompletny nonsens. Inaczej – tautologia: sensem masła jest jego masłowość, sensem idei ideowość ideowców. Tu, w Ameryce, ideologią jest Ameryka: kraj najpiękniejszy na świecie, gdzie wszystkim Amerykanom spełnia się ich sen. American dream: Sprawiedliwość, Zaściankowość, Dobro Narodu i Ludzkości. Przyrzeka im to każdy kolejno wybierany prezydent i gwarantuje konstytucja z mnóstwem poprawek. A za żelazną kurtyną buszuje diabeł, czyniąc czary nad śpiącą królewną – uosobieniem ludów uciśnionych. Uciskaczem uciśnionych jest sprasowany wyciskacz, społeczeństwo zniewolone przed ponad półwieczem przez zgraję diabłów fanatycznie ideowych.

Wszyscy chcą dobrze. I to najgorsze ze wszystkiego.

Krótko mówiąc, trele-morele, fiksum-dyrdum i szlus.

– Co za szkoda, że jesteś – wyrywa mi się niechcący.

– Tak ci przeszkadzam? – ironizuje Ptasidziób.

– Nie wiesz, jak bardzo – odpowiadam takim samym żartobliwym tonem, aby się nie domyślił, że zaczynam coś knuć.

Jeśli dobrze się zastanowić, zło nie istnieje. Hitler chciał dobrze dla Niemców, Stalin dla Związku Sowieckiego. Pol Pot próbował stworzyć Kambodżę idealną, Pinochet zbawić Chile, a Kim Ir Sen i

jego potomstwo budują szczęśliwą Koreę Północną. Tu nie liczą się koszty, nie ma zmiłuj.

Człowiek postępujący nieetycznie broni się w ten sposób przed złem. Złoczyńcy to wyjątki potwierdzające regułę, że wszyscy jesteśmy dobrzy.

W takim razie czym brukuje się piekło?

Ptasidziób już nie czeka na Ilanę. Jutro mu się wytłumaczy i na pewno znajdzie przekonujący powód, dla którego nie przyszła, a Ptasidziób najpierw się wścieknie, potem uwierzy. Ilana to sama szczerość. Niewinne oczęta, dziecinny uśmiech i niedziecinne pieszczoty, topiące gniew Ptasidzioba jak lód na ogniu.

Przenosimy się na Riverside Drive, nad samą rzekę, do niewielkiego budynku z czerwonej cegły, gdzie wynajmuje mieszkanie nasz amerykański kuzyn Donald. Apartament jest przytulny, z pogodnym widokiem na park. W kominku płonie specjalnie spreparowane polano, które pali się pomarańczowo przez dwanaście godzin. Przed kominkiem ogromny fotel z pikowanej wiśniowej skóry i obrotowy podnóżek. Donald lubi w nim siedzieć i patrzeć w ogień, z dłonią zanurzoną w wełniście białą sierść Marvina, olbrzymiego górskiego owczarka. W głębi saloniku już czeka szachowy stolik z rozstawionymi figurami. Donald lubi grać w szachy z Ptasidziobem. Ten despotyczny Amerykanin, dokładnie w naszym wieku, czarnowłosy, błękitnooki przystojniak, na którego polują stada pięknych dziewczyn, naiwnie licząc, że się ożeni, a on żadnej nie odmawia nadziei, świetnie wiedząc, że mowy o tym nie ma, ten romantyczny twardziel i wieczny tułacz ma odrobinę skłonności do masochizmu. Gdyby jej nie miał, nie grałby w szachy z Ptasidziobem. Zawsze z nim przegrywa, a przegrywać nienawidzi. Zwłaszcza że jest lepszym szachistą, o czym wiedzą obaj. I co z tego? Ptasidziób wymęczy wygraną. Donald jeszcze go nie pokonał ani razu.

Amerykański kuzyn.

Czy wie o nim Emil Popiołek?

A konsul Zygmunt?

Nikt nie wie; Ptasidziób, mimo wszystko, bywa intuicyjnie ostrożny. Wie tylko Ilana. Ilanie Donald się podoba, lecz nie do tego

stopnia, by chciała za niego się wydać. W odwodzie ma Nadira Pahlawi z jego fortuną i książęcym tytułem. Donald zaliczyłby Ilanę, gdyby nie jego polski kuzyn, a przynajmniej wydaje mu się, że byłaby na to gotowa, i tutaj się myli. Ilana uwodzi odruchowo nawet policjantów na skrzyżowaniach czy dorożkarzy w Central Parku, ale nic z tego nie wynika. To w istocie skromna polska panienka, tyle że z fantazją i czasami makabrycznym humorkiem.

Dżentelmena z tutejszych specsłużb Donald nie interesuje. Kiedyś interesował, i nawet bardzo, ze względu na błyskotliwą inteligencję oraz analityczny umysł, ale odpuszczono go sobie. W którejś z kartotek wpisano: „Patologicznie nieobliczalny. Brak poczucia odpowiedzialności". Kontakty z Ptasidziobem, po części rodzinne, są dla specsłużb bez znaczenia.

– Zagramy? – pyta Ptasidziób, rozsiadając się na otomanie, obitej jak fotel wiśniową skórą.

W saloniku pachnie dymkiem z kominka, przełamanym aromatyczną wonią tytoniu Amphora. Donald czasami lubi zapalić fajkę, otulić się miodowym obłoczkiem. Owczarek Marvin też lubi fajkę. Fioletowym jęzorem zlizuje miód z obłoków.

– Spóźniłeś się dwanaście minut. Miałeś być o siódmej. Nie znoszę tego.

Donald to bałaganiarz-pedant. Gładko łączy jedno z drugim. W pokoju walają się porozrzucane części garderoby, opakowania po słodyczach, papiery, butelki, kauczukowe zabawki Marvina. Ale na biurku pod oknem panuje porządek: maszyna do pisania, blok z notatkami, kilka broszur, kubełek z pęczkiem kolorowych mazaków. Donald pisuje dla rządu analizy gospodarcze afrykańskich państw. Na zamówienie, za ładny pieniądz. Po złożeniu kolejnej pracy i pobraniu honorarium – znika. Żaden urzędnik nie może go wtedy dopaść: nie czyta poczty, nie odbiera depesz ani telefonów. Aż mu się skończą środki. Gdy już nie ma na żarcie dla psa, ujawnia się i przez dwie-trzy doby, nie śpiąc i nie jedząc, opracowuje nową broszurę. Wynagrodzenie starcza mu prawie na miesiąc dolce far niente. Spacery, dziewczyny, poker i szachy z Ptasidziobem.

– Sorry – tłumaczy się po angielsku Ptasidziób. – Miałem gościa.

Ten gość to ja. Ma mnie nadal. Nie możemy się od siebie odczepić.

ROZDZIAŁ 64

Na odjezdne, czy raczej na odlotne, ojciec dał ci zaadresowaną kopertę i kazał wrzucić ją do skrzynki pocztowej w Nowym Jorku. Jeżeli wróci do ciebie, adres, jeszcze sprzed wojny, utracił aktualność i kuzyn naszego ojca, Sam Field, albo już nie żyje, albo Bóg jeden wie, gdzie go szukać.

Wrzuciłeś. List nie wrócił. Zapomniałeś o nim. Po paru tygodniach nadeszła koperta z Rochester. Był w niej bilet lotniczy i zwięzłe polecenie, abyś się stawił na spotkanie z rodziną za tydzień, w święto Rosz Haszana, Nowego Roku izraelitów, masz wtedy trzy dni wolne od zajęć na Columbii.

Poleciałeś. Tak jak proszono, z czerwonym szalikiem wokół szyi, aby można cię było rozpoznać. Na lotnisku odebrała cię Kate, siostrzenica żony Sama Fielda, właścicielka salonu kosmetycznego. Opowiedziała ci o rodzinie. Sam pracuje w magistracie, ma tam odpowiedzialne stanowisko, jest szanowany. Krewni państwa Fieldów w Rochester to głównie biznesmeni – handel, nieruchomości, bankowość. Na koniec Kate poprosiła, abyś nie pytał Fieldów o syna.

Owszem, mają syna, jedynaka, ale nie wiedzą, co się z nim dzieje. Donald zniknął dziesięć lat temu. Rodzice cierpią w milczeniu, nie wolno z nimi o tym rozmawiać, rana wciąż jest świeża.

Był przystojnym brunetem o niebieskich oczach i sylwetce sportowca. Diabelnie inteligentnym, błyskotliwym, czarującym w obejściu. Rodzina go uwielbiała, dziewczyny szalały za nim, miał mnóstwo przyjaciół. Ukończył college ze złotym medalem i dostał z Yale zawiadomienie, że przyjęto go na studia prawnicze. Rodzice pęcznieli z dumy. Dumna była też Mary Ann, córka znanego multimilionera Paula Johnssona, narzeczona Donalda i jedna z najładniejszych dziewcząt w Rochester. Sam przyjaźnił się z Paulem.

Było postanowione, że po ukończeniu prawa i poślubieniu Mary Ann Donald w formie wiana dostanie od Johnssona kancelarię adwokacką w prestiżowym centrum Rochester. Mary Ann planowała, żeby mieć z Donaldem syna i córkę. Synowi dadzą na imię Samuel, a córce Sarah, po matce Mary Ann, która zginęła w katastrofie lotniczej.

W ostatni czwartek listopada, na Thanksgiving, Fieldowie zaprosili syna z narzeczoną na świąteczny obiad ukoronowany tradycyjnym pieczonym indykiem. Donald i Mary Ann przyszli punktualnie o drugiej z wielkim bukietem róż i butelką dwunastoletniej whisky Jack Daniel's dla Sama. Sam przygotował drinki, lżejsze dla pań, mocniejsze dla syna i siebie. Indyk dochodził w piekarniku, a oni we czwórkę rozsiedli się na białych sofach i zaczęli gwarzyć o przyszłości przyszłych małżonków i dwojga ich dzieci. Sam Junior miałby także ukończyć prawo i pracować w kancelarii Donalda, później zostać wspólnikiem i ostatecznie przejąć kancelarię po ojcu, gdy ten przejdzie na emeryturę. Wtedy Donald odkrył, że zapomniał był kupić paczkę papierosów Parliament, które palił nałogowo. Przeprosił panie i zbiegł na dół do trafiki.

Nie wrócił. Do skrzynki na listy przed domem rodziców wrzucił kartkę: „Wybaczcie mi wszyscy i nie martwcie się o mnie. Kocham was. Donald".

Minęło już dziesięć lat. Mary Ann wyszła za innego. Rodzice posiwieli. Od czasu do czasu syn przysyła im widokówkę z pozdrowieniami, bez zwrotnego adresu.

W domu Fieldów przyjęto cię serdecznie, jakbyście dobrze się znali. Doproszono rodzinę – bankierów, prawników, lekarzy – ludzi w średnim wieku, o solidnym statusie społecznym, aby im przedstawić krewniaka z egzotycznej Polski. Byłeś bohaterem wieczoru i dobrze się z tym czułeś: utalentowany filmowiec, wykładowca na Columbii.

– Jak wam się żyje w komunistycznym zniewoleniu? – pytano. – Pod butem Sowietów?

Starałeś się odpowiadać rzetelnie. Że w bogatych krajach żyje się bogato, a w biednych skromnie i nie zależy to od ustroju. Czesi czy Węgrzy mają się lepiej od Polaków, a Rosjanie gorzej. Najlepiej mają Niemcy w NRD, żeby nie zazdrościli tym na Zachodzie, ale i tak

zazdroszczą. Wszystko to kwestia dóbr materialnych, bo w sensie swobód…

– No właśnie! – podchwycono.

Zamyśliłeś się. Chciałeś dać im odpowiedź prawdziwą i nie bardzo umiałeś ją zbudować. Inaczej było za życia Stalina, który życiem innych szastał jak śmieciem, a ci inni uwielbiali go mimo to albo właśnie dlatego, albo z jakiejś innej przyczyny, jak ty na przykład, gdy na zesłaniu chodziłeś do podstawówki i wierzyłeś, że Stalin cię kocha, że głoduje jak wy wszyscy i że pada z wyczerpania, pracując dzień i noc nad zwycięstwem.

Coś z tego zostało w tobie na resztę życia głęboko w podświadomości, jak implant.

– Zupełnie inaczej, kiedy umarł – ciągnąłeś. – Ludzie przestali znikać, za dowcipy nie wsadzano do więzień. Człowiek żył beztrosko. Nie musiał oszczędzać, bo na co? Na auto potrzebny był talon, czasami też na mięso czy masło, ale nic na szkołę, nic na doktora, nic na wczasy pod gruszą.

– Pod jaką gruszą?… – zapytano.

– Tak to się nazywało – objaśniłeś. – Człowiek pracy dostawał skierowanie. Od czasu do czasu gdzieś się buntowano, wtedy robiło się krwawo od bratniej pomocy i znów był spokój. Sowieci chcą tylko, żeby ich kochać.

– Tylko? – padło z akcentem ironii.

– Miłość i lojalność. Wspólne planowanie przyszłości.

– Przyszłości nie można zaplanować – powiedział ochryple Sam Field.

– U nas można – zaoponowałeś półżartem.

– Grzech pychy – wtrąciła jedna z ciotek. – Burze, powodzie, trzęsienia ziemi i wojny są od Boga. Komuna chce Go wyręczyć? Macie sposoby na urodzaj, na krój sukienek, na łobuza, na humor?

– To jest ich nieszczęście – zauważył łysawy staruszek z bokobrodami w kształcie pejsów, chyba mąż owej ciotki. – Tam zabraniają wierzyć w Pana Boga.

– Nie zabraniają – zaprotestowałeś. – Jedni wierzą, drudzy nie. Jak wszędzie.

– Bez Boga życie nie miałoby sensu – odezwał się półgłosem Sam Field.

A ma?

Przestraszyłeś się swojej niewygłoszonej mimowolnej riposty, zacisnąłeś usta, żeby się nie wyrwała. Co za sens w życiu, które kończy się śmiercią? W płodzeniu potomstwa z góry skazanego na unicestwienie, i w tego potomstwa potomstwie z wyrokiem śmierci przylepionym do czoła? Kichać na twoje filmy, Ptasidziobie, na Szopena i Szekspira, na całe to truchło i ślady po nim zostawione takim samym skazańcom. Chyba że Bóg wie, co robi.

Wiedział. Gdy tak trwałeś przez dłuższą chwilę z zaciśniętymi wargami, otworzyły się nagle drzwi wejściowe i nastąpił cud. Do salonu wszedł wysoki, smukły, z lekka już szpakowaty młody mężczyzna o bardzo niebieskich oczach i przepraszającym uśmiechu. Uśmiech nie był jednoznacznie przepraszający, być może z lekka figlarny, podszyty rozbawieniem.

Zaległa cisza. Aż wibrująca. W końcu pękła.

– Danny!… – wyszeptał Sam Field. – Mój synu!…

Już nie byłeś numerem jeden na świątecznym obiedzie. Zapomniano o tobie. Z leciutkim rozgoryczeniem patrzyłeś, jak wszyscy kolejno ściskają i tulą Donalda, jak go całują panie, klepią po plecach panowie. Nikt nie zapytał, skąd przybywa, dlaczego zniknął na tak długo. Nawet ojciec. Nawet matka – drobniutka, krucha, białowłosa Natalie Field, po której syn odziedziczył niebiański błękit oczu. Wpatrywała się w niego zachłannie i z niedowierzaniem, jakby się bała, że zniknie.

Na samym końcu zostałeś jednak dostrzeżony ponownie. Sam Field przedstawił cię Donaldowi:

– A to jest twój kuzyn z Polski. Robi filmy dokumentalne, gościnnie wykłada na Columbii.

– No to jesteśmy sąsiadami. – Miażdżący uścisk dłoni Donalda. – Mieszkam obok. Grasz w tenisa?

– Tylko w szachy – odparłeś.

– Też dobrze. Będziemy się widywali, kuzynie.

Gwar. Szybka angielszczyzna amerykańska, której prawie nie rozumiałeś, już nie mówiąc o żartach, grach słów, które bawiły

wszystkich z wyjątkiem ciebie i matki Donalda. Ciebie, bo byłeś tu obcy. A Natalie Field po prostu ogłuchła. Siedziała obok syna, milcząc, trzymając go kurczowo za rękę, nie odrywając oczu od jego roześmianej twarzy.

– Ameryka to wspaniały kraj. Żyjemy tutaj w złotym wieku. – To zostało wypowiedziane wyraźnie i wolno przez jowialnego grubasa w kowbojskiej kurtce z frędzlami, krewnego Natalie Field, właściciela agencji nieruchomości. – Nie uważasz?

Mówił do ciebie. Nim ułożyłeś w myślach odpowiedź, która nie miała być kurtuazyjna i na dodatek po angielsku, w sukurs nieoczekiwanie przyszedł ci Donald.

– Zależy kto, wuju – powiedział na luzie, szczerząc w uśmieszku mocne zęby, z lekka żółtawe od nikotyny. – Zapraszam do Harlemu na Manhattanie. Zresztą i tutaj, w Rochester, pokazałbym ci paskudną biedę. Nasze słynne „Help yourself!", radź sobie sam, okrutna amerykańska dewiza. Nie ma zmiłuj w kapitalizmie.

To, Ptasidziobie, wpisywało się w twój światopogląd jak ulał. Tłumiło własne wątpliwości. Takiej nędzy jak na dworcu manhattańskim Penn Station, gdzie czarnoskórzy na ogół bezdomni rodzą się i umierają w kartonowych pudłach ocieplanych gazetami, u siebie w Polsce nie mógłbyś zobaczyć. W twojej Polsce jest średnio. Kłopoty miewa tak zwana prywatna inicjatywa, drobni przedsiębiorcy nękani przez państwo domiarami, rodzajem kar finansowych niewymagających uzasadnienia. Kłopotów nie brak opozycji politycznej, wrogom ustroju, ale gdzie jest inaczej? Nie ma natomiast kłopotów obdartus spod budki z piwem. Na piwo ma każdy. Bez względu na to, jak pracuje i czy pracuje, bo w Polsce Ludowej nie ma bezrobocia. Na szynkę nie musi mieć, bo nie ma jej w sprzedaży. Ludzie żyją raczej beztrosko, ponieważ nie mają nic do stracenia oprócz miejsca w kolejce.

Stać cię było na grzeczność wobec grubasa. Jakoś skleciłeś ją po angielsku:

– Radość życia to niekoniecznie dobrobyt, sir.

– Dobrobyt i wolność – sprecyzował grubas. – Nie macie tam ani jednego, ani drugiego.

Zamiast puścić to mimo uszu albo zareplikować, że dobrobyt jest pojęciem względnym – tym znudził się kawior, tamci są w siódmym niebie, mogąc do syta najadać się razowcem – a co do wolności, rzecz się ma jeszcze dziwniej, nosimy ją w sobie, my niepokorni, rogaci, zawsze pytający „dlaczego?”, przeciwko posłusznym, przestraszonym i wygodnickim – zamiast popaść w zadumę i przemilczeć, wdałeś się z kowbojem w bezsensowny spór. Z obu stron posypały się frazesy. Okrągłe, gazetowe.

Intuicja pomaga ci robić odważne filmy. Ale zaraz po tym włącza się zdrowy rozsądek z jego wygodnie logiczną argumentacją w sosie ideolo. Kopniak w dupę jeszcze daleko przed tobą, Ptasidziobie.

Może go nie dożyjesz…

ROZDZIAŁ 65

Donald pyka fajką, popatrując z uśmieszkiem na szachownicę. Ma już przewagę skoczka i dwóch pionów, tym razem nie może przegrać z tobą. To po prostu wykluczone. Gra dużo lepiej od ciebie, zna teorię, jest mistrzem absurdalnie skutecznych kombinacji.

A ty się sprężasz. Koncentrujesz. Potem patrzysz Donaldowi prosto w oczy.

– I tak wygram tę partię.

– Are you crazy?

– Wygram, zobaczysz.

Donald przestaje się uśmiechać. Cień niepokoju z domieszką złości.

– Bzdura. Just impossible. Tej partii nie wygrałby ze mną sam Fischer.

– On nie – ironizujesz i pochylasz się nisko nad szachownicą.

Dziesięć lat temu Donald zszedł po papierosy i nie wrócił. Zniknięcie na początku było trudne, ponieważ nie miał pieniędzy ani nikogo, gdzie mógłby się zatrzymać z nadzieją, że ów ktoś go zrozumie i nie zadzwoni do rodziców. Środków starczyło na autobus do Nowego Jorku. Kilka nocy spędził na dworcach. Nosił ludziom

bagaże, aż zawodowi tragarze sprawili mu manto. Zaczepił się na stacji benzynowej, później w galerii Macy's jako Kaczor Donald na piętrze z zabawkami. Obstawiał konie i grał w karty, miał już sporą sumkę, kiedy sprzyjało mu szczęście, ale się odwróciło i wszystko stracił. W Greenwich Village najął się na stróża w teatrzyku studenckim. Oprócz groszowej pensji dostał tam kanciapę, w której dawało się sypiać. Aż do przypadku.

Donald już wie, w przeciwieństwie do ciebie, że wszystko na tym świecie jest przypadkowe, nawet prawo ciążenia – owszem, jest, ale mogłoby go nie być i każdy szybowałby swobodnie nad ziemią. A tak, to tylko niektórzy, Ty. Donald. I nie za swobodnie, ledwie ciut-ciut i od czasu do czasu. Swobodny lot nad Witebskiem to życzeniowa wyobraźnia Marca Chagalla.

W końcu zdobywasz się na pytanie wprost:

– Donald, dlaczego uciekłeś?

– Bo stchórzyłem – odpowiada po pauzie twój kuzyn.

– Przed czym?

Najpierw milczenie. Dość długie.

– Wróciłem do domu po uzyskaniu dyplomu prawnika. Obiecałem to kiedyś matce.

– Ja pytam o powód ucieczki.

– Projekt do wykonania. Żadnych odchyleń. Studia, małżeństwo z Mary Ann, dwójka dzieci, kancelaria adwokacka, dom, samochód. W soboty grill. Sytuowani znajomi, sąsiedzi. Niedzielne obiady u rodziców. Wakacje w górach albo nad morzem. Golf. Adwokaci grywają u nas w golfa. Wyobrażasz sobie?!

– Drobnomieszczańskie szczęście – odpowiadasz. – Sympatyczne w gruncie rzeczy…

– Zwariowałeś? – przerywa ci Donald. – Wiedzieć wszystko z góry i wykonywać szablon? A gdzie zaskoczenia, wstrząsy, niespodzianki? Gdzie strach, euforia? Katastrofy, sukcesy? Miałbym przeżyć życie w garniturku i pod krawatem? Uświadomiłem to sobie, schodząc na dół po papierosy. Spanikowałem.

Przypadkiem w Greenwich Village okazał się drobny cud: zachorował aktor grający Hamleta i na scenie znalazł się Donald. Tylko podczas próby, jako atrapa. I wyszło na jaw, że ma talent

aktorski. Reżyser zachwycił się, nie pożałował trudu, ćwicząc Donalda po dwadzieścia godzin na dobę przez sześć tygodni. Premiera Hamleta z Donaldem Fieldem w roli tytułowej została przychylnie zrecenzowana w „New York Timesie". Posypały się propozycje, jedna aż Hollywood. Szło coraz lepiej. Aż do dnia, gdy Donald odkrył, że już go to nie bawi – kabotyństwo, udawanie kogoś, kim się nie jest.

– To było jak pałą w łeb – wspomina. – Obudziłem się i pojąłem, że mam dosyć. Do tego jeszcze zdradziła mnie kochanka. Uciekłem do Kanady i zatrudniłem się jako drwal. Lubiłem tę robotę prawie przez rok, w głuszy, z kumplami, dojąc litrami najtańszą whisky. Muskuły stwardniały mi, dłonie w odciskach od siekiery i piły. Prawdziwe męskie życie. Roku było trzeba, abym odkrył, że prawdziwe męskie życie też mnie nuży swoją monotonią.

Pojechał do Bostonu, został przyjęty na wydział prawa w Harvardzie i zatrudnił się jako model w stajni mało znanego projektanta. Wzrost miał słuszny, figurę nieskazitelną. Projektant stawał się coraz bardziej znany, jego awangardowe kolekcje zaczęto pokazywać w telewizji. Zdziwiła go rezygnacja Donalda, którego kamera zdążyła już polubić. A on właśnie dlatego zrezygnował.

– Nie rozumiesz? Mogliby mnie rozpoznać w Rochester.

Nie był to jedyny powód. Kuzynowi Ptasidzioba brzydko zapachniało stabilizacją i reżymem. Przestraszył się prób, przymiarek, wybiegów, zakazu nocnego ucztowania i erotycznych przygód z panienkami. Model musi być wypoczęty, zawsze świeży i niedostępny. Byłby to jego wybór. Decyzja. Być może początek kariery.

– A Harvard? – zapytałeś.

– Dla matki. Przyrzekłem jej.

Studia szły jak po maśle, bez większego wysiłku zaliczał i zdawał egzaminy. Zarabiał grą w pokera, miał wtedy fart i nie bał się ryzykować. Był kochliwy. Uczucie rozpalało się jak błyskawica na niebie, trochę jaśniało i gasło, ku rozgoryczeniu pań. Wkrótce wybuchało kolejne. Szybkość gaśnięcia bywała wprost proporcjonalna do sugestii trwałego związku, na który zaczynały liczyć partnerki. Obok pokera Donald dorabiał jako ochroniarz w

nocnym klubie, bukmacher na wyścigach samochodowych i czyściciel okien w wysokościowcach. Pisywał też artykuliki do lokalnych gazet pod pseudonimem Fred Connors. Miał najnowszy model cadillaca z materacem w bagażniku, ponieważ często się przeprowadzał. To w Ameryce normalka – częste przeprowadzki młodych ludzi. Materac był potrzebny do nocowania u przyjaciół w przerwach między przeprowadzkami.

– Jak długo można? Nie należymy do plemienia nomadów. Lewitujemy tylko od czasu do czasu.

– Ty też?… – udawał albo był zaskoczony.

– Jesteśmy rodziną – przypomniałeś. – Nie pora się ustatkować?

– Daj spokój… – Skrzywił się. – Właśnie próbuję, inaczej byśmy się nie spotkali.

Szykują mu wspaniałą kancelarię w centrum Rochester, na najwyższym piętrze szklanego wysokościowca. Musi przedtem zdać państwowy egzamin adwokacki. Przygotowuje się do niego w swojej luksusowej samotni na Riverside Drive, ale robi to bez pośpiechu, jeśli w ogóle robi. Lubi nocami włóczyć się po Manhattanie, ponieważ cierpi na bezsenność. Nie jest to bezpieczne, zwłaszcza w górę od Columbii. Uniwersytet rozciąga się od Broadwayu po Amsterdam Avenue przy Sto Szesnastej Ulicy, a od Sto Dwudziestej Drugiej w kierunku East zaczyna się Harlem.

U początków swojej nowojorskiej przygody Ptasidziób wsiadł nie do tego subwayu i zamiast na West wysiadł przy Sto Szesnastej East. Spieszył się na uczelnię. Miał na sobie marynarkę, białą koszulę w niebieskie paski i krawat – ówczesny mundur wykładowców – w ręku teczkę ze skryptami. Nie chciał się spóźnić. Postanowił przejść pieszo z East na West, nie powinno to było zająć więcej niż dwadzieścia minut.

Tak myślał.

Zdziwił się, że z podziemnej kolejki nie wysiadł ani jeden biały.

Przy wyjściu zaczepiło go dwóch Murzynów.

– Masz papierosa, brother?

Chciał poczęstować. Wyjęli mu z ręki całą paczkę larków, jakby to było oczywiste.

Znalazł się wśród secesyjnych kamienic ze śladami piękna między brudnymi liszajami murów i ślepymi szczelinami okien bez szyb. Chodniki pokrywała warstwa śmieci, na jezdniach czarnoskóre dzieciaki grały w piłkę, lekceważąc trąbiące gruchoty aut. Przed bramami, wprost na ulicy, na poprutych kanapach i fotelach, paplały stare czarne baby. Ptasidziób wzbudzał sensację: staruchy milkły na chwilę i wytrzeszczały na niego oczy, gdy je mijał.

Szedł coraz szybciej, prawie biegł, czując przez skórę niebezpieczeństwo. Na zawrócenie do subwayu było już za późno.

– Hello, brother. – Zastąpił mu drogę kurdupel w słomkowym kapeluszu bawiący się sprężynowym nożem. – Ile masz pieniędzy?

– Pięć dolarów – odparł szczerze Ptasidziób.

– Jakoś ci nie wierzę – powiedział kurdupel, którego Ptasidziób pozbawiłby przytomności prawym sierpowym, lecz do głowy mu to nie przyszło: scenkę obserwowało z uśmieszkami kilku ponurych drabów w pstrokatych koszulkach. – Wywracaj kieszenie.

– Ja nie jestem stąd, nie jestem Amerykaninem – zaczął tłumaczyć się Ptasidziób. – Przyjechałem z Polski…

– Z czego? – nie zrozumiał kurdupel. – Kieszenie, powiedziałem!

Zabrał portmonetkę z pięciodolarówką, zapalniczkę, scyzoryk. Zegarek Omega na metalowej bransoletce, prezent od rodziców. Kazał zdjąć obuwie i skarpety i zdziwił się, że nie było tam ukrytych banknotów. Cały czas bawił się sprężynowcem, ale pogodnie, na luzie. Nie próbował straszyć Ptasidzioba. Na koniec wziął jeszcze teczkę. Skrypty oddał.

– Have a nice day, brother.

Dzień nie okazał się miły. Nim Ptasidziób ostatecznie dotarł do Columbii, próbowano go ograbić jeszcze trzy razy. Napastnicy mieli żal, że nic już nie posiada, kręcili głowami z niesmakiem, a jemu było przykro, że sprawia im zawód. Przepraszając, unosił się nieco w powietrze, co wprawiało grabieżców w zdumienie, i pozwalali mu odejść w spokoju.

– To nic nadzwyczajnego – mówi Donald, pochylony nad szachownicą. – Ja miałem gorzej miesiąc temu. Gość był na głodzie, a ja nie miałem kasy. Przyłożył mi do czoła lufę kolta. Byłem pewien, że strzeli.

– Bałeś się?

– Durne pytanie. Krew we mnie skrzepła. Ale panowałem nad sobą. Powiedziałem, że wypiszę mu czek na sto dolarów i ani centa więcej, bo tylko tyle mam na koncie. Kupił to!

– Kiwnąłeś faceta.

– Miałem na koncie faktycznie sto baksów. Gdybym napisał więcej, nie dostałby nic. Podjął tę stówę już o ósmej rano. Mój bank otwierają wcześnie.

– Aż tak ci zależy na życiu? – pyta Ptasidziób.

– Nic o tym nie wiesz. – Donald kończy skomplikowaną szachową kombinację i zdobywa wieżę przewagi. – Wyobrażenie o śmierci nijak się ma do spluwy w ręku typa na głodzie. Ten strach to atawizm, nie możesz go kontrolować. Paraliżuje. Jakimś cudem udało mi się zachować spokój. To chyba też atawizm. Niektóre zwierzęta udają padlinę, kiedy dopada je drapieżnik. Tej partii ze mną nie wygrasz.

– Raczysz żartować. – Ptasidziób się uśmiecha.

– Poddaj się, mam przewagę wieży i dwóch pionów. Nie ma sensu grać dalej.

– Nic nie widzisz?

– Czego nie widzę?

– Już po tobie – mówi Ptasidziób z zimną pewnością siebie. – Musisz ze mną przegrać.

Donald czerwienieje, zaciska wargi w chirurgiczny szew. Grają dalej w milczeniu. Ptasidziób bez skrupułów wykorzystuje kolejne błędy kuzyna, które ten popełnia coraz częściej. W końcu szach i mat.

– Fuck! – wybucha Donald. – Przecież ja gram lepiej od ciebie!

– No właśnie – Ptasidziób uśmiecha się przyjaźnie. – Jesteś lepszym szachistą i nigdy ze mną nie wygrasz.

Pomyliłeś się, Ptasidziobie. Za kilka lat znajdziesz się znowu w Ameryce, tym razem na krótko, aby nakręcić dokument o kampanii wyborczej Clintona. Wykroisz dzień na prywatę i odwiedzisz Donalda, najpierw w wytwornej kancelarii adwokackiej na czterdziestym piętrze szklanego wieżowca w centrum Rochester, a potem w jego luksusowej willi na przedmieściu, gdzie mieszkają tutejsi ludzie

sukcesu. Tu zastaniesz kuzyna w przepaścistym skórzanym fotelu naprzeciw kominka, z owczarkiem górskim Marvinem drzemiącym po lewej na dywaniku i jasnowłosą, błękitnooką Dawn, śliczną jak obrazek studentką prawa, zwiniętą w kłębuszek na sofie i wpatrzoną w Donalda rozkochanym wzrokiem. Będzie wziętym adwokatem ze świetną klientelą, wśród której nie zbraknie miejscowych celebrytów, i kandydatem do Rady Miejskiej. Lekko przytyje. Na skroniach pojawi się kilka siwych włosów.

Przywita cię serdecznie, przedstawi Dawn, każe jej przyrządzić drinki i rozstawi figury na szachownicy. Będziesz pewien wygranej, ale tym razem haniebnie przegrasz trzy partie z rzędu. Później porozmyślasz nad tym i zrozumiesz dlaczego.

ROZDZIAŁ 66

Jest dalszy ciąg tej historii, którego nie znacie obaj. Nastąpi już po roku, a może po dwóch latach, kiedy spasuje psychoanalityk Donalda, a on sam uświadomi sobie, że to koniec.

Że nie wytrzyma dłużej.

Kancelarię przejmie jego wspólnik, mniej zdolny od Donalda, z mniejszą liczbą błyskotliwie wygranych spraw, ale solidniejszy, zrównoważony wewnętrznie, odpowiedzialny i bez poczucia humoru. Dawn też ktoś przejmie, tylko Marvin odjedzie ze swoim panem w siną dal na tylnym siedzeniu cadillaca.

Donald wróci do dawnego życia obieżyświata, wagabundy. Będzie szukał skarbów w peruwiańskiej dżungli, trafi na krótko do więzienia, podejrzany o kontakty z mafią narkotykową, nadweręży kręgosłup po nieudanym skoku ze spadochronem. Wyda powieść o wątkach autobiograficznych, z zapowiedzią drugiej części. Pierwsza część, pod tytułem *U stóp Madonny*, uzyska dobre recenzje i okaże się rynkowym sukcesem. Część druga nigdy nie powstanie i trzeba będzie ukrywać się przed rozwścieczonym wydawcą. Pieniądze, całkiem spore, zarobione na pierwszej części Donald zainwestuje w transakcje giełdowe z intencją zostania miliarderem. Straci wszystko.

Osiądzie w prowincjonalnym mieście, z coraz bardziej chorym kręgosłupem, i zatrudni się w kancelarii adwokackiej niejakiego J.

Na wątkach kolejnych przygód Donalda napisana zostanie nowelka *Madonna w lustrze*.

ROZDZIAŁ 67

Dwa wydarzenia, które nastąpiły bezpośrednio po sobie, nie pozostawały ze sobą w żadnym związku i Fred Connors nie mógł przewidzieć, że w pewnym momencie się zbiegną jak bawełna w praniu. Przeplotą i zawikłają, pozostając zarazem odległe od siebie, choć będą kojarzyć się mgliście w najmroczniejszych zakamarkach podświadomości Freda, tworząc jedną niespójną całość, której w żaden logiczny sposób nie da się wytłumaczyć ani mecenasowi Janssenowi, ani nikomu innemu, nawet Marii.

Kiedy dziewczyna w sportowym stroju wybiegła na środek szosy tuż przed maską samochodu Freda, ten, zhamowawszy gwałtownie, już miał zwymyślać ją od kretynek. Chyba cudem zatrzymał cadillaca.

– Potrzebuję pomocy – usłyszał. – Nie umiem zmienić koła.

Fred spieszył się do kancelarii, za kwadrans miał spotkanie z klientem. Nie wysiadł z samochodu, ledwie spojrzał na luksusowego mercedesa z oklapłą oponą.

– Nie lubię samobójczyń – warknął. – Spieszy mi się. Wezwij pomoc drogową.

– Musisz mi pomóc – rzuciła władczo dziewczyna. – Za dziesięć minut mam być w domu. Zmiana koła trwa trzy minuty.

Dopiero teraz Fred jej się przyjrzał. I zabrakło mu tchu. Tak promiennie uduchowionej, niebiańsko pięknej twarzy nie widział nigdy. Biło od niej światło. Porcelanowa karnacja i delikatnie rzeźbione rysy przywodziły na myśl Madonnę ze starych holenderskich obrazów. Człowiek chciał się do niej modlić.

Fred Connors zgasił silnik i wysiadł z samochodu.

– Mam spotkanie z klientem, który nie powinien czekać – wydusił z siebie z trudem. – Gdybyś nie była taka piękna…

– Jedź sobie – usłyszał. – Człowiek człowiekowi ma pomagać bezinteresownie.

Puściło. Fred roześmiał się, wyminął Madonnę, otworzył bagażnik mercedesa, wyciągnął podnośnik i zapasowe koło. Przykucnął, odkręcił śruby.

– Pierwsza guma? – spytał, lewarując wóz.

– Z drugą już sobie sama poradzę.

Zdjął kapeć, nałożył zapas, lekko przyśrubował. Dziewczyna z uwagą obserwowała każdą z tych czynności.

– Mówiono ci, że przypominasz holenderską Madonnę? – zapytał, nie odwracając się.

Wyczuł, że się uśmiechnęła. Odkręcił lewarek, sprawdził w zapasie ciśnienie powietrza. Wszystko to razem nie trwało pięciu minut.

– Chcesz powiedzieć, że znasz się na malarstwie?

– Na prawie. – Fred wyprostował się, spojrzał na swoje ubrudzone ręce. – Jestem adwokatem, nazywam się Fred Connors. Mieszkam tu od niedawna. – Oczekiwał, że dziewczyna też się przedstawi, ale ona milczała. – Człowiek człowiekowi mógłby okazać wdzięczność.

– Ile ci płacę?

– Przeciwnie. – Fred wrzucił jeden ze swych najczarowniejszych uśmiechów. – W zamian postawię ci drinka. O szóstej w Concord?

Jak dotąd, gdy tak się uśmiechał, żadna dziewczyna jeszcze mu nie odmówiła. Ostatecznie, drink do niczego nie zobowiązuje.

– Odpada – usłyszał. – Cenię tylko przysługi bezinteresowne.

– Trudno – westchnął Fred Connors. – Drink miał być bezinteresowny. Szerokiej drogi, Madonno.

Chciał wsiąść do swego auta.

– Chwileczkę.

Podeszła do niego, wyjęła z torebki jedwabną białą chusteczkę i wytarła mu przybrudzony policzek. Zapachniało drogimi perfumami. Fred znał się na perfumach, te musiały być bardzo drogie.

Podała mu rękę na pożegnanie. W zaskakującym dla siebie samego odruchu Fred chciał ucałować wąską, niemal przezroczystą dłoń o długich, delikatnych palcach. Madonna wyszarpnęła ją

niecierpliwie i nie spojrzawszy już na niego, wsiadła do mercedesa. Zawył silnik i wóz zerwał się jak do sprintu. Fred Connors zdążył jednak zobaczyć i zapamiętać numery rejestracyjne. Wpisał je do notesu. Nie bardzo wiedział, dlaczego to robi, ale zrozumiał, gdy okazało się, że nie przestaje myśleć o porcelanowej Madonnie z holenderskiego płótna. Ani rozmawiając z klientami, ani wieczorem w barze Concordia przy samotnym drinku – może jednak przyjdzie? – ani w nocy, leżąc na swoim twardym (kręgosłup!) materacu i słuchając Musorgskiego.

Zauroczenie trwało i przez następne dni, a zwłaszcza noce, gdy Fred wdawał się w bezdźwięczne dialogi z Madonną, opowiadając jej o sobie najintymniejsze rzeczy, których nikomu dotąd nie wyznawał. Na przykład o samotności. Czy ona wie, co takiego samotność? Dusząca beznadzieja, przed którą nie ma ucieczki? W Nowym Jorku, w Bostonie, na Alasce czy w Peru, pośród dobrych kompanów i oddanych przyjaciół, którzy mają go za beztroskiego wesołka, podrywacza i łowcę przygód. To wszystko prawda. I właśnie to wszystko jest beznadziejnym uciekaniem przed samotnością. Przed sobą samym, ściśle mówiąc. Dokąd? Do drugiego człowieka, który okaże się bliski, będzie rozumiał milczenie. Niestety, Madonno, jeszcze takiego nie spotkałem…

W końcu Fred zdecydował się i zadzwonił do znajomego komisarza policji. Ten sprawdził numery i poinformował Connorsa, że mercedes stanowi własność małżonki znanego gwiazdora w Hollywood. Nosi jego nazwisko, na imię ma Marie Madeleine, inaczej Maria Magdalena. Po prostu Maria. Fred nie bez trudu wydobył od komisarza numer jej telefonu i kilka razy robił podejścia, wybierając po parę cyfr. Ani razu wszystkich.

Zaczęła mu się śnić w przydrożnych kapliczkach, pomalowana na błękit i biel, albo w salach muzealnych, na płótnach holenderskich mistrzów, patrząca przed siebie wielkimi oczami, w których pulsował smutek. Czasami spływały z nich łzy, ale nie krwawe, tylko zwyczajne, kobiece.

Drugim wydarzeniem stał się murzyński chłopak o zaszczutym, oszalałym spojrzeniu. Mówił niewyraźnie, jąkając się i połykając sylaby. Ręce miał jak bochny, z sinymi paznokciami obgryzionymi do

mięsa. Fred odwiedził go w więzieniu, w pokoju przesłuchań, już po rozmowie z matką chłopca i po przejrzeniu akt. Murzyn był oskarżony o napad z bronią w ręku na sklep jubilerski, sterroryzowanie właściciela i grabież. Był zamaskowany, miał na twarzy pończochę. Działać miał ze wspólnikiem, który go ubezpieczał na zewnątrz sklepu. Obaj zbiegli. Wspólnik skutecznie, a jego ujęto kilka minut później, gdy usiłował sforsować ogrodzenie jakiejś prywatnej posiadłości w sąsiedztwie dzielnicy handlowej. Nie stawiał oporu policji. Wedle akt zdążył pozbyć się pończochy i zagrabionych precjozów, które zapewne przekazał wspólnikowi. Upiera się, że jest niewinny. Nie znaleziono na miejscu zajścia ani jego odcisków, ani innych śladów materialnych, ale jubiler twierdzi, że go poznaje. Po czym? No właśnie, po czym? Trykotowa koszulka i dżinsy, budowa i wzrost.

Matka przysięga na Chrystusa i Przenajświętszą Panienkę, że jej syn nie uczestniczył w napadzie. Podobnego zdania są ich sąsiedzi, którzy złożyli się na adwokata dla Billa: chłopak jest ociężały umysłowo, ale cudzego nigdy nie tknął – spolegliwy, grzeczny, nieśmiały.

Szef Freda, właściciel kancelarii adwokackiej Janssen & Janssen, Howard Janssen Junior starał się unikać kolorowych klientów, zresztą był dla nich za drogi. Tutaj jednak nie pożałowano pieniędzy i kancelaria nie mogła odmówić.

– Wiesz, co masz robić – powiedział do Freda Howard Janssen Junior. – Powód odmowy nie do podważenia. Niestety, rezygnujemy z obrony, zwracamy zaliczkę w całości i polecamy mecenasa Higginsa. Higgins to as wśród ciemnoskórych prawników w naszym mieście, wygrał kilka trudnych spraw.

– Rozumiem, o co ci chodzi – powiedział Fred.

– Byłoby jeszcze lepiej, gdyby to oni z nas zrezygnowali. Rusz głową.

Pokój przesłuchań jest pusty, jeśli nie liczyć stolika i dwóch krzeseł przyśrubowanych do podłogi oraz dużego weneckiego lustra. Chłopak już siedzi przy stoliku i nieprzytomnie patrzy przed siebie. Fred siada naprzeciw. Przywołuje ciepły profesjonalny uśmiech.

– Jestem twoim adwokatem i będę trzymał twoją stronę przed sądem. Ale muszę znać całą prawdę, Bill. Z kim napadłeś na jubilera?

– Z nikim, proszę pana. Ja nie umiem napadać na nikogo.

– Napadłeś na sklep i zrabowałeś biżuterię.

– Nigdy, proszę pana. Dlaczego nie pozwalają mi pójść do domu?

Fred bardzo szybko nabrał pewności, że chłopak nie udaje debila, tylko nim jest na sto procent. Uśmiechał się głupawo, w oczach miał strach.

– Uciekałeś przed policją. Właziłeś na ogrodzenie cudzej posiadłości, prawda?

– Pani Carter hoduje króliki. Lubię patrzeć na króliki, proszę pana. Ona mi pozwala. Miałem dla królików marchewkę. One stają słupka i obgryzają marchew, jak krasnoludki. Pan widział kiedyś?

Fred przypomina sobie, że w spisie rzeczy znalezionych przy zatrzymanym wymieniono cztery marchewki. Już wierzy chłopakowi, wbrew zeznaniom jubilera. Ale nie po to tu przyszedł. Wstaje.

– Nie możesz mnie okłamywać, Bill. Jeśli nie powiesz mi prawdy, nie będę cię bronił przed sądem.

– Pan nigdy nie widział, jak króliki jedzą marchewkę?

Szef był zadowolony. Mamy go z głowy, powiedział do Freda, napisz do jego matki, że musimy zrzec się obrony, ponieważ jej syn nie chce współpracować. Odeślij czek z zaliczką i wyraź szczere ubolewanie.

Fred przygotował list na kredowym papierze z nadrukiem firmowym, uprzejmy i z wyrazami współczucia, napomykając mimochodem o mecenasie Higginsie. Listu jednak nie wysłał. Wieczorem, słuchając koncertu Filharmonii Wiedeńskiej pod dyrekcją Karajana w wersji stereofonicznej, wyobraził sobie czarnoskórego chłopaka o błędnym spojrzeniu, tłumaczącego się bełkotliwie przed sądem, że chciał nakarmić króliki pani Carter. Przysięgli, w większości biali, nie lubią takich bajeczek. Uwierzą jubilerowi, że rozpoznaje napastnika, który mu groził śmiercią.

A jeśli to prawda i Bill udaje przygłupa? Przestępcy bywają uzdolnieni aktorsko. Niech się tym zajmie Higgins, czarny z czarnym dojdzie do ładu.

A jeśli Bill nie kłamie? Wtedy po nim. Kolorowy adwokat nie przekona sądu, że jego ciemnoskóry klient tylko przypadkiem znalazł się w złym miejscu o niewłaściwej porze i że chodziło o króliki. A Fred, być może, przekona.

Tylko być może. W Nowym Jorku szanse miałby bez porównania większe, bo Nowy Jork to nie Ameryka, to twór sam w sobie, z niczym nieporównywalny, pełen dziwaków, trockistów i nawiedzonych, gdzie biali już zaczynają czuć się winni wobec czarnych za grzechy swoich przodków, a niektórzy czarni, ci z zamożnych rodzin, umieją to wykorzystać, niekiedy bez umiaru, po chamsku.

Ale ten mały nie wygląda na chama. Raczej upośledzony umysłowo. Tacy nie umieją kłamać, to dla nich za trudne.

No to co? Fred jest tu nowy, u progu kariery. Byłby durniem, gdyby zmarnował szansę przez czarnego przygłupa. Szef dobrze mu życzy.

Orkiestra von Karajana zbliżała się do finału, muzycy wpadli w euforię, w oknach zaczęły drżeć szyby. Fred leżał z zamkniętymi oczami i wchłaniał w siebie kaskady dźwięków, a gdy orkiestra zamilkła, sięgnął po telefon. Numer znał na pamięć, jak własną datę urodzenia. Wybrał go po omacku, bez otwierania oczu.

– Możesz mnie nie pamiętać – powiedział do Madonny. – Dziesięć dni temu pomogłem ci zmienić koło.

– Pamiętam. O co chodzi? Skąd masz mój telefon?

– Teraz ja potrzebuję pomocy. Muszę spotkać się z tobą.

– Nic z tego. Mogę wysłać ci czek. Ile jestem winna za wymianę koła?

– Madonno, bądź miłosierna…

– Co takiego?

– Powiedziałaś, że ludzie muszą pomagać ludziom. Pewnie się przesłyszałem. Good bye.

Nie zdążył odłożyć słuchawki.

– Moment – usłyszał. – O co ci chodzi?

W gardle miał sucho, przełknął ślinę. Żałował, że zadzwonił do Marii. Wolał widzieć ją w wyobraźni jako nieśmiałą i smutną

piękność, która broni się przed światem udawaną arogancją. Najwyraźniej nie udawała.

– Nie ma o czym mówić – mruknął.

– Widocznie jest, jeżeli do mnie zadzwoniłeś. Będę miłosierna, przyrzekam.

– Nazywam się Fred Connors, jestem adwokatem, od niedawna tutaj. Pracuję w kancelarii Janssena…

– Do rzeczy, Fred.

– Postanowiłem się ustatkować. Trochę późno, fakt. Żyłem bujnie… – Fred zawiesił głos. – Ale nie gram już w pokera, nie bywam w Las Vegas. Nie angażuję się w politykę, nie trafiam do aresztu za rozróby na demonstracjach przeciwko Nixonowi. Mam już za sobą narkotyki, mafię. Przestałem zrywać z kobietami, gdy odkrywałem, że mi na nich zależy. Nie rzucam kolejnej pracy po miesiącu. To wszystko nie byłoby możliwe w Nowym Jorku, dlatego osiadłem tutaj. W kancelarii Janssena uważają mnie za adwokata z przyszłością i chciałbym, żeby tak było. Nie można być wiecznym młodzieniaszkiem, prawda? Czuję się zmęczony, mam chory kręgosłup, od czasu do czasu paskudne bóle. – Zrobił pauzę. – Jestem bardzo samotny, Madonno.

– Kto nie jest? – usłyszał.

– Nie zrozumiałaś. Chodzi o to, że muszę o czymś zdecydować. Nigdy nie miałem z tym problemu, jedyną busolą było sumienie. Teraz jest inaczej. Zagubiłem się, potrzebna mi pomoc.

– Dlaczego moja?

– Nie wiem. Przepraszam za ten telefon.

Chciał już odłożyć słuchawkę.

– Znasz bar Honeymoon? Róg Morningside Avenue i Douglas Street. Za godzinę. Ale na króciutko.

Lokal o kształtach wagonu kolejowego był oświetlony na czerwono chińskimi lampionami. Stoliki pod oknami przykrywały obrusy w kratę. Kelner przyniósł Fredowi dżin z tonikiem i zapalił na stole aromatyczną świeczkę. Maria spóźniała się; gdy w końcu weszła, Fred apatycznie kończył drugiego drinka, szykując się do opuszczenia baru. Miała na sobie czarny żakiet z kapturem i ogromne ciemne okulary, w pomarańczowym półmroku Fred ledwo

ją rozpoznał. Zamówiła podwójne martini. Spod kaptura wylewały się fale złotych włosów. W migotliwym blasku świecy jeszcze bardziej przypominała Madonnę. Fred chciał ją poprosić, by zdjęła okulary, ale się nie odważył. W dłoni czuł ciepło jej palców, kiedy podała mu rękę na powitanie.

– Do rzeczy. Coś się stało, Fred? W naszej dziurze może coś się stać?

Fred przypomniał sobie uwagę Janssena o rozwodzie, na który nie umie zdecydować się hollywoodzki gwiazdor. Miał uczucie, że odbiera fluidy melancholii płynące od Marii. Wieść niosła, że gwiazdora nie widziano tu od sześciu miesięcy i że ma podobno romans z Jane Fondą. Fred pomyślał, że to dureń. Prawdziwy mężczyzna klęczałby przed Madonną i modlił się do niej. On, Fred, byłby gotów to zrobić natychmiast, nie bacząc na przylizanego kelnera i parę otyłych kowbojów żłopiących coś tam przy sąsiednim stoliku. Gapili się na nich ukradkiem jak hieny.

– Mam kłopot z chłopakiem, który lubi karmić króliki marchewką – zaczął.

Słuchała go, nie przerywając. Kilka razy ich palce stykały się przypadkiem po drodze do szkła i w zmieszaniu odskakiwały od siebie. Palce już coś wiedziały, oni jeszcze nie.

– Co mam ci powiedzieć? – spytała, kiedy skończył.

– Gdybym wiedział…

– Przyjechałeś tutaj szukać spokoju. Ten czarny nie jest wart więcej od ciebie, żebyś miał się dla niego poświęcić. Tu jest Południe, Fred. Znam Janssena, to nasz adwokat, on ci nie daruje, jeśli go wrobisz. Chyba że się zmówisz z prokuratorem.

– To wykluczone.

– Więc odpuść i będziesz miał swój spokój.

Fred sapnął. Nie czuł się dobrze. Kręgosłup dawał znać o sobie.

– Tylko tyle mi powiesz? – zapytał.

– Drugi wariant to ocalenie niewinnego. Your choice.

Przylizany kelner dostarczył dwa kolejne drinki. Stał i gapił się na Marię, nie ukrywając zdziwienia. Nie widział jej nigdy z obcym mężczyzną. Może nie ona?

Maria zdjęła okulary, aby rozwiać jego wątpliwości i zaspokoić ciekawość pary grubasów. Jakby rzucała im wyzwanie. Oczy miała błękitniejsze od nieba i rozświetlone od wewnątrz. Gdy odrzuciła kaptur, zabrakło tylko aureoli nad głową.

– Bywałam tu z mężem – wyjaśniła. – Rozdawał autografy. Mnie mają za kurę domową w żałobie.

– W żałobie? – zdziwił się Fred.

– Życzliwi donoszą o wszystkim. Ale nie wierzę w romans Boba z Fondą. To taka praca. On mnie za nic nie rzuci.

– Szkoda – wyrwało się Fredowi.

– Czego?

– Moja wyśniona miłość nie jest ani trochę podobna do ciebie. Zbyt ubogą mam wyobraźnię. Ciebie nawet nie można wyśnić, Madonno.

Roześmiała się. Ten jej zachrypły śmiech trochę zniwelował dystans między nimi.

– Madonna? Ja? Pisz wiersze, Fred, masz zadatek na poetę. W życiu jest ciut inaczej. Po miłość ludzie idą ze sobą do łóżka, a interesy robią przed ołtarzem.

– Ja bym się nie odważył nawet w marzeniu pójść z tobą do łóżka – wyszeptał Fred.

– Na co ty mnie próbujesz naciągnąć, mecenasie? – zakpiła z niepewnym uśmieszkiem.

– Wierzę w Boga. To byłoby świętokradztwo.

Maria włożyła okulary, włosy przykryła kapturem, dopiła swoje martini.

– Wy, nowojorczycy, umiecie bajerować prowincjonalne gąski – powiedziała, wstając. – O mało się nie nabrałam na twoje wzruszające historie.

Fred przytrzymał ją za łokieć.

– Wiem, że cierpisz – odezwał się cicho. – Nienawidzisz męża i z zapartym tchem czekasz na jego telefon, a on nie dzwoni, więc jesteś nieszczęśliwa, coraz głębiej samotna i wściekła, uciekłabyś od siebie samej, ale nie masz dokąd…

– Brednie – przerwała mu. – Puść moją rękę.

– Okropne brednie – zgodził się Fred. – Wymyśliłem to wszystko, żeby się zbliżyć do ciebie. Ja, włóczęga, miałem czelność mierzyć się z hollywoodzkim amantem, tupet, co? Ale modlić się do Madonny wolno każdemu. – Puścił łokieć Marii. – Kelner, rachunek.

Wyszli razem, nie patrząc na siebie, jak dwoje obcych. Wieczór fosforyzował w księżycowym świetle, pachniało jaśminem i migdałami, na ulicy nie widać było żywego ducha. Porządni Amerykanie na Południu o tej porze już śpią. Nie śpią tylko cykady, południowe świerszcze, wprawiając w drżenie fioletową ciszę. Naprzeciw baru pod latarnią stał srebrny mercedes Marii.

– Nie jesteś wozem? Wsiadaj.

Powiedział jej, gdzie mieszka. Podczas jazdy nie rozmawiali. Dotykali się biodrami i Fred był pewien, że Maria jest tego świadoma, więc się na to godzi. Całym sobą przeżywał ciepło jej ciała.

Samochód stanął przed jego szałasem. Madonna zgasiła silnik, wyłączyła światła i wysiadła.

– Żadne brednie – rzuciła przez zęby. – Ten skurwysyn sypia, z kim popadnie. Pierdolę go. Idziemy do ciebie.

Madonny nie mogą używać wulgarnych wyrazów, lecz Freda nic to nie obeszło. Pozwolił Marii wziąć prysznic, dał jej swój beżowy szlafrok i usiedli oboje przed kominkiem, choć obok był szeroki materac okryty prześcieradłami. Aż do świtu słuchali w milczeniu Bacha, Musorgskiego, *Tańców połowieckich*, arii Nadira z *Poławiaczy pereł*.

ROZDZIAŁ 68

– Nie poszliście do łóżka? – zapytasz z niedowierzaniem.

– Zepsułbym wszystko – odpowie Donald. – Miała pozostać dla mnie świętą. Pożegnaliśmy się o czwartej nad ranem, odprowadziłem Marię do samochodu. Objęła mnie za szyję i pocałowała w usta. Sypiałem w życiu z mnóstwem kobiet, a pamiętam tylko ten pocałunek.

– Dziewczyny nie idą w nocy do facetów, żeby słuchać muzyki. Chciała się odegrać na mężu.

– Co ty wiesz? Ja ją kochałem dla siebie, nie dla niej. Musiało być po mojemu. Nikt nie będzie mi pisał scenariusza, rozumiesz?

Janssen dał się Fredowi wygadać. Chyba nie bardzo słuchał.

– Być może masz rację – powiedział, gdy Connors zamilkł. – Jeśli policja schwyta prawdziwego sprawcę, czarnuch wyjdzie na wolność. Zostawmy to Higginsowi.

– Jak mam mu odmówić, szefie?

– Klient nie współpracuje. Okłamuje obrońcę.

– Powiedział prawdę, szedł karmić króliki, nie ma żadnego dowodu, by brał udział w napadzie na jubilera. Wygram tę sprawę.

– I o to chodzi. – Boss się uśmiechnął. – Czasami wygrać to przegrać.

– Wolałbym jednak…

– To mnie nie interesuje – przerwał mu Janssen. – Moja kancelaria nie poprowadzi tej sprawy.

Po południu Fred spotkał się z matką Billa i powiadomił ją, że kancelaria Janssena rezygnuje z obrony, ponieważ klient wszystkiemu zaprzecza i nie można nawiązać z nim współpracy. Mecenas Janssen doradza zwrócenie się do kancelarii adwokackiej Higginsa.

– Bo Higgins też jest czarny? – spytała matka. – Nie wstyd ci? Nakładam na ciebie klątwę, młody człowieku. Nigdy już nie zaznasz spokoju.

Wyglądała na czarownicę, nosiła jakieś amulety, świecidełka, ale Fred się nie przestraszył klątwy i nie dlatego pojechał do pani Carter, która rozpoznała Billa ze zdjęcia i potwierdziła, że zagląda często do królikarni. Była to pogodna staruszka o gładko zaczesanych białych włosach.

– Chyba nie jest całkiem normalny – powiedziała. – Taki duży dzieciak. Zrugałam go, że włazi przez dziurę w ogrodzeniu, bardzo mnie przepraszał, ale tak kocha króliki, że nie może się oprzeć. Tego dnia też był tutaj, doskonale pamiętam. Pomagał mi wysprzątać klatki. Czy jestem pewna? Ja wszystko zapisuję w kalendarzu.

Jubiler przyjął Freda chłodno. Wyraził zdziwienie, że szanująca się kancelaria Janssena bierze w obronę murzyńskiego bandziora. Nie miał najmniejszych wątpliwości co do osoby sprawcy.

– Kancelaria mecenasa Janssena raczej odmówi obrony – powiedział Fred. – Szukamy tylko uzasadnienia.

– Odmawia przyznania się do winy. To mało?

– Po czym pan go zidentyfikował? Miał na twarzy pończochę.

– Sylwetka, ruchy. Przyjrzałem się jego dłoniom, miał paznokcie obgryzione do mięsa.

– Policja nie znalazła żadnych precjozów.

– Trudno. Całe szczęście, że byłem ubezpieczony.

Nie wyglądał na przygnębionego. Dla niektórych ofiar rabunku jest to okazja, by dobrze zarobić na polisie.

Od jubilera Fred poszedł prosto do aresztu i skrupulatnie przesłuchał podejrzanego, starając się przyłapać go na krętactwie lub kłamstwie. Może mają rację policja i prokurator? Chłopak plątał się, nie pamiętał szczegółów, przekręcał fakty. Na koniec rozmowy Fred nie miał już tak mocnego przekonania o niewinności Boba. Może był odrobinę tendencyjny. Podświadomie, ma się rozumieć.

Późnym wieczorem zadzwoniła Maria. Zwyczajnie, jak gdyby byli umówieni na telefon. Czy wpadnie do niej na drinka? Fred przyjął zaproszenie, choć tego wieczoru paskudnie bolał go kręgosłup i leżał już w łóżku, bo w cieple pościeli ból nieco przygasał.

Ubrał się szybko, zaciskając zęby.

Rezydencja gwiazdora nie była rozświetlona rzęsiście, w alei wiodącej do pałacyku nie jaśniały chińskie lampiony. Światło paliło się tylko w jednym oknie na dole. Maria sama otworzyła mu drzwi, widocznie dała służbie wolne. Fred poczuł od niej alkohol.

– Mam chandrę – poinformowała. – Potrzebny mi człowiek, który nigdy nie przestanie mnie kochać. Jak katolik Madonnę.

Zaśmiała się z własnego żartu i poprowadziła Freda przez marmurowy hol ozdobiony starogreckimi freskami do wiktoriańskiego salonu, w którym mogłaby się pomieścić piętrowa willa. Na ścianach wisiały mroczne holenderskie sztychy w pozłacanych ramach, na kamiennych postumentach stały antyczne amfory z pękami zasuszonych kwiatów. W olbrzymim kominku buzował ogień,

wyczyniając harce cieni na wiśniowej skórze owalnej wielkiej kanapy. Maria miała na sobie dziurawe dżinsy i rozciągnięty czekoladowy sweter, jak hippiska, lecz to nie wadziło Fredowi widzieć w niej Madonny. Była nawet aureola wokół jasnych włosów, kiedy stała plecami do kominka.

Nad kominkiem wisiał naturalnej wielkości portret hollywoodzkiego gwiazdora, który patrzył Fredowi prosto w oczy.

– Możesz na mnie liczyć – powiedział Fred do Marii, przyjmując od niej kryształową szklanicę z whisky. – Będę cię kochał do końca życia.

Maria, nie odwracając się, wskazała na portret.

– On też mi to przyrzekał.

– Aktorom łatwo mówić takie rzeczy. Sam kiedyś grałem na Broadwayu i dałem sobie spokój. Ciążyło mi udawanie, że jestem kimś innym, niż jestem. Nieźle mi to nawet wychodziło, wczuwałem się w rolę, aż w końcu nie wiedziałem, który z nas jest prawdziwy, i to był alarm.

Chyba nie słuchała Freda. Odwróciła się i patrzyła nieruchomo na portret męża. Wydawało się mu, że w oczach miała ból. Fred Connors zdał sobie sprawę, że nic nie znaczy dla Marii w porównaniu z mężczyzną na płótnie, który swoją próżną wyniosłość przesłaniał wystudiowanym scenicznie ciepłym uśmiechem. On, Fred, robi tu za substytut. A czym innym mógłby być przeciętny adwokacina wobec hollywoodzkiego amanta? Fredowi Connorsowi zostaje tylko godność. Trzymać dystans, nie przyjmować ochłapów. Wiedział, jak powinien się zachować, lecz nie potrafił. Do tej pory to dziewczyny leciały na niego, a on tylko kierował ruchem – podnosił i opuszczał semafor, przestawiał tory, przyjmował i odprawiał. Tu stracił głowę. Był oszołomiony, w euforii, jakby wypalił z rzędu tuzin skrętów trawki. Dominowało radosne poczucie, że jest zdany na łaskę Madonny i że będzie mu ona łaskawa. Nieważne, co nią pokieruje. Przez wszystkie ostatnie dni pod powierzchnią codzienności nie przestawała pulsować w nim pamięć ich wspólnej nocy w jego szałasie. Natręctwo wspomnień rozczłonkowanych na gesty, pojedyncze słowa, mimikę, rytm oddechów. Szukanie ukrytych znaczeń i beznadziejna nadzieja, że coś się stanie.

I oto się stało.

Kobiety idą do łóżka z potrzeby albo wbrew sobie. Na przekór, żeby się zemścić, odegrać. Dotychczas kobietami Freda kierowało pożądanie. Teraz miało stać się inaczej. Nie wyczuwał w Marii nic, co byłoby seksem.

– Chodź.

Wzięła Freda za rękę, jak nieposłuszne dziecko, i zaprowadziła do jasnokremowej sypialni z gigantycznym okrągłym łożem i lustrem w suficie. Tu także, na ścianie, nie do ominięcia spojrzeniem, wisiał naturalnych rozmiarów portret jej męża. Fred, leżąc na plecach, musiałby na niego patrzeć. W powietrzu unosił się słodkawy zapach kadzidła.

– Rozbierz się. Zaraz wracam.

Zniknęła w łazience. Fred zaczął rozpinać koszulę i nagle eksplodował w nim kręgosłup. Tak bardzo jeszcze go nigdy nie bolało. Żeby pochylić się i zdjąć spodnie, musiał rozgryźć dolną wargę do krwi. Mimo to był zdecydowany kochać się z Marią.

Gdy wyszła z łazienki, stał już nagi. Maria miała na sobie te same dżinsy i sweter. Policzki żłobiły dwie krechy rozmazanego tuszu do rzęs.

– Nie mogę – warknęła. – Ubieraj się.

Fred pomyślał, że kręgosłup próbował go ostrzec. Ból zniknął równie nagle, jak się pojawił.

– Potrzebowałaś testu – powiedział. – Musiało paść na mnie? Odwróć się, jeśli łaska.

Sięgnął po koszulę, unikając wzrokiem Marii.

– Bądź mężczyzną – usłyszał jej szept. – Nie ustępuj, zmuś mnie. Nie mam nic pod spodem, zobacz…

Ściągnęła przez głowę czekoladowy sweter. Była bez stanika. Pod dżinsami nie miała bielizny. Tylko opalenizna i mleczna biel w okolicach intymnych. Fred zrobił krok w jej stronę, ale na drugi krok nie pozwolił mu kręgosłup. Atak bólu otrzeźwił go.

– Kocham cię – powiedział. – Nie lecę na okazję.

– Po prostu mnie przeleć. Ja tego potrzebuję. Proszę cię, słyszysz?

Podeszła, zarzuciła Fredowi ramiona na szyję, przytuliła się całym ciałem. Nie do niego się przytuliła. Powieki miała zaciśnięte z całych

sił. Fred odczekał bez ruchu, aż otworzyła oczy. Cofnęła się gwałtownie.

Nadzy, usiedli obok siebie na skraju okrągłego łoża. Maria zapaliła papierosa. Kręgosłup ulitował się nad Fredem i przestał boleć. Zaczęła się beznamiętna opowieść o medycznych studiach w Bostonie, które Maria rzuciła, aby wesprzeć Boba, początkującego aktora bez szans na poważną rolę w amatorskim teatrzyku. Uwierzyła, że ma talent. Miał. Bez talentu jeszcze nikt się nie wybił w Hollywood. Ale, by tam trafić, trzeba zwrócić na siebie uwagę. Rodzice Marii kupili im teatr. Dokupili dobrego reżysera, który obsadził Boba w roli Hamleta, i znanego krytyka teatralnego, aby obejrzał spektakl. Znany krytyk nie zachwyciłby się Bobem za pieniądze. Zachwycił się z przekonaniem, a jego recenzja okazała się kartą wstępu do Hollywood. Tylko raz zagrał rolę drugoplanową. Wypatrzył go sam Kubrick i tak się zaczęło.

Bob kochał Marię. Jest tego pewna. Z rozpaczliwą szczerością poprosił ją o zgodę na romans z podstarzałą gwiazdą, ponieważ tędy wiodła droga do prawdziwej kariery, tak doradzili mu znawcy przedmiotu. Romans, oczywiście, miał być udawany i zakończyć się skandalem. Maria dała zgodę. Na kolejny romans, o którym rozpisywano się w brukowcach, Bob już Marii o zgodę nie poprosił.

Każdą miłość można w końcu rozpaprać i utłuc, rozmieniając ją na drobniaki. Uczucie gaśnie w strumieniach piany, zostaje po nim trochę dymu najwyżej. Maria długo nie wierzyła, że Bob przestał ją kochać. W trakcie coraz rzadszych odwiedzin świetnie odgrywał miłość. Aż w końcu poprosił Marię, by to ona wystąpiła o rozwód, tłumacząc to polisą, sugestią adwokatów, wysokim odszkodowaniem, które dostaną oboje. Maria złożyła pozew. Trwają procedury, a ona wciąż ma nadzieję, że Bobby się opamięta, wycofa, wróci do niej.

– Wiem, że idiotka ze mnie. Postanowiłam się wyleczyć. Ty mi się podobasz, Fred. Spróbujemy?

Kręgosłup się ulitował i Fred przechodził samego siebie, by uszczęśliwić Marię, grając na wszystkich znanych mu kobiecych instrumentach, splatając w jeden warkocz czułość, maestrię i wyuzdanie. Nie zauważył, by choć przez moment zareagowała. Nie wysiliła się, by udać orgazm, co byłoby taktownym finałem zbliżenia.

Kiedy skończył, była równie daleko od niego jak na szosie, gdy zmieniał jej koło.

– Nadal przyrzekasz kochać mnie do końca życia? – zapytała, leżąc na plecach i patrząc w sufit.

– Przysięgam – skłamał Fred Connors.

Było to i nie było kłamstwo. Fred miał niepodważalną pewność, że nigdy nie przestanie kochać Madonny, tej ze snów i marzeń, wykreowanej w jego wyobraźni. Może kiedyś ją spotka, jeśli ma to w zapisie przeznaczenia. Wiadomo przecież, że ludzie, mężczyźni i kobiety, są stwarzani do pary, tylko nie każdej parze dane jest się spotkać. Odwraca się wtedy kota ogonem i głosi, że ona i on są sobie przeznaczeni, ponieważ wzięli ślub albo żyją ze sobą na kocią łapę. Łapa kota odwróconego ogonem, rozbawiło to Freda, cichutko się zaśmiał. Zerknął na Marię, wciąż leżącą na plecach i gapiącą się w lustro nad łożem, i zobaczył, że po policzkach spływają jej łzy. Nic go to nie obeszło.

– Naprawdę nic cię to nie obeszło? – spytałeś Donalda.
– Nic a nic – odparł. – To już nie była ona.
– Madonna?
– Właśnie.

Nazajutrz Fred Connors po raz ostatni spotkał się w więzieniu z czarnym chłopakiem kochającym króliki, aby sprawdzić, czy nie zawodzi go pamięć. Dobrze pamiętał: Bill nie miał paznokci obgryzionych do mięsa. Przeciwnie, były długie, z brudnymi obwódkami.

Fred jeszcze raz zapytał chłopca, czy zechce przyznać się do napadu na jubilera, bo wtedy, być może, znalazłyby się okoliczności łagodzące, na przykład ograniczona poczytalność. Bill odmówił z przepraszającym uśmiechem.

Więcej się nie spotkali.

Z Marią Fred także nie spotkał się nigdy więcej. Zrezygnował z pracy u Janssena. Zapakował materac do bagażnika cadillaca i ruszył przed siebie, jak tyle razy przedtem.

– Nie żal ci było niewinnego chłopaka? – zapytał Ptasidziób. – Mogłeś go wybronić przed sądem.

– Paznokcie – zgodził się Donald. – Pani Carter dałaby mu alibi. Musieliby go uniewinnić. Ale ja zamknąłem tamten rozdział i zacząłem następny.

– Życie to nie powieść, kuzynie.

– Na pewno? – Donald roześmiał się. – Moje to cały cykl powieściowy. Trzymam się scenariusza. Na pożegnanie poradziłem starej czarownicy, matce Billa, żeby opowiedziała Higginsowi o paznokciach obgryzionych do mięsa, co odnotowano w protokole policyjnym. I żeby powołał na świadka panią Carter od królików.

– Ale sam dałeś dyla.

– To był uczciwy kompromis. Podobnie jak z Marią. Mieliśmy różne scenariusze, których nie dało się połączyć.

– Jesteś tchórzem, Donald – zaczął sennym tonem Ptasidziób. – Całe swoje całkiem już długie życie uciekasz przed odpowiedzialnością, ale przed samym sobą dosyć trudno jest uciec. Ja ci serdecznie współczuję, kuzynie, twoje życie nie jest warte złamanego szekla.

– Dlaczego szekla? – zainteresował się Donald, mieszając pogrzebaczem w kominku.

– To izraelska waluta – powiedział z naciskiem Ptasidziób.

– Ja już nie lewituję. Prawie nigdy. Nie próbuj wyceniać czyjegoś życia.

– Chyba jesteś zdolniejszy ode mnie. – Ptasidziób zapatrzył się w kominek, obserwując coraz żwawszy taniec płomieni. – Tak myślę. Ale masz jakiś feler. Brak ci czegoś, żeby się spełnić. Ja jestem uparty. Wycisnę z siebie wszystko, na co mnie stać.

– Współczuję.

– Ty mnie?

– Ambicje to choroba.

– Nonsens.

– Degeneracja. Nie ma w naturze żywych istot z ambicjami. Z wyjątkiem człowieka. Nie każdego, na szczęście. Większość tylko chce żyć dobrze. Minimum wysiłku, maksimum korzyści. Jestem przedstawicielem większości.

ROZDZIAŁ 69

Słucham ich dialogu i mam wrażenie, że jestem po stronie Donalda. Nasz kuzyn ma wdzięk, ma w sobie ciepło, którym szafuje hojnie. Takich jak on lubi się. Gorzej z zaufaniem. Przekonasz się o tym po latach, gdy transformacja ustrojowa pożre wszystkie twoje oszczędności. Bankructwo wytwórni filmowej pozbawi cię dochodów i raptem odkryjesz, że nie masz na komorne, telefon, elektryczność. Zdesperowany, napiszesz do Donalda. Ostatnio pracuje w jakiejś kancelarii adwokackiej w Stamford, nieźle zarabia, znów postanowił się ustatkować. Jego ostatni list tchnie optymizmem. Napiszesz mu więc, że popadłeś przejściowo w finansowe tarapaty i gdyby mógł ci wysyłać po sto dolarów co miesiąc, przetrwasz czasy trudne, a gdy staniesz na nogi – w co nie wątpisz – dług zostanie zwrócony z nawiązką.

Donald odpowie natychmiast. Sto dolarów? On ci będzie słał po dwieście i nawet tego nie odczuje. Jak długo zechcesz. Podaj tylko numer swego konta w banku.

Podasz mu numer.

I na tym się skończy. Ani jednego przelewu, ani słowa wytłumaczenia.

Staniesz na nogi. Zrobisz kilka filmów, zdobędziesz parę nagród, wrócisz do telewizji. Kręcąc dokument w Nowym Jorku, przełamiesz opory i zadzwonisz do Stamfordu. W słuchawce rozpoznasz głos kuzyna. Zamierzałeś rozłączyć się, lecz nie zrobiłeś tego. Witasz Donalda z ironiczną powściągliwością. Ani słowa o stu dolarach. On sam zacznie się przed tobą tłumaczyć pokrętnie, że ktoś tam, coś tam. Udasz, że nie pamiętasz. Zbagatelizujesz sprawę, drobiazg, głupstwo, nie ma o czym mówić. Twój kuzyn będzie w siódmym niebie, szczęśliwy, że jesteś, kręcisz film, że się spotkacie.

Do spotkania jednak nie dojdzie. Dlaczego? Bo nie. Po prostu.

– Miiinimum wysiłku, maaaksimum korzyści… – przedrzeźniasz Donalda. – Masz rację. Większość. Ale świat idzie do przodu dzięki mniejszości. To ta mniejszość, może pięć, może dziesięć, a może

jeden tylko procent, która talent wspiera pszczelą pracowitością, uporem i ambicjami. To my tworzymy, odkrywamy. W pocie czoła, z wargami pogryzionymi do krwi. Wy, konsumenci, z biegiem czasu będziecie durnieć, kapcanieć, tracić muskuły i neurony, aż staniecie się debilami.

– Chwała debilom – śmieje się nasz kuzyn amerykański – nie ma szczęśliwszych niż debile. A do czego dąży człowiek? On dąży do szczęścia. Do beztroski, do luzu, do zaspakajania kaprysów. Nie złość się, mój drogi. Wy tam za żelazną kurtyną macie poprzewracane w głowach. Ideologia, wyzysk, sprawiedliwość społeczna, wyzwalanie uciśnionych i inne bzdety.

Jakbym słyszał Korala. Pochwała hedonizmu. Kaprysy, beztroska i luz. Ale Koral na to zapracował sobie. Ciężko tyrał i ciułał miliony przez lata, żeby na resztę życia zostać próżniakiem. Tym panowie się różnią. Różnią próżnią. A podobni są intelektem, głębią myślenia, rozumieniem procesów, które zachodzą w świecie. Z tych procesów próbują siebie wyłączyć. Gdy w sielankowej Tajlandii wybuchnie trochę teatralna rewolta i pucz wojskowych, Koral opatuli się płóciennym pasem pełnym złotych monet jednobahtowych i swoje osiem kilo kruszcu najwyższej próby przewiezie koleją do Singapuru. Tajom czasami odbija, ale nie singapurskim Chińczykom, którym megadobrobyt nie pozwala na szaleństwa. Pod tym względem przypominają Szwajcarów. Koral ufa ich sejfom bankowym. Chociaż, kto wie? Zdaniem Korala, wygłoszonym do mnie przy szklanicy tajskiego piwa, świat dziarsko zmierza ku wojnie totalnej, która nikogo nie oszczędzi. Spójrz, co się dzieje na Ukrainie! Rosja znów chce być mocarstwem i nikt jej od tego nie odwiedzie. Arabowie chcą pozbyć się Izraela, szyici sunnitów, Amerykanie Rosji, muzułmanie chrześcijan, katolicy Żydów, a liberałów ortodoksi bez względu na wyznanie czy rasę. Chińczycy się czają, wyczekują, ich czas nadciąga. Prochem pachnie coraz mocniej. Gdzie się skryć, żeby ocaleć? Ba… Na pewno nie w Islandii czy Australii. On, Koral, liczy na Singapur. Dlaczego na Singapur? Ponieważ wzajemnie mordującym się stronom potrzebna będzie neutralna wysepka. Podczas ostatniej wojny światowej była nią Szwajcaria – teraz bez szans ze względu na

promień rażenia broni nuklearnej. A w Singapurze jest czysto, porządnie i biznesowo. No i daleko od epicentrów termojądrowych, więc jest szansa przetrwania.

– A po przetrwaniu nie będzie liczyć się papier. Banknoty spłoną. Tylko metal. Ten szlachetny, do wymiany na makaron ryżowy z grzybami moon.

Ja osobiście od ryżowego makaronu z grzybkami moon wolę makaron sojowy w tajskiej postaci passiju muu, czyli zasmażany z wieprzowiną i jarzynami, w ostrym sosie, a do tego som tam, inaczej pikantną sałatkę z papai okraszoną orzeszkami i suszem krewetek. Palce lizać.

Za co kocham Tajlandię? Miłości, jako uczucia irracjonalnego, w przeciwieństwie, powiedzmy, do wdzięczności czy obrzydzenia, nie da się uzasadnić. Tak jak antysemityzmu czy rasizmu. Po prostu dobrze się tam czujemy, L. i ja. Tajowie na uśmiech zawsze odpowiadają uśmiechem. No, może z wyjątkiem policjantów. W Tajlandii nigdy nie jest mi zimno, a po dzieciństwie na syberyjskim zesłaniu zimna nienawidzę, tak jak głodu. Co mi się tam nie podoba? Pęki kabli elektrycznych zawieszone nad chodnikami zamiast biec pod ziemią – szpecą bulwary, zasłaniają frontony pozłacanych świątyń buddyjskich. Albo handel ptaszkami.

Łowcy ptaków zastawiają sidła na łączkach, w ogrodach, na dachach domków. Schwytane ptaszki zamykają pojedynczo w klatkach i ruszają na handel. Za trzydzieści bahtów otwierają drzwiczki i na oczach klienta zwracają wróblowi wolność. Za pięćdziesiąt bahtów wypuszczą z klatek dwa ptaszki. Turyści nie płacą, są oburzeni, ale Tajowie, zwłaszcza po kilku drinkach, miewają gest: kupują wolność za stówę nawet piątce ptasząt. Handlarze ptactwem mają się całkiem dobrze, bo Tajów po kilku drinkach wieczorami na plażach nie brak, zwłaszcza w weekendy.

A podobają nam się tajskie prostytutki. Delikatne, smukłe, pełne wdzięku, wyczekują cierpliwie w księżycowym blasku pod palmami na centralnym bulwarze Pattaya. Śliczne i brzydkie, czarnowłose, tlenione rude i blondynki, na oko małolaty i niekoniecznie na oko, ale każda ma dowód z dopuszczalną datą urodzin. Rodziły się niedaleko, w ubogich wsiach, gdzie dziś na wsparcie czekają rodzice,

dziadkowie, bracia, narzeczeni, a często ich własne dzieci, chowane przez mamę, babcię. Dziewczynki wspierają ich hojnie i zbierają na posag. Gdy uskładają na dach nad głową, telewizor, lodówkę, iPada, rzucają profesję i wychodzą za cierpliwych narzeczonych.

Zachwyt budzą dziewczyny wysokie, o figurach Naomi Campbell i anielsko pięknych twarzach. To transwestytki. Podobno nieświadomi panowie, idąc z nimi do łóżka, tylko przez moment bywają przerażeni, kiedy odkrywają zawartość majteczek. Po chwili mistrzynie miłości wprawiają ich w błogostan sztuką najwyższej klasy.

Na panów o gustach odmiennych czekają urodziwi chłopcy o niewinnych buziach.

– Prostytucja jest wszędzie – rzuca wzgardliwie Ptasidziób.

– Tajska prostytucja jest szczególnego rodzaju – odpowiadasz. – Europejscy starcy kupują tu miłość na cały czas pobytu, miesiąc, dwa, niekiedy dłużej.

– Miłość? – Ptasidziób wykrzywia się ironicznie.

– Najprawdziwszą – zapewniasz. – Czułą, wierną, opiekuńczą. Nieletniej Tajce nie przeszkadza, że jej sponsor jest łysy, brzuchaty, że wszystko mu zwisa, że śmierdzi starością. Ona go kocha. Na innego nie spojrzy. Towarzyszy dziadkowi na plaży, na wieczornych spacerach po Walking Street, podaje mu piwo, kupuje viagrę, masuje, przypomina o lekarstwach. Ona dźwiga zakupy, rozlicza się z taksówkarzem. Jak idealna żona z czytanki. A gdy staruch odjeżdża, jego Tajka płacze. Naprawdę. Przysięga mu dozgonną miłość, zapewnia, że będzie tęsknić i czekać. Nie kłamie. I emeryci wracają, i znów jest idylla, ale trzeba dziewczynę uprzedzić o dacie przyjazdu, żeby w porę była gotowa. Stali klienci mają przywileje.

Przypominasz sobie opowieść Korala o jego sąsiedzie, Benie, obleśnie tłustym Australijczyku pod osiemdziesiątkę, z babskim dupskiem, krzywą gębą, pryszczami i łysą pałą w kształcie strusiego jaja. Benowi towarzyszy zjawiskowo piękna, filigranowa Tajeczka podobna do antycznej boginki.

– Ona nie robi tego dla pieniędzy – wyznaje Koralowi Ben. – Ona mnie kocha. Zakochała się od pierwszego wejrzenia i przysięga dozgonną miłość.

– Ale ty jej płacisz – zauważa Ptasidziób.

– Nigdy! – zaperza się Ben. – Przecież ci mówię, że ona mnie kocha prawdziwą bezinteresowną miłością. Owszem, gdy jej matka jest chora, daję na szpital. Pomagam rodzinie zbudować dom na północy, pożyczyłem im na kupno ziemi, ale to wszystko z własnej woli, bez żadnych z jej strony nacisków.

– A prezenty? – pyta łagodnie Koral.

– Nie prosi. Sam widzę, że coś jej się podoba. Jest jak sroczka, uwielbia błyskotki, no to dostaje ode mnie te złote kolie, bransolety. A jak tęskni za mną, kiedy wyjeżdżam do Melbourne…

– Ty durniu! – wybucha nagle Koral. – Widujesz się w lustrze? Masz mordę jak szympans i cuchnie ci z pyska. Jesteś zwiędły staruch. Tajskiego nie znasz, ona nie zna angielskiego, więc ze sobą nawet nie rozmawiacie. Na migi zgłaszasz swoje życzenia, a ona je spełnia, bo jej za to płacisz! Po co wciskasz mi te ciemnoty?

Ben zaczyna płakać. Bezgłośnie. Tylko łzy mu ciekną po pryszczatych policzkach. Koralowi robi się przykro. Kto mu dał prawo odzierać kogoś ze złudzeń? Wycofuje się rakiem. Podsuwa Benowi myśl, żeby się ożenił i wywiózł swoją boginkę do Australii. Przecież jest wdowcem. Ben uspokaja się i popada w zadumę…

– Dlaczego się nie żenią? – pyta Ptasidziób. – Nie musieliby się rozstawać.

– Niektórzy to robią. Nawet płodzą dzieci o nadzwyczajnej urodzie. Likwidują w Europie swoje interesy i przenoszą się na stałe do Tajlandii. Tu otwierają biznes, hotel, restaurację, biuro podróży. Wszystko na żonę, bo tak stanowi tajskie prawo. A później, zazwyczaj, jest to kwestia czasu. Gdy Szwajcar, znajomy Korala, po kilku latach poleciał na krótko do Zurychu odwiedzić swoje szwajcarskie wnuki, po powrocie do Pattaya nie zastał w domu żony ani córeczek. Dom nie był już jego. Hotel wart miliony żona sprzedała tajskiemu Chińczykowi za sto tysięcy dolarów i wróciła do siebie na wieś. Do narzeczonego.

– On to tak zostawił?

– Pojechał do niej. Ponieważ ogołociła go kompletnie, wyczyściwszy również ich wspólne konto w Kasikorn Bank, ulitowała

się i dała mu na bilet do Szwajcarii. On nie wrócił jednak do Zurychu. Po co? Tam też byłby bez grosza.

– Co biedak zrobił? – pyta z uśmieszkiem Ptasidziób.

– Nic szczególnego. Zjadł z Koralem kolację w nadmorskiej tawernie, opił się whisky i nad ranem już wisiał w hotelowym pokoju.

Urywasz, zamyślasz się. Masz przed oczyma Jonasza Wyborowego, swego przyjaciela z Bangkoku, który dziesięć lat temu ożenił się z Tajką, spłodził z nią trzech synów i założyli wspólnie hodowlę węży dla ogrodów zoologicznych, medycznych laboratoriów, miłośników żmij. Mają tam pytony, boa, anakondy i inne zimnokrwiste o wadze do stu kilo, a nawet więcej. Z wężem, powiada Jonasz, nie można się zaprzyjaźnić jak z psem czy kotem, lecz rozpoznaje karmiciela – po zapachu, bo wzrok ma kiepski – i nie zrobi mu krzywdy. A pokochać je można? Wyborowy twierdzi, że tak. Biznes idzie dobrze, zyski lokują w nieruchomościach, oczywiście wszystko na żonę, wedle tajskich przepisów.

I raptem żona odeszła. Tak po prostu. Wyszła z domu i nie wróciła, zostawiając mężowi dzieci oraz wiadomość, że jest z innym. Z Tajem. Który, być może, cierpliwie czekał na nią dziesięć lat, aż się doczekał. Matka zostawia dzieci? Nic nadzwyczajnego. W Tajlandii dziećmi zajmują się dziadkowie, bo rodzice nie mają na to czasu, muszą pracować, i nie jest to takie złe dla dzieci – dziadkowie przekazują im swoje życiowe doświadczenie. Ale pani Tanata nie odesłała dzieci rodzicom, tylko zostawiła je Wyborowemu. Może uznała, że Jonasz lepiej o nie zadba? Mój przyjaciel ma problem i zarazem nadzieję, że nie zostanie doszczętnie ograbiony, ze względu na synków, których mamusia na swój tajski sposób niewątpliwie kocha.

Co tu jest grane? Zapewne różnica kulturowa, przekładająca się na mentalność. Porównywanie takich różnic jest głupotą. Europejczycy są lojalniejsi, Azjaci widzą więcej kolorów. Tajowie nie wymawiają litery „R”, a ich podniebienia są odporniejsze na ostre przyprawy. Europejczyk jest wyrafinowany, Azjata przebiegły, albo na odwrót.

Podoba nam się uwielbienie Tajów dla króla i rodziny królewskiej. Taj kocha swego króla całym sercem. Przed Bhumibolem

Adulyadejem z dynastii Czakri, czyli Ramą IX Wielkim, Tajowie padają na twarz, choć Tajlandia tylko z pozoru jest monarchią absolutną, a de facto rządzą tam wojskowi. I tak, i nie…

W 1946 roku zamordowany został Rama VIII. W do dziś nieznanych okolicznościach. Wtedy pospiesznie sprowadzono z USA jego najbliższego krewnego, młodziutkiego Bhumibola, dotąd utalentowanego saksofonistę, wykształconego na prestiżowej amerykańskiej uczelni. Stał się Ramą IX w kraju biednym i zacofanym, żyjącym głównie z narkotycznych upraw maku. Król Bhumibol odbył wędrówkę po najbiedniejszych wioskach, fundując wodociągi i ucząc chłopów agrokultury. Zamiast maku truskawki. Zboża, jarzyny, owoce – dotąd tutaj nieznane. W zamian stał się ubóstwiany przez lud i jest do dzisiaj, a króluje Tajom od prawie siedemdziesięciu lat. Tajlandia kwitnie, pomimo zamieszek, walk politycznych, rewolt i puczów. Król się w to nie miesza. I tak, i nie…

Gdy z cicha huknie na wojskowych, ci padają przed nim na kolana. Jeśli da milczące przyzwolenie, wprowadzają stan wojenny. Formalnie jest ponad. Musiał jednak dać zgodę na wypędzenie skorumpowanego premiera Thaksina, a później jego siostry, która objęła po nim fotel szefa Rady Ministrów, a on rządził krajem przez telefon, z Malezji.

Gdzie jeszcze obywatele tak kochają władzę? Gdzie za słówko krytyki panującego idzie się do więzienia na długie lata?

Bhumibol Adulyadej Rama IX Wielki nosi okulary i ma subtelną twarz intelektualisty. Choruje ciężko. Podobno Ramą X zostanie jego ukochany wnuk, na razie dzieciak.

Pokazać Ptasidziobowi Tajlandię? Opowiedzieć mu, jak się w niej kiedyś zakocha, towarzysząc z kamerą ministrowi spraw zagranicznych w jego służbowej podróży do Indii i Wietnamu, Laosu i Kambodży, Tajlandii i Indonezji? W Tajlandii byliście najkrócej, minister patronował w Bangkoku rozmowom biznesmenów. W przerwie rozmów ministra zawieziono na parę godzin do egzotycznej wioski rybackiej nad Zatoką Tajlandzką. Był tam bodaj jeden tylko hotel, rozlokowany na skalistym wzgórzu, z kamiennymi schodkami wiodącymi prosto na plażę. Wzgórze zwano Pratumnak, wioskę Pattaya. Zakochasz się od pierwszego wejrzenia w wodach jak niebo,

z łódeczkami rybaków na horyzoncie, w bezkresnych pustych plażach, w ciszy nasyconej śpiewem ptaków wśród kokosowych palm, w pachnącym ziołami, falującym od słońca powietrzu. Przysięgniesz sobie, że kiedyś tu wrócisz, i spełnisz tę przysięgę dwadzieścia lat później, odwiedzając kurort Pattaya w towarzystwie L. To już nie będzie cicha rybacka wioska, ale kurort o światowej renomie, nie tak idylliczny, lecz nadal urzekający pejzażami. Odtąd będziecie tu przyjeżdżać co roku, póki sił ci starczy na podróż dwunastogodzinną w samolotowej ciasnocie. Na czternastym piętrze wieżowca przy samej plaży zafundujecie sobie studio z tarasem na morze, całe w bieli, z trzema barwnymi plamami obrazów Picassa. Tajscy malarze są kopistami o jubilerskiej precyzji i wyczuciu piękna.

Przedtem jednak dużo się stanie, mój Ptasidziobie.

ROZDZIAŁ 70

Zaczynasz być coraz bardziej zmęczony. Tęsknisz do L. i masz coraz bardziej dosyć Ptasidzioba. Coraz i coraz, do znudzenia. Znów jesteście w jego suterenie – czy w ogóle z niej wylatywaliście? – popijasz łyczkami wytrawną wiśniówkę i na nowo zastanawiasz się, co byś mógł zrobić dla Ptasidzioba, żeby w przyszłości było inaczej. Otworzyć mu oczy? Uprzedzić, ostrzec? Kolekcja polskich trunków nabytych za bezcen w dyplomatycznej Baltonie to miła rzecz, ale konsul Zygmunt, polecony Ptasidziobowi przez Emila Popiołka, może wyjść mu bokiem i odbić się czkawką. Żaden z niego brat łata, choć nieźle go przeszkolono do tej roli. Luźne rozmowy z Ptasidziobem, które ten sobie ceni jako kontakt z krajem, konsul Zygmunt przetwarza i wzbogaca w raportach dla służb specjalnych. Umie tak te rozmowy prowadzić, by się dowiedzieć od Ptasidzioba na przykład, kim są jego studenci i co mają w planach. McGill, wojskowy, poleci do Moskwy jako korespondent stacji telewizyjnej. Moirę Fillis skierowano na studia slawistyczne z Departamentu Stanu, a Brian Stock wygadał się, że pracuje dla CIA. Ptasidziób mówi o tym i na

myśl mu nie przyjdzie, że właśnie robi za TW, tajnego współpracownika komunistycznego wywiadu.

Wypomną mu to kiedyś. Wyśmieją, gdy gwałtownie i szczerze zaprzeczy, że był agentem. A przynajmniej, że o tym nie wiedział. Więc się wścieknie i oświadczy z dumą, że owszem, był – arcyszpiegiem, superagentem, asem pikowym wywiadu. Nie podoba się? Ojczyźnie służył, do jasnej cholery! Że komunistycznej? A była jakaś inna? Polska to Polska, chrzanić przymiotniki. Najpierw rodzina, przyjaciele. Potem kraj, rodacy, swoi. I tyle.

Oskarżyciele historyczni, wierzący bez zastrzeżeń swym bratnim duszom z esbecji, mają gdzieś takie niuanse. Pójdzie w ruch cenzura utajona. W przeciwieństwie do oficjalnej, komunistycznej, od której można było czasem się odwołać do partyjnego dygnitarza z pomyślunkiem i wygrać, cenzura utajona nie istnieje. Cenzura w demokracji?! Po prostu znikniesz. Twoje filmy utoną we mgle, twoje nazwisko stopnieje. Gdy przez przypadek wypłyniesz na moment w zamieszaniu telewizyjnym, media pochwalą operatora. Wypadniesz z encyklopedii, znikniesz z filmotek, almanachów. A jeśli gdzieś sobie przypomną o Ptasidziobie, nie omieszkają zaznaczyć, że był arcyszpiclem, asem – czymoże blotką? – wywiadu czerwonego – sam się przecież do tego przyznał publicznie. Gdy komuś to na rękę, gniewny sarkazm bierze za dobrą monetę.

Masz to wszystko przed sobą jak w banku, naiwny Ptasidziobie.

Ustroje padają jak grom z jasnego nieba. Żeby to przewidzieć, trzeba być prorokiem, a nikt nie jest prorokiem we własnym domu. Wymiana proroków między domami? Żaden dom jeszcze na to nie poszedł, strzegąc własnych wstydliwych sekretów.

Ptasidziób będzie zaskoczony, kiedy obudzi się ze spustoszonym kontem bankowym, bo oszczędności życia pożre mu wybuch reformy gospodarczej i towarzysząca mu hiperinflacja. Jeszcze wczoraj miał na kilka lat przetrwania. Od dzisiejszego ranka starczy mu na miesiąc.

Jedni zaczną się podlizywać, rozmnożą opaski kombatantów, choć kombatanci, którzy wysadzili w powietrze gnijący ustrój, to ledwie promil narodu. Inni będą udawali, że nic się nie stało i że nadal są z

nich osoby publiczne. Jeszcze inni podejmą wyzwanie i zaczną działać w zgodzie z kapitalizmem. Ptasidziób, przegnany z wytwórni filmów dokumentalnych, zapisze się na audiencję do Mistrza, już w randze doradcy nowego prezydenta, a ten długo nie będzie miał czasu, w końcu go jednak przyjmie. Weźmie w ramiona, uściska mocno, ze łzą w oku, z prawie prawdziwym wzruszeniem. Wysłucha uważnie swego ulubieńca i Ptasidziób będzie już pewien, że problemy ma z głowy. Wtedy twarz Mistrza z nagła sposępnieje, między brwiami wystąpi lwia bruzda. Mistrz spojrzy prosto w oczy Ptasidziobowi i nie będzie to spojrzenie życzliwe.

– Co zrobiłeś dla wyzwolenia ojczyzny? – zapyta surowo. – Tych kilka konformistycznych filmideł? Kiedy myśmy walczyli, ty zbijałeś kokosy za granicą. Nie miałbym sumienia ani prawa, żeby cię skreślić z czarnej listy. Której zresztą nie ma.

I naciśnie dzwonek. Wygalowany portier, niegdyś wicemarszałek sejmu, zasalutuje Mistrzowi i odprowadzi Ptasidzioba do drzwi. Na pożegnanie mocno uścisną sobie ręce.

Wtedy, w desperacji, Ptasidziób wpadnie na pomysł przetrwania w jeszcze dzikiej przestrzeni i powszechnym chaosie: zaciągnie kredyt, z kimś się po cichu dogada i założy firmę.

SKUP SEKRETÓW sp. z o.o. wywoła szyderstwa w rewolucyjnych mediach i chyba to przyciągnie pierwszych klientów Ptasidzioba. Cennik uwzględni wagę sprzedawanych tajemnic, ich charakter – polityczny, ekonomiczny, obyczajowy – a umowa poufna przeleje wszelkie prawa na Nabywcę, z zastrzeżeniem anonimowości Sprzedającego. Sekrety będą weryfikowane, a wypłata zależna od wyników weryfikacji: pomówienia i oszczerstwa nie wejdą w rachubę.

ROZDZIAŁ 71

Pierwszy klient, niejaki Celestyn F., będzie przestępował z nogi na nogę, nim zapyta, czy firma kupi informację o mężu, który zdradza żonę.

– Jeżeli jest to mąż stanu – zażartuje Ptasidziób.

– On ma bank – usłyszy. – Po cichu wspiera lewicę, jego brat jest biskupem. Żona o niczym nie wie, to rodzona siostra lidera prawicy…

Ptasidziób kupi sekret jako obyczajowy, wedle niskiej stawki. Dowodami będą cztery kompromitujące zdjęcia i dwa odręczne listy. Celestyn F. pracuje w recepcji hotelu, gdzie bankier cichcem spotyka się co środę z młodziutkim prezenterem TV. Recepcjonista nie domyśli się, że sprzedał sekret gospodarczy, a nawet polityczny, za co mógł był dostać o wiele więcej.

Kolejni klienci to kelnerzy, sekretarki, osobiści kierowcy, pewien proboszcz, kochanka pewnego ministra, strażnik więzienny, emerytowany policjant, babcia klozetowa, ginekolog. Żeby złożyć ofertę, trzeba będzie odstać w wirtualnej kolejce coraz dłużej. Za dotacje na rzecz Fundacji Ociemniałych Dziewic, hojnie wpłacone przez bankiera, biskupa i lidera prawicy, Ptasidziób zakupi nowe sekrety. Lewica, która poprosi o dolę, nie dostanie nic. Lewicy już nie ma, jej miejsce zajął kościół, a tam nie lubią lewitujących.

Konfesjonał, czyli dźwiękoszczelna salka, w której będą monologować szczególnie nieufni klienci, korzystając z mikrofonu i słuchawek, pogrążona będzie w kompletnych ciemnościach, jeśli nie liczyć podczerwieni i weneckiego lustra. To nie będą donosy, raczej gadanie do siebie. Kasa nie musi być kojarzona ze spowiedzią.

Użytek z sekretów czyniony będzie powściągliwie. Żadnego szantażu. Przyjacielskie spotkanie gdzieś w lesie albo na dzikiej plaży i do bólu szczera rozmowa ostrzegawcza – „Na przyszłość radzimy maksymalną ostrożność, nikomu dziś nie można ufać” – kończąca się uczciwym przekazaniem oryginałów i klisz. W zamian? Co łaska na ociemniałe dziewice, i gdyby szanowny klient miał nam od siebie coś ciekawego do przekazania… Szanowny klient miewał zazwyczaj jakieś ciekawostki o innych.

W firmie SKUP SEKRETÓW trzeba patrzeć do przodu. Paplanina sąsiada zza ściany może dzisiaj nie mieć wartości, a on sam być zerem, ale jutro? Kto to wie? Zakupy „do sejfu” już nie raz się sprawdziły i Ptasidziób będzie zapraszać do konfesjonału każdego, kto się zgłosi. Wśród opowiastek z magla trafi mu się kilka

prawdziwych rarytasów, jak ten o wicepremierze, który przy poufnej wódce ze swoim przeciwnikiem politycznym dogadał taktykę wzajemnego opluskwiania: „Ty o mnie ani mru-mru o tym, a ja o tobie żadnej aluzji o tamtym”. Niektóre pojedyncze zakupy ułożą się w pakiet, o czym będzie wiedział tylko informatyk firmy, internetowy geniusz i niemowa. Młodzi mężczyźni z N. przyjdą do SKUPU niezależnie od siebie, wyznając w konfesjonale, że jako ministranci zmuszani byli do francuskiej miłości z tym samym kapłanem, dzisiaj w purpurze. Purpurat zaprzeczy. Teczkę z wyznaniami nazwie stekiem pomówień, ale Fundację Ociemniałych Dziewic obdarzy hojnie i teczka zniknie na zawsze.

– Co ty ze mnie zrobisz? – pyta cicho Ptasidziób. – Prowokatora? Szantażystę?

Westchniesz ze współczuciem. Twój Ptasidziób, choć lewituje czasami, mało wie o życiu.

– A jak nazwałbyś Mistrza? Karierowiczem? Cynikiem? Można przecież być ponad miałkość systemów, układów i uszytych na ich miarę ideologii. W służbie ojczyźnie. Sztuce. Spodziewasz się, że pan Prezydent, mianując Mistrza swoim doradcą, nie znał jego teczki? Na pewno porozmawiali. Mistrz powiedział mu to, co ja teraz tobie, i zapewne dodał, że jego ideą nadrzędną była wolność ojczyzny. On, Mistrz, ojczyznę do tego przygotowywał, lawirując wśród ograniczeń, by dobić do upragnionego brzegu. To też była walka. Może trudniejsza niż wiecowanie i druk ulotek.

– A ja?… – szepcze Ptasidziób.

– Ty się nie załapiesz, mój mały. Postawisz na wierność swoim. Tym, z którymi się użerałeś, grałeś w chowanego, którzy od czasu do czasu dawali ci po łbie, gdy próbowałeś wychylić się, podskoczyć. Im bardziej będą przegrani, tym mocniej będziesz przy nich trwał. Jak w kowbojskim filmie, aż do samego końca.

– Wierność nie jest najważniejsza?

– Jeżeli wierzysz. Męczennicy za wiarę dawali się łamać kołem. Ale, gdy to nadejdzie, ty już nie będziesz taki wierzący. Zbyt wiele złego się stanie po stronie waszych. Twoje oczy będą otwierać się coraz szerzej, a gdy zechcesz zamknąć je do snu, zaczną nawiedzać cię koszmary.

– Tak być nie może! – wykrzykuje Ptasidziób. – Kim ty jesteś, do diabła? Bo na pewno nie mną!

Udajesz, że go nie słyszysz. Sączysz wiśniówkę. Dajesz zapaść ciszy, nim będziesz kontynuował, jak gdyby nigdy nic:

– Wyklęty, odtrącony, bez środków do życia. Pomysł na Skup Sekretów okaże się genialny. Służby specjalne, twoi jedyni konkurenci, zajmą się grami w szambo, czystkami, tym samym, co kiedyś; dużo okrutniej, to fakt, robił Feliks Dzierżyński. Ciebie szczęśliwie przeoczą albo zlekceważą, wszystko jedno.

Zacznie Ptasidziób żyć bez sławy, lecz po królewsku. Willa z ogrodem na przedmieściach, porsche w garażu, gosposia, ogrodnik. Anna odejdzie do zamożnego Szweda, Agnieszka i Kaja dobrze wyjdą za mąż i osiedlą się w Chicago, nostryfikując medyczne dyplomy. Do ojca będą dzwoniły na święta i z okazji urodzin.

Emil Popiołek strzeli sobie w usta. Bo padł mu ustrój czy dlatego, że raka trzustki nie da się wyleczyć? Ptasidziób dowie się z gazet, jaki mu Emil nadał pseudonim w rejestrze tajnej agentury. Co za absurd. On, Ptasidziób, agentem bezpieki? Chyba by o tym wiedział. Nie było nikogo w kraju prócz figurantów i donosicieli? Być może – w służbowym świecie Emila Popiołka. Dlaczego Popiołek nie zastrzelił się przed rozmową z prokuratorem? Zdaniem Zygmunta, nie miał prawa. Musiał wypełnić do końca swój oficerski obowiązek.

Wizyta Zygmunta w Skupie Sekretów stanie się punktem przełomowym, a może tylko zwrotnym w biegu wydarzeń.

– Spotkajmy się przedtem prywatnie – zaproponuje. – Chyba mogę o to prosić jako twój dobry znajomy. By nie powiedzieć – przyjaciel.

Ptasidziób zasiądzie z nim w ogrodowej altanie naprzeciw fontanny, wymoszczonej trawiastym dywanem, z parą rattanowych głębokich foteli i barkiem z kolekcją francuskich koniaków, starej szkockiej whisky, markowej tequili meksykańskiej. Zygmunt wyjmie z teczki butelkę dry sherry, wytrawnej polskiej wiśniówki, którą od dawna przestano wytwarzać, nie wiadomo dlaczego; „Specjalnie dla ciebie przechowałem, mój przyjacielu”.

– Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi – odpowie sucho Ptasidziób. – Tylko znajomymi.

– Od wymiany przysług.

– Ciekawiła cię moja uczelnia, nie było tam nic sekretnego.

– A ciebie ciekawił nasz sklepik dyplomatyczny. Zwłaszcza dry sherry vodka i papierosy marki Lark.

– Nie bardziej niż świeże wieści z kraju. Tęskniłem…

– Dość bredni! – przerwie mu ostro Zygmunt. – Pogadajmy o interesach. Ale przedtem napijmy się.

Sherry już nie smakuje jak dawniej. Ptasidziób zdążył zagustować w martellach, remy martinach, jackach daniel'sach.

– Czym się teraz zajmujesz? – spyta, wychyliwszy duszkiem szklaneczkę.

– Tym, co zawsze – usłyszy. – Mam dla twojej firmy pierwszorzędny towar. Najwyższa półka kilku naszych departamentów, sejfy z potrójnym zabezpieczeniem laserowym. Elita transformersów, dzisiejsza wierchuszka. Czarni, czerwoni, niebiescy.

– Co to są niebiescy?

– Towar świeży, sprawdzony. Pełna aktualizacja. O każdym z ważnych coś ekstra.

– No, nie o każdym.

– Ale prawie. Nie ma takiego, kto by nie miał wstydliwego sekreciku. – Pauza. – Nie wyłączając ciebie.

Ptasidziób zamyśli się na krótką chwilę, maskując to serwowaniem Zygmuntowi tacki z pistacjami. Wykona w tym czasie przegląd swoich tajemnic. Jest ich trochę, niedużo. Jedna najgłębsza, tej Zygmunt nie może znać. Nikt nie zna. Ciekawe, jakie ma na składzie.

– Chcesz mi sprzedać mój wstydliwy sekret? – zapyta drwiąco.

Zygmunt roześmieje się, szczerząc wywalone do przodu, żółtawe zębiska. Zęby ma jak koń. Od nowojorskich czasów dziąsła mocno się obkurczyły. Jest modnie ubrany, kaszmirowy garnitur od Pierre'a Cardina w kolorze oksydowanej stali, bordowy krawat do koszuli w drobne niebieskie paseczki. Pachnie męskim fahrenheitem.

– Nie bądźmy małostkowi – odpowie. – Jestem pewien, że nie chcesz, by poznali go inni. Ja mogę ci to zagwarantować.

– Masz ze sobą listę towarów na sprzedaż? – spyta po pauzie Ptasidziób.

– Jest bardzo długa. – Zygmunt uśmiechnie się, pogryzając pistacje.

– Nie wiem, czy starczy nam kapitału…

– Ale mam ofertę – przerywa mu były konsul. – Kapitał nie będzie potrzebny. Zostaniemy wspólnikami.

Ptasidziób zjeży się, przecząco pokręci głową.

– Szczebioczą kukułki, że niedobre są spółki. Firmę prowadzę sam.

– Nie do końca sam, przyjacielu. Z kimś po cichu się dogadałeś, zakładając interes. Mam wymienić nazwisko? Ten ktoś już wie o naszej ofercie i wyraża zgodę.

– Niemożliwe!… – wybuchnie Ptasidziób.

W altanie jest telefon. Zygmunt wyciąga rękę w stronę słuchawki.

– Mam cię z nim połączyć? Sam ci powie, że się zgadza, abym wszedł do spółki.

– Nie trzeba. Ja się nie zgadzam, to wystarczy. Robisz interes ze Skupem Sekretów, negocjujemy cenę, jeżeli będzie wysoka, zgodzisz się, by rozłożyć na raty. Albo nie ma interesu.

Zygmunt wzdycha demonstracyjnie, jakby miał do czynienia z nierozumnym, upartym dzieciakiem.

– Zaryzykujesz utratę koncesji? – spyta.

– Możesz mi skoczyć – odpowie Ptasidziób. – Żyjemy w wolnym kraju.

– Zawsze był wolny – rzuci w zadumie Zygmunt. – Wolny dla tych, którzy nie kopią się z historią. Znasz dwie wersje pieśni patriotycznej? *Ojczyznę wolną racz nam zwrócić, Panie* i *Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie* śpiewa się dzisiaj zależnie od dyrygenta. Dyrygenci mają jeszcze daleko do kompromisu, a tylko kompromis buduje. Twój wspólnik będzie rzecznikiem kompromisu.

– Nie przewiduję wspólnika w Skupie Sekretów.

Zygmunt kiwa na ogrodnika, który robi coś przy basenie, i coś mu klaruje na ucho. Jakby to on, Zygmunt, był tutaj gospodarzem. Ogrodnik kiwa głową i znika, a po paru chwilach gosposia Ptasidzioba, zgrabna dwudziestka w wykrochmalonym białym

fartuszku, wnosi do altany tacę z oszronioną butelką stolicznej i zakąskami na półmisku – tartinkami z kawiorem czerwonym i czarnym, wędzoną słoniną, węgorzem, salcesonem, węgierskim salami.

– Za naszą owocną współpracę. – Zygmunt podnosi kieliszek i trąca się z Ptasidziobem, który odruchowo unosi swój. – Dla dobra ludzi.

– Nic mi nie zrobicie. – Ptasidziób zakąsza węgorzem lodowatą wódkę.

– Tak samo zaczynałeś z Popiołkiem, świeć Panie nad jego duszą – śmieje się Zygmunt, odsłaniając zębiska. – Warto ryzykować? Trochę potrwa, nim ci pomogę odzyskać koncesję, a z urzędem skarbowym tym bardziej nie ma żartów.

– Zapomniałeś o podpaleniu – próbuje ironizować Ptasidziób.

– Nie jesteśmy gangsterami – krzywi się Zygmunt. – Jako cichy wspólnik niczego od ciebie nie zechcę. Skup Sekretów to prywatna firma, tylko tyle potrzebujemy, aby pilnować równowagi i nie być posądzani o Bóg wie co. A już, nie daj Boże, o politykę, o te mydliny wcierane w oczy prostym ludziom. Grasz w szachy?

Ptasidziób otwiera usta i wytrzeszcza oczy.

– Grywaliśmy kiedyś… – wymamrocze. – Pamiętam. – Zygmunt uśmiechnie się i napełni kieliszki. – Dawałem ci wygrywać. Żeby trzymać w szachu, trzeba mieć czym. Do tego posłuży twój Skup Sekretów.

– Kogo w szachu?

– I tych, i tamtych. Dualizm, ten wymysł demokracji, nieco komplikuje interes, ale źle nie jest. Niech sobie gracze skaczą do gardeł, lud kocha igrzyska. Gdy zachodzi potrzeba, bierzemy za mordę. Najpierw przestawiamy figury, tego z lewej na prawo, tę z prawa na środek. Potem wymuszamy zgniły kompromis i liczymy kasę, a spektakl leci od początku.

– Konformizm – syknie Ptasidziób. – Nienawidzę cynizmu.

– Pierwsze tak, drugie nie. Tylko dzięki konformistom świat jeszcze istnieje. Inaczej byłaby totalna rozpierducha. – Tym razem Zygmunt wypija sam, nie zachęcając Ptasidzioba. – Konformistą niekoniecznie trzeba się urodzić. Ale każdy ma ten guziczek, po

naciśnięciu którego tygrys zmienia się w baranka. Niezłomni? To ci, którym nie dobrano się do guziczka. Innych po prostu nie ma, przyjacielu. I po to jest nam potrzebny Skup. Żeby pilnować porządku. Gdzie tu cynizm?

Ptasidziób popadnie w zadumę. Puści mimo uszu zamaskowaną groźbę Zygmunta, że w razie odmowy publiczność może się dowiedzieć, że pewien student Ptasidzioba, później korespondent CNN w Moskwie, został tam aresztowany pod zarzutem szpiegostwa i że nie był to przypadek. Ptasidziób nie ze strachliwych. Gdzie dowody? Da się jednak przekonać Zygmuntowi, że można i warto łączyć interes z misją. Tak dojdzie do fuzji, czyli do zjednoczenia władzy z biznesem. Firma Skup Sekretów będzie musiała wydzierżawić od miasta średniowieczne lochy kilometrami biegnące pod starówką i po remoncie wyposażyć w regały, na których ludzie Zygmunta porozmieszczają albumy z fotografiami, teczki, woluminy, skoroszyty, kasety, dyskietki i pudła z rekwizytami. Do tego etykietki: imię, nazwisko, pesel, szkic psychologiczny, słabości, przydatność i grzechy. Osobno kraj, osobno zagranica.

Formalnie firmą zawiadywać będzie Ptasidziób. To już nie jest Ptasidziób ze Sto Trzynastej w Nowym Jorku, naiwny i zarozumiały idealista z płaską wizją świata. Dojdzie mu trzeci wymiar. Naiwność to cecha wrodzona, granicząca z głupotą tak jak geniusz ze schizofrenią, i pozbyć się jej nie można, ale da się ją kontrolować. Filtrowana przez złe doświadczenia lat późniejszych, stanie się cechą wstydliwą i będzie poprzedzana pytaniem: „Czy aby na pewno?”. Argumentem będą kolejne wpadki, błędy, potknięcia. Gdybym mógł, Ptasidziobie, ostrzec cię przy kieliszku sherry, abyś nie wierzył Mistrzowi, kiedy twierdzi, że musi być tak, jak jest, ponieważ sam pan bóg – tak, tak, małymi literami pisany – przyklepał status quo, pobłogosławił granice i tylko jednej ze stron, tej twojej, przyrzekł zasłużoną świetlaną przyszłość, gdybym ci wtedy dowiódł, że wbrew przewidywaniom politologów bardzo szybko i zasłużenie zwycięży strona przeciwna, a racja będzie jej, zapewne skłoniłbym cię do refleksji. Jesteś wrażliwy. Zasady wyznajesz słuszne. Nie jesteś tchórzem. Gdybyś wiedział, że Mistrz kłamie, nie zdeponowałbyś u niego swojego filmu, tylko zaniósł go tym, których pałowano.

Dołączyłbyś do nich otwarcie, a nie w skrytości ducha, czemu dziś przecież nikt nie da wiary. Film przemycono by za granicę, pokazałyby go telewizje zachodnie. Zostałbyś bohaterem. Przy odrobinie szczęścia posiedziałbyś nawet w więzieniu. Po Wielkiej Przemianie twój nowy prezydent, jeszcze idol narodu, mianowałby cię zapewne ministrem kinematografii, a już z pewnością swoim doradcą do spraw kultury. Bylibyście po imieniu. Nim twoi następcy, chłodni kombinatorzy ze stawką na karierę, niewiele różniący się od graczy z Epoki Upadłej, odesłaliby cię na honorową emeryturę, przeżyłbyś swoje prawdziwe pięć minut. Pewnie dochrapałbyś się Orderu Orła Białego, może nawet Oscara za całokształt. A tak…

– A jak? – zapytałby Ptasidziób.

– Wszystko w swoim czasie – odpowiedziałbyś. – Inaczej nie piłbym tu z tobą sherry.

Firma Skup Sekretów objęta zostanie dyskretną opieką służb specjalnych, w których Zygmunt piastować będzie wysokie stanowisko. Emil Popiołek zastrzelił się przedwcześnie. Gdyby z tym zaczekał z roczek, jego umiejętności zostałyby docenione. Ptasidziób i Zygmunt nie będą wchodzić sobie w drogę, a tylko od czasu do czasu wymienią korzyści. Zygmunt zacznie korzystać z konfesjonału, gdzie wykluczony jest podsłuch i podgląd, by jego polityczni rozmówcy czuli się bezpiecznie. W konfesjonale zalęgną się wielkie awanse i dramatyczne dymisje, kompromitacje i metamorfozy. Wyjdzie stamtąd trochę późniejszych premierów, paru aresztantów i jeden samobójca. Ptasidziób nie zechce tego wiedzieć. Jego firma nabierze z czasem charakteru charytatywnej fundacji. Celebryta, nieśpiący po nocach w obawie, że może wyjść na jaw jego grzech młodzieńczy, karalna dzisiaj słabość bez przedawnienia, otrzyma od Ptasidzioba w konfesjonale dyspensę w postaci teczki z oryginałami.

„Co w zamian?”

„Nic, przyjacielu. Kto z nas nie błądził? Moja firma walczy z potencjalnym szantażem, to nasz cel, nasza misja. Nikt nie pokaże ci twoich zdjęć w sukience, z doklejonymi rzęsami, jak pieścisz kochanka. Kopii nie ma”.

Zwrot kosztów, to naturalne. Plus skromna prowizja. I należy pamiętać o Ociemniałych Dziewicach.

ROZDZIAŁ 72

Jest wrzesień 2014 roku, przed miesiącem zmarła żona mojego przyjaciela, chirurga o europejskiej sławie, z którą czułem się zaprzyjaźniony od dziesiątków lat. Kiedy Profesor miał odejść na przymusową emeryturę – spotyka to u nas profesorów, bez względu na kondycję i chęć, w siedemdziesiątym roku życia – a do fotela dziekana już ustawiła się niecierpliwa kolejka żądnych kariery, Pani Profesorowa wciągnęła mnie do spisku.

Rzecz w tym, że Profesor to twardziel. Twardziele, jak wiadomo, dzielą się na bezwzględnych brutali i na wrażliwców opancerzonych. Profesor należy do tych drugich. Nie przyzna się, co poczuje, kiedy obudzi się o swojej piątej rano i zda sobie sprawę, że nie czeka na niego ani sala operacyjna, ani sala akademicka pełna studentów, ani cokolwiek innego. Tacy jak on nie umieją czuć się niepotrzebni. A że tłumią w sobie uczucia, pokazując na zewnątrz oblicze chłodne, co najwyżej z ironicznym uśmieszkiem, tym boleśniej cierpią.

Co ma zrobić żona przewidująca i mądra, by uchronić męża przed szokiem odrzucenia?

Spotkaliśmy się w parku. Rówieśniczka Profesora, bujnowłosa, złotoruda, o delikatnej cerze i w okularach, wyglądała, jak zawsze, dziewczęco. Rzadka przypadłość w tym wieku. Pokombinowaliśmy wspólnie i uradziliśmy, że ja podpowiem, komu trzeba, aby wydawnictwo pilnie zamówiło u Profesora zbiór jego prac naukowych z obszernym wstępem i odniesieniami do publikacji współczesnych opartych na tych pracach.

Wydawca przyjął sugestię natychmiast i z entuzjazmem.

Małżonka wymyśliła dla męża podróż dookoła świata. No, prawie. Rzecz w tym, że Profesor, jako młody jeszcze człowiek, walczył w powstaniu warszawskim, później jako cichociemny dosłużył się wysokich odznaczeń za odwagę. Jego przyjaciół z tamtych czasów

historia rozproszyła po świecie, od Johannesburga i Paryża, po Alaskę i Sydney. Ta dość okrutna historia nie pozwalała im się spotkać przez z górą pół wieku. I oto okazja. Większość już nie żyje, ale kilku starych przyjaciół zaprasza serdecznie.

Tak się stało. Podróż trwała siedem miesięcy i życie znów nabrało sensu. Po powrocie Profesor nieoczekiwanie dostał pracę: mądry szef pewnego instytutu wpadł na szczęśliwy pomysł powierzenia znanemu uczonemu departamentu kontaktów zagranicznych. Skorzystały na tym obie strony, a nawet trzy, jeżeli uwzględnić żonę Profesora, wciąż rudowłosą i nadal dziewczęcą.

Czy za dziewczęcość w późnym wieku trzeba zapłacić?

Byli u nas dziewięć miesięcy temu. Profesor brodaty, krzepki, ze swym nieodłącznym dobrotliwie kpiarskim uśmieszkiem, i jego bujnowłosa żona, pełna temperamentu i luzu, zwłaszcza po szklaneczce wódki z pomarańczowym sokiem. L., moja równie dziewczęca partnerka życiowa, zaserwowała tatara po jerozolimsku i tajskie drumble ustercone w sosie z syberyjskiej klukwy. Daleko po północy Profesorowa i L. uszczęśliwiały ludzkość akrobatycznymi pomysłami nie do spełnienia, ja dbałem o drinki, a Profesor z trudem udawał, że nie boli go kręgosłup, zawodowa dolegliwość chirurgów od trwania godzinami przy stole operacyjnym. W końcu zaproponował, by się pożegnać. Żona nie chciała – rozdyskutowana, rozbawiona figlarnie, roześmiana. Dawno nie widzieliśmy jej w tak doskonałym nastroju.

Jeszcze nie wiedziała. Nikt wtedy nie wiedział. Może z wyjątkiem L., która powiedziała mi po wyjściu gości, że żona Profesora ma niepokojąco zmęczone oczy.

Zmarła po dziewięciu miesiącach na raka płuc. Nie jestem pewien, czy wyobrażam sobie, co czuł bezsilny chirurg, towarzysząc jej w odchodzeniu, nie odstępując na krok, wynosząc do jesiennego ogrodu, gdy nie mogła już chodzić. Wokół byli najbliżsi – jedyny syn, dwie dorosłe wnuczki.

Nie poszedłem na pogrzeb złotowłosej. Nie mogłem. Zwyciężył egoizm. Żeby ją pamiętać z ostatniego wieczoru u nas. Tego obrazu nie powinny zaburzyć uroczystości żałobne.

Mam buntowniczą pewność, że moi bliscy żyją, dopóki pamiętam ich żywych. Po prostu noszę ich w sobie. Normalnie, bez sentymentów. Z poczuciem, że oddalili się dokądś, ale są.

ROZDZIAŁ 73

Wszystko odmieni wizyta w Skupie Sekretów cudotwórcy.

Przed biurkiem w sekretariacie stanie niepozorny mężczyzna w wełnianej czapeczce pomimo upału, krępy, o sympatycznej twarzy wesołka. Poprosi o rozmowę z Szefem. Sekretarka Ptasidzioba zaproponuje mu spotkanie z jednym z asystentów Prezesa, który, niestety, przebywa za granicą, i zdziwi się, gdy usłyszy, że Ptasidziób właśnie pije herbatę z sokiem malinowym w swoim gabinecie.

– Przedtem wziął tabletki na zgagę. Niewiele mu pomogą na wrzód żołądka. A ja bym pomógł.

Sekretarka osłupieje. Potem, sama tego nie rozumiejąc, zamelduje Szefowi, że przyszedł umówiony klient. Ptasidziób, nie pytając o nic, każe prosić.

– Misiek Jarło-Potulicki – przedstawi się wesołek z uśmiechem od ucha do ucha, zgniatając dłoń Ptasidzioba w żelaznym uścisku łapska jak imadło. – Dla przyjaciół po prostu Misiek. Czekał pan na mnie, co?

Ptasidziób potwierdzi. Już jest pewien, że czekał. Misiek Jarło-Potulicki nie siada na krześle przed biurkiem, tylko rozwala się w skórzanym klubowcu obok stolika, na drugi fotel zaprasza gestem Ptasidzioba, jakby to on był tutaj gospodarzem. Ptasidziób posłusznie przenosi się zza biurka na fotel.

– Od razu przejdę do rzeczy – zaczyna gość. – Robię cuda. Uzdrawiam chorych, przepowiadam przyszłość, czytam w myślach. Żadne cyrkowe sztuczki. Po prostu tak mam.

Ptasidziób przytomnieje. Nie dowierza. Uśmiecha się leciutko, z pobłażaniem.

– Jakiś dowodzik? – proponuje.

– Lewitujesz. – Gość przechodzi na ty. – Umiesz to maskować, ale służby wiedzą. Tam prowadzą ewidencję lewitujących. Przegrani zostawili teczki wygranym. Twoja kiedyś wypłynie i zrobi się afera, tyle że nieprędko. Z wrzodem żołądka poradzimy sobie, możesz odstawić piguły. Gorzej z nadciśnieniem. Trzeba wyciszyć się w środku. Spadłeś na cztery łapy, biznes będzie się kręcić, o co tu się trapić? Ważna kasiora. Money, money, money – Misiek szczerzy w uśmiechu z lekka żółtawe, mocne zęby.

– Chciałbym robić filmy… – mruczy Ptasidziób.

– Co to, to nie – ucina gość. – Nie widzę cię za kamerą. Było załapać się na rewolucję. Wielu lewitujących się załapało. A ty zawziąłeś się, żeby trwać do końca. Stary mistrzu tęgo namieszał ci w głowie, he, he, he. Jeszcze masz tam melanż.

– Mam – przyznaje Ptasidziób. – Lud za wcześnie się cieszy.

– Za wcześnie – zgadza się Misiek. – Głupki czekają pod latarniami, a wieszania nie będzie. Bo niby za co? Swój na swego wyroku nie wyda. Nowa sztuka, nowy reżyser, trochę nowych aktorów, ale teatrzyk ten sam. Ja ich wszystkich chromolę. – Misiek patrzy na biurko, gdzie stoi kryształowy pucharek z czekoladkami, i ten zaczyna się unosić w powietrzu, przemieszczać, aż ląduje na stoliku między fotelami. – Telekineza. – Misiek sięga po śliwkę w czekoladzie mlecznej. – Nic nadzwyczajnego. Próbowali mi ukraść merca sprzed domu. Wybiegłem, wóz odjechał już ze dwieście metrów. Zgasiłem mu silnik i zablokowałem drzwiczki, złodzieja zgarnęła policja.

– Jak ty to robisz?

– Dar boży – odpowiada z powagą gość. – Przywracam wzrok niewidomym. Kalekom każę odrzucić kule.

– Co ty, święty jesteś?

– Jaki ze mnie święty… – chichocze Misiek. – Kobitki lubię, za kołnierz nie wylewam.

– Ja jestem niewierzący – informuje gościa Ptasidziób.

– Powiedzmy: dajmy na to. – Gość robi oko do Ptasidzioba. – A kto się boi ciemności? Kto za żadne pieniądze nie poszedłby nocą na cmentarz? Kto na widok kominiarza za guzik się łapie?

Ptasidziób popada na chwilę w głęboką zadumę. Ta chwila wystarcza, by skonfrontować jego wyrozumowaną niewiarę, inaczej nieobecność wiary, która dana jest większości ludzi na kuli ziemskiej, a jemu akurat nie, z całkowicie irracjonalnym zestawem lęków, przesądów i nadziei na niemożliwe, kiedy dzieje się źle. Do tego dodać musi przeświadczenie, że t o, czym jest on sam i reszta ludzkości, nie może być cielesne. Ciało stanowi opakowanie. Serce bije, krew krąży, mózg steruje całością i jest to niemal doskonały komputer z fantastycznym oprogramowaniem. Tylko że ktoś musi na nim pracować, kierując się myślą, uczuciem. Ktoś albo coś nazywane duszą. Albo inaczej, to bez znaczenia. Rodzaj energii? Bo przecież nie materia. Śmierć oddziela tę energię od materii i owa materia, ów organiczny komputer, biologiczne opakowanie, ulega degradacji. A dusza? To w niej zawiera się nasza osobowość, charakter, pamięć. Co z nią? Natura jest oszczędna, nic się nie marnuje. Czy uwolniona dusza jest poddawana sterylizacji, by zostać użyta ponownie, w kolejnym opakowaniu? Tak mniej więcej sugeruje buddyzm, dodając oprawę moralną, proces samodoskonalenia. Wedle innych wierzeń, dla Ptasidzioba baśniowych, dusza dostaje za swoje i w zależności od wystawionej cenzurki ląduje w raju lub w piekle.

Kto nas ocenia? Co pozwala zakładać, że oceniający, zapewne Stwórca Wszystkiego, bo któż by inny – kieruje się moralnością jakichś ludzików? To już bajka w bajce. A co dopiero wymóg zanoszenia modłów, składania ofiar, oddawania czci, pielgrzymek, procesji. Takim byłby małostkowym snobem? Jak śmiemy Jego o to posądzać?

Chyba że nie istnieje. Ale skąd, w takim razie, wzięło się To Wszystko?

Kończy się chwila zadumy, zawsze w tym samym punkcie. Ptasidziób sięga po czekoladkę z wiśnią.

– W czym mogę ci pomóc? – pyta.

– To ja mogę wam pomóc – odpowiada Misiek Jarło-Potulicki. – Tylko sobie wyobraź. SKUP SEKRETÓW I CUDA NA ZAMÓWIENIE. Brzmi, co?

– Brzmi – zgadza się Ptasidziób. – Ale co ty miałbyś z tego?

– Korzyści – rzuca krótko gość. – Wchodzę do spółki. Zysk po połowie.

Ptasidziób wzdycha i kręci głową.

– My jesteśmy non profit. Zyski trafiają do Fundacji Ociemniałych Dziewic.

– Ty mnie nie doceniasz, czcigodny Prezesie Funduszu – śmieje się dobrodusznie Misiek Jarło-Potulicki. – Ty mnie chyba masz za idiotę, co?

Ptasidziób nie lubi aroganckiej poufałości, ale puszcza to mimo uszu. Nawet cudotwórcy nie przyzna się, że odkrył coś ważniejszego niż pieniądze. Nigdy zresztą nie przywiązywał do nich większej wagi. Ani w czasach siermiężnych, gdy niewiele można było za nie dostać bez wsparcia talonem, kuponem, asygnatą, ani dzisiaj, w chaosie totalnym towarzyszącym przemianie oblicza, kiedy za drobny pieniądz mogą sprzedać ci siostrę albo poderżnąć gardło. Ptasidziób nie jest już z Anną i jeszcze nie spotkał L. Jego potrzeby są nikłe: materac do spania, pięć kaw espresso do południa, butelka sherry na wieczór i coś tam na ząb, kiedy zaburczy w brzuchu.

Odkryciem stała się władza. On, który sobą samym nie władał w pełni, ulegając to Mistrzowi, to cenzorom, to przyjacielskim sugestiom Emila Popiołka i tłumacząc to troską o swoich najbliższych, teraz mógł robić, co chciał. Ze sobą, ale nie tylko. Skup Sekretów otwierał mu podgląd na układy, koneksje, tajemne powiązania i zależności. Dawał wgląd w spiski i w posądzenia o spiski. Już po roku działalności firma Ptasidzioba dysponowała materiałem niewygodnym dla setek wpływowych ludzi. Ci ludzie, wobec innych bezwzględni, a często brutalni, jemu jedli z ręki. Nie przeszkadzało im, że od czasu do czasu nieco lewitował, unosząc się parę centymetrów nad ziemią. Przeciwnie. Upierali się, że podziwiają takich. Ptasidziób nie przypuszczał, że karmienie z ręki kadzących i łaszących się może dawać tyle frajdy. Więcej: poczucia siły. Żeby wpływać na innych, nie potrzeba muskulatury. A reżyserowanie wydarzeń bywa bardziej fascynujące niż reżyseria filmów. Miał właśnie za sobą taniec z Johanem, znawcą sztuki i właścicielem galerii obrazów, przyjacielem nowoministrów, świeżobogaczy, liderów partyjnych i żurnalistów o głośnych nazwiskach. Podpadł był

Ptasidziobowi, kiedy na pewnym przyjęciu nazwał go publicznie artystą-szantażystą, a jego firmę Klubem Donosicieli. Natychmiast dodał, że żartuje, lecz mleko już się rozlało.

Ptasidziób zadał sobie sporo trudu, przeszukując podziemne archiwum firmy, i nic na Johana nie znalazł. Z pomocą nieoczekiwanie przyszedł mu Zygmunt, już w randze pułkownika. Jak się dowiedział, czego szuka Ptasidziób? Specsłużby umieją się dowiadywać.

– Mam coś dla ciebie – powiedział przy lampce koniaku, który po ciężkim dniu pracy popijali we dwóch w konfesjonale pod ziemią, i pokazał Ptasidziobowi fotokopię jakiegoś malunku. – Ładny, prawda?

– Taki sobie – mruknął ostrożnie Ptasidziób. – Wygląda na tańczący nocnik.

– Salvador Dali. Fotokopia oryginału.

– A oryginał?

Zygmunt wymienił nazwisko popularnego ministra, szarej eminencji rządu.

– Dostał go w prezencie od kogoś. Ten ktoś założył się o fortunę z Iksem, tym potentatem budowlanym, właścicielem D.J. Construction, że mu załatwi zgodę na wyburzenie zabytkowej kamieniczki w centrum Starówki i postawienie w tym miejscu wieżowca. Rzecz niemożliwa.

– Załatwił?

– Załatwia. Ten ktoś nazywa się Johan.

Ptasidziób już umie panować nad mimiką. Leniwie pociąga martella z pękatego kieliszka i dyskretnie ziewa.

– Cieeekaaawe… – przeciąga po pauzie.

– Ciekawe jest co innego – uśmiecha się Zygmunt. – Nasza eminencja nie wie, że obrazek jest fałszywy.

– A Johan wiedział?

– Doskonała podróba. Prawie idealna. Ale my mamy ekspertyzę, nie do podważenia. Stuprocentowy falsyfikat.

Zygmunt wyjmuje ze swojej teczki kilka zadrukowanych kartek opatrzonych pieczęciami i spiętych kolorowym sznurkiem. Ptasidziób wyciąga po nie rękę, lecz nic do niej nie trafia.

– Interesuje cię to? – pyta Zygmunt.

– Poniekąd ewentualnie.

– Jak bardzo?

– Wiesz dobrze – odpowiada po pauzie Ptasidziób.

Zygmunt prosi o niewielką przysługę, która nie jest aż tak niewielka, ale Ptasidziób się zgadza. Johan jest znany z tego, że nie lubi lewitujących, czy też raczej podejrzewanych o lewitowanie. Istotne: sami lewitujący, właściwie wszyscy bez wyjątku, nie są tak do końca pewni, że unoszą się nad ziemią. Może to być szczególny rodzaj złudzenia, starozakonna fantazja, wielowiekowy efekt wdeptywania ich w ziemię. Deformacja psychiki, na którą cierpiał także Marc Chagall, malując lecących nad Witebskiem. Antypatia Johana do lewitujących to dodatkowy powód, a może główny, Ptasidziób sam tego nie wie.

Zygmunt wręcza Ptasidziobowi ekspertyzę i fotokopię falsyfikatu. Dopijając koniak, podpowiada, jak on, Zygmunt, rozegrałby tę sprawę. Kłamie. Ptasidziób nie kupuje pomysłu i właśnie o to Zygmuntowi chodzi.

Minister dostaje do rąk własnych zalakowaną przesyłkę, a w niej wizytówkę firmy z odręcznym dopiskiem Ptasidzioba, którego minister powinien kojarzyć z kilku rautów; nawet ze sobą rozmawiali o *Pół cudu*, minister dobrze ten film pamiętał z lat chłopięcych. Do wizytówki dołączona jest pierwsza strona ekspertyzy. Wynik pojawi się dopiero na ostatniej, którą Ptasidziób będzie miał zaszczyt wręczyć panu ministrowi osobiście, podczas obiadu w restauracji Montparnasse.

Minister już wie, że Ptasidziób wie o prezencie od Johana. I co z tego? Minister obchodził urodziny. Na prywatnym przyjęciu w gronie przyjaciół obsypano go podarkami. Minister powie to Ptasidziobowi podczas obiadu w Montparnasse, między kremem z borowików i stekiem z argentyńskiej wołowiny. A na spotkanie przyszedł z sympatii do reżysera *Pół cudu* i z czystej ciekawości, zainteresowany ekspertyzą, choć ani przez chwilę nie sądził, że podarowano mu oryginał Salvadora Dali. Nie przyjąłby tak kosztownego prezentu.

Minister nawet nie podejrzewa, że rozmowa jest nagrywana.

– Marek Johan to znany żartowniś – roześmieje się Ptasidziób. – Nie próbował wmówić panu ministrowi, że to autentyk?

– Było przyjęcie urodzinowe, nie rozpakowywałem upominków. Ale ciekaw jestem, kto i po co zamówił ekspertyzę.

– No właśnie – przytaknie Ptasidziób. – Złośliwi mówią, że sam Johan. Żeby nie kojarzono prezentu z pozwoleniem na zburzenie zabytku i budowę wieżowca na Starówce.

– Co pan insynuuje? – rzuci sucho minister, przerywając zjadanie argentyńskiego steku i przyglądając się Ptasidziobowi spode łba.

– Johan nie był na pańskim przyjęciu urodzinowym – powie cichutko Ptasidziób, wręczając ministrowi listę gości, którą dostał od Zygmunta.

– Nie był?…

– Nie dostał zaproszenia.

– Co on knuje? – Minister zdecydowanie odsunie od siebie argentyński stek. – Właściwie nie znam człowieka. Rozmawiałem z nim może dwa razy w życiu.

– Ściślej, siedem razy, panie ministrze. Johan lubi się tym przechwalać. Przezywają go za plecami Długi Jęzor. Rozpowiada, że był pan zachwycony szkicem Dalego. Podobno zawiązuje się komitet protestu przeciw zburzeniu staromiejskiej kamieniczki…

Ptasidziób zawiesza głos. Ministrowi na kwadratowej szczęce zaczynają pulsować muskuły.

– O ile wiem, takiej zgody nie wydano – mówi sztucznie obojętnym tonem. – I nie zanosi się na to. Nie zgodzę się nigdy na niszczenie zabytków i oszpecanie naszej Starówki.

– Byłem tego pewien, panie ministrze. Co na deser? Proponowałbym gruszkę marokańską w musie z poziomek podlaną prowansalskim absyntem. Jest doskonała. A plotkami bym się nie przejmował.

– Nie jadam deserów, trochę przytyłem ostatnio. – Minister przywołuje kelnera i zamawia dla siebie podwójny dżin z tonikiem i cytryną. – Po co był ten obiad? – pyta półgłosem, gdy kelner się oddalił.

– D.J. Construction jest pewne zgody na budowę. Iks daje do zrozumienia, że zagwarantował mu to sam Johan…

Kolejne zawieszenie głosu.

– Johan powołuje się na mnie? – pada sucho.

– Ten obrazek Dalego to co prawda kopia, ale…

– Niech go sobie wsadzi w dupę…! – wybucha minister i milknie, bo kelner przynosi mu dżin z tonikiem.

Wypija go duszkiem, jak lekarstwo.

Nazajutrz podróba Dalego trafia do służb specjalnych, a od nich do prokuratury. Johan zostaje oskarżony o próbę przekupstwa, ale media przypominają, że do łapówki trzeba dwojga. Czy minister nie przekazał obrazu służbom, bo dowiedział się, że to nie oryginał? Dziennikarz śledczy, dobry znajomy Ptasidzioba, ujawnia, że wszczęta została procedura udzielenia zgody na wyburzenie historycznej kamieniczki, ale z nagła ją zawieszono na polecenie ministra. Nazajutrz minister podaje się do dymisji, jak chciał tego Zygmunt. Johan dostaje wyrok bez zawieszenia, ku satysfakcji Ptasidzioba, ale na tym nie koniec. Jest jeszcze potentat budowlany i jego D.J. Construction. Odmowa zgody na budowę byłaby odebrana przez media jako zemsta i kara rządzących za ujawnienie afery w ich kręgu. Iks wyjaśnił to mediom na konferencji prasowej, a władza nie mści się publicznie. Władza cierpliwie poczeka i dobierze się Iksowi do tyłka, gdy ten ukończy budowanie wieżowca, na co otrzymał pozwolenie. Nagranie rozmowy przy obiedzie Ptasidziób podaruje Zygmuntowi. On sam nie zajmuje się polityką. Woli swoją reżyserię. Ilość figur na jego szachownicy nieustannie rośnie, a mnożenie na niej kombinacji to świetna zabawa dla odrzuconego. Marzy o zastawieniu pułapki na Mistrza. Nie dojdzie do tego prędko. Ale Ptasidziób nauczył się już czekać.

ROZDZIAŁ 74

– Nie mam cię za idiotę – zapewnia cudotwórcę. – Kasa nie daje szczęścia, ale osładza biedę. Zresztą, dudków nie może ci chyba brakować. Pstrykniesz palcami i przyfruną do ciebie prosto z mennicy.

– Powiedzmy: dajmy na to – śmieje się Misiek Jarło-Potulicki.

– Podoba mi się SKUP SEKRETÓW I CUDA NA ZAMÓWIENIE. Załatwię ci rozgłos na cały kontynent.

– Wiem, że będę sławny.

– Ale partnerem moim nie zostaniesz.

– Ty już masz partnera, ostry jegomość, musisz na niego uważać. Ja mógłbym dojść na trzeciego. Kasiora leży na ulicy.

– To ją podnieś. My ci pomożemy.

– Ambitni jesteście, każdy na swój strój. On gra zawsze w to samo, profesjonalista. Z tobą jest gorzej, jeszcze nie wszystko rozumiesz, ale próbujesz się odnaleźć.

Ptasidziób pochmurnieje.

– Niczego nie próbuję – ucina. – To nie moja broszka. Prowadzę firmę.

– Nie wkurzaj się, szefie – szczerzy zębiska gość i zsuwa wełnianą czapeczkę na tył głowy, obnażając wypukłe czoło i lśniącą łysinę. – Idealiści zawsze pierwsi idą pod topór, zaraz po tym, jak wyłamują kraty. Wyłamią, przeskoczą, a tam już czeka na nich kat z siekiereczką. Na początku zawsze są idealiści, kurwa mać. Konspiratorzy, marzyciele, męczennicy. Żeby dać nadzieję maluczkim i porwać ich za sobą. Byli za twoich czasów i są teraz. Ale już po nich. Ci sami łeb im ukręcą albo tacy sami, albo podobni. Praktyczni, bez sentymentów, z parciem na karierę. Bohaterom pomniki, im reszta.

– Coś ty za jeden? – pyta Ptasidziób.

– Źle być z natury wierzącym – nie przestaje uśmiechać się Misiek. – Tacy zawsze są przegrani. Ja ciebie widzę, szefie, ty jeszcze się nie wylizałeś z poparzeń, a tu już dzisiejsi poparzeni dują na zimne, bo wszystko nie tak. A jak ma być? Człek zmajstrowany został na jedno kopyto, od prawieków. Wyjątki, szefie, tylko tę prawdę, kurwa mać, potwierdzają. Magister archeologii.

– Kto?

– Ja. Pytałeś, com za jeden. Ale głównie jasnowidz i cudotwórca. No to widzę jasno i bez cudów, że już przejrzałeś na oczy. Trochę ci za tamtym sobą tęskno, nie? Świat był ci jak film kowbojski. Tutaj dobrzy, tam źli. Tam ucisk i wyzysk, tutaj wolność, równość i braterstwo.

– Totalne braterstwo – potwierdza Ptasidziób.

– Coraz lepiej – cieszy się gość. – Tu i tam wszyscy są pod kontrolą. Z wyjątkiem kontrolerów, którym tylko się zdaje, że nie są. Sztaby speców wymyślają superpodgląd, nadpodsłuch, arcyszpiegowanie satelitarne, lasery i drony. I tu, i tam. A różnica ta tylko, że wtedy człowiek wiedział i z grubsza miał się na baczności. Teraz, w przereklamowanej wolności, nicowany jest dużo dokładniej, ale o tym nie wie. Aż bańka pęknie.

– Kiedy?

– Dożyjesz. Powstanie drobna nieszczelność, przez którą wyskoczy wariat i rzuci mediom fantastycznego newsa. Wyjdzie na jaw, że rejestrują każde twoje pierdnięcie i co przedtem zjadłeś. Kolejni spece już kończą wihajster, który podpatrzy, o czym wtedy myślałeś. I to nie będzie jeszcze wszystko. Bo po co kontrola? Żeby zrównać, ujednolicić, dać wszystkim takie samo lukrowane szczęście pod egidą nadzorców.

– Tak widzisz przyszłość? – pyta z niedowierzaniem Ptasidziób.

– O jakiej my przyszłości mówimy? – rechocze Misiek Jarło-Potulicki, magister archeologii. – To tylko rozwinięcie teraźniejszości, chamsko prosty ciąg dalszy. A ty, szefie, ze swoim Skupem masz w tym udział po stronie kontroli. Dlatego chcę być z tobą. Gdzie kontrola, tam szmal.

Ptasidziób jeszcze się buntuje, jeszcze nie jest do końca pogodzony, nie dowierza dokumentom, wyrokom bez sądów, zbiorowym mogiłom. Komuchy chciały dobrze, ale im nie pozwolono albo odwrotnie: pozwalano, ale nie chciały, bo „dobrze” i „władza” nie idą w parze. Wymuszono degenerację? Nie komuchów wina, że świat podzielił się na strefy wpływów. Wolność wygrała, tylko jaka to wolność? Że każdy ma paszport zagraniczny i może do Paryża bez wizy? A na bilet do Paryża? Na drogie lekarstwo, którego ubezpieczenie państwowe nie chce ci zrefundować i umieraj, bracie, jeśli za swoje nie kupisz? Albo wolność słowa. Klient Ptasidzioba, parlamentarzysta i dowcipniś, zażartował przy brydżu, w obecności biskupa, że za milion dolarów załatwi amnestię dla pedofilów w sutannach. Biskup zawiadomił prokuraturę o zamiarze przestępstwa, parlament cofnął posłowi immunitet i ten wylądował w kryminale.

Przy okazji upadł projekt ustawy o podatku kościelnym, którą skazany miał złożyć do laski marszałkowskiej.

Ptasidziób jeszcze porównuje. Znajduje plusy przegranej epoki, które dawały większości ludzi spać spokojnie. Za darmo były żłobki i przedszkola, szkoły i uniwersytety. Za darmo? Po prostu mniej płacono za pracę i nawet podatki nie były potrzebne. Praca dla każdego, kto chciał i nie chciał. Bezpłatne leczenie, bezpłatne wczasy pod gruszą.

A jeśli ktoś wolałby pod jabłonią? Albo w Syjamie?

Syjam był dla syjonistów. To prawda, że pałowano od czasu do czasu, że film o biciu studentów, nakręcony przez Ptasidzioba, nigdy nie został wyemitowany, użyto go natomiast do identyfikacji przywódców studenckich protestów. Ale kaszanka – w trudniejszych latach musztarda i ocet – była dla wszystkich, a młodzież przemocą zwożono do teatrów. To prawda, że nie na *Dziady* według Adama Mickiewicza, w których władza dopatrzyła się akcentów antysowieckich, których przecież być nie mogło, ponieważ wieszcz Adam Sowietów nie doczekał. Władza czasami przesadzała, ale jaka władza tego nie robi? A Pan Bóg? Dlaczego przeszkadzał? Najpierw Sowietom i ich Wielkiemu Wodzowi rodem z seminarium duchownego, i z podobnego seminarium Generałowi, który okazał się ostatnim dyktatorem w ojczyźnie Ptasidzioba. W dodatku dyktatorem niepojętym, nienormalnym, chorym. Kto z własnej woli i po dobremu, bez rozlewu krwi swoich rodaków, oddaje władzę przeciwnikom? Tego zresztą nie umiano mu później darować, albowiem pomniejszał w ten sposób bohaterstwo bohaterów. Wziąć władzę bez krwi i męczeństwa? Po prostu ją dostać? Wylazła na wierzch amatorszczyzna zwycięzców. Nie umieli dopasować paragrafu do człowieka. W przeciwieństwie do Wielkiego Wodza obozu przegranych, który mawiał, by dać mu tylko człowieka, a paragraf na niego się znajdzie.

Nie ma nic gorszego niż wolność w wykonaniu amatorów.

W końcu Ptasidziób uświadomił sobie, że za przegranej epoki był buntownikiem, a teraz mu jej brak i nie umie przyklasnąć zwycięzcom. W przeciwieństwie do profesjonalisty Zygmunta, on, artysta, wśród zwycięzców czuje się obco. Bo już nie jest młody? Czy

dlatego, że nie proponują mu kamery, choć zatrzymane dawniej filmy dziś pokazuje telewizja? Filmy – ale nie samego Ptasidzioba. Ptasidziób został zaliczony do reżymowych artystów, ponieważ wierzył w to, co robi. Artyści, którzy robili to samo co on, lecz przy tym znacząco mrużyli oko, są dziś kombatantami.

Ptasidziób wymyślił i stworzył Skup Sekretów, żeby się nie dać. Nie zamknął się w wewnętrznej pustelni ani nie został lizusem-kolaborantem, nawijającym jak bardzo był przeciw i komu ukradkiem napluł do zupy. Zachował godność. I dobrze mu z tym, ponieważ, w przeciwieństwie do tylu swoich dawnych kolegów, dał sobie radę bez wazeliny, stawił czoła przeciwnościom mnożonym takim jak on, i nie poległ.

Dobrze mu jest? Odkąd zaczyna się myśleć, nie może być dobrze. Dobrze Ptasidziobowi już było. Nie doceniał.

Przymyka oczy i przenosi się do Nowego Jorku, na Sto Trzynastą Ulicę i Broadway.

ROZDZIAŁ 75

Maszerujemy twoim Broadwayem, tym z pierwszych lat siedemdziesiątych, od Sto Trzynastej do Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, cuchnącym uryną i lepkim od brudu. Jest wieczór jesienny, już nie upalnie, ale duszno, księżyc zawieszony gdzieś bardzo wysoko, jakby się dystansował od tego, na co patrzy jedynym żółtym okiem, a pod nogami szeleszczą strzępy gazet, liście, tłuczone szkło, gniją skórki bananów, walają się piersiówki po dżinie owinięte w papier, dziurawe buty, zużyte tampony, niedopałki, ogryzki, rzygowiny. Gdyby nie przewiew od oceanu, nie dałoby się wytrzymać. Manhattan ma niepowtarzalną wentylację. Fetor zgnilizny zmieszany ze smrodem spalin przygasa w orzeźwiającej słonawej bryzie. Jej zapach będziesz pamiętał do końca życia. Powonienie to najstarszy z naszych zmysłów, niegdyś najdoskonalszy.

Idziemy we trójkę, Ptasidziób, Edward Love i ja, co szósty krok leciutko podskakując i opadając nieco dalej, niż nakazywałaby

grawitacja. Nie robimy tego naumyślnie, po prostu tak nam to wychodzi. Profesor Love, pulchniutki i różowy, w nakrapianej muszce koloru bordo do jaskrawozielonej koszuli i w pomarańczowych spodniach dzwonach, stara się nie podskakiwać, lecz nic z tego. Opowiada, że był ministrantem w rzymskokatolickim kościele na Wileńszczyźnie, a nam trudno w to uwierzyć, zwłaszcza że nie wiadomo, gdzie był ten kościół i ile Edward ma lat, staramy się jednak być delikatni. Podobno urodził się po wojnie. Innym razem, gdy urodził się wcześniej, ojciec zmusił go do wypicia szklanki bimbru na oczach hitlerowca, z którym handlował samogonem: „Patrz, nawet dziecku smakuje". Pięciolatek po wypiciu oblizał się, tak jak mu kazano, po czym grzecznie wyszedł z pokoju i zaczął umierać. Odratowano go cudem.

– Hello boys – zaczepia nas Murzyn wielkolud w damskim słomkowym kapeluszu z różową wstążką i pęczkiem fiołków. – Na pewno dacie mi po dolarze.

– Ja nie dam – mówi Ptasidziób. – I am from Poland.

– Poland! – rozpromienia się Murzyn. – Happy island! Ty mi dasz piątkę!

Jego łapsko jak młot kowala spada na bark Ptasidzioba i wgniata się w staw, w obojczyk. Z pomocą przychodzi Love, jeszcze nie profesor:

– OK, OK, brother. On nie ma, Poland to nie wyspa, to jest więzienie w Oklahomie, wyszedł stamtąd goły, ale ja ci dam dwa baksy, weź brother. – I wtyka mu dwa banknoty, wielkolud sięga po nie łapą, która ściskała ramię Ptasidzioba, i odpływa, kołysząc się równocześnie do przodu, do tyłu i na boki, co wygląda na wirowanie.

– Po co się wtrącasz? – pyta Ptasidziób, rozcierając ramię. – Powiedziałem, że nie dam, a nie że nie mam. Poradziłbym sobie z facetem.

Edward Love uśmiecha się dobrotliwie. Rok temu on powiedział, że nie da, i zobaczył na wysokości pępka lufę rewolweru. Jak niegdyś Donald, kuzyn Ptasidzioba. Nocą na Broadwayu faceci na głodzie nie używają straszaków. Wszystko w Edwardzie zastygło, serce przestało bić, w powietrzu zabrakło powietrza. Bardzo powoli, ciepło się uśmiechając, wyjął z kieszeni portmonetkę i oddał napastnikowi.

– Thank you very much, brother – podziękował mu Murzyn, odpowiadając uśmiechem na uśmiech. – Really nice of you. – Po czym schował rewolwer i wylewnie uścisnął dłoń Edwarda.

Kiedyś burmistrzem zostanie tu Giuliani, Amerykanin o stalowych włoskich korzeniach, i zaprowadzi w Nowym Jorku porządek, prawie jak w Singapurze, gdzie za splunięcie na chodnik idzie się do więzienia, i z ulic znikną śmieci, żebracy, narkomani i kurwy, a w subwayu przestanie cuchnąć moczem. Ale na to trzeba trochę lat poczekać, musi przedtem dojść do przesilenia. Wtedy niemożliwe staje się wykonalne. W ukochanej Polsce Ptasidzioba też do tego dojdzie, gdy się okaże, że ludzie nie chcą pić octu i zakąszać musztardą. Wyjdą na ulice, żądając tylko chleba i mięsa, a schizofreniczna władza uzna to za rewolucję i trochę postrzela w popłochu, a potem sama odda władzę, ku zaskoczeniu zbuntowanych. Nie uwierzyłbyś w to, prawda? A tym bardziej nie uwierzyłby Ptasidziób, wciąż przekonany, na przekór własnym wątpliwościom, że lepiej jest po tamtej stronie lustra. Problem z tym fenomenem mają po dziś dzień buntownicy, a ściślej ich następcy, którym sypie się legenda. Sądy sądzą wczorajszą władzę za zbrodnie ustrojowe i nie mogą osądzić, bo przeszkadza im prawo z jego sztywnymi paragrafami, a tu tymczasem wczorajsze władze wymierają. Jak długo można żyć? A wczorajsi buntownicy, podzieleni na grupki i kupki, jak na zwycięzców przystało, skaczą sobie do oczu o honor i ojczyznę, zarzucają zdradę i tchórzostwo, wyciągają jakieś papierki, oskarżają o katastrofy i łapówki. Tylko tacy jak Mistrz nie muszą narzekać. Albo jak Zygmunt, nowojorski znajomy Ptasidzioba. Profesjonalizm zawsze jest w cenie, a bezideowość popłaca.

Bezideowość, czyli brak uduchowienia. Nie mylić z pragmatyzmem.

ROZDZIAŁ 76

Niepotrzebnie się wtrącam. Jestem tu kronikarzem i nikim więcej. Nie poszedłem na pogrzeb Generała, który zmarł na uwiąd starczy

kilka miesięcy temu, nie doczekawszy ani pomnika, ani degradacji i dożywocia. Obcięto mu jedynie emeryturę, bo dało się to załatwić bez sądu. Generał nie był jednak hedonistą, jadł, nie patrząc w talerz, nie miał pojęcia o luksusach i mógł nawet nie zauważyć amputacji renty. Nabawił się natomiast obsesji graniczącej z manią: koniecznie chciał udowodnić swoim rodakom, że ocalił ich od rzezi. Tłumaczył to młodziutkim prokuratorom, wspierając słowa dokumentami, i nie rozumiał, dlaczego nie rozumieją, a oni zapewne rozumieli, lecz tezę mieli inną. Dzień w dzień, wciąż i na nowo pytali go o to samo: imię, nazwisko, miejsce i data urodzenia, pochodzenie, stopień wojskowy. Generał siedział godzinami na twardym krześle, wyprostowany jak struna, pilnując, żeby nie zemdleć z bólu. Miał chory kręgosłup i blisko dziewięćdziesiąt lat. Prokuratorzy wiedzieli o jednym i drugim. Zapewne o to chodziło. Niestety, biurokratyczni sędziowie nie doceniali ich trudu i wciąż im czegoś brakowało, by Generała skazać. Cholerne paragrafy. Sąd to nie wiec, gdzie władze państwa można nazwać organizacją przestępczą, a premiera rządu komunistycznym zbrodniarzem.

Generał, człowiek o nieprzeciętnej inteligencji, biegły w sztuce manipulowania ludźmi, naiwnie dopominał się, by go uznać za zbawcę ojczyzny. Jego przeciwnicy, którym na własne życzenie przekazał władzę, nie mogli mu tego darować, ponieważ umniejszał ich bohaterstwo, i czekali na srogi wyrok. Nie na wyrok historii, który kiedyś zapadnie ponad podziałami, tylko na karę więzienia za wprowadzenie w Polsce stanu wojennego. A tu nic. Sąd nie znalazł dowodów, że sojusznicze wojska nie wkroczyłyby z bratnią pomocą i zamiast stanu wojennego wybuchłaby wojna domowa. Trudno było uznać za dowód deklaracje sąsiednich przywódców, że nie mieli takiego zamiaru. Deklaracje faktycznie padały, ale Generał, doświadczony syberyjskim zesłaniem, gdzie stracił ojca, zbyt dobrze znał deklarujących. Nie chcieli, ale musieli – dla ratowania bratniego ludu pracującego miast i wsi.

Podobno w prawej bocznej szufladzie biurka w swoim spartańskim gabinecie na drugim piętrze polskiego Białego Domu Generał trzymał nabity pistolet, niemiecki SIG-Sauer model 232. Gdyby stan wojenny potoczył się krwawo, albo gdyby ruszyły z pomocą sowieckie czołgi,

Generał strzeliłby sobie w skroń. Nie wątpię, że tak by zrobił, wyręczając pluton egzekucyjny KGB. Znał się na rzeczy.

Raz go spotkałem, już po transformacji i po krótkiej prezydenturze, gdy był zakładnikiem zwycięzców, osadzonym w Belwederze jako gwarant. Eksprezydent miał dwa pokoiki biurowe w ponurej kamienicy przy Alejach Jerozolimskich, ochroniarza i sekretarkę. Byłem ciekaw oczu Generała. Zawsze skrywały je ciemne szkła. Były nieuleczalnie porażone iskrzącą bielą śniegu, kiedy pracował w tajdze jako drwal. Lesorubom okularów ochronnych nie wydawano.

Głos brzmiał spokojnie. Cywilny garnitur nie pasował. Słuchałem zapewnień Generała, że podjął był jedynie słuszną, choć dramatyczną decyzję, zapobiegając wtargnięciu wojsk sprzymierzonych. Patrzyłem na wojskowe mapy, wykresy, tabele. Mało z tego rozumiałem, bo nigdy nie służyłem w wojsku.

– Dlaczego pan się tłumaczy? – zapytałem. – Lepsze byłoby milczenie. Oni i tak wiedzą swoje. Nikt nie chce prawdy, każdy ma własną.

Generał kładzie przede mną mapę Europy Środkowo-Wschodniej. Polska jest w centrum. Ze wszystkich stron najeżdżają na nią łukiem grube czerwone i niebieskie krechy, wrzynając się głęboko w zieleń mapy. Słucham objaśnień. Krechy to armie – sowieckie, czeskie, enerdowskie. Od środka, z okolic Legnicy na Dolnym Śląsku, uderzają stacjonujące tam jednostki Rosjan.

– Tak to miało przebiegać – kończy Generał. – Układ Warszawski, mapa sztabu generalnego, data, pieczęcie. Utrata Polski nie wchodziła w grę. Jak można kwestionować?

– Chyba nie można – zgadzam się, wyobrażając sobie rozszerzone źrenice Generała. – Dlatego lepiej milczeć.

– Nie rozumiem pana – mówi chłodno Generał i zwija mapę, dając mi do zrozumienia, że to koniec audiencji.

Spotkam go raz jeszcze na pogrzebie pisarza o reżymowym życiorysie, miłośnika kobiet i koni, któremu wielki talent nie przeszkadzał w skrajnym konserwatyzmie. Nad grobem odczytano pożegnalny, przejmująco smutny telegram od przyjaciela z lat młodości, Karola Wojtyły.

Czy niechlubny życiorys przekreśla talent? Dostojewskiemu nie przekreślił. Biografia z talentem wcześniej czy później przegrywa.

Na pogrzeb pisarza poszedłem z wyrzutów sumienia. Miałem wpaść do niego we środę i nawaliłem, nie pamiętam dlaczego, a w piątek już nie żył.

Generał, uchodzący za komunistę, któremu komuniści zabili ojca i przeczołgali przez syberyjskie piekło, bardziej wojskowy niż polityk, przed śmiercią poprosił o księdza, by się wyspowiadać. Pochodził z ziemiańskiej rodziny, w dzieciństwie był religijny, chodził do katolickiego gimnazjum. Przestał wierzyć? Podobno to niemożliwe. Okoliczności sprawiły, że ukrył swoją wiarę głęboko, może nawet przestał być jej świadom, choć w to akurat wątpię. Nie wykluczam, że decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego komunistyczny przywódca poprzedził bezgłośną modlitwą. Dlaczego komunizm toczy wojnę z wiarą? Tego nigdy nie zrozumiem. Zapewne wiąże ją nierozłącznie z religią, a tę nazywa opium dla ludu, bo czyni lud posłusznym władcom, a w stadium ortodoksyjnym – islam fundamentalny – grozi totalną katastrofą. Ale można wierzyć ponad religią. Takim wierzącym zazdroszczę. Im starszy jestem, tym zazdroszczę bardziej. Niestety, nie da się wierzyć z wyboru. Jednym wiara jest dana, innym nie. Ja nie dostąpiłem.

Czy Generał, odchodząc, wyznał spowiednikowi, że nie mógł postąpić inaczej, biorąc na siebie grzech śmiertelny, aby nas ocalić? Nie musiał. Pan Bóg przecież wie, jak było naprawdę.

Na pogrzeb Generała nie poszedłem. Coraz gorzej znoszę tłum. Zapaliłem mu świeczkę u siebie w pokoju. Tak jak Ilanie. Jak Edwardowi Love.

ROZDZIAŁ 77

Edward Love zatrzymuje się przed nocną lodziarnią i zamawia dla Ptasidzioba banana split, a dla siebie koktajl jogurtowy z jeżynami. Eddie jest niezłomnym wyznawcą zdrowej żywności. Razowiec na zakwasie i bez konserwantów kupuje w polskiej piekarni na

Brooklynie, dwie godziny jazdy subwayami od jego Sto Trzeciej Ulicy przy West Endzie. Bez żadnych dodatków musi być farmerski chudy twarożek, odtłuszczony jogurt i margaryna antycholesterolowa. W profesorskiej kantynie Queens College Edward zamawia tylko dania dietetyczne i jedyne odstępstwo czyni na rzecz Ptasidzioba, gdy ten przyrządza faszerowanego kurczaka. Nie ma farszu bez wątróbki, a wątroba, wiadomo, to koncentrat toksyn. Ale Edward Love uwielbia kurczakowe nadzienie à la Ptasidziób i przepada za jego na słodko faszerowaną rybą z dodatkiem rodzynków i migdałów, które smakują dalekim wspomnieniem dzieciństwa. Takie przysmaki robiła na święta jego mama. Edzio przymawia się jeszcze o sałatkę z siekanej wątroby, zeszklonej cebulki i jajek na twardo z dodatkiem świeżego masła, jednak na próżno, bo tego Ptasidziób od swojej matki się nie nauczył. Co innego marchewka pokrojona drobno i duszona na małym ogniu w maśle i miodzie z dodatkiem odrobiny cynamonu. Cymes! Ten smakołyk ubóstwiają obaj i nie pojmują, jak może go nie lubić Ilana, która marzy o bigosie. Trudno dociec, dlaczego bigos nie udaje się w Nowym Jorku.

Jest i kiełbasa, i szynka, i boczek, i nawet dziczyzna, są suszone grzyby, wszystko to sprowadzane z Polski i kupowane na Brooklynie w delikatesach Eweliny i Jarka Nowaków, jest wreszcie kiszona kapusta… Kiszona czy marynowana? Bo tak jakby czuć ją z lekka octem. Wszystko jedno. Z tej kapusty bigosu nie da się ugotować. Wychodzi kapusta z mięsem. Da się zjeść, ale nijak ma się do tego, co obaj znają ze wspomnień jako bigos.

Kończą lody przy plastikowym stoliku w pustej lodziarni. Lodziarz, tłusty Murzyn z ogoloną do połysku czaszką, drzemie za kontuarem, cichutko pochrapując.

– Coś bym ci chciał powiedzieć – zaczyna Edward, patrząc gdzieś w bok, i urywa.

Nic nowego. Tak było już parę razy.

– To powiedz – rzuca Ptasidziób po pauzie lekko znudzonym, sennym tonem.

– No tak. Właściwie bez znaczenia.

– Więc nie mów.

– Myślę, że powinienem…

– Jak chcesz – Ptasidziób zaczyna wstawać od stolika, szykując się do wyjścia z lodziarni.

– Bo wiesz, moja rodzina… to znaczy, tego…

– Mhm.

Opuszczają lodziarnię. Nagrzane w dzień płyty chodnikowe nocą oddają ciepło, które parując, miesza się z fetorkiem brudu i gnijących liści. W lodziarni była klimatyzacja. Teraz obaj się pocą. Co jakiś czas unoszą się o milimetry nad zaśmieconym chodnikiem, nierównocześnie. Najpierw Ptasidziób, po kilku sekundach Edward. Na króciutko, nawet tego nie dostrzegając.

– Ja właściwie nie wiem – odzywa się Love.

– Jasne – zgadza się Ptasidziób. – Strasznie tu brudno. Dlaczego nie sprzątają ulic?

– Strajk. Ciągle za mało im pieniędzy. Nachalne związki zawodowe, sami czarni.

Edward Love nie lubi czarnych, z wyjątkiem swoich studentów, ale też nie wszystkich. Trafiają się aroganccy, bezczelni. Jakby Ameryka była ich. A jeśli chodzi o ścisłość, to ani ich, ani białych, tylko Indian. Tak uważa Ptasidziób, a Edek puka się w czoło: gdyby nie biali, Indianie do dziś mieszkaliby w wigwamach. „Mieszkają w rezerwatach – replikuje Ptasidziób. – Jak szympansy". Love zaperza się: „Te szympansy oglądają telewizję, mają lodówki i pralki, żrą i chleją na koszt białych podatników!". Ptasidziób uśmiecha się drwiąco: „W zamian za Amerykę, co? Nie zrobili dobrego interesu".

– Ty jesteś komunistą – stwierdza Edward Love.

– A jakby nawet, to co?

W swoim kraju Ptasidziób potrafi napyskować etatowym komunistom, domagać się od nich ludzkiej twarzy, kręcić filmy, które im są nie w smak. Ale tutaj co innego. Tu Ptasidziób bierze na siebie odpowiedzialność za całokształt. Brudy pierzemy w domu. Za granicą należy być czystym jak łza, dumnym ze swego kraju, swego narodu, swojej władzy. „Gdybyście nam nie przeszkadzali, w Polsce dawno byłby dobrobyt. Sprawiedliwie dzielony między wszystkich. A tak musimy się zbroić, być gotowi na zaskoczenia, a to cholernie drogo kosztuje. Nigdy nie wiadomo, kiedy wam przyjdzie do głowy urządzić Polsce Wietnam".

– Jesteś idiota – mówi Edward Love. – Robią wam wodę z mózgu.

– Po prostu kocham moją ojczyznę – odpowiada Ptasidziób. – Taką, jaka jest.

– Całą?

– Całą.

– Koluszki też?

– Dlaczego Koluszki?

Edward Love ma w Koluszkach daleką rodzinę. Ptasidziób jedynie tamtędy przejeżdżał. Pamięta jak przez mgłę rozległe torowiska i burą szarość. Chyba padał wtedy deszcz.

– No właśnie – śmieje się Edek.

Przy bramie luksusowej secesyjnej kamienicy na czerwonym chodniku pod markizą stoi dziewczyna w kolorowych szmatkach hipisowskich. Jasnowłosa i smukła, podobna do Ilany. Ptasidziób na chwilę przystaje, myśli, że to Ilana, wyciąga do niej ręce. Co Ilana robi tutaj o trzeciej w nocy?

Dziewczyna jest podpita. Może naćpana. Chwieje się na szeroko rozstawionych, szczupłych, muskularnych nogach.

– Fuck off – rzuca przez zęby. – I'm not a whore, you bastard!

Ptasidziób na moment głupieje, potem oddala się szybkim krokiem. Edward ledwo za nim nadąża.

Zostawiam ich. Niespodziewanie uświadamiam sobie, że nie mam i nie chcę mieć nic wspólnego z Ptasidziobem. To mętniak zaczadzony ideologią. Nic z obiektywizmu. Ile lat minie, nim z perspektywy warszawskiej Starówki ogarnie mroczne piękno Manhattanu, jego tolerancję dla nocnych dziwadeł, dziecięcej naiwności studentów, bezdomnych zamieszkujących kartonowe pudła w tunelach Central Station, milionerów w wyświechtanych swetrach i w takich samych swetrach intelektualistów dyskutujących przyjaźnie pod arką Washington Square? Ile minie kobiet, oczarowany mniej lub bardziej, lecz zawsze przytomny na tyle, by pamiętać o Annie i żadnej niczego nie przyrzekać, aż spotka L.?

To nie on ją spotka.

To już nie będzie Ptasidziób.

To będę ja.

Stojąc przy Sto Trzynastej Ulicy, przed bramą kamienicy, w której mieszkałem w swoim poprzednim życiu, zaczynam myśleć o L. Nie przyszła mi łatwo. Z perspektywy czasu mógłbym powiedzieć, że do spełnienia prowadzą dramaty, ułożone w mozaikę przypadków i zbiegów okoliczności. Jak w bajce o rycerzu, który musi przebyć zaczarowany las, pokonując wiedźmy i stada potworów, by dotrzeć do śpiącej królewny.

Filmu nie dało się o tym zrobić. Zbyt osobiste to wszystko. Lecz opowiedzieć o tym musiałem, i tak powstał *Czarny granit*, gdzie filmowiec jest rzeźbiarzem, L. lekarką prowincjonalną, a nie projektantką mody. Reszta to prawie prawda. Może mniej niż prawie, a może więcej. Nieco inna sceneria, inny bieg wydarzeń, jak to w prozie, gdzie rzeczywistość mocuje się z wyobraźnią.

ROZDZIAŁ 78

– Kocham cię.

– Jak mnie kochasz?

Nie ma słów na moje mroczne kochanie, nie ma metafor z różami, ze słowikiem, z wygwieżdżonym niebem nad Jeziorakiem w srebrze. Brakuje nam czasu na słowa. Rygluję drzwi w chacie, opuszczam zasłony, wygaszam światła na pomoście. Li grzeje się przy piecu. Nie jest zimno w mojej chacie, ale Li zawsze ma dreszcze, gdy przybiega do mnie po ciemku, chyłkiem, przez wieś, w długiej czarnej koronkowej chuście. Chusta ma ukryć jej kruchość, przymglić rysy, żeby nikt nie poznał. Wszyscy poznają. Cała wieś wie, że o zmierzchu, gdy słońce osiada w jeziorze i od bindugi napływają tumany, Li przybiega do mojego domu nad wodą.

Tylko we wtorki i czwartki. Kiedy jej mąż, inżynier Tomanek, ma całonocny dyżur w elektrowni.

W uszach mi dzwoni od nasłuchiwania. Już półmrok. Kobra wyje do nabrzmiałego księżyca, wiatr czesze jezioro, fale pukają w bok łódki. Li zawsze się spóźnia. To zatrzyma ją pacjent, to benzyny zabraknie w baku srebrzyka, to kot przebiegnie drogę, a wtedy Li zawraca, objeżdża pół wsi i stacza się na moje podwórko stromizną od zapory. Z wyłączonym silnikiem i bez świateł, ale i tak wie cały Krasnogaj, że Li jest z artystą.

Drzwi otwarte. Wpuszczam Li do środka i nie całując, nie dotykając, wybiegam. Trzeba zawrzeć wrota, w furtce spuścić zasuwę, srebrzyka wtoczyć do stodoły i tam go zamknąć. A przecież każde dziecko we wsi, od Półtoraków do Pszennych, wie, że Tomankowa jest u mnie i co ze sobą robimy.

Nic nie wiedzą.

Li całym drobniutkim ciałem przyciska się do pieca, aby wygasić drżenie i naładować komórki zewnętrznym ciepłem. Zdejmuję z niej chustę bardzo ostrożnie, powolutku. Obnażam smoliste włosy spięte z tyłu klamrą, wypukłe czoło dziecka, oczy pełne miodu, przyduże usta, nos trochę za szeroki, brunatną plamkę na lewym policzku, potem nagie smukłe ramiona, obrysowane dekoltem bawełnianej bluzki.

– Kochasz mnie jeszcze? – pytam.

– Tak.

– Co znaczy „tak”? Powiedz coś więcej, wytłumacz się, niech wiem wszystko!

– Kocham cię – mówi Li i rozchyla usta w uśmiechu, od którego szumi w głowie.

– Tak jak Darka? Jak Dziobatego? Jak Emira Mrożonych Owoców? – Wymieniam wszystkich jej wielbicieli, adoratorów, gminnych macho, którzy pojedynkują się o uśmiech Li, podkładają sobie dębowe kłody pod nogi, nasyłają lustratorów, policjanta Kluchę, Tłustonogą z urzędu skarbowego, którzy częstują się nawzajem robaczywą sarninką i wódką ze środkiem przeczyszczającym.

Kiedy Emir chciał się pozbyć Hrabiego S., podał mu koniak z laxigenem i zamknął na strychu z własną żoną, która musiała patrzeć bezsilnie, jak Hrabiego czyści. Okna były pozamykane, drzwi szczelne, mury bez szparki, a oboje nadzy. Cała zawartość Hrabiego szła Dianie w nozdrza. W ten sposób Emir wziął odwet za romans Diany z żoną Dziobatego, za jej apetyt na Darka, za dokuczanie Li i za sceny zazdrości, które mu o nią urządzała w każdy wtorek i czwartek.

We wtorki i czwartki Emir szedł w Krasnogaj szukać Li. Kwiląc jak chore dziecko, pukał do jej prywatnego gabinetu w nadziei, że doktorka drzemie, przebudzi się i wpuści. Raz go wpuściła, owinięta tylko w ręcznik, i nic się nie stało, do niczego nie doszło, a potem, na imprezie, Diana i Li, ubrane elegancko (kaszmirowa bluzeczka Diany kosztować miała trzy miliony złotych), wciągnęły się do wanny z ciepłą wodą. Wpadły wściekłe, wyszły rozbawione. Mąż Li, Dariusz, i Emir, mąż Diany, mieli na ten incydent poglądy zgoła odmienne, przetrząsnąwszy własne sumienia, w których roiło się od folkloru. Diana i Li wyrównały całkiem inny rachunek. Bluzeczkę za trzy miliony trzeba było wyrzucić.

Także Dziobaty i Hrabia zwykli spacerować po Krasnogaju, rozglądając się od niechcenia za srebrzykiem Li w każdy czwartek i

wtorek, a nawet robią wyprawy mercedesami do Prabut, Matyt i do Klonowego Dworu. Próbują też wzywać lekarkę krótkofalówką na konsylium do czworaczków Maluchowej albo do Cybulaka, którego wzięło. Li nie słucha krótkofalówki we wtorek i czwartek wieczór. Jest u mnie. Umieramy dla świata, przestajemy istnieć dla wszechczasu. Patrzymy sobie w oczy.

Dostaję zawrotów głowy. Wpatruję się w Li przytuloną do pieca i chcę być tym piecem. Piecem i bawełnianą bluzką. I rajstopami pod parą cieniutkich czarnych legginsów, i koronkową pajęczynką pod rajstopami, i czarną puszystością u zbiegu opalonych smukłości. Długonoga ta Li. Wielkousta i miodooka, a piersi ma jak dziewczynka na lodowisku – białe, twarde dwójeczki z parą różowych sterczyków. Ale sterczyki pęcznieją dopiero wtedy, gdy Li zaczyna szybko oddychać.

Lubię, gdy szybko oddycha.

– Kochasz mnie jak tamtych? – powtarzam głupawo. – Może trochę bardziej?

– Nigdy ich nie kochałam.

Mam ostatnie pytanie, ale muszę z nim poczekać.

– A Trupa? – Nazywam w ten sposób Struplińskiego, na złość Li, którą chyba coś z Trupem łączyło, łapę kładł jej na pośladkach, w tańcu, u Reglanów, Darek udawał, że nie widzi, inni chichrali półgębkiem, ja po tym tańcu zniknąłem na dwa lata. Zwoziłem do Krasnogaju różne krakowskie dupy, którym pochlebia z artystą. Myślałem o Li z gniewem, dolewałem pogardy i obrzydzenia, żeby ogień buzował.

Trup, właściciel apteki w Bartach, był po kielichu zabijaką i tupeciarzem. Miał córki starsze od Li. Uważał się za jej opiekuna, pana prawie, a ona go słuchała pokornie, aż mnie mdliło. Darek uśmiechał się żartobliwie. Może Darek i Li wiedzieli o czymś, ale ja nie wiedziałem i nie chciałem wiedzieć.

Nienawidziłem Li.

Miałoby to znaczyć, że ją już wtedy kochałem?

* * *

– Nie byłam ze Struplińskim.

– Tylko nie kłam – proszę, zbliżając się ostrożnie do pieca, wyciągając ręce przed siebie i usiłując opuszkami palców dotknąć smagłych policzków Li, ale ona odsuwa się leciuteńko i muskam nagrzane białe kafle. – Wszyscy o was wiedzą, od Mrągowa po Skiroławki.

– Ludzie nie wiedzą nic.

– Dlaczego cię dotykał? Dlaczego pozwalałaś? Dlaczego pozwalał twój mąż?

– Nic nie było.

– Przecież sam to widziałem!

– Nic nie widziałeś. Nic nie było. Tylko ty jesteś.

Moje dłonie odnajdują w końcu jej twarz. Uczę się jej jak niewidomy, wodząc opuszkami palców po brwiach i rzęsach, po wargach, brodzie, zaokrągleniu policzków, po skrzypeczkach maluteńkich uszu ukrytych pod ciemnymi kosmykami z niteczkami siwizny.

Chwała siwiźnie Li. Ja nie mam jeszcze siwych włosów. Czym odciska się starość – przeładowaniem pamięci czy zwiotczeniem naskórka? W snach, kiedy szybuję nad drzewami, prawie bez ruchu skrzydeł, jestem tylko chłopcem. Niekiedy niewinnym, szukającym. Czasami skruszonym, pełnym rozżalenia. Zawsze szczęśliwym.

– Ty byłaś w poprzednim wcieleniu kocicą, a ja ptakiem – mówię.

Li boi się kotów. Ja kocham ptaki. Wychodzi na jedno.

Na podwórko zajeżdża samochód, ktoś puka do drzwi, nie otwieramy. Jest wtorek, Dariusz ma dyżur w elektrowni. Nie może wyjść stamtąd. Gdyby mógł, też by do mnie nie przyjechał, przedtem zadzwoniłby, czy wolno, może jestem zajęty albo mam gości. Pacjentka do Li? Pukałaby mocniej, wołałaby: „Pani doktór!”. Hrabiego przymknięto na czterdzieści osiem godzin za oszustwo podatkowe, Emir Mrożonych Owoców we wtorki poluje pod młynem w Skiroławkach na nieletnie.

– To do ciebie, z Krakowa – mówi Li. – Peugeot na krakowskiej rejestracji.

Okna są zasłonięte. Przez białe listwy żaluzji nie można zobaczyć nic. Li nazywają w Krasnogaju czarownicą, żadne dziecko jeszcze jej nie umarło, odczynia uroki zamyśleniem, zdejmuje kurzajki. Czasem znajomi krakowscy zajeżdżają bez uprzedzenia i odjeżdżają bez pretensji.

Ten także odjeżdża. Ostatnie kurtuazyjne puknięcie, potem szelest zapalonego silnika, skrzypienie zamykanych wrót. Jakiś bliższy znajomy, jeśli otworzył wrota z zewnątrz, lecz nie na tyle bliski, by wiedzieć, że wtedy się nie wchodzi.

Pora na ostatnie pytanie.

Siadam w fotelu obok pieca, przyciągam Li do siebie i delikatną, kruchą, leciutką jak wietrzyk, biorę na kolana. Zamykam w ramionach, aż trzeszczą kostki. Wdycham twarz Li. Aromat macierzanki, dzikich ziół polnych, wydmy nadmorskiej, nie wiadomo skąd, słonawy z lekka, nasłoneczniony.

– A jego kochasz? – pytam. – Co dla ciebie znaczy? Jak możesz z nim być, jeśli masz pewność, że wie o nas wszystko?

Milczy. Nigdy nie odpowiada na najważniejsze pytania. Ratuje się swoim cudownym uśmiechem, pełnym miodowego rozszczęśliwienia, z szelmowską iskierką w zanadrzu. Topię się w tym uśmiechu jak sopel w słońcu. Rozbieram Li ostrożnie, aby niczego nie skruszyć, nie złamać, nie naderwać. Mam siłę w łapach od młotka rzeźbiarskiego.

Kiedyś wykuję Li w polnym kamieniu. Na pewno to zrobię. Niech się tylko nauczę rozumieć jej uśmiech, od słoneczności po szelmostwo. Co rozumiem, to mogę namalować. Co namaluję, mogę wkuć w kamień.

Li wstydzi się przede mną swojej nagości i muszę zamykać oczy, kiedy jej dotykam, wchłaniam, pożeram każdym zmysłem, aż mi się śpiewać chce, wrzaskiem światu ogłaszać, że cud się staje, Bogu paść w ramiona, Bogusiowi naszemu najserdeczniejszemu, który spełnia się w nas po ostateczność, gdy fotel pod nami wybucha i ulatujemy ku Niemu chrapliwym dwugłosem.

Li znowu się śmieje, teraz z oczyma pełnymi łez, coraz dalsza, coraz bardziej samotna w swoim zaspokojeniu.

Nigdy nie wymówiła na głos mojego imienia. Emir pokpiwa, że boi się pomylić. W judaizmie imię Boga jest święte.

– Kocham cię, stara – szepczę rubasznie, poklepując Li po długim smukłym udzie, jeszcze wilgotnym od kochania.

* * *

– Nie jedź do Warszawy.

Skąd wie, że zamierzam pojechać? Przecież nie może mieć pojęcia, że z Paryża przylatuje Katarzyna. Ja też mógłbym nie mieć, gdyby mi Ilonka nie powiedziała: „Mama przylatuje we środę, chyba wyjdziesz po nią".

„Nic nie wiem – odpowiadam córce – przecież mogła mnie uprzedzić, zatelefonować, do diabła, czy nie jesteśmy z żoną przyjaciółmi?"

„Będzie we środę, liczy, że po nią wyjdziesz".

„Kazała mnie zawiadomić?"

„Nie".

„No to bredzisz".

„Była pewna, że ci powiem, i teraz musisz po nią wyjść na lotnisko, ta odrobinka serca mamie się należy".

„Twojej matce należy się rozwód ze mną. Rzuciła nas".

„Ciebie".

„Nas".

„Ja mam Jacka, ty masz Li, matka jest z Kiejstutem, wszyscy poukładaliśmy sobie życie, bądźmy eleganccy".

– Nie pojedziesz, prawda?

– Tylko na dzień. Wrócę we czwartek, na dyżur Dariusza.

– Jutro nie wolno ci jechać. Boję się bardzo.

Próbuję rubasznego śmiechu, palcami wodzę po ciepłych włosach Li, po rozchylonych i nabrzmiałych wargach, za którymi chowa się język. Twierdzi przekornie, że nie pokaże mi języka, bo jest malutki. A ja go czasem znajduję. Własnym językiem. Umyka przede mną, ścigamy się, nie ma szans w maleńkich usteczkach Li.

Dotykam piersi, delikatnie zbieram je w garść, lekko mieszczą się w mojej kamieniarskiej łapie. Kołyszę Li na kolanach jak dziecko do snu. Jest młodsza od mojej Ilonki, no i co z tego? Ja też jestem młodszy, niż mam do tego prawo, artyści starzeją się dwa razy wolniej. Geny sztuki zwalniają bieg czasu, napinają skórę, dodają blasku oczom. Li jest moją kochanką i jest moim dzieckiem, i jeszcze jest mną, cząstką mnie, figurką z duszy.

„Raz nie będę elegancki – komunikuję Ilonce. – Pozdrowisz matkę, wytłumaczysz, że byłem zajęty".

„Z Li?"

„To ty opowiedziałaś jej o Li. Mnie nie uwierzyła".

„Dalej nie wierzy, że możesz kochać kogoś oprócz niej. Musiałeś ją o tym kiedyś przekonać. Ona także kocha tylko ciebie".

Co za brednie!

Szczera prawda.

Idiotyczna prawda, nieprawda, bzdura, nonsens. Nie mogę wtajemniczyć Ilonki, wpuścić jej w czarną otchłań, której się nie da zrozumieć, nawet będąc w środku. Dlaczego zadręczyłem Katarzynę układną bezwzględnością, ciepłym chłodem, zdradami bez znaczenia, kurtuazyjnym okrucieństwem? Czyżbym miał jej za złe, że mimo lat nie przestawała być piękna?

Kiejstut to gówniarz. Wcisnąłem mu ją. Niedoceniana, niedotykana, musiała szukać potwierdzeń, że istnieje. Pomagałem jej w tym szukaniu jak masochista. Albo jak sadystyczny pyszałek. „Traktowałeś Katarzynę obrzydliwie – powie mi Stefan S. – Poniżałeś, jakby była szpetną idiotką, a przecież wszyscy mówili, że jest mądra, piękna i wrażliwa, że ty jej do pięt nie dorastasz ze swoim dłutem tępaka. Musiała cię w końcu rzucić. O wiele lat za późno".

A jednak nie udało jej się z Kiejstutem. Za długo była ze mną. Ofierze brakuje kata? Mogliśmy wcale nie być katem i ofiarą, tylko kimś zupełnie innym i, jeśli mam rację, Katarzyna nie znajdzie już sobie miejsca na ziemi.

Ani ja.

* * *

Zajeżdżam na lotnisko moim niebieskim polonezem, pasażerowie z Paryża już wychodzą, a parkowanie wzbronione. Sam zaczepiam policjanta, proszę głupio o uczynienie wyjątku.

– To o panu był wczoraj film na drugim programie? – pyta mundurowy blondynek.

Nie mam w Krasnogaju telewizora, nikt mnie o filmie nie zawiadamiał, lecz to akurat podobne do urzędników telewizyjnych. Reżyser Grześ Dubowski nakręcił o mnie kiedyś film w plenerze. Pewnie w końcu puścili.

– Mogę zostawić wóz na parę minut? – pytam. – Przyleciała moja modelka.

– Popilnuję.

Jeszcze kwiat w srebrnej folii, jakieś anturium, czerwony jęzor z żółtym paluchem. Rozglądam się za Ilonką, dostrzegam Katarzynę.

Chyba wypiękniała. Dobrze jej w bieli. Za dużo złota, na szyi, w uszach, na przegubach. Włosy wciąż gęste, czarna farba z połyskiem matowym, bujnie spadają na ramiona. Uśmiech rodzinnie radosny, w oczach mgiełka niepokoju, pytania przemieszane z lękiem, zastrachana przekora. Ilonki nie ma oczywiście. Wyrachowanie i wygodnictwo: „Kawał drogi na Okęcie, niech pobędą sami".

Całujemy się w policzki, po rodzinnemu. Mała walizeczka, krótki pobyt. Wsiadamy do poloneza, mundurowy blondynek uśmiecha się znacząco, porusza jasnymi brwiami: Katarzynę też pamięta pewnie z kilku filmów, może ją nawet widział w *Boginiach ciemności* Resnais'go.

– Mam pokój w Bristolu – mówi cicho Katarzyna, gdy serpentyną wyplątuję się z lotniska, i patrzy na mnie z ukosa, ukradkiem.

– Ładny hotel – chwalę.

– Li mieszka z tobą?

– Ty to masz szczęście. – Wskazuję na niebo buchające słońcem. – Wczoraj jeszcze lało. W Krasnogaju oberwała się chmura, w stodole wszystko pływało.

– Zostawiłeś ją tam? Wytrzymasz bez niej dobę?

Nie wiem, czy wytrzymam, ale nie będę się z tego tłumaczył przed Katarzyną. Dziwne życie w dwóch różnych wymiarach, które łączy tylko Li swoją obecnością. Gdy jestem bez niej, przeżywam równolegle dwie rzeczywistości: realną i tę inną, jeszcze realniejszą, czasem aż do bólu. Co ma teraz na sobie? Do kogo mówi? Dlaczego może nie zadzwonić do mnie? Wychodzi z łazienki, owinięta tylko w ręcznik, półobnażona, parująca, a z fotela podnosi się Emir Mrożonych Owoców…

– Mówisz do siebie.

– Modlę się – wyjaśniam. – Stary nawyk nawiedzonego.

Mógłbym zaproponować, że zawiozę ją do naszego domu, bo przecież dom ciągle jest nasz, przedmioty wspólne. Tylko mnie dla niej

już w nim nie ma, no i jej dla mnie, ma się rozumieć.

Po co przyjechała? Dlaczego nie dała mi znać, jak zawsze dotąd? Przecież nie wieść o moich związkach z Li ściągnęła ją do kraju, to byłby absurd, chociaż Ilonka uważa inaczej: „Trzy lata przelatywałeś panienki i nic to mamy nie obchodziło, tak samo jak dawniej, gdy jeszcze byliście razem. Dawniej obchodziło jednak, ale umiała zagrać, talentu aktorskiego Brodacz jej nie poskąpił. Teraz coś się w niej oberwało. Wyczuwa, że Li jest dla ciebie wszystkim. A Kiejstut dla niej niczym. No, może przyzwyczajeniem, wygodą. I chce coś ratować".

Służba sprawnie zanosi sakwojaż Katarzyny do pokoju na czwartym piętrze, chwilę czekam na chłodnym powietrzu, mając po prawej coraz bardziej mi obcy pałacyk ministerstwa kultury (było się kiedyś gościu, minister wstawał na powitanie artysty, dziś ministrowie są zajęci, czasu im brak dla potencjalnego żebractwa), po lewej, za prowizorycznym ogrodzeniem, tajemniczą wielką budowę, która przemieni Pałac Namiestnikowski w rezydencję prezydenta RP. Czyim namiestnikiem okaże się prezydent, kiedy tu zamieszka?

Katarzyna jest szybka. Już zmieniła podróżny makijaż na wykwintną zwykłość, biały płaszcz na kolorową kurtkę.

– Dokąd pójdziemy? – pyta.

– Ilonka zaprasza na obiad o czwartej.

Jest południe, cztery godziny przed nami. Proponuję Telimenę, barek w Europejskim, kawę w Victorii, nawet spacer po Starym Mieście, choć nie znoszę spacerów. Katarzyna odmownie kręci głową.

– Możemy wpaść do ciebie? Jeśli ci to nie przeszkadza.

– Mam bałagan.

– Nic nowego, chodźmy. Zamki pewnie pozmieniałeś.

Niczego nie pozmieniałem w naszym mieszkaniu przez te trzy lata, czułem się w nim sublokatorem, półduszą. Duszę domu stanowi komplet mieszkańców. W zakamarkach czają się cienie Katarzyny, Ilonki, Samuraja i mój między nimi, tak samo dziś mi obcy jak tamte. Samuraj, wilk olbrzymi i czarny jak węgiel, padł na zawał rok przed odejściem Katarzyny. Wilki czują, że nadciąga coś złego. Krążył między nami, udawał szczeniaka, próbował Katarzynę i mnie wciągnąć do zabawy: toczył nosem po podłodze tenisową piłkę, my mieliśmy odbierać, walczyć z nim, w końcu tulić razem niesfornego Rajcia. Nie mogliśmy. Ja wychodziłem z domu leczyć bezzasadną chandrę w Klubie Artysty, Katarzyna też zaczynała wychodzić, pusty śmiech, do obleśnego Ambasadora o twarzy z ciasta drożdżowego, starszego od niej o pół wieku. Wpadł mi w ręce jego list do niej, chyba z rozmysłem podrzucony; hołdy, peany, świat u stóp, miłość do ostatniego wcielenia, noce andaluzyjskie, świt na Haiti, Flawiusz, Wezuwiusz. Zemdliło mnie lekko z obrzydzenia, gdy opisywał Katarzynie, jak ją dotyka, mieszając

biologię z geografią. Przecież to eunuch. A może nie eunuch, tylko chytry wybieg dyplomaty, by zmylić czujność męską?

Ambasador był dostojny i uwielbiał. Wyprowadzał Katarzynę na rauty i przyjęcia do Belwederu, przedstawił prezydentowi, podwoził do kosmetyczki czarnym mercedesem, słał kiście tajlandzkich storczyków sprowadzane specjalnie z Bangkoku w długich przezroczystych pojemnikach ze wstążkami.

– Może nie chcesz, żebym weszła na górę? – słyszę.

– Co znowu. Proszę.

Sąsiedzi wytrzeszczają oczy. Pani Katarzyna? Już po wojażach? Na stałe? Nie zmieniła się pani, przeciwnie, Paryż dobrze robi pięknym kobietom, młodnieją na Montparnassie! Ale zostanie pani na dłużej? Rozumiem, pewnie kontrakt na nowy film, tutaj się szepcze, że podobno sam Spielberg chce panią zaangażować do *Rajskich ogrodów*…

Winda jak zwykle nie zatrzymuje się na drugim piętrze. Trzeba wjechać na trzecie i przycisnąć pierwsze, wtedy stanie na drugim. Katarzyna śmieje się, jest w doskonałym humorze. Gdybym jej nie znał, byłbym rad.

– Nasz domek – mówi cicho, przekraczając próg.

Rozgląda się po korytarzu, potem przemierza powoli pokoje, zupełnie jak Samuraj przed zawałem. Na końcu moja pracownia. Okaleczone kamienie, bezkształtne bryły gipsu, szkice na kartonach, młotki, dłuta, pędzle.

Na stole, obok telefonu, fotografia uśmiechniętej Li w czarnej ramce. Nieposłuszny ciemny kosmyk spada na czoło, rozcina lewe oko i policzek. Dużo białych zębów w rozchylonych ustach. Wzrok skierowany na mnie. Nagie ramiona, miodowe od opalenizny, czerwonawe od ognia, którego na zdjęciu nie widać – kominek jest w głębi.

Nie ma starych foteli ze zmurszałą kanapą ani dywanu, który przez tuzin lat stracił kolory i jędrność. Para lekkich fotelików, wiotka wersalka w tonie blue. Trzy owcze skóry na parkiecie.

– Tutaj się zmieniło – mówi Katarzyna i próbuje przysiąść na filigranowym fotelu, który kołysze się pod nią przyjaźnie.

Nalewam do wysokich szklanek odrobinę wódki, dużo soku jabłkowego, wciskam cytrynę, wrzucam kostki lodu. Zapominam spytać, czego napiłaby się Katarzyna. Dawniej piła właśnie to. Jeśli zmieniła gust, będzie musiała się przystosować.

– Dobry wieczór – mówię i wypijamy po łyku, bez trącania się, normalnie.

Chciałbym dorzucić, że ładnie wygląda: nadal ma w genach sposób na rozmijanie się z czasem, bez zmarszczek, zwiotczeń, worów pod oczami. Spojrzenie to samo co czterdzieści lat temu, pytające i ciepłe, onieśmielone. Nie będzie jednak poufałości, musi być powściągliwość.

– Zamożnie żyjesz – mówi Katarzyna i rozgląda się, szukając potwierdzenia. – Twoje prace dobrze się sprzedają, widziałam kilka na aukcji w Paryżu. Pisano o tobie w „Le Figaro", że nie dałeś się pożreć socrealizmowi.

– Nikt mnie nie pożre, jestem twarda sztuka. – Szczerzę zębiska do Katarzyny. – Ilonka na pewno szykuje cielęcinę z grzybami, zawsze to samo. Mogę ci zrobić kanapkę z serem.

– Chciałabym tu zostać.

Zastygłem w półgeście, wychylony nad stolikiem. Co za obcesowość. A może tylko kurtuazja, ukłon do wspomnień?

– Już jesteś tutaj.

– Chcę wrócić do tego domu. Do ciebie. Spróbujmy się nad tym zastanowić.

– Lepiej nie – ostrzegam.

Katarzyna puszcza to mimo uszu. W zadumie popija ze szklanki, oczy ma jeszcze bardziej melancholijne. Gdybym dopuszczał, że może być przebiegła, stałbym się czujny, ale to wykluczone. Przebiegłość też musi być w genach. W jej genach przebiegłości nie ma.

Za oknem płonie migdałowiec. Drobniutkie czerwone kwiatki pną się po gałęziach jak języki płomienia, szczebiot ptaków przebija się przez dalekie klaksony, powietrze jeszcze bez kurzu, wiosenne. Trochę komarów. Zapowiadają, że tego lata będzie komarowa inwazja.

– Czy ty nic już do mnie nie czujesz? – pyta Katarzyna.

Trzy lata temu, gdy wyjechała z Kiejstutem do Paryża, czułem dużo. Był sylwestrowy wieczór, miałem czterdzieści stopni gorączki i jeszcze nie wiedziałem, że odeszła. Rozwiesiłem na choince jej fotosy z różnych filmów i sztuk, także te wczesne, robione przez Nasierowską. Sto imion, sto spojrzeń, każde inne, każde dla mnie. Ustawiłem kamerę wideo na telewizorze, wycelowałem w drzewko i włączyłem nagrywanie. Zapaliłem wszystkie światła, świece, kolorowe lampki. Głosem trochę ochrypłym od wysokiej temperatury, spocony pod kudłatym szlafrokiem, zacząłem obchodzić choinkę i wywoływać fotos po fotosie:

– Cześć, Siachny.

– Jak ci tam, córeczko?

– Serwus, Kica.

– Do siego roku, Zajączku.

– Sie masz, Dulcyneo, Lauro, Saskio, Giocondo… Hermenegildo cholerna, jak ty mnie mogłaś z taką gorączką zostawić samego w sylwestrową noc? I nawet nie zatelefonować o północy?

Pięć przed dwunastą odłożyłem słuchawkę na bok, blokując aparat. Lżej myśleć, że próbowała z Paryża, było zajęte. Kiedy zaczął bić nasz stary zegar w jadalni, stanąłem przed kamerą i złożyłem Katarzynie

intymne życzenia. Musiałem stać trochę bokiem. Oczy mi kretyńsko zwilgotniały, kamera wyłapuje takie bzdety, po co to komu?

Byliśmy tylko we dwoje, Boguś i ja. Napiłem się wódki z sokiem jabłkowym i cytryną, a Boguś sprawił, że zasnąłem natychmiast i spałem bez snów.

Nikt nie widział tego nagrania, puściłem je tylko raz, żeby sprawdzić, czy zapis się utrwalił. Mignął mi z bliska fotos Katarzyny w gorsecie, usłyszałem swój głos z chrypką, jakiś skamląco-skargliwy – i błyskawicznie wyłączyłem magnetowid.

– Wiele czuję do ciebie – odpowiadam, nie patrząc w oczy Katarzynie. – Na przykład ci ufam jak nikomu więcej. Na przykład jestem do ciebie przywiązany. Wzywam cię w myślach na pomoc, kiedy się czuję zagrożony. Sny z tobą nigdy nie są koszmarne, aż żal się budzić.

– Więc dlaczego…

– Gdybyś znalazła się w niebezpieczeństwie – nie pozwalam sobie przerwać – byłbym pierwszy na miejscu. I możesz na mnie liczyć w potrzebie.

– Ty na mnie też. Bądźmy znowu razem. Potrafisz być wielkoduszny i wybaczyć mi?

Z trudem powstrzymuję śmiech. Pamiętam, że twarz nie powinna mi drgnąć. Jak może Katarzyna nie pojmować, że nie ma tu nic do wybaczenia, ponieważ nie ma winy? To ja podstawiłem ją Kiejstutowi. Nie dosłownie. Nie jestem rajfurem. Stworzyłem tylko atmosferę, w której udusiłaby się, gdyby w końcu nie otworzyła okna.

Doskonale wiedziałem, czego jest warta, i odmawiałem jej tego. Z lubością wyszukiwałem krosty na jej twarzy, rozstępy na brzuchu po urodzeniu Ilonki, sine żyłki na łydkach: „Patrz, co ci się zrobiło”.

Jak wytłumaczyć, że dowodziłem w ten sposób swojej miłości?

– Wybaczać nie ma co, prośmy o zapomnienie – odpowiadam.

Miesza się przebaczanie z pamięcią. Przebaczenie to gest, samochwalstwo moralne. Pamięć to obsesja. W przeddzień śmierci Jana miałem z nim rozmowę o Katarzynie. Wierzył, że córka wróci do nas, gdy tylko skończy film, w którym gra z Kiejstutem. Zawsze miał to być powrót na święta – na Wielkanoc, na Boże Narodzenie.

Jan mnie pocieszał. Oczywiście wiedział o Kiejstucie. Zapewniał, że to błahy flirt, rzecz bez znaczenia, plotki. Chciał się upewnić, że przyjmę Katarzynę i wszystko będzie po staremu. „Powiedzmy, że przyjmę – odparłem. – I odtąd będę patrzył na nią badawczo. Każde jej westchnienie, płacz w nocy, odwrócenie oczu, zadumę, grymas odczytam jako tęsknotę za tamtym. Nieważne, słusznie czy niesłusznie. Można tak żyć ze sobą?”

Nazajutrz wczesnym popołudniem Jan wpadł pod samochód. Zginął na miejscu.

– Każdy ma prawo do błędu – mówi Katarzyna, patrząc przed siebie i sącząc sok jabłkowy z wódką. – Ty popełniałeś ich bez liku, co krok, nie było dnia bez kochanki.

– Więc tak jakby nie było żadnej – mówię. – Paciorki na nitce. Kolorowe i takie same. Bez liku, fakt.

– A ja ten jeden raz. Nawet nie ma porównania.

– Nie ma porównania – zgadzam się. – Ani odwrotu. Gdybym ci oświadczył: „zostań", zbaraniałabyś.

– Sprawdź mnie – prosi Katarzyna.

Śmiejemy się oboje. Wciąż nie mogę przyswoić sobie, że Katarzyna ma być mi obca, bo jest związana z innym mężczyzną. Podobno Kiejstut mnie nienawidzi. Podejrzewa, że nie jestem Katarzynie obojętny. Myśli, że Katarzyna bez przerwy nas porównuje i że na jego niekorzyść. Głuptas. Młodość załatwia wszystko, a on jest dziesięć lat młodszy ode mnie – energiczny, wysportowany, z przyszłością w filmie, podobno ma propozycje z Hollywood, podobno zawdzięcza to Katarzynie, ale tak być wcale nie musi.

Ja go nienawidziłem całym sercem. Zwłaszcza po swoim nieświadomym upokorzeniu przed kamerą wideo w sylwestrowy wieczór. W malignie zdychałem z tęsknoty, a ona była wtedy z nim, tańczyli wśród przebierańców na Place du Tertre, potem pod operą, na Polach Elizejskich, wreszcie w hotelowym łóżku na rue Lepic. Nic nie wiedziałem. Nie domyślałem się nawet.

Podchodzę do telefonu, powoli wybieram kierunkowy do Paryża: 0-033-1 .

– Zastaniemy Kiejstuta w domu? – pytam. – 4280-3804. – Wciskam klawisz po klawiszu. – Chyba się nie pomyliłem?

Katarzyna blednie. Bezkrwistość skóry jest mocniejsza niż opalenizna. Robi ruch w moją stronę, jakby chciała przycisnąć widełki.

– Po co tam dzwonisz? – pyta szeptem.

– To ty telefonujesz. Chcesz uprzedzić Kiejstuta, że już do niego nie wrócisz. Zostajesz ze mną.

Katarzyna nerwowo wstaje z fotela. W słuchawce piski, kłopot z połączeniem. Ale ona nie wie, numer wybrałem prawidłowo, za chwilę może odezwać się Kiejstut. Wystarczy, żeby usłyszał mój głos, a potem jej.

Katarzyna nie może do tego dopuścić. Nie wie, jak mnie powstrzymać, i cała się trzęsie.

– Może ja go poinformuję, a ty tylko potwierdzisz? – proponuję łaskawie, i do słuchawki: – Halo, tu…

Katarzyna wciska widełki. Po opaleniźnie już ani śladu. Sama biel i krostka na lewym policzku, sinawy punkcik z żółtym oczkiem.

– Takich spraw nie załatwia się przez telefon – słyszę. – Nie każdy ma twoje poczucie humoru.

Nadal szepcze. Zabrakło jej głosu. Dawniej nazwałaby mnie sadystą, prowokatorem. Teraz wykręca sobie tylko palce i patrzy w okno. Czekam. Musi czuć, że prawe oko popłynęło, wstydzi się wyjąć przy mnie lusterko (zawsze się krępowała, tak samo jak Li), wychodzi do łazienki.

Szybko wybieram kierunkowy, potem numer Li i pocę się na myśl, że nikogo nie będzie w domu albo że słuchawkę podniesie inżynier Tomanek.

Odbiera Li. Jej melodyjny głos na chwilkę pozbawia mnie oddechu. Dariusz stoi obok czy drzemie w drugim pokoju? Może jest sama?

– Jesteś sama?

– Czekałam.

– Kitka. Kocham cię do białości.

– Słucham? Mów głośniej.

– Nie ma świata bez ciebie. Nie ma słońca, nie ma powietrza, nie ma gwiazd. Bez ciebie, Kitka, jest tylko umieranie. A ty?

– Też. Ale ja nie śmiem. Jutro jest czwartek, pamiętasz?

– Wtorki i czwartki, ty diablico pokrętna, nie chcę tak dłużej…

– Mówi się?

Ostygam. Potwierdzam służbiście, że się mówi, telefonistka wyłącza się z obiegu. Albo włącza wszystkie megafony w Krasnogaju i nad Jeziorakiem, od Matyt do Iławy, przetacza się moje: „Słoneczniku, potworze, radocho moja zapluta, czy ktoś cię kiedyś kochał tak po wariacku? Wygryzał ci oddech? Wysysał zapachy ze wszystkich szczelin, wylizywał najskrytsze zakamarki, zarażał szaleństwem, rozszczęśliwiał do małpiego obłędu?”.

– Ona jest z tobą.

– Ona jest ze mną – potwierdzam. – Właśnie poszła do łazienki poprawić prawe oko. Nigdy nie będziesz mi taka bliska jak ona.

– Mówi się?

– Wiem.

– Bo trzymasz dystans, do mnie też trzymasz, może nawet do siebie samej. Nie umiesz poprosić, nie umiesz podziękować. Cały świat masz na służbie.

– To ja jestem na służbie u świata. Ją kochasz.

– Tak, tak, ma się rozumieć – potwierdzam skwapliwie – jak miałbym nie kochać mamy Ilonki, przyjaciela na każdą okoliczność, czułego członka rodziny. Ty byś przeze mnie mogła cierpieć, a ona by dla mnie umarła.

– Więc bądź z nią.

Dziecinna przekora podszyta łkaniem. Łkanie spętane godnością. W domu Li nie okazywano uczuć, wszyscy byli dla wszystkich bezosobowo serdeczni, kierowca podwoził Li do szkoły w sekrecie przed ascetycznym tatusiem. Nikt nie był ascetyczny. Liturgia tamtego establishmentu nakazywała kumplostwo i dystans. Na całość szło się nie z każdym: drobnotariackie prolemieszczaństwo.

– Ty mi nie dyktuj, z kim mam być – odpowiadam sucho. – Jutro przyjadę.

– Nie musisz.

– Nie chcesz, żebym jutro przyjechał?

Złość we mnie wzbiera. Niedobrze. Nie lubię u siebie tego zajadłego chłodu, który mnie zmusza do postępków na przekór sobie.

– Może powinieneś zostać z Katarzyną.

– Nie twój interes! – rzucam. – Sam decyduję o swoich powinnościach. Pachnij dla mnie jutro piaszczystymi wydmami.

– Mówi się?

– Tak.

– Jeszcze nie wiem, po co przyjechała. Musi być powód. Bądź przy mnie, Li, nie opuszczaj w myślach ani na chwilę.

– Tak.

– Ja, wiesz. A ty?

– Ja także.

– Co masz na sobie? Dokładnie!

– Czarny sweterek, legginsy, perłowe rajstopy…

– Dalej.

– Klamrę we włosach.

– Tę czarną?

– Biało-niebieskie sandałki, naszą bransoletę…

– Dalej.

– Już.

– Jesteś bez majtek?

– Świntuch.

– Kocham cię, słoneczniku. Zapomniałaś jeszcze o kolczykach z brylancikami, widzę je, bądź ze mną cały ten czas, cześć, stara.

– Jeszcze nie kładź słuchawki.

Nie kładę. Nasze oddechy plączą się gdzieś po przewodach nad Polską. Pstryknięcie kontaktu w łazience. Trzeźwość.

– Cześć, słoneczko. Do jutra. Powiedz Tomankowi, że cię zabieram na zawsze. Niech szuka pocieszenia w Nowym Sączu albo u Karpalskiej, albo w transformatorze wysokooktanowym na holzgas.

Katarzyna zastaje mnie przy stole, ale bez słuchawki, która spoczywa na widełkach, jakby od stu lat nieruszana. Prawe oko Katarzyny już nie

różni się niczym od lewego. Krostka przypudrowana. Zmarszczka też.

– Trzymają nas się żarty – słyszę jej ciepły głos. – Zapomniałabym o prezencie.

Z torby wyjmuje wytworny pakiecik przewiązany wstążeczką, nalepka Dior. Wręcza mi i nadstawia policzek. Cmokam. Zgodnie z naszym dawnym obyczajem muszę rozpakować natychmiast. W środku krawat: gruby jedwab poplamiony purpurą, ochrą, seledynem. Teraz takie się nosi, pstrokate, agresywne.

Zapomniała, że nie noszę krawatów.

Ja też mam prezent dla Katarzyny, ale nie teraz jeszcze.

– Będzie pasował do śliwkowego garnituru – powiadam.

Kiejstut nosi śliwkowe garnitury, lubi stawać w nich przed kamerą, pozować do zdjęć. Ja noszę kurtki. Tylko kurtki. Dżinsowe, lniane, płócienne. Pamięć kobiet jest niepodzielna, rejestruje tylko jeden model i odwzorowuje go do innych. W świadomości Katarzyny nie ma już mężczyzny w kurtce, jest mężczyzna w ubraniu szytym na zamówienie. Nie ucieknie od tego. W przeciwieństwie do Li, która jest kobietą wszystkich mężczyzn, Katarzyna żyje jednym mężczyzną, koduje go i odnosi do reszty świata.

Pyta, czy wolno jej zajrzeć do szaf w przedpokoju. Po to mogła przyjść tutaj: na wieszakach wciąż są jej suknie, bluzki, kostiumy. W pierwszym odruchu, po wyjeździe Katarzyny, chciałem to wszystko wrzucić do plastikowych worków i upchnąć w piwnicy, ale później mi przeszło. Wyparowały zapachy, skojarzenia.

Widzę kątem oka, jak otwiera dużą białą szafę i zastyga na moment. Potem, niby we śnie, dotyka wełen, jedwabi, żakardów. Pewnie widzi siebie w błękicie na Balu Gałganiarzy, w turkusowym kostiumie na kolacji u Szmidtów, w kretonowej bluzce na wycieczce do Włoch. Ból jest zbyt nagły, by mogła go ukryć.

Trochę mi żal Katarzyny, ale nie tej.

Chcę do Li. Rzeczywistość jest gwałtowniejsza od wspomnień. Po diabła zgodziłem się na spotkanie z Katarzyną, jeżeli nie mamy już sobie nic do powiedzenia?

– Nie ma beżowej bluzki z angory. Tej, którą kupiłeś mi w Budapeszcie.

One pamiętają takie głupstwa. Zamiast pamiętać najważniejsze. Są szczęśliwsze od nas, chłopów.

– Mole ją zjadły – wyjaśniam.

– Byłam w niej na twoim wernisażu w Malborku, później pojechaliśmy do Gdańska na spotkanie w Klubie Aktora, pokłóciłam się z tobą o…

– Mole ją posiekały – przerwałem. – Musisz zrobić porządek z ciuchami, nie mogą tak wisieć.

– Kiedy ona się tutaj wprowadzi?

Rośnie góra szmat na rozłożonym kocu. Te Katarzyna chce zabrać ze sobą do Paryża: wypłowiałe, zdeformowane, niemodne. Po co? Współczuję Kiejstutowi. W chwilach melancholii będzie patrzyła na nie i wspominała, jak zaśpiewałem jej pod Belwederem arię z *Kniazia Igora*, tajniak zastąpił nam drogę, wylegitymował, spytał, co ma znaczyć „dajtie, dajtie mnie swobodu" – prowokacja polityczna?

Szmaty wspomnień, ogryzki pamięci.

Zadziwiające, jak bardzo ta kobieta podobna jest do Katarzyny. Ten sam uśmiech, ciepło w migdałowych oczach, wrażliwe nozdrza, smukłość szyi, delikatny rysunek uszu w połowie odsłoniętych przez falę bardzo gęstych, bardzo czarnych włosów, białych tuż u podstawy, pół milimetra od skóry: osiwiała, jak jej ojciec, zaraz po dwudziestce. Mylące podobieństwo do osoby, którą kochałem jak wariat.

Tamta osoba nie żyje. Jeszcze bardziej nie żyje, niż gdybym odwiedzał jej grób na powązkowskim cmentarzu. Nad grobem przywoływałbym jej obraz, rozmawialibyśmy bezdźwięcznie i wiedziałbym, że na mnie czeka w którymś z wymiarów. Bliscy umarli czekają na połączenie z jeszcze żywymi, inaczej życie nie miałoby sensu.

Gorzej, gdy bliscy odchodzą za życia. Wspomnienia nie zmartwychwstają.

Oglądam Katarzynę przemieszczającą wieszaki z ciuchami i przez krótką chwilę wydaje mi się, że to Li. Mgnienie radości, potem apatia. Na białą ścianę gabinetu rzucam obraz Li: miodowe wielkie oczy z pastelową mgiełką, cera śniada, cygańska, usta przyduże i rozchylone aż po różowość dziąseł pod górną wargą. Nos za szeroki, czoło nazbyt wypukłe. A razem – piękność. Trochę mroczna, trochę tajemnicza.

Wszystko we mnie rwie się do Li. Czuję w dłoniach owal jej bioder, owiewa mnie zapach włosów, ciepło oddechu. Żeby tylko nie oszaleć, nie zerwać się, nie krzyknąć.

Tracę czas. Nie wiem, ile sekund życia jeszcze mi zostało, ale każda sekunda bez Li jest bezsensowną stratą.

Katarzyna siedzi na podłodze, układa sweterki i płacze.

* * *

Cielęcina z grzybami.

Miśka siedzi mi na kolanach, obejmuje za szyję i gryzie w ucho. Demonstruje. Demonstracja jest wymierzona przeciwko eleganckiej babci Katarzynie, która czuje się tu jak w domu, a dom jest nasz, nie jej. Dlaczego każą jej Katarzynę nazywać babunią? Babunia to Zosia,

mama taty, która codziennie zabiera Miśkę na spacery. Ja jestem Tygrysek albo Słoń, zależnie od humoru Miśki: Tygrysek to pieszczoch, a Słoń ważniak, który każe iść spać. Pani w bieli to obca i Miśka nie da jej ryjka.

– Daj jej… – proszę szeptem.

– Nie dam! – wrzeszczy Miśka.

– Zabierze ci lalę – ostrzegam.

Dopiero wtedy Miśka podchodzi do Katarzyny i nadstawia policzek; czteroletnia dama, która robi łaskę z zimnego wyrachowania, ponieważ lala ma koronkową suknię, tańczy na parkiecie i śpiewa w niezrozumiałym języku – żal byłoby ją stracić.

Katarzyna rozmawia z Ilonką i Jackiem, opowiada o najnowszym projekcie Jeana Burceau, modnego paryskiego architekta, który wygrał konkurs na zabudowę wschodniego przedmieścia Menton.

– Przepiękne położenie, między San Remo, Niceą i Cannes, dwa kroki od Monako…

Jackowi błyszczą oczy, Ilonka słucha z rozchylonymi ustami. Zapomnieli o cielęcinie i grzybach. Ja nakładam sobie drugą porcję, przeżuwam z przesadnym entuzjazmem: cielęcina rozłazi się w ustach, grzyby jak z gumy, za długo duszone w szybkowarze. Nasza wina. Spóźniliśmy się przez tę lustrację ciuchów.

– Powiedz ojcu – mówi Ilonka.

Jacek przysuwa się do mnie, twarz mu promienieje.

– Będę pracować u Burceau! Mama załatwiła mi czteroletni kontrakt! Za miesiąc przenosimy się do Menton!

Same wykrzykniki. Mój zięć jest w siódmym niebie, od dawna ma dosyć projektowania letnisk dla sklepikarzy na Mazurach. Tam pokaże, co potrafi. Cannes, Monako, Nicea!

– Wyobraża sobie tato?

– Gratulacje. – Uśmiecham się z wysiłkiem. – Ale zaczekasz chyba na wynik konkursu w Toruniu, mówiono mi, że masz duże szanse, gdybyś wygrał…

– Żartujesz – przerywa mi Ilonka.

– Wyjedziecie wszyscy? Z Miśką? Na cztery lata?

– Będziesz nas odwiedzał – mówi córka.

– Tak – potwierdzam. – Na pewno.

Jacek mnie wyczuwa. Jest trochę zmieszany, jakby się wstydził tamtych wykrzykników. Tłumaczy, że u nas nie ma perspektyw, kraj boryka się z trudnościami, ambitny architekt nie może się popisać.

– Zagraniczni inwestorzy nie ufają nam, sprowadzają własnych projektantów, a tylko oni mają prawdziwe pieniądze. Burceau stawia na młodych, jeśli się sprawdzę, będę mógł działać z rozmachem…

Mówi, mówi, gestykuluje. Kiwam głową. Cielęcina klei mi się do dziąseł. Niebo za oknem napęczniałe, siąpi deszczyk, u sąsiadów ujada pies. Ilonka zabiera Miśkę do łazienki na kąpiel przed snem. Mała patrzy na mnie błagalnie, później ze złością:

– Ty Słoniu! Dlaczego spać?

– O tej porze idą spać wszystkie grzeczne dziewczynki – wyjaśnia Katarzyna.

– Gówno – mówi Miśka.

Ilonka tłumaczy się, że to są wyrazy z przedszkola. Woła Jacka na pomoc, cała trójka zamyka się w łazience.

– Chyba nie masz mi za złe, że zabieram ich do Francji? – mówi Katarzyna. – Talent Jacka nie powinien się marnować.

– Racja – przytakuję.

– Wiem, że będziesz tęsknił za Miśką, ale idzie o ich przyszłość. Dla Ilonki też załatwiłam pracę, w studiu scenograficznym.

– Ładnie z twojej strony.

– Masz do mnie żal. Boisz się samotności.

Triumf? Współczucie? Wzruszam ramionami, ze wstrętem przełykam ostatni kęs cielęciny. Gdybym posądzał Katarzynę o przewrotność, uznałbym, że zaplanowała osaczanie mnie, odcinanie korzenia za korzeniem. Odbiera mi przeszłość. Przyszłości jeszcze nie mam. Może nie będę już miał – wizerunek Li rozpływa się, faluje jak rozgrzane powietrze nad asfaltem.

– Marcin…

– Tak?

– Wciąż nie jest za późno.

Patrzy na mnie tamtym spojrzeniem sprzed lat, zalęknionym i pytającym. Więc jednak szantaż. Ultimatum. Znajomi mówią, że nie układa jej się najlepiej z Kiejstutem. Narcyz, coraz więcej pije, zamęcza ją zazdrością. Mówią, że zazdrosny jest o mnie; u przyjaciół, po wódce, kpi z Katarzyny, dogryza jej, zabrania wyjazdów do kraju: „Do Marcina ją ciągnie, nie może zapomnieć tego dziwkarza, artysty pożal się Boże” – i wylicza moje dawne kochanki, przyjaciółki, sympatie, wyłuskane z plotek: „Zdradzał ją na lewo i prawo, a ta aż się trzęsie! No, czym ci tak dogadzał?”. Znajomi dbają, bym dowiadywał się o każdej takiej scenie. Chcą dobrze. Uważają, że powinniśmy do siebie wrócić.

Wróciłbym, gdyby żyła?

Teraz już nie. Prawdziwa śmierć jest wtedy, gdy ludzie umierają dla siebie. Li Tomankową kocha zupełnie inny Marcin, nie ten, który kochał Katarzynę. Tamtego nie ma.

Ciekawe: nigdy tak nie tęskniłem do Li jak właśnie teraz, słuchając Katarzyny, patrząc na nią. Szczególny katalizator.

– Zostaniesz tu na noc czy odwieźć cię do hotelu? – pytam.

– Możesz nie być ze mną, ale z nią się nie wiąż. Jest za młoda dla ciebie. Trzydzieści lat różnicy.

– Co cię to obchodzi? – pytam uprzejmie.

– Boję się o ciebie. Nigdy nie będziesz mi obojętny. Nie chcę, żebyś cierpiał.

– Mam wprawę.

Nie dostrzega ironii. Wpatruje się we mnie z napięciem.

– Tomankowa kocha męża, tylko męża. Wystawia go na próbę, ty jesteś narzędziem szantażu. Masz być straszakiem, żeby przestał ją zdradzać.

Muszę zacisnąć pięści, by nie pokazać po sobie, co czuję. Mdli mnie po cielęcinie. Z łazienki dobiega śmiech Miśki, pluskanie wody w wannie.

– Co za brednie – rzucam przed siebie.

– Mam nadal przyjaciół w Krasnogaju, wiem wszystko o was. Tomankowa ryzykuje, idzie na całość, ale walczy o Darka. Dlaczego nie odchodzi od niego, jeśli kocha ciebie? Dlaczego nie ukrywa, że jest z tobą?

– Dobranoc.

Podnoszę się z krzesła. Energicznym ruchem Katarzyna zmusza mnie, bym usiadł.

– A on wie, że ze sobą sypiacie, i nic sobie z tego nie robi. Są tacy mężczyźni. Tacy mężowie. Całkowicie wyzbyci uczucia zazdrości. Łóżko traktują rozrywkowo i chcą, aby partnerka życiowa podobnie traktowała seks, wtedy małżeństwo staje się prawdziwie partnerskie.

– Spotykałaś takie małżeństwa? – pytam z ironią i raptem zdaję sobie sprawę, że sam spotykałem takie pary: osobno łóżko, osobno wspólnota interesów, koleżeńskość, przyjaźń. Seks jak taniec. Ty z blondynem, ja z brunetką. Potem kąpiel. Po sprawie.

– My jesteśmy inni. Nie zrozumiemy. Ale trzeba przyjąć do wiadomości, że tak bywa. To są, zresztą, udane na ogół małżeństwa, oddani partnerzy.

– Li taka nie jest – wyrywa mi się.

– Dlatego walczy z Tomankiem – potwierdza Katarzyna. – Ale on wygra i ona się w końcu pogodzi. Już są blisko finału. Ludzie widzą, że Darek sprzyja waszemu romansowi, z rozmysłem nie przeszkadza, usuwa się w cień. Dotychczas Tomankowa była czysta i to mu trochę przeszkadzało, teraz są już mniej więcej kwita. Gdy wasza przygoda się skończy, będą grali na cztery ręce. W kolejce do Li czekają cierpliwie Emir, Hrabia, Dziobaty. Doczekają się wkrótce. Tyle że ich Tomankowa nie będzie już kochać.

Eksplozja w mózgu.

Skąd Katarzyna wie to wszystko?

Ludzie donoszą. Kochają donosić: pod pretekstem współczucia, życzliwości, a w istocie po to, by sprawiać ból. Prawie w każdym czai się sadysta.

– Jesteś podła, Katarzyno.

– Wciąż cię kocham. Chyba nie uwolnię się od tego.

Myśl: jechać natychmiast do Krasnogaju. Będę tam za trzy godziny, nocą szosa jest pusta. Chwycić Li za ręce, zajrzeć jej w oczy i zapytać, czy to prawda. Błagać o prawdę. Powiedzieć, że nie zasługuję na taki ból, taką niepewność. Przyrzec, że zrozumiem, nie potępię. Nie będzie ani słowa wyrzutu. Wyobrażę sobie, że jestem nią, Tomankową, i nim, Tomankiem, wczuję się w grę między nimi, postaram się być obiektywny i sprawiedliwy. Przecież nie posądzę Li o cynizm ani o wyrachowanie. Wiem, że nie jestem jej obojętny, ale w gradacji uczuć są miejsca pierwsze i drugie. W moje ramiona mogła popchnąć Tomankową rozpacz, przemieszana z potrzebą odwetu. Człowiek nie zna siebie do końca. Być może chciała nawet wyzwolić się, uwolnić od miłości do męża, wyplątać z cierpień, jakich przysparza ciągła zazdrość i poniżenie. Ale nie wyszło. Bo gdyby wyszło, odeszłaby od Tomanka, nie szukając pretekstu, nie litując się i nie zwlekając. Kobieta, która kocha, nie potrafi się litować: miłość nie zna miłosierdzia. Dowodem na to, że Katarzyna ma rację, jest trwanie Li przy Darku. A ja jestem ślepcem. Oślepionym głupcem, chorym na naiwność. Starym samotnym mężczyzną, który wierzy temu, w co chce wierzyć.

Jadę!

Nie jadę. Tej nocy Tomanek jest w domu. Nie będę mógł porozmawiać z Li.

Ale mogę pomówić z Tomankiem. Wyciągnąć go na przechadzkę i prosto z mostu wywalić całą sprawę. Wiesz o wszystkim? No to zróbmy z tym coś. Chodźmy razem do Li i zapytajmy, którego z nas kocha. Z kim chce być na zawsze.

Przysiągłem Li, że nie będę mówił z Darkiem, póki ona mi na to nie pozwoli. I że nie będę jej pytał, dlaczego musimy czekać.

A przecież pytałem ją o to setki razy. Odpowiadała milczeniem; drżenie, smutek w oczach, tajemnicza bezradność, błagalny uśmiech: „Bądź cierpliwy, wytrzymaj, jeszcze trochę”.

Co teraz robi? Leży obok Tomanka w szerokim podwójnym łóżku z kolorową pościelą? Wyjechała na wezwanie do chorego dziecka? Czy pije szampana w letniej rezydencji Emira Mrożonych Owoców, przysłuchując się rozmowom o kredytach, podatkach, dywidendach? Szampan u Emira bywa dobrze schłodzony, przedniej marki, często Dom Pérignon, bo ten Tomankowa lubi najbardziej, a Emir szaleje za Li. Plotkują w Skiroławkach, że Diana Emirowa ma bzika na punkcie męża i nie chcąc go stracić, sypia z kochankami Emira, a on ją za to bija

nocami do krwi. Ponoć oboje lubią bicie szpicrutą. Plotkują jeszcze w Skiroławkach, że Diana błagała Tomankową, by ta nie odbijała jej męża. Li mogła wówczas odpowiedzieć Emirowej, że kocha innego, ale nie powiedziała, ponieważ taką ma naturę, że musi być kobietą wszystkich mężczyzn, obiektem niespełnionych pożądań, prosiła natomiast Dianę, by ta doniosła jej o przyjaciółkach Tomanka – gdzie, kiedy, ile razy. Plotkują, że rozstały się przyjaźnie, coś sobie nawzajem przyrzekłszy. Co? To pozostaje jedynie w sferze domysłów plotkarzy ze Skiroławek, a domysły bywają tam fantastyczne…

Oszalałem. Przydałby się lodowaty prysznic, ale łazienka zajęta. Miśka pływa w wannie.

Czy to prawda, że inżynier Tomanek igra z ogniem, napuszczając na żonę różnych lokalnych amantów? Że i na mnie ją napuścił?

Stoję naprzeciw Katarzyny. Za oknem już noc. Obłęd przygasa, znowu zaczynam być sobą.

– Tęsknię za Li – mówię cicho do żony. – Jeszcze nigdy tak nie tęskniłem jak w tej chwili.

Chcę, by okazała mi przyjaźń, zechciała życzliwie wypytać, wysłuchać, doradzić. Zawsze była moim przyjacielem.

Ale nie w takich sprawach.

Dlaczego?

Nie mogę się przyznać, że wprawiła mnie w zamęt, poraziła strachem. Wyobraźnię mam chorą. Zwichrowaną. Taki fach: artysta rzeźbiarz. Czego nocą nie wyśnię w przerażeniu, tego w dzień nie wyrzeźbię.

– Że też musiało cię to spotkać na stare lata – słyszę.

Nie mam lat. Jakbym dopiero co się narodził, jakbym świeżo wszedł w wiek chłopięcy. Jeszcze nie widać zmarszczek ani siwizny, jeszcze nie mam brzucha, w palcach wyginam monety, biegam bez zadyszki. Chyba zawdzięczam to Li, o której mówią, że czarownica – zdejmuje kurzajki, uroki odczynia, dzieci uzdrawia spojrzeniem, kiedy w miejscowej aptece zabraknie antybiotyków. Mnie wyleczyła z bólu kręgosłupa, dotykając palcem bolesnego miejsca – aż mi się w głowie zakręciło od dotknięcia, jakbym nożem dostał w plecy. Sekunda i po wszystkim.

– Co mam zrobić, żeby została ze mną na zawsze? – pytam Katarzynę.

– Dlaczego ze mnie drwisz?

Nie rozumie. Nie znajdę u niej pocieszenia ani dobrej rady. To nie moja Katarzyna, tylko obca kobieta podobna do tamtej. Moja nie odeszłaby z Kiejstutem, nie porzuciłaby z bezwzględnością samicy, samego we wrogim świecie.

Już jestem pozbierany. Uśmiecham się ciepło. Przepraszam.

Na dworze deszcz, nieprzyjazna ciemność.

* * *

Dzwoni córka. Jest już po północy; dwie szklanki spirytusu z sokiem jabłkowym, a senności ani śladu, pod powiekami komety, aureole. Czekałem na telefon od Li, czasem dzwoni do mnie w nocy, gdy bardzo tego pragnę, ale tym razem nie zadzwoniła. Pewnie Tomanek w domu. A przecież mogła zatelefonować, zawsze wyczuwa, kiedy bardzo jej potrzebuję, i powiedzieć: „Wiesz, Marcin, żyć bez ciebie nie mogę, mam już dosyć tej szamotaniny, Darek wie wszystko, czy mógłbyś po mnie przyjechać? Tak, natychmiast".

Starczyłoby samo „Marcin". Moje imię jest kluczem do tajemnicy. Gdy je wymówi na głos, będziemy już ze sobą na zawsze.

– Nie gniewaj się, tato. Mama chce dobrze dla nas.

– Tak, tak – potwierdzam. – Na pewno.

– Nie możesz być aż takim egoistą, to dla nas los na loterii, tutaj Jacek nie może rozwinąć skrzydeł. W Menton jest cudowny klimat, coś wspaniałego dla Miśki. Pomyśl o Miśce.

– Myślę.

– Mama nie zabiera ci nas. Wiesz, jak cię kocham.

– Ja też was kocham – mówię tonem prawie pogodnym. – Cieszę się, że pojedziecie do Francji. Będę was tam odwiedzał.

– Dlaczego się wściekasz? To nie jest przeciwko tobie!

– Histeryzujesz, Ilonko – mówię tonem jeszcze pogodniejszym i dopijam resztę drinka ze szklanki stojącej na podłodze przy łóżku. – Będę spędzał u was wakacje, przepadam za południową Francją.

– Tato?

– Słucham.

– Mama już wie, że chcesz z nią być, tylko ambicja ci nie pozwala. Ona też chce być z tobą. Przestańcie się wreszcie wygłupiać.

Śmieję się do słuchawki. Jest mi naprawdę wesoło. Teraz już jest. Wyobrażam sobie sielankę na Lazurowym Wybrzeżu, cztery kolorowe materace na słonecznej plaży, Miśkę baraszkującą między nami.

– Mama ci powiedziała? – pytam. – Oj, papla z tej mamy, popsuła niespodziankę.

– Cyniczny się zrobiłeś. Dawniej nie byłeś taki. Jeśli kochasz Miśkę i mnie, pozwolisz mamie wrócić do domu. Nie widzisz, jaka jest nieszczęśliwa, jak bardzo ciebie kocha? Ty też ją kochasz.

Kocham, kochasz, kocha, kochamy. Nie ma domu, jest mieszkanie. Nikt nie jest nieszczęśliwy. Tylko pustka.

– Dobranoc, córko.

– Ty byłeś zawsze w porządku? Pamiętam z dzieciństwa, jak znikałeś z domu na całe tygodnie i mama płakała ukradkiem. Ten jeden raz

mógłbyś jej wybaczyć. Ja też wybaczyłam Jackowi Monikę. I dobrze jest między nami.

– Nie ma niczego do wybaczenia. – Nareszcie chce mi się spać, głowa coraz cięższa. – Bardzo się z mamą lubimy, chyba to widzisz. Dobranoc, Ilonko.

– Nie jedziesz jutro do Krasnogaju?

– Jadę.

– Tato, proszę cię, opuść ten czwartek. Mama odlatuje w piątek rano, bardzo chce, żebyś był na lotnisku. Zrób to dla mnie.

– Pomyślę – przyrzekam.

Odkładam słuchawkę, deszcz młóci w parapet. Wywołuję obraz uśmiechniętej Li i zasypiam z jej wizerunkiem pod powiekami.

* * *

Jestem niesprawiedliwy. Jak mogę posądzać Li, że gra ze mną o męża? Nie mam prawa do podobnych przypuszczeń. Kobiecie trudno przejść z jednego życia w drugie, stąd męka, ale prawdziwe uczucie musi zwyciężyć. Będziemy w końcu razem, będziemy szczęśliwi. Trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość. Moja wada: już, natychmiast, wszystko. Zawsze taki byłem. Tutaj jednak muszę zdobyć się na wyrozumiałość, pozwolić, by owoc dojrzał. Najważniejsze sprawy w naszym życiu rozwiązują się same. Mam dosyć lat, aby o tym wiedzieć: niczego nie przyspieszę, nie wymuszę swoją niecierpliwością.

Nasze śniadanie w Bristolu: kawa, rogaliki, dżem. Katarzyna ma na sobie dżinsowy kostiumik podobny do tego, który przywiozłem jej przed ćwierćwieczem z Holandii. Wygląda dziewczęco; należy do fenomenów odpornych na rylec czasu, u kobiet jest to rzadkość, zakodowana w genach, wsparta kunsztem kosmetyczki, fryzjera, masażystek. Li nie jest tak doskonała. Nie musi. Biologiczna młodość nie potrzebuje wsparcia eliksirów, ma własny kolor i zapach. Za kilka godzin spotkam się z Li. Jeśli na szosie nie będzie tłoku, potrzeba mi na to mniej niż trzech godzin. Pójdziemy nad jezioro. Będę całował jej włosy, oczy, ramiona.

– Ładny kostium?

– Chyba miałaś podobny.

– To ten sam, znalazłam go wczoraj w szafie, całkiem dobrze leży.

– Masz świetną figurę – mówię z uznaniem.

– Przywiozłeś mi go z Holandii, pamiętasz? Wtedy mnie kochałeś.

– Wciąż cię kocham.

– Po co kłamiesz?

– Nie kłamię.

Aby zrozumiała, powinienem wyjaśnić, że nadal kocham tamtą Katarzynę, tę, której już nie ma, ale to bez sensu. Kobietom nie mówi się takich rzeczy.

– Zawsze kłamałeś. Miałeś pełno kochanek, ja byłam ci tylko potrzebna jako żona, matka, powiernica. Przychodziłeś do mnie żalić się na los, kiedy coś ci nie wychodziło.

– Często mi nie wychodziło. – Uśmiecham się. – I tak zostało do dzisiaj.

Niespełnienia. Każdy z nas jest tego pełen. Pamiętam, jak zamęczałem Katarzynę po wódce swoim rozgoryczeniem, gdy przegrywałem kolejny konkurs na pomnik, nie dostawałem nagrody na wystawie, czytałem o sobie drwiące recenzje krytyków. Klątem, że muszę być wyrobnikiem, żeby zarabiać na dom. Władek Hasior nie miał domu, nie miał potrzeb, tworzył swoje cuda w mrocznej zakopiańskiej suterenie i zadziwiał świat przewrotną wyobraźnią – płonące skrzypce, powieszone anioły, kapliczki w chlebie. Wszyscy podziwiali, nikt nie kupował. Ja musiałem sprzedawać, więc spisywałem kontrakty z Cepelią i trzaskałem masówkę dla publiczki, a potem wyłem z wściekłości, że marnuję talent. Może go nie miałem? Talentu nie da się zadusić przeciętnością, zawsze wyjdzie na wierzch. O mnie z początku mówiono, że ciekawie się zapowiadam. Zaraz po studiach miałem lepszą prasę niż Hasior. Byłem pełen pomysłów. Żadnego nie wykonałem do końca, ponieważ musiałem się spieszyć, w naszym domu niczego nie mogło brakować, tak sobie postanowiłem.

Może nieprawda? Może bez sensu dręczyłem Katarzynę, że to przez nią, przez dziecko? Może szłoby mi jeszcze gorzej, gdybym nie spieszył się, dając upust przerośniętym ambicjom, niewspółmiernym do możliwości? Tak mogę przynajmniej łudzić się, że zmarnowałem talent. Bez konfrontacji.

Nie ma co narzekać. Nawet w Paryżu mnie kupują. Pierwszorzędni krytycy piszą o młodych, od drugorzędnych zbieram pochwały. Nawet jestem modny w salonach nowobogackich. Lepszy już nie będę.

Katarzyna o tym wiedziała. I nigdy, nawet w kłótni, nie powiedziała mi, że mierzę za wysoko. Przeciwnie: dla niej zawsze byłem geniuszem, o krok od podboju świata.

Nie umiałem tego docenić. A przecież doceniałem w podświadomości, skoro była mi bliska, najbliższa, jak nikt inny, nawet ja sam.

– Ty też jesteś mi najbliższy – słyszę.

Nadal czyta w moich myślach. Może to Katarzyna? Nie jej replika? Śmieję się półgłosem, dopijam kawę, hotelowa kawiarnia napełnia się gośćmi.

– Marcin, ja nie mogę być z nim dłużej. Pustka, aż dzwoni w uszach. Czy ty nie rozumiesz, że jesteśmy sobie potrzebni? Tylko ze mną możesz się zestarzeć. Tylko z tobą mogę być bezpieczna. Należymy do siebie.

Patrzy na mnie z lękiem, pytająco. Gniecie papierową serwetkę, drze na drobne strzępy, które jak śnieżek sypią się na parkiet. Moja Kaśka, żadnych wątpliwości. Taka sama jak czterdzieści lat temu, gdy pierwszy raz pocałowaliśmy się na Agrykoli pod posągiem kamiennego jeźdźca.

– Masz przy sobie bilet lotniczy? – pytam. – Pokaż.

Otwiera torebkę i podaje mi blankiet Air France. Biorę go w dwa palce, zginam.

– Coś ty!…

– Już niepotrzebny – mówię, szykując się do przedarcia. – Chodźmy na pocztę. Wyślesz do Kiejstuta telegram, że nie wracasz.

Trzepotanie rzęs. Przyspieszony oddech.

– Tak… od razu?

– A na co mamy czekać? – pytam, zginając bilet we czworo. – Wtedy też się nie namyślałaś, odeszłaś od razu.

Jeszcze chwila i rozedrę blankiet. Twarz Katarzyny nieruchomieje.

– Nie bądź dzieckiem – słyszę. – Mam podpisany kontrakt z producentem, różne sprawy do załatwienia, wszystkie moje rzeczy, pieniądze w banku, kilka ważnych spotkań… Wiem, że żartujesz. Żartujesz, prawda?

Pomyliłem się, to nie jest Li. W głowie mi się kręci, trochę tu duszno. Z pewnym trudem zdobywam się na śmiech, oddaję bilet Katarzynie, a ona szybko chowa go do torebki. Ludzie patrzą na nas. Na nią patrzą, poznają, jej film wszedł tu niedawno na ekrany. Kilku panów schyla głowy w ukłonie, Katarzyna odpowiada skinieniem, nie przestając wpatrywać się we mnie – czujnie, badawczo.

– Nic podobnego. – Uśmiecham się z ulgą, już bezpieczny. – Przecież wracasz do mnie.

– Tak… Dziękuję ci. Ma się rozumieć. Załatwię tylko swoje sprawy, spakuję się…

– Po co? – przerywam. – Tu masz wszystko.

– A kontrakt?

– Zapomniałem, przepraszam. – Robię skruszoną minę. – Wrócimy do tego, kiedy nakręcisz film. Muszę już iść, Katarzyno.

– Jedziesz do Krasnogaju?

– Tak.

– Do niej.

– Do niej – przytakuję. – Dziś czwartek, to nasz dzień, muszę się spieszyć.

Katarzyna ponad stolikiem pochyla się w moją stronę i patrzy mi prosto w oczy.

– Ty skurwysynu – mówi szeptem. – Ty świnio, ty podły bydlaku. Ty brudna śmierdząca szmato.

Jestem szmatą, bydlakiem, skurwysynem. To ty zrobiłaś ze mnie połamańca. Za co? Jaką krzywdę ci wyrządziłem? Gdybyś widziała mnie wtedy pod choinką, wyjącego do twoich fotosów, całe szczęście, że nie widziałaś, ocalę przez to choć trochę godności. Zanim umarłaś we mnie, poszarpałaś mi wszystkie wnętrzności, całą krew wypiłaś. Za co? Jak mogłaś odejść tak łatwo, jak łyżwiarz na ślizgawce, nawet nie obejrzawszy się za siebie? I jeszcze śmiesz myśleć, że żyjesz.

– Przepraszam, kochanie. – Uśmiecham się do Katarzyny. – Głupstwa plotę, głowę ci zawracam. Zapomnij.

Wstaję, wyciągam rękę. Katarzyna nie widzi jej. Obejmuje mnie za szyję, całuje w policzek.

– Marcin, to nie tak. Nie tak, słyszysz? Bądź w piątek na lotnisku. Przyrzeknij.

– Będę.

– I powiedz, żebym została. Powiesz?

– Będę na lotnisku – przyrzekam.

* * *

Jezioro podpływa prawie pod próg chaty, oddziela je tylko kilkumetrowa smuga zieleni, pomost i plątanina trzcin. Pomost wgryza się w płytką szarą wodę, z mułu biją w górę bąbelki powietrza.

Na wierzbowej gałęzi siedzi titawka miodooka: błękitne piórka przetykane bielą, purpurowa główka, koniuszki skrzydeł obrysowane turkusem. Zawsze przylatuje, gdy nadjeżdżam. Samotna, ciekawska. Obserwuje mnie okrągłymi oczkami w kolorze spadziowego miodu. Mogę jej pomachać na powitanie, zbliżyć się nie pozwala – odlatuje w panice.

W atlasach ornitologicznych nie ma miodookiej titawki. Zdaniem Hermana, zwanego tutaj Ptasznikiem z Tyrolu, bo kocha śledzić i podglądać mazurskie ptactwo, jest to unikatowy egzemplarz. Mutant, niespotykana krzyżówka, ponoć jaskółki ze słowikiem. To on ją nazwał titawką miodooką: o zachodzie słońca raczy nas melodyjnym trelem: tiii-taaa-tita-tiii. Pojawiła się na mojej wierzbie, gdy po raz pierwszy gościłem w swoim domu Li Tomankową. Odtąd przylatuje regularnie, zawsze przed jej przybyciem. Przypadek? Zwiastun?

Samo południe, deszcz przestał padać. Trawa błyszczy jak spryskana lakierem, jezioro staje się granatowe. Czekam. Tutaj tęsknię za Li

inaczej niż w Warszawie – niespokojnie, nerwowo, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Liczę sekundy odmierzane przez zegar przy piecu… O drugiej Tomanek zaczyna czwartkowy dyżur w elektrowni, o czwartej Li kończy przyjmowanie pacjentów. Kąpie się przez godzinę, czasem dłużej. Uwielbia pławić się w gorącej wannie, jej skóra chłonie parującą wilgoć, robi się różowawa pomimo śniadości i delikatna jak ciepły aksamit. Lubiłbym patrzeć, jak się kąpie, lecz nie pozwala mi na to. I tak widzę: małe piersi, chudziutkie ramiona, biodra wąskie jak u dziewczynki, smukłą, bardzo długą szyję. Włosy spięte w węzeł.

Po wyjściu z wody czesze je wielkozębym zielonym grzebieniem, owinięta w ręcznik. Czesze długo, aż zaczynają błyszczeć. Dużo razy prosiłem Li, by nie spinała włosów klamrą, ale ona nie lubi rozpuszczonych. Spięte, wyglądają ascetycznie, przylegają do małej główki jak czarny czepek. Pani doktor musi wyglądać skromnie i poważnie, spięte włosy mają dodawać jej powagi, ale jeden kosmyk i tak się wymyka, przecina lewą połowę twarzy, spada na ramię, wijąc się jak wężyk.

Mogłaby kąpać się krócej, czesać krócej. Nie zrobi tego. Jeszcze natrze się cała pachnącą pianką kremu i wskoczy na pół godziny do łóżka pod kolorową kołderkę. Musi się zdrzemnąć. Dlaczego musi? Dlaczego nie przyjedzie wcześniej? Przecież wie, że już jestem, że przemierzam izbę tu i z powrotem jak zwierz za kratą.

Przyjedzie dopiero o szóstej. Może później, jeżeli zjawi się matka z dzieckiem w gorączce. A ja czekam. W piecu już buzuje, za godzinę będzie gorący i w izbie zrobi się tak ciepło, że można paradować na golasa. Ale na to Li nigdy się nie zgadza. Gdy po kochaniu idzie pod prysznic, muszę zamykać oczy. Taka jest. Wstydliwość? Li powiada, że nie wstydzi się swojego ciała, ciało dla lekarzy to zwyczajność, a jednak nie pozwala mi patrzeć, i mądrze robi. Kobieca intuicja: niepatrzenie jest burzliwsze od patrzenia.

Rzeczywistość zawsze przegrywa z wyobraźnią.

Wynoszę przed dom mój wysłużony leżak z dziurami w wypłowiałym, niegdyś żółtym płótnie. Rozwalam się i czekam. Mam przed sobą wstrętnie długie czekanie, którego nie można ukoić patrzeniem na jezioro, słuchaniem ptaków, myślami. Myśli te same: jakie będą pierwsze jej słowa, kiedy wysiądzie ze srebrzyka i podejdzie do mnie? Jakie być powinny moje pierwsze słowa, by wyraziły wszystko naraz? Co będzie miała na sobie, czarny włochaty sweter i obcisłe legginsy czy spódniczkę mini i dżinsową koszulę z niedopiętym dekoltem? Różową klamrę we włosach czy tę czarną z szylkretem?

Titawka wciąż siedzi na wierzbie, tylko zmieniła gałąź. Ona też czeka na Li, nie zawsze, ale często. Są w jakiś sposób do siebie podobne, Li i titawka miodooka, nie umiem jednak uchwycić, na czym to

podobieństwo polega. Myślę, że rozwiązanie tej zagadki dałoby mi wiele.

Pierwsza dwadzieścia osiem. Jeszcze cztery i pół godziny czekania. Może wybrać się do pisarza, który mieszka w sąsiedztwie? N. będzie mnie wypytywał o Katarzynę, a ja nie chcę o niej opowiadać. Mógłbym mówić tylko o Li, ale później żałowałbym swoich wynurzeń. Im mniej o niej mówię z innymi, tym więcej zostaje dla mnie. Nie chcę z nikim dzielić się moją Li, najchętniej wyrwałbym ją z tego świata, ale gdzie jest inny? Wyznała mi kiedyś, że marzy o domu na wyspie otoczonej morzem. Wyspa musi być bezludna, tylko drzewa, ptaki i ciepłe fale morskie, przez cały rok nagrzewane żarem słonecznym. Tropik? Tak, tropik, żeby zawsze był upał. A ja? Co ty? Przecież nie żyłabyś tam sama. Dlaczego?… To „dlaczego?…" bolało mnie przez dłuższy czas, znaczyło, że nie jestem niezbędny dla Li, że swój świat wyobraża sobie beze mnie. Później próbowała nieudolnie się z tego wycofać, plącząc tropy. Lekki ból pozostał.

Pierwsza czterdzieści. Zza chmury wypływa słońce i robi się zielono. Może popracować? Do jutra muszę skończyć robotę, już niewiele zostało, kilka muśnięć dłutem. Prezent dla Katarzyny w rewanżu za krawat.

W stodole mam pracownię. Narzędzia, dużo kamieni, marmur, granit, piaskowiec. Zielone światło, w sam raz do roboty. Główka jest skończona, ale tych kilka muśnięć jeszcze by się przydało. Godzinka, dwie. Czas minie szybciej.

Wstaję z leżaka, przeciągam się w słonecznym ciepełku i wtedy właśnie na podwórko wtacza się wiśniowa mazda inżyniera Tomanka. Opalony, wysportowany, lniana grzywka spadająca na czoło. Ściska mnie wylewnie.

– Po drodze na dyżur. Dasz małego drinka?

Wynoszę mu na podwórko szklankę soku jabłkowego z dodatkiem spirytusu. On też to lubi. Sobie zmieszałem sok ze spirytusem pół na pół: coś będzie się działo.

– Byłem obok, wiesz… – Tomanek robi do mnie oko.

Wiem, Juanita, inaczej Józka Pszenna. Szaleje za pięknym Tomankiem. Wszystkie tu za nim szaleją: laborantka z Elbląga, Noemi ze Skiroławek, Diana Emirowa, wszystkie smarkate w Krasnogaju. Tomanek okazuje im serce. O wdzięku uroczego Dariusza opowiadają sobie panie aż w Gdańsku, ma podobno szczególne walory, cenione przez znawczynie.

– Na stole – śmieje się Tomanek – żeby nie tracić czasu. Przewróciliśmy cukiernicę, cały dywan obsypany cukrem.

Tomanek opowiada mi wszystko. Mnie jednemu. Ma opinię zamkniętego w sobie, tak myślą tu o nim wszyscy, nie wyłączając Li.

Dużo mówi – nic nie powie. Tylko ze mnie uczynił swojego spowiednika i muszę wysłuchiwać, kiedy jesteśmy sami, pikantnych historyjek. Dlaczego? Jeszcze nie wiem. Gdybym był przewrotny, pomyślałbym, że chce mnie w ten sposób rozgrzeszyć albo okazać mi swoją przewagę. Przewagę czy lekceważenie?

Lekceważenie dla moich związków z Li. Dla nas obojga, dla niej przede wszystkim. On ją ma. Do łóżka woli inne. Może jest mi nawet wdzięczny, że go wyręczam.

A jeśli prowokuje, podpuszcza, liczy, że jej powtórzę to wszystko? Li i tak by nie uwierzyła. W Juanitę, w Noemi, w Elkę z Hanką, w Dianę, w tuzin imion, które mógłbym wymienić, uzupełniając szczegółami. Zwłaszcza że sam mi wyznaje z kim, gdzie, kiedy, w jaki sposób.

Pijemy spirytus z sokiem, Tomanek się spieszy.

– Wczoraj był ciężki dzień, trzy zaliczyłem przed południem i dwie po południu, Li pojechała do Elbląga na konsultacje, chatę miałem wolną. Jak się ma Katarzynka?

– Jutro leci do Paryża.

Dariusz szczerzy swoje wspaniałe bieluteńkie zęby, klepie mnie po ramieniu.

– Jedno twoje słowo i gotowa zostać.

Zastygam.

Niemożliwe, aby rozmawiał z Katarzyną.

Możliwe. Zadzwoniła do niego. Dobrze się znają z czasów, gdy przyjeżdżaliśmy tu razem. Wiem, że próbował, ale mu nie wyszło, Katarzyna streściła mi wtedy jego zaloty, z pogodnym rozbawieniem. Miała doświadczenie z zalotnikami, dla znanej aktorki są chlebem powszednim.

Zadzwoniła, żeby spytać, co sądzi o moim związku z Li, czy się zgodzi, aby odeszła do mnie, jak wyobraża sobie dalszy bieg wypadków. Lubią się z Darkiem. Mogła mu powiedzieć, że rozważa możliwość powrotu, jeżeli mój romans z Li nie jest niczym serio.

Idę na całość.

– Co ci jeszcze nagadała? – pytam, opróżniając szklankę.

– Nagadała?…

Szczere zdziwienie. W tej chwili nie gra ze mną, czuję to.

– Miała zamiar zadzwonić do was – mówię. – Tęskni za Krasnogajem.

– Tu się żyje. – Tomanek kiwa głową. – Impreza za imprezą, nie można się nudzić. Jutro Emir urządza dyskotekę, może zostaniesz? Li by się ucieszyła.

– Muszę być na lotnisku.

– Szkoda. Poznałbym cię z Magdaleną, najdłuższe nogi na Mazurach, przyjechała tu do rodziny na wakacje, mieszka w Chicago. Naturalna

blondyna, wymiary miss, artystka! – Tomanek śmieje się, mruży oko. – Wpadła do mnie we wtorek na dyżur, Amerykanki nie mają zahamowań, przeleciałem ją na stojąco, całe plecy mam podrapane. Opierała się o transformator. Cały czas miałem pietra, że porazi ją prąd. Trzy razy bez wyjmowania, wyobrażasz sobie?

Śmiejemy się obaj. Tomanek ma zielonkawe skośne tatarskie oczy. Patrzy przed siebie, na mnie ani razu.

– Wesoło żyjesz – mówię.

– Kocham życie. – Tomanek wskazuje na wierzbę. – Co to za ptaszysko?

– Titawka miodooka – wyjaśniam. – Skrzyżowanie słowika z jaskółką.

– Nie ma takich krzyżówek.

– W naturze bywa wszystko, zapytaj Ptasznika z Tyrolu. Co byś powiedział na to, że kocham twoją żonę?

Wstrzymuję oddech. Skurcz mięśni w łydkach. Łomot serca, migotanie przed oczami. Nareszcie mam to za sobą.

Tomanek obnaża zęby w radosnym uśmiechu i po raz pierwszy spogląda na mnie, jakby nie dowierzał.

– Czy wyście powariowali? Hrabia, Emir, Dziobaty, teraz ty. Niech skonam, co wy w niej widzicie? Chudzina, wypłosz, sopel lodu. Zmówiliście się wszyscy?

– Jestem z nią.

– Nie żartuj – śmieje się Tomanek. – Li nie nadaje się do takich rzeczy, sto razy ją namawiałem, żeby się kiedyś zabawiła. Wymyśla mi od alfonsów. Jest wierna jak podwórzowy kundel.

– Ona się nie zabawia.

– No właśnie – potwierdza Tomanek, ciągnąc ze szklanki sok jabłkowy. – Chcę, żeby miała coś z życia. Cieszę się, że przyjeżdża do ciebie we wtorki i czwartki, dzisiaj też będzie, tylko spóźni się trochę, jakieś pół godzinki. Kazała cię przeprosić.

Idę do izby, nalewam sobie soku ze spirytusem, duszkiem wypijam, znów napełniam szklankę. Dariusz, na leżaku, nadstawia słonku swą chłopięcą twarz. Jemu też podaję szklankę wzmocnionego soku.

– Skąd wiesz? – pytam.

– Opowiada mi wszystko. Nazajutrz, po dyżurze, muszę wysłuchać relacji z całej waszej nocy. Imponujesz jej. Artysta, sławny, mąż Katarzyny, obieżyświat. Dla prowincjonalnej lekarki przeżycie.

– Więc myślisz, że Li opowiada ci wszystko?

– Czemu nie? Jesteśmy przyjaciółmi. Szkoda, że ja nie mogę opowiadać jej wszystkiego. Zazdrosna jak typowa samiczka. Co wieczór wylicza mi kochanki.

– A ty?

– A ja pękam ze śmiechu. – Tomanek szczerzy zęby. – Doradzam jej kurację psychiatryczną. Żonom łatwo wmawia się, jeżeli nie chcą uwierzyć. Gdyby nakryła mnie w łóżku z narzeczoną, przekonałbym ją, że robiłem panience masaż, bo zasłabła.

Pochylam się w stronę Tomanka, z dołu w górę zaglądam mu w oczy.

– W co ty ze mną grasz? – pytam półgłosem.

– Ja? – dziwi się Dariusz i głowę dałbym, że nie udaje. – O czym ty mówisz, Marcin?

Niechętnie podnosi się z leżaka. Musi już jechać do pracy, żałuje, fajnie mu ze mną. Przypomina, że Li się spóźni, jest umówiona z kosmetyczką.

– Człowieku, gdybyś ty wiedział, ile mnie kosztują te jej maseczki, masaże! Dziś walczy z wąsikiem, to już ten wiek.

Mazda wycofuje się z podwórka, mruga światłami na pożegnanie.

– Boguś, co Ty ze mną wyprawiasz? – szepczę, kierując twarz ku niebu. Jestem stary i głupi. Nikt z wiekiem nie mądrzeje, mądrym przychodzi się na świat. Pan Bóg osądził moje grzechy i skazał mnie na samotność. Katarzyna by to zrozumiała, znalazłaby słowo pocieszenia. Zawsze znajdowała, gdy byłem w potrzebie: kładła sobie na kolanach moją głowę i przeczesując włosy palcami pomniejszała kłopot, przepowiadała miłe rzeczy. Sprawdzały się prawie co do joty. O niej też mówiono, że jest czarownicą, co zapowie, to musi się stać. Ja nazywałem Katarzynę dobrą wróżką.

Szkoda, że nie żyje.

Samotność nie jest taka straszna, można się do niej przyzwyczaić jak do dzwonienia w uszach.

* * *

Najtrudniej wykuć uśmiech i wyraz oczu. Czarny granit nie chce odsłonić swoich tajemnic, opierając się moim rękom. Kobieca główka, wynurzająca się z kamienia, czuje lęk przed światłem.

Wszystko już jest: włosy, owal twarzy, nos zadarty z lekka, wargi pełne i rozchylone. Góra nieco wysunięta. Zmarszczki uśmiechu nie mogą być za głębokie, bo wychodzi smutek. My, rzeźbiarze, wiemy najlepiej, jak blisko smutku jest śmiech – o ruch rylca.

Najtrudniej z oczami. Migdałowo wycięte, półprzysłonięte powiekami, w których czuje się senną ociężałość. Jak oddać skrywany lęk? I jeszcze niepokój, pytanie, nadzieję, trochę bólu? Jak to wymieszać i ożywić?

Ostatnie pociągnięcia rylcem. Głuchy stukot drewnianego młotka. Przez otwarte wrota stodoły wpada zielonkawe słoneczne światło. Kiedy podnoszę głowę, widać pofałdowaną szarość jeziora, wierzbę, titawkę miodooką na dolnej gałęzi. Czeka na Li. Dziobem czyści piórka.

Li nigdy nie była titawką, była kocicą w którymś ze swoich dawnych wcieleń. To ja byłem ptakiem. Ale nie kolorowym, tylko czarnym, z drapieżnym dziobem i zachłannymi szponami. Polowałem w puszczy na titawki miodookie, których wtedy nie brakowało. Wypatrywałem swoich ofiar, szybując wysoko w niebie.

Na warsztatowym blacie stoi w srebrnej ramce fotografia Katarzyny, zrobiona trzydzieści lat temu. Przyrzekłem wtedy, że ją wyrzeźbię, a ona dała mi to zdjęcie na wzór. Nie wyrzeźbiłem. Znam sekret kamienia. Gdybym ją wówczas wykuł w granicie, coś by się skończyło.

Teraz się kończy.

Ze srebrnej ramki patrzy na mnie promienna miodooka Li.

* * *

Dlaczego człowiek przez całe swoje życie wraca do tej samej kobiety? Żadna nie chce być tamtą i każda jest. Natura doskonali model, poprawia szczegóły. W kolejny egzemplarz wszczepia męskie marzenie. Czasem robi błąd: na oko to samo, a jednak nie to, inaczej. Może nie błąd, tylko zamierzona korekta, kara za grzechy? Ale czas zawsze jest w porządku – ten zapisany w pamięci, odbity na fotografiach. Li ma dzisiaj tyle lat, ile miała wtedy Katarzyna.

Zaraz przyjedzie, już dochodzi siódma.

Muszę ułożyć powitanie. Żadnych min ponurych, żadnych grymasów. Nie wolno zapytać, dlaczego opowiada mężowi nasze noce. „I to, że krzyczysz, kiedy kończę? Że nie wymawiasz nigdy mojego imienia, aby czasem się nie pomylić, nie nazwać mnie Darkiem?" Nic z tych rzeczy. Ma być uśmiech, mają być wyciągnięte ramiona. Cześć, słoneczniku. Witaj, Kitka. Jak się masz, maleństwo. I coś w rodzaju: spalam się, czekając na ciebie, mózg mi dęba staje, gdzie ty się pętasz, diablico?

Może nieprawda.

Może będziemy żyli ze sobą długo i szczęśliwie.

Może nie kocha Tomanka, tylko mnie.

Kwadrans po siódmej. Li nie czuje czasu. Użera się z minutami, gubi je, przesiewa przez palce i nie potrafi zdążyć. Strumień sekund osacza ją w kąpieli, dopada przy lusterku, ściga w przychodni. Pacjenci muszą się wyżalić, wyrecytować listę nieszczęść, katalog dolegliwości. Doktor Tomankowa słucha cierpliwie. Współczuje. Współczucie także zabiera czas, a jeszcze badanie, a jeszcze ciśnienie zmierzyć, recepty wypisać,

dać skierowanie do specjalisty rejonowego. Ma reputację dobrego lekarza, jej diagnozy są prawie zawsze bezbłędne. Wiedza, praktyka, intuicja, czary, nie wszystko jedno? Kiedy leki zawodzą, doktor Tomankowa kładzie czasem płaczącemu dziecku dłoń na rozpalonym czole i gorączka znika. Prawda czy bajki? Wszystko jedno.

Siódma trzydzieści. Ilu jeszcze pacjentów w prywatnej poczekalni? Przecież ich nie wyrzuci, musi wszystkich przyjąć. Czas Tomankowej należy do chorych. Ale ja też jestem chory, ciężko chory na Tomankową, aż mi mózg staje dęba, spalam się jak ogarek.

W izbie ciepło od nagrzanego pieca. W oknie jezioro. Wierzba. Titawka na gałęzi, cierpliwy ptaszek.

Wychodzę przed dom. Chłodek od wody, szuwary szeleszczą, powietrze ciemnoniebieskie. Tiii-taaa-tita-tiii – szczebiocze miodooka z nagłym ożywieniem i po chwili na podwórko wpada srebrzyk, staje przy studni. Li za kierownicą: krucha, zwiewna, z kosmykiem przez lewy policzek.

Czekam nieruchomo, aż wysiądzie. Potem uśmiech, wyciągnięte na powitanie ramiona, tak jak to sobie postanowiłem.

– Cześć, słoneczniku.

Mam sucho w gardle. Już tęsknię. Na zapas. Jutro o tej porze będę daleko od Krasnogaju. Rozstaniemy się na zawsze.

Za każdym razem rozstajemy się na zawsze.

Postanowiłem, że ta noc będzie pogodna, bez wyrzutów, nacisków, pogróżek, zaklęć. Tylko pocałunki. Pieszczoty i miłość. Trochę śmiechu w przerwach między jednym kochaniem a drugim, parę ciepłych żarcików, sok jabłkowy ze spirytusem, muzyka z radia. Żadnych planów na przyszłość. Żadnych nalegań. I ani słówka o rozmowie z Tomankiem – to najważniejsze, jeżeli mam nie popsuć naszej czwartkowej nocy.

– Jak się masz, Kitka.

Biorę Li na ręce, jest leciuteńka jak oddech. Powoli i bardzo delikatnie dotykam wargami jej ust. Nigdy nie wiem, czy odpowiada pocałunkiem na pocałunek, nie da się tego wyczuć. Tylko ciepła miękkość, zapach ciała.

Zanoszę ją do izby, sadzam w fotelu i klękam obok. Kładę ręce na kolanach Li.

– Nie mogłam wcześniej.

– Nie mogłaś – przytakuję. – Kocham cię, słoneczniku.

Li gładzi mnie po włosach, prawie nie dotykając, opuszkami palców. Jest blada, oczy ma podkrążone.

– Już nie kochasz – słyszę. – Widziałeś się z Katarzyną.

Wychodzę, żeby zamknąć bramę, zaryglować furtkę. Płotek jest niziutki, dziecko by mogło przeskoczyć, ale zamknięta brama daje poczucie bezpieczeństwa: jesteśmy odcięci od świata. W Krasnogaju

szanuje się zaryglowaną bramę. Dobijać się wolno tylko w nagłych przypadkach.

Li nie zmieniła pozycji, siedzi skulona w płóciennym fotelu. Napełniam sokiem jabłkowym dwie wysokie szklanki, dolewam po pięćdziesiątce spirytusu, wrzucam lód. Tym razem faktycznie możemy się rozstać. Groźba wisi w powietrzu. Ona zapewne o tym nie wie, chyba że Tomankowie grają wspólnie. Nie można wykluczyć. Niczego nie można wykluczyć, choć ufam Li jak samemu sobie. Ale i sobie nie powinienem za bardzo ufać. Tylko w tej chwili; za moment, z nagła, może ogarnąć mnie mroczny gniew, a wtedy staję się nieobliczalny.

– Niczego to nie zmieniło – mówię, podając Li szklankę z napojem i znów klękając przy niej. – Katarzyna wraca do Paryża, wszystko skończone.

– Cierpisz.

Milczę. Bawię się dłonią Li, przesuwam po niej wargami, przykładam sobie do czoła, do oczu.

– Nawet nie próbujesz stać mi się tak bliska jak ona – mówię po pauzie. – Masz przede mną sekrety. Jesteś daleko.

– Nie kochasz mnie jak przedtem. Czuję chłód.

Nie ma chłodu, to tylko bezradność. Przeczucie niemożności. Już widzę siebie samego w ogromnym warszawskim mieszkaniu, cisza dzwoni, szary kurz na meblach. Na biurku biały telefon. Milczy. Siedem obrotów tarczą i mógłbym usłyszeć głos Li, ale nie mogę. Telefonują znajomi, nie chcę z nikim rozmawiać. Przeglądam album. Li na łódce, Li w srebrzyku przed moją stodołą, Li bada pacjentkę, czesze się przed lustrem, tańczy z Hrabią, zrywa goździk, leży naga na moim tapczanie. To ostatnie zdjęcie zrobiłem ukradkiem, gdy szybowała jeszcze w półzamroczeniu po naszej miłości; nawet nie spostrzegła błysku flesza. Fotografie nagrobkowe, powinienem je spalić. Nie mam na to sił. Nic mi się nie chce – spać, jeść, rzeźbić, wychodzić na spacer. Mogę tylko popijać spirytus z sokiem jabłkowym i kostką lodu. Świat wokół mnie zasypia, krąży coraz wolniej, zasnuwa się mgłą. Już nie tęsknię za Li. Ona umiera: blednie, rozpływa się, topnieje jak kostka lodu w szklance. Nigdy jej przy mnie nie było, przechodziła tylko obok, musnęliśmy się w przelocie. Ludzie wymieniają muśnięcia i rozpływają się w przestrzeni, jakby nie istnieli dla siebie.

Źle mi jest.

Nieprawda.

Tylko mdło i pusto. Nijako. Byle dotrwać, drzemiąc, kołysząc się na waciatych nogach, do końca w kolejce po nic.

– Chłód idzie z ciebie – mówię do Li. – Jesteś coraz zimniejsza.

Li przechyla się w stronę pieca, jakby to wzięła dosłownie, i dotyka palcami gorącego kafla. Wytrzymuje tak chwilę. Nie przeszkadzam. Musi

ją boleć, piec bucha żarem. Wreszcie odrywa dłoń, ogląda w skupieniu pobielałe palce.

– Dlaczego mnie stąd nie zabierzesz? – pyta cicho.

– Bo nie chcesz.

– Wiem, że wrócisz do Katarzyny.

Przenoszę Li z fotela na tapczan i zdejmuję z niej dżinsowy kombinezonik. Jakbym rozbierał Miśkę do snu. Zostaje w samych majteczkach, białych w błękitne kropki, z granatowym obszyciem. Drobne białe piersi kontrastują z opalenizną. Tym razem nie prosi, abym zamknął oczy. Smoliste włosy, uwolnione od klamry, rozsypują się na poduszce.

– Nie gniewaj się, słoneczniku. Powiem ci prawdę. Chcesz wierzyć, że wrócę do Katarzyny, ponieważ nie umiesz odejść od Tomanka. Jesteś z nim splątana jak pnącze z dębem. Chcesz być z Darkiem i zachować mnie, ale tego na dłużej nie da się utrzymać. Nie mogę dzielić cię z kimkolwiek. Mam dość udawania.

– Nie musisz.

– Ale udaję, nawet wtedy, gdy mówię prawdę Darkowi. Dzisiaj mu powiedziałem. – Patrzę na Li, jej twarz pozostaje nieruchoma, oczy półprzymknięte. – Już wie. Ode mnie samego, z pierwszej ręki.

– No i co? – pyta sennie Tomankowa.

– Ty mu wcześniej powiedziałaś. Ze szczegółami, noc po nocy, najintymniejsze.

– Przykryj mnie. Proszę.

Narzucam na nią pled. Kuli się pod nim, jakby miała dreszcze.

– Nie udał ci się odwet, prawda? – pytam z uśmieszkiem. – Darka to nic nie obeszło. Spodziewałaś się, mimo wszystko, że go zranisz, a tu nic. Na odwrót. Teraz dopiero dałaś mu rozgrzeszenie. – Leżę obok Li, ale jej nie dotykam nawet skrawkiem ciała. – Bywają tacy mężowie. Kochają swoje żony tak bardzo, że nie potrafią odmówić im kochanka.

Drwię. A ona milczy. Jakby mnie nie słyszała. Może śpi.

– Śpisz? – pytam.

– Jeśli chcesz, pojadę już do domu.

– Dlaczego? – dziwię się. – Teraz możesz się ze mną kochać bez wyrzutów sumienia. Twój mąż nie ma nic przeciwko temu. Jutro opowiesz mu, jak było.

– Jednak pojadę.

Wstaje, ruchy ma zwolnione. Nie przeszkadzam. Po omacku znajduje kombinezon, wkłada go, w izbie jest już ciemno, nie zapaliłem światła.

– Kocham cię – mówię przed siebie, patrząc w niewidoczny sufit – i to jest moje nieszczęście. Miałem w życiu dużo kobiet, ale nie kochałem żadnej oprócz Katarzyny. Teraz kocham ciebie, a jestem na to za stary.

– Kochasz Katarzynę.

– W moim wieku nie zaczyna się życia na nowo. Ty to wiesz lepiej niż ja. Dlatego nie zostawisz Darka.

– Nie chcesz być ze mną.

– Mów za siebie! – wybucham. – Czy ty mnie znasz? Nawet nie próbujesz poznać, zrozumieć! Gdzie twoje ciepło, twoje współczucie, szukanie drogi do mnie? Dlaczego nigdy nie zapytałaś, co mnie dręczy, kiedy patrzyłem w ziemię, milczałem, zaciskałem pięści? Wiesz, jak mam na imię? Pamiętasz je dobrze? Próbujesz odgadnąć, czego się boję, aby mnie przed tym chronić?

– Otwórz mi bramę.

Stoi w drzwiach. Widzę jej kontur w jaśniejszym kwadracie framugi. Nie ruszam się z miejsca, jeszcze nie skończyłem.

– Minąłby rok, może dwa – ciągnę. – Ogień przygasa, powinno zostać ciepło. O czym rozmawialibyśmy wieczorami? Te kilkadziesiąt lat, które nas dzieli, to granica światów. Twój świat nawet nie styka się z moim. Rozniecałabyś tylko moją samotność, a ja byłbym bezsilny. Nie nauczę się twojego języka. Umiemy mówić tylko o naszej miłości. Któregoś dnia temat by się wyczerpał. Co wtedy?

– Przestań rozmawiać ze sobą i otwórz mi bramę.

– Nie mamy nawet wspólnych wspomnień.

– Masz je z Katarzyną. Już zdecydowałeś, co zrobisz. Pozwól mi odjechać. Otworzysz bramę?

– Powiedz: „Marcin, otwórz mi bramę”.

Li milczy. Wstaję. Nagłym pchnięciem rzucam ją na tapczan, obejmuję, przywieram całym sobą…

– Ty głupia titawko – syczę jej do ucha – ty beznadziejna idiotko, zrozumiesz wreszcie, że cię kocham? Chciałbym uwolnić się od ciebie. Nie umiem. Nie będę umiał. Tak już musi zostać.

Zrywam z Li kombinezonik, aż fruwają guziki. Językiem wdzieram się w jej usta. Zęby stukają o zęby, zapiera mi oddech. Chciałbym wtopić ją w siebie. Wchłonąć. Połączyć ze sobą.

Po to Pan Bóg dał ludziom kochanie – namiastkę zespolenia w niepodzielną całość.

Później Li płacze. Leży na wznak. Z szeroko otwartych oczu płyną w dół po policzkach małe kropelki, błyszczą w świetle księżyca, który zagląda nam w okno.

Znowu ucieczka w kochanie.

I sen.

O czwartej rano Li wychodzi na palcach, żeby mnie nie obudzić. Myśli, że śpię.

* * *

Poleruję granit, wygładzam, żeby nabrał matowego połysku. Ostatnie poprawki. Przez wrota stodoły wpada białawe światło słoneczne, odbite od okien domu.

Przedtem patrzyłem na wschód słońca. Zawsze wschodzi inaczej, odmiennie zabarwia wierzchołki drzew na bindudze. Raz są żółte, raz różowe, kiedy indziej zieleń miesza się z purpurą. Dzisiaj były złotobłękitne, osnute pajęczą mgiełką. Słoneczna kula nie raziła oczu, unosiła się wolniuteńko jak balon na nitce. Woda nabierała przejrzystości. Wierzba na brzegu migotała lusterkami listków, szukałem w gałęziach titawki miodookiej, ale nie było jej. Na trawie obok studni zostały ślady kół srebrzyka Tomankowej.

Myśl ociężała i leniwa krąży wokół naszej ostatniej nocy. Może nie ostatniej; będę przyjeżdżał do Krasnogaju co któryś wtorek, bez zapowiedzi, z nadzieją, że siódmy zmysł podpowie Li moją obecność i że o zmroku zapuka cichutko do moich drzwi.

Albo nie zapuka. Może w swojej słabości okaże się silniejsza ode mnie i ulegnie Emirowi albo Dziobatemu, którzy nie będą jej stawiać żadnych warunków, żądać wyłączności, domagać się rozstania z Tomankiem. Pójdzie na dyskotekę. Da się objąć, później pocałować. Najchętniej na oczach Tomanka, fikającego z Juanitą albo z Noemi, albo z okulistką z Opoczna. Niech widzi, niech wie. Przecież widział, jak Li odchodziła z Hrabią na pomost i długo nie wracała, a mowy nie było o podziwianiu widoków w kompletnych ciemnościach. Gwizdał na to czy dygotał w środku? Nie rozgryzę Tomanka, naiwność ma opanowaną do perfekcji. „Nie znasz Li? Nie pozwoliłaby się dotknąć. Hrabia chciał jej opowiedzieć o swoim nieudanym małżeństwie, musiała go wysłuchać”.

Kiedy patrzyłem na słońce, przyszło mi do głowy, że Dariusz i Li mogą być zepsuci aż do perwersji i grać ze sobą na cztery ręce, bawiąc się nami: on przelatuje tuziny panienek, ona przeżywa tragiczną miłość. W wolnych chwilach opowiadają sobie epizod za epizodem i popijając szampana, zaśmiewają się do rozpuku. Tomankowie lubią się śmiać. Li przyznała mi się kiedyś, że jej najgłębsze cierpienie trwa trzy doby, czwartego dnia rankiem budzi się wyzwolona. Pamięć wydala ból. Ostaje się tylko to, co dostarcza zadowolenia. A u mnie na odwrót – wyznałem – w pamięci mam największego wroga. Stąd różne tiki, grymasy: z zaskoczenia dopada mnie nagle wspomnienie czegoś gorzkiego sprzed lat i nie mogę zapanować nad twarzą.

Para cynicznych zwyrodnialców, dla których ludzie są zabawkami? Metoda byłaby doskonała: on rozkochuje kobiety w łóżku, ona mężczyzn magnesem tajemniczości. Niezawodne chwyty. Mężczyźni lecą na tajemniczość, podnieca ich opór. Kobiety najszybciej zakochują się w łóżkach.

Bydlę ze mnie. Jak śmiem w ten sposób myśleć o Li? Ale ja tak wcale nie myślę, ani przez ułamek sekundy. Buduję sobie fortecę obronną. Będę się snuł po tej fortecy, obijał o mur, walił głową w gąbczaste ściany. Będę prosił Boga o sen bez widziadeł. Bez Li. I będę Mu wymyślał, jeżeli sprawi, że nie zobaczę jej we śnie.

Nieszczęście moje, udręko nieustanna, dlaczego musisz, jak złodziejka, wymykać się o czwartej rano?

A dlaczego ja będę gnał do Warszawy, żeby nie spóźnić się na lotnisko?

Najważniejsze dzieje się poza nami. Chwilami zdaje nam się, że mamy na coś wpływ: starczy tylko mocniej się odbić od ziemi i już wzniesiemy się w niebo. Byle nie próbować.

Zmęczony jestem. Mam za sobą wojnę, zesłanie syberyjskie, studenckie głodówki, jakieś indoktrynacje, wiarę i niewiarę na przemian, sto wzlotów, tysiąc upadków, sprzedawanie się, kupczenie, pychę i wstyd. Życiorys przygniata. Zrozumieć, choć nie rozgrzeszyć, może mnie tylko ten, kto żył równie długo. Coraz mniej jest takich. Nekrologi w gazetach – kronika towarzyska. Całe aleje znajomych na powązkowskim cmentarzu. Czego mógłbym spodziewać się po Li oprócz czasu teraźniejszego? A człowiek to przede wszystkim przeszłość. Nie mam szans na Li. Lepiej teraz wybić ją sobie z głowy niż brnąć w beznadziejność.

Granit z wolna ożywa. Twarz nabiera rumieńców, oczy blasku. Czuję pod palcami ciepło skóry, puls tętnicy szyjnej. Uśmiech jest skierowany do mnie, przekorny i zalękniony. Chyba mi się udała ta główka. Urodziłem ją w końcu. Trzeba tylko odciąć pępowinę.

Troskliwie owijam rzeźbę w białe lniane płótno, później w folię. Wkładam do tekturowego pudła i opatruję watą, żeby nie stłukła mi się w drodze, a przede wszystkim, aby ją Katarzyna dowiozła w całości do Paryża. Kiejstut nie będzie chyba zły. Ta główka liczy sobie trzydzieści lat, jest zapisem z przeszłości. Katarzyny już nie ma, przejął ją czarny granit. Tak jest zawsze z czarnym granitem. Pewnie dlatego ludzie używają go do płyt nagrobnych.

Wyłączam w domu elektryczność, spuszczam żaluzje, zamykam drzwi na oba zamki. W środku pozostał jeszcze zapach Li. Kiedy tu znowu przyjadę – za miesiąc? za wiele miesięcy? – nie będzie po nim śladu.

Należy siebie traktować z pokorą. Tylko jak ja będę żył bez Tomankowej?

* * *

Do Warszawy zajeżdżam wcześniej, niż się spodziewałem. Szosa była pusta, mój polonez dawał z siebie sto czterdzieści na godzinę. Chyba nigdy tak nie ciągnął. Wóz czuje właściciela, jest z nim w zmowie: potrafi kaprysić i płatać wredne figle, ale w szczególnych chwilach sprawdza się – doświadczyłem tego wiele razy.

Do spotkania z Katarzyną na lotnisku została mi przeszło godzina.

Listy w skrzynce. Same miłe wieści: propozycja udziału w wystawie na Cyprze, jakaś nagroda w Poznaniu, powiadomienia od kilku galerii o sprzedanych pracach. Trochę za późno. Jeszcze dziesięć lat temu bardziej bym się z tego cieszył, miałem wówczas w sobie potencjalny entuzjazm. Zdolność do entuzjazmu wysycha z wiekiem. Tak samo jak sztuka gniewu, buntu, rozpaczy. Nawet rwanie zęba boli już mniej.

Jest nadzieja, że przebrnę przez swoją klęskę. Pewnie przez czas jakiś będę pił więcej niż zwykle soku jabłkowego ze spirytusem, a do snu zgryzę parę tabletek nitrazepamu. Na ciśnienie nitrendypina i sectral. Na palenie w żołądku ranigast. Dużo pracy. Trochę samotnych spacerów po nadwiślańskiej skarpie.

Zdążę wziąć prysznic. Rozbieram się szybko i biegnę do łazienki. Z sitka leci chłodny strumień wody, siecze po włosach, wlewa się do uszu. Nareszcie jest mi dobrze. Z nagła, kiedy obracam się pod strugami, nadstawiając coraz to inną część ciała, przychodzi mi na myśl, że trzeba się zgodzić na powrót Katarzyny. Jest mądra. Mimo braku zmarszczek i nienagannej figury zdaje sobie sprawę, że nadchodzi starość. Szyja wiotczeje z dnia na dzień, dłonie pokrywają się brunatnymi plamami, zęby kruszą się i wypadają. Trzeba się do tego przygotować. A nie ma na starość lepszego partnera niż rówieśnik z czasów młodości, gasnący równolegle, rozumiejący nastroje bez słów, którego troskliwość i czułość pozwalają zasypiać w spokoju. Na takiego można liczyć. Przyniesie kapcie, poda lekarstwo. Ciepło żywi się ciepłem, wyrozumiałość za wyrozumiałość, dawane i brane poczucie bezpieczeństwa. Ty mnie podeprzesz, ja ciebie podtrzymam. Nie da się tego nawet porównać z żarem młodszego o wiele lat kochanka, z zalotami wielbicieli. Czego mi jeszcze będzie potrzeba w życiu? Tego samego co Katarzynie – towarzysza na koniec drogi.

Ona to zrozumiała wcześniej, ja dopiero teraz. Zawsze byłem głupszy od Katarzyny, mniej dojrzały od niej. Umieć przegrać to wielka sztuka. Tak samo jak pójść na pogodny kompromis, zrezygnować, nie tragizując.

Chyba należy spróbować.

Mydliny spływają mi z czoła, zaklejają oczy. Właśnie wtedy zaczyna dzwonić telefon. Chcę nie odbierać, ale wiem, że muszę. Wypadam spod prysznica i ociekając wodą z mydłem, biegnę do gabinetu. Biorę słuchawkę.

– Cześć, titawko miodooka – mówię pierwszy do mikrofonu.

Głos Li jest wyraźny, jakby stała obok.

– Możemy chwilkę porozmawiać?

– Kocham cię.

– I jak z nami będzie?

Mydliny spływają na podłogę, szczypią w oczy, nie mogę ich otworzyć.

– Umrę bez ciebie – informuję. – Już zacząłem umierać. Dokładnie od czwartej rano.

– Nie umieraj, proszę cię, bo wtedy nie będziemy razem.

– Powiedziałaś Tomankowi, że od niego odchodzisz? – pytam, zlizując z warg mydliny, obrzydliwie mdłe.

– Chciałam usłyszeć twój głos. Muszę kończyć, na dole czekają pacjenci. Ty zaraz jedziesz na lotnisko.

– Bawimy się czy zadręczamy?

U stóp, na parkiecie, zrobiła się kałuża. Stoję nagi przy oknie, na widoku sąsiadów z przeciwka. Dwie starsze panie już mi się przyglądają, szczerząc protezy. Pokazuję im język. Tego jakby nie spostrzegły, studiują z uwagą mój kudłaty tors, podbrzusze z oklapłą męskością. Ani myślę się zasłonić.

– Obiecaj, że przyjedziesz we wtorek. Obiecasz? Powiedz, że przyjedziesz na pewno.

Nieoczekiwanie ogarnia mnie apatia. Jakbym słyszał nie Li, tylko stare nagranie jej głosu puszczone z taśmy. Siły ze mnie uchodzą. Siadam na podłodze, w kałuży mydlin.

– Mam dla ciebie prezent – mówię wesoło. – Zwracam ci wolność, słoneczniku. Już nie będę zamęczał doktor Tomankowej.

– Wiedziałam. Wracasz do Katarzyny.

– To ona wraca do mnie – koryguję. – Czeka nas wspólna pogodna starość. Może nawet osiądziemy w Krasnogaju, tam jest zdrowe powietrze.

Cisza w aparacie. Ale wiem, że nie odłożyła słuchawki, wyczuwam przez membranę jej oddech.

– Boguś nie dał nam szansy – kontynuuję po pauzie – musimy się z tym pogodzić, im wcześniej, tym mniej bólu. I tak odeszłabyś. Nie możemy się zrosnąć, zbyt odległe gatunki, biologia nie pozwoli. Po co się męczyć, jeśli i tak wszystko na nic? Ale ubawię cię, masz moją miłość. Na zawsze, jak w głupich romansach.

Oczy pieką, rozcieram je pięścią. W jakiś sposób mydliny dostały się do nosa. Kicham, zasłaniając słuchawkę.

– Kiedy będzie cię boleć, pamiętaj, że masz mnie. – Śmieję się. – Trzy doby i po krzyku, nic się nie martw, maleństwo. Katar trwa dłużej.

Pauza. Już zamierzam wstać z podłogi, położyć słuchawkę na widełkach.

– Wyrzeźbiłeś jej głowę?

Pokazałem Li bryłę granitu, gdy byłem w połowie roboty, porównała ją z fotografią, choć nie było jeszcze niczego do porównywania. Bardziej zajęło ją zdjęcie Katarzyny. Nie mogła pojąć, jak to możliwe, że prawie się nie zmieniła przez trzydzieści lat, a przynajmniej do chwili, gdy po raz ostatni była ze mną w Krasnogaju. Jedliśmy wtedy kolację u Tomanków. Darek adorował Katarzynę, ja rozmawiałem z Li o gruźlicy na Mazurach. Podczas rozmów na tematy medyczne Li ożywia się, mówi dużo, nawet gestykuluje. Zaskoczyłem ją z nagła uwagą, że ma oczy jak miód. Musiałem szybko dodać, że jest to uwaga artysty, nie komplement. Już ją wtedy kochałem, ale Li nie wiedziała o tym. Ja też nie zdawałem sobie z tego w pełni sprawy, brałem miłość za artystyczne zauroczenie, sądziłem, że minie szybko.

– Tak – potwierdzam. – Wyrzeźbiłem.

– Więc jej już nie ma.

Milczę. Oczy przestały szczypać. Chcę powiedzieć Li to najważniejsze, ale nie umiem. Zawsze tak jest. Najważniejsze ubieram w słowa później, kiedy już nie mam szans na rozmowę z Li. Mógłbym jej to napisać w liście, lecz nie korespondujemy ze sobą, ponieważ Li Tomankowa nigdy nie odpowiada na listy.

– Przyjedź we wtorek.

– Po co? – pytam szeptem, coraz bardziej zmęczony. – Przecież nie rzucisz Tomanka. Rzucisz?

– On mi na to nie pozwoli. Ale ja nie mam życia bez ciebie, jestem chora, wszystko mnie boli, spuchłam, krew mi leci z nosa, wstydzę się pacjentów…

– Przestań – proszę.

– Brałam proszki, nie pomaga, mam trudności z oddychaniem…

– Przestań.

– Przyjedziesz? Ja tak brzydko wyglądam…

O czym ona mówi? Co mnie obchodzi jej wygląd? Zapach ten sam, dotyk ten sam, światło w oczach, ruchy, barwa głosu. Nie rozumie. Myśli, że dla mnie znaczy coś jej wygląd.

– Jestem goły – mówię. – Wyszedłem spod prysznica. Siedzę w kałuży mydlin.

– Kocham cię.

Szczęk odłożonej słuchawki.

Katarzyno, wspomóż. Daj mi trochę sił, żebym wstał z podłogi. Pomyśl o mnie ciepło, bądźmy młodsi o piętnaście lat. Wtedy nie znałem jeszcze Li Tomankowej, nie mieliśmy chaty w Krasnogaju. Gdybym umiał zajrzeć w przyszłość, te piętnaście lat przeżylibyśmy

inaczej i nie musiałabyś ode mnie odejść. Dlaczego Bóg skazał nas na poruszanie się w czasie tylko w jednym kierunku?

Wiedział, co robi. Gdybym nie spotkał Li, byłbym tym, kim dawniej.

Nikim.

Ale dlaczego, Boże, pokazujesz, a dać nie chcesz? Co Ci złego zrobiłem?

Czas na lotnisko.

* * *

Prysznic niewiele pomógł, czuję się połamany, pod powiekami sól. Pewnie dlatego, że niewiele spałem tej nocy. Może godzinę. Kiedyś umiałem nie spać trzy noce z rzędu, zapominałem się w pracowni, walczyłem z granitem, aż się poddał. Z czarnym granitem zawsze trzeba walczyć. Jest w nim jakaś diabelska przekora, uparta przewrotność: przejmuje moją wizję i przepoczwarza ją we własną, na pozór mi ulegając, ale tak zwodzi dłuto, manipuluje światłem, że w końcu wychodzi na jego. Efekt finalny nigdy nie zgadza się z założeniem. Bezsilność, niemoc? Przestaję wierzyć w siebie, wpadam w rozpacz, później we wściekłość i od nowa zabieram się do roboty. Nie wolno wtedy ze mną rozmawiać ani wchodzić mi w drogę. Musimy być sami, czarny granit i ja. Nacieram. Nie ustępuje. Mam ochotę zdzielić go siekierą, rozwalić na drobne kawałki, ale zacinam się w sobie i przystępuję do czarowania. Robię się precyzyjny jak szlifierz diamentów, czuły jak kochanek. Namawiam granit, aby zgodził się przybrać kształt, który widzę, i nie szczędzę mu pieszczot, perswazji. To trwa. Kamień zżyma się, broni przed dłutem. Czasem pęka, a jeden odprysk może popsuć wszystko. Pod koniec bitwy czuję się wyczerpany do cna, przysięgam sobie, że nigdy już nie tknę czarnego granitu. Wynik nie jest taki, jak chciałem. W najlepszym razie – prawie taki. Wiem jednak, że żadnemu artyście jeszcze się nie udało spełnienie. Można tylko zbliżyć się do ideału na grubość włosa. Odstawiam czarny granit, rzeźbię w marmurze, piaskowcu, próbuję metaloplastyki. Ale tęsknota nie daje mi spokoju i któregoś dnia znów wypowiadam mu wojnę.

Polonez mozolnie przebija się ulicami Warszawy. Ciasne jezdnie nie akceptują aut, nawierzchnie rozłażą się, remont, objazd. Rowerem szybciej bym dotarł na Okęcie. Obok, na siedzeniu, leży tekturowe pudełko i wiązanka frezji: frezje to kwiaty Katarzyny, jej zapach, zadowolony jestem, że zdołałem je kupić – dorodne, świeże.

Właściwie jestem już zdecydowany. Niech wraca. Uprzedzę jedynie, aby nie oczekiwała, że będzie jak dawniej. Czeka nas przebijanie się przez niedobrą pamięć, tłumienie wzajemnych pretensji, negocjowanie

kompromisów. Po wybuchach może tęsknić za Kiejstutem. Ja na pewno będę popadał w długie milczenie, wypełnione myślami o Li. Przez jakiś czas nie będziemy jeździli do naszej chaty w Krasnogaju. Nie wytrzymałbym fizycznej bliskości Tomankowej. Musimy przyrzec sobie wzajemną wyrozumiałość i cierpliwość, w końcu życie się ułoży. Średnie życie, w miarę spokojne, z wygodami. Katarzynie pomarszczy się szyja, ja będę mógł pozwolić sobie na brzuszek. Nakręci film i może wrócić do domu, jeśli chce tego.

Biała konstrukcja portu lotniczego, jest miejsce na parkingu. Zapominam o pudle i kwiatach, muszę wrócić. Niedobry omen. Co może być niedobrego? Wszystko wiadomo z góry.

Katarzyna już siedzi w kawiarni na sali odlotów i pije przez słomkę sok pomarańczowy. Całuję ją w policzek na powitanie, daję kwiaty. Pudło z rzeźbą kładę na wolnym krześle.

– Frezje. – Uśmiecha się. – Nie zapomniałeś.

– Ładnie wyglądasz – stwierdzam – jakbyś wracała z urlopu.

– Prosiłam Ilonkę i Jacka, żeby mnie nie odprowadzali, chcę być z tobą sama. Mogę o coś zapytać?

Na pierwszej stronie gazety, która leży przed Katarzyną, dostrzegam tytuł, dużą tłustą czcionką: *Kolejny sukces Keya Lessego – Kiejstuta Leśniaka – na scenie Théâtre Parisienne. Nagroda krytyków, Błękitny Laur, dla polskiego aktora*. Kelnerka przynosi mi kawę ze śmietanką.

– O co tylko zechcesz – mówię do Katarzyny.

– Chodzi o Tomankową. – Katarzyna nie patrzy na mnie, tylko przed siebie i trochę w bok. – Czy to naprawdę poważne?

Milczę. Nie wiem, co powiedzieć. Nagle wydaje mi się, że mogę tą odpowiedzią złamać sobie życie, spowodować coś nieodwracalnego. Słowo zabija. Już słyszę następne pytanie Katarzyny: „Będziemy ze sobą?”.

Niespodziewanie przenikam grę Tomanka. Jakby rozbłysk w mózgu. Dariusz z matematyczną precyzją zaplanował sobie wywołanie u Li poczucia winy za rozbicie ich małżeństwa. To ona jest niewierną żoną. Ośmiesza go przed ludźmi, kompromituje przed znajomymi, upokarza, poniża. Razem ze mną wymyśla absurdalne historie o jego domniemanych zdradach, podczas gdy on ma sumienie czyste. Czy widziała go z kimś w łóżku? Czy ktoś inny widział? A ją widywano, jak rankiem we wtorki i czwartki odjeżdża sprzed mojego domu, samochód stoi przy studni całą noc, na oczach całego Krasnogaju. Zaprzeczy temu? On zaprzecza, by miał jakiś romans. Nie miał nigdy. Wszystkie moje aluzje o jego przygodach łóżkowych z okulistkami, wieśniaczkami, żonami kolegów – to intryga. On, Tomanek, wie, w czym rzecz, ale nie da się wrobić. Ma jednak dosyć nikczemności Li. Nie pozwoli zrobić z siebie kozła ofiarnego wobec rodziny jego i jej. Na sprawie rozwodowej

Li niczego mu nie udowodni, a sama nie wyprze się związku ze mną. Będą świadkowie, jeżeli zajdzie potrzeba. On jednak gotów jest okazać wspaniałomyślność: Li wniesie o rozwód bez orzekania o winie i zrzeknie się swoich praw do posiadłości w Likszajnach. Zostawi mu srebrzyka. Odejdzie, tak jak stoi, a on na rozwód da zgodę. Być może rodzina Li, która ma w Poznaniu fabrykę czekoladek, wyasygnuje dla niego rekompensatę za straty, jakie poniósł – wyjazdy żony na praktykę specjalistyczną do Szwecji i Danii kosztowały go majątek, wydał na to prawie dwadzieścia tysięcy dolarów, może pokazać rachunki. Jeżeli rodzina nie zechce, mogę ja zapłacić, Tomankowi nie robi to różnicy. Albo Li zrywa ze mną i akceptuje jego warunki: posłuszeństwo, uległość, niemieszanie się do jego spraw. Sproszą do Likszajn wszystkich znajomych i Li publicznie przeprosi Tomanka za swoje niegodne postępowanie. Co wybiera?

Mnie w tej grze nie ma. Kobieta, która kocha, zostawia wszystko i idzie za swoim mężczyzną. Li mogła zrobić to dawno temu. Tylko w kobiecie rozdartej wewnętrznie biorą górę wątpliwości, lęki i czeka bezradnie, by sytuacja rozwiązała się sama. Ale związanie się z odtrąconą nie rokuje dobrze.

– Nie wiem – odpowiadam ostrożnie, a twarz Katarzyny dziwnie tężeje.

– Dwa dni temu wiedziałeś – słyszę.

Katarzyna też jest dumna i nie chce mojej litości. Oczekuje, że gdybym zgodził się na jej powrót, moja decyzja musi być w pełni świadoma. Kiedy dwoje bliskich sobie ongiś ludzi po dramatycznym i długim rozstaniu postanawia znów być razem, a przynajmniej spróbować, nie może być niedopowiedzeń. Niczego nie wolno zostawiać na żywioł. Trzeba dać sobie szanse, precyzując warunki. To jest kontrakt: realny wtedy, gdy wzajemnie korzystny.

Czy będę umiał żyć bez Li?

Raptem tęsknię za nią do bólu w skroniach.

Bóg, godząc się na miłość, mógłby być konsekwentny w swojej łasce i podarować lata, które dzielą, wymazać pamięć. Ale On niczego nie ułatwia. Każe wybierać.

Chyba nie mam wyboru.

Znowu zmęczenie. Ospały spokój.

– Spróbujmy – mówię po pauzie do Katarzyny. – Może nam się uda.

Jakby nie dosłyszała. Szuka czegoś w torebce, znajduje szminkę i lusterko, poprawia sobie usta.

– Czytałeś? – Pokazuje mi gazetę. – Był ostatnio w depresji, nagroda go odmieniła. Dostał od razu kilka fantastycznych propozycji, jedną z Hollywood, pół godziny trzymał mnie przy telefonie.

– To miłe. – Uśmiecham się do Katarzyny.

* * *

Li nigdy nie zdradziła Tomanka, ze mną po raz pierwszy, jeżeli nasz związek wolno nazwać jej zdradą. Pewnie siedzi teraz w skórzanym fotelu przy oknie i czyta jakieś *Nerwice dziecięce* albo przyjmuje ostatniego pacjenta, albo robi zakupy w delikatesach Kijowskiego. Zawsze są tam winogrona, a Li nie umie żyć bez winogron. I jeszcze bez żółtego sera, półwytrawnego szampana i lodów w czekoladzie.

Czy będzie umiała żyć beze mnie?

Mówi, że nie.

Słowa. Trzy doby i po wszystkim; czwartego dnia, rankiem, przebudzi się jak nowo narodzona, z wyśnionym jeszcze uśmiechem, pełna promienności. Światła jest w niej więcej niż mroku. Światło w Li przebija się przez ciemność i rozpędza ją jak wiatr chmury. Taki ma charakter: pogoda ducha jest w niej silniejsza od bólu, radość z dnia silniejsza od lęku przed nocą. Przestanę przyjeżdżać do Krasnogaju, będę się śmiał do słuchawki, zażartuję, opowiem anegdotkę. Li ma cudowną właściwość poddawania się cudzym nastrojom, przejmowania mimiki, powtarzania gestów. Emir zaprosi ją na kolację do Intercontinentalu w nadmorskiej miejscowości, Hrabia wyda na jej cześć przyjęcie w swojej rezydencji, będzie pieczone prosię i cygańska kapela ze Skiroławek. Wszyscy będą wiedzieli, że nie przyjeżdżam już do Krasnogaju, nie spotykam się z Li we wtorki i czwartki. Tam wiedzą natychmiast. A Li podda się kuracji odmładzającej, będzie tylko piła jogurt z drożdżami i straci parę kilogramów, choć trudno sobie wyobrazić, aby ta ulotna kruchość mogła być jeszcze szczuplejsza. W salonie mody U Ryszarda sprawi sobie jakiś prezent – czarną bluzeczkę z cekinami albo jakieś wiśniowe dżinsy, bardzo obcisłe.

Może ją krzywdzę?

Ktoś kogoś musi krzywdzić, choćby niechcący, mimochodem. Nieświadomość to dobre wytłumaczenie. Siła wyższa – jeszcze lepsze.

Li mnie nie wyrządza krzywdy. Nawet muszki by nie skrzywdziła, choć mówią źli ludzie, że rzuca uroki. Niewinnie: po prostu ma takie oczy. Urokliwe. Tylko Tomanka uroki się nie imają, uodpornił się przez wieloletnie pożycie.

Tomanek górą.

Ja dołem.

W dodatku sam wybieram przegraną, schodzę z boiska. W moim wieku na boisku dostaje się zadyszki. Kocham Li, będę z Katarzyną. Jak zawsze, przeciwko sobie, taki się urodziłem, niestety.

Nie mam sił. Zadyszka.

* * *

Uśmiecham się do Katarzyny, a ona patrzy na mnie z zalęknieniem, pytająco. O co jeszcze pyta? Przecież powiedziałem, że spróbujemy i może nam się udać. Jakbym powiedział: „Zgadzam się na twój powrót". Oczekiwała entuzjazmu? Trudno o entuzjazm, gdy jest się starym, bardzo zmęczonym człowiekiem, któremu pozostał tylko odpoczynek.

Zapowiadają jakieś odloty. Jeszcze nie Paryż. Rozglądam się po kawiarni: trójka biznesmenów w czarnych garniturach, pod krawatami, grupka dziewcząt w łachmanach, rozmawiająca brooklińskim slangiem, starszy pan czytający „Prawo i Życie", małżeństwo z dzieckiem. Dziecko zajada lody, całą buzię ma umazaną.

– Prezent – przypominam sobie. – Przepraszam za spóźnienie.

Katarzyna bierze z moich rąk tekturowe pudło. Chyba zaskakuje ją ciężar. Waży pudło w dłoniach, potem, nie okazując zainteresowania, rozpakowuje. Najpierw wata, później folia. Wyjmuje z pudła rzeźbę, jeszcze owiniętą w płótno, i obmacuje palcami.

– Co to?

– Zobacz. Miałaś ją dostać trzydzieści lat temu. W końcu, jakoś tam, dotrzymuję słowa.

Czekam, aż Katarzyna odwinie płótno, ale ona się nie spieszy, jest zamyślona.

– Chyba nie z czarnego granitu? – pyta półgłosem.

Zna sekret tego kamienia. Nieraz skarżyłem jej się, miotałem przekleństwa. Pocieszała, że dam sobie radę, i niekiedy dawałem. Niekiedy nie. Jeżeli udawało mi się, to nawet wtedy pozostawało wrażenie, że nie ja wygrałem, tylko ustąpił czarny granit. Z miłosierdzia albo znudzony pojedynkiem.

– Zobacz – powtarzam.

W końcu Katarzyna odwija płótno, jak pieluchę. Bierze główkę w dłonie, kieruje pod światło. Smolista czerń opalizuje. Obserwuję twarz Katarzyny i widzę, jak oczy jej okrągleją.

– Po co mi to dajesz? – słyszę.

Stawia główkę na stoliku obok szklanki z sokiem, jakby ją parzyła w ręce.

– Obiecałem ci kiedyś. Pamiętasz? Robiłem ją według tamtej fotografii. Może nie całkiem się udała.

Kawiarniani goście zerkają w naszą stronę, tylko starszy pan z gazetą nie przerywa czytania i dziecko nie odrywa się od lodów. Granit lśni. Twarz Katarzyny jest bez wyrazu.

– Ładna główka – mówi. – Ale nie rozumiem, dlaczego chcesz mi ją dać.

– Nie rozumiesz? – dziwię się i czuję nagły niepokój.

Odwraca główkę profilem do mnie.

To Li.

Milczymy oboje. W tym milczeniu, przez które nie przenikają głosy z zewnątrz, pokornie zawijam rzeźbę w płótno i chowam do pudła.

Katarzyna budzi się pierwsza. Ma profesjonalną wprawę. Posyła mi przyjacielski, z lekka figlarny uśmiech.

– Udała ci się, tym razem granit był posłuszny. Piękna kobieta, rozumiem, że ją kochasz. Bądźcie szczęśliwi ze sobą.

Co ona plecie? Przecież nie urządzi mi sceny zazdrości. Wzruszam ramionami, szukam w kieszeniach papierosów. Nie ma. Zapomniałem, że nie palę.

– Rzuciłem palenie – informuję.

– Chwała Bogu – cieszy się Katarzyna i wolno dopija sok. – Przyjadę za miesiąc załatwić pewną sprawę. Liczę, że mi pomożesz.

– Na pewno.

– Wzięłam dobrego adwokata, dostaniemy rozwód bez problemów. Skoro nie zgadzasz się, żebym do ciebie wróciła, nie powinniśmy dłużej z tym zwlekać.

– Tak – potwierdzam.

– Będzie ci to na rękę, prawda? Ułożysz swoje stosunki z Tomankową, myślę, że Dariusz nie będzie robił trudności. Ale przyrzeknij, że pozostaniemy przyjaciółmi.

– Oczywiście.

Katarzyna znowu poprawia sobie usta. Długo ogląda się w lusterku. Znam ją na tyle dobrze, by zauważyć, że jeszcze nie skończyła i że ma trudności z dokończeniem.

– Pamiętasz nasz ślub? – pyta. – Było tylko parę osób.

– Rodzice i twoja siostra.

– Oboje nie lubimy rozgłosu, po co nam to, ślub i rozwód to sprawy intymne. Jak najmniej ludzi powinno o tym wiedzieć.

– Prasa wywęszy, jesteś osobą publiczną.

– Właśnie – przyznaje Katarzyna, chowając lusterko do torebki. – Oboje jesteśmy znani. Polska to kraj katolicki, u nas nie lubi się rozwodów. Oboje powinniśmy dbać o swój image.

– Mnie na tym nie bardzo zależy – mówię, wpatrując się w filiżankę z niedopitą kawą, w której pływa muszka, uwięziona w śmietankowej piance.

– Mnie tak – słyszę. – Ze względów profesjonalnych. Jeżeli sprawa nabierze rozgłosu, do sądu zwalą się dziennikarze i rozdmuchają w gazetach każdy szczegół. Marcin…

– Słucham.

Patrzy na mnie prosząco i niepewnie, z zalęknieniem.

– Wystąpmy wspólnie o rozwód, bez orzekania o winie. Niech widzą, że pozostajemy sobie bliscy. Para dobrych przyjaciół. Ja ani słowa o Li, ty o Kiejstucie.

– Zgoda – mówię po pauzie. – Nie może być inaczej.

Katarzyna wypuszcza powietrze. Musiała je długo zatrzymywać, twarz ma zaczerwienioną.

– Bez orzekania o winie? – upewnia się jeszcze.

– Bez – potwierdzam. – Tak przecież jest.

Ogłaszają koniec odprawy pasażerów odlatujących do Paryża. Katarzyna nie reaguje, chyba nie słyszy. Koniuszkiem języka oblizuje usta.

– Podpiszesz wspólny pozew?

Kiwam głową.

– Nie masz do mnie żalu?

– To ty do mnie mogłabyś mieć żal.

– Nigdy. – Katarzyna kładzie dłoń na mojej ręce, ściska mocno. – Byłeś wspaniałym mężem, mam cudowne wspomnienia z tamtych lat. Nie umiem pojąć, dlaczego to się stało.

– Ja umiem. – Uśmiecham się ciepło do Katarzyny. – Moja wina. Mam czarne sumienie, kiedyś ci się wyspowiadam.

– Byłeś wspaniałym mężem – powtarza. – Tak mało zależy od nas. Mógłbyś podpisać teraz?

Nie rozumiem, ale przytakuję. Na znak Katarzyny mężczyzna z gazetą wstaje od swego stolika i podchodzi do nas.

– Mecenas Morgan – przedstawia mi się i siada na wolnym krzesełku. Otwiera aktówkę, wyjmuje z niej stroniczkę maszynopisu opatrzoną nadrukiem kancelarii adwokackiej. U spodu dostrzegam podpis Katarzyny. – Zechce pan przeczytać?

– Nie ma potrzeby. – Szczerzę zęby do adwokata.

Nie mam pióra. Mecenas Morgan podaje mi swego srebrnego parkera. Podpisuję się pod Katarzyną.

Katarzyna przechyla się w moją stronę ponad stolikiem i całuje mnie w policzek.

Błysk flesza. Skąd tu się wziął fotograf? Powtórka, znowu flesz. Katarzyna przytula się do mnie ramieniem i z uśmiechem patrzy w obiektyw. Trzeci błysk.

Mecenas Morgan zaprasza nazajutrz do swojej kancelarii, są drobne formalności do załatwienia. Przyrzekam, że będę o jedenastej trzydzieści.

Odprowadzam Katarzynę do okienka odprawy paszportowej, trzymając pod pachą kartonowe pudło. Ona trzyma frezje. Pachną słodko. Całujemy się na pożegnanie. Flesz.

– Wiedziałam, że zrozumiesz – słyszę. – Nigdy mnie nie zawiodłeś.

Zawiodłem Katarzynę niejeden raz. Sobie także sprawiałem zawód. Ale to wszystko już bez znaczenia. Słowa, gesty. Kiwamy sobie na pożegnanie, fotoreporter uwiecznia, strzelając canonem.

Idę do wyjścia. Już przy drzwiach, które otwiera przede mną fotokomórka, odwracam głowę, aby uśmiechnąć się do Katarzyny, jeżeli patrzy przypadkiem w moim kierunku. Nie ma jej przy okienku kontroli.

Widzę, jak idzie szybkim krokiem w stronę kawiarni, z twarzą wtuloną we frezje. Przecina drogę Morganowi. Rozmowa z adwokatem jest krótka, słów nie mogę słyszeć. Mecenas otwiera teczkę, podaje Katarzynie arkusz papieru, ta przegląda go, chyba nieuważnie, potem przedziera na pół i jeszcze raz na pół. Wrzuca do kosza.

Znów rozmawiają. Potrąca mnie wózek z walizkami i wypycha na zewnątrz. Ludzie wokół mnie całują się, dwaj młodzi przenoszą walizy z wózka do samochodu. Wymijam ściskających się i krok za krokiem człapię w stronę parkingu. Duszno, chce mi się spać. To ta noc bez snu, godziny za kierownicą, ostatnia walka z czarnym granitem. On wygrał czy ja? Może my obaj, wszystko jedno. Katarzyna myliła się, to nie jest Li. One obie. I na dodatek ja sam, i jeszcze czarny granit, wredny nagrobkowy kamień.

Chyba nie jest pod nim tak źle. Albo wyjadę do Kopenhagi, może do Mielna, tam jest i Bałtyk, i jezioro, dzikie plaże, piasek chrzęszczący pod stopami. Albo nigdzie nie wyjadę. Zamknę się w pracowni i będę dłubał w różowym erewańskim piaskowcu. Wyłączę telefon, zamknę drzwi na rygiel. Jest tam materac, można się przespać, jeżeli zmorzy mnie sen. Są pigułki, które pomagają zasnąć, bardzo dużo pigułek. Ciekawe ile…

Obraz Li pod powiekami wypełnia się światłem i chwilę jaśnieje jak gwiazda, później zaczyna wolniutko przygasać.

ROZDZIAŁ 79

W *Czarnym granicie* nie ma happy endu, ponieważ bieg zdarzeń jest zamknięty w czasie. W mojej rzeczywistości żaden „end” jeszcze nie nastąpił, a już na pewno nie „happy”: szczęście musi być zabójczo nudne, jak tran z rycyną. Szczęśliwe zakończenia są dla kucharek i marzycieli, żeby mogli spokojnie pójść spać. To dla nich w Hollywood kręci się komedie romantyczne. Na romantyczne tragedie popytu nie ma. Ludzie chcą wychodzić z kina uśmiechnięci i na luzie.

Dramatów mają dosyć na co dzień. Wystarczy posłuchać wiadomości.

Życie z L. to nie landrynka. I całe szczęście. Nie jest nam nudno ze sobą. Wiem, że teraz czeka na mnie w apartamentach Edwarda Love, coraz bardziej nerwowo czeka, a ja nie mogę jeszcze do niej wrócić.

Muszę przedtem rozliczyć się z Ptasidziobem.

– Nigdy nie byłem fanatykiem – oświadczy mi stanowczo. – Byłem i nadal jestem ideowy, i tak już zostanie.

– Tak nie zostanie – zapewnię.

Ptasidziób udaje, że nie słyszy. Może nie słyszy rzeczywiście. Tacy jak on słuchają głównie siebie.

– Ideowość to uduchowienie – tłumaczy mi. – Osobnicy bezideowi nie mają życia duchowego. Mogą robić kariery, błyszczeć w towarzystwie, dorabiać się fortun. Ale w środku mają pusto. Żadnych marzeń, uniesień, porywów. Same tylko pragnienia i żądze.

– Józef Stalin był ideowy? – pytam. – Był marzycielem?

– Stalina zostawmy w spokoju.

– Nie zostawimy. Chcesz spokoju dla zbrodniarza, który mordował milionami własny naród?

– Co ty wiesz o Stalinie – rzuca gniewnie Ptasidziób.

Niedawno spotkał się w Nowym Jorku z Aleksandrem Kiereńskim, demokratycznym premierem Rządu Tymczasowego Rosji przed dojściem do władzy Lenina. Kiereński i Ptasidziób?… Ano, bywa. Prawie stuletni Kiereński, biedny jak mysz kościelna, szukał sekretarza, aby mu podyktować swoje wspomnienia. Robota za darmo. Nie było chętnych. Ptasidziób zgłosił się i został przyjęty, lecz niezatrudniony, bo powiedział, że wraca do komunistycznej Polski. Ale pogadali sobie. Aleksander Kiereński serdecznie nie cierpiał Lenina.

„W niemieckiej kulturze chowany, ciągle na emigracji, co on wiedział o ludzie rosyjskim?”

O Stalinie natomiast wypowiadał się z entuzjazmem.

„Jak Piotr Wielki. Zbudował z Rosji mocarstwo”.

„Po trupach” – wtrącił Ptasidziób.

„A jak inaczej buduje się mocarstwa?” – zareplikował były premier. „Czy tu nie wyrżnięto Indian?”

Fanatycy nie budują, są nastawieni na niszczenie. Ideowcy prowadzą świat do przodu. Tylko gdzie ten przód?

Opowiem Ptasidziobowi o Pol Pocie, kambodżańskim wodzu z dyplomem Sorbony, który postanowił pójść dalej niż Stalin i zbudować w Kambodży nowe społeczeństwo od podstaw. Swoją ideą zaraził Czerwonych Khmerów, którzy na jego rozkaz zlikwidowali miasta, szkoły i szpitale, elektrownie i kanalizację oraz wymordowali cztery piąte narodu ze szczególnym uwzględnieniem osób w okularach, bo te umieją czytać. Miał poparcie Chin, ale Wietnam okazał się bliżej i ruszył na pomoc niedobitkom. Eksperyment Pol Pota nie został doprowadzony do końca.

„Umiesz mi powiedzieć, gdzie kończy się ideowość, a zaczyna fanatyzm?” – pytam Ptasidzioba, on jednak nie chce rozmawiać ze mną o uduchowieniu. I tak nie zrozumiem.

Teraz lecimy inaczej. Ptasidziób czuje, co się święci, i próbuje mi się wymknąć, zawrócić, ale nic z tego. Przelecimy nad Nigerią i Wietnamem, nad grobem naszej matki na powązkowskim cmentarzu, gdzie trzy lata później złożą szczątki naszego ojca, dopisując na czarnym granicie jego imię i nazwisko, i już zabraknie miejsca dla mnie i L. – trzeba będzie do poziomej płyty dobudować dwa pionowe ptasie skrzydła rozpostarte szeroko. Orle czy papuzie?

Przelatujemy, niezbyt chronologicznie, nad Ziemią Świętą z jej Morzem Martwym, w którym o mało się nie utopiłem: przyjaźnie błękitne lustro wody, upał w powietrzu, więc wbiegam, by się ochłodzić… Sól jadowita podcina mi nogi i wyrzuca w górę, jakbym wpadł do jamy bezdennej. Lecę głową w dół, macham rękami, próbując wypłynąć, ale pływanie w solance o takim stężeniu nie jest możliwe. Sól wyżera oczy, zatyka nos i usta, czuję śmierć. Ktoś przychodzi mi z pomocą. Głębokość – po kolana. Zostaję wywleczony na brzeg i wrzucony pod prysznic. Nigdy więcej Morza Martwego!

Przelatujemy nad Indiami i Angolą, nad szpitalem warszawskim przy ulicy Wołoskiej – wtedy jeszcze Komarowa – gdzie umierałem cichutko po spóźnionej o dobę operacji pękniętego jelita, by jednak

wyżyć za cenę półrocznego kalectwa, najobrzydliwszego z paskudnych: pocerowane jelito wyłączono z obiegu, w brzuchu wycięto otwór, przez który będę się wypróżniał bez kontrolnego odruchu. Otwór, żywa rana, nie może się goić, drażniony nieczystościami. Będę śmierdział gównem przez całe sześć miesięcy. Poznam fizycznie, co znaczy brzydzić się sobą. Po sześciu miesiącach otworzą mnie na nowo, sprawdzając, czy jelito się zagoiło. Dowiem się, czy mam raka – i wtedy koniec – czy już po bólu i można przywrócić mi normalność.

To drugie.

Lecimy nad Indonezją i Tunezją, nad Stocznią Gdańską i nad śląską kopalnią Wujek, nad Moskwą Bułata Okudżawy i nad Krakowskim Przedmieściem z kawiarnią w Domu Literatury, gdzie przy stoliku pod oknem siadywaliśmy w asyście Himilsbacha i Krzysztonia, Kabatca i Terleckiego, Iredyńskiego i Herberta, a przy sąsiednich stolikach Lec przekomarzał się ze Śpiewakiem, Swinarski gwarzył z Czajką-Stachowicz, Adolf Rudnicki droczył się z Arnoldem Słuckim. A jeszcze Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Jarosław Iwaszkiewicz… Nie ma tamtych bywalców. Nie ma tamtej kawiarni. Jest elegancka restauracja dla zamożnych turystów i coś tam jeszcze, i nic, po prostu. Ptasidziób chce wracać w swój czas do Nowego Jorku, coś mi bełkocze o Ilanie, trzepocząc gniewnie skrzydłami, ale ja mam to gdzieś. Nigdzie nie wracamy. Patrz, co mi narobiłeś.

Lądujemy na dachu Białego Domu, centrali polskiej partii komunistycznej. Kiedyś Ptasidziób miał pomysł, by nakręcić film o tym Gmachu pełnym polityków na stanowiskach.

Polityk, czyli kto?

Bez względu na system, układy czy szerokość geograficzną, polityk to z reguły nieudacznik życiowy, który nie zrobił kariery w żadnej profesji, gdzie trzeba konkurować z innymi talentem, wiedzą, doświadczeniem, uporem, pracowitością. Chorobliwe ambicje takiego nieudacznika są rozbieżne z możliwościami. Ale dobry jest w krasomówstwie, w intrygach i czarowaniu ludzi wdziękiem oraz w pełnym braku skrupułów i zasad. Dla idealisty umie być

uduchowiony, dla narodowca faszystą, dla liberała wolnomyślicielem. Budzi zaufanie, zdobywa przyjaźń i głosy w wyborach. Pieniądze nie grają zazwyczaj większej roli, celem jest władza, a tej naturalnie towarzyszy dostatek. Jaki król nosi przy sobie pieniądze?

Ambicje naprawdę wielkie i czarująca bezwzględność mogą zaprowadzić nieudacznika na tron, uczynić władcą.

Ptasidziób chciał nakręcić film magiczny. Oto któregoś ranka Gmach zostaje przeniesiony na bezludną wyspę. Działają tylko telefony. Politycy politykują w swoich gabinetach, piszą na siebie donosy, wydają przez telefon polecenia terenowi i układają się z jednymi przeciwko innym, zawiązują spiski, sojusze. Żaden nie zauważa, że dokoła ocean. Szef będzie czytał meldunki, w sekretariacie rozsiądzie się kolejka czekających na audiencję, wszechpotężna sekretarka Szefa osobom z nią zaprzyjaźnionym szepnie, w jakim On jest dziś nastroju…

– Dobry pomysł – pochwalił Mistrz. – Ale Gmach nie może być anonimowy. Skąd trafił na bezludną wyspę? Wystarczy jednak migawka, powiedzmy, Statua Wolności…

– Czemu nie Kolumna Zygmunta? – zapytał Ptasidziób. – Albo warszawska Syrenka?

– To bez znaczenia. – Mistrz niecierpliwie wzruszył ramionami. – W każdym pejzażu lud to zaprzęg, a na koźle siedzi władza i strzela z bata. Walka idzie o kozioł i bat. Zaprzęg nie ma nic do gadania, od Seattle po Władywostok. To są masy, mój chłopcze. Tylko masy. Tłuszcza, plastelina, pulsujące mięsiwo, które nie tak trudno trzymać pod kontrolą. – A widząc rozszerzone źrenice Ptasidzioba: – Źle mnie rozumiesz. To dla dobra ludu i w zgodzie z naszymi ideałami, które znaczą równość i sprawiedliwość dla wszystkich. Realizacja ideałów, mój chłopcze, wymaga twardej ręki i żelaznej dyscypliny. Władza musi ubrudzić ręce, żeby narodowi było czysto.

W gabinecie Sekretarza Idei, strzeżony przez rządowych ochroniarzy, rezyduje szkolny kolega Ptasidzioba, przystojny i chłodny introwertyk.

Mógłby poczęstować markowym francuskim koniakiem – a jest to czas musztardy i octu w sklepach dla ludzi – kabanosami i kawiorem

z Bazy Zaopatrzenia dla władzy. Nie częstuje nawet kawą. Starczy sam zaszczyt bycia przyjętym przez Sekretarza.

– Dopiero co obejrzałem przyszłość – poinformuje Ptasidziób Sekretarza.

– My nie boimy się przyszłości – odpowie Sekretarz i doda po rosyjsku: – Nasze dieło prawuje, my pobiedim.

Ptasidziób pamięta, że w latach szkolnych obecny Sekretarz dzielił z nim ideały, a nawet był o krok dalej i uchodził za wizjonera. Pięknie przemawiał na wiecach. Ci, którzy mieli klaskać, jemu klaskali najdłużej. W nagrodę późniejszy Sekretarz pojechał na wyższe studia do samej Moskwy, gdzie oprócz dyplomu historyka uzyskał coś jeszcze i glejt zaufania.

– Obejrzałem przyszłość – powtórzy Ptasidziób. – Jesteście przegrani.

– A ty co? – zapyta Sekretarz. – Chcesz się przechrzcić?

– Okłamaliście mnie – powie Ptasidziób do Sekretarza Idei.

– Do przyszłości nie można zajrzeć, ponieważ jeszcze jej nie ma i nigdy nie będzie. – Sekretarz Idei uśmiechnie się żartobliwie. – Była, jest i zawsze będzie teraźniejszość. A jeżeli kłamaliśmy, co nie jest wcale pewne, ty, Ptasidziobie, masz w tym swój udział. Twoje buntownicze filmy były podszyte oportunistycznym optymizmem. W subtelnym domyśle, ale były, i dlatego trafiały na ekrany.

– Nie ufaliście mi, zawsze to czułem.

– Normalni ludzie nie lewitują – powie łagodnie Sekretarz Idei. – Widziałeś, żebym ja się unosił nad ziemią? Albo mój Szef? Albo górnik, dojarka?

– Szliśmy do was, ponieważ głosiliście równość – rzuci mu w twarz Ptasidziób. – Bez względu na grawitację.

– No właśnie – przytaknie Sekretarz Idei. – Głosić łatwo. Czego ty chcesz od polityków? Dlaczego nie ma dziś Rzymian, Egipcjan, Greków ani żadnego innego starożytnego ludu, a tylko wy przetrwaliście tysiąclecia? Pomimo wypędzeń, prześladowań, pogromów i holokaustów? Pomimo że nikt was nie chce i nikt nie lubi?

– Ale dlaczego? Dlaczego? – westchnie Ptasidziób.

– Ja nic do was nie mam – zaznaczy Sekretarz Idei. – Mój ojciec siedział w jednej ławce z lewitującym. Nie wierzę w rytuały z krwią chrześcijańskich dzieci i że się nawzajem popieracie. Na własne oczy widziałem donosy waszych na swoich. Jedni drugim podkładają świnie.

– Nie świnie – sprostuje Ptasidziób. – Raczej drób z rytualnego uboju.

– No właśnie. A jak was nigdzie nie lubią i nie chcą, musi być powód.

– Jaki?

– Ty powinieneś wiedzieć. Nie udawajcie niewiniątek.

– A ty wiesz? – zapyta Ptasidziób.

– Nie ma dymu bez ognia – oświadczy z mocą Sekretarz Idei i spojrzy znacząco na zegarek, sygnalizując koniec audiencji.

– A jeżeli dym bez ognia jest? – rzuci mu w oczy Ptasidziób. – I jeśli wszystko na tym polega? Wszystko, czego się nie da wytłumaczyć, uzasadnić i usprawiedliwić?

– Ty się najpierw zdecyduj na samego siebie – poradzi mu Sekretarz Idei. – Zaakceptuj swoją lewitacyjność i doszlusuj otwarcie do swoich, ponieważ w jedności siła. Albo noś w butach ołowiane wkładki.

– To nie pomaga – sapnie Ptasidziób.

– Jasne, że nie. Jesteście rozpoznawalni. Nawet bez lewitowania. Zwłaszcza gdy próbujecie udawać innych, niż jesteście. – Sekretarz Idei spojrzy na Ptasidzioba z nagłym zaciekawieniem. – Wstyd wam? Czy ze strachu? A może to jest wasza przebiegła taktyka, żeby się między nami zagnieździć, osiąść i z siodła wysadzić?

– Strach byłby uzasadniony – odpowie Ptasidziób i na mig zobaczy dymiące kominy. – Wstyd bywa za was, gdy nie wiecie, że szmonces o lewitujących serwujecie komuś unoszącemu się ciut nad ziemią. A co do teorii siodła, znamy to na pamięć od wieków. Co ty wybierasz?

Sekretarz Idei chodził do szkoły średniej z Ptasidziobem. Znali się wtedy dobrze. Ptasidziób może zaręczyć, że był przyzwoity.

– Znasz mnie.

– Znałem.

– Chcesz uciec z tonącego okrętu?

– Tu mam cię! – wykrzyknie Ptasidziób. – I co? Nie ma dymu bez ognia? Nawet gdy okrętem nazywasz dziurawą balię?

Ptasidziób chce plunąć w twarz Sekretarzowi, ale nie ma w ustach śliny. Zaschło mu w gardle. A ja zaczynam mieć dosyć tego cyrku. Odkrywam ze zdumieniem, że nie znam Ptasidzioba.

Jak można nie znać siebie?

Ale on to nie ja. Aż taki głupi chyba nie byłem. Mój konformizm miał ręce i nogi, wynikał z wyboru mniejszego zła, nawet gdy trzeba było samemu ponosić koszty.

Zaraz, zaraz. Jakie znowu koszty?

Dopiero teraz zaczniesz je ponosić.

ROZDZIAŁ 80

Wracamy nad Manhattan. Ta sama rozgwieżdżona noc. Bryza od oceanu szeleści papierami, liśćmi, wznosi wiry kurzu nad Broadwayem. Lądujemy w tym kurzu, w kłębach śmieci, na poplamionym, brudnym chodniku, obok sklepu z papeterią. Blisko nas przejeżdża czerwony ford granada z odsłoniętym dachem, za kierownicą Murzyn w białej marynarce, przy nim dwie czarne chichoczące dziewczyny obwieszone błyskotkami. Butelka dżinu wędruje z rąk do rąk. Gdybym zdążył pchnąć Ptasidzioba, wpadłby prosto pod koła i nie byłoby żadnych świadków wiarygodnych, bo trójka w granadzie jest kompletnie pijana.

Gdybym go dobrze popchnął, ta historia nie miałaby dalszego ciągu. Mógłbym bez żadnych obciążeń włączyć się w nadciągającą rzeczywistość, anonimowy, po prostu jeden ze wszystkich. Na barykady jak w dym, bez poczucia, że zdradzam swoich, że daję nogę z tonącego okrętu. A dawałbym? Byłaby to zdrada swoich?

Nie sztuka trzymać z wygranymi. Sztuka trwać ze swoimi, gdy przegrywają, kiedy grożą im zawiśnięciem na latarniach. Już nie ważne, kto ma rację. Kiedyś odmierzy to historia. A odmierzać będzie nieobiektywnie – bo obiektywizm to nieziszczalna fikcja, najlepiej widać to w sądownictwie, gdzie prawo nie znaczy

sprawiedliwość – lecz oceni w zgodzie z zamówieniem swoich czasów. Dla mnie jednak, na dzień dzisiejszy, to kwestia resztek honoru, okruchów lojalności. Dante Alighieri w swojej nieśmiertelnej *Boskiej komedii* zdrajców umieszcza w dziewiątym kręgu piekieł. Najstraszniejszym ze strasznych. Nie chcę tam trafić.

I na tym się przejechałem.

Nie musiałbym, gdyby nie Ptasidziób. Ten we mnie. Jak drzazga, jak wrzód. Im bardziej jest mi obcy, tym głębiej siedzi. Co ja bym dał za amnezję! Budzę się i jestem nikim, bez imienia i nazwiska, bez unoszenia się nad ziemią o głupi centymetr czy dwa, co nie jest ani lotem, ani szybowaniem, tylko durną cyrkową sztuczką. Dali mi w łeb i nic nie pamiętam. Żadnych marzeń, wiary, wątpliwości, ani śladu po romantycznej hipokryzji i buncie kontrolowanym. Tabula rasa. Mogłem być hydraulikiem, znachorem, poetą, mordercą albo obrońcą prawa. Nic po tym nie zostało. Budzę się, jestem nikim i zaczynam od początku. Mógłbym wtedy pozwolić sobie na szczerość, być z tamtymi i nie bać się odtrącenia. Wiedząc to, co wiem dzisiaj, trzymałbym z nimi od początku. Żadne kombinowanie. Tylko być sobą, nie uwzględniać, nie chodzić do Mistrza.

„Zabij Ptasidzioba!" – jazgocze pod czaszką. Nie po raz pierwszy jazgocze, naszeptuje, syczy: „Zabij go w sobie. Utłucz, zaduś, wykastruj. Nie ma świadków. Nikt się nie dowie, że byłeś ostatnim frajerem".

Granada oddala się, świdrując mrok purpurą tylnych świateł.

Ptasidziób odbija się od chodnika i kołysze się nad nim, patrząc w niebo. Żałosne to szybowanie tuż nad chodnikiem. Mijająca nas para staruszków nawet tego nie zauważa. Tymczasem nadjeżdża kolejny samochód, chyba sportowa corvetta. Sunie powoli blisko krawężnika, szyby ma zaciemnione.

Mam kilka sekund. Jeżeli strącę Ptasidzioba w ostatniej chwili przed maskę, może zmienić się bieg historii. Nie będzie Auschwitz, gułagów, Holokaustu, rażenia prądem w genitalia i zimnej wojny z jej dwuznacznym happy endem. Świat zacznie się od Sto Trzynastej Ulicy na Manhattanie i bramy, obok której przejdę z L., nie majstrując przy domofonie.

Czy wolno zabić Ptasidzioba dla dobra ludzkości? A nawet gdyby tylko dla dobra mojego i L.? To drugie też nie w kij dmuchał. I nikt się nigdy nie dowie, to pewne. Wystarczy zastosować w praktyce teorię względności Alberta Einsteina. Który, nawiasem mówiąc, też czasami lewitował.

Zostały mi jakieś dwie sekundy. Corvetta jest tuż-tuż.

Jak w anegdocie o dwóch podpitych carskich oficerach opuszczających o świcie salę balową. Młodszy staje przed wielkim kryształowym lustrem w holu i z pistoletu mierzy do swego odbicia. „Nie warto, poruczniku" – powstrzymuje go pułkownik. „Nie zrozumieją…"

Chciałbyś pozbyć się Ptasidzioba? Nie zrozumieją. Są tacy sami jak on, w gruncie rzeczy. Konfiguracja przypadków oraz układów towarzyskich postawiła ich po przeciwnej stronie, gdzie wykonali dokładnie to samo, co wykonywał Ptasidziób we wczesnej młodości. Po czym nadeszła normalność. Źle ci było? Sprawdziłeś się w Skupie Sekretów, przeżyłeś pośmiertną nikczemność Emila Popiołka, ułożyłeś się z Zygmuntem. Pamiętasz, co wtedy odkryłeś? Trochę w tym ci pomógł zaprzyjaźniony jasnowidz, lecz oczy otworzyłeś szeroko bez niczyjej pomocy. Byłeś nadal obciążony lewitacją. Do wyboru miałeś zgorzkniałych albo cyników. Młodsi się nie liczyli, pochłonięci szarpaniną na pazury i kły o pozycję w świecie bezwzględnym. Twój świat, słusznie miniony, ulegał stopniowemu zatarciu jak w rejestrze sądowym.

Co wtedy zrobiłeś? A raczej co zrobisz?

Nagłe – na pozór – porzucenie Skupu Sekretów: sprzedasz firmę za grosze zaskoczonemu Zygmuntowi. Potem zmiana imienia i nazwiska, daty i miejsca narodzin. Za pieniądze można prawie wszystko sobie kupić, a już bez trudu cudzy życiorys. Banalny życiorys przeciętniaka, świadectwo chrztu, oryginalny dowód osobisty z twoją fotografią. Nos nieco mniej garbaty, włosy jaśniejsze, reszta w normie.

I tu się pomyliłeś.

Niedzielne popołudnie. Byliście z L. w Kazimierzu nad Wisłą, dawnym żydowskim miasteczku, wtedy jeszcze zwyczajnym, ładnie

położonym na wiślanej skarpie, a dziś pełnym turystów, którym miejscowi malarze oferują wcale udane obrazki z wymordowanej prehistorii. Dobry obiad w restauracyjce U Cadyka, niekoszerny na szczęście, bo koszerna kuchnia w podrabianych restauracjach jest do niczego. Ty – golonka, L. – pstrąg z rusztu, do tego bukiet jarzyn i sok porzeczkowy. Potem samochód i do Warszawy.

Radar, policja drogowa, przekroczenie szybkości, gdzieś niedaleko Kozienic. Wolna Polska, ale szybkość za duża. Kontrola, dokumenty. Policjant wejdzie w policyjny internet, coś wklepie, kliknie.

– A poprzedni adres? Poprzednie imię i nazwisko? Tak, zgadza się, filmowiec. Żona, dwie córki… Do partii pan należał. Zarejestrowany jako TW w aktach komunistycznej bezpieki, pseudonim „Drab 2040", zgadza się? Później właściciel prywatnej firmy rewindykacyjnej Skup Sekretów… Że co proszę? Ja tego nie wiem. Mandat trzysta złotych i trzy punkty karne za przekroczenie szybkości w terenie zabudowanym.

Pamiętasz?

Rozgorączkowany, przejęty, wdasz się w przyjazną rozmowę z policjantem i wyciągniesz z niego resztę: imię swojej dawnej kochanki, stanowisko jej męża, bank na Kajmanach, gdzie trzymasz na czarną godzinę pół miliona euro. Furę innych najintymniejszych szczegółów widocznych na policyjnym monitorku.

Siermiężna inwigilacja komuny, oparta głównie na donosach życzliwych i beztroskiej paplaninie naiwnych, okaże się śmieszna w porównaniu z demokratycznym totalitaryzmem satelitarnym wspartym techniką laserową. Twój głos rejestrowany będzie z dystansu tysiąca kilometrów i zapisany w twojej wirtualnej kartotece obok najintymniejszych danych o tobie. Bo jesteś wyjątkowy? Nic podobnego. Wszechobecny Obserwator notuje wszystko o wszystkich. Wie to nawet, którą ręką podcierasz sobie tyłek i ile zużywasz do tego listków toaletowego papieru.

Jak miałbyś z tym się pogodzić? Ty – osobowość, artysta! No to druga półkula, kraj azjatycki, buddyjski – Tajlandia. Polska stąd wydaje się plamką na mapie, czasoprzestrzenią prawie wirtualną, usychającym wspomnieniem. Szczęśliwie śni ci się coraz rzadziej. Coraz mniej niepokoju. Tamtejsze problemy więdną, tutejsze nic cię

nie obchodzą. Nazywasz się Adam Bal, urodzony w Warnie, emeryt. Roczna wiza, można przedłużać w nieskończoność, byle mieć na koncie wymaganą sumę. Ty ją masz.

I oto zdarzy ci się drobny konflikt z lokalną policją. Naruszyłeś przepis. Wymiana uśmiechów, kontrola dokumentów, policyjny internet.

– Poprzedni kraj zamieszkania? Poprzednie nazwisko, imię? Miałeś przezwisko „Ptashidioub", po angielsku „Beak", niezwykłe przezwisko, right? Czy miało to związek z lewitacją? Dwa lata temu, 16 maja o godzinie 15.47 zapłaciłeś pod Kozienicami w kraju Poland trzysta złotych kary za przekroczenie szybkości, right? I trzy punkty karne… U mnie płacisz tysiąc bahtów za wykroczenie.

Ktoś nazwał świat współczesny globalną wioską. Nonsens. Pokażcie mi wioskę, gdzie każdy mieszkaniec jest pod kontrolą rentgenowską, a specjalna aparatura liczy mu oddechy. Na ukończeniu są prace nad czytnikiem myśli. I żadna to cenzura, a tylko obrona przed światowym terroryzmem, złą wolą pewnych państw i szkodliwymi cechami natury ludzkiej jako takiej.

Ptasidziób opiera się, bardzo nie chce, jakby przeczuwał, na co się zanosi. Ale musimy mieć to za sobą. Lot z Manhattanu do Skiroławek na Warmii w dalekiej Polsce trwa dobrą chwilę. Dzień i noc, słońce i księżyc, lata i zimy jak w kalejdoskopie wariata.

Lądujemy przed remizą, gdzie jako dekorację ustawiono strażacką pompę sprzed dwustu lat pomalowaną na czerwono i czarno. Z żelaznej wieżyczki widać bardzo niebieskie jezioro, sunące po nim mleczne obłoki, żółknącą zieleń lasów i wyspy wiosek w tę zieleń wpisane – poniemieckie domy z brunatnej cegły, wczesne lata trzydzieste ubiegłego wieku, dachy kryte zmurszałym gontem, omszałą dachówką albo późniejszym eternitem, od którego dostaje się raka.

Już tu na nas czekają. Salę, gdzie odbywają się dyskoteki, zastawiono ławami. Pierwszy rząd jest dla VIP-ów. Burmistrz w przyciasnym sztruksowym garniturze siedzi między Ilaną i Anną. Poci się, bo na sali jest duszno, okna się nie otwierają, a ludzi chmara. Ilanie towarzyszy książę Nadir Pahlawi, owinięty w złocistą szatę.

Obok Kuby, między Edwardem Love i Koralem, siedzi Donald, nasz kuzyn amerykański, ze swoim psem na kolanach i z fajką w zębach. A na poczesnym miejscu Mistrz w seledynowym fularze, z grzywą tak samo gęstych, bieluteńkich, zaczesanych do góry włosów. Skąd on tutaj?

– Teraz leci twój kawałek życiorysu – wyjaśnia Ptasidziób z krzywym uśmieszkiem.

Na ścianie wielki szklany ekran. Po projekcji *Pół cudu* i kilku późniejszych dokumentów, wśród nich *Krótkiego filmu o pokucie*, *Lamentu o świcie* i *Prowokacji*, przewidziano serdelki z dzika – dzików tu zatrzęsienie, niszczą uprawy, myśliwym nakazano masowy odstrzał szkodników – i pierogi z grzybami w wykonaniu wdowy po leśniczym Jonaszu.

Leśniczy Jonasz, chudy jak szczapa i o gorejących oczach, śpiewał protest songi, akompaniując sobie na gitarze. Słowa układał sam i sam wymyślał do nich melodie, które nucono nie tylko w Skiroławkach. Dawał koncerty od Szczecina po Przemyśl – zawsze w bereciku, z koźlą bródką. Od czasu do czasu zamykano go, ponieważ śpiewał nie to, co zatwierdzała mu cenzura. Przed śledczymi nie wspominał, że jego ojciec, emerytowany pułkownik, to legenda służby bezpieczeństwa, co mogłoby mu pomóc albo zaszkodzić. Zaszkodzić ojcu na emeryturze. Ostatecznie leśniczy o gorejących oczach i charakterze nieuznającym kompromisów rozchorował się na makabryczną przypadłość, odziedziczoną po męskich członkach rodu. Każdy jego mięsień dygotał i kurczył się inaczej, sprawiając, że głowa, nogi i ręce leśniczego pląsały bezustannie bez ładu i składu. Przypadłość nazywa się pląsawica i jest nieuleczalna. Aby uśmierzyć niewyobrażalne męczarnie i dać żyć rodzinie, bezkompromisowy leśniczy Jonasz wybierze jedyny sposób właściwy dla osób nieuznających kompromisów. Zrobi to na strychu, gdy jego piękna młodziutka żona będzie oprowadzać szkolną wycieczkę po warmińskich chaszczach nadjeziornych, opowiadając dzieciom o tutejszych roślinach i ptactwie. Żona leśniczego, subtelna poetka i znawczyni warmińskiej przyrody, odetnie męża po powrocie do domu. Powróz wisielca wyłudzi miejscowy sklepikarz i zrobi na tym interes. Miejscowy ksiądz, w stanie wojennym handlujący kawą z

paczek dla prześladowanych, odmówi pochówku samobójcy na skiroławskim cmentarzu. Ale nie wszyscy księża są tacy. A leśniczyna zamknie się w sobie, wyćwiczy pogodny, nic nieznaczący uśmiech i zacznie lepić niepowtarzalne pierogi z grzybami na lokalne imprezy z poczęstunkiem. Swoich wierszy, ponoć coraz cudowniejszych i głębszych, nikomu nie pokazuje. To skąd wiadomo, że cudowniejsze i głębsze? Ano, w Skiroławkach ludzie wiedzą swoje. Niektórzy nawet wiedzą, że leśniczyna będzie jeszcze szczęśliwa, na co zasłużyła sobie, gdyby ktoś gdzieś prowadził rachunek zasług.

Ptasidziób porównuje Skiroławki z Manhattanem i najpierw stwierdza ponad wszelką wątpliwość, że domy na Manhattanie są dużo wyższe, mają nawet po kilkadziesiąt pięter, także te wzniesione na West Endzie w początkach XX czy nawet w końcu XIX wieku. Ludzi też jest więcej, i samochodów, i sklepów z niesłychanym bogactwem, i kolorowych świecących reklam u zbiegu West Endu z Broadwayem. Ludzie są tam szczęśliwi, tak przynajmniej twierdzą, kiedy ktoś ich zapyta. „American dream! American way of life! America the best!" W Skiroławkach nikt się nie przyzna, że jest szczęśliwy. A są tacy? Najpierw ustalmy, co to jest szczęście i do czego służy. Według tutejszych ankieterów za szczęśliwego w Skiroławkach uchodzi Ryży Dyzma, który od urodzenia niedosłyszy i niedowidzi, mowę ma bełkotliwą, na nogę utyka i w chałupie, ruderze walącej się, ma syf. Starczy jednak postawić mu flaszkę piwa i gęba Ryżego rozkwita promiennym uszczęśliwieniem, uśmiech bezzębny od ucha do ucha, bełkot chichotliwy, aż oczka łzawią. Jest jeszcze paru siedzących na murku pod sklepem Reginy, którym darmowe piwo rozjaśnia twarze, ale na krótko i chyba nie do końca, bo w oczkach smętek. Inni skiroławiacy, pytani o szczęście, każą nie zawracać sobie głowy. Starsi, pociągnięci za język, wyznają ze złością, że jak przyszła wolność i narobiło się krzyku, to miało być lepiej, a tymczasem chleb dalej z zakalcem i do tego drogi, a drogi dziurawe jeszcze bardziej, niż były. Dróg co niemiara, a człowiek nie ma dokąd pójść. I poskarżyć się nie ma komu. Kiedyś było. Że bez skutku? Ale ulżył sobie człowiek. Bo człowiek, panie dzieju, musi mieć kogoś nad sobą, żeby czuł się bezpiecznie, miał komu donieść, od kogo w mordę dostać albo dostać medal za wierność. Co komu

po wolności bez kasy? Wtedy, czego już młodzi nie pamiętają, kasa to był pikuś, liczył się talon, kupon, asygnata. Jak wywojowałeś pralkę, toś był w siódmym niebie, a ta pralka prała latami, była niezniszczalna. Dziś, panie dzieju, pralka superautomatyczna zdycha po trzech latach definitywnie, żebyś kupił nową, i nie wiadomo, dlaczego nazywa się to wolnością. Wszystko moda, tradycja i nawyk.

– Co ja tu robię? – pyta cicho Ptasidziób i szeroko otwiera oczy, które robią się wilgotne, maślane, z parą przezroczystych kropelek, które zaczynają mu spływać po policzkach. – Nie masz prawa sprowadzać mnie w swoje gówniane czasy, słyszysz? Ich nie ma. Wymyśliłeś je, żeby zrobić mi wodę z mózgu, przyznaj się!

I nagle, niespodziewanie, robi mi się żal Ptasidzioba. Nie powinienem był go zabierać ze Sto Trzynastej Ulicy na Manhattanie. Szczęśliwa trzynastka. Niech wypatruje Ilany i śni swój sen, a ja swój dośnię bez jego udziału. Świat Ptasidzioba, czarno-biały jak telewizja w jego czasach, wymaga tylko korekt i odrobiny wzajemnej życzliwości, w którą Ptasidziób wierzy jak święty w Pana Boga albo i mocniej. Jego rówieśni, aktywni wtedy, dzisiaj wyznają mi, że bez przesady. W domu, między sobą i półgłosem, mówiło się przecież, jak jest naprawdę. Mądrale tłumaczą, że nie było wyboru, decyzje pozapadały w niebiesiech – w politycznych niebiesiech – zaraz po wojnie. A ojczyzna zawsze była tylko ta jedna, więc należało jej służyć całym sercem, pomniejszając zło i rozdmuchując dobro. A ty, Ptasidziobie, na serio to bierzesz. Przeżywasz. Czy dlatego, że należysz do lewitujących?

Jako lewitujący masz do wyboru. Legendę o chłopcu-ptaku albo kamienne tablice na górze Synaj. Jedno i drugie nie ułatwia życia. Źle być innym. A już wybrańcem – według Starego Testamentu – całkiem niedobrze. Wedle teorii poglądów i odczuć nawet osoby szlachetne, przyzwoite do szpiku kości i wykształcone wszechstronnie lewitujących mogą nie lubić, jak nie lubi się psa z parchami, choć go żal niektórym. Intelekt i przyzwoitość każą im szukać uzasadnienia dla owych odczuć. Tu przydają się sztance, konkretne przykłady lewitujących drani. A przecież nie brak i wśród nich łobuzów, oszustów, swołoczy. Jak to ludzie. Tyle tylko, że trudniej im było przez wieki bronić się przed pomówieniem, nie stało

bowiem za nimi państwo z własnym trybunałem i wojskiem. Ale ciebie to nie dotyczy, Ptasidziobie. Ty jesteś święcie przekonany, że ojczyznę masz jedną i prawo do niej jak wszyscy inni. Komfort głupca. Co stać się musi, żebyś odkrył, jak jest naprawdę?

„Zabij Ptasidzioba…" – naszeptuje przewrotny doradca. Dobrze by było cię utłuc i zacząć od dziś z wyzerowanym licznikiem, ponieważ przeszłość jest jak wrzód na tyłku – nie można się rozsiąść wygodnie. Jednak cudów nie ma. Raczej nie ma szans, abym przestał od czasu do czasu ciut unosić się nad ziemią, budząc u jednych taktownie maskowaną niechęć, u innych nieskrywaną wrogość, u niektórych poniżające współczucie. Najżarliwszą modlitwą niczego nie wskóram. I w której świątyni miałbym się modlić? W synagodze nie godzę się na kult wyzwolenia, hojny dar od samego Boga, który na górze Synaj uszczęśliwił starozakonnych kamiennymi tablicami z dziesięciorgiem przykazań, a potem ich nimi przygniótł, zmiażdżył, zesłał na nich plagi i klęski, pogromy i wypędzenia. W kościele nie odpowiadają mi męki i kult ubóstwa, jaki zaleca Jezus Chrystus. Idzie zapewne o ból istnienia. Z czego tu się cieszyć, co otaczać kultem? I jest jeszcze islam, ten ortodoksyjny, który stąpa po trupach, jak niegdyś barbarzyńcy, uciętymi głowami niewiernych moszcząc swoją drogę do raju. Może nie ma już innej drogi?

Remiza w Skiroławkach pragnie zaspokoić swoją ciekawość świata.

– Jak tam w Ameryce?

– A tak jakoś – odpowiada Ptasidziób. – Ludzie chyba szczęśliwsi.

– To czemu wróciłeś?

– Bo to człowiek wie, co dlaczego? Tam o to samo pytają. – Ptasidziób zamyśla się, obejmując dłonią podbródek. Przypomina sobie sentencję wariata: „Jak kto chce kogo zrobić na źle, to go wychodzi na sam". Niby bełkot, a przecież z sensem, jeśli się zastanowić. Ptasidziób nigdy nie przestanie liczyć na dziejową sprawiedliwość.

Kobiety w pierwszym rzędzie, jak na znak dyrygenta, kiwają głowami ze zrozumieniem. Żadna nie ma żalu do Ptasidzioba, każdej się ułożyło, jak to w życiu. Nie ułożyło się Donaldowi, ale na własne

życzenie. Ameryka spełnia życzenia swoich obywateli, od szansy dla każdego aż po krzesło elektryczne, które wciąż jest w użyciu. Kuba, Ilana i Eddie Love są cośkolwiek przezroczyści, jakby tu byli nie do końca, nad głową leśniczego Jonasza też coś się jarzy fioletowo. Tylko Mistrz najwyraźniej podkreśla, że z pospólstwem łączy go przypadkowe sąsiedztwo na ławie w pierwszym rzędzie. Tak siedzi, by mieć luz po lewej i prawej. Na Ptasidzioba spogląda z żartobliwą pobłażliwością. Pytań nie ma.

Potem siadamy przy długim stole z nieheblowanych desek przykrytym koronkową serwetą i ustawionym na brzegu jeziora. Ptasidziób nabija na widelec parujący pierożek z rydzykiem w środku, zanurza w gęstej wiejskiej śmietanie i pakuje do ust. Pyszotka! Serdelki z dzika pachną jałowcem i majerankiem. Nie trzeba do nich chrzanu ani musztardy, te są potrzebne, kiedy serdelek zajeżdża chemią. Nie w Skiroławkach. Do pierogów z serdelkami Burmistrz serwuje zagraniczną wódkę „Finlandia", drogą, bo drogą, lecz nie ma się po niej kaca. Kaca nie ma się również po wódce „Absolut", czekającej w rezerwie na swoją kolejność.

– A po „Stolicznej" masz kaca, nawet jak nie pijesz – żartuje politycznie Burmistrz.

Ptasidziób nie lubi rusofobicznych aluzyjek, ale jest tu gościem i nie będzie Burmistrza pouczał. Zacznie odpowiadać na pytania już mniej oficjalne: „Chyba nie", „Może i tak", „A kto to potrafi wiedzieć?…". Swoim dziewczynom odpowie, że każdą z nich kochał i że jest im wdzięczny, ponieważ przywiodły go do L. Były szczeblami miłości w drabinie do nieba. Być może jak on dla nich.

L. otwiera szeroko oczy. Ptasidziób uspokaja ją ciepłym uśmiechem: „Ty jesteś moje niebo. Bądźmy wdzięczni tym, którzy nas do siebie przywiedli".

Kubę, Ilanę, Edwarda Love przeprosi, że nie był przy nich, kiedy odchodzili. Tak zrządził los, który lubi czasem, szczerząc zęby, wynurzyć się z gęstwiny chaosu.

Mistrzowi Ptasidziób pokaże środkowy palec uniesiony do góry i zgięty lekko. Mistrz odpowie pogardliwym grymasem i puści oko do biesiadników za stołem. Nikt mu nie odmrugnie. Nad ich głowami, odbijając się w lustrze jeziora, przeleci, gęgając, klucz dzikich gęsi.

Jest poniedziałek 5 stycznia 2015 roku, godzina 15.45. Niebo w Pattaya mlecznobłękitne, ustał wiatr od lądu, który męczył nas od tygodnia, ciągnąc ze sobą chmury niewidocznego pyłu szczypiącego w oczy i gardło. Temperatura 28°C, morze nieco chłodniejsze, ale da się popływać. L. pływała dzisiaj ponad godzinę – męczeństwo na rzecz kondycji, wagi, młodości i czegoś tam jeszcze, co szczerze u niej podziwiam. Swoją młodość L. szczodrze dzieli ze mną. Nie wiem, jak to robi, ale przy niej nie czuję swoich osiemdziesięciu jeden lat. Przekomarzamy się, stroimy do siebie miny, zwłaszcza w windzie, szokując współpasażerów. L. potworek, ja małpolud, L. żaba, ja widelec, ona wisielec, ja pomidor. Mamy swoje sposoby minowania.

Wczoraj jedliśmy kolację z Koralem U Staruchy, były krewetki w tajskim makaronie z warzywami i czymś tam jeszcze, a potem, już na naszym balkonie, tajska wódka „Boska" z sokiem mango. Tajowie nie uwzględniają znaczeń w innych językach. Co znaczy „boska" po tajsku? Pojęcia nie mam. Po prostu tak się ta wódka nazywa. L. nie pija alkoholu. Żadnego, nigdy. Bardzo mi to odpowiada, bo jakim prawem miałaby krytykować coś, o czym nie ma pojęcia?

Powiedziałem Koralowi, że po śmierci zostanę skremowany. Gnicie w ziemi mięsa, które było niegdyś moim opakowaniem, uważam za niesmaczne. Najchętniej poddałbym się kremacji w klasztorze buddyjskim sąsiadującym z hotelem Grand Jomtien Palace, jakieś osiemset metrów od naszego tutaj lokum. Nie raz obserwowaliśmy z L. tutejsze procedury pożegnalne i szary dymek ulatujący w niebo z wysokiego, zwężającego się ku górze komina. Taki dymek to może być dusza. Grzebać ją w ziemi ku uciesze robactwa?

Koral się zmienił. Jest jeszcze wolniejszy, niż był dotąd. Sprzedał swój jacht i wszystkie akcje ropy naftowej, nie bacząc na straty. Kupił złoto. Niech sobie leży w bankowym sejfie. Oby nie potrzebował go nigdy sprzedawać z nadejściem czarnej godziny, która wisi i wisi w powietrzu. Koral już nie ma stada dobiegaczek, zostawił sobie jedną, dla zdrowia. Jada tylko zdrową żywność, udziela się w fitness clubie i lata swoim samolocikiem trzy razy w tygodniu po jednej godzinie, kołysząc do nas skrzydełkami, gdy wybiegamy z L. na balkon. Czy mu zazdroszczę? Absurd. Każdy

wybiera swój model życia i próbuje go spełnić. Jednym to się udaje, innym nie wychodzi, mowy jednak nie ma o zamianie modeli. Z modelem człowiek chyba przychodzi na świat. I tylko mu się zdaje, że coś wybiera.

L. projektuje kolejną kolekcję. Jest zaproszona do Paryża, Lozanny i Sewastopola. Ja jej kibicuję. Dokumentuję kamerą jej sukcesy, pomijam drobne niepowodzenia. Wygląda na to, że nie możemy bez siebie. Szczęśliwie nie zawsze jest tak, jak na to wygląda, inaczej musiałbym się modlić o nieśmiertelność albo odmłodnieć o ćwierć wieku. Ale L. poradzi sobie, nie ma silniejszych niż ci słabi.

Mam wrażenie, że zbyt głęboko wszedłem w rolę Ptasidzioba. Pióro rozpędza się i zapominam, że jestem tylko kronikarzem opisującym spotkanie tamtych dwóch. Gdybym był Panem Bogiem i wezwał tę dwójkę na Sąd Ostateczny – sąd sprawiedliwy, bo bez krętactwa odwołań, apelacji, kasacji i przedawnień – to po namyśle wziąłbym stronę Ptasidzioba przeciw jego wersji starszej o ćwierć wieku – wyjałowionej z naiwności romantyka, lekkomyślnego konformizmu wpisanego w pozorną pryncypialność. Pragmatycznej. Wolnej od uczuć. Wypalonej od wewnątrz.

– Gdzie twoja wiara? – zapytałbym grzmiącym głosem starszą wersję. – Co zrobiłeś ze współczuciem dla maluczkich? Kto ci pozwolił wyzbyć się marzeń i zaprzestać prób naprawy świata?

– Bo przestałem być idiotą – odpowiedziałaby starsza wersja.

Wtedy kazałbym cherubinom zadąć w trąby, puściłbym w ruch anielską perkusję i włączyłbym niebieską stereofonię na pełny regulator.

– Chwała idiotom! – ogłosiłbym. – Chwała pomyleńcom, porąbańcom, naiwnym marzycielom i oszalałym poetom! Zejdź mi z oczu, stetryczały dziadu.

Jestem niesprawiedliwy. Byłoby ładnie pogodzić was ze sobą, ku chwale kompromisu, na rzecz równowagi we wszechświecie i spokoju sumienia. Czy nie jesteś w końcu Ptasidziobem po przejściach? I nikim innym być nie potrafisz, nie możesz? Przyznaj, zazdrościsz mu. Oddałbyś wszystko, co było potem, żeby obudzić się w suterenie przy Sto Trzynastej, wziąć prysznic, nie budząc Ilany, i

zabrać się do czytania prac twoich studentów. Byłbyś mądrzejszy? Bzdura. Widziałbyś świat dokładnie taki, jakim go widział i czuł Ptasidziób, ponieważ przyszłość miałbyś dopiero przed sobą.

Zbliżam się do końca. Jeszcze tylko lot na Manhattan.

Sto Trzynasta Ulica, nad bramą stylizowane 520 w laurowej girlandzie.

L. przygląda mi się z zaciekawieniem. A ja odruchowo, bez namysłu, wybieram na tabliczce domofonu cyfry 1 – 9 – 3 – 3 i ku mojemu zaskoczeniu brama otwiera się bezszelestnie. Mam przed sobą półmroczny hol, lustra, marmury. Nic się nie zmieniło. Jakbym stąd wyszedł przed chwilą.

Wchodzę. Skręcam na lewo. Kilka stopni w dół. L. towarzyszy mi, coraz bardziej zaciekawiona i niespokojna zarazem.

– Znasz tu kogoś?…

Wyjeżdżając, ponad trzydzieści lat temu, zostawiłem wszystko, jak było: tapczan zaścielony zieloną supełkową narzutą, półki z książkami w paru językach, białe biurko, na nim czerwony telefon, obok głęboki fotel z przetartym siedzeniem, obok fotela barek na kółkach, kilka napoczętych butelek: jarzębiak, krupnik, dry sherry vodka – moja ulubiona.

Chyba się waham. L. nie domyśla się jak bardzo. Musi jednak coś przeczuwać, ma niesłychaną intuicję, szósty, a może ósmy zmysł. Patrzy mi w oczy z lękiem.

– Nie rób tego – prosi jakimś nieswoim, drewnianym głosem. – Bardzo cię proszę, dobrze?

Rzadko odmawiam L. Ona rzadko o coś prosi. Muszę domyślać się, odgadywać, uprzedzać jej życzenia. Nie byłem przyzwyczajony do takich subtelności. Trzeba było się uczyć. Z moją wredną, przekorną naturą stawałem dęba, gdy wywierano na mnie nacisk albo gdy odnosiłem takie wrażenie. A tu na odwrót.

– Nie rób tego, proszę – powtarza cicho L.

Ale ja nie wytrzymuję. Jeszcze moment wahania i naciskam dzwonek.

Słychać kroki. Cisza. Potem zgrzyt zamka.

Drzwi uchylają się i w progu staje młody człowiek. Niewysoki, żółtawa karnacja skóry, oczy nieco skośne, gęste czarne włosy przystrzyżone na jeża. Chyba Japończyk.

– Do kogo? – pyta grzecznie, z amerykańskim, bezosobowym uśmiechem.

Zastanawiam się przez krótką chwilę.

– Do nikogo – odpowiadam z takim samym amerykańskim uśmiechem. – Pomyłka. Sorry, sir.

Tak to jest, gdy się żyje długo. Czy można przestać być tamtym sobą i stać się kimś innym? A ten zapaszek, ten cień, który się wlecze za człowiekiem? Próba ucieczki od siebie, zakup nowego życiorysu z kompletem papierów, może operacja plastyczna. Ale z lewitowaniem nic się zrobić nie da.

– Czego się spodziewałeś? – pyta L.

Idzie obok mnie kocim, lekkim krokiem. Opuszczamy Sto Trzynastą Ulicę, zmierzając w stronę Broadwayu, L. trzyma mnie za rękę jak mała dziewczynka. Słońce świeci nam w oczy, ptaki koncertują w koronach klonów.

– Chciałbym to wiedzieć – odpowiadam.

W żaden żywy sposób nie pozbędziesz się Ptasidzioba. Uczciwiej będzie i bliżej prawdy, jeżeli przyznasz, że po cichu, w sekrecie przed sobą samym, zazdrościsz Ptasidziobowi. Tak jak w skrytości ateista zazdrości wierzącemu, a naiwnemu cynik. Nie urodziłeś się Koralem, aby kochać wolność bez granic i bez sensu. Nie jesteś też podobny do swego kuzyna Donalda, któremu wystarcza cadillac i pies przeciwko urokom życiowej stabilizacji. Tobie potrzeba celu w życiu i wiary w ten cel, i buntu, kiedy jest nie tak, jak być powinno, gdy słowo nie staje się ciałem. Do tego marzenia, miłości, rozczarowania i nadzieje. On miał to wszystko w swoim zakłamanym świecie, a co masz ty oprócz L.? Przyznaj się: chciałbyś tak kończyć, jak on zaczynał.

L. zaciska dłoń na moim wskazującym palcu.

– Wcale nie masz nosa jak ptasi dziób – zapewnia mnie wesoło. – Bardzo mi się podoba w Nowym Jorku. Może tu zostaniemy na zawsze?

Patrzę w niebo bezdennie niebieskie i kryształowo przejrzyste, pomimo spalin miliona aut korkujących Manhattan. Fenomen Nowego Jorku: dymy i wonie zatłoczonej metropolii wysysane są przeciągiem od rzeki nad ocean i powietrze zawsze pachnie tu świeżością. Spoglądam w niebo i widzę, jak na obrazie Marca Chagalla, przelatujące stadko ludzi. Niby są wysoko, a przecież wyraźnie widoczni. Mogę dostrzec frędzle tałesu wystające spod kurtki brodatego starca w jarmułce. Ku mojemu zaskoczeniu L. też to widzi. I nie jest zdziwiona, co zaskakuje mnie jeszcze bardziej.

– Dokąd oni lecą? – słyszę.

– Oni odlatują – wyjaśniam po pauzie. – Tak już mają, kochanie. Odlatują donikąd, jak zawsze.

– Lewitujący muszą tak mieć?

Tym razem nie odpowiadam i L. nie nalega na odpowiedź.

Idziemy Broadwayem pełnym gwaru i bardzo słonecznym. Przy Sto Szesnastej skręcamy w gościnnie rozwarte wrota Uniwersytetu Columbia, przemierzamy aleję spinającą rektorat z posągiem Alma Mater i monumentalny gmach biblioteki. Aleja prowadzi od Broadwayu aż do Amsterdam Avenue. Pachnie tu świeżością, bryzą od oceanu i rzeki z nutą zieleni już leciutko żółknącej, wpadającej w jesienne pastele. Aleja jest prawie pusta, tylko na schodach przed rektoratem trochę studentów opala się, ze słuchawkami w uszach. Nikt z nikim nie rozmawia, nie flirtuje, nie wymienia spojrzeń. Każdy na tych schodach żegluje po swoim wirtualnym wszechświecie.

A może to nie ich, lecz mój świat staje się coraz bardziej nierzeczywisty? Archaiczny, przebrzmiały? Będę musiał o tym pomyśleć, ale nie teraz.

Sadzam L. na kolanach Alma Mater i staję przy niej, szczerząc zęby. Ktoś, wyrwany z letargu, uprzejmie robi nam pamiątkową fotkę moim smartfonem.

K O N I E C

Projekt okładki
Artur Piątek

Redakcja
Barbara Żebrowska

Skład
Barbara Wieczorek

© Copyright by Siedmioróg

ISBN 978-83-7791-460-1

Wydawnictwo Siedmioróg
ul. Krakowska 90
50-427 Wrocław

www.siedmiorog.pl

Wrocław 2016